

Murakami

HARUKI



Śmierć Komandora 2
Metafora się zmienia 2

Tak samo lubię rzeczy, które widać,
jak te, których nie widać.

Murakami

HARUKI

 Śmierć Komandora 2
Metafora się zmienia 2
przełożyła z japońskiego Anna Zielińska-Elliott



Warszawskie Wydawnictwo Literackie

Tytuł oryginału:

騎士団長殺し ***Kichidanchōgoroshi***

第2部 ***Dainibu***

遷ろうメタファー編 ***Utsurou metafā hen***

Tytuł przekładu angielskiego: ***Killing Commendatore***

Projekt serii: *Agnieszka Spyrka*

Projekt okładki: *Ula Pągowska*

Redaktor prowadzący: *Aleksandra Janecka*

Redakcja: *Małgorzata Burakiewicz*

Redakcja techniczna i skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Mariola Hajnus, Maria Śleszyńska*

Zdjęcia wykorzystane na okładce:

Adam Majchrzak, Alexey, dpullman, chic2view/Fotolia

Copyright © 2017 by Haruki Murakami

All rights reserved

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2018

© for the Polish translation by Anna Zielińska-Elliott

ISBN 978-83-287-1087-0

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Wydanie I

Warszawa 2018

Spis treści

- Rozdział 33 Tak samo lubię rzeczy, które widać, jak te, których nie widać
- Rozdział 34 Właściwie już dawno nie mierzyłem ciśnienia w oponach
- Rozdział 35 Trzeba było zostawić to miejsce w spokoju
- Rozdział 36 W ogóle nie rozmawiać o regułach meczu
- Rozdział 37 Wszystko ma swoje dobre strony
- Rozdział 38 Przez to niepodobna, żeby stał się delfinem
- Rozdział 39 Zakamuflowana pułapka zbudowana w konkretnym celu
- Rozdział 40 Tej twarzy nie dało się pomylić z żadną inną
- Rozdział 41 Tylko wtedy, kiedy się nie odwracałem
- Rozdział 42 Jeśli spadną na podłogę i się rozbiją, to znaczy, że kurcze
- Rozdział 43 To nie mogło być jedynie snem
- Rozdział 44 Cechy, które sprawiają, że ktoś jest tym kimś
- Rozdział 45 Coś ma się zdarzyć
- Rozdział 46 Wysokie solidne mury powodują, że zamknięci w nich czują się bezsilni
- Rozdział 47 Czy dziś jest piątek?
- Rozdział 48 Hiszpanie nie wiedzieli, jak żeglować wzdłuż wybrzeży Irlandii
- Rozdział 49 Pełna takiej samej liczby śmierci
- Rozdział 50 To wymaga ofiary i poddania się próbom
- Rozdział 51 Teraz przyszła ta chwila
- Rozdział 52 Facet w pomarańczowej szpiczastej czapce
- Rozdział 53 Mógł to być pogrzebacz
- Rozdział 54 Na zawsze to bardzo długo
- Rozdział 55 To się wyraźnie sprzeciwiało wszelkim zasadom
- Rozdział 56 Jest kilka luk, które wymagają wypełnienia
- Rozdział 57 Sprawy, którymi musiałem się kiedyś zająć
- Rozdział 58 Jakbym słuchał opowieści o pięknych kanałach na Marsie

Rozdział 59 Aż rozłączyła nas śmierć

Rozdział 60 Gdyby ktoś miał bardzo długie ręce

Rozdział 61 Muszę być dzielną i mądrą dziewczynką

Rozdział 62 Zaczynały przypominać głęboki labirynt

Rozdział 63 Ale nie jest tak, jak myślisz

Rozdział 64 Znakiem łaski



Rozdział 33

Tak samo lubię rzeczy, które widać, jak te, których nie widać

W niedzielę też była ładna pogoda. Wiatr prawie nie wiał, w jesiennym słońcu na zboczach gór pięknie lśniły liście zabarwione na przeróżne kolory. Małe ptaszki o białych brzuskach przeskakiwały z gałęzi na gałąź, zwinnie skubiąc czerwone owoce. Usiadłem na tarasie i przyglądałem się temu wszystkiemu. Wcale mnie to nie nużyło. Piękno przyrody dane jest sprawiedliwie każdemu – i bogatym, i biednym. Tak samo jak czas... Nie, z czasem może jest inaczej. Może zamożni ludzie kupują sobie za pieniądze więcej czasu.

Punktualnie o dziesiątej intensywnie niebieska toyota prius wjechała na moją górę. Shōko Akikawa miała na sobie cienki beżowy sweter z golfem i wąskie jasnozielone spodnie. Wokół szyi skromnie lśnił złoty łańcuszek. Włosy tak jak przedtem były niemal idealnie ułożone. Kiedy się poruszały, ukazywała się spod nich na chwilę piękna szyja. Dziś Shōko Akikawa nie miała małej torebki, a większą zamszową torbę na ramię. Do tego brązowe mokasyny żeglarskie. Strój na luzie, ale każdy szczegół był przemyślany. I jej piersi rzeczywiście miały ładny kształt. Według dobrze poinformowanej bratanicy, „nie miała watowanego stanika”. Te piersi mnie oczarowały – oczywiście w sensie estetycznym.

Marie była ubrana swobodnie, zupełnie inaczej niż ostatnim razem. Miała na sobie proste spłowiałe dżinsy i trampki firmy Converse. Dżinsy miały gdzieś dziury – oczywiście były to dziury starannie i celowo zrobione. Do tego cienka szara bluza z kapturem, a na niej gruba koszula w kratkę, jaką noszą drwale. Jak przedtem nie rysowały się pod nią piersi. I jak przedtem Marie wyglądała na niezadowoloną. Miała minę jak kot, któremu zabrano miseczkę, zanim skończył jeść.

Jak przedtem zrobiłem w kuchni herbatę i zaniósłem do salonu. Potem pokazałem im trzy rysunki z zeszłego tygodnia. Chyba spodobały się Shōko Akikawie.

– Na wszystkich jest jak żywa. Dużo podobniejsza do prawdziwej Marie niż na zdjęciach.

– Mogę je sobie wziąć? – zapytała mnie Marie.

– Oczywiście – powiedziałem – ale dopiero jak skończę obraz. Przedtem mogą mi być potrzebne.

– Marie, jak możesz...?! Czy naprawdę będzie mogła je dostać? – upewniała się speszona ciotka.

– Tak, oczywiście – powiedziałem. – Bo kiedy skończę obraz, nie będą mi już potrzebne.

– Czy zrobi pan szkic obrazu na podstawie jednego z nich? – zapytała Marie.

Pokręciłem głową.

– Nie. Narysowałem je po to, żeby cię zrozumieć trójwymiarowo. Myślę, że na płótnie namaluję cię jeszcze inaczej.

– I ma pan już w myślach trójwymiarowy obraz?

Pokręciłem głową.

– Nie, jeszcze nie mam. Teraz się nad tym we dwoje zastanowimy.

– Będziemy próbować mnie zrozumieć trójwymiarowo? – dopytywała się Marie.

– Tak. Z punktu widzenia fizyki obraz jest płaską powierzchnią, ale musi być namalowany trójwymiarowo. Rozumiesz?

Marie się skrzywiła. Słowo „trójwymiarowy” pewnie skojarzyło jej się z kwestią własnych piersi i nad nią rozmyśla. Rzeczywiście rzuciła okiem na kształtne piersi ciotki rysujące się pod cienkim swetrem, a potem spojrzała na mnie.

– Jak się można nauczyć tak dobrze rysować?

– Chodzi ci o te rysunki?

Skinęła głową.

– Tak, o rysunki i o szkice.

– Trzeba ćwiczyć. Jeśli się ćwiczy, to coraz lepiej wychodzi.

– Ale jest chyba dużo ludzi, którym kiepsko wychodzi, choćby nie wiem ile ćwiczyli.

Miała rację. Kiedy studiowałem na Akademii Sztuk Pięknych, poznałem tam mnóstwo ludzi, którym rysowanie nie wychodziło, mimo że bardzo dużo ćwiczyli. Choćby się człowiek starał ze wszystkich sił, nie przeskoczy tego, co mu dała

natura. Jednak gdybym to powiedział, ta rozmowa nie miałaby końca.

– Ale to nie znaczy, że można sobie darować ćwiczenia. Są pewne rodzaje talentu i zdolności, które nie ujawnią się bez ćwiczenia – oznajmiłem.

Shōko Akikawa z przekonaniem przytaknęła. Marie tylko lekko ukośnie wygięła usta. Jakby się zastanawiała, czy nie kłamię.

– Chcesz się nauczyć lepiej malować, prawda? – zapytałem Marie.

Skinęła głową.

– Tak samo lubię rzeczy, które widać, jak te, których nie widać.

Spojrzałem jej w oczy. Miały w sobie jakiś szczególny blask. Nie całkiem pojmowałem, o co jej chodzi. Ale bardziej niż jej słowa zainteresował mnie ten blask w oczach.

– To bardzo dziwne stwierdzenie – powiedziała ciotka. – Brzmi jak zagadka.

Marie nie odpowiedziała, tylko w milczeniu patrzyła na swoją rękę. Kiedy trochę później podniosła głowę, ten szczególny blask już zniknął. Był tam tylko przez chwilę.

Poszliśmy z Marie do pracowni. Shōko Akikawa wyjęła z torby tę samą książkę co tydzień wcześniej – w każdym razie wyglądała na tę samą – usiadła na kanapie i od razu zabrała się do czytania. Lektura całkiem ją pochłonięła. Jeszcze bardziej niż ostatnim razem ciekawiło mnie, co to za książka, ale powstrzymałem się od zapytania o tytuł.

Tak jak tydzień wcześniej usiedliśmy z Marie o dwa metry od siebie, ale w odróżnieniu od zeszłej niedzieli tym razem stały przede mną sztalugi z blejtrami. Jeszcze nie brałem do ręki pędzla ani farb. Na zmianę patrzyłem to na Marie, to na puste płótno. Zastanawiałem się, jak przenieść ją trójwymiarowo na obraz. Potrzebna była jakaś „opowieść”. Nie jest tak, że wystarczy po prostu kogoś namalować. W ten sposób nie powstanie dzieło sztuki. Pewnie skończy się tylko na dobrze wykonanym wizerunku. Dla mnie ważnym punktem wyjścia było znalezienie opowieści, którą powinienem namalować.

Ze swojego taboretu długo przyglądałem się twarzy Marie, ale dziewczynka nie odwróciła wzroku. Siedziała na krześle, prawie nie mrugając, patrzyła mi prosto w oczy. Nie było to może spojrzenie rzucające wyzwanie, ale dostrzegłem w nim determinację w rodzaju „nie cofnę się ani o krok”. Z powodu jej regularnych jak u lalki rysów ludzie często mylnie ją oceniali, lecz w rzeczywistości było to dziecko

o silnym charakterze. Postępowała po swojemu i konsekwentnie. Jeśli wytyczyła sobie jakiś kierunek, łatwo z niego nie zbaczała.

Kiedy się dobrze przyjrzałem, dostrzegłem w jej oczach coś, co mi przypomniało Menshikiego. Wcześniej już to wyczuwałem, ale teraz na nowo zaskoczyło mnie owo podobieństwo. Było w niej przedziwne światło, które miałem ochotę nazwać „szybko zamrożonym płomieniem”. Blask mający w sobie gorąco, ale jednocześnie bardzo zimny. Przywodził na myśl szczególny klejnot z własnym źródłem światła. Ostro zmagaly się w nim zwrócona na zewnątrz bezpośrednia siła życzeń i nastawiona na spełnienie siła zwrócona do wnętrza.

Ale być może czułem tak, bo wysłuchałem zwierzeń Menshikiego, kiedy mówił, że Marie może być jego córką. Wiedząc o tym, być może podświadomie starałem się dostrzec między nimi jakieś podobieństwa. Tak czy inaczej, musiałem zawrzeć w obrazie ten szczególny blask będący kwintesencją jej wyrazu twarzy. To coś, co przebijało spod jej regularnych rysów i zakłócało tę regularność. Nie potrafiłem jednak jeszcze odnaleźć kontekstu, w jakim należało ten blask namalować. Jeżeli zrobię to źle, będzie tylko zimnym klejnotem. Musiałem się dowiedzieć, skąd się wzięło kryjące się za tym blaskiem źródło ciepła i dokąd to ciepło uchodziło.

Po piętnastu minutach wpatrywania się na zmianę w Marie i w płótno dałem za wygraną. Odsunąłem na bok sztalugi i wziąłem kilka głębokich oddechów.

– Porozmawiajmy o czymś – zaproponowałem.

– Dobrze – zgodziła się Marie. – O czym?

– Chciałbym trochę więcej się o tobie dowiedzieć. Jeśli się zgodzisz.

– Na przykład?

– Hm... Jaki jest twój ojciec?

Marie lekko skrzywiła usta.

– Nie bardzo wiem.

– Mało ze sobą rozmawiacie?

– Bo rzadko się widzimy.

– Ojciec jest zajęty pracą?

– Nie wiem zbyt wiele o jego pracy – powiedziała. – Ale myślę, że ja go chyba nie interesuję.

– Nie interesujesz go?

– Dlatego w kwestii opieki nade mną zdał się całkowicie na ciotkę.

Nie wyraziłem na ten temat żadnej opinii.

– A pamiętasz mamę? Zdaje się, że umarła, kiedy miałaś sześć lat, prawda?

– Mamę pamiętam tylko fragmentarycznie.

– W jakim sensie fragmentarycznie?

– Zniknęła w jednej chwili, strasznie szybko. A poza tym wtedy nie mogłam zrozumieć, co to znaczy, że ktoś umarł. Dlatego myślałam, że po prostu zniknęła, jak dym uciekający przez szparę.

Po krótkim milczeniu mówiła dalej.

– Ponieważ tak nagle zniknęła i ponieważ nie mogłam zrozumieć, dlaczego tak się stało, nie bardzo pamiętam, co było przedtem i potem.

– Miałaś wtedy duży mętlik w głowie.

– Czas przed zniknięciem mamy i czas po jej zniknięciu są oddzielone jakby wysokim murem. Nie mogę ich ze sobą połączyć – powiedziała, a potem umilkła, przygryzając wargi. – Rozumie pan, o co mi chodzi?

– Wydaje mi się, że rozumiem. Mówiłem ci przedtem, że moja siostra umarła, mając dwanaście lat, prawda?

Marie skinęła głową.

– Miała wrodzoną wadę zastawek. Przeszła poważną operację, która podobno się udała, ale nie wiadomo dlaczego ciągle było z nią coś nie tak. Więc żyła jakby z tykającą wewnątrz bombą. Cała rodzina była zawsze przygotowana na to, że kiedyś stanie się najgorsze. Czyli jej śmierć to nie był grom z jasnego nieba, jak śmierć twojej mamy od uządleń szerszeni.

– Grom z jasnego...

– Grom z jasnego nieba – powiedziałem. – Kiedy jest piękna pogoda, a nagle niespodziewanie uderza piorun. Mówi się tak o nagłych, nieoczekiwanych wydarzeniach.

– Grom z jasnego nieba – powtórzyła. – Jak to się pisze?

– Pisz się „niebieski” i „niebo”. Potem dwa znaki na grom, ale są trudne i sam ich nie umiem napisać. Nigdy nie pisałem. Jak chcesz się dowiedzieć, to sprawdź w słowniku po powrocie do domu.

– Grom z jasnego nieba – powtórzyła jeszcze raz. Zdawało się, że zamknęła te słowa w jakiejś szufladce w głowie.

– W każdym razie w pewnym stopniu się tego spodziewaliśmy. Ale kiedy

siostra naprawdę dostała ataku serca i zmarła tego samego dnia, na nic nam się zdały te psychiczne przygotowywania. Ja czułem się dosłownie sparaliżowany. Nie tylko ja, cała rodzina.

– Czy potem różne rzeczy się w panu zmieniły w porównaniu z przedtem?

– Tak, potem w porównaniu z przedtem różne rzeczy się kompletnie zmieniły i we mnie, i wokół mnie. Czas zaczął inaczej płynąć. I tak samo jak ty nie potrafię tych dwóch czasów ze sobą połączyć.

Marie wpatrywała się we mnie nieruchomo przez jakieś dziesięć sekund. W końcu powiedziała:

– Siostra była dla pana bardzo ważna, prawda?

Skinąłem głową.

– Tak, była dla mnie bardzo ważna.

Pochylona głęboko nad czymś rozmyślała, potem podniosła głowę.

– Ponieważ moje wspomnienia są tak rozdzielone, nie bardzo potrafię sobie mamę przypomnieć. Jaka była, jak wyglądała, co mówiła. Ojciec też raczej milczy na jej temat.

O jej matce wiedziałem niewiele. Jedynie to, co Menshiki opowiedział mi niezwykle dokładnie o ich ostatnim gwałtownym seksie na kanapie w jego biurze, podczas którego być może została poczęta Marie.

– Ale trochę musisz mamę pamiętać. Przecież mieszkałaś z nią do szóstego roku życia.

– Pamiętam tylko zapach – powiedziała Marie.

– Zapach jej ciała?

– Nie, zapach deszczu.

– Zapach deszczu?

– Wtedy padał deszcz. Gwałtowny deszcz, taki, że było słychać, jak krople uderzają o ziemię. Ale mama nie wzięła parasolki. Szłyśmy za rękę w deszczu. Myślę, że to było latem.

– Taka letnia popołudniowa ulewa?

– Chyba tak. Bo czułam zapach rozgrzanego asfaltu zmoczonego deszczem. Pamiętam ten zapach. Byłyśmy w jakimś punkcie widokowym w górach. I mama śpiewała piosenkę.

– Jaką piosenkę?

– Nie pamiętam melodii. Ale pamiętam słowa. Po drugiej stronie rzeki rozciągała się zielona łąka. I tam wszędzie świeciło piękne słońce. A z tej strony ciągle padał deszcz... Taka to była piosenka. Słyszał pan kiedyś taką?

– Nie przypomniałem sobie, żebym podobną słyszał.

– Myślę, że nie.

Marie drgnęła, jakby lekko wzruszając ramionami.

– Pytałam różnych ludzi, ale nikt jej nie zna. Dlaczego? Czy ja ją sobie wymyśliłam?

– A może twoja mama na poczekaniu wtedy ją wymyśliła? Dla ciebie.

Marie podniosła wzrok i się uśmiechnęła.

– Nigdy o tym nie pomyślałam, ale byłoby świetnie, gdyby naprawdę tak było.

Chyba wtedy pierwszy raz widziałem, jak się uśmiecha. Zupełnie jakby spomiędzy gęstych chmur wychynął promyk słońca i żywo oświetlił jakieś szczególnie wybrane miejsce na ziemi, taki to był uśmiech.

– Gdybyś znowu trafiła w to miejsce, poznałabyś je? Gdybyś znalazła ten punkt widokowy?

– Chyba tak – powiedziała Marie. – Nie jestem pewna, ale chyba tak.

– To świetnie, że udało ci się zachować w sercu wspomnienie tej sceny.

Marie tylko przytaknęła.

Potem przez pewien czas wsłuchiwalismy się w ćwierkanie ptaków. Pogodne niebo zdawało się bezkresne, jak zwykle jesienią. Nie było ani jednej chmurki. Oboje pograżyliśmy się w nieokreślonych rozmyślaniach.

– Co to za obraz, ten odwrócony do ściany? – zapytała Marie po pewnym czasie.

Wskazała olejny obraz, na którym namalowałem (czy raczej starałem się namalować) mężczyznę z białego subaru forestera. Odwróciłem go do ściany, bo nie chciałem na niego patrzeć.

– Obraz, który zacząłem. Próbowałem namalować pewnego mężczyznę. Ale przerwałem i tak zostało.

– Mogę go zobaczyć?

– Możesz. Jeszcze jest na etapie podmalówki.

Odwróciłem obraz i postawiłem na sztalugach. Marie wstała z krzesła, podeszła

i wpatrzyła się w niego z założonymi rękami. Kiedy przed nim stanęła, w jej oczach znowu pojawił się przenikliwy blask. Usta miała lekko zaciśnięte.

Obraz składał się z czerwonych, zielonych i czarnych linii, mężczyzna, który miał na nim być, nie przybrał jeszcze wyraźnych konturów. Jego narysowana węglem postać kryła się pod farbą. Nie chciał, bym mu dalej nadawał kształt barwy. Ale wiedziałem, że tam jest. Uchwyciłem sedno jego bytu, jak sieć chwyta w morzu niewidzialne ryby. Ja próbowałem znaleźć sposób na jej wyciągnięcie, a on starał się mi w tym przeszkodzić. I w tym siłowaniu się nastąpiła przerwa.

– Na tym się pan zatrzymał? – zapytała Marie.

– Tak. Zatrzymałem się na podmalówce i dalej ani rusz.

– Ale wygląda, jakby już był skończony – powiedziała cicho.

Stanąłem obok niej i jeszcze raz spojrzałem na obraz z tego miejsca co ona. Czyżby widziała ukrywającą się w ciemności postać mężczyzny?

– Chodzi ci o to, że nie ma potrzeby nic do niego dodawać? – zapytałem.

– Uhm, myślę, że jest dobry taki jak teraz.

Na chwilę mnie zatkało. Powiedziała prawie dokładnie to samo, co mężczyzna z białego subaru forestera. Zostaw już ten obraz. Więcej go nie ruszaj.

– Dlaczego tak uważasz? – zadałem kolejne pytanie.

Marie przez chwilę nie odpowiadała. Jeszcze przez pewien czas patrzyła w skupieniu na obraz, rozplotła ręce i przyłożyła dłonie do policzków, jakby były rozpalone i chciała je ochłodzić. Potem powiedziała:

– Nawet na tym etapie przemawia do patrzącego z wystarczającą siłą.

– Z wystarczającą siłą?

– Tak mi się wydaje.

– Czy to jest niezbyt dobra siła?

Marie nie odpowiedziała. Nadal trzymała dłonie na policzkach.

– Dobrze pan zna tego mężczyznę?

Pokręciłem głową.

– Nie. Prawdę mówiąc, nic o nim nie wiem. Spotkałem go przypadkiem w dalekim mieście, kiedy pewien czas temu byłem w długiej podróży. Nigdy z nim nie rozmawiałem. Nie wiem też, jak się nazywa.

– Nie wiem, czy to jest dobra, czy niedobra siła. Może czasami staje się dobra,

czasami niedobra. Niech pan spojrzy, zmienia się w zależności od tego, pod jakim kątem się patrzy.

– Ale uważasz, że lepiej nie nadawać jej kształtu obrazu.

Spojrzała mi w oczy.

– A co pan robi, jeśli nada jej pan kształt, a okaże się, że to niedobra siła? Co będzie, jeśli pana dosięgnie?

Pomyślałem, że rzeczywiście ma rację. Co bym począł, gdyby to była niedobra siła, gdyby to było ucieleśnienie zła i gdyby mnie dosięgło?

Zdjąłem obraz ze sztalug, odwróciłem i postawiłem na poprzednim miejscu. Poczuję, że gdy zniknął z pola widzenia, nagle rozwiało się napięcie, które wypełniało pracownię.

Pomyślałem, że może powinienem go starannie zawinąć w papier i wynieść na strych. Tak samo jak Tomohiko Amada ukrył przed ludzkim wzrokiem *Śmierć Komandora*.

– A co myślisz o tamtym obrazie? – zapytałem, wskazując wiszącą na ścianie *Śmierć Komandora*.

– Tamten mi się podoba – odpowiedziała Marie bez wahania. – Kto go namalował?

– Namalował go Tomohiko Amada. Właściciel tego domu.

– Ten obraz się czegoś domaga. Jakby ptaszek próbował się wydostać z ciasnej klatki. Tak wygląda.

Spojrzałem na nią.

– Ptaszek? Jaki to ptaszek?

– Nie wiem, jaki ptaszek i jaka klatka. Nie widzę ich kształtu. Tylko czuję coś takiego. Może ten obraz jest dla mnie trochę za trudny.

– Nie tylko dla ciebie. Dla mnie chyba też jest za trudny. Ale tak jak mówisz, autor czegoś pragnął, powierzył te intensywne myśli obrazowi. Ja też to czuję. Ale ani rusz nie mogę zrozumieć, czego ten obraz się domaga.

– Ktoś kogoś zabija. Targany silnymi emocjami.

– Masz rację. Młody mężczyzna z determinacją przebił mieczem pierś tego drugiego. Ten zabijany jest bardzo zaskoczony, że umiera. Patrzącym zaparło dech.

– A czy istnieje słuszny sposób zabijania?

Zastanowiłem się nad tym.

– Wiesz, że nie wiem. Bo to, co słuszne, a co niesłuszne, zależy od tego, jakie kryteria się wybierze. Na przykład jest na świecie dużo ludzi uważających, że kara śmierci to społecznie słuszny sposób zabijania.

Albo zamach, pomyślałem.

Po pewnym czasie Marie powiedziała:

– Mimo że kogoś tu zabiją i jest dużo krwi, obraz nie przygnębia patrzącego. Próbuje mnie przenieść w jakieś inne miejsce. Takie, w którym są inne kryteria tego, co słuszne, a co niesłuszne.

Tego dnia w końcu nie wziąłem pędzla do ręki. Tylko rozmawiałem z Marie Akikawą w jasnej pracowni na różne niezwiązane ze sobą tematy. Podczas rozmowy zapisywałem w głowie wszystkie zmiany jej wyrazu twarzy i różne gesty. Ten pamięciowy magazyn przerodził się w treść obrazu, który miałem namalować.

– Nic pan dziś nie namalował – powiedziała Marie.

– Są takie dni – odparłem. – Są rzeczy, które czas nam odbiera, i inne, które nam daje. Ważne, żeby uczynić czas swoim sprzymierzeńcem.

Patrzyła mi w oczy bez słowa. Jakby przycisnęła twarz do szyby i zaglądała do wnętrza domu. Myślała o znaczeniu czasu.

Kiedy wybiła dwunasta i rozległ się kurant w miasteczku, przeszliśmy z pracowni do salonu. Shōko Akikawa w okularach w czarnej oprawie siedziała na kanapie pogrążona w lekturze swojej grubej książki. Była tak skupiona, że zdawała się nieomal nie oddychać.

– Jaką książkę pani czyta? – zapytałem, nie mogąc opanować ciekawości.

– Prawdę mówiąc, ciąży na mnie fatum – powiedziała, z uśmiechem wkładając zakładkę i zamykając książkę. – Jeżeli komuś powiem, jaką książkę czytam, nie mogę jej skończyć. Zwykle zdarza się coś nieprzewidzianego i muszę przerwać w środku. To przedziwne, ale naprawdę tak jest. Dlatego postanowiłam nikomu nie zdradzać tytułu książki, którą akurat czytam. Z przyjemnością panu powiem, kiedy skończę.

– Oczywiście, może być wtedy, kiedy pani skończy. Po prostu zainteresowałem

się, bo wydaje się pani bardzo pochłonięta lekturą.

– To bardzo ciekawa książka. Nie można się od niej oderwać. Dlatego postanowiłam ją czytać tylko, kiedy tu przyjeżdżam. Dwie godziny mijają w jednej chwili.

– Ciocia czyta bardzo dużo książek – powiedziała Marie.

– Nie mam poza tym nic do roboty, więc czytanie stało się osią mojego obecnego życia – powiedziała ciotka.

– Nie pracuje pani? – zapytałem.

Zdjęła okulary i masując zmarszczkę między brwiami, odpowiedziała:

– Raz w tygodniu pomagam tylko jako wolontariuszka w miejscowej bibliotece. Przedtem pracowałam na prywatnym uniwersytecie medycznym w Tokio. Byłam sekretarką rektora. Zrezygnowałam z pracy, kiedy się tu przenieśliśmy.

– Przeprowadziła się tu pani po śmierci matki Marie, prawda?

– Wtedy zamierzałam tylko przez pewien czas z nimi pomieszkać. Aż sytuacja się trochę unormuje. Ale kiedy się przeprowadziłam i zamieszkałam z Marie, nie potrafiłam już odejść. Więc ciągle tu jestem. Oczywiście gdyby brat się ożenił, od razu bym wróciła do Tokio.

– Myślę, że ja wyniosłabym się razem z ciocią – powiedziała Marie.

Shōko Akikawa uśmiechnęła się zdawkowo, ale nie skomentowała.

– Może zjedzą panie ze mną obiad? – zapytałem. – Mogę bez problemu przygotować jakąś sałatkę i makaron.

Shōko Akikawa oczywiście się krępowała, ale Marie zdawała się bardzo zainteresowana perspektywą obiadu we troje.

– Dlaczego nie? Przecież jak wrócimy do domu, taty i tak nie będzie.

– To będzie bardzo skromny posiłek. Sos zrobiłem już wcześniej i jest go dużo, a ugotowanie makaronu dla jednej czy dla trzech osób wymaga tyle samo wysiłku – powiedziałem.

– Czy naprawdę możemy zostać na obiad? – upewniała się Shōko Akikawa.

– Oczywiście, że tak. To żaden kłopot. Zawsze jem sam. Codziennie sam zjadam trzy posiłki. Czasami mam ochotę zjeść w czyimś towarzystwie.

Marie spojrzała na ciotkę.

– W takim razie dziękujemy za uprzejme zaproszenie – powiedziała ciotka. – Ale naprawdę nie sprawimy kłopotu?

– Ani odrobiny – powiedziałem. – Proszę się rozgościć.

Przeszliśmy do jadalni. One usiadły przy stole, ja zagotowałem w kuchni wodę, podgrzałem w rondelku sos ze szparagami i bekonem i zrobiłem sałatkę z sałaty, pomidorów, cebuli i papryki. Kiedy woda zawrzała, wrzuciłem makaron i posiekałem pietruszkę. Wyciągnąłem z lodówki herbatę z lodem i nalałem do szklanek. Obie obserwowały, jak krzątam się po kuchni, jakby patrzyły na coś niezwykłego. Shōko Akikawa zapytała, czy może w czymś pomóc. Powiedziałem, że dziękuję, ale nie potrzebuję pomocy i żeby sobie spokojnie siedziały.

– Ma pan w tym dużą wprawę – stwierdziła z podziwem.

– No bo codziennie to robię.

Gotowanie nie sprawiało mi trudności. Od dawna lubiłem czynności manualne. Gotowanie, proste prace stolarskie, naprawianie roweru, pracę w ogrodzie. Moim słabszym punktem było abstrakcyjne matematyczne myślenie. Od szachów, shogi, puzzli, tego typu intelektualnych gier bolała mnie moja nieskomplikowana głowa.

Potem usiedliśmy do obiadu. To było beztroskie popołudnie w pogodną niedzielę. Do tego spożywanie posiłku w towarzystwie Shōko Akikawy okazało się bardzo interesujące. Nie brakowało jej tematów do rozmowy, miała poczucie humoru, była inteligentna i towarzyska. Choć niezwykle dobrze wychowana, nie miała w sobie nic pretensjonalnego. Była kobietą wychowaną w elitarnej rodzinie, wykształconą w drogich szkołach. Marie prawie się nie odzywała. Rozmowę zostawiła ciotce, a sama skupiła się na jedzeniu. Shōko Akikawa poprosiła, żebym jej potem dał przepis na sos.

Kiedy kończyliśmy jeść, wesoło zadźwięczał dzwonek u drzwi. Nietrudno mi było się domyślić, kto dzwoni. Trochę wcześniej wydawało mi się, że słyszę głęboki, dziki warkot jaguara. Ten dźwięk – będący kompletnym przeciwieństwem cichego szumu toyoty prius – dotarł gdzieś do cienkiej warstwy pomiędzy moją świadomością a podświadomością. Dlatego nie byłem zaskoczony, słysząc dzwonek.

– Przepraszam – powiedziałem. Wstałem, odłożyłem serwetkę i poszedłem do drzwi. Nie potrafiłem przewidzieć, co będzie dalej.



Rozdział 34

Właściwie już dawno nie mierzyłem ciśnienia w oponach

Otworzyłem drzwi. Na progu stał Menshiki.

Miał na sobie białą koszulę, na niej wełnianą kamizelkę w elegancki drobny wzór i niebieskoszarą tweedową marynarkę. Do jasnomusztardowych chinosów włożył zamszowe brązowe buty. Jak zawsze wszystko dobrze na nim leżało. Bujne białe włosy lśniły w jesiennym słońcu. Za Menshikim stał srebrny jaguar, obok niego niebieska toyota prius. Kiedy te samochody stały tak jeden przy drugim, wyglądało to, jakby ktoś wyszczerzył w uśmiechu krzywe zęby.

Bez słowa zaprosiłem go do środka. Z powodu wewnętrznego napięcia jego rysy wydawały się stężeć. Skojarzyło mi się to ze świeżo zagipsowaną ścianą. Pierwszy raz widziałem u niego taki wyraz twarzy. Jak dotąd zawsze był chłodny i opanowany, nie okazywał uczuć. Twarz mu się nie zmieniła nawet po godzinie spędzonej w zupełnej ciemności w tym dole. Ale w tej chwili była nieomal biała.

– Czy mogę wejść? Nie przeszkadzam? – zapytał.

– Oczywiście – powiedziałem. – Właśnie jemy, ale już prawie skończyliśmy. Proszę, niech pan wejdzie.

– Ale nie chcę państwu przeszkadzać w posiłku – powiedział i odruchowo spojrział na zegarek. Bez powodu długo wpatrywał się we wskazówki. Zupełnie jakby miał jakieś obiekcje co do tego, jak się poruszają.

– Zaraz kończymy. To tylko niewielki posiłek. Możemy się potem razem napić kawy. Proszę poczekać w salonie. Tam przedstawię pana obu paniom.

Potrząsnął głową.

– Nie, myślę, że jeszcze za wcześnie, żeby mnie pan przedstawiał. Wpadłem, myśląc, że już poszły. Nie przyszedłem tu z zamiarem spotkania się z nimi. Więc kiedy zobaczyłem przed pana domem obcy samochód, nie wiedziałem, co robić...

– Ale świetnie się składa – powiedziałem, przerywając mu. – To wypadnie bardzo naturalnie. Proszę się zdać na mnie.

Menshiki skinął głową i zabrał się do zdejmowania butów, ale zdawało się, że nie wie, jak to zrobić. Poczekalem, aż udało mu się zdjąć jeden, potem drugi, i wprowadziłem go do salonu. Był już u mnie kilka razy, a mimo to rozglądał się, jakby tu był pierwszy raz w życiu.

– Proszę tu poczekać – powiedziałem. Lekko położyłem mu rękę na ramieniu. – Niech pan usiądzie na kanapie i jakoś się zrelaksuje. Myślę, że to nie zajmie więcej niż dziesięć minut.

Zostawiłem go samego, choć trochę się o niego niepokoiłem, i wróciłem do stołu.

– Ma pan gościa? – zapytała zmartwiona Shōko Akikawa.

– Tak, ale to nic nie szkodzi. Wpadł do mnie po prostu zaprzyjaźniony sąsiad. Poprosiłem, żeby poczekał w salonie. To bardzo miły człowiek, więc nie ma problemu. Skończę tymczasem jeść.

I dokończyłem to, co zostało mi na talerzu. Podczas gdy panie sprzątały ze stołu, zrobiłem kawę w ekspresie.

– Może przeniesiemy się do salonu i razem napijemy się kawy? – zaproponowałem Shōko Akikawie.

– Ale czy nie będziemy przeszkadzać, skoro ma pan gościa?

Pokręciłem głową.

– Absolutnie nie. Może los chciał, żeby się państwo u mnie spotkali. Powiedziałem, że to sąsiad, ale mieszka po drugiej stronie doliny, więc pewnie go pani nie zna. Przedstawię go paniom.

– A jak nazywa się pana sąsiad?

– Pan Menshiki. *Men* jak unikanie i *shiki* jak kolor. Unikający kolorów.

– Co za niezwykle nazwisko – powiedziała Shōko Akikawa. – Nigdy wcześniej takiego nie słyszałam. Rzeczywiście ma pan rację. Ludzie mieszkający po przeciwnych stronach doliny rzadko się spotykają, mimo że to blisko.

Postawiliśmy na tacy cztery kawy, cukier i śmietankę i zanieśliśmy do salonu. Po wejściu do pokoju, o dziwo, nigdzie nie dostrzegłem Menshikiego. Pokój był pusty. Na tarasie też go nie było. Nie poszedł chyba do łazienki.

– Gdzie on się podział? – powiedziałem sam do siebie.

– Tutaj był? – zapytała Shōko Akikawa.

– Jeszcze przed chwilą.

Poszedłem do drzwi wejściowych. Zniknęły jego zamszowe buty. Włożyłem klapki i otworzyłem drzwi. Srebrny jaguar ciągle stał tam, gdzie przedtem. Czyli nie wrócił do domu. Szyby samochodu lśniły oślepiająco w słońcu, więc nie mogłem dostrzec, czy ktoś w nim siedzi. Podszedłem bliżej. Menshiki siedział za kierownicą i rozglądał się po samochodzie, jakby czegoś szukał. Lekko zastukałem w okno. Otworzył i spojrzał na mnie zakłopotany.

– Co się stało? – zapytałem.

– Chciałem zmierzyć ciśnienie w oponach, ale nie mogę znaleźć ciśnieniomierza. Zawsze trzymam go tu w schowku.

– Czy musi pan to robić akurat w tej chwili?

– Nie, niekoniecznie. Ale kiedy czekałem w salonie, nagle zaczęło mnie martwić ciśnienie. Właściwie już dawno nie mierzyłem ciśnienia w oponach.

– Ale zauważył pan, że coś jest nie tak z oponami?

– Nie, nic nie jest nie tak z oponami. Wszystko jest zupełnie normalnie.

– No to może odłoży pan mierzenie ciśnienia na później i wróci ze mną do salonu? Zaparzyłem kawę. Panie czekają.

– Czekają? – zapytał głucho. – Na mnie czekają?

– Tak, bo powiedziałem, że im pana przedstawię.

– A to dopiero kłopot.

– Dlaczego?

– Bo nie jestem jeszcze gotowy na poznanie pań. Nie jestem gotowy psychicznie.

Miał przerażone i zdezorientowane spojrzenie człowieka, któremu powiedziano, że musi wyskoczyć z okna szesnastego piętra płonącego budynku na strażacki koc ratowniczy, który z tej wysokości wyglądał jak podstawka do piwa.

– Lepiej, żeby pan przyszedł – powiedziałem zdecydowanie. – No, chodźmy, to bardzo prosta sprawa.

Menshiki skinął bez słowa głową, wysiadł z samochodu i zatrzasnął drzwi. Zamierzał je zamknąć, ale przypomniał sobie, że nie ma takiej potrzeby (bo nikogo tu na górze nie było), i wsunął kluczyki do kieszeni spodni.

Poszliśmy do salonu. Shōko i Marie Akikawa siedziały na kanapie i czekały na nas. Gdy weszliśmy, grzecznie wstały. Przetawiałem im krótko Menshikiego, jak

gdyby nigdy nic – normalna sytuacja towarzyska.

– Pan Menshiki pozował mi do obrazu. Namalowałem jego portret i od tego czasu się znamy. Przypadkiem okazało się, że mieszka niedaleko.

– Podobno mieszka pan na górze po drugiej stronie doliny – powiedziała Shōko Akikawa.

Kiedy rozmowa zeszła na jego dom, Menshiki od razu zbladł jak ściana.

– Tak, mieszkam tam od kilku lat. Ile to już lat? Zaraz... chyba trzy. A może cztery.

Spojrzał na mnie pytająco, ale ja się nie odezwałem.

– Czy stąd widać pana dom? – zapytała Shōko Akikawa.

– Owszem, widać – powiedział Menshiki. A potem szybko dodał: – Ale to żaden wspaniały dom. I bardzo niewygodnie położony blisko szczytu.

– Jeśli chodzi o niedogodność, to samo jest z naszym domem – odparła Shōko Akikawa z miłym uśmiechem. – Nawet zakupy okazują się wielkim przedsięwzięciem. Komórki nie mają zasięgu, sygnał radiowy nie bardzo dochodzi. A poza tym, kiedy napada śniegu i robi się ślisko, boję się wyjeżdżać samochodem, ponieważ zbrocze jest bardzo strome. Co prawda na szczęście tylko raz, pięć lat temu, było mnóstwo śniegu.

– Owszem, bo w tej okolicy śnieg prawie nie pada – powiedział Menshiki. – Dzięki ciepłym wiatrom od morza. Morze ma wielki wpływ. To znaczy...

– No w każdym razie bardzo dobrze, że zimą nie ma tu dużo śniegu – przerwałem. Dostrzegłem, że Menshiki czuje się jak w potrzasku i jeśli mu nie przerwę, zacznie dokładnie wyjaśniać działanie ciepłych prądów na Pacyfiku.

Marie Akikawa patrzyła na zmianę to na ciotkę, to na Menshikiego. Wyglądało na to, że jeszcze nie wyrobiła sobie o nim zdania. Menshiki nawet na nią nie spojrzał, patrzył za to ciągle na jej ciotkę, jakby jej twarz niezwykle go oczarowała.

Zwróciłem się do niego.

– Prawdę mówiąc, właśnie maluję portret Marie. Poprosiłem, żeby mi pozowała.

– I ja ją tu przywożę co tydzień w niedzielę rano – powiedziała Shōko Akikawa.

– W prostej linii to bardzo blisko, ale drogi są tak wytyczone, że muszę jechać naokoło.

Menshiki w końcu spojrzał na Marie. Wzrok miał rozbiegany, jego oczy poruszały się nerwowo jak niespokojne zimowe muchy, szukały jakiegoś miejsca wokół jej twarzy, na którym mogłyby się zatrzymać, ale bezskutecznie.

Chciałem mu rzucić linę ratunkową, więc przyniosłem szkicownik i pokazałem swoje szkice.

– To są rysunki, które do tej pory zrobiłem. Jestem dopiero na etapie pierwszych szkiców, nie zacząłem jeszcze malować obrazu.

Menshiki długo pożerał wzrokiem rysunki. Jakby patrzenie na nie miało dla niego o wiele większe znaczenie niż patrzenie na prawdziwą Marie. No ale oczywiście nie mogło tak być. Po prostu nie mógł się zdobyć na to, żeby jej się przyjrzeć. Rysunki były jedynie substytutami. Pierwszy raz był tak blisko prawdziwej Marie, że nie mógł opanować emocji. Dziewczynka przyglądała się nieuchwytnym zmianom na jego twarzy, jakby obserwowała jakieś niezwykle zwierzę.

– Wspaniałe – powiedział. Potem zwrócił się do Shōko Akikawy: – Na wszystkich jest jak żywa. Świetnie uchwycona.

– Tak, ja też tak uważam – przytaknęła ciotka z uśmiechem.

– Ale Marie jest bardzo trudną modelką – zwróciłem się do Menshikiego. – Niełatwo będzie ją namalować. Wyraz jej twarzy bez przerwy się zmienia, uchwycenie tego, co jest ukryte wewnątrz, zajmie mi dużo czasu. Dlatego jeszcze nie udało mi się zabrać do malowania.

– Jest trudną modelką? – zapytał Menshiki. Spojrzał na Marie, mrużąc oczy, jakby go coś raziło.

– Na każdym z tych trzech rysunków ma inny wyraz twarzy. A niewielka zmiana wyrazu twarzy sprawia, że całkowicie zmienia się wrażenie. Żeby ją namalować, trzeba uchwycić nie te powierzchowne zmiany, a coś, co jest wewnątrz. Jeżeli to się nie uda, obraz pokaże jedynie jeden aspekt jej osobowości.

– Aha – powiedział Menshiki, jakby był pod wrażeniem tych słów.

Kilka razy spojrzał na rysunki i na twarz Marie, porównując je ze sobą. Kiedy to robił, jego poblądłe policzki stopniowo czerwieniały. Początkowo małe punkciki czerwieni urosły do rozmiaru piłeczek pingpongowych, potem piłek baseballowych, aż kolor rozszedł się po całej twarzy. Marie przyglądała się tym zmianom z wielkim zainteresowaniem. Shōko Akikawa nie chciała być niegrzeczna, więc taktownie odwracała wzrok. Podniosłem dzbanek i dolałem sobie kawy.

– Zamierzam od przyszłego tygodnia już na dobre zabrać się do obrazu. To znaczy chodzi mi o malowanie farbami na płótnie – powiedziałem, chcąc wypełnić milczenie. Nie zwracałem się do żadnej konkretnej osoby.

– Ma pan już gotową koncepcję? – zapytała ciotka.

Potrząsnąłem głową.

– Nie, jeszcze nie mam koncepcji. Dopóki nie stoję przed rzeczywistym płótnem z rzeczywistym pędzlem w dłoni, nic konkretnego nie przychodzi mi do głowy.

– Namalował pan portret pana Menshikiego, prawda? – zapytała Shōko Akikawa.

– Tak, w zeszłym miesiącu.

– To wspaniały portret – powiedział Menshiki z naciskiem. – Farba musi przez pewien czas schnąć, więc jeszcze go nie oparowałem, ale wisi na ścianie w moim gabinecie. Może „portret” to nie jest jednak właściwe określenie. Bo jestem na nim namalowany ja, ale nie ja. Nie potrafię tego dobrze ująć, lecz ten obraz ma głębię. Patrzenie na niego nigdy nie nuży.

– Jest na nim pan, ale nie pan? – zapytała Shōko Akikawa.

– Chodzi mi o to, że to nie jest tak zwany „wizerunek”, a obraz pokazujący coś, co jest w moim wnętrzu.

– Chciałabym go zobaczyć – powiedziała Marie. Były to pierwsze słowa, które wypowiedziała po przejściu do salonu.

– Marie, to nie wypada. Przecież obraz jest u pana w domu...

– To mi w najmniejszym stopniu nie przeszkadza – przerwał ciotce Menshiki, jakby obcinał koniec jej zdania ostrym toporkiem. Wszystkich (łącznie z samym Menshikim) zatkało, gdy usłyszeli jego ostry ton.

Po krótkiej chwili mówił dalej:

– Przecież mieszkają panie w pobliżu. Proszę koniecznie wpaść zobaczyć obraz. Mieszkam sam, więc proszę się nie krępować. Z przyjemnością panie u siebie powitam, kiedy tylko będzie to paniom odpowiadało.

Gdy to powiedział, jego twarz jeszcze bardziej poczerwieniała. Pewnie dosłyszał w swoich słowach ton nacisku.

– Lubisz obrazy? – zwrócił się tym razem do Marie. Mówił znowu normalnym tonem.

Marie w milczeniu skinęła lekko głową.

– Jeżeli to paniom odpowiada, w przyszłą niedzielę przyjadę tu mniej więcej o tej porze. Może pojedziemy stąd do mnie i obejrzą sobie panie obraz?

– Nie chcemy panu sprawiać takiego kłopotu... – powiedziała Shōko Akikawa.

– Ale ja chcę zobaczyć ten obraz – oznajmiła tym razem Marie tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Ustalono, że w następną niedzielę po południu Menshiki przyjedzie do mnie po sesji pozwania i zabierze panie do siebie. Mnie też zaprosił, ale uprzejmie odmówiłem, mówiąc, że mam tego dnia coś do załatwienia. Nie chciałem się więcej mieszać w tę sprawę. Resztę mogłem zostawić zainteresowanym. Bez względu na to, do czego dojdzie, chciałem pozostać osobą z zewnątrz. Choć na początku nie miałem takiego zamiaru, w końcu byłem pośrednikiem między nimi.

Wyszliśmy z Menshikim z domu, by odprowadzić do samochodu piękną ciotkę z bratanicą. Shōko Akikawa przez chwilę przyglądała się z zainteresowaniem srebrnemu jaguarowi Menshikiego stojącemu obok jej priusa. Patrzyła wzrokiem miłośnika psów przyglądającego się obcemu pieskowi.

– To najnowszy jaguar, prawda? – zwróciła się do Menshikiego.

– Owszem. W tej chwili to jest najnowszy coupé. Lubi pani samochody? – zapytał Menshiki.

– Nie, nie o to chodzi. Mój zmarły ojciec dawno temu jeździł jaguarem sedanem. Często mnie woził, czasem nawet pozwalał prowadzić. Więc kiedy widzę tę figurkę na masce, ogarnia mnie tęsknota. Chyba to był XJ6. Miał cztery okrągłe reflektory. Sześciocylindrowy silnik R6, 4,2 litra.

– S3, prawda? Tak, to bardzo piękny model.

– Tamten samochód bardzo przypadł ojcu do gustu i długo nim jeździł. Irytowało go, że dużo pali i ciągle wymaga drobnych napraw, a i tak go lubił.

– Tamten model palił szczególnie dużo. I szwankowała instalacja elektryczna. Jaguary często mają kiepską instalację elektryczną. Ale kiedy się nie psują i nie przejmuje się człowiek kosztem paliwa, to w sumie wspaniałe samochody. To, jak się człowiek w nich czuje, jak się je prowadzi – tego nie da się z niczym porównać. Oczywiście przytłaczająca większość ludzi przejmuje się awariami i kosztem paliwa, to dlatego właśnie toyoty prius sprzedają się błyskawicznie.

– Brat kupił ten samochód do mojego wyłącznego użytku – powiedziała Shōko Akikawa, wskazując priusa i jakby się usprawiedliwiając. – Mówił, że łatwo się go prowadzi, jest bezpieczny i przyjazny środowisku.

– Prius to świetny samochód – stwierdził Menshiki. – Prawdę mówiąc, ja też się poważnie zastanawiałem nad kupnem takiego samochodu.

Ciekawe, czy to prawda, pomyślałem i w duchu z powątpiewaniem pokręciłem głową. Bo nie bardzo potrafiłem sobie wyobrazić Menshikiego w priusie. Tak samo jak nie umiałem sobie wyobrazić lamparta zamawiającego w restauracji sałatkę nicejską.

Shōko Akikawa zajrzała do wnętrza jaguara.

– Przepraszam, że zwracam się z taką dziwną prośbą, ale czy mogłabym na chwilę wsiąść do pana samochodu? Chciałabym tylko usiąść za kierownicą.

– Oczywiście – zgodził się Menshiki. A potem lekko odchrząknął, jakby coś mu przeszkadzało w mówieniu. – Proszę siedzieć tak długo, jak pani ma ochotę. Jeżeli pani sobie życzy, może się pani przejechać.

Zaskoczyło mnie, że okazała takie zainteresowanie samochodem Menshikiego. Była spokojna, lubiła porządek, nie wyglądała na osobę pasjonującą się motoryzacją. Lecz wsiadła do jaguara z błyszczącymi z podniecenia oczami, umościła się na kremowym skórzanym siedzeniu, dokładnie przyjrzała się desce rozdzielczej i położyła dłonie na kierownicy. Potem przesunęła rękę na dźwignię zmiany biegów. Menshiki wyciągnął kluczyki z kieszeni spodni i podał jej.

– Proszę włączyć silnik.

Shōko Akikawa w milczeniu wzięła kluczyki, włożyła do stacyjki i przekręciła w prawo. Drapieżny dziki kot przebudził się w jednej chwili. Zachwycona wsłuchiwała się chwilę w głęboki pomruk silnika.

– Pamiętam ten odgłos – powiedziała.

– To silnik 4,2 litra, V8. XJ6, którym jeździł pani ojciec, miał sześć cylindrów, więc i liczba zaworów i stopień sprężania są różne, ale dźwięk może być podobny. I dawniej, i dziś pod względem obfitego i bezrefleksyjnego zużycia paliw kopalnych to ciągle bardzo grzeszna maszyna.

Shōko Akikawa włączyła prawy kierunkowskaz. Rozległo się charakterystyczne wesołe pstrykanie.

– Strasznie się stęskniłam za tym dźwiękiem.

Menshiki się uśmiechnął.

– Taki dźwięk wydają tylko jaguary. Różni się od dźwięku kierunkowskazów we wszystkich innych samochodach.

– Kiedy byłem młoda, ćwiczyłam po kryjomu na XJ6 i zrobiłam prawo jazdy – powiedziała. – Hamulec ręczny jest trochę nietypowy, więc gdy wsiadłam do innego samochodu, najpierw byłem trochę zdezorientowana. Nie wiedziałam, co

robić.

– Dobrze panią rozumiem – przytaknął Menshiki z uśmiechem. – Anglicy poświęcają dużo uwagi dziwnym rzeczom.

– Ale ten samochód pachnie trochę inaczej niż samochód ojca.

– Niestety pewnie tak. Z różnych powodów materiały, których używają do wyposażenia wnętrza, nie mogą być takie same jak kiedyś. Szczególnie od czasu, kiedy w dwa tysiące drugim roku firma Connolly przestała dostarczać skórzane wyposażenie, bardzo zmienił się zapach we wnętrzu samochodu. Bo firma Connolly już nie istnieje.

– Szkoda! Bardzo lubiłam ten zapach. Jakby zlał się ze wspomnieniami o ojcu.

Menshiki powiedział z pewnym trudem:

– Prawdę mówiąc, mam jeszcze jednego jaguara, starego. Możliwe, że tamten pachnie jak samochód pani ojca.

– Ma pan XJ6?

– Nie, E-type.

– E-type to ten kabriolet?

– Owszem. To roadstar S-1. Wyprodukowany w połowie lat sześćdziesiątych, ale jeszcze jeździ jak trzeba. On też ma sześciocyndrowy silnik R6 4,2 litra. Oryginalny, dwuosobowy. Zmieniłem mu jednak naciągany dach, więc, prawdę mówiąc, nie jest już całkiem oryginalny.

Zupełnie nie znałem się na samochodach, toteż nie wiedziałem, o czym mówią, ale zdawało mi się, że ta informacja w jakiś sposób zachwyciła Shōko Akikawę. Wyjaśniło się, że oboje mają wspólne – chyba dość rzadkie – hobby: jaguary.

Zrobiło mi się lżej na duszy. Nie musiałem już wymyślać tematów do rozmowy, choć dopiero się poznali. Marie samochody obchodziły chyba jeszcze mniej niż mnie, więc słuchała znudzona.

Shōko Akikawa wysiadła z jaguara, zamknęła drzwi i oddała kluczyki Menshikiemu. Schował je do kieszeni spodni. Marie z ciotką wsiadły do priusa. Menshiki zamknął drzwi za Marie. Znów zaskoczyło mnie, jak różnie może zabrzmieć odgłos zamykanych drzwi jaguara i priusa. Kiedy Charlie Mingus szarpał mocno pustą strunę kontrabas, brzmiało to zupełnie inaczej, niż kiedy robił to Ray Brown.

– A więc do przyszłej niedzieli – powiedział Menshiki.

Shōko Akikawa uśmiechnęła się do niego i odjechała. Kiedy zniknęła nam

z oczu przysadzista sylwetka toyoty prius, wróciliśmy z Menshikim do domu. Napiliśmy się w salonie zimnej kawy. Przez pewien czas milczeliśmy. Menshiki wyglądał, jakby zupełnie opadł z sił. Jak biegacz, który dotarł do mety po morderczym wyścigu na długim dystansie.

– To piękna dziewczyna, prawda? – powiedziałem po chwili. – Mówię o Marie Akikawie.

– Tak, kiedy dorośnie, będzie pewnie jeszcze ładniejsza – zgodził się Menshiki. Ale wyglądało na to, że myśli o czymś innym.

– Jak pan się czuł, widząc ją z bliska? – zapytałem.

Menshiki uśmiechnął się z przymusem.

– Prawdę mówiąc, nie mogłem jej się dobrze przyjrzeć, bo byłem za bardzo spięty.

– Ale trochę pan na nią chyba popatrzył.

Menshiki przytaknął.

– Tak, oczywiście.

Znów przez chwilę milczał, a potem nagle podniósł głowę i spojrzał na mnie poważnym wzrokiem.

– A pan jak uważa?

– Jak uważam na jaki temat?

Menshiki znów lekko się zaczerwienił.

– No, czy w jej rysach jest jakieś podobieństwo do moich? Jest pan malarzem i od dawna specjalizuje się pan w portretach, więc chyba dostrzega pan takie rzeczy?

Pokręciłem głową.

– Rzeczywiście nauczyłem się szybko wychwytywać charakterystyczne rysy twarzy. Ale nie potrafię rozpoznać rodzinnego podobieństwa. Są na świecie rodzice i dzieci w ogóle do siebie niepodobni i ludzie kompletnie obcy, którzy wyglądają jak bliźniacy.

Menshiki głęboko westchnął. To westchnienie brzmiało, jakby wycisnął je z całego ciała. Potarł dłonie.

– Nie proszę pana o fachową ocenę. Pytam tylko o pana o s o b i s t e wrażenie. To może być bardzo drobna rzecz, ale jeśli coś pan dostrzegł, proszę mi powiedzieć.

Zastanowiłem się nad tym przez chwilę. Potem powiedziałem:

– Gdyby wziąć pod uwagę poszczególne rysy, nie ma większego podobieństwa. Ale czułem, że w oczach jest coś, co państwa łączy. Kilka razy odniosłem takie wrażenie.

Menshiki patrzył na mnie z zaciśniętymi ustami.

– Chodzi o to, że nasze oczy są podobne?

– To, że emocje bezpośrednio malują się w oczach, jest być może państwa wspólną cechą. Na przykład ciekawość, entuzjazm, zdziwienie albo wątpliwości, niechęć. Takie różnorodne emocje ukazują się w oczach. Mimo że nie mają państwo bogatej mimiki, oczy działają jak okna duszy. W odróżnieniu od większości ludzi. Wiele osób ma bogatą mimikę, a oczy niezbyt wyraziste.

Menshiki wyglądał na zaskoczonego.

– Moje oczy też takie są?

Skinąłem głową.

– Nigdy sobie tego nie uświadamiałem.

– Pewnie nie da się nad tym zapanować, choćby człowiek chciał. Albo kiedy świadomie stara się zapanować nad wyrazem twarzy, emocje jeszcze wyraźniej ukazują się w oczach. Można je odczytać, tylko jeśli się kogoś uważnie obserwuje. Normalny człowiek pewnie tego nie zauważy.

– Ale pan widzi?

– Bo uchwycenie wyrazu twarzy to mój zawód.

Menshiki rozmyślał nad tym przez pewien czas. Potem powiedział:

– Mamy taką wspólną cechę, ale nawet pan nie potrafi powiedzieć, czy jesteśmy naprawdę spokrewnieni?

– Patrę na ludzi jako malarz. Zachowuję w pamięci różne wrażenia. Ale wrażenia malarza i obiektywne fakty to nie to samo. Wrażenia niczego nie dowodzą. Są jak lekkie motyle unoszone wiatrem, prawie nie mają praktycznego zastosowania. A jak było w pana przypadku? Czy na jej widok nie poczuł pan niczego szczególnego?

Pokręcił kilka razy głową.

– W czasie jednego krótkiego spotkania nie mogłem się zorientować. Potrzebuję więcej czasu. Muszę przywyknąć do jej obecności...

Potem jeszcze raz powoli pokręcił głową. Wsadził ręce do kieszeni marynarki,

jakby czegoś tam szukał, i znowu wyjął. Zdawało się, że zapomniał, czego szukał. Potem mówił dalej:

– Nie, to nie kwestia tego, ile razy ją zobaczę. Im częściej będę ją widywał, tym większy pewnie będę miał zamęt w głowie i nie dojdę do żadnych wniosków. Może p r z y p a d k i e m jest moją córką, a może nią nie jest. Ale to mi nie robi różnicy. Kiedy stoję przed nią, samo myślenie o tej możliwości, samo wyobrażanie sobie, że mógłbym dotknąć jej palców, powoduje, że krew prędzej krąży mi w żyłach i dociera do najdalszych zakątków ciała. Może do tej pory naprawdę nie rozumiałem, co to znaczy żyć.

Milczałem. Nie miałem nic do powiedzenia na temat doznań Menshikiego czy definicji życia. Menshiki spojrział na bardzo kosztownie wyglądający płaski zegarek i niezdarnie podniósł się z kanapy.

– Muszę panu podziękować. Gdyby mnie pan nie popchnął, sam bym pewnie nie dał rady.

Więcej nic nie powiedział, ruszył niepewnie do drzwi, nieśpiesznie wsunął buty, zawiązał na nowo sznurowadła i wyszedł. Stojąc przy wejściu, patrzyłem, jak wsiada do samochodu i odjeżdża. Kiedy jaguar zniknął, wokoło znowu zapanował spokój niedzielnego popołudnia.

Na zegarze było trochę po drugiej. Czuję się wykończony. Wyjąłem z szafy stary koc, owinąłem się nim, położyłem na kanapie i trochę się przespałem. Obudziłem się po trzeciej. Promienie słońca wpadające do pokoju nieco się przesunęły. Co za dziwny dzień. Nie potrafiłem ocenić, czy idę naprzód, w tył, czy może krążę w miejscu. Miałem wrażenie, że zachwiało mi się poczucie kierunku. Shōko Akikawa, Marie i Menshiki. Każde z nich miało szczególną potężną magnetyczną siłę. Byłem w środku, otoczony przez nich. Żadna z tych sił na mnie nie działała.

Choć byłem wykończony, niedziela jeszcze nie dobiegła końca. Dopiero minęła trzecia. I słońce jeszcze nie zaszło. Zostało mnóstwo czasu, zanim niedziela przejdzie do przeszłości i nastanie nowy dzień. Ale nie miałem ochoty nic robić. Nawet po drzemce głęboko w głowie pozostała mi jakaś niewyraźna masa. Jakby w głębi małej szuflady biurka tkwił stary kłębek wełny. Ktoś go tam na siłę wepchnął. Przez to szuflada nie do końca się zamykała. Pewnie w taki dzień ja też powinienem zmierzyć ciśnienie w oponach. Kiedy nie ma się ochoty nic robić, człowiek powinien zrobić przynajmniej tyle.

Właściwie nigdy w życiu sam tego nie robiłem. Czasami na stacji benzynowej

mówili mi: „Zdaje się, że ma pan za małe ciśnienie w oponach. Lepiej zmierzyć”, a ja wtedy prosiłem, żeby to oni zmierzyli. Oczywiście nie miałem też ciśnieniomierza. Nie wiedziałem nawet, jak wygląda. Skoro mieści się w schowku, nie może być bardzo duży. I pewnie nie jest taki drogi, że go trzeba kupować na raty. Może przy okazji na próbę kupię.

Kiedy się ściemniło, poszedłem do kuchni i popijając piwo z puszki, zrobiłem kolację. Upiekłem w piekarniku seriolę marynowaną w roztworze kamienia winnego powstałego podczas fermentacji sake, pokroiłem piklowane warzywa, zrobiłem ogórki z wodorostami z octem, do tego zupę miso z rzodkwią i smażonym tofu. Potem sam w milczeniu zabrałem się do jedzenia. Nie miałem do kogo zagadać i nie przychodziły mi do głowy żadne słowa. Kiedy kończyłem ten prosty samotny posiłek, rozległ się dzwonek do drzwi. Najwyraźniej ludzie postanowili dzwonić do drzwi, kiedy właśnie kończyłem jeść.

Dzień się jeszcze nie skończył, pomyślałem. Miałem przeczucie, że to będzie długa niedziela. Wstałem od stołu i powoli ruszyłem do drzwi.



Rozdział 35

Trzeba było zostawić to miejsce w spokoju

Ruszyłem wolnym krokiem do drzwi wejściowych. Nie miałem pojęcia, kto może do nich dzwonić. Gdyby przed domem zatrzymał się jakiś samochód, powinienem był go usłyszeć. Jadalnia mieściła się nieco w głębi domu, ale w taki cichy wieczór usłyszałbym silnik i odgłos opon. Nawet toyoty prius. Jednak nie zarejestrowałem żadnych dźwięków.

Poza tym nikt nie byłby na tyle stuknięty, żeby po zachodzie słońca wspinać się tu z dołu piechotą tą krętą i długą drogą. Była słabo oświetlona, a przez to ciemna i opustoszała. Dom stał samotnie na szczycie góry, nie było więc też blisko żadnych sąsiadów.

Pomyślałem, że może to Komandor. Ale to nie mógł być on. Mógł przecież wchodzić sobie do tego domu, jak chciał i kiedy chciał, więc nie musiał dzwonić.

Nie sprawdzając, kto to, odsunąłem zasuwę i otworzyłem drzwi. Na progu stała Marie. Była tak samo ubrana jak przedtem, ale teraz na bluzę narzuciła granatową puchową kurtkę. Po zachodzie słońca zrobiło się zimno. Na głowie miała czapkę baseballową Cleveland Indians (dlaczego drużyny z Cleveland?), a w prawej dłoni trzymała dużą latarkę.

– Mogę wejść? – zapytała. Ani „Dobry wieczór”, ani „Przepraszam, że przychodzę bez uprzedzenia”.

– Oczywiście, proszę – powiedziałem tylko.

Szufladka w mojej głowie jeszcze ciągle się nie domykała. Nadal w głębi tkwił kłębek włóczki.

– Właśnie jem. Mogę skończyć?

W milczeniu skinęła głową. Zdjęła puchową kurtkę, czapkę i poprawiła włosy. Nastawiłem wodę w czajniku. Nasypałem do czajniczka zielonej herbaty. I tak sam

miałem zamiar się napić.

Marie z łokciami opartymi na stole przyglądała się, jak jem seriolę z sake, ryż i zupę. Zdawało się, że patrzy na coś niezwykłego. Zupełnie jakby podczas spaceru po dżungli przysiadła na pobliskim kamieniu i przyglądała się, jak wielki pyton połyka małego borsuczka...

– Sam przyrządziłem seriolę marynowaną w sake – wyjaśniłem, chcąc przerwać przedłużające się milczenie. – Bo można ją długo przechowywać.

Nie zareagowała. Nie byłem nawet pewien, czy usłyszała, co mówię.

– Immanuel Kant prowadził wyjątkowo uregulowane życie. Mieszkańcy miasta ustawiali zegarki, widząc, jak wychodzi na spacer zawsze o tej samej porze – powiedziałem na próbę.

Oczywiście treść tej wypowiedzi nie miała znaczenia. Chciałem tylko zobaczyć, jak zareaguje na słowa bez znaczenia. Czy naprawdę do niej docierały? Ale w ogóle nie zareagowała. Milczenie jeszcze się pogłębiło. Immanuel Kant regularnie dzień za dniem przechadzał się w milczeniu po ulicach Królewca. Jego ostatnie słowa brzmiały: *Es ist gut*. Są i takie żywoty.

Skończyłem jeść, zaniósłem naczynia do zlewu. Potem zaparzyłem herbaty. Przyniosłem czajniczek wraz z dwiema czarkami do stołu. Marie siedziała, przyglądając się nieruchomo moim kolejnym czynnościom. Uważnym wzrokiem historyka badającego szczegółowe przypisy w jakimś źródle.

– Nie przyjechałaś tu samochodem, prawda? – zapytałem.

– Przyszłam piechotą – odezwała się w końcu.

– Od siebie z domu aż tu przyszłaś sama piechotą?

– Uhm.

Czekałem na dalszy ciąg. Ona też się nie odzywała. Siedzieliśmy po dwóch stronach stołu, a między nami rozciągało się milczenie. Ale ja też potrafiłem długo milczeć. Przecież w końcu mieszkałem od pewnego czasu samotnie na szczycie góry.

– Jest sekretny korytarz – odezwała się po chwili Marie. – Samochodem jedzie się naokoło i dosyć długo, ale tamtędy jest bardzo blisko.

– Dużo spacerowałem po tej okolicy, a nigdy nie zauważyłem takiego korytarza.

– Bo nie wiedział pan, jak szukać – powiedziała krótko dziewczyna. – Jak się normalnie idzie i normalnie patrzy, to się tego korytarza nie znajdzie. Jest dobrze ukryty.

– Ty go ukryłaś?

Skinęła głową.

– Mieszkam tu prawie od urodzenia, tu się wychowałam. Od dzieciństwa bawię się w tych górach. Znam każdy zakątek.

– I ten korytarz jest dobrze ukryty.

Jeszcze raz szybko przytaknęła.

– I tamtędy przyszałaś?

– Uhm.

Westchnąłem.

– Jadłaś kolację?

– Dopiero co skończyłam.

– Co zjadłaś?

– Ciocia niezbyt dobrze gotuje – powiedziała dziewczyna. Nie była to odpowiedź na moje pytanie, ale nie drażyłem tematu. Może nie chciała sobie przypominać, co zjadła.

– A twoja ciocia wie, że sama się tu wybrałaś?

Marie nie odpowiedziała. Lekko zacisnęła usta. Więc postanowiłem sam sobie odpowiedzieć.

– Oczywiście, że nie wie. Normalna dorosła osoba nie pozwoliłaby trzynastolatce włóczyć się w ciemnościach po górach. Prawda?

Znowu przez chwilę trwało milczenie.

– Nie wie też o sekretnym korytarzu.

Marie pokręciła głową. Znaczyło to, że ciotka nie wie o korytarzu.

– Nikt prócz ciebie o nim nie wie.

Marie pokiwała głową.

– Mniejsza o to – powiedziałem. – Biorąc pod uwagę, gdzie się znajduje twój dom, po wyjściu z sekretnego korytarza musiałaś też przejść przez las, w którym jest stara kapliczka, prawda?

Marie skinęła głową.

– Dobrze ją znam. Wiem też, że niedawno jakąś wielką maszyną przesunął pan z tyłu za kapliczką kopiec kamieni.

– Przyglądałaś się temu?

Potrząsnęła głową.

– Nie patrzyłam, kiedy był rozkopywany. Tego dnia byłam w szkole. Widziałam tylko potem na ziemi ślady gąsienic tej maszyny. Po co pan to zrobił?

– Z powodu różnych okoliczności.

– Jakich okoliczności?

– Jeśli miałbym ci od początku wszystko tłumaczyć, zrobiłaby się z tego długa historia – powiedziałem. I nic nie wyjaśniłem. W miarę możliwości wolałem jej nie mówić, że Menshiki był w to zamieszany.

– To nie powinno być tak rozkopywane – stwierdziła nagle Marie.

– Dlaczego tak sądzisz?

Wzruszyła ramionami.

– Trzeba było zostawić to miejsce w spokoju. Wszyscy dotąd tak robili.

– Wszyscy dotąd tak robili?

– Od dawna nikt tam nic nie ruszał.

Pomyślałem, że rzeczywiście dziewczyna może mieć rację. Może nie powinienem był ruszać tego miejsca. Może dotąd w s z y s c y tak robili. Ale teraz już za późno na żale. Kamienie z kopca zostały przesunięte, dół odsłonięty, a Komandor uwolniony.

– Czy przypadkiem nie ty odsunęłaś pokrywę, którą dół był zasłonięty? – zapytałem. – Zajrzałaś do środka, potem znowu ją nasunęłaś i obciążyłaś kamieniami jak na początku. Czy się mylę?

Marie podniosła głowę i spojrzała mi prosto w oczy, jakby pytając, skąd wiem.

– Kamienie trochę inaczej leżały. Od dawna mam dobrą pamięć wzrokową. Więc od razu zauważam takie drobne różnice.

– Coś takiego! – powiedziała z podziwem.

– Ale po odkryciu dołu zobaczyłaś, że jest pusty. Nic w nim nie było prócz ciemności i wilgotnego powietrza. Prawda?

– Była drabina.

– Nie zeszłaś na dół, prawda?

Marie zdecydowanie pokręciła głową. Jakby mówiła, że oczywiście tego nie zrobiła.

– No i? – zapytałem. – Przyszłaś tu dziś tak późno w jakiejś sprawie? Czy też jest to czysto towarzyska wizyta?

– Towarzyska wizyta?

– Akurat byłeś w pobliżu i pomyślałaś, że wpadniesz na trochę?

Zastanawiała się nad tym przez chwilę. Potem lekko potrząsnęła głową.

– Nie jest t o w a r z y s k a .

– To jakiego rodzaju jest to wizyta? – zapytałem. – Oczywiście miło mi, że do mnie wpadłaś, ale jeśli twoja ciocia albo ojciec się o tym dowiedzą, mogą to źle zrozumieć.

– Jak źle zrozumieć?

– Na świecie są różne rodzaje nieporozumień – powiedziałem. – Niektóre znacznie przekraczają ramy naszej wyobraźni. Może dojść do tego, że cofną mi pozwolenie na malowanie twojego portretu. To byłoby dla mnie bardzo kłopotliwe. Dla ciebie też mogłoby być kłopotliwe.

– Ciocia się nie dowie – powiedziała Marie zdecydowanie. – Po kolacji idę do swojego pokoju, a ciocia już później do mnie nie przychodzi. Tak się jakoś utarło. Dlatego nikt nie wie, że wyslizguję się po cichu przez okno. Nigdy się to nie wydało.

– Od dawna chodzisz nocami po górach?

Marie skinęła głową.

– Nie boisz się być sama w górach po ciemku?

– Są dużo groźniejsze rzeczy.

– Na przykład?

Marie jakby lekko wzruszyła ramionami, ale nie odpowiedziała.

– No mniejsza o ciocię. A co robi ojciec?

– Jeszcze nie wrócił.

– Nawet w niedzielę?

Marie nie odpowiedziała, jakby nie chciała mówić o ojcu.

– W każdym razie nie musi się pan martwić. Bo nikt nie wie, że sama wychodzę. A nawet gdyby się dowiedzieli, absolutnie nic o panu nie powiem – zapewniła mnie.

– No to nie będę się martwił. Ale dlaczego dziś specjalnie do mnie przyszłaś?

– Bo mam panu coś do powiedzenia.

– Cóż takiego?

Marie podniosła czarękę, wypila łyk gorącej zielonej herbaty i bystro rozejrzała się dookoła. Jakby sprawdzała, czy nikt nas nie słucha. Naturalnie nikogo innego nie było. Oczywiście z wyjątkiem Komandora, który mógł wrócić i gdzieś podsłuchiwać. Ja też się rozejrzałem, ale nigdzie go nie dostrzegłem. Chociaż jeżeli nie przybrał formy, nikt go nie mógł dostrzec.

– Chodzi o tego pana przyjaciela, który tu przyszedł w południe – powiedziała. – Tego z pięknymi białymi włosami. Jak on się nazywał? Miał trochę dziwne nazwisko.

– Pan Menshiki.

– Tak, pan Menshiki.

– Nie jest moim przyjacielem. Niedawno go poznałem.

– Nieważne – powiedziała Marie.

– No i co w związku z panem Menshikim?

Spojrzała na mnie spod zmrużonych powiek. A potem powiedziała, lekko ścisząc głos:

– Myślę, że ten człowiek coś ukrywa.

– Na przykład co?

– Tego to ja nie wiem. Ale to chyba nieprawda, że dziś przypadkiem do pana wstąpił. Wydaje mi się, że miał jakiś konkretny powód, żeby przyjść.

– Ale co to mogło być? Jaki powód? – zapytałem, czując się niepewnie pod jej byстрыm wzrokiem.

Patrząc mi prosto w oczy, powiedziała:

– Tego nie wiem. Pan też nie wie?

– Nie, nic mi nie przychodzi do głowy – skłamałem, modląc się, żeby nie przejrzała mnie na wylot. Nigdy nie umiałem kłamać. Kiedy zmyślałem, od razu można to było poznać po mojej twarzy. Ale przecież nie mogłem jej wyznaczyć prawdy.

– Naprawdę?

– Naprawdę. W ogóle się nie spodziewałem, że dzisiaj wpadnie.

Marie chyba mi uwierzyła. Rzeczywiście nie mówił, że dzisiaj wpadnie, i jego wizyta była dla mnie zaskoczeniem. Nie kłamałem.

– Ma przedziwne oczy – powiedziała Marie.

– W jakim sensie przedziwne?

– Wyglądają, jakby zawsze krył się w nich jakiś plan. Ma oczy wilka z *Czerwonego Kapturka*. Nawet jak przebrał się za babcię i położył w jej łóżku, po oczach dało się poznać, że to wilk.

Wilk z *Czerwonego Kapturka*?

– Czyli wyczułaś w panu Menshikim coś negatywnego?

– Negatywnego?

– Coś nieprzyjemnego, co może być krzywdzące?

– Coś negatywnego – powiedziała.

Zdawało się, że schowała to słowo do szufladki pamięci. Jak wcześniej „grom z jasnego nieba”.

– Niekoniecznie – stwierdziła. – Nie uważam, że ma złe intencje. Ale myślę, że pan Menshiki o pięknych białych włosach coś ukrywa.

– Wyczuwasz to?

Skinęła głową.

– Dlatego przyszedłam do pana, chciałam się upewnić. Myślałam, że może pan coś o nim wie.

– Czy twoja ciocia też wyczuwa coś podobnego? – odpowiedziałem pytaniem na jej pytanie.

Marie lekko przechyliła głowę.

– Nie, ciocia tak nie myśli. Bo ona raczej nie ma negatywnych odczuć w stosunku do innych ludzi. Poza tym pan Menshiki ją zainteresował. Trochę się różnią wiekiem, ale jest przystojny, dobrze ubrany, chyba bardzo bogaty i mieszka sam...

– Spodobał jej się?

– Myślę, że tak. Bardzo przyjemnie jej się chyba z nim rozmawiało. Wyglądała na bardzo wesołą i mówiła trochę głośniejszym głosem niż zwykle. Zachowywała się nie jak ciocia. Myślę, że pan Menshiki też musiał wyczuć tę różnicę.

Nic nie powiedziałem, dolałem nam tylko herbaty i napiłem się.

Marie przez chwilę rozmyślała.

– Ale skąd pan Menshiki wiedział, że my tu dziś będziemy? Pan mu powiedział?

Dobierałem słowa uważnie, starając się nie skłamać.

– Myślę, że pan Menshiki nie zamierzał się dzisiaj tu spotkać z twoją ciocią. Bo kiedy się dowiedział, że u mnie jesteście, chciał wracać do domu, tylko ja go na siłę

zatrzymałem. Myślę, że a k u r a t do mnie wpadł, ona a k u r a t tu była, a kiedy ją zobaczył, to się nią zainteresował. Bo to czarująca kobieta.

Marie nie wyglądała na zupełnie przekonaną, ale nie drążyła dalej tej kwestii. Siedziała tylko z łokciami opartymi na stole i sceptyczną miną.

– No ale w każdym razie w przyszłym tygodniu macie go odwiedzić – przypomniałem.

Marie przytaknęła.

– Tak, ma nam pokazać namalowany przez pana portret. I ciocia chyba bardzo się na to cieszy. Z tego, że w niedzielę pójdziemy do pana Menshikiego.

– Cioci też potrzebne są przyjemności. Mieszka na takim pustkowiu w górach i, nie tak jak w mieście, nie ma tu zbyt wielu okazji, żeby kogoś poznać.

Marie siedziała przez chwilę z zaciśniętymi ustami. A potem powiedziała, jakby coś wyznawała:

– Ciocia miała ukochanego. Jakiegoś mężczyznę, z którym się długo spotykała. Pracowała wtedy jako sekretarka, to było przed przyjazdem tutaj. Ale z różnych powodów to się w końcu rozpadło i ciocię to głęboko zraniło. I też z tego powodu zamieszkała z nami po śmierci mamy. Oczywiście nie od niej samej to słyszałam.

– Ale teraz nie spotyka się z żadnym mężczyzną?

Marie potwierdziła.

– Myślę, że teraz z nikim się nie spotyka.

– A ciebie trochę martwi, że ciocia nieco zainteresowała się panem Menshikim jako kobieta? I dlatego przyszłaś się mnie poradzić? O to chodzi?

– Czy myśli pan, że pan Menshiki chce ciocię uwieść?

– Uwieść?

– Że nie ma poważnych zamiarów.

– Tego to ja nie wiem – powiedziałem. – Za dobrze go nie znam. A poza tym przecież dopiero dziś po południu się poznali i na razie do niczego konkretnego nie doszło. Takie sprawy to kwestia dwóch serc, więc mogą się różnie potoczyć w zależności od tego, jak sytuacja się rozwinie. Bywa, że nawet lekkie drgnienie serca okazuje się ważne, ale bywa też na odwrót.

– Ale ja mam coś w rodzaju przecucia – powiedziała zdecydowanie.

Nie miałem ku temu żadnych podstaw, lecz zdawało mi się, że mogę zaufać temu „czemuś w rodzaju przecucia”. Ja także miałem „coś w rodzaju przecucia”.

– Ty się martwisz, że coś się stanie i twoja ciocia znowu może zostać głęboko psychicznie zraniona.

Marie krótko skinęła głową.

– Ciocia nie jest z natury zbyt ostrożna i nie przywykła do tego, żeby ją raniono.

– To brzmi, jakbyś to ty była opiekunką cioci – stwierdziłem.

– W pewnym sensie – odparła Marie z poważną miną.

– A jak jest z tobą? Przywykłaś do tego, że ludzie cię ranią?

– Nie wiem – powiedziała. – Ale przynajmniej się nie zakochuję.

– Kiedyś się zakochasz.

– Ale jeszcze nie teraz. Najpierw muszą mi piersi trochę urosnąć.

– Myślę, że to tak długo nie potrwa.

Marie lekko zmarszczyła brwi. Pewnie mi nie wierzyła.

Wtedy nagle poczułem, że rodzi się we mnie niewielka wątpliwość. Czy Menshiki nie próbuje zapewnić sobie dostępu do Marie, zbliżając się do Shōko Akikawy?

Powiedział mi przecież o Marie: „W czasie jednego krótkiego spotkania nie mogłem się zorientować. Potrzebuję więcej czasu”.

Shōko Akikawa mogła się stać ważnym pośrednikiem, który umożliwi mu dalsze spotkania z Marie. Bo to ona była opiekunką dziewczynki. Dlatego Menshiki musiał najpierw – w mniejszym lub większym stopniu – zdobyć kontrolę nad ciotką. Dla mężczyzny takiego jak on nie stanowiłoby to pewnie specjalnie trudnego zadania. Choć nie twierdzę, że byłoby dziecinnie proste. Ale i tak wolałem nie myśleć, że taki jest jego ukryty cel. Może było tak, jak mówił Komandor – Menshiki zawsze musiał mieć jakiś ukryty plan. Jednak mnie nie wydawał się aż tak przebiegły.

– Dom pana Menshikiego wygląda imponująco – powiedziałem. – Jest bardzo interesujący, tak czy inaczej, warto go zobaczyć.

– Pan był u niego w domu?

– Tylko raz. Zaprosił mnie na kolację.

– Jest po drugiej stronie doliny?

– Niemal dokładnie naprzeciwko mojego.

– Widać go stąd?

Przez chwilę udawałem, że się zastanawiam.

– Tak, chociaż z daleka.

– Chciałabym zobaczyć.

Zaprowadziłem ją na taras. Pokazałem dom Menshikiego na szczycie góry po drugiej stronie doliny. W lekkim świetle lamp ogrodowych biały budynek wyglądał jak elegancki statek pasażerski sunący po nocnym morzu. W kilku oknach jeszcze paliły się światła. Wszystkie słabe, jakby się krępowwały.

– To ten duży biały dom? – zapytała zaskoczona Marie. Potem przez chwilę uważnie mi się przyglądała. Następnie bez słowa znów zwróciła wzrok na widoczną w oddali willę. – Widać go też od nas. Choć pod trochę innym kątem niż stąd. Od dawna mnie ciekawiło, kto może mieszkać w takim domu.

– No tak, bo rzuca się w oczy – powiedziałem. – To właśnie dom pana Menshikiego.

Marie wychyliła się oparta o balustradę i długo przyglądała się willi. Nad jej dachem mrugało kilka gwiazd. Nie było wiatru, drobne zbite chmury tkwiły na niebie w tych samych miejscach. Wyglądały jak przybite gwoździami do płyty pilśniowej w teatralnej scenografii. Kiedy dziewczyna czasami poruszała głową, proste czarne włosy lśniły w świetle księżyca.

– Pan Menshiki naprawdę sam mieszka w tym domu? – zapytała, odwracając się do mnie.

– Tak, sam. Mieszka sam w tym wielkim domu.

– Nie jest żonaty?

– Mówił, że nigdy się nie ożenił.

– A czym się zajmuje?

– Nie bardzo wiem. Mówił, że przemysłem informacyjnym w szerokim znaczeniu. Może coś z IT. Ale podobno w tej chwili nie ma żadnej konkretnej pracy. Żyje z pieniędzy uzyskanych ze sprzedaży własnej firmy i dywidend z akcji. Nic dokładniej nie wiem.

– Czyli nie pracuje? – zapytała Marie, marszcząc brwi.

– Tak mówił. Podobno prawie nie wychodzi z domu.

Może przypadkiem patrzył teraz przez tę swoją silną lornetkę na nas dwoje obserwujących jego dom? Co by pomyślał, widząc nas stojących tak w nocy na tarasie?

– Chyba lepiej, żebyś już wróciła do domu – powiedziałem. – Zrobiło się późno.

– Mniejsza o pana Menshikiego – zaczęła cicho, jakby się z czegoś zwierzała. – Ja się bardzo cieszę, że pan maluje mój portret. Chciałam to panu koniecznie powiedzieć. Bardzo się cieszę, że zobaczę, jaki to będzie obraz.

– Mam nadzieję, że dobrze mi wyjdzie.

Jej słowa mnie mocno poruszyły. W kwestii obrazów potrafiła być zadziwiająco szczerą i otwartą.

Odprowadziłem ją do drzwi. Nałożyła swoją dopasowaną puchową kurtkę i nasunęła głęboko czapkę baseballową drużyny Indians. Wyglądała w tym stroju jak drobny chłopiec.

– Może kawalek cię odprowadzę? – zapytałem.

– Nie ma sprawy. Znam drogę.

– No to do przyszłej niedzieli.

Ale nie wyszła od razu, tylko stała przez chwilę z ręką na futrynie.

– Jedna rzecz mi nie daje spokoju – powiedziała. – Chodzi mi o dzwonki.

– O dzwonki?

– Kiedy tu szłam, wydawało mi się, że słyszę dzwonki. Pewnie taki sam dźwięk, jak dźwięk tych dzwonek z pana pracowni.

Na chwilę mnie zatkało. Marie patrzyła na mnie nieruchomo.

– Gdzie słyszałaś? – zapytałem.

– W tym lesie. Za kapliczką.

Wyteńczyłem w ciemności słuch, ale nie usłyszałem dzwonek. Nie słyszałem żadnego dźwięku. Wokół panowała tylko nocna cisza.

– Nie bałaś się? – zapytałem.

Marie potrząsnęła głową.

– Jeżeli się człowiek trzyma od tego z daleka, to nie ma się czego bać.

– Poczekaj tu chwilę – powiedziałem. Poszedłem szybkim krokiem do pracowni. Dzwonek nie było na półce, choć wcześniej tam leżały. Gdzieś zniknęły.



Rozdział 36

W ogóle nie rozmawiać o regułach meczu

Po odejściu Marie znów poszedłem do pracowni, zapaliłem wszystkie światła i zajrzałem w każdy kąt, lecz nigdzie nie znalazłem starych dzwonków. Gdzieś zniknęły.

Kiedy ja je ostatnio widziałem? W zeszłą niedzielę, kiedy Marie pierwszy raz do mnie przysłała, podniosła je z półki i potrząsnęła. Potem odłożyła na półkę. Dobrze to pamiętałem. Czy potem widziałem dzwonki? Nie mogłem sobie przypomnieć. Przez ten tydzień prawie nie byłem w pracowni. Nie brałem do ręki pędzla. Zacząłem malować *Mężczyznę z białego subaru forestera*, ale nie mogłem go skończyć, a nie zacząłem jeszcze portretu Marie. Trafiłem na ścianę, nie byłem w stanie nic namalować.

I nie wiadomo kiedy zniknęły dzwonki.

Kiedy Marie szła tu przez las, usłyszała ich dźwięk dochodzący zza starej kapliczki. Czy to znaczy, że ktoś zaniósł je z powrotem do kamiennego dołu? Czy powinienem teraz tam pójść i sprawdzić, czy rzeczywiście dobiega stamtąd dzwonięcie?

Ale jakoś nie mogłem się zdobyć, żeby w nocy iść samemu do lasu. Tego dnia zaszło kilka nieoczekiwanych wydarzeń i byłem trochę zmęczony. Nic mnie to nie obchodziło – na dziś odpracowałem swoją porcję „niespodziewanych zdarzeń”.

Poszedłem do kuchni, wyciągnąłem z zamrażalnika lód, włożyłem kilka kostek do szklanki i nalałem sobie whisky. Było dopiero pół do dziewiątej. Czy Marie bezpiecznie wróciła przez las i korytarz? Prawdopodobnie tak. Nie musiałem się niepokoić. Jak sama mówiła, zna te okolice od podszewki, bo od dzieciństwa się tu bawi. Poza tym to dziecko było silniejsze, niż na to wyglądało.

Nie śpiesząc się, wypłem dwie szklaneczki whisky, zjadłem kilka krakersów, umyłem zęby i poszedłem spać. W środku nocy mógł mnie znowu obudzić dźwięk

dzwonek. Około drugiej nad ranem, tak jak przedtem. Nie ma rady. Co będzie, to będzie. Ale w końcu nic się nie zdarzyło. Chyba się nie zdarzyło. Spałem głęboko i ani razu się nie obudziłem aż do pół do siódmej następnego ranka.

Gdy się ocknąłem, za oknem padał deszcz. Zimny deszcz zapowiadający nieuchronne nadejście zimy. Cichy i uparty. Padał bardzo podobnie jak tego dnia w marcu, kiedy żona powiedziała, że chce ode mnie odejść. Kiedy o tym mówiła, prawie cały czas patrzyłem na padający za oknem deszcz.

Po śniadaniu narzuciłem pelerynę, włożyłem kapelusz przeciwdeszczowy (jedno i drugie kupiłem w czasie wycieczki na północ w sklepie sportowym w Hakodate) i ruszyłem do lasu. Nie wziąłem parasola. Poszedłem za kapliczkę i odsunąłem połowę desek zakrywających kamienny dół. Zajrzałem do środka, starannie oświetlając go latarką, ale był zupełnie pusty. Nie było w nim ani dzwonek, ani Komandora. Postanowiłem jednak na wszelki wypadek zejść po drabinie na dół. Pierwszy raz tam schodziłem. Metalowa drabina ugięła się pod moim ciężarem i niepokojąco skrzypiała. W końcu nic nie znalazłem. Dół był zupełnie pusty. Miał regularny okrągły przekrój i sprawiał wrażenie studni, tylko średnica była nieco zbyt duża jak na studnię. Do czerpania wody nie trzeba byłoby kopać aż tak dużego otworu. Kamienne ściany też ułożono jak na studnię zbyt starannie i zbyt precyzyjnie. Facet z firmy ogrodniczej miał rację.

Stałem tam długo w zamyśleniu. Nad głową miałem półkolisty otwór, więc nie czułem się bardzo klaustrofobicznie. Zgasłem latarkę, oparłem się o kamienną, wilgotną ścianę i przymknąłem oczy, wsłuchując się w nieregularny odgłos deszczu w górze. Sam nie bardzo wiedziałem, nad czym rozmyślałem, ale w każdym razie o czymś myślałem. Jedna myśl łączyła się z inną, a ta wiązała się z jeszcze inną. Ale miałem jakieś przedziwne wrażenie – sam nie wiedziałem jakie. Jak by je tu określić? Jakbym został całkowicie pochłonięty czynnością myślenia.

Żyłem i poruszałem się z jakąś myślą, dół też myślał, żył i się poruszał. Oddychał, poszerzał się i kurczył. Takie miałem wrażenie. Moje myśli i myśli dołu w ciemności splatały ze sobą korzenie, wymieniały się żywicą. Ego i Inny mieszały się ze sobą jak rozpuszczone farby i granica między nimi coraz bardziej się zacierała.

Wkrótce doznałem uczucia, że otaczające mnie ściany zaczynają się zbliżać. Serce waliło mi głucho, kurcząc się i rozkurczając. Zdawało mi się wręcz, że słyszę głos otwierających się i zamykających zastawek. Miałem wywołujące zimny dreszcz uczucie, że zbliżyłem się do świata śmierci. Nie robił wcale

nieprzyjemnego wrażenia, ale jeszcze nie powinienem tam iść.

Nagle wróciła mi świadomość i odciąłem się od tych niezależnie błędzących myśli. Znowu zapaliłem latarkę i oświetliłem dół. Drabina dalej stała oparta o ścianę. Nad głową ciągle było widać niebo. Widząc je, odetchnąłem z ulgą. Pomyślałem, że nie zdziwiłbym się, gdyby nie było nieba, a drabina zniknęła. Tu wszystko mogło się zdarzyć.

Ostrożnie wszedłem po drabinie, kurczowo trzymając się kolejnych szczebli. Zaczęłem normalnie oddychać, dopiero kiedy dotarłem na powierzchnię i dotknąłem obiema stopami wilgotnej ziemi. Gwałtowne bicie serca też powoli się uspokajało. Jeszcze raz zajrzałem do dołu. Oświetliłem całą latarką. Znowu stał się zwykłym dołem. Nie żył, nie myślał, ściany nie zbliżały się ku środkowi. Zimny listopadowy deszcz cicho zraszał jego dno.

Zakryłem otwór deskami i obciążylem kamieniami. Ułożyłem je starannie jak na początku, żeby móc się od razu zorientować, jeżeli ktoś je przesunie. Poprawiłem kapelusz przeciwdeszczowy i wróciłem drogą, którą przyszedłem.

Gdzie właściwie przepadł Komandor? Zastanawiałem się nad tym, idąc przez las. Nie widziałem go już ze dwa tygodnie. O dziwo, przez to, że się nie pokazywał, czułem się dość samotny. Nie wiadomo kiedy ten niewielki Komandor z małym mieczykiem u pasa stał mi się nieomal bliski, choć właściwie nie wiedziałem, czym był, bardzo dziwnie się wyrażał i bez pozwolenia obserwował mnie podczas seksu. Miałem nadzieję, że nic złego go nie spotkało.

Po powrocie do domu skierowałem się do pracowni, usiadłem na starym drewnianym taborecie (siadywał na nim prawdopodobnie Tomohiko Amada, gdy tu pracował) i długo wpatrywałem się w wiszącą na ścianie *Śmierć Komandora*. Kiedy nie wiedziałem, co robić, przyglądałem się w nieskończoność temu obrazowi. Patrzenie na niego nigdy mnie nie nużyło. Powinien być jednym ze skarbów kolekcji jakiegoś muzeum. A tymczasem wisiał na skromnej ścianie niewielkiej pracowni i tylko ja miałem do niego dostęp. Przedtem zaś ukryty przed ludzkim wzrokiem stał na strychu.

„Ten obraz czegoś się domaga – powiedziała Marie. – Jakby ptaszek próbował się wydostać z ciasnej klatki”.

Im dłużej patrzyłem na obraz, tym bardziej mi się zdawało, że trafiła w sedno. Miała rację. Rzeczywiście wyglądało to tak, jakby coś się w nim szarpało, próbując się wydostać z zamknięcia. Pożądało wolności i przestrzeni. Prawdopodobnie zawarta w nim silna wola dawała obrazowi siłę. Choć nie wiedziałem, co konkretnie symbolizują ptak czy klatka.

Strasznie chciałem tego dnia coś namalować. To uczucie stopniowo się nasilało. Zupełnie jak przypływ, nieustępliwie nadchodzący wieczorem. Ale nie miałem ochoty zabrać się do malowania portretu Marie. Na to było jeszcze za wcześnie. Poczekam do następnej niedzieli. Nie miałem też ochoty ponownie stawiać na sztalugach *Mężczyzny z białego subaru forestera*. Jak zauważyła Marie, kryła się w nim jakaś uśpiona niebezpieczna siła.

Na sztalugach stało przygotowane nowe płótno, gdyż zamierzałem wcześniej zacząć malować Marie. Było średnio gładkie. Usiadłem przed nim na taborecie i długo wpatrywałem się w pustkę. Co właściwie mam namalować? Po krótkim zastanowieniu uświadomiłem sobie w końcu, co właściwe pragnę przenieść na płótno.

Odszedłem od sztalug i wziąłem duży szkicownik. Usiadłem po turecku na podłodze, oparłem się o ścianę i zacząłem ołówkiem rysować kamienny dół. Posłużyłem się ołówkiem HB, a nie jak zwykle 2B. Rysowałem ten przedziwny leśny dół, który wyłonił się spod sterty kamieni. Ożywiałem w pamięci widzianą przed chwilą scenę i jak najdokładniej ją szkicowałem. Rysowałem te zadziwiająco precyzyjnie ułożone kamienne ściany, ziemię wokół dołu, mokre opadłe liście, które do niej przywarły, tworząc piękne wzory, gęstą kępę wysokich traw wcześniej go kryjących, która teraz leżała rozjechana gąsienicami koparki.

Podczas rysowania ponownie ogarnęło mnie dziwne uczucie, że stanowią jedność z leśnym dołem. Niewątpliwie domagał się, żeby go narysować. Żeby go narysować dokładnie i precyzyjnie. A ja musiałem odpowiedzieć na to żądanie i prawie nieświadomie poruszałem ręką trzymającą ołówek. Odczuwałem w tym czasie niczym niezmaconą czystą radość tworzenia. Straciłem poczucie czasu, aż nagle zorientowałem się, że pokryłem całą kartkę czarnymi liniami.

Poszedłem do kuchni, wypiliśmy kilka szklanek wody, podgrzałem kawę, nalałem do kubka i wróciłem z nim do pracowni. Postawiłem otwarty szkicownik na sztalugach, usiadłem na taborecie i z pewnej odległości przyjrzałem się szkicowi. Widniał na nim wiernie i realistycznie oddany okrągły leśny dół, jak żywy. Naprawdę wyglądał, jakby żył. A raczej wydawał się b a r d z i e j żywy od tego prawdziwego. Wstałem z taboretu, podszedłem bliżej, potem spojrzałem pod innym kątem. Zorientowałem się, że rysunek przywodzi na myśl kobiece genitalia. Rozjechane gąsienicą trawy wyglądały zupełnie jak włosy łonowe.

Potrząsnąłem głową z gorzkim uśmiechem. Klasyczna freudowska interpretacja, śliczna jak z obrazka. Przecież to jak komentarz jakiegoś zadufanego w sobie krytyka. „Wydaje się, że ten czarny dół w ziemi, żywo kojarzący się z samotną

waginę, jest symbolem wspomnień i pragnień twórcy, które wyłoniły się z jego podświadomości”. Dno.

Ale nie mogłem się opędnąć od myśli, że ten przedziwny okrągły leśny dół jakoś łączy się z waginą. Dlatego kiedy nieco później odezwał się telefon, poznałem po dźwięku, że to pewnie moja zamężna dziewczyna.

Rzeczywiście to ona dzwoniła.

– Słuchaj, nieoczekiwanie mam teraz czas. Mogę do ciebie wpaść?

Spojrzałem na zegar.

– Możesz. Zjedźmy razem lunch.

– To kupię coś, co będzie łatwo przyrządzić.

– Świetnie. Od rana pracuję, więc nic nie przygotowałem.

Rozłączyła się. Poszedłem do sypialni, porządnie pościłem łóżko, zebrałem rozrzucone na podłodze ubrania, poskładałem i schowałem do szuflady w komodzie. Zmyłem i pochowałem naczynia po śniadaniu.

Poszedłem do salonu, jak zawsze nastawiłem płytę z *Kawalerem z różą* (pod dyрекcją Georga Soltiego) i czytając na kanapie książkę, czekałem na nią. Nagle zastanowiłem się, jaką książkę mogła czytać Shōko Akikawa. Jakiego rodzaju lektura mogła ją tak wciągnąć?

Moja zamężna dziewczyna przyjechała piętnaście po dwunastej. Jej czerwony mini zatrzymał się przed domem, a ona wysiadła z papierową torbą ze sklepu spożywczego. Deszcz ciągle bezgłośnie padał, ale szła bez parasolki. Miała na sobie żółty plastikowy płaszcz przeciwdeszczowy, na głowie kaptur, szła szybkim krokiem. Otworzyłem drzwi, wziąłem od niej torbę i zaniósłem do kuchni. Kiedy zdjęła płaszcz, ukazał się spod niego żółtozielony golf. Pod swetrem ładnie rysowały się piersi. Nie były tak duże jak piersi Shōko Akikawy, ale całkiem spore.

– Pracujesz od rana?

– Uhm – powiedziałem. – Ale to nie jest praca na zamówienie. Sam nabrałem ochoty na malowanie i rysowałem sobie na luzie, co mi przyszło do głowy.

– Dla zabicia czasu[1].

– Coś w tym rodzaju.

– Głodny jesteś?

– Nie bardzo.

– To dobrze – powiedziała. – To może później zjemy?

– Dobrze, oczywiście – odparłem.

– Dlaczego jesteś dziś taki nienasycony? – zapytała nieco później.

– Ciekawe dlaczego – powiedziałem.

Może dlatego, że od rana w zapamiętaniu rysowałem dziwny dół o prawie dwumetrowej średnicy. Kiedy go rysowałem, zaczął mi przypominać kobiece genitalia, a to stało się niezłym bodźcem dla pożądania płciowego... ale nie mogłem jej przecież czegoś takiego powiedzieć.

– Dawno cię nie widziałem i myślę, że pewnie dlatego silnie cię pragnąłem – ująłem to łagodnie.

– Cieszę się, że tak mówisz – powiedziała, głaszcząc moją pierś czubkami palców. – Ale nie myślisz sobie czasem, że prawdę mówiąc, wolałbyś spać z młodszą dziewczyną?

– Nie myślę.

– Naprawdę nie?

– Nigdy o tym nie myślałem – powiedziałem.

Naprawdę tak było. Seks z nią po prostu sprawiał mi radość, nie przyszło mi nawet do głowy, żeby szukać kogoś innego (oczywiście z Yuzu było to zupełnie coś innego).

Jednak postanowiłem na razie nie mówić jej, że maluję portret Marie. Mogłaby być zazdrosna, gdyby dowiedziała się, że pozuje mi piękna trzynastolatka. W przypadku każdej kobiety wiek potencjalnej rywalki mógł budzić zastrzeżenia. I czterdzieści jeden, i trzynaście traktowały jako „wiek budzący zastrzeżenia”. Była to jedna z rzeczy, których nauczyłem się w swoich dotychczasowych skromnych doświadczeniach z kobietami.

– Nie uważasz, że stosunki damsko-męskie to przedziwna rzecz? – zapytała.

– W jakim sensie przedziwna?

– Na przykład my się tak spotykamy. Od tak niedawna się znamy, a rozbieramy się do naga i śpimy ze sobą. Bezbronni i bezwstydni. Nie uważasz, że jak się zastanowić, to jest przedziwne?

– Może i przedziwne – zgodziłem się spokojnie.

– Wyobraź sobie, że to jest gra. Nawet jeśli nie dosłownie gra, to pewien rodzaj gry. Jeśli sobie nie wyobrazisz, nie zrozumiesz, o co mi chodzi.

– Wyobraziłem sobie.

– I w grze potrzebne są reguły, prawda?

– Sądzę, że tak.

– I w piłce nożnej, i w baseballu są grube regulaminy pełne reguł, wyszczególniono w nich różne przepisy, a sędziowie i zawodnicy muszą je znać. Bez tego nie będzie meczu. Prawda?

– Zgadza się.

Zrobiła krótką przerwę. Czekwała, aż ten obraz na stałe zagości w moich myślach.

– Mnie chodzi o to, czy my kiedyś porządnie omówiliśmy zasady tej gry? Zrobiliśmy to?

Po chwili zastanowienia odparłem:

– Myślę, że nie.

– Ale faktem jest, że gramy w tę grę zgodnie z jakimś teoretycznym regulaminem. Prawda?

– Może i masz rację.

– Myślę, że może jest tak: ja gram zgodnie z regułami, które znam. A ty grasz zgodnie z regułami, które ty znasz. I instynktownie szanujemy nawzajem swoje reguły. Tak długo, jak nasze reguły nie są ze sobą sprzeczne i nie powstanie kłopotliwe zamieszanie, gra toczy się bez przeszkód. Nie sądzisz?

Zastanowiłem się nad tym przez chwilę.

– Może i tak. Zasadniczo szanujemy nawzajem swoje reguły.

– Ale jednocześnie wydaje mi się, że może to nie jest kwestia szacunku czy zaufania, a raczej dobrych manier.

– Kwestia dobrych manier? – powtórzyłem.

– Dobre maniery są ważne – powiedziała.

– Rzeczywiście, może tak być – przyznałem.

– Ale gdyby to – to zaufanie, szacunek czy maniery – przestało dobrze funkcjonować, nasze wzajemne reguły stałyby się sprzeczne i gra przestałaby się gładko toczyć, musielibyśmy przerwać mecz i na nowo ustalić wspólne reguły. Albo zakończyć go i zejść z boiska. I rozumie się samo przez się, że to, które rozwiązanie należy wybrać, stałoby się ważnym problemem.

Właśnie do tego doszło w moim małżeństwie, pomyślałem. Przerwałem mecz i cicho zszedłem z boiska. W niedzielne marcowe popołudnie, kiedy padał zimny

deszcz.

– Więc chcesz, żebyśmy porozmawiali o regułach?

– Nie, nic nie rozumiesz. W ogóle nie chcę rozmawiać o regułach meczu. Właśnie dlatego potrafię się tak przed tobą obnażyć. Nie masz nic przeciwko temu?

– Nie mam.

– Przede wszystkim zaufanie i szacunek. A szczególnie dobre maniery.

– A szczególnie dobre maniery – powtórzyłem.

Wyciągnęła rękę i ścisnęła pewną część mojego ciała.

– Znowu jest sztywny – wyszeptała mi do ucha.

– Może dlatego, że dziś poniedziałek – powiedziałem.

– Dni tygodnia mają z tym jakiś związek?

– Może dlatego, że od rana pada deszcz. Może dlatego, że idzie zima. Może dlatego, że zaczęły się pokazywać ptaki przelotne. Może dlatego, że jest urodzaj grzybów. Może dlatego, że w szklance została jeszcze jedna szesnasta wody. Może dlatego, że podniecił mnie kształt twoich piersi pod żółtozielonym swetrem.

Na te słowa zachichotała. Zdawało się, że moja odpowiedź przypadła jej do gustu.

Późnym popołudniem zadzwonił Menshiki. Chciał mi podziękować za niedzielę.

Powiedziałem, że nie ma mi za co dziękować, bo nie zrobiłem nic wielkiego. Po prostu przedstawiłem go ciotce i jej bratanicy. Nie dotyczyło mnie, jak sprawy się dalej potoczą, i w tym sensie byłem kimś z zewnątrz. A raczej chciałem kimś takim pozostać (choć przeczuałem, że tak łatwo mi się to nie uda).

– Prawdę mówiąc, dzwonię dzisiaj w związku z panem Tomohikiem Amadą – powiedział Menshiki, gdy zakończyła się wstępna wymiana uprzejmości. – Zdobyłem trochę nowych informacji.

Czyli dalej prowadził swoje dochodzenie. Nie wiedziałem, kto w rzeczywistości zbierał te informacje, ale tak skrupulatne śledztwo musiało go niemało kosztować. Menshiki nigdy nie szczędził pieniędzy na to, co uważał za przydatne. Lecz nie miałem pojęcia, do czego mu była potrzebna wiedza o wiedeńskich latach Tomohika Amady i na ile była mu potrzebna.

– To może nie mieć bezpośredniego związku z pobytem pana Amady w Wiedniu – powiedział Menshiki. – Ale czasowo się na ten pobyt nakłada

i prawdopodobnie miało duże znaczenie w jego prywatnym życiu. Więc pomyślałem, że lepiej panu o tym powiedzieć.

– Czasowo się nakłada?

– Jak wcześniej panu mówiłem, pan Amada na początku roku trzydziestego dziewiątego wyjechał z Wiednia i wrócił do Japonii. Oficjalnie była to przymusowa repatriacja, ale w rzeczywistości został „uratowany” z rąk gestapo. Japoński MSZ dogadał się po cichu z niemieckim i doszli do wniosku, że Tomohiko Amada nie zostanie oskarżony, tylko wydalony z kraju. Nieudana próba zamachu miała miejsce w roku trzydziestym ósmym, ale zapowiadała ją seria innych ważnych wydarzeń. Anschluss i noc kryształowa. Anschluss miał miejsce w marcu, a noc kryształowa w listopadzie. Dzięki tym dwóm wydarzeniom brutalne zamiary Adolfa Hitlera stały się oczywiste. Austria też została wciągnięta w ten mechanizm przemocy. Tak głęboko, że nie mogła się już wyplątać. Narodził się podziemny ruch oporu starający się jakoś zatrzymać tę falę, w jego centrum byli studenci. W tym właśnie roku Tomohiko Amada był zamieszany w nieudaną próbę zamachu i został aresztowany. Rozumie pan okoliczności, w jakich do tego doszło, prawda?

– Myślę, że z grubsza rozumiem – powiedziałem.

– Lubi pan historię?

– Nie mam wielkiej wiedzy, ale lubię czytać książki historyczne.

– Jeśli spojrzeć na historię Japonii, w tym okresie dochodzi do kilku ważnych wydarzeń. **F a t a l n y c h** wydarzeń, prowadzących do katastrofy, nieodwracalnych. Wie pan, o czym mówię?

Odkurzyłem wiedzę historyczną ukrytą od dawna w zakamarkach pamięci. Co się stało w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym, w trzynastym roku panowania cesarza Hirohito? W Europie pobrzmiwały echa hiszpańskiej wojny domowej. Niemiecki Legion Condor też zbombardował doszczętnie Guernicę bodajże właśnie w trzydziestym ósmym. A w Japonii...?

– Czy to wtedy miał miejsce incydent na moście Marco Polo? – zapytałem.

– To było rok wcześniej – odparł Menshiki. – Do incydentu na moście Marco Polo, po którym na dobre wybuchła wojna chińsko-japońska, doszło siódmego lipca tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego. I w grudniu tego roku doszło do ważnego wydarzenia, które było jej skutkiem.

Co się zdarzyło w grudniu tego roku? – zastanawiałem się.

– Zdobycie Nankinu – powiedziałem.

– Owszem. Tak zwana masakra nankińska. Po gwałtownych walkach armia

japońska rozpoczęła okupację Nankinu i tam dokonała masowego mordów. Niektórych mordów dokonano w ogniu walki, ale inne miały miejsce już po zakończeniu walk. Armia japońska nie mogła sobie pozwolić na branie jeńców, więc większość pokonanych żołnierzy i ludność cywilną wymordowano. Historycy nie są zgodni co do dokładnej liczby ofiar tej masakry, ale trudno zaprzeczyć faktowi historycznemu, że ogromna liczba mieszkańców miasta została wymordowana. Niektórzy twierdzą, że zginęło czterysta tysięcy Chińczyków, inni, że sto tysięcy. Ale właściwie jaka jest różnica między tym, czy to było czterysta czy sto tysięcy?

Oczywiście nie znałem odpowiedzi.

– Nankin padł w grudniu, wymordowano rzeszę ludzi. Ale czy to ma jakiś związek z Tomohikiem Amadą i wypadkami w Wiedniu?

– Zaraz panu powiem – oznajmił Menshiki. – W listopadzie trzydziestego szóstego roku podpisano pakt antykominternowski między Niemcami a Japonią, w którego rezultacie oba kraje ewidentnie stanęły po tej samej stronie, ale Nankin jest bardzo daleko od Wiednia, więc do Wiednia pewnie nie docierały dokładne wiadomości na temat wojny chińsko-japońskiej. Jednak młodszy brat Tomohika Amady, Tsuguhiko, brał udział w ataku na Nankin jako szeregowiec. Został powołany do wojska i wysłany na front. Miał wtedy dwadzieścia lat, studiował na Tokijskiej Akademii Muzycznej, czyli dzisiejszym Uniwersytecie Sztuki, na wydziale muzycznym. W klasie fortepianu.

– To dziwna rzecz! Z tego, co wiem, wtedy jeszcze studenci byli zwolnieni ze służby wojskowej – powiedziałem.

– Tak, ma pan rację. Studenci wyższych uczelni dostawali odroczenie do końca studiów. Więc nie wiem, dlaczego Tsuguhiko Amada został powołany i wysłany do Chin. Ale w każdym razie został powołany w czerwcu tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego roku i do czerwca następnego roku był szeregowcem w szóstej dywizji z Kumamoto. Mieszkał w Tokio, ale stały adres miał w Kumamoto, więc dlatego przydzielono go do tej dywizji. Zachowały się rejestry. Po szkoleniu podstawowym wysłano go do Chin i brał udział w grudniowym ataku na Nankin. Po zwolnieniu ze służby w czerwcu następnego roku wrócił na uczelnię.

W milczeniu czekałem na dalszy ciąg opowieści.

– Ale wkrótce po zwolnieniu ze służby i powrocie na uczelnię Tsuguhiko Amada odebrał sobie życie. Rodzina znalazła go martwego na strychu. Brzytwą podciął sobie żyły. To było pod koniec lata.

Podciął sobie żyły na strychu?

– Pod koniec lata trzydziestego ósmego roku, to znaczy... Czyli kiedy młodszy brat popełnił samobójstwo, Tomohiko Amada był jeszcze na studiach w Wiedniu?
– zapytałem.

– Owszem. Nie wrócił do Japonii na pogrzeb. Wtedy jeszcze podróże lotnicze nie były tak powszechne, więc musiałby podróżować koleją albo statkiem. I tak nie zdążyłby na pogrzeb brata.

– I pan myśli, że być może jest jakiś związek między śmiercią brata a tym, że nieomal w tym samym czasie Tomohiko Amada był zamieszany w próbę zamachu?

– Może jest, a może nie ma – odpowiedział Menshiki. – Można jedynie snuć przypuszczenia. Ja tylko panu przekazuję fakty, które zostały właśnie odkryte.

– Czy Tomohiko Amada miał więcej rodzeństwa?

– Miał także starszego brata. Tomohiko był drugim z kolei synem. Było trzech braci, łącznie ze zmarłym Tsuguhikiem. Jego samobójstwo, jako coś, co stanowiło plamę na honorze rodziny, zostało skrzętnie ukryte. Szósta dywizja z Kumamoto zdobyła sławę jako waleczna i niezłomna. I gdyby ludzie się dowiedzieli, że ktoś wrócił z pola bitwy po honorowym zwolnieniu ze służby tylko po to, żeby się zabić, rodzina nie mogłaby się pokazać publicznie. Ale jak pan wie, plotki zawsze się rozchodzą.

Podziękowałem mu za informacje. Chociaż jeszcze nie wiedziałem konkretnie, jakie mają znaczenie.

– Mam zamiar jeszcze dokładniej zbadać tę sprawę – powiedział Menshiki. – Jeśli się czegoś dowiem, zawiadomię pana.

– Dziękuję bardzo.

– A więc wpadnę w przyszłą niedzielę po dwunastej. I zabiorę panie do siebie do domu, żeby im pokazać portret. Nie ma pan nic przeciwko temu?

– Oczywiście, że nie. Ten obraz już do mnie nie należy. Pan decyduje, komu go pokazać.

Menshiki milczał przez chwilę. Zupełnie jakby szukał najważniejszych słów. A potem chyba się poddał i powiedział:

– Szczerze mówiąc, czasami bardzo panu zazdroszczę.

Zazdrości mi? Nie bardzo wiedziałem, o co mu chodzi. Nie miałem pojęcia, czego mi mógł zazdrościć. Miał wszystko, a ja nic.

– Czego mi pan zazdrości? – zapytałem.

– Pan pewnie nigdy nikomu niczego nie zazdrości? – powiedział Menshiki.

Zastanowiłem się chwilę, zanim odpowiedziałem.

– Rzeczywiście, chyba nigdy jeszcze nikomu niczego nie zazdrościłem.

– Właśnie o to mi chodzi.

Ale nie mam już nawet Yuzu, pomyślałem. Teraz trzyma ją w ramionach jakiś inny mężczyzna. Czasami mam nawet wrażenie, że zostałem zupełnie sam na krańcu świata. Mimo to nigdy nikomu niczego nie zazdrościłem. Czy powinienem to uważać za dziwne?

Po zakończeniu rozmowy usiadłem na kanapie i pomyślałem o Tsuguhiku Amadzie, który popełnił samobójstwo, podcinając sobie na strychu żyły. Oczywiście to nie był strych tego domu. Tomohiko Amada kupił go po wojnie. Tsuguhiko zabił się na strychu w ł a s n e g o d o m u. Pewnie w domu rodzinnym w Aso. A mimo to strych, tajemnicze mroczne miejsce, łączył śmierć Tsuguhika ze *Śmiercią Komandora*. Może to zwykły przypadek? A może Tomohiko Amada świadomie ukrył obraz właśnie na strychu? Ale dlaczego Tsuguhiko odebrał sobie życie niedługo po zwolnieniu ze służby? Mimo że jakoś udało mu się przeżyć zażarte walki na froncie chińskim i wrócił do kraju cały i zdrowy.

Podniosłem słuchawkę i zadzwoniłem do Masahika.

– Czy moglibyśmy się spotkać? – zapytałem. – Muszę niedługo pojechać do Tokio do sklepu z materiałami malarskimi i dokupić farb. Chciałbym przy okazji o czymś z tobą pogadać.

– Dobra, oczywiście – odparł.

Sprawdził swój rozkład zajęć. W końcu ustaliliśmy, że spotkamy się w czwartek koło południa i zjemy razem lunch.

– Wybierasz się do tego sklepu dla plastyków co zwykle, w Yotsui?

– Tak. Potrzebuję też płócien, brakuje mi oleju. Pewnie trochę tego będzie, więc przyjadę samochodem.

– Niedaleko mojej firmy jest cicha knajpa, w której da się pogadać. Tam sobie spokojnie coś zjemy.

– A właśnie, Yuzu przysłała mi ostatnio dokumenty rozwodowe. Podpisałem i odesłałem. Więc myślę, że niedługo będziemy oficjalnie rozwiedzeni.

– Ach tak? – powiedział Masahiko przygnębionym tonem.

– No, nie ma rady. To była tylko kwestia czasu.

– Ale mnie jest bardzo przykro to słyszeć. Zawsze myślałem, że między wami się bardzo dobrze układa.

– Póki się dobrze układało, bardzo dobrze się układało – powiedziałem.

Tak jak ze starym modelem jaguara. Świetnie jeździ, póki się nie zepsuje.

– No i co teraz zrobisz?

– Nic nie zrobię. Będę przez pewien czas żył dalej tak samo. Nic innego nie przychodzi mi do głowy.

– A malujesz?

– Mam kilka zaczętych rzeczy. Nie wiem, czy dobrze wyjdą, ale w każdym razie maluję.

– To dobrze – powiedział Masahiko. A potem, jakby po krótkim wahaniu, dodał:

– Dobrze, że zadzwoniłeś. Prawdę mówiąc, ja też mam ci coś do powiedzenia.

– Jakieś dobre wiadomości?

– Nie wiem, czy dobre, czy złe, ale niewątpliwe fakty.

– Chodzi o Yuzu?

– Trudno mi o tym mówić przez telefon.

– No to pogadamy w czwartek.

Odłożyłem słuchawkę i wyszedłem na taras. Deszcz już całkiem ustał. Wieczorne powietrze było czyste i pełne chłodu. Spomiędzy chmur wyrzało kilka małych gwiazd. Wyglądały jak rozrzucone okruchy lodu. Twardego lodu, który nie stopi się przez setki milionów lat. Zamrożonego na wskroś. Po drugiej stronie doliny, jak zawsze, niewyraźnie majaczył dom Menshikiego oświetlony zimnym światłem rtęciowych latarni.

Patrząc na to światło, rozmyślałem o zaufaniu, szacunku i dobrych manierach. Szczególnie o dobrych manierach. Ale oczywiście nie doszedłem do żadnych wniosków.



Rozdział 37

Wszystko ma swoje dobre strony

Droga ze szczytów gór w okolicach Odawary do Tokio była daleka. Kilka razy źle pojechałem, przez co wszystko zajęło mi jeszcze więcej czasu. Mój stary używany samochód oczywiście nie miał GPS-u ani chipa umożliwiającego automatyczne płacenie za przejazd autostradą (pewnie powinienem być wdzięczny, że miał przynajmniej uchwyt na kubek). Najpierw wielki kłopot sprawiło mi znalezienie wjazdu na drogę Odawara–Atsugi. Wjechałem jakoś z autostrady Tōmei na stołeczną, ale był straszny korek, więc zjechałem w Shibui i postanowiłem dostać się do Yotsui ulicą Aoyama. Ulice też były zatłoczone i wybranie odpowiedniego pasa wydawało się prawie niemożliwe. Z trudem zaparkowałem. Wyglądało na to, że z upływem czasu świat staje się coraz bardziej kłopotliwy.

Kupiłem co trzeba w sklepie dla plastików w Yotsui, upchnąłem wszystko na tylnym siedzeniu i kiedy wreszcie zaparkowałem niedaleko firmy Masahika w Aoyama Itchōme, byłem wykończony. Jak wiejska mysz, która odwiedziła krewnego w mieście. Minęła pierwsza, byłem spóźniony o pół godziny.

Poszedłem do recepcji w firmie Masahika i poprosiłem, żeby do niego zadzwoniono. Od razu zszedł. Przeprosiłem za spóźnienie.

– Nie przejmuj się – powiedział, jakby naprawdę się nie gniewał. – Ani w tej restauracji, ani w pracy nikomu nie przeszkadza, jak się trochę spóźnię.

Zabrał mnie do pobliskiej włoskiej restauracji. Znajdowała się w podziemiu niewielkiego budynku. Musiał tu często bywać, bo kelner bez słowa zaprowadził nas do prywatnej salki w głębi. Nie grała tu muzyka, nie dochodził gwar rozmów, panowały spokój i cisza. Na ścianie wisiał niezły pejzaż. Zielony cypel, niebieskie niebo, biała latarnia morska. Temat niezbyt oryginalny, ale przynajmniej obraz wprawiał patrzącego w nastrój w rodzaju: „nieźle byłoby sobie pojechać w takie miejsce”.

Masahiko zamówił kieliszek białego wina, a ja perrier.

– Muszę jeszcze wrócić do Odawary – wyjaśniłem. – To jednak bardzo daleko.

– Nie da się ukryć – odparł Masahiko. – Ale wiesz, to jeszcze nic w porównaniu do Hayamy czy Zushi. Przez pewien czas mieszkałem w Hayamie. Jeżdżenie latem do Tokio i z powrotem to było prawdziwe piekło. Drogi były zakorkowane samochodami jadącymi nad morze. Dojazd i powrót zajmowały pół dnia. W porównaniu z tą trasą droga do Odawary jest mniej zatłoczona, więc trochę łatwiej dojechać.

Przyniesiono menu i zamówiliśmy zestawy lunchowe. Prosciutto na zakąskę, sałatka ze szparagów i spaghetti z krewetkami.

– W końcu nabrałeś ochoty do poważnego malowania – powiedział Masahiko.

– Może dlatego, że jak zostałem sam, nie muszę już malować, żeby zarobić na utrzymanie rodziny. I pewnie dlatego nabrałem ochoty, żeby malować sam dla siebie.

Masahiko skinął głową.

– Wszystko ma swoje dobre strony. Nawet bardzo gęsta, ciemna chmura lśni po drugiej stronie srebrem.

– Chociaż oglądanie każdej chmury z drugiej strony byłoby dosyć kłopotliwe.

– Mówię tylko teoretycznie – powiedział Masahiko.

– Inny powód może być taki, że zamieszkałem w tym domu w górach. Rzeczywiście to doskonałe otoczenie do skupienia się na malowaniu.

– Tak, tam jest idealny spokój, nikt nie przychodzi z wizytą, więc się nie rozpraszasz. Dla przeciętnego człowieka trochę tam za samotnie, ale założyłem, że dla takiego faceta jak ty to nie będzie problemem.

Otworzyły się drzwi i wniesiono zakąski. Milczeliśmy, gdy ustawiano na stole talerze.

– Poza tym możliwe, że ta pracownia ma na mnie duży wpływ – powiedziałem po odejściu kelnera. – Odnoszę wrażenie, że jest tam coś, co sprawia, że mam ochotę malować. Czuję czasami, że to w niej jest jądro tego domu.

– Gdyby go porównać do organizmu, tam byłoby serce?

– Albo świadomość.

– *Heart and mind* – podsumował Masahiko. – Ale wiesz co? Szczerze mówiąc, nie przepadam za tym pokojem. Za bardzo przesiąkł j e g o zapachem. Jakby ciągle był tam obecny. Przecież kiedy ojciec przebywał tam w górach, zamykał się na całe

dnie w pracowni i sam w ciszy malował. Było to święte, nietykalne miejsce, do którego dziecku nie wolno było się zbliżyć. Ciągle jeszcze to pamiętam, więc kiedy tam jeżdżę, staram się w miarę możliwości nie zbliżyć do pracowni. Ty też lepiej uważaj.

– Na co mam uważać?

– Żeby cię nie opętała dusza ojca. Bo on miał silną duszę.

– Duszę?

– Duszę czy ducha. Był silny duchem. I coś takiego pewnie przez długi czas wnika w dane miejsce i to miejsce jest tym przesiąknięte. Jak cząsteczkami zapachu.

– I to może opętać?

– Pewnie „opętać” to nie jest najlepsze określenie, ale niewykluczone, że na ciebie może wywrzeć jakiś wpływ. To jakby magnetyzm tego miejsca.

– Hm, sam nie wiem. Ja tylko pilnuję pustego domu, nigdy nie poznałem twojego ojca. Więc może nie czuję tak tego ciężaru.

– Może i nie – powiedział Masahiko. Wypił łyk wina. – To mój ojciec, więc przez to jestem pewnie niepotrzebnie wyczulony. A poza tym jeśli taka jego „obecność” działa dodatnio na twoje siły twórcze, to nie można narzekać.

– A jak on się czuje?

– Nic mu specjalnie nie dolega. Jednak jest już po dziewięćdziesiątce, więc nie da się go nazwać okazem zdrowia, ale chodzi jakoś z laską, ma apetyt, oczy i zęby też w porządku. Nie miał nigdy nawet jednej dziury, więc na pewno ma lepsze zęby od moich. Ale w głowie ma coraz większy mętlik.

– To znaczy, że w dużym stopniu stracił pamięć?

– No, prawie nic nie pamięta. Nie poznaje nawet mnie, własnego syna. Idea rodzica czy rodziny nic już dla niego nie znaczy. Może nawet nie jest pewien różnicy między własnym ego a Innym. W zależności od punktu widzenia taki stan może być nawet przyjemniejszy.

Skinąłem głową, popijając perrier z wysokiej szklanki. Tomohiko Amada nie poznawał już nawet jedyne go syna. Wydarzenia z okresu studiów w Wiedniu pewnie przepadły gdzieś dawno zapomniane.

– Ale tak jak przed chwilą mówiłem, jest ciągle dziarski duchem – powiedział Masahiko, jakby to zrobiło na nim duże wrażenie. – To przedziwna rzecz. Wspomnienia z przeszłości prawie zniknęły, ale siła woli jeszcze pozostała.

To od razu widać. Bo on miał w sobie siłę ducha. Trochę mi przykro, że tego po nim nie odziedziczyłem, no ale nie ma rady. Każdy ma jakby pewien format, do którego się rodzi. Więc niekoniecznie dziedziczy się taką samą naturę, nawet jeśli jest się blisko spokrewnionym.

Podniosłem głowę i spojrzałem mu prosto w oczy. Masahiko rzadko tak szczerze mówił, co naprawdę czuje.

– Na pewno niełatwo jest mieć sławnego ojca – powiedziałem. – Chociaż nie mam pojęcia, jak to jest. Bo mój był dość bezbarwnym właścicielem średniej firmy.

– Z faktu posiadania sławnego ojca płyną oczywiście pewne korzyści, ale ma to też swoje wady. Ilościowo pewnie trochę więcej jest wad. Miałeś szczęście, że nie musiałeś tego doświadczyć. Bo mogłeś sobie swobodnie żyć jako ty.

– Ty też wyglądasz, jakbyś sobie swobodnie żył jako ty.

– W pewnym sensie tak – przyznał Masahiko. Obrócił w dłoni kieliszek. – Ale w innym nie.

Masahiko miał wyrafinowany zmysł artystyczny. Po studiach zatrudnił się w średniej wielkości firmie reklamowej, teraz już dość dużo zarabiał i wyglądał na kogoś, kto do woli używa swobodnego kawalerskiego życia w wielkim mieście. Ale oczywiście nie wiedziałem, jak jest naprawdę.

– Chciałbym cię o coś zapytać w związku z twoim ojcem – zacząłem.

– O co? Bo ja właściwie niewiele o nim wiem.

– Słyszałem, że miał młodszego brata imieniem Tsuguhiko.

– Tak, rzeczywiście miał młodszego brata. Byłby moim wujem. Ale od dawna nie żyje. Zmarł przed rozpoczęciem wojny na Pacyfiku.

– Podobno popełnił samobójstwo.

Masahiko nieco się zachmurzył.

– To jest tajemnica rodzinna, ale to bardzo stara historia i częściowo wyszła na światło dzienne, więc pewnie mogę już o tym mówić. Podciął sobie brzytwą żyły. Miał zaledwie dwadzieścia lat.

– A z jakiej przyczyny popełnił samobójstwo?

– Dlaczego cię to interesuje?

– Chciałem się więcej dowiedzieć o twoim ojcu, szukałem informacji i trafiłem na tę historię.

– Chciałeś się więcej dowiedzieć o moim ojcu?

– Oglądałem jego obrazy, szukałem informacji o jego karierze malarskiej i coraz bardziej mnie interesuje. Chciałem się dokładniej dowiedzieć, jakim był człowiekiem.

Masahiko patrzył na mnie przez chwilę ponad stołem. A potem powiedział:

– Dobra. Zainteresowałeś się życiem mojego ojca. Może to coś znaczy. Bo może to, że tam mieszkasz, to przeznaczenie.

Wypił łyk wina i zaczął mówić.

– Mój wuj Tsuguhiko Amada był wtedy studentem Tokijskiej Akademii Muzycznej. Podobno był utalentowanym pianistą. Specjalizował się w Chopinie i Debussym, pokładano w nim wielkie nadzieje. Głupio mi tak mówić, ale moja rodzina ma chyba we krwi talenty artystyczne. Chociaż nie u każdego są równie duże. Podczas studiów został powołany do wojska. Miał dwadzieścia lat. A to dlatego, że podanie o odroczenie, które złożył, wstępując na studia, zostało odrzucone jako niekompletne. Gdyby je porządnie napisał, uniknąłby poboru, a potem też jakoś by się to dało załatwić. Dziadek był wielkim właścicielem ziemskim, miał stosunki w kręgach politycznych. Ale podobno ktoś się pomylił w jakimś urzędzie. To było dla niego jak grom z jasnego nieba. Lecz jeśli tryby urzędowej maszyny pójdą w ruch, nie da się ich łatwo zatrzymać. Nie słuchali żadnych argumentów i wzięli go do wojska. Został szeregowym w piechocie, a po podstawowym szkoleniu wsadzili go na statek transportowy i wysłali do zatoki Hangzhou w Chinach. W tym czasie jego starszy brat Tomohiko, mój ojciec, studiował w Wiedniu malarstwo pod kierunkiem słynnego malarza.

Słuchałem w milczeniu.

– Wuj nie był silny ani odporny psychicznie, raczej nadwrażliwy. Od początku było wiadomo, że nie wytrzyma życia w wojsku ani krwawych walk. A szósta dywizja z południa wyspy Kiusiu była znana z brutalności. Dlatego kiedy ojciec dowiedział się, że brat niespodziewanie został powołany i wysłany na front, załamał się. Ojciec był drugim z kolei synem, miał silny charakter, nigdy się nie poddawał, ale jego najmłodszy brat, zawsze poważny i pełen rezerwy, dorastał otoczony miłością. Poza tym jako pianista musiał ciągle uważać na ręce. Dlatego ojciec od dzieciństwa miał zwyczaj bronić młodszego o trzy lata brata przed wszelkimi atakami. Krótko mówiąc, pełnił jakby rolę jego opiekuna. Ale teraz był daleko, w Wiedniu, i nie mógł się bratu na nic przydać, choć się o niego zamartwiał. Jedyne wiadomości czerpał z przychodzących od czasu do czasu listów.

Oczywiście listy z frontu surowo cenzurowano, ale ponieważ bracia byli ze sobą zżyci, ojciec nawet z tych oszczędnych zdań potrafił odczytać, co naprawdę czuje Tsuguhiko. Ze zręcznie zakamuflowanych wyrażenń mniej więcej zgadywał i wyczuwał prawdziwe intencje piszącego. Że jego oddziały po gwałtownych walkach od Szanghaju do Nankinu wszędzie dokonywały mordów i rabunków na wielką skalę. I że jego nadwrażliwy brat odniósł w wyniku tych licznych krwawych przeżyć głębokie rany psychiczne.

W którymś z listów napisał, że w kościele w Nankinie zajęтым przez jego oddział były wspaniałe organy. Wyszły z walk bez szwanku. Ale następujący dalej długi opis organów został przez cenzora zamazany na czarno (dlaczego organy w kościele uznano za tajemnicę wojskową? Standardy stosowane przez cenzora w tym oddziale były dość dziwne. Często przegapiał miejsca, które powinien zamazywać, a zmazywał na czarno to, czego nie było potrzeby ukrywać). Dlatego Tomohiko Amada nigdy nie dowiedział się, czy bratu udało się zagrać na tych organach.

– Wuj ukończył w czerwcu trzydziestego ósmego roku służbę wojskową i od razu załatwił formalności, żeby wrócić na studia, ale nie rozpoczął ich na nowo, bo popełnił samobójstwo na strychu w rodzinnym domu. Naostrzył dobrze brzytwę i podciął sobie żyły. Do tego, żeby on, pianista, podciął sobie żyły, potrzebna była chyba wielka determinacja. Bo gdyby nawet go odratowano, nie mógłby już grać. Kiedy go znaleziono, strych wypełniało morze krwi. Ukryto jego samobójstwo przed opinią publiczną. Powiedziano, że umarł na serce czy coś podobnego.

Dla każdego było jasne, że wuj odebrał sobie życie, bo przeżycia wojenne sprawiły, że miał zszargane nerwy. To był przecież dwudziestoletni chłopak, który wcześniej myślał tylko o tym, jak pięknie grać na fortepianie, a został rzucony pomiędzy stosy trupów w Nankinie. Teraz nazwałoby się to traumą, ale to były czasy szalejącego militarizmu i ani nie było takiego słowa, ani takiego pojęcia. Mówiono po prostu, że ktoś jest słaby, brak mu odwagi, nie starcza mu patriotyzmu. W Japonii w tamtych czasach nie rozumiano i nie akceptowano takiej słabości. Ukryto ją starannie, jako że przynosiła wstyd rodzinie.

– Nie zostawił listu pożegnalnego?

– Zostawił – powiedział Masahiko. – Podobno w szufladzie biurka zostawił dość długi list. To nie był list pożegnalny, raczej coś w rodzaju notatek. Po kolei wyliczył, czego doświadczył w czasie wojny. Przeczytali to jego rodzice (czyli moi dziadkowie), najstarszy brat i mój ojciec. Tylko ich czworo. Zaraz po tym, jak ojciec wrócił z Wiednia, przeczytał ten list, a potem we czworo go spalili.

W milczeniu czekałem na dalszy ciąg opowieści.

– Ojciec zachował jego treść w ścisłej tajemnicy – mówił Masahiko. – Ponury rodzinny sekret dokładnie zapieczętowano. Gdyby posłużyć się metaforą, to jakby przymocowali do niego ciężarek i spuścili na dno morza. Raz tylko, kiedy ojciec był pijany, opowiedział mi ogólnie, co było w tym liście. Chodziłem jeszcze wtedy do podstawówki. Po raz pierwszy dowiedziałem się, że miałem wujka, który popełnił samobójstwo. Nie jest dla mnie jasne, czy ojciec mi o tym powiedział, bo się naprawdę upił i język mu się rozwiązał, czy też uważał, że musi mi to kiedyś przekazać.

Zabrano talerze po sałatkach i przyniesiono spaghetti z krewetkami.

Masahiko przez chwilę poważnie przyglądał się potrawie z widelcem w dłoni. Jakby dokonywał inspekcji narzędzia przeznaczonego do specjalnego użytku. Potem powiedział:

- Szczerze mówiąc, to nie jest temat do omawiania przy jedzeniu.
- To porozmawiajmy o czymś innym.
- O czym?
- O czymś jak najdalszym od listów pożegnalnych.

Jedząc spaghetti, rozmawialiśmy o golfie. Ja oczywiście nigdy nie grałem w golfa. I nikt z mojego otoczenia nie grał. Prawie nic nie wiedziałem o regułach gry. Ale Masahiko ostatnio zaczął często grywać, bo musiał to robić z partnerami biznesowymi. A także dzięki temu zażywał trochę ruchu. Wydał dużo pieniędzy na skompletowanie sprzętu i każdy weekend spędzał na polu golfowym.

– Pewnie nie wiesz, że golf to bardzo pokręcona gra. Nie ma równie dziwnego sportu. W niczym nie przypomina żadnego innego. A wręcz uważam, że trudno to nazwać sportem. Ale kiedy człowiek przywyknie już do tej dziwaczności, nie ma odwrotu.

Barwnie opowiadał o tajnikach gry. Opowieść zilustrował kilkoma niezwykłymi historiami. Masahiko zawsze ciekawie opowiadał, więc jadłem, z przyjemnością przysłuchując się jego opowieściom. Dawno się tak razem nie śmieliśmy.

Kiedy zabrano talerze po spaghetti i podano mi kawę, wrócił do poprzedniego tematu (sam podziękował za kawę, a zamówił drugi kieliszek białego wina).

– Mówiliśmy o liście pożegnalnym – powiedział zupełnie innym tonem. – Według ojca wuj opisał, jak został zmuszony do obcięcia głowy jeńcowi. Bardzo realistycznie i szczegółowo. Oczywiście jako szeregowiec nie miał miecza. Nigdy wcześniej nie miał w ręku żadnej broni. Przecież był pianistą. Umiał czytać

skomplikowane nuty, ale nie wiedział nic o tym, jak zabijać mieczem. Dowódca wręczył mu miecz japoński i rozkazał obciąć głowę jeńcowi. Niby jeniec, ale nie miał na sobie munduru, nie miał broni. I w dodatku był dosyć stary. Sam mówił, że wcale nie jest żołnierzem. Po prostu chwyтали tam wtedy mężczyzn jak popadło, wiązali i zabijali. Oglądali im dłonie. Jeśli były pełne odcisków, uznawano ich za chłopów. Czasami wtedy wypuszczali. Ale jeśli któryś miał niespracowane dłonie, uważali, że to zwykły żołnierz, który pozbył się munduru i chciał zbiec, ukrywając się w tłumie cywilów, więc zabijali takiego, o nic nie pytając. Przebijali bagnietami albo ścinali mieczem. Jeżeli niedaleko był oddział pancerny, ustawiali jeńców w rzędzie i zabijali wszystkich serią z karabinu maszynowego, ale w zwykłych oddziałach piechoty żal im było amunicji (bo dostawy się spóźniały), więc posługiwali się bagnietami i mieczami. Wszystkie trupy wrzucali do rzeki Jangcy. Było w niej dużo sumów, a one je doszczętnie zjadały. Wuj nie wiedział, czy to prawda, ale mówiono, że dzięki temu w tamtym czasie niektóre sumy utuczyły się do rozmiaru niewielkich koni.

Więc dowódca dał wujowi miecz i zmusił go do ścięcia jeńca. Dowódcą był młody podporucznik zaraz po szkole oficerskiej. Wuj oczywiście nie chciał tego zrobić. Ale odmowa wykonania rozkazu mogła się dla niego źle skończyć. Konsekwencje nie ograniczyłyby się do kary. W armii cesarskiej rozkaz przełożonego był rozkazem Jego Cesarskiej Mości. Drżącymi rękami wuj machnął mieczem, ale nie był zbyt silny, a w dodatku to był tani masowo produkowany miecz. Nie tak łatwo jest ściąć komuś głowę. Wuj nie potrafił zadać śmiertelnego ciosu, wszędzie było pełno krwi, jeniec zwijał się z bólu, zrobiła się z tego makabryczna scena.

Masahiko pokręcił głową, ja piłem w milczeniu kawę.

– Potem wuj zwymiotował. Kiedy nie miał już czym wymiotować, wymiotował żółcią, a kiedy i żółci zabrakło – powietrzem. Inni żołnierze go wyśmiewali. Oficer mocno kopnął go w bok wojskowym butem, mówiąc, że jest do niczego. Nikt mu nie okazał współczucia. W końcu musiał ściąć aż trzech jeńców. Kazali mu to robić dla wprawy, żeby się przyzwyczył. To był jakby rytuał inicjacji żołnierza. Powiedziano mu, że właśnie doświadczenie takiej rzezi czyni z człowieka prawdziwego żołnierza. Ale wuj nie mógł zostać prawdziwym żołnierzem. Nie był tak skonstruowany. Narodził się, by pięknie grać Chopina i Debussy'ego. Nie po to, by obcinać innym głowy.

– A czy są ludzie, którzy się urodzili, by to robić?

Masahiko znów pokręcił głową.

– Tego nie wiem. Ale jest chyba niemało takich, którzy potrafią do czegoś takiego przywyknąć. Ludzie umieją przywyknąć do wielu rzeczy. Szczególnie jeśli znajdują się w ekstremalnej sytuacji, to udaje im się przywyknąć nieoczekiwanie łatwo.

– Albo nadają takiemu czynowi sens, usprawiedliwiają go.

– Masz rację. Większości czynów można nadać jakiś sens i usprawiedliwić je. Szczerze mówiąc, gdybym ja stał się częścią jakiejś brutalnej organizacji, w rodzaju armii, a przełożony wydałby mi rozkaz, bezsensowny i nieludzki, wcale nie jestem pewien, czy byłbym na tyle silny, by odmówić jego wykonania.

Zacząłem się zastanawiać, jak ja bym postąpił, gdybym sam znalazł się w takiej sytuacji. Nagle przypomniałem sobie dziwną dziewczynę, z którą spędziłem noc w nadmorskim miasteczku w prefekturze Miyagi. Tę, która w trakcie seksu podała mi pasek od szlafroka i poprosiła, żebym ją poddusił. Pewnie nigdy nie zapomnę dotyku tego frotowego paska.

– Wuj nie odmówił wykonania rozkazu oficera – mówił Masahiko. – Nie miał dość odwagi i siły woli. Ale udało mu się po swojemu wyrównać rachunki – odebrał sobie życie dobrze naostrzoną brzytwą. W tym sensie myślę, że wuj wcale nie był słaby. Odebranie sobie życia było dla niego jedyną metodą odzyskania człowieczeństwa.

– Śmierć Tsuguhika musiała być wielkim szokiem dla twojego ojca w Wiedniu.

– Bez dwóch zdań.

– Słyszałem, że twój ojciec został wtedy zamieszany w aferę polityczną i zmuszono go do powrotu do Japonii. Czy to miało jakiś związek z samobójstwem młodszego brata?

Masahiko skrzyżował ręce na piersi i skrzywił się.

– Tego nie wiem. Ojciec nigdy nawet się nie zająknął na temat wydarzeń w Wiedniu.

– Słyszałem, że dziewczyna, którą kochał, należała do ruchu oporu i w ten sposób został wplątany w nieudaną próbę zamachu.

– Tak, podobno zakochał się w studentce Uniwersytetu Wiedeńskiego i nawet się zaręczyli. Kiedy odkryto plan zamachu, ją aresztowano i wysłano do obozu Mauthausen. Pewnie tam zginęła. Ojca też aresztowało gestapo. Na początku trzydziestego dziewiątego roku jako „niepożądany cudzoziemiec” został przymusowo repatriowany do Japonii. Oczywiście nie słyszałem tego bezpośrednio od ojca, a od krewnych, ale byli wiarygodni.

– Czy twój ojciec nie mówił o tym, bo ktoś go zobowiązał do zachowania milczenia?

– No, to możliwe. Podczas przymusowej ewakuacji pewnie obie strony, japońska i niemiecka, surowo zakazały mu mówić o tych wydarzeniach. Może milczenie było warunkiem tego, że ujdzie z życiem. Poza tym sam chyba nie miał ochoty o tym wspominać. Dlatego nawet po wojnie, kiedy nikt już nie mógł niczego mu nakazać, nadal milczał. – Masahiko przerwał na chwilę, potem mówił dalej: – Ale myślę, że samobójstwo wuja na pewno było jednym z motywów, które nim kierowały, kiedy przystąpił w Wiedniu do antynazistowskiego ruchu oporu. W wyniku układu monachijskiego udało się uniknąć na pewien czas wojny, ale oś łącząca Berlin z Tokio została wzmocniona i świat posuwał się w coraz bardziej niebezpiecznym kierunku. Ojciec na pewno myślał, że musi jakoś próbować powstrzymać ten bieg wypadków. Najbardziej cenił sobie wolność. Zupełnie nie odpowiadał mu faszyzm ani militarizm. Myślę, że śmierć brata miała dla niego wielkie znaczenie.

– Niczego więcej nie wiesz?

– Ojciec nigdy nie opowiadał o swoim życiu. Nie udzielał wywiadów dziennikarzom, nic nigdy o sobie nie napisał. Był raczej typem człowieka, który stara się zatrzeć po sobie wszelkie ślady.

– I od powrotu do Japonii aż do końca wojny nie namalował żadnego obrazu? Pogrzeżył się w głębokim milczeniu?

– Tak, milczał prawie przez osiem lat. Od trzydziestego dziewiątego do czterdziestego siódmego. W tym czasie starał się trzymać jak najdalej od kręgów malarskich. Od początku nie lubił tego środowiska, nie podobało mu się też, że wielu malarzy radośnie malowało obrazy propagandowe sławiące wojnę. Na szczęście pochodził z zamożnej rodziny, więc nie musiał się martwić, jak zarobić na życie. Poszczęściło mu się, bo nie powołali go do wojska w czasie wojny. Ale kiedy powojenny chaos trochę się uspokoił, ojciec znowu pojawił się w kręgach malarskich, Tomohiko Amada całkowicie przeobraził się w malarza w stylu japońskim. W pełni odrzucił poprzedni styl malowania i przyswoił sobie zupełnie inny.

– A potem stał się legendą.

– Właśnie. Potem stał się legendą – powiedział Masahiko i poruszył ręką, jakby lekko coś od siebie odganiał. Zupełnie jakby legenda zmieniła się w kłęby kurzu i unosząc się w powietrzu, przeszkadzała mu w oddychaniu.

– Ale kiedy tak cię słucham, zdaje mi się, że przeżycia w Wiedniu musiały

rzucić cień na jego dalsze losy. Bez względu na to, co tam przeżył.

Masahiko przytaknął.

– No, ja też czuję, że tak musiało być. To, co zaszło w Wiedniu, bardzo wpłynęło na jego życie. W tym nieudanym planie zamachu na pewno kryły się jakieś ponure fakty. Coś strasznego, o czym nie dało się mówić.

– Ale nie znasz szczegółów.

– Nie znam. Dotąd nie znałem i teraz już nie poznam. Bo teraz pewnie on sam już nie bardzo je zna.

Nagle zastanowiłem się, czy naprawdę tak jest. Ludzie czasem zapominają to, co pamiętali, a przypominają sobie to, o czym zapomnieli. Szczególnie w obliczu zbliżającej się śmierci.

Masahiko skończył drugi kieliszek wina i spojrzął na zegarek. Lekko zmarszczył brwi.

– Powinienem chyba zaraz wracać do firmy.

– A nie miałeś mi czegoś do powiedzenia? – zapytałem, bo nagle sobie o tym przypomniałem.

Lekko uderzył w stół, jakby sam też sobie przypomniął.

– Ano tak. Miałem ci coś do powiedzenia. Ale skończyło się na rozmowie o moim ojcu. Powiem ci przy następnej okazji. Nie pali się.

Zanim wstałem, jeszcze raz na niego spojrzałem. Potem zapytałem:

– Dlaczego aż tyle mi powiedziałaś? Odkryłeś przede mną nawet bolesne tajemnice rodzinne.

Masahiko położył dłonie na stole i zastanawiał się. Potem podrapał się w płatek ucha.

– Hm, po pierwsze, może trochę już mnie zmęczyło dźwiganie samemu tych „tajemnic rodzinnych”. Może chciałem komuś o tym opowiedzieć. Komuś, kto jest dyskretny i kto nie ma w tym żadnego interesu. W tym sensie jesteś idealnym słuchaczem. A poza tym, prawdę mówiąc, mam wobec ciebie niewielki prywatny dług i chciałem go jakoś spłacić.

– Prywatny dług? – powtórzyłem zaskoczony. – Jaki znowu dług?

Masahiko zmrużył oczy.

– O tym właśnie miałem ci zamiar powiedzieć. Ale dziś już nie mam czasu. Jestem umówiony. Spotkajmy się jeszcze raz, żeby spokojnie pogadać.

Zapłacił rachunek.

– Nie przejmuj się. Na tyle firma mi pozwala – powiedział.

Podziękowałem mu za lunch.

Potem wsiadłem do toyoty kombi i wróciłem do Odawary. Kiedy zatrzymałem przed domem swój strasznie zakurzony samochód, słońce zbliżało się już do grani na zachodzie. Kruki, głośno kracząc, wracały do gniazd po drugiej stronie doliny.



Rozdział 38

Przez to niepodobna, żeby stał się delfinem

Do niedzieli rano mniej więcej zdecydowałem, jak będę malował portret Marie na świeżo przygotowanym płótnie. To nie znaczy, że wiedziałem, jaki konkretnie obraz namaluję. Ale wiedziałem, *jak go zacząć*. Gdzieś w głowie narodziły mi się pomysły, których farb użyć na białym płótnie, w którą stronę je rozprowadzić i którym pędzlem. Te pomysły wkrótce okrzepły, skryształizowały się i powoli przerodziły w rzeczywistość. Bardzo lubiłem ten proces.

Był chłodny poranek, który zapowiadał, że zima jest tuż-tuż. Zrobiłem kawę, zjadłem skromne śniadanie, a potem poszedłem do pracowni, zgromadziłem potrzebne przybory i stanąłem przed płótnem na sztalugach. Ale stał też na nich szkicownik z precyzyjnym, wykonanym ołówkiem szkicem leśnego dołu. To był ten szkic, który zrobiłem kilka dni temu rano bez specjalnych intencji czy określonego celu, tylko dlatego, że mi przyszła ochota. Zapomniałem, że w ogóle go zrobiłem.

Kiedy stałem tak przed sztalugami i bezwiednie przyglądałem się szkicowi, coraz bardziej pociągała mnie odmalowana na nim scena. Tajemniczy dół w ziemi w środku lasu, o którym nikt nie wie. Mokra ziemia dookoła sterty kolorowych liści. Promienie słońca prześwitujące między gałęziami drzew. Taki widok wyłonił się z mojej świadomości w pełnych kolorach. Wyobraźnia się obudziła i zaczęła kolejno dodawać konkretne szczegóły. Mogłem odetchnąć tamtym powietrzem, poczuć zapach trawy i usłyszeć ćwierkanie ptaków. Ten dół narysowany dokładnie ołówkiem w dużym szkicowniku zdawał się usilnie mnie dokąds – albo do czegoś – zapraszać. Czuję, że *domaga się*, bym go namalował. Bardzo rzadko przychodziła mi ochota do malowania pejzaży. Od prawie dziesięciu lat malowałem wyłącznie ludzi. Może czasem nieźle jest machnąć jakiś pejzaż. *Leśny dół*. Może ten rysunek ołówkiem stanie się szkicem do takiego obrazu.

Zdjąłem szkicownik ze sztalug i zamknąłem. Zostało na nich nowe białe płótno.

Płótno, na którym miałem malować portret Marie Akikawy.

Trochę przed dziesiątą, jak zwykle cicho, wjechała po skarpie niebieska toyota prius. Otworzyły się drzwi, wysiadły Marie i jej ciotka. Ciotka miała na sobie długi ciemnoszary żakiet w jodełkę, jasnoszarą wełnianą spódnicę i czarne rajstopy we wzorek. Szyję obwiązała kolorową chustką od Missoniego. Był to szykowny późnojesienny strój miejski. Marie była w dużej kurtce baseballowej, pod nią miała bluzę z kapturem, džinsy z dziurami i granatowe trampki firmy Converse, czyli mniej więcej to samo co ostatnim razem. Nie włożyła czapki. Powietrze było nieprzyjemnie chłodne, niebo zasnuła cienka warstwa chmur.

Po krótkich powitaniach ciotka usiadła na kanapie, jak przedtem wyjęła z torby grubą książkę w wydaniu kieszonkowym i pogrążyła się w lekturze. Ja z Marie weszliśmy do pracowni. Jak zawsze usiadłem na drewnianym taborecie, a Marie na krześle przyniesionym z jadalni. Dzieliły nas jakieś dwa metry. Zdjęła kurtkę, zwinęła i położyła na podłodze. Zdjęła też bluzę. Miała na sobie dwa podkoszulki: pod spodem szary z długimi rękawami, a na wierzchu granatowy z krótkimi. Jeszcze nie rysowały się pod nimi piersi. Przeczesała palcami długie czarne włosy.

– Nie zimno ci? – zapytałem. W pracowni stał stary piecyk olejowy, ale nie był włączony.

Marie tylko lekko pokręciła głową na znak, że nie jest jej zimno.

– Od dziś zacznę malować na płótnie – powiedziałem. – Ale nie musisz robić nic szczególnego. Wystarczy, że będziesz tam sobie siedzieć. Z resztą sam sobie poradzę.

– Nie mogę nic nie robić – powiedziała, patrząc mi w oczy. Spojrzałem na nią, kładąc ręce na kolanach.

– Co masz na myśli?

– Przecież ja żyję, oddycham, myślę o różnych rzeczach.

– Oczywiście – odparłem. – Możesz sobie oddychać, ile chcesz, i myśleć, ile chcesz. Chodzi mi o to, że nie musisz robić nic szczególnego. Wystarczy, że będziesz sobą.

Ale Marie ciągle patrzyła mi prosto w oczy. Jakby mówiła, że takie proste wyjaśnienie jej nie przekonuje.

– Ja chcę coś robić – powiedziała.

– Na przykład co?

– Chciałabym panu pomóc w malowaniu.

– Jestem ci bardzo wdzięczny, ale jak miałybyś mi pomóc?

– Oczywiście psychicznie.

– Aha, rozumiem – powiedziałem, ale nie przychodziło mi do głowy, jak konkretnie mogłaby mi pomóc psychicznie.

– Gdybym mogła, chciałabym w pana wejść. Wejść w pana, kiedy maluje pan mój portret. I chciałabym zobaczyć siebie pana oczami. Wtedy może głębiej bym sama siebie zrozumiała. I może dzięki temu pan by mnie głębiej zrozumiał.

– Myślę, że to byłoby bardzo dobre.

– Naprawdę pan tak myśli?

– Oczywiście, naprawdę tak myślę.

– Ale w pewnych wypadkach to może być dość przerażające.

– Lepsze zrozumienie samego siebie?

Marie przytaknęła.

– Bo żeby siebie lepiej zrozumieć, trzeba skądś przyciągnąć jeszcze coś innego.

– Chodzi ci o to, że nie można siebie dokładnie zrozumieć, jeżeli nie dołączy się do tego jakiś inny, trzecioosobowy element?

– Trzecioosobowy element?

– Czyli że aby dokładnie poznać znaczenie związku między A i B, potrzebny staje się trzeci punkt widzenia, punkt C. Triangulacja – wyjaśniłem.

Marie rozmyślała nad tym przez chwilę, potem jakby lekko wzruszyła ramionami.

– Pewnie tak.

– I to, co się dołącza, może być w pewnych wypadkach przerażające. O to ci chodzi?

Marie przytaknęła.

– Kiedyś spotkało cię coś takiego przerażającego?

Nie odpowiedziała na to pytanie.

– Jeżeli uda mi się właściwie cię namalować – powiedziałem – być może będziesz mogła sama zobaczyć siebie taką, jaką ja cię widzę. Oczywiście, jak dobrze pójdzie.

– Po to są nam potrzebne obrazy.

– Tak, po to są nam potrzebne obrazy. Albo słowo pisane, albo muzyka – tego typu rzeczy.

Jak dobrze pójdzie, pomyślałem.

– Wezmę się do malowania – powiedziałem do Marie. Patrząc na nią, przygotowałem brząz do szkicu. I wybrałem pierwszy pędzel.

Praca postępowała powoli, ale bez przestojów. Namalowałem jej postać do pasa. Była piękną dziewczynką, ale mojemu obrazowi piękno nie było szczególnie potrzebne. Ja potrzebowałem tego, co się za tym pięknem kryło. Innymi słowy, czegoś, czego charakter tego piękna domagał się w zamian. Musiałem znaleźć to coś i zawrzeć w obrazie. To nie musiało być czymś pięknym. Czasami bywało brzydkie. Tak czy inaczej, żeby to odnaleźć, musiałem Marie prawidłowo zrozumieć. Musiałem ją uchwycić nie słowami i logiką, a jako pewną formę, jako zespół światła i cieni.

Skupiłem się i zacząłem pokrywać płótno barwami i liniami. Chwilami bardzo szybko, a chwilami nieśpiesznie i uważnie. W tym czasie Marie siedziała spokojnie na krześle, w ogóle nie zmieniając wyrazu twarzy. Ale wiedziałem, że mocno skupiła się w sobie siłą woli i utrzymywała to skupienie. Mogłem wyczuć siłę, która była do tego potrzebna. „Nie mogę nic nie robić” – powiedziała wcześniej. I coś robiła. Prawdopodobnie chciała mi pomóc. Bez wątpienia przepływał między nami jakiś prąd.

Nagle przypomniałem sobie rękę siostry. W jaskini pod górą Fudzi w chłodnej ciemności mocno ścisnęła mnie za rękę. Drobnymi, ciepłymi i zadziwiająco silnymi palcami. Przepływał między nami niewątpliwy prąd życia. Dając coś, jednocześnie coś w zamian otrzymywaliśmy. Był to przepływ, który zdarza się tylko w ograniczonym czasie i w ograniczonym miejscu. Niebawem słabnie i ustaje. Ale wspomnienia zostają. One potrafią ogrzać czas. I – jak dobrze pójdzie – sztuka nadaje tym wspomnieniom kształt i zachowuje je. Tak jak van Gogh przekształcił pewnego nieznanego wiejskiego listonosza w kolektywne wspomnienie, które istnieje do dziś.

Prawie przez dwie godziny milczeliśmy, skupiając się na swoich zajęciach. Ja tworzyłem na płótnie jej postać jednym kolorem rozrzedzonym olejem. To miała być podmalówka. Marie siedziała bez ruchu na krześle z jadalni, ciągle będąc sobą. O dwunastej, jak zwykle, rozległ się z daleka dźwięk kuranta. Dał mi znać, że

minął ustalony czas, więc przerwałem pracę. Odłożyłem paletę oraz pędzel i leniwie się przeciągnąłem, ciągle siedząc na taborecie. Poczułem, że jestem strasznie zmęczony. Wzięłem głęboki oddech, przerwałem koncentrowanie się, a Marie też dopiero teraz się rozluźniła.

Na płótnie widniała jej postać do pasa namalowana jednym kolorem. Zbudowana została struktura, która stanie się szkieletem portretu. Były to jedynie ogólne ramy, ale osią tego szkieletu było jakby źródło ciepła, które powodowało, że była sobą. Kryło się jeszcze w głębi, ale jeśli uda się z grubsza uchwycić, c z y m j e s t, potem będzie można wszystko dostroić. Wystarczy tylko wypełnić szkielet ciałem.

Marie nie zapytała o rozpoczęty obraz, nie poprosiła o jego pokazanie. Ja też nic nie mówiłem. Byłem na to zbyt zmęczony. W milczeniu przeszliśmy z pracowni do salonu. Shōko Akikawa siedziała na kanapie pogrążona w lekturze. Założyła stronę zakładką, zamknęła książkę, zdjęła okulary w czarnych oprawkach i spojrzała na nas, podnosząc głowę.

– Dobrze panu poszła praca? – zapytała jakby z lekkim niepokojem.

– Na razie idzie dobrze. To początkowy etap.

– To świetnie – powiedziała. – Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, może pójdę do kuchni i zrobię herbatę? Prawdę mówiąc, już zagotowałam wodę. I wiem, gdzie trzyma pan herbatę.

Spojrzałem na nią lekko zdziwiony. Na jej twarzy gościł subtelny uśmiech.

– Być może wydaje się panu, że się narzucam, ale byłabym wdzięczna, gdyby się pan zgodził – powiedziała.

Mówiąc szczerze, miałem wielką ochotę napić się gorącej herbaty, ale nie chciało mi się wstawać, iść do kuchni i gotować wody. Byłem bardzo zmęczony. Dawno nie czułem się tak wykończony po malowaniu. Oczywiście było to przyjemne uczucie wyczerpania.

Po dziesięciu minutach Shōko Akikawa wróciła do salonu z tacą, na której stały trzy filiżanki i czajniczek. W ciszy piliśmy herbatę. Marie nie odezwała się jeszcze ani słowem. Tylko co pewien czas odgarniała opadającą na czoło grzywkę. Znowu włożyła grubą kurtkę. Zupełnie jakby chciała się przed czymś ochronić.

Cicho i elegancko popijaliśmy herbatę (nikt nie siorbał) i w niedzielne popołudnie dawaliśmy się ponieść spokojnemu nurtowi czasu. Przez dłuższą chwilę nikt się nie odzywał. Ta cisza była bardzo naturalna i miała sens. Niebawem do moich uszu dotarł znany dźwięk. Na początku brzmiał jak szum fali, która bez

przekonania i z obowiązku leniwie zbliżała się do dalekiego brzegu. Stopniowo dźwięk się wzmacniał, a wkrótce stał się miarowym i wyraźnym odgłosem mechanicznym. To był odgłos ośmiocylindrowego wielkiego silnika, 4,2 litra, niezwykle wyrafinowane spalające wysokooktanową benzynę. Wstałem z krzesła, podszedłem do okna i patrzyłem spomiędzy zasłon, jak pojawia się srebrny samochód.

Menshiki miał na sobie jasnozielony zapinany sweter. Pod nim kremową koszulę. Do tego szare wełniane spodnie. Wszystko wyglądało na czyste, bez jednej zmarszczki, jakby świeżo odebrane z pralni. Ale nic nie było nowe, wszystko było przyjemnie lekko znoszone. Dzięki temu wyglądało jeszcze czystiej. Jego bujne włosy jak zwykle lśniły bielą. Pewnie zawsze tak lśniły, i latem, i zimą, w słoneczne dni i w pochmurne, bez względu na porę roku i pogodę. Tylko sposób tego lśnienia po trochu się zmieniał.

Menshiki wysiadł z samochodu, zamknął drzwi, spojrzał na zachmurzone niebo, zamyślił się na chwilę nad pogodą (a przynajmniej dla mnie wyglądało to tak, jakby się nad czymś zamyślił), a potem się zdecydował i powoli ruszył do wejścia. Zadzwoił do drzwi. Zupełnie jak poeta, który dobiera jakieś szczególne słowo, ostrożnie i nieśpiesznie. Mimo że był to jedynie stary dzwonek do drzwi – nic innego.

Otworzyłem i zaprosiłem go do salonu. Z uśmiechem przywitał się z paniami. Shōko Akikawa wstała na jego powitanie. Marie siedziała na kanapie i owijała kosmyk włosów wokół palca. Prawie na niego nie patrzyła. Zaprosiłem wszystkich, żeby usiedli. Zapytałem Menshikię, czy napije się herbaty. Powiedział, że bym sobie nie robił kłopotu. Pokręcił parę razy głową i potrząsnął przecząco ręką.

– No i jak? Praca się posuwa? – zapytał mnie.

Odpowiedziałem, że pomalutku się posuwa.

– A ty jak się miewasz? Pozowanie do obrazu jest męczące, prawda? – zapytał Marie.

O ile pamiętałem, po raz pierwszy bezpośrednio się do niej zwrócił. Po brzmieniu głosu można było odgadnąć, że jest spięty, ale dziś się nie czerwienił i nie bladł na jej widok. Wyraz twarzy miał też prawie taki jak zawsze. Nauczył się panować nad emocjami. Pewnie przeprowadził w tym celu jakieś ćwiczenia z samodyscypliny.

Marie nie odpowiedziała na jego pytanie. Wydała tylko jakby ciche chrząknięcie

o niejasnym znaczeniu. Obie dłonie złożyła ciasno na kolanach.

– Ale w każdy niedzielny ranek cieszy się, że tu przyjdzie – odezwała się Shōko Akikawa, chcąc przerwać ciszę.

– Pozowanie do obrazu to ciężka praca – pomogłem jej. – Myślę, że Marie bardzo się stara.

– Ja tu też byłem przez pewien czas zatrudniony jako model. Wydaje mi się, że pozowanie to jakaś dziwna sprawa. Chwilami miałem wrażenie, że wykradana mi jest dusza – powiedział Menshiki i roześmiał się.

– Nie jest tak – odezwała się Marie prawie szeptem.

Wszyscy troje nieomal jednocześnie na nią spojrzeliśmy.

Shōko Akikawa wyglądała, jakby przez pomyłkę ugryzła coś, co nie było jedzeniem. Na twarzy Menshikiego malowała się czysta ciekawość. Ja byłem tylko neutralnym widzem.

– Co masz na myśli? – zapytał Menshiki.

Marie odpowiedziała głosem pozbawionym modulacji.

– Nie jest wykradana. Coś daję i coś dostaję.

– Masz rację. Za bardzo uprościłem sprawę – powiedział Menshiki cicho i jakby z podziwem. – Oczywiście musi to być rodzaj wymiany. Twórczość artystyczna wcale nie jest jednostronna.

Marie milczała. Patrzyła na czajniczek do herbaty na stole. Przypominała czapkę stojącą bez ruchu przez wiele godzin i wpatrującą się w powierzchnię wody. Był to biały ceramiczny czajniczek, nic nadzwyczajnego. Dość stary (używał go Tomohiko Amada), ale praktyczny, nie miał w sobie nic, co uzasadniałoby takie usilne wpatrywanie się. Był też lekko wyszczerbiony. Ale Marie potrzebowała po prostu czegoś, w czym mogłaby w skupieniu zatopić wzrok.

Pokój wypełnił się milczeniem. Przypominało pustą, białą tablicę reklamową.

Twórczość artystyczna, pomyślałem. W tych słowach krył się jakiś ton, który wywoływał tę ciszę. Zupełnie jakby powietrze wypełniło próżnię. Nie, w tym wypadku to chyba próżnia powinna wypełnić powietrze?

– Jeżeli mamy jechać do mnie – Menshiki niepewnie przerwał ciszę, zwracając się do Shōko Akikawy – to może weźmiemy mój samochód? Potem odwiózłbym panie tutaj. Na tylnym siedzeniu jest wprawdzie dosyć ciasno, ale droga do mnie jest kręta i wąska, więc myślę, że łatwiej będzie pojechać jednym samochodem.

– Tak, oczywiście, zrobmy tak – odpowiedziała bez wahania Shōko Akikawa. –

Z przyjemnością skorzystamy z pana samochodu.

Marie rozmyślała nad czymś, wciąż wpatrując się w biały czajniczek. Ale oczywiście nie wiedziałem, co dzieje się w jej głowie. Nie wiedziałem też, co postanowią w kwestii lunchu. Ale przecież miałem do czynienia z Menshikim, który umiał sobie radzić. Nie musiałem się martwić, bo on już na pewno o wszystkim pomyślał.

Shōko Akikawa zajęła miejsce obok kierowcy, a Marie z tyłu. Dwoje dorosłych z przodu, dziecko z tyłu. Nie ustalili tego wcześniej, tylko w naturalny sposób tak usiedli. Stałem przed wejściem do domu i odprowadzałem wzrokiem samochód. Wolno zjeżdżał skarpą w dół, aż zniknął. Potem wszedłem do środka, zaniósłem do kuchni filiżanki oraz czajniczek i umyłem.

Nastawiłem *Kawalera z różą* Richarda Straussa i położyłem się na kanapie. Nabrałem zwyczaju słuchania tego utworu, kiedy nie miałem co robić. Zaraził mnie nim Menshiki. Rzeczywiście, tak jak mówił, ta muzyka miała w sobie coś uzależniającego. Nieprzerwane, nieomal natrętne emocje. Niezwykle różnobarwne brzmienie. Richard Strauss przechwalał się, mówiąc: „Potrafię wiernie oddać w muzyce nawet miotłę”. A może to nie była miotła? Ale w każdym razie jego muzyka miała w sobie wyraźnie widoczne elementy malarskie, choć ich kierunek różnił się od tego, do którego ja dążyłem w obrazach.

Kiedy nieco później otworzyłem oczy, zobaczyłem Komandora. Jak zwykle ubrany w szaty z okresu Asuka i z mieczem u pasa siedział przede mną na obitym skórą fotelu. Ten sześćdziesięciocentymetrowy człowieczek lekko tam przycupnął.

– Dawno się nie widzieliśmy – powiedziałem. Mój głos brzmiał jak przywleczony z trudem skądinąd. – Jak się pan miewa?

– Jakem wcześniej mówił, idee nie znają pojęcia czasu – odparł donośnym głosem. – Toteż niepodobna mi poczuć, że dawno się nie widzieliśmy.

– To tylko takie zwyczajowe powiedzonko. Nie ma większego znaczenia.

– Zwyczaje też nie bardzo rozumiem.

Rzeczywiście, pewnie miał rację. Tam, gdzie nie ma czasu, nie rodzą się zwyczaje. Wstałem, podszedłem do adaptera, podniosłem jego ramię i schowałem płytę do obwoluty.

– Macie rację, panowie – powiedział Komandor, czytając w moich myślach. – W świecie, w którym czas swobodnie płynie w obie strony, niepodobna, żeby rodziły się zwyczaje.

Zapytałem go o coś, co od dawna nie dawało mi spokoju:

– Czy idee potrzebują czegoś w rodzaju źródła energii?

– To trudna sprawa – odparł Komandor, krzywiąc się, jakby to była naprawdę trudna sprawa. – Po to, żeby coś się narodziło i dalej istniało, potrzebna jest pewna energia, bez względu na to, co to jest. To ogólna zasada we Wszechświecie.

– To znaczy, że nawet idee potrzebują źródła energii? Zgodnie z tą ogólną zasadą.

– Tak jest. Od zasad Wszechświata nie ma wyjątków. Ale idee mają taką zaletę, że nie posiadają formy. Powstają dopiero, gdy Inny je sobie uświadomi, i wtedy nabierają pewnego kształtu. Ale ten kształt to tylko coś prowizorycznego.

– Czyli idea nie może istnieć, jeżeli ktoś jej sobie nie uświadomi?

Komandor podniósł palec wskazujący prawej dłoni i przymknął jedno oko.

– I jak teraz przeprowadzicie wnioskowanie przez analogię, moi panowie?

Przeprowadziłem wnioskowanie przez analogię. Zajęło mi to trochę czasu, ale Komandor cierpliwie czekał.

– Moim zdaniem – powiedziałem – idee istnieją, bo jako źródło energii wykorzystują uświadomienie ich sobie przez Innego.

– Tak jest – zgodził się Komandor i pokiwał głową. – Jesteście bardzo pojętni, moi panowie. Idea nie może istnieć bez uświadomienia jej sobie przez Innego, a jednocześnie to uświadomienie staje się źródłem energii umożliwiającym jej istnienie.

– Więc gdybym pomyślał „Komandor nie istnieje”, przestałby pan istnieć?

– Teoretycznie tak – powiedział Komandor. – Ale tylko teoretycznie. W rzeczywistości tak nie jest. A to dlatego, że prawie niepodobna przestać o czymś myśleć, kiedy chce się to zrobić. Bo nawet myślenie o tym, że chce się przestać o c z y m ś myśleć, jest ciągle myśleniem i tak długo, jak się o tym myśli, to coś też jest myślane. Żeby przestać o czymś myśleć, trzeba przestać myśleć o tym, żeby przestać o tym myśleć. A to niepodobna.

– Czyli dopóki z jakiegoś powodu nie straci się pamięci albo dopóki naturalnie i całkowicie nie straci się zainteresowania ideami, dopóty nie można od nich uciec.

– Delfiny to potrafią.

– Delfiny?

– Umieją uśpić prawą albo lewą część mózgu. Nie wiedzieliście, panowie?

– Nie wiedziałem.

– Z tego powodu nie interesują ich idee. Dlatego zatrzymały się w trakcie ewolucji. My też na swój sposób się staraliśmy, ale niestety nie udało się nawiązać pożytecznego kontaktu z delfinami. Choć był to bardzo obiecujący gatunek ssaków. Dopóki ludzie się naprawdę nie pojawili, miały wśród ssaków największy mózg w porównaniu do masy ciała.

– Ale udało wam się nawiązać pożyteczny kontakt z ludźmi?

– Bo ludzie w odróżnieniu od delfinów mają mózg, w którym wszystko się łączy. Jak narodzi się w nim nieoczekiwana idea, nie potrafią się jej pozbyć. W ten sposób ideom udało się przetrwać, bo czerpały energię od ludzi.

– Jak pasożyty – stwierdziłem.

– Nieładnie tak mówić – odparł Komandor, wygrazając mi palcem jak nauczyciel besztający ucznia. – Czerpiemy, co prawda, energię, ale niepodobna brać jej dużo. Zaledwie odrobinę, zwykły człowiek prawie się nie zorientuje. Nikt przez to nie podupada na zdrowiu ani nie przeszkadza mu to w normalnym życiu.

– Ale powiedział pan, że idee nie mają nic w rodzaju zasad moralnych. Są całkowicie neutralnymi pojęciami i od ludzi zależy, czy uczynią je dobrymi, czy złymi. A jeśli tak, to idee mogą być dla ludzi dobrem, ale w pewnych przypadkach mogą też być złem. Prawda?

– Idea, że $E=mc^2$, miała być z założenia neutralna, ale w rezultacie narodziły się z niej bomby atomowe. I zrzucano je na Hiroszimę i Nagasaki. O to wam chodzi, panowie?

Przytaknąłem.

– Mnie też boli od tego serce (oczywiście to tylko przenośnia. Idee nie mają ciała, a więc nie mają też serca). Ale wiecie, panowie, we Wszechświecie wszystko dzieje się zgodnie z zasadą *caveat emptor*.

– Z czym?

– Z zasadą *caveat emptor*. Po łacinie „niech kupujący się strzeże”. To, jak nabywca wykorzystuje daną rzecz, nie dotyczy sprzedającego. Na przykład, czy sprzedający ma wpływ na to, kto będzie nosił ubrania kupione w jego sklepie.

– To dla mnie brzmi jak wygodny argument.

– $E=mc^2$ dało początek bombie atomowej, ale także wielu dobrym rzeczom.

– Na przykład jakim?

Komandor zamyślił się nad tym przez chwilę, ale żaden odpowiedni przykład

nie przychodził mu chyba do głowy, więc w milczeniu mocno potarł policzki dłońmi. A może nie widział sensu w dalszej dyskusji.

– A właśnie, czy nie wie pan, co się stało z dzwonekami, które były w pracowni?
– zapytałem, nagle sobie o tym przypomniawszy.

– Z dzwonekami? – Komandor podniósł głowę. – Jakimi dzwonekami?

– Tymi starymi dzwonekami, którymi dzwonił pan na dnie dołu. Położyłem je na półce w pracowni, ale niedawno zauważyłem, że zniknęły.

Komandor zdecydowanie pokręcił głową.

– A, dzwonekami. Nie wiem. Ostatniom w ogóle ich nie dotykał.

– No to kto je wziął?

– A skąd ja miałbym wiedzieć? To niepodobna.

– Ktoś je zabrał i gdzieś nimi podzwania.

– No, no. To nie moje zmartwienie. Mnie te dzwoneki są już niepotrzebne. Przede wszystkim nie należą do mnie. Raczej przynależą do miejsca. Ale tak czy inaczej, jeśli zniknęły, pewnie był ku temu powód. Może niedługo znów się gdzieś pojawią. Trzeba poczekać.

– Przynależą do miejsca? – powtórzyłem. – Mówi pan o tym dole?

Komandor nie odpowiedział.

– À propos, pewnie czekacie tu, panowie, na powrót Shōko i Marie Akikawy, ale niepodobna, żeby tak szybko wróciły. Pewnie pokażą się dopiero, jak się ściemni.

– Pan Menshiki ma jakieś ukryte plany? – zapytałem na koniec.

– Aa... nasz kolega, pan Menshiki, ma zawsze jakieś ukryte plany. Dobrze planuje swoje ruchy. Nie potrafi działać, jeśli ich wcześniej nie zaplanuje. To jakby wrodzona przypadłość. Żyje, zawsze w pełni wykorzystując obie półkule mózgu. Przez to niepodobna, żeby stał się delfinem.

Kontury sylwetki Komandora powoli się zamazywały, jego postać zaczęła się przerzedzać jak mgła w bezwietrzny poranek w środku zimy, aż zniknęła. Został przede mną tylko stary fotel. Nieobecność, która tam była, zdawała się tak intensywna, że nie byłem już nawet pewien, czy jeszcze przed chwilą tam siedział. Może siedziałem tylko twarzą w twarz z pustką? Może rozmawiałem z własnym głosem.

Tak jak przepowiedział Komandor, jaguar Menshikiego długo się nie pokazywał. Wyglądało na to, że dwie piękne kobiety nazwiskiem Akikawa długo u niego siedzą. Wyszedłem na taras i spojrzałem na biały dom po drugiej stronie doliny, lecz nikogo nie dostrzegłem. Dla zabicia czasu poszedłem do kuchni i zabrałem się do przygotowania kolacji. Zrobiłem wywar z wodorostów i ryby, ugotowałem w nim jarzyny i zamroziłem, co się dało. Ale nawet po zrobieniu wszystkiego, co mi przyszło do głowy, nadal miałem za dużo czasu. Poszedłem do salonu i zacząłem czytać na kanapie książkę, słuchając dalszego ciągu *Kawalera z różą*. Shōko Akikawa czuła sympatię do Menshikiego i interesowała ją. Raczej na pewno tak było. Patrzyła na niego z zupełnie innym błyskiem w oczach niż na mnie. Musiałem mu oddać sprawiedliwość: Menshiki był naprawdę czarującym mężczyzną w średnim wieku. Przystojnym, bogatym i do tego kawalerem. Dobrze się ubierał, był łagodny i miły, mieszkał w wielkim domu na szczycie góry, miał cztery brytyjskie samochody. Byłem pewien, że zainteresowałoby się nim wiele kobiet (tak samo, jak byłem pewien, że niewiele kobiet zainteresowałoby się mną). Ale Marie była wobec niego dość nieufna – tego też byłem pewien. Miała świetną intuicję. Może instynktownie czuła, że za jego postępowaniem kryją się jakieś tajemnicze motywy, i dlatego świadomie zachowywała pewien dystans. A przynajmniej mnie się tak wydawało.

Jak dalej sprawy się rozwiną? Naturalna ciekawość, żeby zobaczyć, co będzie dalej, zmagająca się we mnie z niejasną obawą, że być może niezbyt dobrze się to wszystko skończy. Jak przyplływ morza i nurt rzeki zmagające się ze sobą w jej ujściu.

Jaguar Menshikiego wjechał ponownie pod górę, gdy minęło pół do szóstej. Tak jak zapowiedział Komandor, było już zupełnie ciemno.



Rozdział 39

Zakamuflowana pułapka zbudowana w konkretnym celu

Jaguar powoli zatrzymał się przed domem, otworzyły się drzwi i najpierw wysiadł Menshiki. Potem przeszedł na drugą stronę i otworzył drzwi Shōko Akikawie. Gdy wysiadła, pochylił siedzenie pasażera i wypuścił z tyłu Marie. Obie przesiadły się do niebieskiego priusa. Shōko Akikawa otworzyła okno i grzecznie podziękowała Menshikiemu (Marie oczywiście siedziała do niego bokiem i udawała, że go nie widzi). A potem odjechały, nie wstępując do mnie. Menshiki poczekał, aż prius zniknie mu z pola widzenia, po chwili przestawił świadomość na inny tryb (prawdopodobnie), przybrał odpowiedni wyraz twarzy, a potem ruszył do moich drzwi.

– Zrobiło się późno, ale czy mogę na chwilę wstąpić? – zapytał przy wejściu nieco skrępowany.

– Oczywiście, proszę. I tak nie mam nic do roboty – powiedziałem.

Zaprosiłem go do środka. Usiedliśmy w salonie. On na kanapie, ja w fotelu naprzeciwko, na którym niedawno siedział Komandor. Zdawało się, że wokół fotela unosi się jeszcze echo jego dość wysokiego głosu.

– Dziękuję panu za wszystko – powiedział Menshiki. – Bardzo mi pan pomógł.

Odpowiedziałem, że nie zrobiłem nic zasługującego na podziękowania. No bo naprawdę nic nie zrobiłem.

– Ale bez obrazu, który pan maluje, czy raczej bez pana, który maluje obraz, prawdopodobnie nie trafiłaby mi się taka okazja. Nie miałbym możliwości bezpośredniego spotkania z Marie Akikawą. W tej sprawie odegrał pan rolę osi, wokół której wszystko się obróciło. Choć może ta rola nie przypadła panu do gustu.

– Nie ma tu nic, co mi nie przypadło do gustu – powiedziałem. – Bardzo się cieszę, że mogłem panu pomóc. Tylko nie potrafię ocenić, co się stało przypadkiem, a co zostało zaplanowane. Szczerze mówiąc, czuję się z tym niezbyt

komfortowo.

Menshiki zastanowił się nad tym, a potem skinął głową.

– Może mi pan nie uwierzy, ale nie zaplanowałem tego scenariusza. Nie mówię, że wszystko jest rezultatem przypadku, ale do wielu wydarzeń doszło samoistnie.

– Czyli w tym samoistnym rozwoju wydarzeń ja odegrałem rolę katalizatora? – zapytałem.

– Katalizatora? Chyba można to tak ująć.

– Ale szczerze mówiąc, mam wrażenie, że stałem się nie katalizatorem, a raczej koniem trojańskim.

Menshiki podniósł głowę i spojrzał na mnie, jakby coś raziło go w oczy.

– W jakim sensie?

– Tym greckim koniem trojańskim, który został wciągnięty do miasta przez Trojan. W jego wnętrzu byli ukryci uzbrojeni greccy żołnierze. Taka zakamuflowana pułapka zbudowana w konkretnym celu.

Menshiki odczekał chwilę, a potem odezwał się, starannie dobierając słowa:

– Czyli chodzi o to, że ja zrobiłem z pana konia trojańskiego i zρέcznie wykorzystałem? Żeby się zbliżyć do Marie Akikawy?

– Może to pana rozgniewa, ale trochę mam takie uczucie.

Menshiki uśmiechnął się, mrużąc oczy.

– No tak. Rzeczywiście trudno się dziwić, że pan tak myśli. Ale tak jak przed chwilą powiedziałem, większość wydarzeń wynikła z przypadku. Mówiąc zupełnie wprost, ja pana polubiłem. Prywatnie, normalnie polubiłem. To się niezbyt często zdarza. A kiedy się zdarza, bardzo sobie to cenię. Nie wykorzystałbym pana do swoich celów. Pod pewnymi względami jestem dość egoistyczny, ale aż tak bardzo nie brakuje mi kultury. Nie zrobiłem z pana konia trojańskiego. Proszę mi wierzyć.

Czułem, że w tym, co mówi, nie ma fałszu.

– No i pokazał pan im ten obraz? – zapytałem. – Pana portret wiszący w gabinecie?

– Tak, oczywiście. Przecież po to się do mnie pofatygowały. Były pełne głębokiego podziwu dla pana obrazu. To znaczy Marie nie podzieliła się żadnymi wrażeniami. Bo to małowmne dziecko. Lecz nie ma wątpliwości, że obraz zrobił na niej duże wrażenie. Było to widać po twarzy. Bardzo długo przed nim stała. Trwała w milczeniu jak zaczarowana.

Prawdę mówiąc, nie bardzo mogłem sobie przypomnieć, jak ten obraz wygląda, mimo że namalowałem go zaledwie kilka tygodni temu. Zawsze tak było, że kiedy kończyłem obraz i zabierałem się do kolejnego, prawie zapominałem ten pierwszy. Pamiętałem jedynie niejasno, jaki był w ogólnych zarysach. Pozostało tylko jakby wrażenie fizycznych doznań przy jego malowaniu. Ważniejsze były dla mnie te doznania niż sam obraz.

– Dość długo u pana były – powiedziałem.

Menshiki przechylił głowę na bok jakby nieco zawstydzony.

– Po obejrzeniu portretu zjedliśmy lekki posiłek, a potem oprowadziłem je po domu. To było jakby zwiedzanie z przewodnikiem. Bo pani Shōko wydawała się zainteresowana domem. Nie wiadomo kiedy zrobiło się późno.

– Dom musiał im się podobać?

– Pani Shōko prawdopodobnie tak – powiedział Menshiki. – Szczególnie jaguar typu E. Ale Marie od początku do końca była milcząca. Wydaje mi się, że niezbyt jej się podobał. A może domy jej nie interesują.

Pomyślałem, że na pewno jej nie interesują.

– Miał pan okazję porozmawiać z Marie? – zapytałem.

Menshiki lekko pokręcił głową.

– Nie, zamieniliśmy może dwa, trzy słowa, to wszystko. I nie mówiliśmy o niczym ważnym. Bo nawet kiedy ją o coś pytałem, nie odpowiadała.

Nie wyraziłem swojego zdania na ten temat. Bo co właściwie mogłem powiedzieć? Potrafiłem sobie dokładnie wyobrazić tę scenę. Nawet kiedy ją o coś pytał, nie otrzymywał nic w rodzaju odpowiedzi. Czasem mamrotała tylko niejasno jedno lub dwa nic nieznaczące słowa. Kiedy nie miała ochoty na mówienie, rozmowa z nią przypominała stanie na środku wielkiej pustyni w słonecznym żarze i spryskiwanie piasku wodą z niewielkiego garnuszka.

Menshiki wziął do ręki leżącą na stole figurkę porcelanowego ślimaka i pod różnymi kątami dokładnie mu się przyjrzał. Ślimak należał do tego domu. Był jedną z nielicznych ozdób. Prawdopodobnie była to stara miśnieńska porcelana. Miał wielkość niewielkiego jajka. Pewnie Tomohiko Amada dawno temu gdzieś go kupił. Menshiki po chwili ostrożnie odłożył go na stół. Powoli podniósł głowę i spojrzał na mnie.

– Być może trochę czasu upłynie, zanim się przyzwyczaję – powiedział, jakby sam siebie przekonywał. – Przecież dopiero niedawno się poznaliśmy. Z natury jest małomówna, trzynaście lat to początek okresu dojrzewania, więc ogólnie mówiąc,

trudny wiek. Ale to, że mogłem być z nią w tym samym pokoju, oddychać tym samym powietrzem, jest dla mnie niezwykle cenne.

– I nadal nie zmienił pan zdania?

Menshiki lekko zmrużył oczy.

– Zdania na jaki temat?

– Że nie chce się pan dowiedzieć, czy Marie naprawdę jest pana córką.

– Nie, ani trochę nie zmieniłem zdania – odparł bez namysłu. Milczał przez chwilę, lekko przygryzając wargi. Potem dodał: – Jak by to wyrazić? Kiedy tak miałem ją przed sobą, ogarnęło mnie przedziwne uczucie. Że zmarnowałem wszystkie przeżyte lata na niczym. Tak mi się wydało. I przestałem rozumieć, co znaczę, po co żyję. Straciłem pewność, że wszystko, co dotąd uważałem za wartościowe, rzeczywiście takie jest.

– I to jest dla pana „przedziwne uczucie”? – zapytałem na wszelki wypadek. Dla mnie wcale nie było przedziwne.

– Tak, nigdy wcześniej go nie doświadczyłem.

– Chodzi panu o to, że to przedziwne uczucie narodziło się w panu w wyniku spędzenia kilku godzin z Marie?

– Myślę, że tak. Może pan uznać, że to idiotyczne.

Potrząsnąłem głową.

– Nie wydaje mi się, że to idiotyczne. Mam wrażenie, że doznałem takiego samego uczucia, kiedy w okresie dojrzewania zakochałem się po raz pierwszy w pewnej dziewczynie.

Menshiki uśmiechnął się, aż w kącikach jego ust pojawiły się zmarszczki. W tym uśmiechu było nieco cierpienia.

– Patrząc na nią, tak sobie pomyślałem: bez względu na to, do czego w życiu doszedłem, jakie sukcesy osiągnąłem w biznesie, jestem tylko doraźnym, przejściowym zestawem genów, które po kimś odziedziczyłem i mam komuś przekazać. Poza tą praktyczną funkcją jestem równie nieprzydatny jak garść prochu.

– G a r ś ć p r o c h u – powtórzyłem. W tych słowach brzmiało coś dziwnego.

– Prawdę mówiąc, ta idea się we mnie narodziła i zapaściła korzenie po wejściu do dołu. Tego dołu za kapliczką, który odkryliśmy, odsuwając kamienie. Pamięta pan ten dzień?

– Dobrze pamiętam.

– Podczas godziny spędzonej tam w ciemności dogłębnie zrozumiałem własną bezsilność. Gdyby panu przyszedł do głowy taki kaprys, mogłem już na zawsze zostać sam na dnie tego dołu. Bez wody, bez pożywienia, sczezłbym tam, obróciłbym się w garść prochu. Moje istnienie do tego się sprowadza.

Nie wiedziałem, co powiedzieć, więc milczałem.

– W tej chwili wystarczy mi świadomość, że Marie Akikawa m o ż e b y ć moją prawdziwą córką. Nie zależy mi na ustalaniu faktów za wszelką cenę. W blasku tej możliwości spoglądam na siebie innymi oczami.

– Rozumiem – powiedziałem. – Nie rozumiem dokładnie całego rozumowania, ale rozumiem, że pan tak myśli. Czego pan w takim razie konkretnie od niej oczekuje?

– Oczywiście nie jest tak, że o tym nie myślę – powiedział Menshiki. Spojrzał na swoje dłonie. Były to ładne ręce o długich szczupłych palcach. – Ludzie myślą o różnych rzeczach. Chcąc nie chcąc. Ale nie wiadomo, jak wszystko w rzeczywistości się rozwinie. To pokaże czas. Wszystko okaże się później.

Milczałem. Nie miałem pojęcia, o czym myśli. Wcale nie chciałem też wiedzieć. Gdybym się dowiedział, mógłbym się znaleźć w nieoczekiwanej kłopotliwej sytuacji.

Menshiki milczał przez chwilę, a potem zapytał:

– Ale kiedy Marie jest z panem sama, dość chętnie z panem rozmawia, prawda? Pani Shōko tak mówiła.

– Może i tak – powiedziałem ostrożnie. – Kiedy jesteśmy w pracowni, rzeczywiście sama dość dużo mówi na różne tematy. – Oczywiście nie wspominałem o tym, że Marie odwiedziła mnie późnym wieczorem, przechodząc sekretnym korytarzem z sąsiedniej góry. To była nasza tajemnica. – Ta dziewczyna bardzo interesuje się malarstwem albo malarskim sposobem ekspresji – wyjaśniłem. – Nie zawsze, ale w niektórych przypadkach, gdy jest otoczona obrazami, stosunkowo łatwo namówić ją na rozmowę. To rzeczywiście niezwykle dziecko. Na kursie malarstwa też prawie nie rozmawia z innymi dziećmi.

– To znaczy, że nie bardzo dogaduje się z rówieśnikami?

– Może i nie. Ciotka mówiła, że raczej z nikim się w szkole nie przyjaźni.

Menshiki milczał przez chwilę, rozmyślając nad tym.

– Ale na swój sposób otwiera się chyba przed panią Shōko.

– Na to wygląda. Z tego, co słyszałem, jest bliżej z ciotką niż z ojcem.

Menshiki przytaknął w milczeniu. Czułem, że za tym jego milczeniem coś się kryje.

– A jaki jest jej ojciec? Czy wie pan coś na ten temat? – zapytałem go.

Menshiki odwrócił nieco głowę na bok i zmrużył oczy.

– Piętnaście lat starszy od niej. Od niej, to znaczy od swojej zmarłej żony.

Zmarłej żony, czyli dawnej dziewczyny Menshikiego.

– Nie wiem, jak się poznali ani jak doszło do ślubu. A raczej mnie to nie interesuje – dodał Menshiki. – Ale bez względu na okoliczności na pewno ją kochał. I przeżył straszny szok, kiedy ją utracił. Podobno od tego czasu stał się innym człowiekiem.

Według Menshikiego ród Akikawów był niegdyś rodem wielkich posiadaczy ziemskich w tej okolicy (tak samo jak Tomohiko Amada wywodził się z rodu posiadaczy ziemskich). Po drugiej wojnie światowej w wyniku reformy rolnej stracili prawie połowę ziem, ale i tak pozostał im pokaźny majątek. Rodzina mogła się spokojnie utrzymać z dochodu, który przynosił. Yoshinobu Akikawa (tak się nazywał ojciec Marie) miał młodszą siostrę. Po śmierci ojca został głową rodziny. Zamieszkał w domu zbudowanym na górze, która do niego należała, i otworzył biuro w budynku w Odawarze, który także do niego należał. To biuro nadzorowało kilka biurów i bloków z mieszkaniami do wynajęcia, kilka domów i parceli również na wynajem, które miał w Odawarze i okolicach. Czasami zajmował się też handlem nieruchomościami. Co nie znaczy, że bardzo rozwijał biznes. W centrum jego działalności było zarządzanie majątkiem rodziny Akikawów.

Ożenił się późno, mając czterdzieści parę lat. Zaraz w następnym roku urodziła mu się córka... Sześć lat później żona zmarła od ukąszeń szerszeni. Spacerowała wczesną wiosną po należącym do nich sadzie śliwowym, gdy zaatakowało ją i użądliło kilka szerszeni. To wydarzenie było wielkim ciosem dla Yoshinobu Akikawy. Prawdopodobnie chciał się pozbyć wszystkiego, co mogło mu o tym wydarzeniu przypominać. Po pogrzebie wynajął ludzi, żeby ścięli i wykarczowali wszystkie śliwy. Po sadzie zostało puste i jałowe miejsce. To były piękne drzewa, więc wiele osób bardzo zasmuciło ich wycięcie. Poza tym śliwki, które rodziły, świetnie nadawały się do robienia pikli, można też było z nich robić smaczne wino śliwkowe, toteż od dawna zezwalało miejscowej ludności, żeby sobie zrywała owoce na własne potrzeby. Ten barbarzyński akt zemsty odebrał wielu ludziom coroczną drobną przyjemność. Ale w końcu były to śliwy Yoshinobu Akikawy rosnące na jego ziemi. Ludzie rozumieli powód jego wściekłości – prywatnej wściekłości na śliwy i szerszenie.

Po śmierci żony Yoshinobu Akikawa stał się ponurym człowiekiem. Z natury był niezbyt towarzyski, niezbyt pogodny, ale stał się jeszcze bardziej introwertyczny. Poza tym stopniowo pogłębiło się jego zainteresowanie światem duchowym i związał się z pewną grupą religijną (nigdy o tej grupie nie słyszałem). Pojechał nawet na pewien czas do Indii. A potem z własnych środków dla tej grupy zbudował za miastem centrum medytacji i spędzał tam bardzo dużo czasu. Nie bardzo wiadomo, co się w tym centrum działo. Ale podobno Yoshinobu Akikawa odbywał tam codziennie surowe praktyki medytacyjne, studiował reinkarnację i starał się odnaleźć sens życia po stracie żony.

Przez to zaczął mniej czasu poświęcać pracy, ale interesy firmy nie były zbyt absorbujące. Nawet jeśli prezes rzadko się pokazywał w biurze, trójka starych pracowników jakoś sobie radziła. Przestał też bywać w domu. Nawet kiedy wracał, to tylko po to, żeby się przespać. Nie wiem, dlaczego po śmierci żony błyskawicznie stracił zainteresowanie córką. Może przypominała mu żonę. A może dzieci nigdy go nie interesowały. Naturalnie córka była przez to mało przywiązana do ojca. Osieroconą Marie zajęła się tymczasem jego młodsza siostra, Shōko. Najpierw przerwała pracę sekretarki w Akademii Medycznej w Tokio i na pewien czas zamieszkała razem z nimi w domu w górach niedaleko Odawary, ale potem oficjalnie zrezygnowała z pracy i zamieszkała u brata na stałe. Prawdopodobnie przywiązała się do Marie. Albo nie mogła spokojnie patrzeć na sytuację małej bratanicy.

Kiedy Menshiki skończył mówić, pogłaskał wargi opuszką palca.

– Czy ma pan whisky? – zapytał.

– Mam pół butelki single malt.

– Przepraszam za beczelność, ale czy mógłbym się napić? Z lodem.

– Oczywiście, proszę bardzo. Ale przyjechał pan samochodem...

– Wezwę taksówkę – powiedział. – Nie chcę stracić prawa jazdy za jazdę po pijanemu.

Przyniosłem z kuchni whisky, miseczkę z lodem i dwie szklanki. W tym czasie Menshiki nastawił płytę *Kawalera z różą*, której wcześniej słuchołem. Podziwialiśmy dojrzałą muzykę Richarda Straussa, popijając whisky.

– Lubi pan single malt? – zapytał Menshiki.

– Tak, lubię, ale akurat tę od kogoś dostałem. Przyjaciel przyniósł mi w prezencie. Uważam, że jest bardzo dobra.

– Mam w domu dość rzadką single malt z Islay, przyslaną przez znajomego ze

Szkocji. Pochodzi z beczki, którą zaszpunktował osobiście księżę Walii, kiedy odwiedził jedną z gorzelni. Jeżeli ma pan ochotę, następnym razem ją przyniosę.

Powiedziałem, żeby sobie nie robił kłopotu.

– W pobliżu wyspy Islay jest nieduża Jura. Słyszał pan o tej wyspie?

Powiedziałem, że nie.

– Liczba ludności niewielka, prawie nic tam nie ma. Saren jest o wiele więcej niż ludzi, jest także dużo zajęcy, bażantów i fok. I jedna stara gorzelnia. Obok niej bije źródło bardzo smacznej wody, która nadaje się do produkcji whisky. Kiedy pije się whisky single malt z Jury z zimną wodą świeżo zaczerpniętą z tego źródła, ma wspaniały smak. Można tego spróbować tylko na tej wyspie.

Powiedziałem, że brzmi bardzo apetycznie.

– To miejsce jest też sławne z tego, że George Orwell napisał tam *Rok 1984*. Pisał tę książkę, zamknąwszy się w małym domu, który wynajął na północnym krańcu wyspy, znacznie oddalonym od siedzib ludzkich. Ten dom był bardzo prymitywnie wyposażony, więc przez to w zimie Orwell zachorował. Pewnie potrzebował takich spartańskich warunków. Spędziłem na tej wyspie tydzień. I co wieczór przy kominku popijałem smaczną whisky.

– Dlaczego spędził pan aż tydzień w takim odległym miejscu?

– Biznes – odpowiedział po prostu. A potem lekko się uśmiechnął.

Wyglądało na to, że nie zamierza tłumaczyć, co to za biznes. Mnie też szczególnie nie zależało, żeby się dowiedzieć.

– Dzisiaj musiałem się napić – stwierdził. – Jakoś nie mogłem się uspokoić i dlatego nadużyłem pana uprzejmości. Jutro przyjadę po samochód. Dobrze?

– Oczywiście, dla mnie to żaden problem.

Potem na chwilę zapadło milczenie.

– Czy mogę panu zadać dość osobiste pytanie? – zapytał Menshiki. – Mam nadzieję, że się pan nie obrazi.

– Jeżeli będę umiał odpowiedzieć, odpowiem. Nie obrażę się.

– Pan, zdaje się, jest żonaty?

Skinąłem głową.

– Byłem żonaty. Prawdę mówiąc, bardzo niedawno podpisałem i odesłałem dokumenty rozwodowe. Dlatego nie wiem, jaki jest w tej chwili oficjalnie mój stan cywilny. Ale w każdym razie b y ł e m ż o n a t y. Przez sześć lat.

Menshiki zamyślił się nad czymś, wpatrując się w lód w szklance. Potem zapytał:

– Przepraszam, że się wtrącam w tak osobiste sprawy, ale czy pan żałuje, że doszło do rozwodu?

Pociągnąłem whisky i odpowiedziałem pytaniem:

– Ta „odpowiedzialność kupującego” – jak to się mówi po łacinie?

– *Caveat emptor* – odparł Menshiki bez wahania.

– Jeszcze nie zapamiętałem tego wyrażenia, ale rozumiem, co oznacza.

Menshiki się roześmiał.

– Żałuję pewnych rzeczy w naszym małżeństwie. Ale myślę, że nawet gdybym mógł cofnąć czas, wrócić do pewnej chwili i naprawić jeden błąd, pewnie i tak rezultat byłby ten sam.

– Chodzi panu o to, że ma pan w sobie jakąś tendencję, której nie da się zmienić i która staje się przeszkodą w życiu małżeńskim.

– Albo brakuje we mnie jakiejś tendencji, której nie da się zmienić i to staje się przeszkodą w życiu małżeńskim.

– Ale pragnie pan malować obrazy. To pragnienie powinno być ściśle powiązane z apetytem na życie.

– Może nie przewyciężyłem tego, co powinienem był wcześniej przewyciężyć? Tak mi się wydaje.

– Na pewno kiedyś nadejdzie czas próby – powiedział Menshiki. – Czas próby to dobra okazja do zaczęcia życia na nowo. Im jest trudniejszy, tym bardziej się potem przydaje.

– Pod warunkiem, że człowiek nie przegra i nie pęknie mu serce.

Menshiki się uśmiechnął. Nie mówił więcej o dzieciach ani o rozwodzie.

Przyniosłem z kuchni słoik oliwek jako zakąskę do whisky. Przez pewien czas w milczeniu popijaliśmy i jedliśmy solone oliwki. Kiedy skończyła się jedna strona płyty, Menshiki nastawił drugą. Georg Solti dalej dyrygował orkiestrą Filharmonii Wiedeńskiej.

„Aa... nasz kolega, pan Menshiki, ma zawsze jakieś ukryte plany. Dobrze planuje swoje ruchy. Nie potrafi działać, jeśli ich wcześniej nie zaplanuje”.

Nie wiedziałem, jaki ruch teraz wykonuje albo planuje. A może w tym przypadku, w tej chwili nie potrafił zaplanować żadnych ruchów. Mówił, że nie ma

z a m i a r u mnie wykorzystywać. Pewnie nie kłamał. Ale z tego, że nie zamierzał, nie wynikało, że tego nie zrobi. Był człowiekiem, który odniósł sukces w najnowszego typu biznesie, zręcznie wykorzystując swoje umiejętności. Jeżeli miał jakieś ukryte zamiary, nie było możliwości, że nie zostanę w nie wplątany (nawet jeśli na razie dopiero wszystko planował).

– Ma pan trzydzieści sześć lat, prawda? – odezwał się nieoczekiwanie Menshiki.

– Tak.

– To pewnie najwspanialszy wiek w życiu.

Nie miałem takiego wrażenia, ale się nie wypowiedziałem.

– Ja skończyłem pięćdziesiąt cztery. Jestem już za stary na to, żeby być bardzo aktywnym w swojej dziedzinie, a jeszcze za młody, żeby zostać legendą. Dlatego tak teraz niczym specjalnym się nie zajmuję.

– Są też ludzie, którzy zostają legendami za młodu.

– Oczywiście jest i trochę takich. Ale zostanie legendą za młodu nie ma prawie żadnych dobrych stron. A moim zdaniem to nawet pewien rodzaj koszmaru. Kiedy do tego dojdzie, trzeba przez całą resztę życia udawać tę legendę, a to strasznie nudna egzystencja.

– A pan się nie nudzi?

Menshiki się uśmiechnął.

– O ile mnie pamięć nie myli, nigdy się nie nudziłem. A raczej nigdy nie miałem czasu się nudzić.

Pokręciłem głową z podziwem.

– A pan? Pan się kiedyś nudził? – zapytał Menshiki.

– Oczywiście, że tak. Ciągłe się nudzę. Ale wydaje mi się, że nuda to jedna z rzeczy, których nie może zabraknąć w moim obecnym życiu.

– Chodzi panu o to, że nuda pana nie męczy?

– Jakoś mi się zdaje, że przywykłem do nudy. Nie męczy mnie.

– To pewnie dlatego, że ma pan w sobie silną wolę malowania obrazów. Jest jakby osią pana życia, a stan nudy spełnia rolę macicy, w której rozwija się pragnienie twórczości. Gdyby nie ta oś, na pewno trudno byłoby panu znieść codzienną nudę.

– Pan teraz nie pracuje, prawda?

– Zasadniczo jestem na emeryturze. Tak jak wcześniej panu mówiłem, obracam

trochę walutami i akcjami w internecie, ale nie dlatego, że jestem do tego zmuszony. To taka gra, która pozwala mi trenować umysł.

– I mieszka pan sam w tym wielkim domu.

– Owszem.

– I mimo to się pan nie nudzi?

Menshiki potrząsnął głową.

– Mam dużo rzeczy do przemyślenia. Mam książki do przeczytania, muzykę do słuchania. Mam zwyczaj codziennie ćwiczyć umysł – po zebraniu dużej liczby danych klasyfikuję je i analizuję. Trenuję w siłowni, ćwiczę grę na fortepianie. Oczywiście muszę się też zajmować pracami domowymi. Nie mam czasu na nudę.

– Nie boi się pan procesu starzenia? Że będzie się pan starzał samotnie?

– Niewątpliwie się starzeję – powiedział Menshiki. – Ciało będzie słabło, będę coraz bardziej samotny. Ale jeszcze tego nie doświadczyłem. Z grubsza się orientuję, jak to będzie, lecz w rzeczywistości jeszcze tego nie zauważyłem. A ja jestem człowiekiem, który ufa tylko temu, co zobaczy na własne oczy. Dlatego teraz czekam na to, co zobaczę. Specjalnie się nie boję. Nie bardzo się na to wszystko cieszę, ale jestem trochę ciekaw, jak to będzie.

Powoli potrząsnął szklanką whisky i spojrzał na mnie.

– A pan? Boi się pan zestarzeć?

– Moje zaledwie sześćoletnie małżeństwo w końcu się rozpadło. Przez ten czas nie namalowałem ani jednego obrazu dla siebie. Obiektywnie na to patrząc, można powiedzieć, że zmarnowałem te lata. Bo musiałem malować obrazy, które mnie nie satysfakcjonowały, po to, żeby zarobić na życie. Ale w sumie może miałem szczęście. Ostatnio zacząłem tak myśleć.

– Być może rozumiem, co pan ma na myśli. W pewnym okresie życia odrzucenie własnego ja może mieć duże znaczenie. O to panu chodzi?

Może i tak. Ale może w moim wypadku po prostu odnalezienie tego, co mam w sobie, zajęło mi trochę czasu. I może pociągnąłem za sobą Yuzu tą niepotrzebną okrężną drogą? Czy boję się zestarzeć? – zadałem sobie sam pytanie. Czy starzenie się mnie przeraża?

– Szczerze mówiąc, ja jeszcze nie czuję, że się starzeję. Może to brzmi głupio, kiedy mówi tak mężczyzna zbliżający się do czterdziestki, ale zdaje mi się, że dopiero zaczynam życie.

Menshiki się uśmiechnął.

– To wcale nie jest głupie. Pewnie ma pan rację. Dopiero zaczyna pan życie.

– Wcześniej mówił pan o genach. Że jest pan tylko pojemnikiem na zestaw genów, które pan odziedziczył i ma przekazać następnemu pokoleniu. I że jeśli nie liczyć tego zadania, jest pan jedynie garścią prochu. Mówił pan coś takiego, prawda?

Menshiki przytaknął.

– Rzeczywiście, tak powiedziałem.

– Nie czuje pan strachu na myśl, że jest pan jedynie garścią prochu?

– Jestem jedynie garścią prochu, ale wcale niezłą garścią prochu – powiedział Menshiki i się roześmiał. – Może to zabrzmie impertynencko, ale można mnie nazwać dość wybitną garścią prochu. Przynajmniej obdarzoną pewnego rodzaju zdolnościami. Oczywiście są to ograniczone zdolności, lecz niewątpliwie zdolności. Dlatego póki żyję, chcę żyć ze wszystkich sił. Chcę sprawdzić, co potrafię. Nie mam czasu się nudzić. Dla mnie najlepszym sposobem uniknięcia strachu i poczucia pustki jest nigdy się nie nudzić.

Piliśmy whisky prawie do ósmej. Wkrótce butelka była pusta. Jakby na ten znak, Menshiki wstał.

– Muszę już iść – powiedział. – Bardzo się zasiedziałem.

Zamówiłem mu przez telefon taksówkę. Kiedy powiedziałem, że to dom Tomohika Amady, od razu wiedzieli, dokąd jechać. Był znanym człowiekiem. Dyspozytor powiedział, że taksówka przyjedzie za piętnaście minut. Podziękowałem i odłożyłem słuchawkę.

Kiedy czekaliśmy, Menshiki powiedział, jakby mi się zwierzał:

– Mówiłem panu wcześniej, że ojciec Marie Akikawy związał się z pewną grupą religijną i kompletnie wsiąkł.

Przytaknąłem.

– To jedna z tych nowych sekt o podejrzanej proveniencji. Kiedy sprawdziłem w internecie, okazało się, że były z nimi jakieś problemy. Toczy się przeciwko nim postępowanie w paru sprawach cywilnych. Dogmaty wiary są niejasne, to jest tylko takie byle co, nie da się jej nazwać religią. Ale oczywiście pan Akikawa może sobie wierzyć albo nie wierzyć, w co chce. Tylko że od paru lat topi w tej organizacji znaczne sumy. I z własnego majątku, i z majątku firmy, jak leci. Oczywiście miał na początku pokaźny kapitał, ale w tej chwili sytuacja jest taka, że żyją tylko z czynszów. Jeśli nie sprzeda parceli albo budynku, jego dochody są bardzo ograniczone. A ostatnio sprzedaje za dużo jednych i drugich. Każdy widzi,

że to dobrze nie rokuje. Jakby ośmiornica odcinała sobie macki i kolejno je zjadała, żeby przeżyć.

– Czyli ta grupa religijna na nim żeruje?

– Owszem. Można powiedzieć, że padł ich ofiarą. Tacy ludzie, kiedy znajdą ofiarę, wysysają ją do czysta. Wycisną wszystko do ostatniej kropli. A ponieważ pan Akikawa pochodzi z bogatej rodziny, więc jest naiwny i łatwo go okantować, choć może nie powinienem tak mówić.

– I pana to martwi?

Menshiki westchnął.

– To, co spotka pana Akikawę, to jego sprawa. Jest zupełnie dorosły i wie, co robi. Ale kiedy niczego nieświadoma rodzina musi ponosić konsekwencje, to już przestaje być takie proste. Chociaż wiem, że moje martwienie się nic tu nie pomoże.

– Studia nad reinkarnacją... – powiedziałem.

– Jako hipoteza to bardzo ciekawy sposób myślenia – stwierdził Menshiki. W milczeniu pokręcił głową.

Wkrótce przyjechała taksówka. Zanim wsiadł, bardzo grzecznie mi podziękował. Choć dużo wypił, kolor jego policzków ani doskonałe maniere w ogóle się nie zmieniły.



Rozdział 40

Tej twarzy nie dało się pomylić z żadną inną

Po wyjściu Menshikiego poszedłem do łazienki, umyłem zęby, od razu położyłem się do łóżka i usnąłem. Zwykle nie mam większych kłopotów z zasypianiem, a kiedy piję whisky, zasypiam jeszcze łatwiej. W środku nocy obudził mnie gwałtowny hałas. Myślę, że naprawdę się rozległ. A może to zdarzyło się w moim śnie? Może to był tylko wytwór wyobraźni, fikcyjny dźwięk zrodzony wewnątrz mojej świadomości? Tak czy inaczej, usłyszałem wielkie bum, aż ziemia zadrżała. Było tak silne, że prawie wyrzuciło mnie z łóżka. Wstrząs był całkowicie rzeczywisty, to był nie sen ani wytwór wyobraźni. Spałem dość głęboko, ale prawie spadłem na podłogę i w jednej chwili zupełnie oprzytomniałem. Spojrzałem na zegarek przy łóżku. Było po drugiej. Czas, w którym zawsze rozlegały się dzwonki. Ale teraz nie dobiegał ich dźwięk. Zbliżała się zima, więc nie było już słycać świerszczy. Dom wypełniała głęboka cisza. Niebo pokrywały ciemne, grube chmury. Kiedy wyteżyłem słuch, dosłyszałem cichy szum wiatru.

Po omacku poszukałem włącznika lampki przy łóżku, narzuciłem sweter na piżamę. Postanowiłem obejść cały dom. Może stało się coś niezwykłego. Może przez okno wskoczył duży dzik? Albo może niewielki meteoryt uderzył w dach? Jedno i drugie było mało prawdopodobne, ale zdawało mi się, że lepiej sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Powierzono mi przecież opiekę nad tym domem. A poza tym, nawet gdybym chciał, tak łatwo bym teraz nie zasnął. Czułem jeszcze w sobie echa tego wstrząsu, serce mi mocno waliło.

Zapalając światła w kolejnych pomieszczeniach, sprawdzałem jedno po drugim. W żadnym nie znalazłem nic odbiegającego od normy. Wszystko wyglądało jak zwykle. Nie był to wcale duży dom, więc gdyby coś się zmieniło, na pewno bym tego nie przegapił. Sprawdziłem wszędzie, została mi tylko pracownia. Otworzyłem drzwi prowadzące do niej z salonu, wszedłem i wyciągnąłem rękę do wyłącznika na ścianie, chcąc zapalić światło, ale wtedy coś mnie powstrzymało.

Coś mi wyszeptało do ucha, że lepiej nie zapalać światła. Był to cichy, lecz dobitny głos. Lepiej, żeby było ciemno. Posłuchałem tego szeptu, odsunąłem rękę od wyłącznika, cicho zamknąłem za sobą drzwi i wytężyłem wzrok w ciemnej pracowni. Wstrzymywałem oddech, nie chcąc robić hałasu.

Kiedy oczy powoli przywykły do ciemności, zdałem sobie sprawę, że oprócz mnie jest tu ktoś jeszcze. Niewątpliwie to czułem. Ten ktoś siedział chyba na taborecie, którego zawsze używałem podczas malowania. Na początku pomyślałem, że to Komandor. Znowu „przybrał formę” i wrócił. Ale ten ktoś był za duży na Komandora. Niewyraźnie majacząca sylwetka wyglądała na należącą do szczupłego wysokiego mężczyzny. Komandor mierzył tylko sześćdziesiąt centymetrów, a ten człowiek miał prawie metr osiemdziesiąt. Jak często bywa w przypadku ludzi wysokich, ten też siedział lekko przygarbiony. Nie poruszał się.

Ja też się nie ruszałem. Patrzyłem na niego od tyłu, oparty o framugę drzwi i z lewą ręką wyciągniętą w stronę przycisku na ścianie, by w razie czego móc natychmiast zapalić światło. Zamarliśmy obaj w swoich pozach w ciemności w środku nocy. Nie wiem dlaczego, ale nie czułem strachu. Oddychałem płytko, serce waliło mi głucho. Ale się nie bałem. W środku nocy do domu dostał się obcy człowiek. Może to złodziej? A może przypadkiem duch? Tak czy inaczej, naturalne byłoby, gdybym się przeląkł. Ale z jakiegoś powodu nie przychodziło mi do głowy, że to może być coś przerażającego, niebezpiecznego.

Od pojawienia się Komandora miały miejsce różne niezwykle wydarzenia i może moja świadomość do tego przywykła. Ale to nie był jedyny powód. Interesowało mnie bowiem, co ten tajemniczy człowiek robi w nocy w pracowni. Wyglądał, jakby siedząc na taborecie, nad czymś się głęboko zamyślił. Wyglądał też, jakby się w coś przed sobą wpatrywał. Nawet dla postronnego obserwatora było jasne, że jego skupienie jest bardzo intensywne. Chyba nawet nie zauważył, że wszedłem. A może to, że tam jestem, w ogóle nie miało dla niego znaczenia.

Starałem się bezgłośnie oddychać, ze wszystkich sił opanować walenie serca i czekałem, aż oczy mi jeszcze bardziej przywykną do mroku. Po pewnym czasie dotarło do mnie, na czym ten człowiek tak się skupia. Wpatrywał się chyba z napięciem w coś wiszącego na ścianie z boku. Powinna tam wisieć *Śmierć Komandora Tomohika Amady*. Wysoki mężczyzna siedział na drewnianym taborecie i lekko pochylony nieruchomo wpatrywał się w obraz. Dłonie położył na kolanach.

Akurat wtedy chmury wcześniej gęsto zakrywające niebo zaczęły się przerzedzać. Wylewające się spomiędzy nich światło księżyca oświetliło na chwilę

pracownię. Zupełnie jak czysta bezgłówna woda obmywająca nagrobek ukazuje ukryty na nim tajemniczy napis. A już w następnej chwili znowu zapanowała ciemność. Ale ona też długo nie trwała. Spomiędzy chmur jeszcze raz wyrzął księżyc i jego jasny blady blask wlał się do pokoju na dziesięć sekund. Przez ten czas udało mi się dostrzec, kim jest ten człowiek.

Miał długie siwe włosy do ramion. Chyba od dawna ich nie cesał, bo były rozczochrane. Sądząc z jego postawy, musiał być w dość podeszłym wieku, do tego wychudzony jak uschnięte drzewo. Na pewno kiedyś był silnym, zdrowym i umięśnionym mężczyzną. Ale z wiekiem i pewnie w wyniku jakiejś choroby tak wychudł. Takie to robiło wrażenie.

Wychudł i bardzo zmienił się na twarzy, dlatego zorientowanie się, kim jest, zabrało mi trochę czasu. W końcu uświadomiłem to sobie w cichym świetle księżycy. Wcześniej widziałem go tylko na kilku zdjęciach, ale tej twarzy nie dało się pomylić z żadną inną. Widziany z boku ostry nos był charakterystyczny, a szczególnie otaczająca mężczyznę silna aura nie pozostawiała żadnych wątpliwości.

Była to zimna noc, ale ja strasznie się spociłem. Serce zaczęło mi bić szybciej i mocniej.

Z jednej strony nie mogłem w to uwierzyć, ale z drugiej byłem zupełnie pewien.

Starzec był autorem obrazu, Tomohikiem Amadą. Tomohiko Amada wrócił do swojej pracowni.



Rozdział 41

Tylko wtedy, kiedy się nie odwracałem

To nie mógł być prawdziwy Tomohiko Amada z krwi i kości. Ten prawdziwy przebywał w domu opieki na wyżynie Izu. Miał zaawansowaną demencję i teraz prawie już nie wstawał z łóżka. Nie mógłby się sam o własnych siłach tutaj dostać. A to oznaczało, że teraz miałem przed oczami jego ducha. Ale o ile wiedziałem, malarz jeszcze nie umarł. Więc może prawidłowo należałoby go nazwać „duchem żyjącego”. A może dopiero co zmarł i przybył tu pod postacią ducha? Taka możliwość oczywiście też wchodziła w rachubę.

Tak czy inaczej, wiedziałem, że nie jest to zwykłe złudzenie. Jak na złudzenie, było zbyt realne, zbyt namacalne. Czułem niewątpliwą obecność człowieka, promieniowanie innej świadomości. Tomohiko Amada dotarł jakimś szczególnym sposobem do swojej własnej pracowni, usiadł na swoim własnym taborecie i patrzył na swój własny obraz *Śmierć Komandora*. Nie zwracał uwagi na moją obecność (prawdopodobnie nawet mnie nie zauważył), badawczy przebijający ciemność wzrok utkwiał w obrazie.

Blask księżyca zagładający chwilami do pokoju, gdy przesuwały się chmury, tworzył wokół jego sylwetki wyraźny cień. Siedział zwrócony do mnie profilem. Był ubrany w stary szlafrok, bosy, bez kapci i skarpetek. Długie włosy miał w nieładzie, na policzkach rzadki biały, niegolony zarost. Twarz zdawała się wyniszczona, ale jego oczy jaśniały przenikliwym blaskiem.

Nie czułem strachu, ale zupełnie nie wiedziałem, co począć. To było coś niezaprzeczalnie niezwykłego. Nic dziwnego, że miałem zamęt w głowie. Jedną rękę ciągle trzymałem na wyłączniku światła, lecz nie chciałem go już zapalać. Znieruchomiałem akurat w tej pozycji i ani drgnąłem. Starłem się nie przeszkadzać mu w tym, co robił – bez względu na to, czy był duchem, złudzeniem czy jeszcze czymś innym. To przecież jego pracownia. Był u siebie. To raczej ja przeszkadzałem. Jeżeli zamierzał tu coś zrobić, nie miałem prawa stawać mu na

drodze.

Dlatego uspokoiłem oddech, rozluźniłem się i bezgłośnie wycofałem z pracowni. Cicho zamknąłem za sobą drzwi. Przez ten czas Tomohiko Amada ani drgnął na taborecie. Pewnie gdybym przewrócił na stole wazon i narobił straszego hałasu, nawet by nie zauważył. Tak intensywne było jego skupienie. Kiedy wychodziłem, światło księżycy spomiędzy chmur ponownie oświetliło jego wychudłą postać. Na koniec wbiłem sobie w pamięć kontur jego sylwetki (w której skondensowało się jego życie) wraz z otaczającym ją delikatnym nocnym cieniem. Nie wolno ci tego zapomnieć, przykazałem sobie. Był to obraz, który musiałem sobie wypalić na siatkówce i zachować w pamięci.

Wróciłem do jadalni, usiadłem przy stole i wypłem kilka szklanek wody mineralnej. Chciałem się napić trochę whisky, ale butelka była pusta. Opróżniliśmy ją wczoraj wieczorem z Menshikim. Nie było w domu innego alkoholu. W lodówce zostało kilka piw, lecz na piwo nie miałem ochoty.

W końcu udało mi się usnąć dopiero po czwartej. Przedtem siedziałem przy stole w jadalni i rozmyślałem. Czułem się strasznie podenerwowany i nie miałem ochoty nic robić. Mogłem tylko zamknąć oczy i rozmyślać, ale nie byłem w stanie myśleć w sposób ciągły na jeden temat. Przez kilka godzin błądziłem, chcąc schwytać skrawki różnych myśli. Jak kociak, który kręci się w kółko, bo chce złapać własny ogon.

Kiedy zmęczyły mnie te bezcelowe rozmyślenia, przywołałem obraz niedawno widzianego zarysu sylwetki Tomohika Amady. I żeby utrwalić te wspomnienia, zrobiłem w myślach prosty szkic. W fikcyjnym szkicowniku fikcyjnym ołówkiem narysowałem postać starca. Kiedy miałem czas, często to robiłem. Nie potrzebowałem prawdziwego papieru ani ołówka. A raczej bez nich operacja była prostsza. Prawdopodobnie przypominałem matematyka piszącego wzory na wymyślonej tablicy. Kiedyś może naprawdę namaluję taki obraz.

Nie chciałem więcej zaglądać do pracowni. Oczywiście byłem ciekaw. Czy dalej był tam starzec, a raczej alter ego Tomohika Amady? Czy ciągle siedział na taborecie i wpatrywał się w *Śmierć Komandora*? Miałem ochotę to sprawdzić. Prawdopodobnie było to bardzo ważne wydarzenie, miałem niepowtarzalną okazję obserwować jego rozwój na miejscu. Być może podsunie mi ono kilka kluczy do rozwiązania zagadek kryjących się w życiu Tomohika Amady.

Ale nawet jeśli tak było, nie chciałem przerywać jego skupienia. Wrócił tu, łamiąc prawa rządzące przestrzenią, prześlizgując się między prawami logiki, żeby dokładnie przyjrzeć się własnoręcznie namalowanej *Śmierci Komandora* albo żeby

się w czymś upewnić. Pewnie kosztowało go to mnóstwo energii. Cennej energii, której pewnie już tak dużo mu w życiu nie zostało. Niebaczny na ogrom tego poświęcenia musiał po raz ostatni do woli napatrzeć się na *Śmierć Komandora*.

Obudziłem się po dziesiątej. Zwykle byłem rannym ptaszkiem, bardzo rzadko zdarzało mi się tak długo spać. Umyłem twarz, zrobiłem kawę i zjadłem śniadanie. Z jakiegoś powodu byłem strasznie głodny. Zjadłem prawie dwa razy tyle co zwykle. Trzy grzanki, dwa gotowane jajka i sałatkę z pomidorów. Wypiłem też dwa duże kubki kawy.

Po śniadaniu zajrzałem na wszelki wypadek do pracowni, ale oczywiście Tomohika Amady już nie było. Miałem przed sobą zwykłą wypełnioną ciszą pracownię, jak co dzień rano. Na sztalugach stał rozpoczęty obraz (na nim Marie Akikawa), a przed nimi pusty okrągły taboret. Dalej stało krzesło z jadalni, na którym siedziała Marie, kiedy pozowała. Na ścianie z boku wisiała *Śmierć Komandora* pędzla Tomohika Amady. Na półce nadal nie było dzwonek. Nad doliną rozpościerało się pogodne niebo, powietrze było zimne i bardzo czyste. Przebijały je przenikliwe głosy ptaków, czujących nadchodzącą zimą.

Zadzwoiłem do firmy Masahika Amady. Zbliżało się już południe, ale głos miał jakby zaspany. Brzmiało w nim poranne poniedziałkowe zmęczenie. Po przywitaniach od niechcenia zapytałem go o ojca. Chciałem się dowiedzieć, czy Tomohiko Amada jeszcze żyje, czy też wczoraj widziałem ducha. Gdyby przypadkiem zmarł wczorajszej nocy, wiadomość powinna już dotrzeć do syna.

– Jak się czuje twój ojciec?

– Byłem u niego kilka dni temu. Na głowę już nic się nie poradzi, ale fizycznie jest w niezłej formie. Przynajmniej na razie nic poważnego mu nie dolega.

Czyli nie umarł, pomyślałem. Postać, którą widziałem wczoraj w nocy, nie była duchem, a tymczasową formą przywołaną siłą woli żyjącego człowieka.

– To pytanie dość dziwnie zabrzmiało, ale czy w stanie zdrowia twojego ojca nie zaszły ostatnio żadne zmiany?

– W stanie ojca?

– Uhm.

– Dlaczego ni stąd, ni zowąd o to pytasz?

Dałem wcześniej przemyślaną odpowiedź: prawdę mówiąc, miałem ostatnio dziwny sen. Śniło mi się, że twój ojciec wrócił w środku nocy do tego domu. I ja go

przypadkiem widziałem. To był bardzo realny sen. Taki, że obudziłem się i wyskoczyłem z łóżka. Więc zacząłem się zastanawiać, czy nic się nie stało.

– Coś takiego – powiedział Masahiko zaintrygowany. – To bardzo ciekawe. Więc mój ojciec wrócił do swojego domu w środku nocy i co mianowicie tam robił?

– Siedział nieruchomo na taborecie w pracowni.

– To wszystko?

– To wszystko. Nie robił nic innego.

– Chodzi ci o ten trójnożny stary okrągły taboret?

– Tak.

Masahiko zamyślił się nad tym przez chwilę.

– Może jest bliski śmierci – powiedział bezbarwnym głosem. – Ludzie mówią, że przed śmiercią dusza odwiedza miejsca, do których coś ją jeszcze ciągnie. O ile wiem, ojca najbardziej ciągnie do tej pracowni.

– Ale on chyba nie ma już wspomnień?

– Nie, nie ma wspomnień w zwykłym sensie. Ale duszę pewnie jeszcze ma. Tylko świadomość nie potrafi się do niej dostać. Po prostu obwód się przerwał i nie ma połączenia ze świadomością. Ale pewnie w głębi ciągle kryje się dusza. Prawdopodobnie nie została zniszczona.

– Coś takiego – powiedziałem.

– Nie bałeś się?

– W tym śnie?

– No bo mówiłeś, że był bardzo realny.

– Nie, szczególnie się nie bałem. Ale to było dość niezwykle. Jakbym naprawdę miał go przed sobą.

– Może to był on – powiedział Masahiko.

Nie wyraziłem opinii na ten temat. Nie mogłem wyjawić przed synem, że Tomohiko Amada prawdopodobnie wrócił tu specjalnie po to, żeby popatrzeć na *Śmierć Komandora* (na dobrą sprawę może to ja zaprosiłem tu jego duszę. Pewnie by nie wróciła, gdybym nie wyciągnął tego obrazu). Musiałbym wyjaśnić mu, że odkryłem obraz na strychu, że bez pozwolenia go odpakowałem, a nawet powiesiłem na ścianie pracowni. Pewnie kiedyś będę musiał mu to wyznać, ale w tej chwili jeszcze nie chciałem o tym mówić.

– Jak się ostatnio widzieliśmy – odezwał się Masahiko – zabrakło czasu i nie mogłem ci powiedzieć tego, co zamierzałem. Mówiłem, że mam ci coś do powiedzenia. Pamiętasz?

– Pamiętam.

– Chciałbym do ciebie wpaść i spokojnie o tym pogadać. Co ty na to?

– To przecież twój dom. Możesz wpadać, kiedy chcesz.

– W następny weekend zamierzam odwiedzić ojca na wyżynie Izu. Więc mógłbym do ciebie wpaść, jak będę wracał. Odawara akurat jest po drodze.

Powiedziałem, że pasuje mi każdy dzień z wyjątkiem późnego popołudnia w środę i piątek oraz niedzielnego przedpołudnia. W środy i piątki prowadziłem kurs malowania, a w niedzielę rano malowałem portret Marie.

Powiedział, że pewnie wpadnie w sobotę po południu.

– Tak czy inaczej, dam ci wcześniej znać.

Po zakończeniu rozmowy poszedłem do pracowni i usiadłem na taborecie. Na drewnianym taborecie, na którym wczoraj w środku nocy siedział Tomohiko Amada. Gdy tylko usiadłem, zorientowałem się, że to już nie jest ten sam mój taboret. Teraz już pewnie zawsze to będzie wyłącznie jego taboret. Dla kogoś niezorientowanego w sytuacji był jedynie starym porysowanym okrągłym taboretem na trzech nogach, ale przesiąkł na wskroś jego wołą. Ja tylko bez pozwolenia go używałem, bo tak się złożyło.

Siedząc na taborecie, wpatrywałem się w wiszącą na ścianie *Śmierć Komandora*. Przyglądałem się temu obrazowi niezliczoną ilość razy. To dzieło zasługiwało na takie wielokrotne podziwianie. Innymi słowy, pozwalało, żeby oglądać je z różnych stron. Lecz teraz miałem ochotę zbadać obraz pod innym kątem. Powinno być tam namalowane coś, czemu Tomohiko Amada musiał się jeszcze raz przed śmiercią przyjrzeć.

Wstrzymując w skupieniu oddech, długo patrzyłem na *Śmierć Komandora* z tego samego miejsca, pod tym samym kątem, w tej samej pozycji, w której wpatrywał się w nią duch żyjącego Tomohika Amady czy jego alter ego. Lecz choć patrzyłem długo i uważnie, nie udało mi się dostrzec n i c z e g o , czego wcześniej tam nie widziałem.

Kiedy zmęczyło mnie rozmyślanie, wyszedłem na dwór. Przed domem stał srebrny jaguar Menshikiego. Nieco oddalony od mojej toyoty corolli kombi. Spędził tu noc.

Jak dobrze wytresowane mądre zwierzę czekał spokojnie, aż właściciel po niego wróci.

Rozmyślając trochę o *Śmierci Komandora*, spacerowałem bez celu w okolicach domu. Kiedy szedłem ścieżką przez las, miałem dziwne uczucie, że z tyłu ktoś na mnie ciągle patrzy. Zupełnie jakby ten Długogęby otworzył kwadratową pokrywę w ziemi i sekretnie obserwował mnie z rogu obrazu. Obejrzałem się szybko za siebie, ale nikogo nie zauważyłem. Nie było dołu w ziemi ani Długogębego. Na pokrytej liśćmi bezludnej ścieżce panowała cisza. Odwróciłem się kilka razy. Ale choć bardzo szybko to robiłem, ani razu nigdzie nikogo nie było.

A może ta kwadratowa dziura w ziemi i Długogęby istnieli tylko wtedy, kiedy się nie odwracałem? Może gdy tylko zamierzałem się odwrócić, w jednej chwili to wyczuwali i ukrywali się. Jak w dziecinnej zabawie. Przeszedłem las i dotarłem do końca ścieżki, którą zwykle nie chodziłem. Zacząłem uważnie szukać w tej okolicy wejścia do „sekretnego korytarza”, o którym mówiła Marie. Lecz choć długo szukałem, niczego nie dostrzegłem. „Jak się normalnie patrzy, to się tego korytarza nie znajdzie” – powiedziała, więc musiał być naprawdę dobrze zakamuflowany. W każdym razie sama po zmroku przyszyła do mnie tym tajemniczym korytarzem z sąsiedniej góry. Przez zarośla i las.

Na końcu ścieżki była mała okrągła polanka. W górze nie było gałęzi, które przedtem zasłaniały widok, i ukazał się mały kawałek nieba. Promienie jesiennego słońca padały prosto na tę polankę. Usiadłem na płaskim kamieniu w tej plamie światła i spojrzałem na dolinę widoczną między pniami drzew. Wyobrażałem sobie, że niebawem z jakiegoś tajemniczego korytarza wyłoni się nieoczekiwanie Marie, ale oczywiście nikt się znikąd nie wyłonił. Czasami przylatywały ptaki, przysiadły na gałęziach i znowu odlatywały. Zawsze przylatywały i odlatywały dwójkami i przenikliwymi głosami zawiadamiły się nawzajem, że ciągle są razem. Czytałem kiedyś w jakimś artykule, że pewnego gatunku ptaki znajdują partnera i spędzają razem całe życie. Po śmierci jednego z nich ten drugi spędza resztę życia samotnie. Rozumie się samo przez się, że nie muszą podpisywać dokumentów rozwodowych przesłanych przez adwokata za poświadczeniem odbioru.

Gdzieś z oddali dobiegała przygnębiająca muzyka. Brzmiała jak sygnał jednej z tych małych ciężarówek prowadzących handel obwoźny. Lecz wkrótce ucichła. Potem z pobliskich zarośli rozległ się niezidentyfikowany głośny szelest. To nie był hałas wywołany przez człowieka, a przez dzikie zwierzę. Przeszedł mnie zimny dreszcz na myśl, że to może być dzik (dziki i szerszenie były w tej okolicy największym zagrożeniem), ale hałas nagle ucichł i więcej się nie powtórzył.

Jednak to on spowodował, że wstałem i ruszyłem do domu. Po drodze zaszedłem na tyły kapliczki i sprawdziłem, jak wygląda dół w ziemi. Jak zwykle, zakryty był deskami, na których leżały rzędem kamienie. Nie wyglądało na to, że ktoś je ruszał. Deski pokrywała gruba warstwa opadłych liści. Zmoczone deszczem, straciły już żywe barwy. Wszystkie liście, które urodziły się takie świeże wiosną, późną jesienią czekała cicha nieunikniona śmierć.

Miałem wrażenie, że jeśli będę się tak wpatrywał w pokrywę, ona za chwilę się uniesie i ze środka wychynie Długogęby ze swoją twarzą w kształcie długiego i wąskiego bakłażana. Ale oczywiście pokrywa się nie uniosła. Do tego dziura, z której Długogęby wychylał się na obrazie, miała kwadratowy przekrój. Była mniejsza, bardziej prywatna. Ponadto w tym dole ukrywał się Komandor, nie Długogęby. A raczej idea, która pożyczyła sobie postać Komandora. Dzwoniąc dzwoniakami, sprowadził mnie tutaj i spowodował, że odkryłem dół.

W każdym razie od tego dołu wszystko się zaczęło. Od kiedy przy pomocy koparki odkryliśmy go z Menshikim, zaczęły się wokół mnie rozgrywać niezrozumiałe wydarzenia. A może wszystko zaczęło się, kiedy znalazłem na strychu *Śmierć Komandora* i ją odpakowałem? Z punktu widzenia kolejności wydarzeń było właśnie tak. Albo może te dwa wydarzenia były od początku ściśle powiązane? Może obraz *Śmierć Komandora* sprowadził do tego domu ideę? Może Komandor pojawiał się przede mną, bo wyciągnąłem ten obraz na światło dzienne? Ale im dłużej o tym myślałem, tym mniej potrafiłem ocenić, co było przyczyną, a co skutkiem.

Kiedy wróciłem domu, na podjeździe nie było już jaguara Menshikiego. Pewnie podczas mojej nieobecności przyjechał po niego taksówką. Albo zlecił komuś przywiezienie samochodu. Tak czy inaczej, na podjeździe została tylko moja pokryta kurzem i jakoś bezradnie wyglądająca corolla kombi. Jak mówił Menshiki, trzeba zmierzyć ciśnienie w oponach. Ale wciąż nie kupiłem ciśnieniomierza. Pewnie już do końca życia nie kupię.

Zamierzałem zrobić coś do jedzenia, lecz kiedy stanąłem w kuchni przed deską do krojenia, zorientowałem się, że dojmujący głód, który jeszcze przed chwilą odczuwałem, gdzieś zniknął. Ogarnęła mnie natomiast gwałtowna senność. Wziąłem koc, położyłem się na kanapie w salonie i usnąłem. Miałem krótki sen. Był bardzo żywy i realny, lecz po obudzeniu zupełnie nie mogłem go sobie przypomnieć. Pamiętałem tylko, że był bardzo żywy i realny. Czułem, że to nie sen, a raczej fragment rzeczywistości, która zaplątała się w moją krótką drzemkę.

Gdy otworzyłem oczy, zniknął bez śladu jak umykające zwinnie zwierzę.



Rozdział 42

Jeśli spadną na podłogę i się rozbiją, to znaczy, że kurze

Ten tydzień minął niespodziewanie szybko. Codziennie przed południem malowałem w skupieniu, a popołudniami czytałem książki, chodziłem na spacer i wykonywałem konieczne prace domowe. I tak mijał dzień za dniem, a ja tego nie zauważałem. W środę po południu przyszła moja dziewczyna i poszliśmy do łóżka. Stare łóżko jak zwykle głośno skrzypiało, co ją bardzo bawiło.

– To łóżko niedługo rozpadnie się na kawałki – oznajmiła podczas stosunku, kiedy chwilę odpoczywaliśmy. – Na takie drobne kawałki, że nie da się stwierdzić, czy to kawałek łóżka, czy pocky[2].

– Może powinniśmy to robić trochę spokojniej i delikatniej.

– Może kapitan Ahab powinien był ruszyć w pogoń za sardynką.

Zastanowiłem się nad tym.

– Są na świecie rzeczy, które niełatwo zmienić. O to ci chodzi?

– Mniej więcej.

Po krótkiej przerwie znowu ruszyliśmy w pogoń za białym wielorybem po bezkresnym morzu. Są na świecie rzeczy, które niełatwo zmienić.

Codziennie po trochu pracowałem nad portretem Marie. Wypełniałem szkielec podmalówki treścią. Zmieszałem kilka kolorów, których obraz wymagał, i pokryłem nimi tło. Była to baza, dzięki której twarz miała się naturalnie wyłonić na płótnie. Zajmując się tym, czekałem, aż Marie znowu przyjdzie do pracowni w niedzielę. W procesie tworzenia obrazu są czynności, które wykonuje się, mając przed sobą modelkę, i inne przygotowawcze, niewymagające obecności modelki. Lubiałem jedno i drugie. Rozmyślałem samotnie i nieśpiesznie nad różnymi elementami, przygotowywałem tło, próbując różnych barw i metod. Cieszyła mnie

taka praca i cieszyło mnie, że wskutek moich działań samoistnie, spontanicznie wyłania się coś rzeczywistego.

Pracując nad portretem Marie, jednocześnie na innym płótnie zacząłem malować dół w ziemi za kapliczką. Ponieważ jego obraz wypalił mi się w świadomości, mogłem to robić, nie mając go przed sobą. Skrupulatnie i dokładnie odtwarzałem zachowany w pamięci kształt i wygląd dołu. Pokazywałem go w stylu niezwykle realistycznym, bardzo naturalistycznie. Nigdy nie tworzyłem realistycznych obrazów (oczywiście nie licząc malowanych dla zarobku portretów), ale byłem w tym całkiem niezły. Jeśli mi przyszła ochota, potrafiłem wykonać tak dokładny i realny obraz figuratywny, że można go było pomylić ze zdjęciem. Czasami malowałem takie superrealistyczne obrazy dla zmiany nastroju, była to też możliwość ćwiczenia podstawowych technik. Ale robiłem to jedynie dla własnej przyjemności i nigdy ich publicznie nie pokazywałem.

W ten sposób *Leśny dół* codziennie coraz bardziej wyraźnie ożywał na moich oczach. Tajemniczy, okrągły, w środku lasu, do połowy zakryty kilkoma grubymi deskami. Dół, z którego wyłonił się Komandor. Na obrazie widniał jedynie ciemny otwór, nie było na nim ludzi. Na ziemi wokół leżały opadłe liście. Widok był przepiękny spokojem. Ale coś sugerowało, że z tego dołu za chwilę może ktoś (albo coś) wypełznąć. Im dłużej się przyglądałem, tym bardziej ogarniało mnie takie przekonanie. Sam stworzyłem ten obraz, a jednak wyczuwałem w nim nieoczekiwany chłód.

W ten sposób codziennie do południa spędzałem czas sam w pracowni. Z pędzlem i paletą w dłoniach, w zależności od tego, na który mi przyszła ochota, malowałem na zmianę dwa obrazy zupełnie różniące się charakterem: *Portret Marie Akikawy* i *Leśny dół*. Siedząc na taborecie, na którym w niedzielną noc siedział Tomohiko Amada, pracowałem w skupieniu nad dwoma stojącymi obok siebie obrazami. Może to dzięki temu skupieniu zniknęło wrażenie ciągłej obecności starego malarza, którą tak silnie odczułem na tym taborecie w poniedziałek rano. Zużyty taboret znów stał się moim praktycznym sprzętem. Tomohiko Amada musiał wrócić tam, gdzie było teraz jego miejsce.

W tym tygodniu czasami chodziłem w nocy do pracowni, uchylałem drzwi i zaglądałem do środka. Ale nigdy nikogo tam nie zastałem. Ani Tomohika Amady, ani Komandora. Przed sztalugami stał tylko stary taboret. Wpadające przez okno słabe światło księżyca spokojnie wyciągało z mroku znajdujące się tam sprzęty. Na ścianie wisiała *Śmierć Komandora*. Przy ścianie stał odwrócony tyłem *Mężczyzna z białego subaru forestera*. Na sztalugach dwa zaczęte obrazy: *Portret Marie*

Akikawy i *Leśny dół*. Pracownię wypełniały zapachy farb olejnych, terpentyny i oleju z nasion maku. Choćbym długo wietrzył pomieszczenie, te zmieszane wonie nigdy nie znikają. Szczególne zapachy, które od dawna wdychałem i pewnie w przyszłości będę dalej wdychał. Nabrałem w płuca nocnego powietrza pracowni pełnego tych znanych mi zapachów, a potem cicho zamknąłem drzwi.

W piątek wieczorem odezwał się Masahiko. Powiedział, że wpadnie w sobotę po południu. Kupi w pobliskim porcie rybackim świeże ryby, więc mam się nie martwić o kolację. Mam tylko czekać i cieszyć się tym, że będę jadł pyszne ryby.

– Mam jeszcze coś kupić? Mogę to zrobić przy okazji, jeśli czegoś potrzebujesz.

– Myślę, że niczego szczególnie mi nie trzeba – powiedziałem, a potem przypomniawszy sobie, dodałem: – Czekaj, whisky mi się skończyła. Ktoś do mnie niedawno przyszedł i wypiliśmy tę od ciebie. Czy mógłbyś mi kupić butelkę? Rodzaj mi nie robi różnicy.

– Ja lubię chivas. Może być?

– Może być.

Masahiko zawsze przywiązywał wagę do rodzaju alkoholu i jedzenia. Mnie takie rzeczy specjalnie nie interesowały. Jadłem i piłem to, co akurat było pod ręką.

Po zakończeniu rozmowy poszedłem do pracowni, zdjąłem ze ściany *Śmierć Komandora*, zaniósłem do sypialni i zakryłem. Nie mogłem pokazać synowi Tomohika Amady nieznanego dzieła, które potajemnie zniósłem ze strychu. A przynajmniej nie w tej chwili.

Gość odwiedzający pracownię mógł więc zobaczyć tylko dwa obrazy: *Portret Marie Akikawy* i *Leśny dół*. Stałem przed nimi i przyglądałem się im na zmianę. Kiedy tak je ze sobą porównywałem, w myślach pojawiła mi się scena, jak Marie idzie za kapliczkę i zbliża się do dołu. Miałem przeczucie, że od tego coś się zacznie. Dół był w połowie zakryty. Ciemność wiodła tam Marie. Czy czekał na nią Długogęby? Czy też może Komandor?

I czy oba obrazy jakoś się ze sobą łączyły?

Od kiedy zamieszkałem w tym domu, malowałem prawie cały czas. Najpierw na zamówienie wykonałem portret Menshikiego, potem *Mężczyznę z białego subaru forestera* (choćaż porzuciłem malowanie go na początku etapu dodawania kolorów), a teraz jednocześnie malowałem *Portret Marie Akikawy* i *Leśny dół*. Zdawało mi się, że te cztery obrazy były jak kawałki puzzli, które się ułożyły i zaczęły opowiadać pewną historię.

A może to ja, malując, zapisuję pewną historię. Tak mi się wydawało. Czy ktoś zlecił mi tę rolę kronikarza albo dał mi prawo do zapisywania? A jeśli tak, to kim był ten ktoś? I dlaczego właśnie ja zostałem wybrany?

Masahiko przyjechał czarnym volvem kombi w sobotę przed czwartą. Lubił stare, kanciaste, uparte volva nie do zdarcia. Już od dość dawna nim jeździł i samochód musiał mieć bardzo duży przebieg, ale nie zamierzał chyba zamieniać go na nowszy model. Tego dnia specjalnie przywiózł własny nóż do oprawiania ryb. Był to bardzo ostry nóż, o który bardzo dbał. Oprawił nim w kuchni dużą świeżutką doradę dopiero co kupioną w Itō. Z natury miał zręczne ręce i umiał robić różne rzeczy. Starannie wyjął wszystkie ości, pokroił filety na sashimi, niczego nie marnując, zrobił wywar z pozostałych części ryby i przygotował zupę. Zdjętą z ryby skórę upiekł nad gazem, aż była chrupka. Świetnie nadawała się na zakąskę do alkoholu. Ja tylko stałem z boku i przyglądałem się pełen podziwu tym kolejnym czynnościom. Chyba mógłby zostać zawodowym kucharzem.

– Prawdę mówiąc, sashimi z ryb o białym mięsie jest lepsze na drugi dzień. Ryba staje się bardziej miękka, nabiera smaku. No ale nie ma rady. Jakoś się zmusisz i zjesz – powiedział Masahiko, fachowo operując nożem.

– Nie jestem wybredny – powiedziałem.

– Jeśli wszystkiego nie zjemy, resztę możesz zjeść jutro.

– Dobra.

– Słuchaj, mógłbym zostać na noc? – zapytał Masahiko. – Chciałbym dziś spokojnie z tobą usiąść i pogadać przy kieliszku. Ale jak się napiję, nie będę mógł prowadzić. Mogę się przespać na kanapie w salonie.

– Oczywiście – powiedziałem. – Przecież to w końcu twój dom. Możesz zostać, jak długo chcesz.

– A nie przyjdzie żadna kobieta?

Potrząsnąłem głową.

– W tej chwili nie mam takich planów.

– To w takim razie zostanę na noc.

– Ale nie musisz spać na kanapie w salonie. Przecież w pokoju gościnnym jest łóżko.

– Nie, ja się będę lepiej czuł na kanapie. Jest dużo wygodniejsza, niż na to wygląda. Zawsze lubiłem na niej spać.

Wyciągnął z papierowej torby butelkę chivas regal i otworzył. Przyniosłem dwie szklanki i lód z lodówki. Kiedy wlewał whisky do szklanek, rozległ się bardzo przyjemny dźwięk. Zabrzmiał jak zwierzenia bliskiej osoby. Potem popijając whisky, przygotowaliśmy razem kolację.

– Pierwszy raz od bardzo dawna możemy się tak spokojnie razem napić – powiedział Masahiko.

– Rzeczywiście. Zdaje mi się, że kiedyś dużo piliśmy.

– Nie, to ja dużo piłem – powiedział. – Ty nigdy za dużo nie piłeś.

Roześmiałem się.

– Może z twojego punktu widzenia tak to wyglądało, ale z mojego piłem wtedy dużo.

Nigdy nie upijałem się do nieprzytomności. Bo zanim się tak upiłem, ogarniała mnie senność i szedłem spać. Z Masahikiem było inaczej. Był typem człowieka, który jak zasiadł do picia, to pił do skutku.

Usiedliśmy naprzeciw siebie przy stole i jedliśmy sashimi, pijąc whisky. Najpierw zjedliśmy po cztery ostrygi, które też przywiózł. Dopiero co pokrojone sashimi było świeże i doskonałe. Rzeczywiście ryba była może jeszcze nieco twarda, ale jedliśmy ją nieśpiesznie, popijając whisky. W końcu zjedliśmy wszystko do ostatniego kęsa. Czuję się już syty. Poza sashimi i ostrygami zjedliśmy tylko upieczoną skórę ryby, piklowany chrzan i tofu. Na koniec popiliśmy wszystko zupą.

– Dawno nie jadłem tak wystawnej kolacji – powiedziałem.

– W Tokio trudno jest taką zjeść – odparł Masahiko. – Może i nieźle jest tu mieszkać. Bo można kupić dobre ryby.

– Ale gdybyś tu mieszkał, pewnie by ci się to znudziło.

– A tobie się nudzi?

– Hm, sam nie wiem. Mnie raczej nuda nie męczy. A poza tym nawet tutaj dzieją się różne rzeczy.

Przeprowadziłem się tu na początku lata, wkrótce poznałem Menshikiego, odsłoniliśmy ten dół za kapliczką, potem zjawiał się Komandor i niebawem zagościły w moim życiu Marie i jej ciotka, Shōko Akikawa. A poza tym rozrywki dostarczała mi moja seksualnie nienasycona zamężna dziewczyna. Nawiedził mnie nawet duch Tomohika Amady. Nie miałem czasu się nudzić.

– Ja też się, o dziwo, raczej nie nudzę – powiedział Masahiko. – Kiedyś byłem

zapalonym surferem. Dużo jeździłem na falach w tych okolicach. Wiedziałeś o tym?

Powiedziałem, że nie. Nigdy wcześniej o tym nie słyszałem.

– Myślę czasem, żeby niedługo wyjechać na stałe z wielkiego miasta i zacząć jeszcze raz takie życie. Wstać rano, popatrzeć na morze, jak będą dobre fale, to wziąć deskę pod pachę.

Mnie by się nie chciało tak zawracać sobie głowy.

– A co z pracą? – zapytałem.

– Wystarczy, żebym był w Tokio dwa dni w tygodniu. Większość tego, czym się teraz zajmuję, robię na komputerze, więc nie ma przeszkód, żebym mieszkał z dala od centrum. Świat się zrobił bardzo wygodny, prawda?

– Nie wiedziałem.

Spojrzał na mnie zniecierpliwiony.

– Już mamy dwudziesty pierwszy wiek. Tyle przynajmniej wiesz?

– Tak mówią – powiedziałem.

Po kolacji przenieśliśmy się do salonu i piliśmy dalej. Jesień dobiegała już końca, ale tamtego wieczoru nie było jeszcze na tyle chłodno, żeby palić w kominku.

– A jak się ma twój ojciec? – zapytałem.

Masahiko lekko westchnął.

– Bez zmian. Głowa zupełnie nie działa. Pewnie nie odróżniłby własnych jaj od kurzych.

– Jeśli spadną na podłogę i się rozbiją, to znaczy, że kurze – powiedziałem.

Masahiko roześmiał się głośno.

– Ale jednak człowiek to przedziwne stworzenie. Jeszcze parę lat temu ojciec naprawdę był odporny i w pełni sił. Umysł też miał zupełnie jasny, jak zimowe niebo. Aż się nieprzyjemnie robiło. A teraz to jakby czarna dziura wspomnień. Jak nieokreślona dziura, która się nagle pojawiła w kosmosie – powiedział Masahiko i pokręcił głową. – Kto to powiedział, że „starość jest najbardziej niespodziewaną rzeczą, która nas w życiu spotyka[3]”?

Odparłem, że nie wiem. Nigdy tego powiedzenia nie słyszałem. Ale może rzeczywiście tak jest. Może starość była jeszcze bardziej niespodziewana niż śmierć. Może daleko przekraczała nasze oczekiwania. Pewnego dnia ktoś nam

wyraźnie powie, że z biologicznego (a także społecznego) punktu widzenia jesteśmy już zbędni.

– A ten sen, który miałeś o moim ojcu, był bardzo realny? – zapytał Masahiko.

– No, tak realny, że wydawał się jawą.

– I ojciec był tu w pracowni?

Zaprowadziłem go do pracowni. Wskazałem na stojący pośrodku taboret.

– W moim śnie twój ojciec siedział nieruchomo na tym taborecie.

Masahiko podszedł do taboretu i położył na nim dłoń.

– Nic nie robił?

– Uhm, nic nie robił, tylko tam siedział.

Nie powiedziałem, że naprawdę wpatrywał się w wiszącą na ścianie *Śmierć Komandora*.

– To był jego ulubiony taboret – powiedział Masahiko. – To zupełnie zwyczajny, stary taboret, ale ojciec był do niego bardzo przywiązany. Zawsze na nim siedział, kiedy malował albo rozmyślał.

– Kiedy człowiek na nim siądzie, ogarnia go niezwykły spokój – stwierdziłem.

Masahiko zamyślony stał przez chwilę z ręką na taborecie. Ale nie usiadł. Potem kolejno obejrzał dwa obrazy na sztalugach. *Portret Marie Akikawy* i *Leśny dół*, nad którymi obecnie pracowałem. Patrzył na nie długo i uważnie. Wzrokiem lekarza szukającego drobnych cieni na zdjęciu rentgenowskim.

– Bardzo ciekawe – powiedział. – Bardzo dobre.

– Oba?

– No, oba są bardzo interesujące. Szczególnie kiedy stoją obok siebie, czuje się w nich jakiś tajemniczy ruch. Są w zupełnie innym stylu, ale gdzieś jest coś, co je łączy w jedną całość.

W milczeniu skinąłem głową. Sam kilka dni temu niejasno odczułem to samo.

– Wydaje mi się, że stopniowo znajdujesz swój własny nowy kierunek. Jakbyś miał wreszcie wyjść z głębokiego lasu. Lepiej tego nie zmarnuj.

Kiedy skończył mówić, wypił łyk whisky z trzymanej w dłoni szklanki. Lód ładnie zagrzechotał.

Ogarnęła mnie gwałtowna chęć pokazania mu *Śmierci Komandora* pędzla jego ojca. Chciałem usłyszeć, co o niej powie. Może to, co powie, da mi jakąś ważną wskazówkę. Ale udało mi się jakoś pohamować.

Jeszcze za wcześnie, coś mnie powstrzymywało. Jeszcze było za wcześnie.

Wyszliśmy z pracowni i wróciliśmy do salonu. Chyba zerwał się wiatr, bo za oknem powoli płynęły na północ ciężkie chmury. Nigdzie nie było widać księżyca.

– No to teraz będzie poważna rozmowa – powiedział Masahiko, jakby podjął decyzję.

– To pewnie coś, o czym wolałbyś nie mówić – domyśliłem się.

– Uhm, to coś, o czym wolałbym nie mówić. N a p r a w d ę wolałbym nie mówić.

– Ale ja powinienem o tym wiedzieć...

Masahiko zatarł dłonie. Zupełnie jak ktoś, kto przygotowuje się do podniesienia wielkiego ciężaru. Potem w końcu zaczął mówić.

– Chodzi o Yuzu. Widziałem się z nią kilka razy. I przed twoim odejściem wiosną, i po. Mówiła, że chce się ze mną spotkać, więc gdzieś się umawialiśmy. Prosiła, żebym ci o tym nie mówił. Nie chciałem mieć przed tobą tajemnic, ale obiecałem jej, że ci nie powiem.

Skinąłem głową.

– Obietnic należy dochowywać.

– No bo z nią też jestem zaprzyjaźniony.

– Wiem – powiedziałem. Masahikowi zależało na przyjaciołach. To czasami było jego słabym punktem.

– Ona miała faceta. To znaczy innego faceta, prócz ciebie.

– Wiem. To znaczy, t e r a z już wiem.

Skinął głową.

– To się zaczęło jakieś pół roku przed twoim odejściem z domu. I trudno mi się do tego przyznać, ale ten facet to mój znajomy. Kolega z pracy.

Lekko westchnąłem.

– Pewnie jest przystojny?

– No, tak. Jest bardzo przystojny. Podczas studiów dorabiał sobie nawet jako model. Ale prawdę mówiąc, to ja go Yuzu przedstawiłem.

Milczałem.

– Oczywiście przypadkiem w końcu tak wyszło – powiedział Masahiko.

– Yuzu zawsze miała słabość do facetów o ładnych twarzach. Sama przyznała, że to prawie jak choroba.

– Ale ty przecież wcale nie jesteś jakiś straszny?

– Dzięki. Dziś będę mógł spać spokojnie.

Przez pewien czas obaj milczeliśmy. W końcu Masahiko powiedział:

– W każdym razie ten facet to przystojniak. Ale to porządny człowiek. Pewnie cię to nie pocieszy, ale nie jest z tych, co biją kobiety, źle je traktują czy chełpią się swoim wyglądem.

– Bardzo mnie to cieszy – powiedziałem. Nie miałem takiego zamiaru, ale mój głos zabrzmiał bardzo ironicznie.

Masahiko mówił dalej:

– Chyba we wrześniu w zeszłym roku byłem gdzieś z tym facetem i przypadkiem spotkaliśmy Yuzu. Akurat była pora lunchu, więc postanowiliśmy zjeść go razem gdzieś w pobliżu we troje. Oczywiście wtedy mi nawet w głowie nie powstało, że między nimi może do czegoś dojść. On jest też pięć lat młodszy od Yuzu.

– Ale oni nie tracili czasu i zostali kochankami.

Masahiko jakby lekko wzruszył ramionami. Zapewne wszystko błyskawicznie się rozwinęło.

– On się mnie radził – powiedział. – Twoja żona też. Znalazłem się w bardzo trudnej sytuacji.

Milczałem. Wiedziałem, że bez względu na to, co powiem, wypadnie to głupio.

Masahiko też przez chwilę milczał. Potem dodał:

– Prawdę mówiąc, ona jest w ciąży.

Zaniemówiłem na chwilę.

– W ciąży? Yuzu?

– Tak, już w siódmym miesiącu.

– Chciała zająć w ciążę?

Masahiko potrząsnął głową.

– Tego to ja nie wiem. Ale ma zamiar urodzić. Przecież to siódmy miesiąc, więc już teraz nie ma innego wyjścia.

– Mnie ciągle mówiła, że jeszcze nie chce dziecka.

Masahiko zajrzał do szklanki i lekko się skrzywił.

– A nie ma możliwości, że to twoje dziecko?

Dokonałem w myślach szybkich obliczeń. Potrząsnąłem głową.

– Nie wiem, jak to wygląda od strony prawnej, ale biologicznie rzecz biorąc, prawdopodobieństwo jest zerowe. Osiem miesięcy temu odszedłem z domu. Od tego czasu w ogóle się nie widzieliśmy.

– No to dobrze – powiedział Masahiko. – W każdym razie prosiła, żeby ci przekazać, że będzie miała dziecko. I że nie sprawi ci tym żadnego kłopotu.

– Po co w ogóle jej zależało, żebyś mi o tym powiedział?

Masahiko potrząsnął głową.

– Kto wie. Może uznała, że wypada cię zawiadomić.

Milczałem. W y p a d a ?

– W każdym razie chciałem cię za to bardzo przeprosić. Strasznie mi przykro, bo wiedząc, że Yuzu spotyka się z moim kolegą, nie mogłem ci o tym powiedzieć. Nawet jeśli były ku temu powody.

– I dlatego w ramach rekompensaty pozwoliłeś mi mieszkać w tym domu?

– Nie, to nie miało związku z Yuzu. Ojciec długo tu mieszkał i tu malował. Pomyślałem, że ty będziesz umiał jakby przejąć po nim to miejsce. Bo nie było mi obojętne, kto tu zamieszka.

Nic na to nie odpowiedziałem. Pewnie mówił prawdę.

– W każdym razie podpisałeś dokumenty rozwodowe, które Yuzu ci przysłała, i odesłałeś jej, prawda?

– Ściśle mówiąc, odesłałem adwokatowi. Więc rozwód już chyba się uprawomocnił. Oni pewnie teraz wybiorą odpowiedni moment i wezmą ślub.

I pewnie stworzą szczęśliwą rodzinę. Drobną Yuzu, przystojny, wysoki tata i małe dziecko. W pogodny niedzielny poranek spacerują zgodnie w pobliskim parku. Scena, od której robi się ciepło na duszy.

Masahiko dodał lodu do szklanek i dolał whisky. Podniósł swoją i wypił łyk.

Wstałem z krzesła, wyszedłem na taras i spojrzałem na dom Menshikiego po drugiej stronie doliny. W kilku oknach paliło się światło. Co Menshiki może teraz robić? O czym myśli?

Wieczorne powietrze było już o tej porze roku dość chłodne. Kompletnie bezlistne gałęzie drżały lekko na wietrze. Wróciłem do salonu i znów usiadłem na

krześle.

– Wybaczysz mi?

Potrząsnąłem głową.

– Przecież to nie jest niczyja wina.

– Ja po prostu bardzo żałuję. Bardzo do siebie z Yuzu pasowaliście i robiliście wrażenie szczęśliwych. Żał mi, że coś takiego się tak tragicznie rozleciało.

– Spadło na podłogę, rozbiło się i okazało się, że to kurze jajko.

Masahiko roześmiał się bezsilnie.

– A ty co? Po rozstaniu z Yuzu spotykasz się z jakąś kobietą?

– Jakaś tam jest.

– Ale to nie to co Yuzu.

– Myślę, że nie. Zawsze szukam w kobiecie pewnej rzeczy. Yuzu t o w sobie miała.

– W innych kobietach tego nie znajdujesz?

Potrząsnąłem głową.

– Jak na razie, nie.

– Szkoda – powiedział. – A nawiasem mówiąc, czego zawsze szukasz w kobietach?

– Nie bardzo potrafię to wyrazić. Ale to jest chyba coś, co z jakiejś przyczyny wcześniej w życiu straciłem, a potem długo tego szukałem. Czy nie wszyscy się w ten sposób zakochują?

– Chyba nie w s z y s c y – powiedział Masahiko, krzywiąc się lekko. – Myślę, że raczej mniejszość. Ale jeśli nie potrafisz tego wyrazić słowami, to może mógłbyś namalować? Przecież jesteś malarzem.

– Jeśli nie mogę wyrazić słowami, powinienem namalować. Łatwo powiedzieć. Ale nie tak łatwo naprawdę to zrobić.

– Jednak warto chyba do tego dążyć?

– Może kapitan Ahab powinien był ruszyć w pogoń za sardynką.

Masahiko się roześmiał.

– Z punktu widzenia bezpieczeństwa pewnie tak. Ale wtedy nie rodzi się sztuka.

– Och, daj spokój. Kiedy pada słowo „sztuka”, rozmowa od razu się kończy.

– Chyba musimy się jeszcze napić – powiedział Masahiko, kręcąc głową. I dołał

nam whisky.

– Ja nie mogę tyle pić. Jutro rano muszę pracować.

– Jutro będzie jutro. Dziś jest tylko dzisiaj – powiedział Masahiko.

Jego słowa miały przedziwną siłę przekonywania.

– Mam do ciebie prośbę – powiedziałem.

Powoli zaczynaliśmy myśleć o spaniu. Na zegarze dochodziła jedenasta.

– Zrobię, co będę mógł.

– Czy mógłbym się spotkać z twoim ojcem? Czy mógłbyś mnie zabrać, kiedy będziesz znowu jechał do domu opieki w Izu?

Masahiko patrzył na mnie, jakbym był jakimś rzadkim okazem zwierzęcia.

– Chcesz się spotkać z moim ojcem?

– Jeśli ci to nie sprawi kłopotu.

– Oczywiście, że nie sprawi mi kłopotu. Ale ojciec jest teraz w stanie, który nie pozwala na sensowną rozmowę. Ma w głowie chaos, kompletną błotnistą breję. Dlatego jeśli czegoś się po nim spodziewasz... jeżeli chcesz uzyskać od Tomohika Amady coś mającego znaczenie, to się zawiedziesz.

– Nie oczekuję niczego takiego. Chciałbym raz się z nim spotkać i dobrze mu się przyjrzeć.

– Dlaczego?

Wzięłem oddech i rozejrzałem się po salonie. Potem powiedziałem:

– Mieszkam w tym domu już pół roku. Maluję w pracowni twojego ojca, siedząc na jego taborecie. Jem z jego talerzy, słucham jego płyt. I kiedy to robię, w różnych miejscach czuję jego obecność. Dlatego pomyślałem, że chciałbym choć raz zobaczyć prawdziwego Tomohika Amadę. Nie przeszkadza mi, że nie uda nam się porozmawiać.

– W takim razie dobrze – powiedział Masahiko. – Ojciec cię pewnie radośnie nie powita, ale nie okaże też niechęci. Bo nie wie już, kto jest kto, nie poznaje ludzi. Dlatego nie ma problemu – mogę cię tam zabrać. Myślę, że niedługo będę znowu do niego jechał. Lekarz powiedział, że ojciec pewnie już długo nie pociągnie. Może odejść w każdej chwili. Jeśli nie będziesz miał innych planów, następnym razem cię zabiorę.

Przyniosłem koc, poduszkę i kołdrę i posłałem mu na kanapie. Jeszcze raz

rozejrzałem się po pokoju, upewniając się, że nigdzie nie ma Komandora. Masahiko na pewno by się przeraził, gdyby obudziwszy się w środku nocy, zobaczył sześćdziesięciocentymetrowego Komandora odzianego w szaty z okresu Asuka. Mógłby pomyśleć, że to przywidzenia alkoholika.

Prócz Komandora w domu był *Mężczyzna z białego subaru forestera*. Stał tyłem do ściany, żeby nikt go nie zauważył. Ale nie wiedziałem, co działo się w ciemności w środku nocy, kiedy spałem.

– Mam nadzieję, że będziesz smacznie spał do samego rana – powiedziałem. Mówiłem tak zupełnie szczerze.

Pożyczyłem mu piżamę. Byliśmy mnie więcej tej samej postury, więc pasowała. Rozebrał się, włożył ją i włożył pod kołdrę. W pokoju panował chłód, ale pod kołdrą było mu chyba ciepło.

– Nie jesteś na mnie zły? – zapytał na koniec.

– Nie jestem zły – odparłem.

– Ale czujesz się trochę zraniony?

– Może i tak – przyznałem. Miałem prawo czuć się trochę zraniony.

– Ale w szklance jest jeszcze jedna szesnasta wody.

– Zgadza się – powiedziałem.

Potem zgasilem światło w salonie i poszedłem sypialni. Niebawem usnąłem wraz z moim trochę zranionym sercem.



Rozdział 43

To nie mogło być jedynie snem

Kiedy się obudziłem, było już zupełnie widno. Niebo pokrywała całkowicie cienka warstwa szarych chmur, ale mimo to na ziemię docierało blade dobroczynne światło słońca.

Umyłem twarz, nastawiłem ekspres, żeby kawa się parzyła, potem poszedłem zobaczyć, co się dzieje w salonie. Masahiko leżał na kanapie owinięty w kołdrę i spał głęboko. Wyglądało na to, że nieprędko wstanie. Na stoliku obok stała prawie pusta butelka po chivas regal. Zostawiłem go tam, zabierając tylko butelkę i szklanki.

Wczoraj, jak na mnie, dość dużo wypilem, ale nie dokuczał mi kac. Mój umysł był jasny, jak zwykle rano. Nie miałem też zgagi. Nigdy w życiu nie miałem kaca. Nie wiem dlaczego. Pewnie to cecha mojego organizmu. Choćbym dużo wypił, jeżeli prześpię całą noc, rano nie ma śladu po alkoholu. Mogę zjeść śniadanie i od razu zabierać się do pracy.

Zrobiłem dwie grzanki, usmażyłem dwa jajka sadzone i jedząc, słuchałem przez radio wiadomości i prognozy pogody. Akcje gwałtownie szły to w górę, to w dół, wybuchł skandal dotyczący pewnego posła, na Bliskim Wschodzie w pewnym mieście był duży zamach terrorystyczny. Podłożono bombę. Było wielu rannych i zabitych. Jak zwykle nie usłyszałem żadnej wiadomości, która by mnie ucieszyła. Lecz nie zdarzyło się nic, co mogłoby bezpośrednio i negatywnie wpłynąć na moje obecne życie. Wszystkie te wydarzenia miały miejsce w jakimś dalekim świecie i dotyczyły nieznanym mi ludzi. Było mi ich żal, ale w tej chwili nijak nie mogłem im pomóc. Prognoza pogody też była znośna. Nie miało być pięknie, lecz też nie jakoś strasznie. Cały dzień będzie lekkie zachmurzenie, ale chyba bez opadów. Chyba. Urzędnicy i ludzie mediów są inteligentni i absolutnie nie używają dwuznacznych słów w rodzaju „chyba”. W tym celu wymyślono wygodne wyrażenie „prawdopodobieństwo wystąpienia opadów” (wtedy nikt nie ponosi

odpowiedzialności).

Kiedy wiadomości i prognoza dobiegły końca, wyłączyłem radio, zmyłem po śniadaniu i schowałem naczynia do szafek. Potem usiadłem przy stole i zatopiłem się w rozmyślaniach, popijając drugą kawę. Normalny człowiek czytałby teraz poranne wydanie gazety, ale ja nie prenumerowałem gazet. Dlatego pijąc kawę, patrzyłem na wspaniałą wierzbę za oknem i rozmyślałem.

Najpierw myślałem o żonie, która wkrótce (podobno) ma urodzić dziecko. Potem nagle uświadomiłem sobie, że nie jest już moją żoną. Nic już nas nie łączyło. Ani w znaczeniu usankcjonowanego społecznie kontraktu, ani w sensie stosunków międzyludzkich. Prawdopodobnie jestem teraz dla niej nic nieznającym obcym człowiekiem. Ta myśl bardzo mnie zaskoczyła. Jeszcze kilka miesięcy temu codziennie jedliśmy razem śniadanie, używaliśmy tego samego mydła i ręczników, znaleźliśmy swoje nagie ciała, spaliśmy w tym samym łóżku, a teraz jesteśmy dla siebie obcymi ludźmi, niemającymi ze sobą nic wspólnego.

Kiedy tak nad tym rozmyślałem, stopniowo nawet sobie samemu zacząłem się wydawać człowiekiem bez znaczenia. Położyłem ręce na stole i przez chwilę im się przyglądałem. Były to niewątpliwie moje dłonie. Prawa i lewa były symetryczne i z grubsza miały taki sam kształt. Malowałem nimi, gotowałem, jadłem, czasami pieściłem kobiety. Ale tego ranka z jakiegoś powodu nie wyglądały na moje własne. I ich grzbiety, i linie w ich wnętrzu, i paznokcie – wszystko wyglądało na nieznanne, jakby należące do obcego człowieka.

Przestałem się przyglądać własnym dłoniom. Przestałem też myśleć o kobiecie, która była kiedyś moją żoną. Wstałem od stołu, poszedłem do łazienki, zdjąłem piżamę i wziąłem gorący prysznic. Starannie umyłem włosy i ogoliłem się przy umywalce. A potem znów pomyślałem o Yuzu, która wkrótce miała urodzić dziecko – nie moje dziecko.

Była mniej więcej w siódmym miesiącu ciąży. Siedem miesięcy temu była druga połowa kwietnia. Co robiłem w drugiej połowie kwietnia? W połowie marca odszedłem z domu i wyruszyłem na długą wycieczkę. Jeździłem bez celu po Tōhoku i Hokkaido starym peugeotem 205. Wróciłem do Tokio na początku maja. W drugiej połowie kwietnia przejechałem z wyspy Hokkaido do prefektury Aomori na Honsiu. Z Hakodate na Hokkaido przepłynąłem promem do Ōmy.

Wyciągnąłem z głębi szuflady dziennik z prostymi zapiskami, które prowadziłem w czasie wycieczki, i sprawdziłem, gdzie wtedy przebywałem. Oddaliłem się od wybrzeża i jeździłem tu i tam po górach Aomori. Była już druga

połowa kwietnia, ale w górach panowało jeszcze zimno i leżał śnieg. Nie mogłem sobie przypomnieć, dlaczego specjalnie pojechałem w takie zimne okolice. Pamiętałem, że spędziłem kilka dni w małym, pustym hoteliku nad jeziorem, ale nie mogłem sobie przypomnieć nazwy miejscowości. Był to stary, nijaki murowany budynek, posiłki były dość skromne (choć smaczne), ale za to cena pokoju zadziwiająco niska. W rogu ogrodu było niewielkie gorące źródło, w którym można się było kąpać o każdej porze. Hotel dopiero się otworzył po zimie i byłem tam chyba jedynym gościem.

Z jakiegoś powodu moje wspomnienia z wycieczki były bardzo zamglone. W notesie, którego używałem zamiast dziennika, wpisywałem jedynie nazwę miejscowości, nazwę hotelu, co jadłem, przebieg samochodu i dzienne wydatki. Opisy pojawiały się tylko, kiedy miałem taki kaprys, i były bardzo uproszczone. Nigdzie nie dostrzegłem żadnych uwag na temat stanu ducha ani odniesionych wrażeń. Pewnie nie miałem o czym pisać. Dlatego czytając teraz ten dziennik, nie byłem w stanie odróżnić jednego dnia od drugiego. Patrząc na nazwy miejscowości, nie mogłem sobie nic skojarzyć. Było też wiele dni, kiedy nie zapisywałem nawet nazw. Takie same pejzaże, takie same potrawy, taka sama pogoda (były tylko dwa typy pogody: zimno albo nie bardzo zimno). Teraz pamiętałem tylko, że tak się to wszystko monotonicznie powtarzało.

Mały szkicownik ze szkicami krajobrazów i przedmiotów nieco bardziej ożywił moje wspomnienia niż dziennik (nie miałem ze sobą aparatu, więc nie zrobiłem ani jednego zdjęcia. Zamiast tego szkicowałem).

Ale to wcale nie znaczyło, że podczas tej wycieczki zrobiłem dużo szkiców. Kiedy nie miałem nic do roboty, brałem niewielki ołówek albo długopis i szkicowałem, co akurat było w okolicy. Kwiaty i trawy przy drodze, psy, koty albo górskie łańcuchy. Kiedy mi przychodziła ochota, szkicowałem też ludzi dookoła, ale prawie wszystkie te rysunki oddałem szkicowanym na ich prośbę.

Dziewiętnastego kwietnia napisałem „ostatniej nocy – sen”. To wszystko. Wtedy zatrzymałem się w tym starym hoteliku nad jeziorem. Słowa „ostatniej nocy – sen” podkreśliłem grubo ołówkiem 2B. Skoro napisałem o tym w dzienniku i nawet podkreśliłem, ten sen musiał mieć jakieś szczególne znaczenie. Ale przypomnienie sobie, co to był za sen, zajęło mi trochę czasu. Wspomnienie nagle wróciło. Tamtej nocy nad ranem miałem bardzo realistyczny erotyczny sen.

We śnie byłem w pokoju w mieszkaniu w Hiroo. W tym, w którym mieszkaliśmy z Yuzu przez sześć lat. W pokoju stało łóżko, leżała na nim moja żona. Patrzyłem

na nią z sufitu. Tak jakbym był zawieszony w powietrzu. Ale we śnie wcale mnie to nie dziwiło. Zawieszenie w przestrzeni wydawało mi się zupełnie naturalne i nie było niczym niezwykłym. No i oczywiście nie byłem świadomy, że to sen. Wisząc w powietrzu, uważałem, że po prostu tam jestem i nie śpię.

Nie chcąc obudzić Yuzu, powoli opuściłem się w dół. Stałem przy łóżku. Byłem bardzo podniecony seksualnie. Bo dawno już z nią nie spałem. Powoli odsunąłem kołdrę. Yuzu musiała być bardzo głęboko uspiona (a może wzięła środek nasenny), bo się nie obudziła, mimo że całkiem ją odkryłem. Nawet nie drgnęła. To mi dodało odwagi. Powoli zdjąłem jej spodnie od piżamy i majtki. Jasnoniebieska piżama i białe bawełniane figi. Mimo to dalej spała. Nie stawiała oporu, nie protestowała.

Delikatnie rozsunąłem jej nogi, dotknąłem palcami waginy. Była ciepła, otwarta i wystarczająco wilgotna. Zupełnie jakby czekała na mój dotyk. Nie mogąc się dłużej powstrzymać, wsunąłem w nią swój sztywny członek. A raczej to ona mnie przyjęła i wciągnęła, jakby była pełna miękkiego masła. Yuzu się nie obudziła, ale wzięła głęboki oddech i wydała cichy dźwięk. Jakby mówiła, że już nie mogła się doczekać, aż to zrobię. Kiedy dotknąłem jej piersi, poczułem, że sutki są twarde jak nasiona jakiegoś owocu.

Może spała teraz głęboko i o czymś śniła? I w tym śnie wzięła mnie za kogoś innego. Dlatego, że już od dawna unikała seksu ze mną. Ale bez względu na to, co jej się śniło, bez względu na to, czy mnie w tym śnie z kimś pomyliła, czy nie, już w nią wszedłem i nie mogłem się teraz wycofać. Gdyby w trakcie się obudziła i zobaczyła, że to ja, pewnie doznałaby szoku. Pewnie by się rozgniewała. Ale nawet gdyby miało do tego dojść, będzie, co będzie. Teraz mogłem tylko dążyć do końca. Z powodu gwałtownego pożądania myśli w mojej głowie przypominały spienioną rzekę, która przerwała śluzę.

Na początku poruszałem się powoli i spokojnie, unikając nadmiernych bodźców, żeby nie obudzić Yuzu, ale wkrótce moje ruchy stały się szybsze, bo wewnątrz jej waginy wyraźnie radośnie mnie powitało i domagało się bardziej gwałtownych ruchów. Niedługo przyszedł moment wytrysku. Chciałem być w niej dłużej, ale nie mogłem nad sobą zapanować. Dawno już nie uprawiałem seksu, a ona, choć uspiona, nigdy przedtem tak aktywnie na mnie nie zareagowała.

Wytrysk był gwałtowny, raz po razie. Nadmiar spermy wylał się z jej ciała i zmoczył prześcieradło. Nic nie mogłem na to poradzić. Zacząłem się nawet martwić, że jeśli wytrysk będzie tak dalek trwał, zostanę pusty w środku. Mimo to Yuzu leżała nadal bezgłośnie i równo oddychała głęboko uspiona. A jednocześnie

jej wagina nie chciała mnie wypuścić. Kurczyła się mocno, jakby obdarzona silną wolą, i dalej wyciskała ze mnie nasienie.

I wtedy się obudziłem. Zauważyłem, że rzeczywiście miałem wytrysk. Bielizna była mokra od dużej ilości nasienia. Nie chcąc pobrudzić pościeli, pośpiesznie zdjąłem majtki i uprałem w umywalce. Potem wyszedłem z hotelu drzwiami od strony ogrodu i skierowałem się do gorącego źródła. Kąpielisko nie było otoczone murem ani zadaszone, więc czułem straszne zimno, ale kiedy zanurzyłem się w wodzie, rozgrzałem się na wskroś.

O tej cichej porze przed świtem byłem tam zupełnie sam. Gorąca para topiła lód, który się skraplał. Słuchając tego kapania, wiele razy odgrywałem znów w myślach tę scenę. Ponieważ wspomnienie było tak żywe i namacalne, trudno było uwierzyć, że to sen. N a p r a w d ę byłem w mieszkaniu w Hiroo i n a p r a w d ę miałem stosunek z Yuzu. Nie było innej możliwości. Na obu dłoniach czułem jeszcze wyraźnie dotyk jej gładkiej skóry, mój członek pamiętał jeszcze dotyk jej wnętrza. To wnętrze gwałtownie mnie pożądało, ciasno do mnie przylgnęło (może i wzięła mnie za kogoś innego, ale to byłem ja). Jej wagina przylgnęła do mojego członka i chciała z niego wycisnąć nasienie do ostatniej kropli.

Nie dało się zaprzeczyć, że czułem się trochę winny z powodu tego snu (czy czegoś w rodzaju snu). No bo w wyobraźni zgwałciłem żonę. Rozebrałem śpiącą Yuzu i wsunąłem członek do jej waginy bez jej zgody. Nawet w małżeństwie jednostronny seks uchodzi pod względem prawnym za gwałt. W tym sensie to, co zrobiłem, było naganne. Ale w sumie, obiektywnie na to patrząc, b y ł t o s e n. Coś, co przeżyłem, śpiąc. Ludzie nazywają to „snem”. Nie stworzyłem tego snu celowo. Nie napisałem do niego scenariusza.

Ale niewątpliwie było to też coś, czego pragnąłem. Gdybym naprawdę – nie we śnie – znalazł się w takiej sytuacji, być może zrobiłbym to samo. Delikatnie rozebrałbym śpiącą Yuzu i samowolnie wszedłbym w nią. Chciałem trzymać ją w ramionach i chciałem w nią wejść. Ogarnęło mnie gwałtowne pragnienie, by to zrobić. I zrealizowałem je we śnie prawdopodobnie w formie bardziej przesadnej, niż miałyoby to miejsce w rzeczywistości (lub mówiąc na odwrót, było to coś, co mogłem zrealizować tylko we śnie).

Ten realny sen erotyczny dostarczył mi na krótki czas pewnego rodzaju poczucia szczęścia w mojej samotnej podróży. Jakby podniósł mnie na duchu. Kiedy go sobie przypomiąłem, mogłem poczuć, że jestem namacalnie związany z tym światem jako żywy organizm. Przywiązany do niego nie logiką czy

pojęciami, a doznaniem i cielesnym.

Lecz jednocześnie serce przeszywał mi ból na myśl, że Yuzu pewnie naprawdę doznawała tego typu odczuć w czyichś ramionach, w ramionach innego mężczyzny. Ten ktoś dotykał jej stwardniałych sutków, zdejmował małe białe figi, wprowadzał członek do jej wilgotnej pochwy i miał wielokrotny wytrysk. Gdy sobie to wyobrażałem, czułem gwałtowny ból, jakbym wewnątrz krwawił. Nigdy wcześniej (o ile pamiętałem), nie doznałem czegoś takiego.

To był przedziwny sen nad ranem dziewiętnastego kwietnia. Zapisałem w dzienniku „ostatniej nocy – sen” i podkreśliłem grubą kreską ołówkiem 2B.

W tym samym czasie Yuzu musiała zająć w ciążę. Oczywiście nie da się dokładnie ustalić daty zapłodnienia, ale chyba można uznać, że doszło do tego w tamtym okresie.

To bardzo przypominało historię, którą opowiedział mi Menshiki. Tylko że on naprawdę miał stosunek z żywą kobietą na kanapie w swoim biurze. Nie zdarzyło mu się to we śnie. I dokładnie w tym okresie ta kobieta zaszła w ciążę. Zaraz po tym wyszła za mąż za tego starszego od siebie zamożnego faceta i niebawem urodziła się Marie Akikawa. Dlatego były podstawy, by Menshiki przypuszczał, że dziewczynka może być jego córką. Być może prawdopodobieństwo było niewielkie, ale rzeczywiście istniało. Lecz w moim przypadku stosunek z Yuzu miał miejsce jedynie we śnie. Byłem wtedy w górach w prefekturze Aomori, a ona (prawdopodobnie) w centrum Tokio. Dlatego dziecko, które miała urodzić, nie mogło być moje. Logicznie biorąc, było to zupełnie jasne. Prawdopodobieństwo było równe zeru. L o g i c z n i e b i o r a c.

Lecz ten sen był zbyt realny jak na to, żeby kierować się w tej sprawie jedynie logiką. Poza tym seks ze snu wywarł na mnie większe wrażenie i dostarczył mi daleko więcej rozkoszy niż stosunki odbywane w ciągu sześciu lat naszego małżeństwa. Kiedy miałem wytrysk po wytrysku, czułem się, jakby w głowie wywaliło mi wszystkie korki. Stopiło się kilka warstw rzeczywistości, potem mieszały się one z moimi myślami i wprowadziły w nich głęboki chaos. Zupełnie jak chaos na początku świata.

Tak namacalne wydarzenie nie mogło być jedynie snem. Musiało do czegoś doprowadzić. Wyraźnie to czułem. Ten sen musiał mieć jakiś wpływ na rzeczywistość.

Masahiko obudził się przed dziewiątą. Przyszedł w piżamie do jadalni. Napił się gorącej czarnej kawy. Powiedział, że nie chce śniadania, wystarczy kawa. Miał nieco zapuchnięte oczy.

– Wszystko okej? – zapytałem.

– Okej – powiedział, pocierając powieki. – Wiele razy miałem większego kaca. Ten jest raczej z tych lekkich.

– Nie musisz się śpieszyć z odjazdem.

– Ale spodziewasz się wizyty?

– Dopiero o dziesiątej. Jest jeszcze trochę czasu. A poza tym przecież możesz tu być, jak panie przyjdą. Przedstawię cię. Obie są bardzo ładne.

– Obie? To nie tylko ta dziewczynka, która ci pozuje?

– Przychodzi pod opieką ciotki.

– Pod opieką ciotki? To koloryt lokalny w starym stylu. Zupełnie jak z powieści Jane Austen. Nie przyjeżdżają chyba w gorsetach dwukonnym powozem?

– Powozem nie. Toyotą prius. Gorsetów też nie noszą. Kiedy maluję dziewczynkę w pracowni, co zajmuje około dwóch godzin, ciotka czeka w salonie, czytając książkę.

– Jaką książkę?

– Nie wiem. Pytałem, ale mi nie powiedziała.

– Coś takiego! A właśnie, à propos książek, pamiętam, że w *Biesach* Dostojewskiego był facet, który się zastrzelił na dowód, że jest wyzwolony. Jak on się nazywał? Pomyślałem, że ty pewnie będziesz wiedział.

– Kiryłow.

– Ano tak, Kiryłow. Ostatnio próbowałem sobie przypomnieć, ale nie mogłem.

– A dlaczego?

Masahiko potrząsnął głową.

– Bez specjalnego powodu. Przy jakiejś okazji przyszedł mi do głowy, ale za nic nie mogłem sobie przypomnieć, jak się nazywał. I nie dawało mi to spokoju. Jak niewielka ość, która utkwi człowiekowi w gardle. Rosjanie jednak rozmyślali o bardzo niezwykłych sprawach.

– W powieściach Dostojewskiego pojawia się wiele postaci, które głupio postępują, chcąc udowodnić, że uwolniły się od Boga i przeciętności społeczeństwa. No ale może wtedy w Rosji to nie było takie głupie.

– A co z tobą? – zapytał Masahiko. – Rozwiodłeś się oficjalnie z Yuzu i jesteś wolnym człowiekiem bez obciążeń. I co teraz zrobisz? Nie jest to może wolność, której pragnąłeś, ale wolność to zawsze wolność. A skoro tak, to może czas, żebyś choć raz zrobił coś głupiego.

Roześmiałem się.

– W tej chwili nie zamierzam specjalnie nic robić. Może i jestem wolny, ale nie ma chyba potrzeby udowadniać tego całemu światu.

– Może i nie – powiedział Masahiko rozczarowany. – Ale przecież jesteś malarzem. Artystą. Artysty powinni częściej pozwalać sobie na szaleństwa. Ty nigdy nie robiłeś nic głupiego. Zdawało się, że zawsze postępujesz rozsądnie. Może lepiej czasem pozbyć się zahamowań?

– Na przykład zabić siekierą starą lichwiarke?

– To jedna możliwość.

– Zakochać się w uczciwej prostytutce?

– To też niezły pomysł.

– Zastanowię się – powiedziałem. – Ale nawet jeśli nie zrobię nic głupiego, wygląda na to, że rzeczywistość straciła wszelkie hamulce. Więc chciałbym choć ja normalnie się zachowywać.

– To też jest pewien sposób myślenia – powiedział jakby zrezygnowany.

Chciałem mu odpowiedzieć, że to nie jest żaden pewien sposób myślenia. Naprawdę otaczała mnie rzeczywistość, która pozbyła się wszelkich hamulców. Jeżeli do tego ja się przestanę hamować, stracę panowanie nad sytuacją. Ale nie mogłem mu teraz tego wszystkiego tłumaczyć.

– No w każdym razie ja już polecę – powiedział Masahiko. – Chętnie poznałbym te panie, ale w Tokio czeka na mnie praca.

Wypił do końca kawę, przebrał się i odjechał czarnym kanciastym volvem. Miał wciąż zapuchnięte oczy. Przed odjazdem powiedział:

– Zrobiłem ci kłopot. Ale fajnie było po raz pierwszy od dawna spokojnie pogadać.

Tego dnia jedna rzecz nie dawała mi spokoju. Nie mogłem znaleźć noża do oprawiania ryb, który przywiózł Masahiko. Nie pamiętałem, gdzie go wsadziłem po umyciu. Szukaliśmy go we dwóch w całej kuchni, ale nie znaleźliśmy.

– Nieważne – powiedział Masahiko. – Pewnie poszedł sobie na spacer. Jak wróci, to go gdzieś dla mnie przechowaj. Rzadko go używam, więc zabiorę przy

następnej okazji.

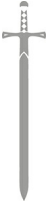
Kiedy volvo zniknęło mi z oczu, spojrzałem na zegarek. Niedługo miały przyjść panie Akikawa. Wróciłem do salonu, zabrałem z kanapy pościel, otworzyłem szeroko okno i wywietrzyłem pokój wypełniony ciężkim, zastałym powietrzem. Niebo było jeszcze lekko zachmurzone. Nie wiał wiatr.

Przyniosłem z sypialni *Śmierć Komandora* i powiesiłem w pracowni, tam gdzie przedtem. Usiadłem na taborecie i znów spojrzałem na obraz. Komandor nadal broczył czerwoną krwią z rany na piersi, Długogęby z lewego dolnego rogu obserwował scenę przenikliwym wzrokiem. Nic się nie zmieniło.

Ale kiedy tego poranka przyglądałem się *Śmierci Komandora*, w myślach ciągle widziałem twarz Yuzu. Ponownie pomyślałem, że to jednak nie mógł być sen. Na pewno byłem tamtej nocy w jej mieszkaniu. Tak samo jak Tomohiko Amada, który odwiedził kilka dni temu tę pracownię, jakoś złamałem prawa fizyki i jakimś sposobem dostałem się do tego pokoju w mieszkaniu w Hiroo, naprawdę w nią wszedłem i miałem w niej wytrysk prawdziwej spermy. Jeżeli się czegoś naprawdę pragnie z całego serca, można to osiągnąć. Tak mi się wydawało. Jeśli przejdzie się przez pewien szczególny kanał, rzeczywistość może się stać nierzeczywista. Albo nierzeczywistość może się stać rzeczywista. Jeżeli pragnie się tego z całego serca. Ale to nie dowodzi, że zostało się wyzwolonym. Być może dowodzi to czegoś wręcz przeciwnego.

Gdybym miał okazję zobaczyć się z Yuzu, zapytałbym ją, czy i ona miała w drugiej połowie kwietnia taki erotyczny sen. Czy śniło jej się, że nad ranem przyszedłem do jej pokoju i zgwałciłem ją podczas snu (albo kiedy odebrana jej została możliwość poruszania się). Innymi słowy, czy dziwny sen nawiedził tylko mnie, czy też oboje go dzieliliśmy. Chciałem się co do tego upewnić. Jeżeli miała ten sam sen co ja, mogłem być w jej oczach czymś złowieszczym, złym, kimś w rodzaju demona z sennego koszmaru. Wolałem nie myśleć o tym, że jestem – że mogłem się stać – kimś takim.

Czy byłem wolny? To pytanie nie miało dla mnie żadnego znaczenia. W tej chwili najbardziej potrzebna mi była pewna i namacalna rzeczywistość. Solidny grunt pod nogami. A nie wolność, która pozwalała mi gwałcić we śnie żonę.



Rozdział 44

Cechy, które sprawiają, że ktoś jest tym kimś

Marie w ogóle się tego dnia nie odzywała. Siedziała na tym samym co zwykle krześle z jadalni i pozując, patrzyła w milczeniu prosto na mnie, jakby wpatrywała się w jakiś daleki krajobraz. Ja też nie zaczynałem rozmowy. Nie przychodził mi do głowy żaden temat i nie czułem specjalnej potrzeby, żeby rozmawiać. Dlatego w milczeniu sunąłem pędzlem po płótnie.

Oczywiście próbowałem namalować Marie, ale jej rysy mieszały się z rysami twarzy mojej zmarłej siostry, Komi, i mojej byłej żony, Yuzu. Może przeżywszy połowę życia, szukałem w dziewczynce imieniem Marie śladów ważnych kobiet, które utraciłem. Sam nie wiedziałem, czy to normalne. Ale wtedy potrafiłem tylko tak malować. Nie, nie tylko wtedy. Jakby się nad tym zastanowić, może od samego początku w mniejszym lub większym stopniu właśnie tak malowałem. Było to ukazywanie na obrazie tego, czego pragnąłem, lecz nie mogłem zdobyć w rzeczywistości, umieszczanie ukradkiem w jego głębi własnych tajemniczych sygnałów, tak by nikt inny ich nie dostrzegł.

Tak czy inaczej, stałem przed sztalugami i pewnymi ruchami pędzla malowałem portret Marie. Stale, krok po kroku, zbliżał się do końca. Jak rzeka, która z powodu rzeźby terenu wiję się tu i tam, gdzieniegdzie się rozlewa i prawie się zatrzymuje, ale w końcu staje się coraz szersza, wzbiera i nieustannie wpływa ujściem do morza. Czułem w sobie jej prąd, zupełnie jakbym czuł pulsującą w ciele krew.

– Mogę potem do pana wpaść – zapytała Marie cicho i potajemnie, zanim wyszła. Koniec zdania zabrzmiał, jakby mi to oznajmiała, ale niewątpliwie było to pytanie. Pewnie pytała mnie o zgodę.

– Wpaść, czyli przyjść tym sekretnym korytarzem?

– Uhm.

– Proszę bardzo. O której mniej więcej?

– Jeszcze nie wiem o której.

– Lepiej, żebyś nie chodziła po zmroku. Bo nie wiadomo, co może ci się przytrafić w nocy w górach.

W tej okolicy w ciemności czaiły się różne niepojęte postacie: Komandor, Długogęby, mężczyzna z białego subaru forestera, duch Tomohika Amady. I nawet zmora z nocnego koszmaru będąca moim erotycznym alter ego. Ja też w pewnych wypadkach mogłem w ciemnościach nocy stać się c z y m ś z ł o w i e s z c z y m. Na tę myśl przeszył mnie zimny dreszcz.

– Dobrze. Będę czekał.

Niedługo rozległ się południowy kurant, a ja zakończyłem malowanie.

Shōko Akikawa siedziała jak zwykle na kanapie pochłonięta lekturą. Wyglądało na to, że niebawem skończy tę grubą książkę. Zdjęła okulary, założyła stronę zakładką, podniosła głowę i spojrzała na mnie.

– Praca się posuwa. Jeśli Marie przyjdzie jeszcze raz albo dwa, pewnie uda mi się skończyć – powiedziałem. – Przepraszam, że zajmuję pani tyle czasu.

Shōko Akikawa się uśmiechnęła. Był to miły uśmiech.

– Proszę się w ogóle tym nie martwić. Marie chyba podoba się pozowanie, a ja już się cieszę na skończony obraz. A poza tym na tej kanapie świetnie się czyta. Dlatego czekanie tu wcale mnie nie nuży. Lubię czasem wyjść z domu, żeby zmienić otoczenie.

Chciałem ją zapytać o wrażenia z wizyty w domu Menshikiego, u którego były w zeszłą niedzielę. Jak jej się podobała ta wspaniała willa. Co sądzi o Menshikim. Ale zdawało mi się, że niegrzecznie byłoby ją o to pytać, jeśli sama nie poruszy tematu.

Tego dnia też była bardzo starannie ubrana. Zupełnie nie jak na wizytę w sąsiedztwie w niedzielny poranek. Spódnica z wielbłądziej wełny bez jednej zmarszczki, elegancka biała jedwabna bluzka z dużą kokardą, na kołnierzyku ciemnego szaroniebieskiego żakietu złota broszka ozdobiona szlachetnymi kamieniami. Wyglądały na brylanty. Zdawało mi się, że jest nieco zbyt elegancko ubrana jak na jazdę toyotą prius. Ale to nie była moja sprawa. A poza tym specjaliści od reklamy w Toyocie mogli mieć w tej kwestii zupełnie inne zdanie niż ja.

Marie była ubrana jak zwykle. Znana mi bluza z kapturem, dziurawe dżinsy i białe adidasy jeszcze brudniejsze niż buty, które zwykle nosiła (podeszwy pod piętami były prawie całkiem znoszone).

Przy wyjściu Marie posłała mi za plecami ciotki znaczące spojrzenie. Była to sekretna wiadomość oznaczająca „Do zobaczenia później”. Odpowiedziałem lekkim uśmiechem.

Po odprowadzeniu ich do samochodu wróciłem do salonu i uciałem sobie drzemkę na kanapie. Nie byłem głodny, więc darowałem sobie lunch. Spałem przez pół godziny, krótko, ale głęboko, nic mi się nie śniło. Na szczęście. Przerazało mnie, że nie wiem, co mogę we śnie zrobić, a jeszcze bardziej przerazało mnie, że nie wiem, k i m mogę się we śnie stać.

Spędziłem to niedzielne popołudnie w niejasnym ponurym nastroju, który pasował do pogody za oknem. Był lekko pochmurny, spokojny, bezwietrzny dzień. Trochę poczytałem, posłuchałem muzyki i trochę gotowałem, ale żadna z tych czynności nie pozwalała mi wziąć się w garść. Tego popołudnia wszystko zostawało niedokończone. Co miałem robić? Podgrzałem wodę w wannie i na długo się w niej zanurzyłem[4]. Przypominałem sobie jedno po drugim trudne nazwiska bohaterów *Biesów* Dostojewskiego. Łącznie z Kiryłowem udało mi się przywołać w pamięci siedem nazwisk. Nie wiem dlaczego, ale już w liceum byłem dobry w zapamiętywaniu nazwisk bohaterów starych długich rosyjskich powieści. Może przyszła pora, żeby znów przeczytać *Biesy*? Byłem wolny, miałem za dużo czasu i nie miałem nic do roboty. To idealne okoliczności do czytania starych długich rosyjskich powieści.

Potem znów pomyślałem o Yuzu. Jeśli jest w siódmym miesiącu, to jej ciąża jest już pewnie widoczna. Spróbowałem wyobrazić sobie Yuzu. Co mogła teraz robić? O czym myślała? Czy była szczęśliwa? Oczywiście nie miałem pojęcia.

Może Masahiko miał rację. Może powinienem zrobić coś głupiego, żeby udowodnić, że jestem wyzwolony, jak dziewiętnastowieczny rosyjski intelektualista. Ale na przykład co? Na przykład... Zamknąć się na godzinę w ciemnym, głębokim dole. Wtedy nagle coś mi przyszło do głowy. Przecież Menshiki właśnie to naprawdę zrobił. Może to wszystko, co robił, nie było głupie. Ale jednak, łagodnie mówiąc, odbiegało od powszechnie przyjętych norm.

Marie przyszła po czwartej. Odezwał się dzwonek, otworzyłem drzwi, a na progu stała ona. Wślizgnęła się szybko do środka przez szparę w drzwiach, zupełnie jak strzęp chmury. Potem uważnie rozejrzała się dookoła.

– Nikogo nie ma.

– Nikogo nie ma – powiedziałem.

– Wczoraj ktoś był.

To było pytanie.

– Tak, nocowała tu znajoma osoba.

– Znajomy mężczyzna.

– Tak, znajomy mężczyzna. Ale skąd wiesz, że ktoś tu był?

– Bo przed domem stał czarny samochód, którego wcześniej nie widziałam. Stary kanciasty samochód, jak pudełko.

Volvo kombi, które Masahiko nazywał szwedzkim pudełkiem na drugie śniadanie. Świetnie nadawałby się do przewozu nieżywych reniferów.

– Czyli wpadłaś tu wczoraj?

Marie w milczeniu skinęła głową. Może kiedy miała czas, przechodziła „sekretnym korytarzem”, żeby zobaczyć, co się u mnie dzieje. To był teren, na którym się bawiła na długo przed moim przybyciem. Może powinienem go nazwać jej „terenem łowieckim”, a ja przypadkiem się na nim pojawiłem. Skoro tak, to czy zetknęła się z Tomohikiem Amadą, który tu mieszkał? Będę musiał ją kiedyś o to zapytać.

Zaprosiłem ją do salonu. Usiadła na kanapie, a ja na fotelu. Zapytałem, czy się czegoś napije, ale odmówiła.

– To był mój kolega ze studiów – powiedziałem.

– Dobry kolega?

– Myślę, że tak. Być może to jedyny człowiek, którego nazwałbym przyjacielem.

Tak dobrym przyjacielem, że na naszą przyjaźń nie wpłynęło nawet to, że przedstawił mojej żonie kolegę, z którym zaczęła sypiać, a on, wiedząc o tym, słowem się na ten temat nie zająknął. I że z tego powodu niedawno się z nią rozwiodłem. Nazwanie go przyjacielem nie było sprzeczne z prawdą.

– A ty masz dobrych przyjaciół?

Marie nie odpowiedziała. Nawet nie drgnęła jej powieka, wyglądała, jakby nie słyszała. Pewnie nie powinienem o to pytać.

– Pan Menshiki nie jest pana dobrym przyjacielem – powiedziała Marie. Na końcu nie postawiła znaku zapytania, ale było to zwykłe pytanie. Czy Menshiki nie jest moim dobrym przyjacielem? O to mnie

pytała.

– Tak jak ci wcześniej mówiłem, nie znam pana Menshikiego na tyle, żebym mógł go nazwać przyjacielem. Zacząłem się z nim widywać i rozmawiać po wprowadzeniu się tutaj, a mieszkam tu dopiero od pół roku. Zaprzyjaźnienie się z kimś zajmuje dość dużo czasu. Oczywiście uważam, że to bardzo interesujący człowiek.

– Interesujący.

– Jak by to powiedzieć? Zdaje mi się, że jego osobowość trochę się różni od osobowości zwykłych ludzi. A raczej nie trochę, tylko znacznie. Niełatwo go zrozumieć.

– Osobowość.

– Cechy, które sprawiają, że ktoś jest tym kimś.

Marie przez chwilę patrzyła mi nieruchomo w oczy. Jakby starannie dobierała słowa.

– Jego taras jest dokładnie naprzeciw mojego domu.

Odpowiedziałem po chwili.

– No tak. Rzeczywiście z punktu widzenia topografii jest dokładnie naprzeciwko. Ale stamtąd tak samo widać mój dom. Nie tylko twój.

– A ja myślę, że o n p a t r z y na mój.

– Jak to patrzy?

– Miał na tarasie dużą lornetkę, chociaż była zakryta, żeby nikt nie zauważył. Miała też jakby statyw. Jak się przez nią patrzy, pewnie dokładnie widać, co się u nas dzieje.

Z a u w a ż y ł a l o r n e t k ę , p o m y ś l a ł e m . Była uważna i miała zmysł obserwacji. Nie umykało jej nic ważnego.

– Chodzi ci o to, że pan Menshiki obserwuje twój dom przez lornetkę?

Marie krótko skinęła głową.

Wzięłem głęboki oddech, a potem powiedziałem:

– Ale to tylko twoje przypuszczenia. To, że ma na tarasie silną lornetkę, nie oznacza, że obserwuje twój dom. Może patrzy na gwiazdy albo księżyc.

Oczy Marie ani drgnęły.

– Cały czas czułam, że ktoś na mnie patrzy. Od pewnego czasu. Ale nie wiedziałam, kto i skąd. Teraz wiem. To na pewno t e n c z ł o w i e k .

Jeszcze raz powoli odetchnąłem. Przypuszczenia Marie były słuszne. Niewątpliwie to Menshiki obserwował codziennie jej dom przez silną wojskową lornetkę. Ale o ile wiedziałem – choć nie zamierzałem go bronić – obserwował go bez żadnych złych zamiarów. Chciał po prostu patrzeć na tę dziewczynkę. Na tę piękną trzynastolatkę, która mogła być jego córką. Dlatego, tylko dlatego, kupił ten wielki dom po drugiej stronie doliny naprzeciw jej domu. Zmusił poprzednich właścicieli do wyniesienia się dość brutalnymi metodami. Nie mogłem jednak wyjawiać tego Marie.

– Załóżmy, że jest tak, jak mówisz – powiedziałem. – Ale z jakiego powodu miały tak uparcie obserwować twój dom?

– Nie wiem. Może przypadkiem ciocia go zainteresowała?

– Twoja ciocia go z a i n t e r e s o w a ł a ?

Marie lekko wzruszyła ramionami. Chyba w ogóle nie podejrzewała, że to ona mogła być obiektem obserwacji. Może jeszcze nie przyszło jej do głowy, że mogła się stać przedmiotem erotycznego zainteresowania mężczyzn. Trochę mnie to zaskoczyło, ale nie zaprzeczyłem jej domysłom. Skoro tak jej się wydawało, to niech tak dalej myśli.

– Myślę, że pan Menshiki coś ukrywa – powiedziała.

– Na przykład co?

Nie odpowiedziała. Zamiast tego oznajmiła, jakby wyjawiała ważną informację:

– Ciocia w tym tygodniu już dwa razy była na randce z panem Menshikiem.

– Na randce?

– Myślę, że była u niego w domu.

– Chodzi ci o to, że sama do niego pojechała?

– Po dwunastej wsiadła do samochodu i gdzieś pojechała, wróciła późno po południu.

– Ale nie masz pewności, że była u pana Menshikiego?

– Ja to i tak wiem.

– Skąd?

– Bo zwykle tak nie wychodzi. Oczywiście pomaga w bibliotece, jeździ po zakupy, ale wtedy nie bierze długo prysznic, nie robi paznokci, nie perfumuje się, nie wkłada najładniejszej bielizny.

– Dostrzegasz różne szczegóły – powiedziałem z podziwem. – Ale skąd wiesz,

że ciocia spotyka się z panem Menshikim? Przecież możliwe, że z innym mężczyzną.

Marie patrzyła na mnie spod zmrużonych powiek. Potem lekko potrząsnęła głową. Jakby mówiła, że nie jest taka głupia. Biorąc pod uwagę różne okoliczności, w rachubę wchodził pewnie tylko Menshiki. I oczywiście Marie nie była głupia.

– Ciocia jeździ do pana Menshikiego i spędzają we dwoje czas.

Marie skinęła głową.

– I... jak by to powiedzieć... są w bardzo bliskich stosunkach?

Marie jeszcze raz przytaknęła. Leciutko się zarumieniła.

– Tak, myślę, że są w bardzo bliskich stosunkach.

– Ale przecież w ciągu dnia jesteś w szkole. Nie ma cię w domu. Więc skąd wiesz?

– Wiem. Można to poznać po twarzy kobiety.

Ale ja nie poznałem. Długo się nie zorientowałem, że moja żona, mieszkając ze mną, sypiała z innym mężczyzną. Teraz mi się wydaje, że powinienem był się zorientować. Dlaczego nie wyczułem czegoś, co od razu wyczuła trzynastoletnia dziewczynka?

– Ta znajomość błyskawicznie się rozwinęła – powiedziałem.

– Moja ciocia wszystko przemyśliwuje i nie jest wcale głupia. Ale ma w sobie pewną s ł a b o ś ć . Myślę, że pan Menshiki posiada siłę, której nie mają zwykli ludzie. Taką siłę, której ciocia nie jest w stanie się przeciwstawić.

Może miała rację. Rzeczywiście Menshiki posiadał szczególną siłę. Gdy czegoś naprawdę pragnął i postanowił działać, by to zdobyć, większość ludzi nie była zdolna mu się przeciwstawić. Pewnie łącznie ze mną. Zdobyć kobiety raczej nie stanowiło dla niego większego problemu.

– I ty się martwisz, że może pan Menshiki wykorzystuje twoją ciocię do jakichś swoich celów?

Marie założyła proste czarne włosy za uszy. Ukazały się małe białe uszy. Miały śliczny kształt. Skinęła głową.

– Ale niełatwo jest zatrzymać romans, który zaczął się rozwijać – powiedziałem.

Wcale niełatwo, powiedziałem do siebie w duchu. Musi się toczyć naprzód, zgniatając wszystko po drodze, jak wóz świątynny z wizerunkiem Dżagannatha w hinduizmie.

– Dlatego przysłałam się pana poradzić – powiedziała Marie i spojrzała mi prosto w oczy.

Kiedy zrobiło się już całkiem ciemno, z latarką w dłoni odprowadziłem Marie w pobliże sekretnego korytarza. Powiedziała, że musi wracać do domu na kolację. Kolacja była koło siódmej.

Przyszła do mnie po radę, ale mnie nic mądrego nie przychodziło do głowy. Chyba musiała po prostu poczekać, jak się sytuacja rozwinie. Tylko tyle mogłem powiedzieć. Nawet jeśli ci dwoje ze sobą sypiali, robiły to dwie dorosłe osoby za obopólną zgodą. Co ja mogłem na to poradzić? Nie mogłem nikomu (ani Marie, ani jej cioci) wyjawić, co się za tym kryje. W tej sytuacji nie byłem więc w stanie udzielić jej sensownej rady. Przypominałem boksera, który musi walczyć, mając dominującą rękę przywiązaną z tyłu.

Szliśmy obok siebie leśną ścieżką, trzymając się za ręce i prawie się nie odzywając. Marie miała drobną, ale nieoczekiwanie silną dłoń. Zaskoczyło mnie, kiedy nagle chwyciła mnie za rękę, ale ponieważ w dzieciństwie często chodziłem tak z siostrą, nie wydało mi się to dziwne. A raczej było dobrze znanym doznaniem, za którym się stęskniłem.

Dłoń Marie była bardzo gładka i ciepła, ale nie wydawała się spocona. Chyba Marie nad czymś rozmyślała i pewnie w zależności od treści tych rozmyślań, co pewien czas jej dłoń lekko się na mojej zaciskała albo rozluźniała. To też przypominało mi chodzenie za rękę z siostrą.

Kiedy doszliśmy do kapliczki, puściła moją rękę i bez słowa ruszyła za kapliczkę. Poszedłem za nią.

Wyraźnie widać było jeszcze wysokie trawy rozjechane gąsienicami koparki. Jak zawsze krył się za nimi dół. Zasłaniało go kilka grubych desek, na nich leżały kamienie. W świetle latarki upewniłem się, że leżą w tych samych miejscach. Chyba nikt nie ruszał tych desek od mojej ostatniej bytności.

– Mogę zajrzeć do środka? – zapytała Marie.

– Jeśli tylko zajrzesz.

– Tylko zajrzę – powiedziała.

Odsunąłem kamienie i podniosłem jedną deskę. Marie przykucnęła i zajrzała do środka. Poświeciłem jej. W dole oczywiście nikogo nie było. Stała tam tylko metalowa drabina. Gdyby ktoś chciał, mógłby zejść po tej drabinie na dół, a potem

wyjsć. Dół miał niecałe trzy metry, ale bez drabiny nie dałoby się z niego wyleźć. Ściany były gładkie, normalny człowiek nie umiałby się po nich wspiąć.

Przytrzymując ręką włosy, Marie długo zaglądała do dołu. Jakby wyteżając wzrok, czegoś w ciemności szukała. Oczywiście nie wiedziałem, co w tym dole tak ją interesuje. Potem podniosła głowę i spojrzała na mnie.

– Kto mógł wykopać taki dół? – zapytała.

– Hm, nie wiem kto. Najpierw myślałem, że może to studnia, ale chyba nie. Przede wszystkim nie miałyby sensu kopanie studni w takim niedogodnym miejscu. W każdym razie ta konstrukcja jest chyba dosyć stara. I została bardzo starannie wykonana. Musiało to wymagać wiele wysiłku.

Marie patrzyła na mnie bez słowa.

– Ty się tu od dawna bawisz, prawda? – zapytałem.

Przytaknęła.

– Ale też do niedawna nie wiedziałaś, że za kapliczką jest taki dół?

Potrząsnęła głową. Czyli nie wiedziała.

– Pan go znalazł i otworzył? – zapytała.

– Tak, właściwie ja go znalazłem. Nie wiedziałem, że tu jest taki dół, ale myślałem, że coś jest pod kupą kamieni. Ale nie ja odsunąłem kamienie i odsłoniłem dół, a pan Menshiki – wyjawilem bez namysłu. Pomyślałem, że lepiej mówić szczerze.

Wtedy na drzewie przenikliwie zakwilił ptak. To brzmiało, jakby ostrzegał towarzyszy. Spojrzałem w górę, ale nie zauważyłem go. Widziałem tylko warstwy bezlistnych gałęzi, a nad nimi późnojesienne niebo pokryte o zmierzchu szarymi chmurami.

Marie lekko się skrzywiła, ale się nie odezwała.

– Ale, jak by to powiedzieć... Ten dół domagał się, żeby ktoś go odsłonił. I to ja zostałem jakby do tego wezwany.

– Wezwany?

– Nakłoniony, powołany.

Spojrzała na mnie, przechylając na bok głowę.

– Domagał się, żeby pan go otworzył?

– Uhm.

– T e n d ó ł się domagał?

– Może to nie musiałem być ja, każdy by się nadał. Może ja trafiłem się przypadkiem.

– Ale naprawdę otworzył go pan Menshiki?

– Uhm. Ja go tu przyprowadziłem. Gdyby nie on, pewnie dół nie zostałaby otwarty. Sam człowiek nie dałby rady przesunąć tych kamieni, a ja nie miałem pieniędzy na zorganizowanie koparki. Więc dobrze się złożyło.

Marie rozmyślała nad tym przez chwilę.

– Może lepiej było tego nie robić – powiedziała. – Już wcześniej to mówiłam.

– Uważasz, że lepiej go było zostawić w spokoju?

Marie podniosła się bez słowa i otrzepała ziemię z dżinsów. Potem razem zakryliśmy dół deską i obciążyliśmy kamieniami. Wbiłem sobie w pamięć, jak leżą.

– Tak uważam – powiedziała, lekko trąc dłonie.

– Myślę, że z tym miejscem związana jest jakaś legenda czy przekaz. Że ma jakieś szczególne religijne znaczenie.

Marie potrząsnęła głową. Nie wiedziała.

– Może mój ojciec coś o tym wie.

Ród jej ojca już w dziewiętnastym wieku posiadał tu dobra i zarządzał nimi. Sąsiednia góra w całości należała do Akikawów, więc mógł wiedzieć coś o znaczeniu tego dołu i kapliczki.

– Mogłabyś zapytać ojca?

Marie lekko skrzywiła usta.

– Niedługo go zapytam – powiedziała, a potem na chwilę się zamyśliła i dodała cicho: – Jeśli będę miała okazję.

– Dobrze byłoby się czegoś dowiedzieć o tym, kto, kiedy i po co wykopał taki dół.

– Może coś tam zamknął i położył na wierzchu ciężkie kamienie – powiedziała Marie cicho.

– Raczej przywalił stertą ciężkich kamieni, żeby to coś się nie wydostało, a chcąc uniknąć boskiej kary, postawił niewielką kapliczkę. Może o to chodziło?

– Mogło tak być.

– A myśmy go na siłę otworzyli.

Marie znów lekko wzruszyła ramionami.

Odprowadziłem ją na skraj lasu. Powiedziała, że dalej chce iść sama. Znała drogę nawet w ciemności, więc nie było problemu. Nie chciała, żeby ktoś widział, jak wraca „sekretnym korytarzem” do domu. To był ważny korytarz znany tylko jej. Więc zostawiłem ją tam i ruszyłem z powrotem do siebie. Niebo było już prawie całkiem ciemne. Nadchodził chłodny mrok.

Przechodząc przed kapliczką, usłyszałem to samo przenikliwe kwilenie tego samego ptaka, lecz tym razem nie spojrzałem w górę. Poszedłem prosto do domu. Zrobiłem sobie kolację. Szykując jedzenie, wypilem tylko jedną szklaneczkę chivas regal z wodą. W butelce została jeszcze jedna porcja. Noc była głęboka i cicha. Jakby chmury pochłonęły dźwięki całego świata.

Nie trzeba było otwierać tego dołu.

Tak, może Marie miała rację. Pewnie nie powinienem był ruszać tego dołu. Ostatnio ciągle robię nie to, co trzeba.

Wyobraziłem sobie Menshikiego trzymającego w ramionach Shōko Akikawę. Leżeli we dwoje spleceni w uścisku na szerokim łóżku w którymś z pokoiów wielkiego białego domu. Oczywiście było to nie dotyczące mnie wydarzenie, mające miejsce w nie dotyczącym mnie świecie. Lecz kiedy myślałem o nich dwojgu, rodził się we mnie niepokój. Jak kiedy patrzy się na długi pusty pociąg przejeżdżający przez dworzec.

Niebawem nadszedł sen i skończyła się moja niedziela. Spałem głęboko bez snów i nikt mi nie przeszkadzał.



Rozdział 45

Coś ma się zdarzyć

Z dwóch obrazów, które jednocześnie malowałem, *Leśny dół* został ukończony jako pierwszy. Skończyłem go po dwunastej w piątek. Obraz to zadziwiająca rzecz. Im bardziej zbliżał się do ukończenia, tym więcej nabierał własnej woli, punktu widzenia i siły wyrazu. A kiedy był już ukończony, powiadał o tym malarza (a przynajmniej ja tak to odczuwałem). Ktoś przyglądający się z boku – oczywiście gdyby był ktoś taki, nie potrafiłby odróżnić, w którym momencie obraz przestał być nieukończony, a stał się ukończony. Linia dzieląca te dwa stadia była w wielu wypadkach niewidoczna. Ale malarz wiedział. Bo obraz mówił do niego, że ma go już więcej nie dotykać. Wystarczyło po prostu wyteńczyć słuch, by dosłyszeć ten głos.

Tak samo było z *Leśnym dołem*. W pewnej chwili został ukończony i odmówił dalszych kontaktów z moim pędzlem. Zupełnie jak kobieta, która doznała pełnej satysfakcji seksualnej. Zdjąłem obraz ze sztalug i postawiłem na podłodze przy ścianie. Sam też usiadłem na podłodze i długo mu się przyglądałem. Obraz do połowy zakrytego dołu.

Nie wiedziałem, dlaczego nagle przyszło mi do głowy, żeby namalować taki obraz. Nie umiałem ocenić, jakie to miało znaczenie i po co to robiłem. W pewnej chwili poczułem, że muszę koniecznie namalować *Leśny dół*. Tylko tyle mogę powiedzieć. Takie rzeczy się czasem zdarzały. Coś – jakiś krajobraz, przedmiot, osoba – po prostu chwyciło mnie za serce, a ja brałem do ręki pędzel i zaczynałem malować. Bez żadnego znaczenia czy celu. To był tylko kaprys.

Nie, to nie było tak. To nie był „tylko kaprys”. Coś domagało się ode mnie namalowania tego obrazu. Bardzo silnie się domagało. To żądanie pobudziło mnie do działania, spowodowało, że zabrałem się do malowania, i doprowadziło do skończenia obrazu w krótkim czasie. A może ten dół był obdarzony własną wolą i wykorzystał mnie do namalowania go – przyświecał mu jakiś cel. Tak samo jak

Menshiki miał (prawdopodobnie) jakiś cel, kiedy zamówił u mnie portret.

Obiektywnie patrząc, był to niezły obraz. Nie wiedziałem, czy da się go nazwać dziełem sztuki (nie chcę się usprawiedliwiać, ale nie przystąpiłem do malowania z zamiarem stworzenia dzieła sztuki). Jednak z technicznego punktu widzenia nie można mu było prawie nic zarzucić. Kompozycja była idealna, promienie słońca przeświecające między gałęziami i barwy opadłych liści bardzo wiernie odtworzone. Obraz był wyjątkowo szczegółowy i realistyczny, ale jednocześnie wywierał symboliczne i tajemnicze wrażenie.

Gdy długo wlepiałem wzrok w ukończony obraz, doznałem silnego uczucia, że kryje się w nim jakby zapowiedź ruchu. Z pozoru był to jedynie figuratywny pejzaż, zgodnie z tytułem przedstawiający leśny dół. A może ściślej byłyby nazwanie go nie pejzażem, a reprodukcją rzeczywistości. Od dawna mniej lub bardziej zawodowo zajmowałem się malowaniem obrazów. Na tym jak najwierniej odtworzyłem istniejący rzeczywiście pejzaż, posługując się technikami, które opanowałem. Nie namalowałem, a raczej zarejestrowałem.

A mimo to była w nim zapowiedź ruchu. Coś w tym pejzażu miało się poruszyć. To się dało wyraźnie wyczuć. Coś się miało tu i teraz zacząć. Wtedy wpadłem na to, że chciałem na tym obrazie namalować właśnie taką zapowiedź albo coś próbowało mnie zmusić do namalowania takiej zapowiedzi, tego przeczucia.

Wyprostowałem plecy, siedząc na podłodze, i jeszcze raz przyjrzałem się obrazowi.

Jaki właściwie ruch miał tu nastąpić? Czy ktoś, albo coś, miał wypełznąć z tego w połowie zakrytego dołu? Czy też może ktoś miał do niego wejść? Długo wpatrywałem się w obraz, lecz nie udało mi się domyślić, jaki ruch miał się na nim pojawić. Miałem tylko silne przeczucie, że on się tam narodzi.

I dlaczego ten dół domagał się, żeby go namalować? Czy chciał mi coś powiedzieć? Przed czymś mnie przestrzec? Same zagadki. Liczne zagadki, a żadnej odpowiedzi. Pomyślałem, że chciałbym pokazać obraz Marie i zapytać ją o zdanie. Ona mogła w nim dostrzec coś, czego ja nie widziałem.

Piątek był dniem zajęć na kursie malarstwa koło dworca Odawara. Dniem, gdy Marie przychodziła na kurs. Może po zajęciach uda mi się z nią porozmawiać.

Pojechałem tam samochodem i stanąłem na parkingu. Miałem jeszcze czas do rozpoczęcia kursu, więc jak zawsze poszedłem do kawiarni i zamówiłem kawę. Nie

była to jasna, funkcjonalna kawiarnia w typie Starbucksa, a stary lokal w bocznej uliczce prowadzony przez starzejącego się właściciela, który robił w nim wszystko sam. Podawał mocną czarną kawę w strasznie ciężkich filiżankach. Ze starych głośników dobiegał jazz z dawnych czasów. Billie Holiday albo Clifford Brown. Kiedy później przechadzałem się pasażem handlowym, przypomniałem sobie, że kończą mi się filtry do kawy, więc kupiłem na zapas. Potem znalazłem sklep ze starymi płytami. Wszedłem i wytraciłem trochę czasu, przeglądając stare longplaye. Właściwie od dłuższego czasu słuchałem tylko muzyki klasycznej, bo na półce Tomohika Amady były jedynie takie płyty. W radiu słuchałem wyłącznie wiadomości na falach średnich i prognozy pogody (z powodu rzeźby terenu do domu prawie nie dochodziły fale UKF).

Odchodząc od żony, zostawiłem w mieszkaniu w Hiroo wszystkie swoje płyty kompaktowe i winylowe – choć nie było ich tak dużo. Nie chciało mi się bowiem dzielić książek ani płyt na te moje i te należące do Yuzu. Nie tylko było to kłopotliwe, ale wydawało mi się prawie niemożliwe. Na przykład, do kogo należało *Nashville Skyline* Boba Dylana czy album The Doors z *Alabama Song*? Teraz już nie miało znaczenia, które z nas kupiło którą płytę. Przez określony czas razem byliśmy właścicielami tej samej muzyki i razem jej słuchając, razem żyliśmy. Może i da się podzielić przedmioty, ale niemożliwe jest podzielenie łączących się z nimi wspomnień. A jeśli tak, to lepiej było wszystko zostawić.

Poszukałem w tym sklepie *Nashville Skyline* i pierwszego albumu The Doors, ale nie znalazłem żadnego z nich. Może mieli w wersji CD, lecz ja chciałem ich posłuchać jak dawniej, z longplayów. A poza tym w domu Tomohika Amady nie było odtwarzacza płyt kompaktowych. Nie było też magnetofonu kasetowego. Tylko kilka adapterów. Był chyba człowiekiem nie lubiącym żadnych nowych urządzeń. Pewnie nie zbliżał się na mniej niż dwa metry do kuchenki mikrofalowej.

W końcu kupiłem dwie płyty, które rzuciły mi się w oczy. *The River* Bruce'a Springsteena i płytę z piosenkami śpiewanymi w duecie przez Robertę Flack i Donny'ego Hathawaya. Stęskniłem się za obiema. Od pewnego momentu przestałem słuchać nowej muzyki i słuchałem w kółko starej, która mi się podobała. To samo było z książkami. Wiele razy czytałem na nowo stare książki. Prawie nie interesowały mnie nowo wydawane. Zupełnie jakby w pewnej chwili czas się zatrzymał.

A może rzeczywiście się zatrzymał? Albo może jeszcze jakoś płynął, ale zakończyło się coś w rodzaju ewolucji? Tak jak w restauracji, kiedy niedługo przed zamknięciem przestają przyjmować nowe zamówienia. I tylko ja jeden się nie zorientowałem.

Sprzedawca włożył płyty do papierowej torby, a ja zapłaciłem. Potem wstąpiłem do sklepu z alkoholem i kupiłem whisky. Wahałem się, którą kupić, aż w końcu wybrałem chivas regal. Była nieco droższa niż inne szkockie, ale Masahiko na pewno się z niej ucieszy, kiedy wpadnie następnym razem.

Zbliżał się czas rozpoczęcia kursu, więc schowałem płyty, filtry do kawy oraz whisky do samochodu i wszedłem do budynku, w którym odbywały się kursy. Najpierw, o piątej, były zajęcia dla dzieci. Marie należała do tej grupy, ale tego dnia nie dostrzegłem jej w klasie. Bardzo mnie to zaskoczyło, bo zawsze z wielkim zapalem uczęszczała na te zajęcia i o ile wiedziałem, pierwszy raz była nieobecna. Dlatego widząc, że jej nie ma, poczułem niepokój. Miałem nawet jakieś niedobre przeczucie. Czy coś jej się stało? Może zachorowała albo wydarzyło się coś nagłego?

No ale, oczywiście, jak gdyby nigdy nic poleciłem dzieciom narysować coś prostego, wyrażałem opinie na temat każdej pracy i doradzałem, jak należy ją poprawić. Po zakończeniu zajęć dzieci wyszły i zaczęły się zajęcia dla dorosłych. One też odbyły się bez przeszkód. Z uśmiechem gawędziłem z kursantami (nie jestem w tym za dobry, ale jakoś sobie radzę). Potem odbyłem szybkie spotkanie z dyrektorem na temat dalszych planów. On też nie wiedział, dlaczego Marie dziś nie przyszła. Nikt z rodziny nie zadzwonił, żeby o tym powiadomić.

Po wyjściu wstąpiłem do pobliskiej restauracji specjalizującej się w makaronie gryczanym i zjadłem gorący makaron z tempurą. Taki miałem zwyczaj. Zawsze jadłem makaron gryczany z tempurą. To była jedna z moich małych przyjemności. Potem wróciłem do domu na szczycie góry. Kiedy tam dotarłem, dochodziła dziewiąta.

Nie wiedziałem, czy pod moją nieobecność ktoś dzwonił, czy nie, bo nie miałem automatycznej sekretarki (Tomohiko Amada nie przepadał też chyba za takimi nowomodnymi urządzeniami). Przez chwilę przyglądałem się starymu telefonowi, ale nic mi nie powiedział. Zachowywał tylko swoje czarne milczenie.

Wszedłem do wanny i powoli się rozgrzałem. Potem wlałem do szklanki ostatnią porcję chivas regal ze starej butelki, dodałem dwie kostki lodu i poszedłem do salonu. Włączyłem adapter i popijając whisky, słuchałem nowo kupionych płyt. Kiedy w tym górskim domu rozległa się muzyka inna niż klasyczna, najpierw poczułem, że jakoś do niego nie pasuje. Na pewno powietrze w tym pokoju przez długie lata dostosowało się do muzyki klasycznej. Ale ponieważ teraz grała muzyka, do której słuchania przywykłem, z czasem moja tęsknota za nią przewyciężyła ten brak dopasowania. Wkrótce doznałem przyjemnego uczucia, że

wszystkie moje mięśnie się rozluźniają. Nie zdawałem sobie sprawy, że niektóre tak mi zeszywniały.

Skończyła się strona A płyty Roberta Flack i Donny'ego Hathaway i właśnie słuchałem pierwszego utworu na stronie B (ślicznej piosenki *For All We Know*), popijając whisky, gdy odezwał się telefon. Na zegarze było pół do jedenastej. Zwykle nikt do mnie tak późno nie dzwonił. Nie miałem ochoty odbierać. Jednak ten dzwonek brzmiał jakoś nagłąco. Odstawiłem szklanekę, wstałem z kanapy, zatrzymałem płytę i podniosłem słuchawkę.

– Halo – powiedziała Shōko Akikawa.

Przywitałem się z nią.

– Najmocniej przepraszam, że tak późno dzwonię – powiedziała. Jej głos był jak nigdy pełen napięcia. – Ale chciałam pana o coś zapytać. Marie nie była dziś na kursie malarstwa, prawda?

Potwierdziłem. To było dość dziwne pytanie. Przychodziła na kurs prosto ze szkoły (pobliskiego państwowego gimnazjum). Dlatego zawsze pojawiała się w szkolnym mundurku. Pod koniec kursu ciotka przyjeżdżała po nią samochodem i razem wracały do domu. Tak się to zawsze odbywało.

– Nie mogę znaleźć Marie – powiedziała Shōko Akikawa.

– Nie może pani jej znaleźć?

– Nigdzie jej nie ma.

– Od kiedy? – zapytałem.

– Rano jak zwykle wyszła, mówiąc, że idzie do szkoły. Zaproponowałam, że odwożę ją na dworzec, ale powiedziała, że pójdzie piechotą. Lubi chodzić sama. Nie przepada za jazdą samochodem. Kiedy z jakiegoś powodu jest spóźniona, odwożę ją na stację, ale zwykle schodzi z góry, wsiada do autobusu i jedzie na stację. Dziś jak zwykle wyszła z domu o pół do ósmej rano.

Powiedziała to wszystko jednym tchem i zamilkła. Zdawało się, że stara się uregulować oddech. A ja przez ten czas porządkowałem w głowie otrzymane informacje. Potem Shōko Akikawa znowu zaczęła mówić.

– Dziś jest piątek. Po szkole miała iść na kurs malarstwa. Zawsze po nią przyjeżdżam. Ale powiedziała, że dziś wróci autobusem i nie muszę po nią jechać. Więc nie pojechałam. Bo ona zawsze robi to, co postanowi. Zwykle w takich razach wraca między siódmą a pół do ósmej. Potem je kolację. Ale dziś nie było jej jeszcze o ósmej ani o pół do dziewiątej. Zmartwiłam się, więc zadzwoniłam na kurs i poprosiłam panią w biurze, żeby sprawdziła, czy Marie była dziś na zajęciach.

Powiedziano mi, że dziś nie przyszła. Bardzo się martwię. Już pół do jedenastej, tak późno, a jej jeszcze ciągle nie ma. Nie dała znać. Więc zadzwoniłam do pana, myśląc, że może przypadkiem pan coś wie.

– Nie wiem, gdzie Marie może być – powiedziałem. – Zdziwiłem się, kiedy nie przyszła dziś po południu na kurs. Bo nigdy dotąd nie opuściła zajęć.

Shōko Akikawa głęboko westchnęła.

– Brata jeszcze nie ma. Nie wiem, kiedy wróci, nie mogę się z nim skontaktować. Nie jestem nawet pewna, czy w ogóle dziś wróci na noc. Jestem sama w domu i nie wiem, co robić.

– Czy Marie wyszła rano ubrana jak do szkoły? – zapytałem.

– Tak, miała na sobie szkolny mundurek, szkolną torbę na ramieniu. Tak jak zwykle. Góra i spódnica. Nie wiem oczywiście, czy poszła do szkoły. Już tak późno, nie mam jak się dowiedzieć. Ale myślę, że poszła. Bo gdyby była nieobecna bez usprawiedliwienia, pewnie szkoła by się ze mną skontaktowała. Pieniądzy ma też chyba tylko tyle, ile dziś potrzebowała. Ma przy sobie komórkę, ale jest wyłączona. Nie lubi komórek. Ciągle ją wyłącza, chyba że sama chce zadzwonić. Zawsze jej na to zwracam uwagę. Proszę, żeby miała włączoną, na wypadek jakiejś ważnej sprawy...

– Nic takiego się wcześniej nie zdarzyło? Żeby nie wracała do późna?

– To naprawdę pierwszy raz. Nigdy nie wagarowała. Nie ma bliskich koleżanek i nie przepada za szkołą, ale jak coś postanowi, to się tego trzyma. Dostawała nawet nagrody za nieopuszczenie ani jednego dnia. Pod tym względem jest bardzo solidna. A po szkole zawsze wraca prosto do domu. Nigdy tak nie przepadła.

Czyli jednak ciotka w ogóle się nie zorientowała, że Marie wymyka się czasami wieczorami z domu.

– A czy dzisiaj rano zauważyła pani coś innego niż zwykle?

– Nie, to był zupełnie normalny poranek. Wypiła ciepłe mleko, zjadła grzanekę i wyszła. Je to samo każdego dnia. Jak zwykle robiłam śniadanie. Dziś rano prawie się nie odzywała. Zawsze tak jest. Zdarza się czasem, że buzia jej się nie zamyka, ale zwykle ledwo odpowiada, jak ją o coś pytam.

Słuchając, co mówi, zaczynałem być coraz bardziej niespokojny. Dochodziła jedenasta, oczywiście było już zupełnie ciemno. Księżyc ukrył się za chmurami. Co się mogło stać z Marie?

– Poczekam jeszcze godzinę i jeśli Marie nie da znać, zadzwonię chyba na policję – powiedziała Shōko Akikawa.

– Może lepiej to zrobić – odparłem. – Jeżeli będę mógł jakoś pomóc, proszę się nie krępować i dać znać o dowolnej godzinie. Późna pora nie ma znaczenia.

Shōko Akikawa podziękowała mi i się rozłączyła. Dopilem do końca whisky i umyłem w kuchni szklanę.

Potem poszedłem do pracowni. Zapaliłem wszystkie światła i kiedy w pokoju zrobiło się jasno, przyjrzałem się *Portretowi Marie Akikawy* na sztalugach. Był już prawie skończony. Widniała na nim postać małomównej trzynastolatki, taka, jaka powinna być. Był to nie tylko jej wizerunek, zawierał również niewidoczne elementy, które w sobie nosiła prawdziwa Marie. Właśnie takie ukazanie ukrytych przed wzrokiem patrzącego informacji, przedstawienie ich w innej formie, było tym, co chciałem osiągnąć w swoim obrazie – nie mówię tu oczywiście o portretach malowanych dla zarobku. Pod tym względem Marie Akikawa była dla mnie bardzo interesującą modelką. W jej postaci kryły się różne sugestie, zupełnie jak na obrazach trompe l’oeil. Dziś rano zniknęła. Zupełnie jakby została wessana w ten obraz.

Następnie przyjrzałem się stojącemu na podłodze *Leśnemu dołowi*. Skończyłem go dziś po południu. Ten obraz w innym sensie, z innego kierunku niż portret Marie, też się czegoś ode mnie domagał.

Patrząc na oba obrazy, znów poczułem, że coś ma się zdarzyć. Dziś po południu było to jedynie przeczucie, ale zaczynało się przeradzać w rzeczywistość. To już nie było przeczucie. Coś już się działo. Zniknięcie Marie musiało się jakoś łączyć z tym *Leśnym dołem*. Czułem to. Przez to, że dziś skończyłem obraz, wprowadziłem coś w ruch. I prawdopodobnie w rezultacie Marie gdzieś zniknęła.

Ale nie mogłem tego wytłumaczyć Shōko Akikawie. Gdybym jej to powiedział, nie wiedziałyby, o co mi chodzi, i poczułyby się jeszcze bardziej skołowana.

Wyszedłem z pracowni, wypilem w kuchni kilka szklanek wody, wypłukałem z ust smak whisky. Podniosłem słuchawkę i zadzwoniłem do Menshikiego. Odebrał po trzecim dzwonku. W jego głosie dosłyszałem lekki ton napięcia, jak u kogoś, kto czeka na ważne informacje. Chyba się zdziwił, że to ja dzwonię. Ale to napięcie od razu zniknęło i zaczął znów mówić swym zwykłym opanowanym, spokojnym tonem.

– Bardzo przepraszam, że tak późno dzwonię – powiedziałem.

– Nic nie szkodzi. Zawsze późno się kładę i nie mam nic do roboty. Bardzo się

cieszę, mogąc z panem porozmawiać.

Przeszedłem do rzeczy i pokrótce wyjaśniłem, że Marie zniknęła. Wyszła rano z domu, mówiąc, że idzie do szkoły, i dotychczas nie wróciła. Nie przyszła też na kurs malarstwa. Menshiki chyba był zaskoczony tymi informacjami. Na chwilę zaniemówił.

– Czy nic panu w związku z tym nie przychodzi do głowy? – zapytał.

– Zupełnie nic – odparłem. – Jestem kompletnie zaskoczony. A panu?

– Mnie oczywiście też nie. Przecież ona się prawie do mnie nie odzywa.

W jego tonie nie dosłyszałem szczególnych emocji. Po prostu relacjonował fakt.

– To z natury mało mówne dziecko. Prawie do nikogo się nie odzywa – powiedziałem. – W każdym razie pani Shōko Akikawa jest bardzo zmartwiona, że Marie dotąd nie wróciła. Ojciec Marie też jeszcze nie wrócił, jest sama i nie wie, co ma począć.

Menshiki znów zamilkł na chwilę. O ile wiedziałem, bardzo rzadko się zdarzało, że nie wiedział, co powiedzieć.

– Czy ja mogę jakoś pomóc? – zapytał w końcu.

– Przepraszam, że tak znienacka proszę, ale czy mógłby pan tu teraz przyjechać?

– Przyjechać do pana?

– Tak. Chciałbym się pana w związku z tą sprawą poradzić.

Menshiki milczał przez chwilę, a potem odparł:

– Dobrze. Zaraz będę.

– Ale czy nie musi pan być teraz w domu?

– Nie, to nic ważnego. Nie ma sprawy – powiedział. Lekko zakaszłał. Chyba patrzył na zegarek. – Myślę, że mogę być u pana za piętnaście minut.

Po odłożeniu słuchawki przygotowałem się do wyjścia. Włożyłem sweter, wyjąłem skórzaną kurtkę, obok niej położyłem dużą latarkę. Potem usiadłem na kanapie i czekałem na przyjazd jaguara Menshikiego.



Rozdział 46

Wysokie solidne mury powodują, że zamknięci w nich czują się bezsilni

Menshiki przyjechał dwadzieścia po jedenastej. Kiedy usłyszałem pomruk jaguara, włożyłem kurtkę, wyszedłem z domu i poczekałem, aż Menshiki zgasi silnik i wysiądzie. Miał na sobie grubą granatową wiatrówkę i wąskie czarne dżinsy. Na szyi cienki szalik, do tego skórzane adidas. Bujne białe włosy lśniły nawet w ciemności.

– Chciałbym zobaczyć, co się dzieje z tym dołem w lesie. Chodźmy tam, dobrze?

– Oczywiście – powiedział Menshiki. – Ale czy ten dół ma jakiś związek ze zniknięciem Marie Akikawy?

– Jeszcze nie wiem. Po prostu od niedawna nie daje mi spokoju złe przecucie, że w związku z tym dołem coś się wydarzy.

Menshiki więcej nie pytał.

– Dobrze. Pójdę z panem zobaczyć, co się tam dzieje.

Otworzył bagażnik jaguara i wyjął z niego coś w rodzaju reflektora. Zamknął samochód i skierowaliśmy się do lasu. Była to ciemna noc bez księżyca i gwiazd. I bezwietrzna.

– Bardzo przepraszam, że ściągnąłem tu pana w środku nocy. Ale zdawało mi się, że lepiej będzie, jeśli pójdę zobaczyć ten dół razem z panem. Bo pomyślałem, że gdyby coś się stało, mogę sobie sam z tym nie poradzić.

Wyciągnął rękę i poklepał mnie lekko po rękawie kurtki. Jakby dodawał mi otuchy.

– W ogóle mi to nie przeszkadza. Proszę się nie przejmować. Zrobię, co będę mógł.

Szliśmy ostrożnie, świecąc sobie pod nogi latarką i reflektorem, żeby się nie potknąć o korzenie drzew. Słysząc było tylko szelest deptanych naszymi butami liści. W nocnym lesie nie rozlegały się żadne inne dźwięki. Miałem przytłaczające wrażenie, że różne stworzenia się ukryły i wstrzymując oddech, uważnie nam się przyglądają. Głęboka ciemność późnej nocy wywołuje takie iluzje. Gdyby ktoś nieznający sytuacji nas zobaczył, mógłby pomyśleć, że jesteśmy dwuosobową szajką wybierającą się na rabunek grobów.

– Chciałbym pana tylko o jedną rzecz zapytać – powiedział Menshiki.

– O co?

– Dlaczego pan myśli, że jest jakiś związek między zniknięciem Marie Akikawy a tym dołem?

Powiedziałem mu, że dopiero co byłem z nią w lesie i oglądaliśmy dół. Wiedziała już o nim, zanim go jej pokazałem. Bo od dawna się w tych okolicach bawiła. Wiedziała o wszystkim, co się tu dzieje. I powtórzyłem mu, co mi powiedziała. „Trzeba było zostawić to miejsce w spokoju. Nie otwierać tego dołu”.

– Zdawało się, że poczuła coś szczególnego, co z niego emanuje – wyjaśniłem.
– Jak by to powiedzieć... chyba coś duchowego.

– Zainteresował ją? – zapytał Menshiki.

– Tak, była nieufna, ale jednocześnie jego kształt ją pociągał. Dlatego męczy mnie niepokój, że spotkało ją coś, co ma związek z dołem. Może przypadkiem nie może się z niego wydostać.

Menshiki rozmyślał nad tym przez chwilę. Potem zapytał:

– Mówił pan o tym jej ciotce? To znaczy, czy pani Akikawa wie o dole?

– Nie, jeszcze nic nie mówiłem. Bo musiałbym od początku wszystko o nim opowiedzieć. Jak doszło do tego, że go otworzyliśmy, jaki pan miał z tym związek. Zrobiłaby się z tego długa historia i być może nie udałoby mi się przekazać, o co mi chodzi.

– I tylko jeszcze by się dodatkowo tym zmartwiła.

– Sprawa może stać się jeszcze bardziej kłopotliwa, jeśli wda się w to policja. Mogą się zainteresować tym dołem.

Menshiki spojrzał na mnie.

– Policja jest już w to zamieszana?

– Kiedy rozmawiałem z panią Akikawą, jeszcze nie zawiadomiła policji

o zaginięciu dziewczynki, ale teraz już pewnie to zrobiła. No bo jest już bardzo późno.

Menshiki pokiwał głową.

– Pewnie tak. Trzynastoletnia dziewczynka jeszcze nie wróciła do domu, a dochodzi północ. Nie wiadomo, gdzie się podziała. Rodzina musi zawiadomić policję.

Lecz Menshiki wydawał się niezbyt zadowolony z perspektywy udziału policji. Poznałem to po jego tonie.

– W miarę możliwości zachowajmy kwestię dołu między nami. Lepiej, żeby to się nie rozniosło. Pewnie tylko wszystko by się pokomplikowało – powiedział.

Zgodziłem się z nim.

A przede wszystkim była kwestia Komandora. Prawie niemożliwe byłoby wytłumaczenie komuś specjalnego znaczenia tego dołu bez wyjawienia informacji, że wyłoniła się z niego idea pod postacią Komandora. W takim wypadku, tak jak mówi Menshiki, wszystko tylko by się pokomplikowało (poza tym, nawet gdybym powiedział o Komandorze, kto by mi uwierzył? Ludzie zaczęliby się zastanawiać, czy jestem normalny).

Dotarliśmy do kapliczki i obeszliliśmy ją. Przeszliśmy po kępie traw bezlitośnie zmiażdżonej gąsienicami koparki i doszliśmy do dołu. Wyglądał tak jak zwykle. Najpierw oświetliliśmy pokrywę. Na deskach leżały kamienie. Sprawdziłem, jak leżą. Widziałem, że zostały przesunięte. Lekko, ale przesunięte. Po tym, jak odsunęliśmy z Marie tę pokrywę i znowu ją położyliśmy, ktoś ją ponownie odsunął, a następnie zamknął, starając się położyć kamienie w tych samych miejscach co przedtem. Lecz ja dostrzegłem niewielką różnicę.

– Są ślady wskazujące na to, że ktoś otwierał tę pokrywę – powiedziałem.

Menshiki zerknął na mnie.

– Czy to mogła być Marie Akikawa?

– Nie wiem. Ale nie bywają tu żadni obcy ludzie, a ona jest jedyną osobą, która wie o istnieniu dołu. Więc prawdopodobieństwo, że to ona, jest duże.

Oczywiście o dole wiedział też Komandor. W końcu przecież się z niego wyłonił. Ale on był tylko ideą. Istnieniem niemającym formy. Nie musiałyby odsuwać ciężkich kamieni, żeby się dostać do środka.

Odsunąłem kamienie i zdjąłem wszystkie deski. Znowu ukazał się przed nami dół

o prawie dwumetrowej średnicy. Wyglądał na większy i ciemniejszy niż ostatnim razem. Ale to też pewnie było złudzenie wywołane ciemnością nocy.

Przykucnęliśmy i oświetliliśmy go latarką i reflektorem. Nikogo i niczego w nim nie było. Był to, jak zawsze, pusty cylindryczny otwór o wysokich kamiennych ścianach. Ale jedna rzecz się zmieniła. Zniknęła drabina. Ta metalowa składana drabina zostawiona tu przez życzliwego kierownika firmy ogrodniczej, której pracownicy przesunęli stertę kamieni. Kiedy ostatni raz widziałem drabinę, stała oparta o ścianę.

– Gdzie się podziała drabina? – zapytałem.

Szybko ją odnaleźliśmy. Leżała nieco dalej wśród niezgniecionych gąsienicami traw. Ktoś ją wyjął i tu zostawił. Nie była ciężka, więc przeniesienie jej nie wymagało wielkiej siły. Podnieśliśmy ją i znów wstawiliśmy do dołu, opierając o ścianę.

– Zejdę tam – powiedział Menshiki. – Może coś znajdę.

– Jest pan pewien, że chce pan tam zejść?

– Tak, tak, proszę się nie martwić. Przecież już tam byłem – uspokoił mnie Menshiki i jak gdyby nigdy nic zaczął schodzić po drabinie z reflektorem w dłoni.

– A właśnie, czy wie pan, jak wysoki był mur berliński? – zapytał.

– Nie wiem.

– Miał trzy metry – powiedział, podnosząc na mnie wzrok. – Nie wszędzie tyle samo, ale taka była zasadnicza wysokość. Trochę wyższy niż ściany tego dołu. Ciągnął się przez prawie sto pięćdziesiąt kilometrów. Widziałem go na własne oczy. W okresie, kiedy Berlin był podzielony na Wschodni i Zachodni. Był to bolesny widok. – Menshiki stanął na dnie dołu i poświecił reflektorem. A potem mówił dalej: – Mury budowano, żeby chronić ludzi. Ale czasami używane są do tego, żeby ich odseparować. Wznoszące się wokół wysokie solidne mury powodują, że zamknięci w nich czują się bezsilni. Psychicznie bezsilni, kiedy na nie patrzą. Są mury stawiane właśnie w tym celu.

Zamilkł na chwilę. Potem zaczął badać dno i ściany dołu, oświetlając je reflektorem. Pracowicie i skrupulatnie, jak archeolog badający kamienną komnatę w samym środku piramidy. Reflektor świecił znacznie silniej niż latarka i oświetlał większą powierzchnię. Menshiki chyba coś znalazł, bo przykląkł i zaczął się czemuś dokładnie przyglądać. Z góry nie widziałem, co to jest. On nic nie mówił, ale musiało to być coś bardzo małego, bo wstał, owinął coś w chusteczkę do nosa i wsunął do kieszeni kurtki. A potem uniósł nad głowę reflektor i spojrzał na mnie.

– Zaraz wychodzę – powiedział.

– Znalazł pan coś? – zapytałem.

Menshiki nie odpowiedział. Zaczął ostrożnie wchodzić po drabinie. Przy każdym kroku drabina skrzypiała. Czekałem, aż wyjdzie, świecąc mu latarką. Po jego ruchach było widać, że regularnie ćwiczy mięśnie. Nie wykonywał zbędnych ruchów. Używał jedynie potrzebnych mięśni. Wyszedł, stanął i przeciągnął się, a potem starannie otrzepał spodnie, chociaż nie były zbyt ubrudzone.

Odetchnął i powiedział:

– Kiedy się zejdzie na dół, człowiek czuje się całkiem przytłoczony wysokością tych ścian. Rodzi się rodzaj poczucia bezsilności. Niedawno widziałem podobnego typu mur w Palestynie. Ponadśmiometrowy betonowy mur zbudowany przez Izrael. Nad nim metalowe druty pod wysokim napięciem. Ciągnie się przez prawie pięćset kilometrów. Izraelczycy widocznie myśleli, że trzymetrowy mur jest za niski, ale trzy metry zupełnie wystarczą.

Postawił reflektor na ziemi. Oświetlił jasno ziemię pod naszymi nogami.

– A ściany w izolatce w Tokijskim Areszcie Śledczym też miały prawie trzy metry – powiedział. – Nie wiem, dlaczego mają tam takie wysokie cele. Codziennie człowiek widzi tylko te gładkie trzymetrowe ściany. Nie ma nic innego, na co można by popatrzeć. Oczywiście na ścianach nie ma żadnych obrazów ani ozdób. Czuje się człowiek zupełnie, jakby został wsadzony do jakiegoś dołu.

Słuchałem w milczeniu.

– Niedawno z pewnych powodów byłem przetrzymywany w Tokijskim Areszcie Śledczym. Chyba jeszcze panu o tym nie mówiłem?

– Jeszcze o tym nie słyszałem – powiedziałem. Słyszałem o tym od swojej dziewczyny mężatki, ale oczywiście jemu o tym nie powiedziałem.

– Nie chciałem, żeby się pan o tym dowiedział od kogoś innego. Bo jak pan wie, plotki naginają fakty, żeby stały się ciekawsze i zabawniejsze. Dlatego chciałem panu bezpośrednio przedstawić fakty. Jest to niezbyt przyjemna historia, ale chciałem skorzystać z tej okazji, żeby ją panu tu teraz opowiedzieć, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

– Oczywiście, że nie. Proszę, niech pan opowiada.

Menshiki odczekał chwilę, a potem zaczął mówić:

– To zabrzmiało jak wymówka, ale nie miałem absolutnie nic na sumieniu. Miałem się różnych zajęć. Można powiedzieć, że często podejmowałem w życiu ryzyko.

Ale nie jestem wcale głupi, z natury jestem ostrożny i nigdy nie wdałbym się w coś sprzecznego z prawem. Nigdy nie przekraczam tej granicy. Ale człowiek, z którym wtedy akurat wszedłem w spółkę, był nieostrożny i nierozważny. Przez to znalazłem się w strasznej sytuacji. Od tego czasu całkowicie unikam wchodzenia z kimkolwiek w spółki. Staram się żyć na własną odpowiedzialność.

– A jakie zarzuty postawiła panu prokuratura?

– Insider trading i unikanie podatków. Tak zwane przestępstwa gospodarcze. W końcu zostałem uniewinniony, ale wcześniej mnie oskarżyli. Prokuratura poddawała mnie surowym przesłuchaniom, długo trzymali mnie w areszcie śledczym. Wynajdywali różne powody, żeby przedłużyć okres aresztowania. Tak długo tam siedziałem, że kiedy teraz wchodzę do miejsca otoczonego ścianami, nieomal ogarnia mnie nostalgia. Jak wcześniej wspomniałem, nie popełniłem żadnych błędów, które podlegałyby karze prawnej. To były niepodważalne fakty. Ale prokuratura napisała już scenariusz oskarżenia i zgodnie z tym scenariuszem byłem winny. Więc nie chcieli go pisać od nowa. Biurokratyczne systemy tak działają. Jak raz coś zdecydują, prawie nie da się tego zmienić. Bo gdyby wszystko odkręcić, ktoś by musiał za to ponieść odpowiedzialność. Przez to byłem długo trzymany w izolatce w Tokijskim Areszcie Śledczym.

– Jak długo?

– Czteryście trzydzieści pięć dni – powiedział Menshiki jak gdyby nigdy nic. – Myślę, że nigdy nie zapomnę tej liczby.

Łatwo było mi sobie wyobrazić, że czterysta trzydzieści pięć dni spędzonych w izolatce to straszliwie długi okres.

– Był pan kiedyś długo zamknięty w ciasnym pomieszczeniu? – zapytał Menshiki.

Powiedziałem, że nie. Od kiedy zostałem zatrzaśnięty w przyczepie ciężarówki firmy przeprowadzkowej, miałem silną klaustrofobię. Nie wsiadałem nawet do windy. Gdybym się znalazł w takiej sytuacji, pewnie od razu puściłyby mi nerwy.

– Nauczyłem się tam, jak sobie radzić w ciasnych pomieszczeniach. Codziennie się w tym ćwiczyłem. Opanowałem w tym czasie kilka języków. Hiszpański, turecki i chiński. Liczba książek dozwolonych w izolatce jest ograniczona, ale słowniki się nie liczą. Dlatego ten okres aresztu był unikalną okazją do nauki języków. Na szczęście zostałem obdarzony umiejętnością skupiania się i kiedy uczyłem się języka, udawało mi się zapomnieć o ścianach wokół. Wszystko ma swoje dobre strony.

Nawet bardzo gęsta, ciemna chmura lśni po drugiej stronie srebrem.

Menshiki mówił dalej:

– Ale do końca przerażały mnie trzęsienia ziemi i pożary. Gdyby przyszło wielkie trzęsienie ziemi albo wybuchł pożar, nie mógłbym uciec, bo byłem zamknięty w celi. Kiedy zaczynałem myśleć o tym, jak zostanę zmiażdżony w tej wąskiej przestrzeni albo spalę się żywcem, zdarzało się, że strach zapierał mi dech. Nie potrafiłem go opanować. Szczególnie kiedy budziłem się w środku nocy.

– Ale wytrzymał pan.

Menshiki skinął głową.

– Oczywiście. Nie mogłem im pozwolić wygrać. Nie mogłem się dać zniszczyć systemowi. Gdybym tylko podpisał dokumenty, które spreparowali, mógłbym wyjść z tej celi i wrócić do normalnego świata. Ale gdybym podpisał, byłby to koniec. Przyznałbym się do czegoś, czego nie zrobiłem. Staralem się traktować to jako ważną próbę, której poddał mnie los.

– Kiedy ostatnio spędził pan godzinę w tym dole, przypomniał sobie pan ten okres?

– Owszem. Czasami dobrze jest tak wrócić do punktu wyjścia. Do miejsca, które ukształtowało obecnego mnie. Bo każdy od czasu do czasu przyzwyczaja do łatwego życia.

Pomyślałem po raz kolejny z podziwem, że to szczególny człowiek. Zazwyczaj ktoś, kto przeżył jakąś ekstremalnie trudną sytuację, pragnął jak najszybciej o niej zapomnieć.

Potem, jakby nagle sobie o tym przypomniał, Menshiki wsunął rękę do kieszeni wiatrówki i wyjął coś zawiniętego w chusteczkę.

– Znalazłem to tam, na ziemi – powiedział. Odwinął chusteczkę i wyjął z niej coś niewielkiego.

Był to jakiś mały plastikowy przedmiot. Wziąłem go od niego i oświetliłem latarką. Półtoracentymetrowa biało-czarna figurka pingwina wisząca na czarnym paseczku. Wyglądała jak coś, co uczennice przyczepiają do torebek albo telefonów komórkowych. Pingwin nie był brudny, wyglądał zupełnie jak nowy.

– Kiedy poprzednio zszedłem do tego dołu, nie było w nim nic takiego. Nie mam co do tego wątpliwości – powiedział Menshiki.

– To znaczy, że musiał to zgubić ktoś, kto tu zszedł.

– Hm... to wygląda na ozdóbkę do telefonu komórkowego. I pasek nie jest

zerwany. Prawdopodobnie to odczepił. Więc jest bardziej prawdopodobne, że celowo to zostawił, a nie zgubił.

– Ktoś zszedł na dno tego dołu i specjalnie to zostawił?

– Mógł też wrzucić z góry.

– Ale właściwie po co? – zapytałem.

Menshiki potrząsnął głową na znak, że nie wie.

– A może ten ktoś zostawił to jako talizman? Oczywiście tylko snuję sobie takie przypuszczenia – powiedziałem.

– Marie Akikawa?

– Prawdopodobnie. Bo raczej nikt inny nie zbliżyłby się do tego dołu.

– Zostawiła ozdóbkę do telefonu jako talizman?

Menshiki znów potrząsnął głową.

– Nie wiem. Ale trzynastolatki miewają różne dziwne pomysły. Czy nie mam racji?

Jeszcze raz spojrział na małego pingwina leżącego w mojej dłoni. Kiedy to powiedział, rzeczywiście wydało mi się, że figurka wygląda na talizman. Miała w sobie coś niewinnego.

– Ale kto wyciągnął drabinę i aż tam ją odsunął? I właściwie po co?

Menshiki potrząsnął głową na znak, że nie ma pojęcia.

– W każdym razie po powrocie do domu zadzwońmy do pani Akikawy i upewnijmy się, czy ten pingwin należał do Marie. Jak ją zapytamy, pewnie się to wyjaśni.

– Niech pan go na razie zatrzyma – powiedział Menshiki.

Skinąłem głową i schowałem figurkę do kieszeni spodni.

Potem znów zakryliśmy dół, zostawiając drabinę opartą o ścianę. Obciążyliśmy deski kamieniami. Na wszelki wypadek ponownie zapamiętałem ich położenie. Następnie ruszyliśmy leśną ścieżką z powrotem. Spojrzałem na zegarek. Było po północy. Wracaliśmy w milczeniu, świecąc sobie pod nogi. Obaj pogrążyliśmy się w rozmyślaniach.

Gdy doszliśmy przed dom, Menshiki otworzył bagażnik jaguara i schował do niego reflektor. Potem, jakby w końcu opuściło go napięcie, przysiadł na zamkniętym bagażniku i spojrział na niebo. Na ciemne niebo, na którym nic nie było widać.

– Czy mogę na trochę do pana wpaść? – zapytał. – Jak wrócę do domu, pewnie nie będę mógł się uspokoić.

– Oczywiście, zapraszam. Ja też pewnie przez jakiś czas nie zmrużę oka.

Lecz Menshiki się nie ruszał, jakby pogrążony w myślach.

– Nie bardzo potrafię to wytłumaczyć – powiedziałem – ale nie daje mi spokoju myśl, że Marie spotkało coś złego. I to gdzieś tu niedaleko.

– Ale nie w tym dole.

– Wygląda na to, że nie.

– Coś złego, to znaczy co? – zapytał Menshiki.

– Tego nie wiem. Ale czuję, że grozi jej jakieś niebezpieczeństwo.

– I czuje pan, że to jest g d z i e ś n i e d a l e k o?

– Tak. Gdzieś tu niedaleko. Nie daje mi spokoju fakt, że ktoś wyjął tę drabinę. Ktoś ją specjalnie wyciągnął i ukrył w trawie. Co to może znaczyć?

Menshiki wstał i znów lekko dotknął mojego rękawa.

– Tak, ja też nie mam pojęcia. Ale martwienie się nic tu nie da. Wejźmy do domu.



Rozdział 47

Czy dziś jest piątek?

Wszedłem do domu, zdjęłem kurtkę i od razu zadzwoniłem do Shōko Akikawy. Odebrała po trzecim dzwonku.

– Dowiedziała się pani czegoś? – zapytałem.

– Nie, jeszcze nic nie wiadomo. Nie mam żadnych wiadomości – odparła. Jej głos brzmiał, jakby miała trudności z oddychaniem.

– A zawiadomiła pani już policję?

– Nie, jeszcze nie. Sama nie wiem dlaczego, ale pomyślałam, że jeszcze trochę poczekam. Zdawało mi się, że Marie może w każdej chwili wrócić...

Objąsniałem jej, jak wyglądał pingwin, którego znaleźliśmy na dnie dołu. Nie wyjaśniałem okoliczności jego znalezienia, zapytałem tylko, czy Marie miała coś takiego.

– Miała coś przyczepionego do telefonu. O ile mnie pamięć nie myli, był to pingwin... Tak, to był pingwin. Na pewno. Mała plastikowa figurka. Dostała go w sklepie z pączkami w promocji i z jakiegoś powodu bardzo go polubiła. Traktowała go jak talizman.

– Zawsze miała przy sobie telefon?

– Tak, zwykle był wyłączony, ale miała go przy sobie. Nie odbierała, lecz sama dzwoniła, kiedy miała jakąś sprawę – powiedziała Shōko Akikawa. Przez kilka sekund panowało milczenie. – Czy pan przypadkiem znalazł gdzieś tę figurkę?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Gdybym wyjawiał prawdę, musiałbym jej powiedzieć o istnieniu dołu w lesie. A jeśli wda się w to policja, będę musiał złożyć takie same wyjaśnienia, tylko bardziej przekonujące. Jeżeli dowiedzą się, że w dole odkryto coś należącego do Marie, dokładnie go zbadają i przeszukają las. Będą o wszystko dokładnie wypytywać, wywloką pewnie przeszłość Menshikiego.

Ale to by się na nic nie zdało. Tak jak mówi Menshiki, wszystko by się tylko skomplikowało.

– Leżał na podłodze w mojej pracowni – powiedziałem. Nie lubiłem kłamać, ale nie mogłem powiedzieć prawdy. – Znalazłem go podczas sprzątanía. I pomyślałem, że może przypadkiem należy do Marie.

– Myślę, że tak. Na pewno – powiedziała ciotka dziewczynki. – Ale co ja mam teraz zrobić? Czy powinnam jednak zadzwonić na policję?

– Udało się pani skontaktować z bratem, to znaczy z ojcem Marie?

– Nie, jeszcze nie – przyznała niechętnie. – Nie wiem, gdzie jest. Często nie wraca na noc do domu.

Chyba była to trudna sytuacja rodzinna, ale teraz nie miałem czasu na jej analizowanie. Odpowiedziałem krótko, że pewnie lepiej zawiadomić policję. Minęła już północ, był następny dzień. Marie mogła ulec jakiemuś wypadkowi. Ciotka powiedziała, że zaraz zadzwoni.

– A telefon Marie ciągle nie odpowiada?

– Nie, próbowałam wiele razy, ale nie mogę się dodzwonić. Chyba jest wyłączony. Albo wyczerpała się bateria. Jedno albo drugie.

– Marie wyszła dziś rano, mówiąc, że idzie do szkoły, i zniknęła. Tak?

– Tak.

– To znaczy, że prawdopodobnie ciągle ma na sobie szkolny mundurek.

– Tak, powinna mieć na sobie mundurek. Granatowy żakiet, granatowa wełniana kamizelka, biała bluzka i spódnica w kratę do kolan. Białe getry, czarne mokasyny. Do tego torba na ramię z godłem i nazwą szkoły. Nie nosiła jeszcze płaszcz.

– A nie miała też torby z przyborami malarskimi?

– Nie. Zwykle trzymała ją w schowku w szkole. Bo korzystała z nich też podczas lekcji plastyki. W piątki zabierała torbę ze szkoły na pana kurs. Nie brała jej rano z domu.

Tak zawsze była ubrana na kursie. Granatowy żakiet, biała bluzka, spódnica w szkocką kratę, szkolna torba na ramię i biała płócienna torba z przyborami malarskimi. Dobrze ją tak zapamiętałem.

– Nie miała przy sobie nic innego?

– Nie, nie miała. Dlatego nie mogła się wybrać nigdzie daleko.

– W razie czego proszę dzwonić, pora nie ma znaczenia. Proszę się nie

krępować – powiedziałem.

Shōko Akikawa powiedziała, że zadzwoni.

Potem się rozłączyłem.

Menshiki stał obok i przysłuchiwał się rozmowie. Kiedy odłożyłem słuchawkę, zdjął wreszcie wiatrówkę. Pod nią miał czarny sweter w serek.

– Ten pingwin należał do Marie? – zapytał.

– Na to wygląda.

– Czyli musiała kiedyś, nie wiadomo kiedy, wejść sama do tego dołu. Zostawiła tam pingwina, który był jej talizmanem. Na to wychodzi.

– Czyli zostawiła go tam jako amulet?

– Pewnie tak.

– Ale jeśli to ma być amulet, przed czym ma chronić? I kogo ma chronić?

Menshiki potrząsnął głową.

– Tego nie wiem. Ale zawsze nosiła przy sobie tego pingwina jako talizman. Jeżeli go odczepiła i tam zostawiła, musiała mieć jakiś konkretny powód. Ludzie nie pozbywają się chętnie amuletów.

– Czyli był ktoś, albo coś, kogo bardziej chciała ochronić niż siebie samą.

– Na przykład? – zapytał Menshiki.

Nie przyszła nam do głowy żadna odpowiedź.

Przez chwilę milczeliśmy. Zegar stale i powoli odmierzał czas. Z każdym tyknięciem świat posuwał się po trochu naprzód. Za oknem rozpościerały się nocne ciemności. Nic się tam nie poruszało.

Wtedy nagle przypomniałem sobie, co Komandor powiedział o zniknięciu dzwonek.

„Nie należą do mnie. Raczej przynależą do miejsca. Ale tak czy inaczej, jeśli zniknęły, pewnie był ku temu powód”.

Przynależą do miejsca?

– A może to nie Marie zostawiła w dole pingwina? – powiedziałem. – Albo może ten dół jest połączony z jakimś innym miejscem. Nie jest czymś oddzielnym i zamkniętym, a czymś w rodzaju korytarza. I przywołuje ku sobie różne rzeczy.

Kiedy ubrałem swoje myśli w słowa, zabrzmiały dość głupio. Komandor pewnie

by je zaakceptował, ale na tym ś w i e c i e to było niemożliwe.

Pokój wypełnił się głębokim milczeniem.

– Ale dokąd ten dół może prowadzić? – powiedział niebawem Menshiki jakby sam do siebie. – Jak pan wie, niedawno tam zszedłem i przesiedziałem w nim godzinę. W zupełniej ciemności, bez światła, bez drabiny. W tej ciszy głęboko się skupiłem. I bardzo się starałem zanegować byt cielesny. Próbowałem stać się jedynie bytem myślowym. Gdybym tak zrobił, może udałoby mi się przekroczyć kamienny mur i stamtąd wydostać. Często próbowałem tego samego w izolatce w areszcie śledczym. Ale w końcu nigdzie mi się nie udało dostać. Była to przestrzeń otoczona solidnym murem, z której nie było ucieczki.

Może to dół wybiera sobie człowieka, pomyślałem nagle. Komandor wyszedł z dołu i pojawił się u mnie. Wybrał mnie jako tymczasowe miejsce pobytu. Może dół w y b r a ł też Marie? Ale z jakiegoś powodu nie wybrał Menshikiego.

– Tak czy inaczej, tak jak przedtem rozmawialiśmy, lepiej nie mówić policji o tym dole – powiedziałem. – A przynajmniej lepiej n a r a z i e, na tym etapie, nie mówić. Ale jeżeli nie powiemy im o znalezieniu tam pingwina, będzie to oczywiście zatajanie dowodów. Gdyby to się z jakiegoś powodu wydało, znaleźlibyśmy się w nieciekawej sytuacji.

Menshiki rozmyślał przez chwilę. Potem powiedział zdecydowanym tonem:

– Nie mówmy ani słowa na ten temat. Nie ma innego wyjścia. Znalazł pan to na podłodze pracowni. Musi pan przy tym obstawać.

– Może ktoś powinien pojechać do Shōko Akikawy – powiedziałem. – Jest sama w domu, waha się. Nie wie, co począć, i ma zamęt w głowie. Nie udało jej się jeszcze skontaktować z ojcem Marie. Czy nie potrzebuje wsparcia?

Menshiki zastanowił się i nad tym z poważnym wyrazem twarzy, ale wkrótce pokręcił głową.

– Nie mogę teraz do niej pojechać. Sytuacja mnie do tego nie upoważnia, nie wiadomo też, kiedy wróci jej brat. Ja go w ogóle nie znam i jeśli... – przerwał i umilkł.

Ja też nic nie powiedziałem.

Menshiki długo nad czymś rozmyślał, bębniąc lekko palcami w poręcz kanapy. Gdy tak rozmyślał, policzki nieco mu poczerwieniały.

– Czy mogę trochę u pana zostać? – zapytał po chwili. – Może będzie jakaś wiadomość od pani Akikawy.

– Oczywiście, niech pan zostanie – powiedziałem. – Ja też pewnie nieprędko pójdę spać. Proszę zostać, jak długo pan zechce. Może pan też zostać na noc, to żaden kłopot. Pościelę panu.

– Może i skorzystam z pana uprzejmości – powiedział Menshiki.

– Napije się pan kawy? – zapytałem.

– Będę bardzo wdzięczny.

Poszedłem do kuchni, zmieliłem kawę i nastawiłem ekspres. Kiedy była gotowa, zaniósłem ją do salonu. Napiliśmy się.

– Zaraz rozpalę w kominku – powiedziałem.

Po północy w pokoju zapanował jeszcze większy chłód. Był już grudzień. Czas, kiedy ludzie palą w kominkach.

Włożyłem do kominka przygotowane wcześniej w rogu pokoju drewno. Rozpaliłem, posługując się zapalkami i papierem. Drewno musiało być suche, bo od razu się zajęło. Po raz pierwszy od wprowadzenia się tutaj rozpaliłem ogień, więc trochę się martwiłem, czy będzie dobry ciąg w kominie (Masahiko powiedział, że kominek jest w każdej chwili gotowy do użytku, ale nigdy nie wiadomo, dopóki się nie zapali. Zdarza się przecież, że ptaki uwiją sobie gniazdo w kominie i wszystko zablokują). Jednak dym poszedł prosto w górę. Przysunęliśmy krzesła przed kominek i ogrzaliśmy się przy ogniu.

– Prawdziwy ogień to jednak dobra rzecz – powiedział Menshiki.

Chciałem mu zaproponować whisky, ale po namyśle zrezygnowałem. Dziś w nocy pewnie lepiej było zachować trzeźwość. Może będzie trzeba gdzieś jechać samochodem. Siedzieliśmy przy kominku, wpatrując się w żywo tańczące płomienie, i słuchaliśmy muzyki. Menshiki wybrał sonatę skrzypcową Beethovena i nastawił płytę. Na skrzypcach grał Georg Kulenkampff, na fortepianie Wilhelm Kempff. Była to idealna muzyka do słuchania na początku zimy, gdy wpatrywał się człowiek w ogień w kominku, lecz nie mogłem się uspokoić na myśl, że Marie może gdzieś drzy samotnie z zimna.

Pół godziny później zadzwoniła Shōko Akikawa. Jej brat, Yoshinobu, niedawno wrócił do domu i zawiadomił policję. Zaraz będą. Podejrzewają porwanie dla okupu, bo rodzina Akikawów jest zamożna i od dawna bardzo tu znana. Marie nadal się nie kontaktuje, jej komórka ciągle nie odpowiada. Ciotka zadzwoniła do wszystkich osób, której jej przyszły do głowy – choć nie było ich zbyt wiele – ale nikt nie wiedział, gdzie Marie się podziała.

– Mam nadzieję, że nic jej się nie stało – powiedziałem. Poprosiłem, żeby

zadzwoiła, gdy tylko będzie miała jakieś wiadomości, i się rozłączyłem.

Znowu siedzieliśmy przy kominku, słuchając muzyki. Tym razem koncertu na obój Richarda Straussa. Tę płytę też wybrał z półki Menshiki. Pierwszy raz słyszałem ten utwór. Prawie nie rozmawialiśmy, tylko siedzieliśmy, wpatrując się w ogień, każdy zatopiony w swoich myślach.

Kiedy minęło pół do drugiej, nagle ogarnęła mnie straszna senność. Oczy coraz bardziej mi się kleiły. Od dawna wcześniej wstawałem i wcześniej się kładłem, więc trudno mi było siedzieć do późna w nocy.

– Niech się pan prześpi – powiedział Menshiki, patrząc na mnie. – Pani Akikawa może zadzwonić, więc ja tu jeszcze trochę posiedzę. Nie muszę spać. Brak snu mi nie przeszkadza. Od dawna tak jest. Dlatego proszę się mną nie przejmować. Będę dokładał drewna, żeby ogień nie zgasł. Posiedzę tu sobie, słuchając muzyki i patrząc w ogień. Dobrze?

Powiedziałem, że oczywiście, dobrze. Przyniosłem jeszcze jedno naręcze drewna ze składziku za kuchnią i ułożyłem stos przy kominku. Powinno go spokojnie wystarczyć do rana.

– Bardzo przepraszam, ale trochę się prześpię – powiedziałem.

– Niech pan spokojnie śpi. Śpijmy na zmianę. Ja pewnie trochę się zdrzemnę o świcie. Prześpię się na tej kanapie, więc czy mogę prosić o jakiś koc?

Przyniosłem mu koc, pod którym spał Masahiko, lekką pierzynę i poduszkę i posłałem na kanapie. Menshiki mi podziękował.

– Jeśli ma pan ochotę, mam whisky – powiedziałem na wszelki wypadek.

Menshiki zdecydowanie pokręcił głową.

– Nie, dziś w nocy lepiej chyba nie pić. Nie wiadomo, co się może zdarzyć.

– Jeśli pan zgłodnieje, proszę sobie wziąć z lodówki, na co tylko pan ma ochotę. Nie ma tam nic nadzwyczajnego, ale jest ser i są krakersy.

– Dziękuję – powiedział Menshiki.

Zostawiłem go w salonie i poszedłem do swojego pokoju. Przebrałem się w piżamę i położyłem do łóżka. Zgasłem lampkę nocną i próbowałem zasnąć. Byłem strasznie śpiący, ale miałem wrażenie, że w głowie okropnie szybko macha mi skrzydełkami i byczy jakiś owad, i nie mogłem usnąć. Czasami mi się to zdarzało. Poddałem się, zapaliłem światło i usiadłem.

– No jak? Niepodobna spać, co, panowie? – powiedział Komandor.

Rozejrzałem się po pokoju. Siedział na niskim okiennym parapecie. Był ubrany w swoje zwykłe białe szaty. Do tego dziwne szpiczaste buty i miniaturowy miecz. Włosy miał starannie związane. Wyglądał dokładnie tak samo jak Komandor mordowany na obrazie Tomohika Amady.

– Nie, nie mogę spać – powiedziałem.

– Bo dzieją się różne rzeczy – odparł. – Ludzie nie mogą spokojnie spać.

– Dawno pana nie widziałem – zauważyłem.

– Jakem wcześniej mówił, ideom niepodobna zrozumieć pojęć w rodzaju „dawno” albo „od dłuższego czasu”.

– Ale dobrze się składa, bo chciałem pana o coś zapytać.

– O co takiego?

– Marie Akikawa zniknęła dziś rano i wszyscy jej szukają. Dokąd właściwie poszła?

Komandor siedział chwilę z przechyloną głową. Potem powoli powiedział:

– Jak wiecie, panowie, świat ludzi składa się z trzech elementów: czasu, przestrzeni i prawdopodobieństwa. Idee muszą być niezależne od tych trzech elementów. Dlatego nie mogę mieć z nimi nic wspólnego.

– Nie bardzo rozumiem, co pan mówi, ale chodzi o to, że nie wie pan, gdzie jest?

Komandor nie odpowiedział.

– Czy też wie pan, ale nie może mi pan powiedzieć?

Komandor skrzywił się i zmrużył oczy.

– Nie unikam odpowiedzialności, ale idee też mają swoje ograniczenia.

Wyprostowałem się i spojrzałem prosto na niego.

– Niech pan posłucha. Muszę uratować Marie Akikawę, potrzebuje pomocy. Nie wiem, gdzie jest, ale pewnie zbłądziła w jakieś miejsce, z którego nie może się sama łatwo wydostać. Tak mi się wydaje. Lecz ja w tej chwili nie mam pojęcia, dokąd iść i co robić. Sądzę tylko, że jej zniknięcie ma jakiś związek z dołem w lesie. Nie umiem tego logicznie wytłumaczyć, ale wiem to na pewno. Pan długo siedział w tym dole. Nie wiem, jak do tego doszło, że był pan tam tak długo zamknięty. Tak czy owak, razem z panem Menshikim odsunęliśmy koparką te ciężkie kamienie i otworzyliśmy dół. Wypuściliśmy pana z niego, prawda? Dzięki temu może się pan teraz swobodnie poruszać w czasie i przestrzeni. Może się pan też dowolnie ukazywać i znikać. Przyglądał się pan również do woli, jak

uprawiałem seks ze swoją dziewczyną. Czy tak nie jest?

– No tak, mniej więcej się zgadza.

– Nie proszę, żeby mi pan konkretnie powiedział, jakim sposobem uratować Marie. Wygląda na to, że w świecie idei są różne ograniczenia, więc nie będę się domagał niemożliwego. Ale chyba może mi pan dać jakąś wskazówkę? Jeśli wziąć pod uwagę sytuację, chyba jest mi pan winien taką uprzejmość?

Komandor głęboko westchnął.

– Wystarczy niebezpośrednia sugestia. Nie oczekuję niczego na większą skalę, nie mówię, żeby pan zlikwidował natychmiast czystki etniczne, zatrzymał globalne ocieplenie albo uratował słonia afrykańskiego. Ja chcę tylko sprowadzić z powrotem do tego zwykłego świata trzynastoletnią dziewczynkę, która może jest zamknięta w ciasnej, ciemnej przestrzeni. To wszystko.

– Dobrze – powiedział Komandor. – Skoro wysuwacie takie argumenty, panowie, to niepodobna odmówić. Dam wam jedną wskazówkę. Ale w rezultacie może być kilka ofiar. Czy to wam nie przeszkadza, moi panowie?

– Jakich ofiar?

– Tego niepodobna powiedzieć. Ale nie da się pewnie uniknąć ofiar. Mówiąc w przenośni, musi się połączyć krew. O to chodzi. Później stopniowo się okaże, co to będą za ofiary. Może nawet ktoś będzie musiał oddać życie.

– To nie szkodzi. Proszę mi dać wskazówkę.

– Dobrze – powiedział Komandor. – Czy dziś jest piątek?

Spojrzałem na zegar przy łóżku.

– Tak, dziś jeszcze jest piątek. Nie, to znaczy już jest sobota.

– W sobotę rano, to znaczy przed południem, będzie do was telefon, moi panowie – powiedział Komandor. – Ktoś was gdzieś zaprosi. Pod żadnym pozorem nie wolno wam odmówić. Rozumiecie, panowie?

Mechanicznie powtórzyłem, co powiedział.

– Dziś rano będzie telefon, ktoś mnie gdzieś zaprosi, nie wolno mi odmówić.

– Zgadza się. To jest jedyna wskazówka, jaką wam mogę dać, moi panowie. Można powiedzieć, że i tak jest już na granicy „języka publicznego” i „języka prywatnego”.

Po tych słowach Komandor powoli się rozplątał. Nagle się zorientowałem, że już go na parapecie nie ma.

Kiedy tym razem zgasilem lampkę, dość szybko nadszedł sen. W głowie ustało bzyczenie i trzepot skrzydełek. Na chwilę przed zaśnięciem pomyślałem o Menshikim przy kominku. Nad czym się zastanawia, siedząc tam i dokładając do ognia. Nie wiedziałem oczywiście, o czym może rozmyślać. To był tajemniczy człowiek. Ale on też żył skrępowany czasem, przestrzenią i prawdopodobieństwem. Tak samo jak wszyscy na tym świecie. Tak długo jak żyliśmy, nie mogliśmy się uwolnić od tych ograniczeń. Można było chyba wręcz powiedzieć, że żyliśmy ograniczeni ze wszystkich stron solidnymi murami. Prawdopodobnie.

„Dziś rano będzie telefon, ktoś mnie gdzieś zaprosi, nie wolno mi odmówić”. Jeszcze raz mechanicznie powtórzyłem w myślach, co mi powiedział Komandor. Potem usnąłem.



Rozdział 48

Hiszpanie nie wiedzieli, jak żeglować wzdłuż wybrzeży Irlandii

Obudziłem się po piątej. Było jeszcze zupełnie ciemno. Nałożyłem na pizamę zapinany sweter i poszedłem do salonu zobaczyć, co się dzieje. Menshiki spał na kanapie. Ogień w kominku zgasł, ale chyba jeszcze przed chwilą się palił. W pokoju było nadal ciepło. Drewna ze stosu znacznie ubyło. Menshiki leżał na boku przykryty pierzyną i spokojnie spał. Nie było słychać, jak oddycha. Nawet spał elegancko. Zdawało się, że powietrze w pokoju wstrzymuje oddech, by mu w tym śnie nie przeszkadzać.

Zostawiłem go, poszedłem do kuchni i zaparzyłem kawę. Zrobiłem też grzanki. Usiadłem na krześle w jadalni i popijając kawą grzankę z masłem, czytałem zaczęłą wcześniej książkę. Traktowała o Wielkiej Armadzie. O gwałtownej walce między flotami Hiszpanii i Anglii, która rozpętała się za panowania Elżbiety I i Filipa II. Nie bardzo wiedziałem, dlaczego akurat teraz czytam starą książkę o bitwie morskiej u wybrzeży Anglii w drugiej połowie szesnastego wieku, ale zainteresowała mnie i wciągnęła. Znalazłem ją na półce Tomohika Amady.

Ogólnie przyjmuje się, że niezwyciężona dotąd hiszpańska Armada popełniła błąd w sztuce wojennej i poniosła sromotną klęskę w bitwie morskiej z flotą angielską, co bardzo zmieniło bieg historii świata. W rzeczywistości większość strat poniesionych przez flotę hiszpańską została wywołana nie walką (obie strony dużo strzelały z armat, ale kule rzadko trafiały wroga), a rozbiciem statków na skałach. Hiszpanie, przyzwyczajeni do spokojnych wód Morza Śródziemnego, nie wiedzieli, jak żeglować wśród najeżonych skałami wybrzeży Irlandii, wpływali na podwodne rafy, a ich okręty tonęły.

Gdy tak siedziałem przy stole w jadalni, popijając drugą kawę, a flotę hiszpańską spotykała żałosna klęska, niebo na wschodzie powoli białało. Była sobota rano.

„Dziś rano będzie telefon, ktoś mnie gdzieś zaprosi, nie wolno mi odmówić”.

Powtórzyłem w myślach słowa Komandora. Spojrzałem na telefon. Milczał. Pewnie ktoś zadzwoni. Komandor nie kłamał. Mogłem tylko czekać, aż telefon się odezwie.

Pomyślałem o Marie. Chciałem zadzwonić do jej ciotki i upewnić się, że dziewczynce nic się nie stało, ale było jeszcze za wcześnie. Lepiej poczekać z dzwonieniem przynajmniej do siódmej. Poza tym, jeśli się dowie, gdzie jest Marie, na pewno da mi znać. Bo wie, że się martwię. Brak kontaktu oznacza, że nie ma nowych wiadomości. Dlatego czytałem dalej o Niezwyciężonej Armadzie, a kiedy mnie to nużyło, wpatrywałem się w telefon. On jednak niezmiennie milczał.

Po siódmej zadzwoniłem do Shōko Akikawy. Od razu odebrała. Zupełnie jakby czekała przy aparacie.

– Nadal się nie skontaktowała. Nie wiemy, gdzie jest – powiedziała. Pewnie prawie (albo w ogóle) nie spała. Jej głos przepełniało zmęczenie.

– Policja zaczęła działać? – zapytałem.

– Tak, wczoraj w nocy przyszło tu dwóch i rozmawialiśmy z nimi. Daliśmy im zdjęcia, opisaliśmy, w co była ubrana... Powiedziałam im, że to nie jest typ dziewczyny, która nie wraca do domu i zabawia się nocami. Rozesłali informacje i pewnie prowadzą poszukiwania. Oczywiście na razie poprosiliśmy, żeby nie zgłaszać jej jeszcze oficjalnie jako osoby zaginionej.

– Ale nadal nic nie wiadomo?

– Nie, na razie nie ma nawet żadnych poszlak. Policja bardzo się chyba stara.

Starłem się podnieść ją na duchu i poprosiłem, żeby mnie zawiadomiła, gdy tylko się czegoś dowie. Powiedziała, że to zrobi.

Menshiki już się obudził i powoli mył twarz w łazience. Umył zęby nową szczoteczką, którą kupiłem dla gości, potem usiadł naprzeciw mnie przy stole i napił się gorącej czarnej kawy. zaproponowałem mu grzanekę, ale podziękował. Pewnie przez to, że spał na kanapie, jego bujne białe włosy były nieco mniej idealnie ułożone niż zwykle, ale tylko w porównaniu z jego zwykłą fryzurą. Siedział przede mną normalny, chłodny i elegancki Menshiki.

Przekazałem mu, co Shōko Akikawa powiedziała mi przez telefon.

– Coś czuję – powiedział po wysłuchaniu – że w tej sprawie policja będzie

niezbyt przydatna.

– Dlaczego pan tak sądzi?

– Bo Marie nie jest zwykłą dziewczynką i sprawa trochę się różni od zwykłego zniknięcia nastolatki. Myślę też, że nie została porwana dla okupu. Dlatego pewnie trudno będzie ją znaleźć metodami, którymi zwykle posługuje się policja.

Nie wypowiedziałem się na ten temat, ale pewnie miał rację. Mieliśmy do czynienia z równaniem, w którym było dużo niewiadomych, a mało danych liczb. Musieliśmy znaleźć jak najwięcej liczb.

– Może pójdziemy jeszcze raz spojrzeć na ten dół? – powiedziałem. – Może coś się tam zmieniło?

– Chodźmy – odparł Menshiki.

Obaj byliśmy świadomi faktu, że nie możemy nic innego zrobić. Pomyślałem, że pod naszą nieobecność może zadzwonić Shōko Akikawa albo ten ktoś z zaproszeniem, o którym mówił Komandor. Ale pewnie jeszcze było na to za wcześnie. Miałem takie niejasne przeczucie.

Włożyliśmy kurtki i wyszliśmy na dwór. Był pogodny poranek. Chmury, które wczoraj w nocy pokrywały niebo, odpłynęły niesione południowo-zachodnim wiatrem. Niebo wydawało się nienaturalnie wysokie i nieskończenie czyste. Kiedy patrzyłem prosto w górę, miałem wrażenie, że patrzę od dołu na dno przezroczystego źródła. Z bardzo daleka dobiegł stukot kół długiego pociągu. Z powodu czystego powietrza i kierunku wiatru dziwnie wyraźnie dobiegały dalekie odgłosy, których zwykle nie było tu słychać.

W milczeniu doszliśmy ścieżką do kapliczki, a potem stanęliśmy obok dołu. Pokrywa wyglądała dokładnie tak jak wczoraj w nocy. Nie zmieniła się pozycja obciążających ją kamieni. Odsunęliśmy pokrywę, drabina nadal stała oparta o ścianę. W dole nikogo nie było. Menshiki tym razem nie zaproponował, żeby zejść. W jasnym świetle słońca dokładnie widać było dno i wszystko wyglądało tak samo jak poprzedniej nocy. Za dnia dół wydawał się inny. Nie miał w sobie zupełnie nic niepokojącego.

Zakryliśmy go ponownie grubymi deskami i obciążyliśmy kamieniami. Potem wróciliśmy przez las do domu. Na podjeździe stały obok siebie nieskazitelny i milczący srebrny jaguar Menshikiego i moja kompletnie zakurzona skromna toyota corolla kombi.

– Będę już wracał do domu – powiedział Menshiki, zatrzymawszy się przed jaguarem. – Bo siedząc tu, tylko panu przeszkadzam, a na nic się nie przydaję.

Dobrze?

– Oczywiście. Proszę iść do domu i spokojnie odpocząć. Jak coś się zdarzy, od razu dam panu znać.

– Dziś, zdaje się, jest sobota, prawda? – zapytał Menshiki.

– Tak, dziś jest sobota.

Menshiki skinął głową, wyjął z kieszeni kurtki kluczyki i przez chwilę się im przyglądał. Chyba się nad czymś zastanawiał. Może nie mógł się zdecydować. Czekałem, aż się namyśli.

W końcu się odezwał:

– Jest coś, o czym powinienem panu powiedzieć.

Oparłem się o toyotę i czekałem na dalszy ciąg.

– To prywatna sprawa, więc wahałem się, jak postąpić, ale doszedłem do wniosku, że wypada pana zawiadomić. Nie chcę też niepotrzebnych nieporozumień... Chodzi o to, że pani Shōko Akikawa i ja nawiązaliśmy, jak by to nazwać, dość bliskie stosunki.

– Chodzi panu o stosunki damsko-męskie? – zapytałem wprost.

– Właśnie o to chodzi – powiedział Menshiki po chwili. Chyba lekko się zarumienił. – Może pan pomyśli, że trochę za szybko do tego doszło.

– Myślę, że tempo nie stanowi specjalnego problemu.

– Ma pan rację – przyznał Menshiki. – Jest tak, jak pan mówi. Problem nie tkwi w tempie.

– Problem... – zacząłem i urwałem.

– Problemem są moje motywy. O to panu chodzi, prawda?

Milczałem. Ale oczywiście wiedział, że moje milczenie jest potwierdzeniem.

– Chciałbym pana zapewnić, że wcześniej tego nie zaplanowałem ani nie zamierzałem popychać spraw w tym kierunku. Same naturalnie się tak potoczyły. Zanim się zorientowałem. Choć może mi pan nie uwierzy.

Westchnąłem. Potem szczerze powiedziałem:

– Ja wiem tylko, że gdyby pan to od początku zaplanował, wszystko byłoby na pewno bardzo proste. Nie mówię tego ironicznie.

– Pewnie ma pan rację – powiedział Menshiki. – Muszę to przyznać. Nie wiem, czy byłoby proste, ale mogło nie być bardzo skomplikowane. Ale w rzeczywistości nie tak się to rozegrało.

– Czyli zakochał się pan w Shōko Akikawie od pierwszego wejrzenia?

Menshiki wyjął lekko usta, jakby zakłopotany.

– Zakochałem się? Szczerze mówiąc, nie twierdzę, że aż tak daleko się posunąłem. Ostatni raz byłem zakochany strasznie dawno temu, a przynajmniej tak mi się wydaje. Teraz już nie potrafię sobie przypomnieć, jak to było. Ale nie ma wątpliwości, że Shōko Akikawa silnie mnie pociąga jako mężczyznę.

– Bez związku z Marie?

– Na to trudno odpowiedzieć. Bo powodem naszego spotkania była Marie. Ale myślę, że nawet gdyby nie było Marie, jej ciotka silnie by mnie pociągała.

Ciekawe, czy rzeczywiście by tak było, pomyślałem. Czy kogoś o tak głęboko skomplikowanej psychice jak Menshiki naprawdę silnie pociągała by taka raczej beztroska kobieta? Ale nie umiałem tego ocenić. Serce często potrafiło zaskoczyć. Szczególnie jeśli wchodził w grę aspekt seksualny.

– Rozumiem – powiedziałem. – Dziękuję panu za szczerść. Myślę, że najlepiej jest być szczerym.

– Ja pragnę być szczerzy.

– Prawdę mówiąc, Marie już o tym wie. O tym, że pan jest z Shōko Akikawą w takich stosunkach. Przyszła do mnie z prośbą o radę w tej sprawie. Kilka dni temu.

Menshiki trochę się zdziwił na te słowa.

– Ma świetne wycucie – powiedział. – Starąłem się w ogóle tego po sobie nie pokazywać.

– Ma n a p r a w d ę świetne wycucie. Ale zorientowała się po zachowaniu ciotki, nie pana.

Shōko Akikawa była inteligentną kobietą z dobrej rodziny, która potrafiła do pewnego stopnia zapanować na swoimi uczuciami, ale nie potrafiła założyć doskonałej maski. Menshiki oczywiście też to wiedział.

– I pana zdaniem... to, że Marie się zorientowała, ma jakiś związek z jej zniknięciem?

Potrząsnąłem głową.

– Tego nie wiem. Tylko chyba lepiej, żeby pan porozmawiał z panią Shōko. Zniknięcie Marie spowodowało, że jest strasznie zdezorientowana i zaniepokojona. Pewnie potrzebuje pana wsparcia i pomocy. Dość rozpaczliwie potrzebuje.

– Rozumiem. Skontaktuję się z nią zaraz po powrocie do domu.

Skończył mówić i znów na chwilę się zamyślił.

– Prawdę mówiąc – powiedział z westchnieniem – sędzę, że jednak się nie zakochałem. To jest trochę co innego. Ja się z natury do czegoś takiego nie nadaję. Tylko sam już nie wiem. Czy gdyby nie było Marie, Shōko by mnie tak pociągała. Nie potrafię oddzielić jednego od drugiego.

Milczałem.

– Ale wcześniej tego nie zaplanowałem. Wierzy pan przynajmniej w to?

– Proszę pana – powiedziałem – nie potrafię wytłumaczyć, dlaczego tak uważam, ale sędzę, że jest pan z natury uczciwym człowiekiem.

– Dziękuję.

Menshiki lekko się uśmiechnął. Był to uśmiech pełen zakłopotania, ale nie całkiem pozbawiony radości.

– Czy mogę być jeszcze trochę szczerzy?

– Oczywiście.

– Czasami czuję, że jestem niczym – powiedział, jakby się zwierzał. Na jego wargach pozostał jeszcze blady uśmiech.

– Niczym?

– Że jestem pustym człowiekiem. Może to zabrzmie wyjątkowo arogancko, ale do tej pory żyłem w przekonaniu, że jestem bardzo bystry i utalentowany. Mam dobre wyczucie, umiem oceniać sytuację i podejmować decyzje. Mam też dużo energii. Wychodzi mi wszystko, za co się biorę. Zdobyłem prawie wszystko, czego pragnąłem. Oczywiście nie zaliczam pobytu w Tokijskim Areszcie Śledczym do swoich sukcesów, ale to jeden z nielicznych wyjątków. W młodości myślałem, że wszystko jest możliwe. Że uda mi się dotrzeć do miejsca, z którego spojrzę z góry na cały świat. Ale kiedy teraz, po pięćdziesiątce, przeglądam się w lustrze, widzę w nim tylko pustego człowieka. Nic. Człowieka wypchanego słomą, o którym pisał T.S. Eliot.

Nie wiedziałem, co powiedzieć, więc milczałem.

– Może moje całe dotychczasowe życie było pomyłką? Czasami tak myślę. Może gdzieś się pomyliłem? I może wszystko, co robiłem, było bez znaczenia? Dlatego, jak wcześniej mówiłem, często czuję zazdrość, patrząc na pana.

– Na przykład o co? – zapytałem.

– Ma pan w sobie siłę, by pragnąć rzeczy, których nie może pan zdobyć. A ja potrafiłem w życiu pragnąć tylko tych rzeczy, które mogłem zdobyć.

Prawdopodobnie mówił o Marie. Ona właśnie była dla niego czymś, czego „pragnął, a nie mógł zdobyć”. Ale nie wypadało mi o tym mówić.

Menshiki powoli wszedł do samochodu, otworzył okno, uklonił mi się, włączył silnik i odjechał. Odprowadzałem samochód wzrokiem, aż zniknął, a potem wszedłem do domu. Było po ósmej.

Telefon odezwał się po dziesiątej. Dzwonił Masahiko.

– Przepraszam, że tak bez uprzedzenia – powiedział – ale jadę właśnie na Izu do ojca. Jeśli chcesz, możesz się ze mną zabrać. Bo ostatnio mówiłeś, że chcesz go poznać.

„Rano będzie telefon, ktoś mnie gdzieś zaprosi, nie wolno mi odmówić”.

– Dobrze, w porządku. Weź mnie ze sobą – powiedziałem.

– Właśnie wjechałem na autostradę Tōmei. Dzwonię z parkingu Kōhoku. Myślę, że będę u ciebie za jakąś godzinę. Zabiorę cię i pojedziemy dalej do Izu.

– Nagle się zdecydowałeś jechać?

– Tak, dzwonił z domu opieki. Zdaje się, że ojciec jest w nie najlepszym stanie. Więc jadę się z nim zobaczyć. Dziś byłem akurat wolny.

– A czy na pewno mogę z tobą jechać? Nie jestem nawet z rodziny, a to mogą być ostatnie cenne chwile.

– Możesz. Nie przejmuj się. Inni krewni go nie odwiedzają. W kupie różniej – powiedział Masahiko i zakończył rozmowę.

Odłożyłem słuchawkę i rozejrzałem się po pokoju. Pomyślałem, że może gdzieś tu jest Komandor, ale nigdzie go nie zauważyłem. Zostawił mi tę przepowiednię i gdzieś zniknął. Pewnie błądzi w jakiejś sferze bez czasu, przestrzeni i prawdopodobieństwa. Ale rzeczywiście przed południem zadzwonił telefon, zostałem g d z i e ś zaproszony. Dotąd jego przepowiednia się spełniła. Martwiło mnie, że nie będzie mnie w domu, mimo że nadal nie znalazła się Marie, ale nie było rady. „Pod żadnym pozorem nie wolno wam odmówić” – polecił Komandor. W kwestii Shōko Akikawy mogłem się zdać na Menshikiego. Był wystarczająco odpowiedzialny.

Usiadłem na fotelu w salonie i czekając na przyjazd Masahika, czytałem dalej o Niezwyciężonej Armadzie. Hiszpanie porzucili rozbite statki, ledwo uchodząc z życiem, i dotarli do brzegów Irlandii, ale prawie wszystkich wymordowała miejscowa ludność. Mieszkający na wybrzeżu biedacy chcieli zrabować ich mienie,

więc zabili wszystkich żołnierzy i marynarzy. Hiszpanie spodziewali się, że Irlandczycy, również będący katolikami, im pomogą, ale tak się nie stało. Głód był znacznie silniejszy od solidarności religijnej. Niestety zatonął statek, na którym zgromadzono fundusze wojenne przeznaczone na przekupienie wpływowych Anglików po dotarciu do Irlandii.

Stare czarne volvo Masahika zatrzymało się przed domem trochę przed jedenastą. Rozmyślając o nieprzeliczonych hiszpańskich dukatach zatopionych na dnie głębokiego morza, włożyłem skórzaną kurtkę i wyszedłem.

Masahiko postanowił jechać drogą zwaną Izu Skyline od Hakone Turnpike, i zjechać w dół z wyżyny Amagi do Izu. Powiedział, że w weekend drogi wylotowe z Tokio są zatłoczone, więc to będzie najszybsza trasa, ale i tak szosa była pełna turystów. Jeszcze nie minął sezon podziwiania w górach jesiennych liści, więc na drodze było pełno weekendowych kierowców nieprzywykłych do prowadzenia samochodu. Podróż trwała dłużej, niż przewidywaliśmy.

– Twój ojciec jest w bardzo złym stanie? – zapytałem.

– Tak czy inaczej, długo już nie pociągnie – powiedział Masahiko obojętnym tonem. – To po prostu kwestia czasu. Prawie stan otępienia starczego. Nie bardzo daje już radę jeść, jeśli jedzenie dostanie się do układu oddechowego, grozi mu zapalenie płuc. Lecz on nie życzył sobie, żeby go karmiono płynnymi pokarmami czy podawano kroplówkę. Innymi słowy, kiedy nie będzie mógł jeść, chce, żeby mu pozwolić spokojnie umrzeć. Sporządził taki dokument z pomocą prawnika, kiedy jeszcze był świadomy, i podpisał. Absolutnie nie życzył sobie sztucznego podtrzymywania życia. Może umrzeć w każdej chwili.

– Dlatego musisz być ciągle w pogotowiu?

– Właśnie.

– Pewnie nie jest ci łatwo.

– No, umieranie to wielkie przedsięwzięcie. Nie mogę mieć do niego pretensji.

Stare volvo miało jeszcze magnetofon kasetowy. W schowku była cała góra kaset, Masahiko wyjął po omacku jedną i nastawił, nie sprawdzając, co na niej jest. Była to taśma z przebojami lat osiemdziesiątych. Duran Duran, Huey Lewis. Kiedy rozległo się *The Look of Love* grupy ABC, powiedziałem:

– Zdaje się, że w tym samochodzie zatrzymała się ewolucja.

– Nie lubię płyt kompaktowych. Za bardzo się błyszczą, może nadają się do

powieszenia w oknie i odstraszenia wron, ale nie do słuchania muzyki. Brzmi na nich metalicznie, miksowanie też jest nienaturalne. I nie podoba mi się, że nie są podzielone na stronę A i B. Jeżdżę ciągle tym samochodem, bo chcę słuchać kaset. W nowych samochodach nie da się ich odtwarzać. Przez to znajomi stracili do mnie cierpliwość. Ale nie ma rady. Mam w domu kolekcję radiowych nagrań próbnych i nie chcę ich zmarnować.

– Nie przypuszczałem, że w tym życiu kiedyś jeszcze usłyszę *The Look of Love*.

Masahiko spojrział na mnie podejrzliwie.

– To przecież świetna piosenka.

Przejechaliśmy góry Hakone, rozmawiając o różnych utworach, które nadawano na stacjach UKF w latach osiemdziesiątych. Na każdym zakręcie ukazywała się góra Fudzi, zdawała się niebieska.

– Dziwna z was para – powiedziałem. – Ojciec słucha tylko płyt winylowych, a syn upiera się przy kasetach.

– Jeśli chodzi o bycie staroświeckim, to z tobą jest tak samo. A raczej ty jesteś jeszcze bardziej zapóźniony. Nie masz nawet komórki, prawda? I prawie nie używasz internetu. Ja noszę przy sobie komórkę, a jak czegoś nie wiem, zaraz sprawdzam w Google’u. W firmie nawet robię projekty na macu. Jestem dużo bardziej postępowy niż ty.

Zaczęło się *Key Largo* Bertiego Higginsa. Bardzo wysmakowany wybór jak na kogoś postępowego.

– Spotykasz się z kimś ostatnio? – zapytałem, zmieniając temat.

– Chodzi ci o dziewczyny? – zapytał Masahiko.

– Uhm.

Masahiko lekko wzruszył ramionami.

– Nie mogę powiedzieć, że dobrze mi się na tym polu wiedzie. Jak zwykle. A do tego ostatnio zauważyłem coś dziwnego, a przez to wszystko przestało dobrze się układać.

– Coś dziwnego?

– Kobiece twarze są niesymetryczne. Wiedziałeś o tym?

– Twarze nigdy nie są zupełnie symetryczne – powiedziałem. – Piersi, jądra też się różnią wielkością i kształtem, prawe i lewe są inne. Każdy malarz to wie. Postacie ludzi są niesymetryczne i przez to interesujące.

Masahiko pokręcił głową, nie odrywając wzroku od szosy.

– Oczywiście, tyle to i ja wiem. Ale mnie chodzi o coś trochę innego. Nie o kształt, a raczej o charakter.

Czekałem, co powie dalej.

– Jakies dwa miesiące temu zrobiłem zdjęcie dziewczynie, z którą chodziłem. Z bliska, z przodu, aparatem cyfrowym. I wrzuciłem je na ekran dużego komputera, na którym pracuję. I sam nie wiem dlaczego, podzieliłem jej twarz na połowę i spojrzałem oddzielnie na te połowy. Usunąłem prawą stronę i spojrzałem tylko na lewą, a potem usunąłem lewą i spojrzałem tylko na prawą... Wiesz mniej więcej, o co mi chodzi.

– Wiem.

– I wtedy zauważyłem, że jak się dobrze przyjrzeć, to lewa strona jej twarzy i prawa zdawały się należeć do innych osób. Był ten złoczyńca w *Batmanie*, który miał zupełnie różne połowy twarzy. Nazywał się Dwie Twarze czy coś takiego.

– Nie widziałem tego filmu – powiedziałem.

– Obejrzyj. Jest bardzo ciekawy. No w każdym razie zauważyłem to i trochę się przestraszyłem. I zamiast dać temu spokój, stworzyłem dwie różne twarze, łącząc dwie takie same połówki. Podzieliłem jej twarz na pół i zrobiłem lustrzane odbicie każdej połowy. Czyli jedną twarz z dwóch lewych połówek i drugą z dwóch prawych. Łatwo to zrobić na komputerze. I wyszły mi dwie kobiety, które wyglądały na osoby o zupełnie różnych charakterach. Naprawdę mnie to zdziwiło. To znaczy, że w jednej dziewczynie kryją się dwie. Myślałeś kiedyś w ten sposób?

– Nie.

– Potem spróbowałem tego samego z twarzami kilku dziewczyn. Zebrałem zdjęcia zrobione en face i tak samo pociąłem i połączyłem w całość na komputerze. W rezultacie zrozumiałem, że mimo indywidualnych różnic większość kobiet ma dwie zupełnie różne połowy twarzy. I kiedy to zauważyłem, przestałem rozumieć ogólną ideę kobiety. Na przykład podczas seksu nie wiedziałem, czy trzymam w ramionach tę prawą, czy tę lewą. I zacząłem się zastanawiać, czy jeżeli teraz uprawiam seks z tą prawą, gdzie jest ta lewa, o czym teraz myśli; a jeżeli z tą lewą, gdzie jest prawa i o czym myśli. Jak się zacznie nad tym zastanawiać, sprawa się strasznie komplikuje. Rozumiesz, o co mi chodzi?

– Nie bardzo rozumiem, ale rozumiem, że sprawa może się skomplikować.

– Naprawdę się komplikuje.

– A próbowałeś z męskimi twarzami?

– Próbowałem. Ale z mężczyznami to się raczej nie zdarzało. Dramatyczne różnice widoczne były głównie w twarzach kobiet.

– Może lepiej, żebyś poszedł do psychiatry albo psychologa – powiedziałem.

Masahiko westchnął.

– Zawsze uważałem się za dość zwyczajnego człowieka.

– To może być niebezpieczny sposób myślenia.

– Uważanie, że jest się zwykłym człowiekiem?

– Scott Fitzgerald napisał w jakiejś powieści, że nie należy ufać tym, którzy sami o sobie mówią, że są zwyczajnymi ludźmi.

Masahiko zastanowił się nad tym przez chwilę.

– Czy chodzi o to, że „choć ktoś jest zwyczajny, nie da się nikim innym zastąpić”?

– Może i da się tak to określić.

Masahiko prowadził chwilę w milczeniu. Potem powiedział:

– Mniejsza o to, ale czy ty mógłbyś też kiedyś tego spróbować?

– Jak wiesz, od dawna maluję portrety. Dlatego myślę, że dość dobrze znam się na ludzkich twarzach. Można mnie nawet nazwać specjalistą. Ale nigdy nie pomyślałem, że prawa i lewa strona twarzy różnią się charakterem.

– Ale malowałaś głównie portrety mężczyzn, prawda?

Rzeczywiście miał rację. Nigdy nie zamówiono u mnie portretu kobiety. Nie wiem dlaczego, ale malowałem dotąd wyłącznie mężczyzn. Jedynym wyjątkiem była Marie, ale ona była raczej dzieckiem niż kobietą. I tego portretu jeszcze nie skończyłem.

– Mężczyźni i kobiety są zupełnie różni. Zupełnie – powiedział Masahiko.

– Mam jedno pytanie. Mówisz, że w twarzach kobiet lewa i prawa strona wyrażają inne charaktery.

– Tak. Do takiego wniosku doszedłem.

– A czy zdarza się, że jedna strona podoba ci się bardziej niż druga? Czy też nie możesz b a r d z i e j p o l u b i ć jednej z nich?

Masahiko zamyślił się nad tym przez chwilę. Potem powiedział:

– Nie, nie jest tak. Nie jest tak, że jedna mi się podoba na tyle bardziej, że drugiej nie mogę polubić, to nie jest na tym poziomie. Nie chodzi o to, że jedna jest weselsza, druga bardziej ponura, jedna ładniejsza, druga brzydsza. Chodzi tylko

o to, że lewa jest r ó ż n a od prawej. To, że się różnią, s a m t e n f a k t robi mi zamęt w głowie, a w niektórych wypadkach niepokoi.

– Dla mnie to brzmi jak jakiś rodzaj nerwicy obsesyjnej – powiedziałem.

– Dla mnie też tak to brzmi – odparł Masahiko. – Tak mi to brzmi, jak o tym mówię. Ale słuchaj, n a p r a w d ę tak jest. Spróbuj kiedyś.

Powiedziałem, że spróbuję. Ale nie miałem zamiaru próbować. Miałem dość problemów. Nie chciałem więcej żadnych komplikacji.

Potem rozmawialiśmy o Tomohiku Amadzie. O jego okresie wiedeńskim.

– Ojciec mówił, że był na koncercie, na którym grano symfonię Beethovena, a dyrygował Richard Strauss – powiedział Masahiko. – Oczywiście było to nieprawdopodobnie wspaniałe wykonanie. To jedna z nielicznych opowieści o jego pobycie w Wiedniu, które słyshałem bezpośrednio od niego.

– Co jeszcze słyshałeś o jego życiu w Wiedniu?

– Same mało ważne historie. O jedzeniu, o piciu alkoholu i o muzyce. Bo ojciec naprawdę lubił muzykę. O niczym innym nie opowiadał. Nigdy nie wspominał o obrazach ani o polityce. Ani o kobietach. – Masahiko zamilkł na chwilę, a potem mówił dalej: – Może ktoś powinien napisać jego biografię. Na pewno byłaby to ciekawa książka. Ale w rzeczywistości nikt nie będzie mógł jej napisać. Bo nie ma prawie żadnych informacji o jego życiu osobistym. Nie miał przyjaciół, zaniedbywał rodzinę, ukrył się zupełnie sam w górach i tylko pracował. Zmuszał się jedynie do utrzymywania jakichś stosunków ze znajomym marszandem. Prawie do nikogo się nie odzywał. Nie pisał żadnych listów. Dlatego nie ma ani odrobiny materiałów do pisania biografii. Nie jest tak, że w jego życiu są jakieś białe plamy. Całe życie jest praktycznie białą plamą. Jak ser, w którym jest więcej dziur niż sera.

– Zostaną tylko obrazy.

– Tak, nie zostanie prawie nic prócz obrazów. Prawdopodobnie tego sobie życzył.

– Ty też jesteś jedną z rzeczy, które pozostaną – powiedziałem.

– Ja? – Masahiko spojrzał na mnie zdziwiony. Ale od razu znów skierował wzrok na drogę. – Rzeczywiście, masz rację, jest tak, jak mówisz. Ja też jestem jedną z rzeczy, które pozostaną po ojcu. Chociaż niezbyt się udałem.

– Ale nie da się ciebie nikim innym zastąpić.

– Masz rację. Może i jestem zwyczajny, ale nie da się mnie nikim innym zastąpić – powiedział Masahiko. – Czasami sobie myślę, że ty byś się lepiej nadawał na syna Tomohika Amady. Wtedy może różne rzeczy pomyślnie by się ułożyły.

– Daj spokój – powiedziałem ze śmiechem. – Nikt by nie dał rady być synem Tomohika Amady.

– Pewnie nie – rzucił Masahiko. – Ale ty pewnie potrafiłbyś być jego duchowym dziedzicem. Myślę, że masz do tego o wiele większe kwalifikacje. Po prostu tak mi się wydaje.

Kiedy to powiedział, nagle przypomniałem sobie o *Śmierci Komandora*. Czyżbym przypadkiem o d z i e d z i c z y ł ten obraz po Tomohiku Amadzie? Czy to on doprowadził mnie na strych i kazał mi go odnaleźć? Czy za jego pośrednictwem czegoś się ode mnie domagał?

Z radia samochodowego dobiegało *French Kissin' in the USA* Debbie Harry. Zupełnie nie nadawało się na tło naszej rozmowy.

– Pewnie niełatwo być synem Tomohika Amady, prawda? – zdecydowałem się nagle zapytać.

– Jeśli o to chodzi, na pewnym etapie życia po prostu dałem sobie z tym spokój. Dlatego nie było mi tak ciężko, jak wszyscy myślą. Ja też zasadniczo zawodowo zajmuję się obrazami, ale ojciec miał talent na zupełnie inną skalę. A kiedy różnica jest tak ogromna, przestaje człowiekowi przeszkadzać. Mnie jest ciężko z tym, że ojciec do końca nie otworzył serca przede mną, swoim synem, nie jako słynny malarz, a jako zwykły człowiek. Nie przekazał mi żadnych informacji.

– Tobie też nie wyjawiał, co nosił w sercu?

– Ani trochę. Jakby mówił: dałem ci połowę DNA, ale nic więcej ci dać nie mogę. Jakoś sam sobie radź. Tylko że związek między ludźmi nie ogranicza się do DNA. Prawda? Nie mówię, że powinien zostać moim przewodnikiem w życiu. Aż tyle nie oczekuję. Ale powinniśmy przynajmniej trochę porozmawiać jak ojciec z synem. Mógł mi powiedzieć, czego w życiu doświadczył, co myślał, choćby jakieś okruchy.

Słuchałem go w milczeniu.

Kiedy długo czekaliśmy na zmianę światła, zdjął ciemne okulary Ray Ban i przetaił chusteczką. Potem odwrócił się do mnie i powiedział:

– Mam wrażenie, że ojciec ukrywa w sercu jakieś bolesne osobiste sekrety i zamierza powoli wycofać się z tego świata, nie wyjawiając ich. Ma w głębi serca

solidny sejf i schował w nim kilka tajemnic. Zamknął go na klucz, który wyrzucił albo gdzieś ukrył. I sam już nie pamięta gdzie.

Wydarzenia trzydziestego ósmego roku zostaną pogrzebane w ciemności i pozostaną dla wszystkich zagadką. Ale może to obraz *Śmierć Komandora* jest tym ukrytym kluczem? Nagle przyszła mi do głowy taka myśl. Dlatego pewnie pod koniec życia Tomohiko Amada przyszedł do domu w górach pod postacią ducha, żeby jeszcze raz popatrzeć na ten obraz.

Odwróciłem się i spojrzałem do tyłu. Zdawało mi się, że może siedzi tam Komandor. Ale nie było nikogo.

– Coś się stało? – zapytał Masahiko, patrząc na mnie.

– Nie, nic – odparłem.

Światło zmieniło się na zielone, więc nacisnął pedał gazu.



Rozdział 49

Pełna takiej samej liczby śmierci

Po drodze Masahiko powiedział, że musi skorzystać z toalety, więc zatrzymaliśmy się na parkingu restauracji rodzinnej. Zaprowadzono nas do stolika przy oknie i zamówiliśmy kawę. Akurat było południe, więc zamówiłem też kanapki z rostbefem. Masahiko poprosił o to samo. Potem poszedł do toalety. Podczas jego nieobecności wyglądałem bezmyślnie przez okno. Parking był pełen samochodów. W większości przyjechały nimi rodziny. Rzucała się w oczy duża liczba minivanów. Wszystkie wyglądały tak samo. Jak puszki mało apetycznych herbatników. W punkcie widokowym przy parkingu telefonami i aparatami cyfrowymi ludzie robili zdjęcia widocznej zaraz przed nami góry Fudzi. To pewnie głupie, ale jakoś nie mogłem przywyknąć do tego, że ludzie robią zdjęcia telefonami. A jeszcze bardziej nie mogłem przywyknąć do tego, że telefonują aparatami fotograficznymi.

Kiedy tak sobie patrzyłem, na parking wjechało białe subaru forester. Niezbyt dobrze znam się na modelach samochodów (a ten nie należy do szczególnie charakterystycznych), ale na pierwszy rzut oka poznałem, że to taki sam samochód jak ten, którym jeździł *mężczyzna z białego subaru forestera*. Samochód jechał powoli, szukając wolnego miejsca, a kiedy znalazł, od razu zaparkował. Z tyłu na pokrowcu zapasowego koła rzeczywiście widniały duże litery SUBARU FORESTER. Był to chyba taki model jak ten, który widziałem w nadmorskim miasteczku w Miyagi. Nie mogłem odczytać numerów na tablicy rejestracyjnej, ale im dłużej na niego patrzyłem, tym bardziej wydawało mi się, że to ten sam samochód, widziany wiosną w małym portowym miasteczku. Nie tylko ten sam model. Ale t e n s a m samochód.

Miałem wyjątkowo dobrą pamięć wzrokową i długo pamiętałem to, co zobaczyłem. To, jak ten samochód był ubrudzony, jego indywidualne charakterystyczne cechy przypominały do złudzenia t a m t e n z moich

wspomnień. Poczułem, że brak mi tchu. Wyteńczyłem wzrok, starając się zobaczyć, kto wysiadzie z subaru. Ale akurat wtedy wjechał na parking wielki turystyczny autokar i zasłonił mi widok. Kręciło się dużo samochodów i autokar nie mógł się ruszyć. Wstałem i wyszedłem z restauracji. Obszedłem autokar i ruszyłem do miejsca, gdzie stał biały subaru forester. Ale nikogo już w nim nie było. Kierowca wysiadł i gdzieś zniknął. Może wszedł do restauracji albo poszedł do punktu widokowego, żeby zrobić zdjęcie. Stałem, rozglądając się uważnie dookoła, ale nigdzie nie dostrzegłem „mężczyzny z białego subaru forestera”. Oczywiście nie wiedziałem, czy to właśnie on przyjechał tym samochodem.

Sprawdziłem tablicę rejestracyjną i rzeczywiście była z prefektury Miyagi. Na tylnym zderzaku widniała nalepka z marlinem. To ten sam samochód, który wtedy widziałem. Nie było wątpliwości. Ten facet tu przyjechał. Przeszedł mnie zimny dreszcz. Próbowałem znaleźć tego mężczyznę. Chciałem go jeszcze raz zobaczyć. Chciałem spróbować się dowiedzieć, dlaczego nie mogłem skończyć jego portretu. Może czegoś w nim nie zauważyłem. W każdym razie wryłem sobie w pamięć numer rejestracyjny. Może do czegoś mi się przyda. A może nie.

Chodziłem przez pewien czas po parkingu, szukając podobnego mężczyzny. Poszedłem też do punktu widokowego. Ale nie dostrzegłem „mężczyzny z białego subaru forestera” – opalonego, w średnim wieku, z krótkimi włosami przyprószonymi siwizną. Raczej wysokiego. Kiedy go przedtem widziałem, miał na sobie starą czarną skórzaną kurtkę i czapkę golfową ze znaczkiem Yonex. Naszkicowałem go wtedy szybko i pokazałem młodej kobiecie siedzącej przy moim stoliku. „Umiesz świetnie rysować” – powiedziała z podziwem, patrząc na szkic.

Upewniwszy się, że na zewnątrz nie ma podobnego mężczyzny, wszedłem do restauracji i obszedłem ją dookoła, lecz nigdzie go nie zauważyłem. Restauracja była prawie pełna. Masahiko wrócił już do stolika i pił kawę. Jeszcze nie przyniesiono kanapek.

– Gdzie byłeś? – zapytał.

– Wyglądałem przez okno i zdawało mi się, że widzę znajomego. Więc wyszedłem go poszukać.

– I znalazłeś?

– Nie, nie znalazłem. Może się pomyliłem – powiedziałem.

Potem przez długi czas nie odrywałem wzroku od białego subaru forestera, bo miałem nadzieję, że może kierowca wróci. Ale co miałbym zrobić, nawet gdyby wrócił? Czy miałbym do niego podejść i zacząć rozmowę? „Zdaje się, że tej

wiosny widzieliśmy się dwa razy w małym nadmorskim miasteczku w Miyagi”. Mógłby powiedzieć: „Ach tak? Ale ja pana nie pamiętam”. Pewnie tak właśnie by powiedział.

„Dlaczego pan mnie śledzi?” – zapytam. – „O co panu chodzi? Wcale pana nie śledzę – odpowie pewnie on. – Po co miałbym śledzić kogoś, kogo w ogóle nie znam?” I tak się zakończy rozmowa.

Ale w końcu kierowca nie wrócił. Przysadzisty biały samochód czekał w milczeniu na parkingu na powrót właściciela. Skończyliśmy kanapki i dopiliśmy kawę, a on się ciągle nie pokazywał.

– No to jedźmy, bo czas ucieka – powiedział Masahiko, patrząc na zegarek. Wziął ze stolika okulary przeciwsłoneczne.

Wstaliśmy, zapłaciliśmy przy wyjściu i wyszliśmy na dwór. Wsiedliśmy do volva i wyjechaliśmy z zatłoczonego parkingu. Ja chciałem poczekać, aż wróci „mężczyzna z białego subaru foreстера”, ale ważniejsze było teraz spotkanie z ojcem Masahika. Pod żadnym pozorem nie wolno wam o d m ó w i ć , ostrzegął mnie Komandor.

Wiedziałem więc tylko, że mężczyzna z białego subaru foreстера znów się pojawił. Wiedział, że tu jestem, i chciał mi pokazać, że sam też tu jest. Rozumiałem jego intencje. Nie przyjechał tu przypadkiem. I oczywiście nie przypadkiem autokar akurat tam się zatrzymał i ukrył go przede mną.

By dotrzeć do domu opieki, w którym przebywał Tomohiko Amada, musieliśmy zjechać z Izu Skyline na bardzo krętą i długą górską drogę. Mijaliśmy tam nowo powstałe osiedla letnich domów, eleganckie kawiarnie, pensjonaty z bali, stragany z lokalnie uprawianymi ekologicznymi warzywami i niewielkie muzeum dla turystów. Przez cały czas, trzymając się na zakrętach uchwytu na drzwiach samochodu, rozmyślałem o „mężczyźnie z białego subaru foreстера”. Coś mi nie pozwalało dokończyć jego portretu. Pewnie nie mogłem znaleźć jakiegoś elementu potrzebnego do jego ukończenia. Jakbym zgubił ważny kawałek puzzli. Nigdy wcześniej mi się to nie zdarzyło. Zwykle przed zabraniem się do malowania portretu gromadziłem wszystkie potrzebne elementy. Ale nie udało mi się to w przypadku obrazu Mężczyzna z białego subaru foreстера. Pewnie on sam w tym przeszkodził. Z jakiegoś powodu nie życzył sobie być namalowany. Albo wręcz zdecydowanie się temu sprzeciwiał.

W pewnej chwili volvo zboczyło z drogi i wjechało w szeroko otwartą żelazną

bramę. Wisiał na niej jedynie bardzo mały szyld. Jeśli człowiek nie uważał, mógł łatwo przegapić wjazd. Pewnie dom opieki nie potrzebował nadmiernej reklamy. Przy bramie była budka umundurowanego strażnika. Masahiko podał mu swoje nazwisko i nazwisko odwiedzanego. Strażnik gdzieś zadzwonił i sprawdził, że Masahiko może wjechać. Za bramą rozciągał się gęsty las. W większości rosły tam wysokie wiecznie zielone drzewa, które rzucały bardzo chłodny cień. Jechaliśmy pod górę dobrze utrzymaną asfaltową drogą, aż dotarliśmy na płaski podjazd. Miał kształt ronda, w jego centrum znajdował się niewielki okrągły pagórek, a na nim klomb pokryty kapustą ozdobną. Pośrodku rosły jaskrawoczerwone kwiaty. Wszystko było dobrze utrzymane.

Masahiko zatrzymał się po drugiej stronie, na parkingu dla odwiedzających. Stały tam już dwa inne samochody: biała honda minivan i granatowe audi. Oba lśniły nowością, volvo wyglądało przy nich jak stary koń pociągowy. Ale Masahiko chyba w ogóle się takim rzeczami nie przejmował (ważniejsze było dla niego, że może słuchać z kaset Bananaramy). Z parkingu było w dole widać Pacyfik. We wczesnozimowych promieniach słońca lśnił przytłumioną szarością. Płynęło po nim kilka średniej wielkości kutrów. Na morzu widać było niewielką górzystą wyspę, a za nią półwysep Manazuru. Mój zegarek wskazywał pierwszą czterdzieści pięć.

Wysiedliśmy i ruszyliśmy do wejścia do budynku. Musiał być niezbyt dawno postawiony. W całości robił wrażenie czystego i eleganckiego, ale był to zwykły murowany budynek pozbawiony indywidualnego charakteru. Architekt, który go zaprojektował, nie był chyba obdarzony zbyt żywą wyobraźnią. A może zamawiający, biorąc pod uwagę przeznaczenie obiektu, poprosił o jak najprostszy, całkiem tradycyjny projekt. Dom był prawie kwadratowy, dwupiętrowy, składał się wyłącznie z linii prostych. Pewnie do zaprojektowania go wystarczyła zwykła linijka. Parter był przeszklony, żeby stworzyć pogodną atmosferę. Nad zboczem wznosił się duży drewniany balkon, na którym stał z tuzin leżaków, ale ponieważ była już zima, nawet w tak przyjemny i jasny dzień nikt tam nie zażywał kąpieli słonecznych. W przeszklonej od podłogi do sufitu stołówce siedziało kilka osób. Pięć albo sześć, sami starcy. Do tego dwie osoby na wózkach inwalidzkich. Nie widać było, co robią. Pewnie oglądali telewizję na dużym ekranie przytwierdzonym do ściany. W każdym razie na pewno nie robili wszyscy razem fikołków.

Masahiko wszedł głównym wejściem i zamienił parę słów z młodą kobietą w recepcji. Miała piękne długie włosy i sympatyczną okrągłą twarz. Nosila granatowy strój służbowy, a na piersi identyfikator. Chyba znali się z widzenia, bo przez chwilę przyjaźnie gawędzili. Stałem nieco oddalony i czekałem, aż skończą.

W holu był duży wazon z profesjonalnie ułożoną kompozycją kwiatów o żywych barwach. Kiedy rozmowa doszła do końca pewnego etapu, Masahiko wpisał długopisem swoje nazwisko do leżącego na biurku rejestru gości, spojrzął na zegarek i dodał godzinę. Potem podszedł do mnie.

– Podobno stan ojca się ustabilizował – powiedział z rękami w kieszeniach. – Od rana ciągle kaszłał, miał trudności z oddychaniem i była obawa, że dostanie zapalenia płuc, ale niedawno mu przeszło i teraz smacznie śpi. W każdym razie, chodźmy do niego do pokoju.

– Czy ja też mogę iść?

– Oczywiście – powiedział Masahiko. – Spotkaj się z nim. Przecież specjalnie po to przyjechałeś.

Wsiadliśmy do windy i wjechaliśmy na drugie piętro. Długi korytarz też był prosty i mało charakterystyczny. Zdecydowanie powstrzymano się przed umieszczeniem tu jakichkolwiek ozdób. Tylko na białych ścianach wisiało jakby przeprasząco kilka olejnych obrazów. Wszystkie przedstawiały nadmorskie pejzaże. Była to seria prac tego samego malarza, który namalował to samo wybrzeże pod różnymi kątami. Nie dało się ich nazwać dziełami wysokiej klasy, ale przynajmniej autor nie szczędził farb i odniosłem wrażenie, że mają swoją wartość jako wyraz protestu wobec nadmiernie minimalistycznego stylu architektury. Podłogę pokrywało gładkie linoleum i moje gumowe podeszwy wydawały głośny piszczący dźwięk. Z przeciwka nadszedła starsza drobna pani na wózku inwalidzkim popychanym przez pielęgniarkę. Miała siwe włosy, siedziała z szeroko otwartymi oczami wpatrzona prosto przed siebie i mijając nas, nawet na nas nie spojrzała. Zupełnie jakby sobie postanowiła, że nie straci z oczu ważnego znaku unoszącego się gdzieś w przestrzeni przed nią.

Tomohiko Amada leżał w dużym prywatnym pokoju na końcu korytarza. Na drzwiach była tabliczka z miejscem przeznaczonym na nazwisko, ale nic na niej nie napisano. Pewnie chroniono jego prywatność. Był przecież sławnym człowiekiem. Pokój miał wielkość małego apartamentu hotelowego, stały tu fotele i stół dla gości, a w nogach łóżka złożony wózek inwalidzki. Z okna wychodzącego na południowy wschód rozciągał się widok na Pacyfik. Wspaniała panorama, nic jej nie przesłaniało. Gdyby to był hotel, za sam widok można by nieźle podnieść cenę. Na ścianach nie było obrazów. Tylko lustro i okrągły zegar. Na stoliku średniej wielkości wazon, w którym ułożono fioletowe kwiaty. W powietrzu nie unosił się żaden zapach. Ani zapach chorego starca, ani zapach leków, ani zapach kwiatów, ani zapach spłowiących firanek – nic. Kompletny brak zapachu – to mnie

najbardziej w tym pokoju zdziwiło. Pomyślałem nawet, że może coś jest nie tak z moim węchem. Jak można tak całkowicie usunąć wszystkie wonie?

Tomohiko Amada spał sobie głęboko na łóżku stojącym przy oknie, nieświadomy wspaniałego widoku. Leżał na plecach z twarzą zwróconą ku sufitowi, miał zamknięte oczy. Nadmiernie długie białe brwi osłaniały jego starcze powieki jak naturalne baldachimy. Na czole powstały głębokie bruzdy. Kołdrę miał podciągniętą pod brodę, ale nie dało się ocenić, czy oddycha. Jeśli oddychał, musiał to być strasznie płytki, wątki oddech.

Od razu wiedziałem, że ten starzec to owa tajemnicza osoba, która przysłała kilka dni temu w nocy do pracowni. Tamtej nocy widziałem go tylko przez krótki czas w zmieniającym się blasku księżyca, ale po kształcie głowy i siwych włosach poznałem, że to bez wątpienia Tomohiko Amada. Specjalnie się nie zdziwiłem. Było to dla mnie od początku oczywiste.

– Bardzo głęboko śpi – powiedział Masahiko, odwracając się do mnie. – Musimy poczekać, aż sam się obudzi. Jeśli się obudzi.

– No ale dobrze, że jego stan jest stabilny.

Potem spojrzałem na zegar na ścianie. Za pięć druga. Nagle pomyślałem o Menshikim. Czy zadzwonił do Shōko Akikawy? Czy był jakiś postęp w poszukiwaniach? Ale teraz musiałem się skupić na Tomohiku Amadzie. Usiedliśmy z Masahikiem naprzeciwko siebie na fotelach i popijając kupioną w automacie na korytarzu kawę, czekaliśmy, aż starzec się obudzi. Przez ten czas Masahiko mówił o Yuzu. O tym, że jej ciąża jest już na ostatnim etapie. Poród oczekiwany jest w pierwszej połowie stycznia. Że jej przystojny chłopak też bardzo się cieszy na narodziny dziecka.

– Tylko problem polega na tym – to znaczy dla niego to jest problem – że ona nie zamierza brać z nim ślubu – powiedział Masahiko.

– Nie zamierza brać ślubu? – Nie bardzo zrozumiałem, o co mu chodzi.

– Yuzu zamierza urodzić dziecko. Ale nie chce wyjść za niego za mąż, nie chce z nim mieszkać. Nie zamierza też w przyszłości dzielić z nim praw do opieki nad dzieckiem... Tak to, zdaje się, wygląda. I on się czuje przez to zdezorientowany. Miał zamiar się z nią ożenić zaraz po orzeczeniu waszego rozvodu, ale odmówiła.

Zastanowiłem się przez chwilę. Im dłużej się jednak zastanawiałem, tym większy miałem mętlik w głowie.

– Nijak nie mogę tego pojąć. Yuzu zawsze mówiła, że nie chce dziecka. Ja mówiłem, że może warto niedługo o tym pomyśleć, ona zawsze twierdziła, że

jeszcze za wcześnie. Więc dlaczego teraz tak pragnie dziecka?

– Może nie zamierzała zająć w ciążę, ale kiedy zaszła, nagle bardzo zapragnęła urodzić. Kobietom to się zdarza.

– Ale samotne wychowywanie dziecka w jej przypadku będzie się łączyło z wieloma niedogodnościami. Będzie jej trudno zostać w obecnej pracy. Dlaczego nie chce za niego wyjść? Przecież to chyba jego dziecko.

– On też tego nie rozumie. Wierzył, że wszystko między nimi bardzo dobrze się układa. Cieszył się, że zostanie ojcem. Dlatego jest skołowany. Pytał mnie o radę, ale ja też nie wiem, o co chodzi.

– A nie mógłbyś bezpośrednio zapytać Yuzu?

Masahiko się skrzywił.

– Prawdę mówiąc, staram się jak najmniej w tę sprawę angażować. Lubię Yuzu, a on jest moim kolegą z pracy. No i oczywiście ciebie znam od bardzo dawna. Więc jestem w trudnym położeniu. Im bardziej się w to angażuję, tym bardziej nie wiem, jak postąpić.

Milczałem.

– Myślałem, że jesteście zgodnym małżeństwem i w ogóle się o was nie martwiłem – powiedział zakłopotany.

– Wcześniej już to mówiłeś.

– Może i mówiłem. Ale to prawda.

Potem siedzieliśmy przez pewien czas w milczeniu, patrząc na zegar na ścianie i na morze rozciągające się za oknem. Tomohiko Amada leżał bez ruchu na plecach głęboko uśpiony. Był tak nieruchomy, że zaczynałem się martwić, czy aby jeszcze żyje. Ale ponieważ nikt prócz mnie się nie martwił, musiało to być normalne.

Patrząc na jego uśpioną postać, próbowałem go sobie wyobrazić w młodości studiującego w Wiedniu. Ale oczywiście nie bardzo mi się to udało. Miałem przed sobą pokrytego zmarszczkami siwego starca powoli, lecz stale zmierzającego ku cielesnej destrukcji. Każdego człowieka bez wyjątku czekała śmierć i on właśnie w tej chwili stał u jej progu.

– A ty nie zamierzasz się odezwać do Yuzu? – zapytał Masahiko.

Pokręciłem głową.

– W tej chwili nie.

– Myślę, że powinniście kiedyś porozmawiać o różnych sprawach. Tak od serca.

– Rozwiedliśmy się już oficjalnie za pośrednictwem adwokata. Yuzu poprosiła mnie o rozwód. I niedługo urodzi dziecko innego mężczyzny. To, czy za niego wyjdzie, czy nie, to wyłącznie jej problem. Ja nie mogę się w to wtrącać. O jakich r ó ż n y c h s p r a w a c h mielibyśmy od serca rozmawiać?

– Nie chcesz wiedzieć, co się u niej dzieje?

Pokręciłem głową.

– Nie chcę wiedzieć o sprawach, o których nie muszę wiedzieć. Przecież mnie też to zraniło.

– Oczywiście – powiedział Masahiko.

Ale szczerze mówiąc, czasami sam nawet nie wiedziałem, czy czuję się zraniony, czy nie. Nie potrafiłem ocenić, czy mam prawo czuć się zraniony. Oczywiście ludzie czują się zranieni bez względu na to, czy mają do tego prawo, czy nie.

– Ten facet jest moim kolegą z pracy – powiedział Masahiko trochę później – to solidny człowiek, ciężko pracuje, ma dobry charakter.

– I do tego przystojny.

– Uhm, ma superprzystojną twarz. Dlatego kobiety na niego lecą. No, to naturalne. Tak bardzo na niego lecą, że prawie mu zazdroszczę. Ale ma od dawna pewną tendencję, której wszyscy nie mogą się nadziwić.

Słuchałem w milczeniu.

– Wybiera sobie jakieś bardzo dziwne dziewczyny – ciągnął Masahiko. – Może w nich przebierać, ale z jakiegoś powodu zawsze zakochuje się w takich nie wiadomo jakich. Nie, oczywiście nie mówię o Yuzu. To pewnie pierwsza normalna kobieta, którą wybrał. Ale wszystkie inne były beznadziejne. Nie wiem dlaczego.

Szukał w pamięci i lekko potrząsnął głową.

– Kilka lat temu już prawie się ożenił. Zarezerwował nawet salę na wesele, wydrukował zaproszenia, mieli jechać w podróż poślubną na Fidżi czy gdzieś. Wziął już urlop, kupił bilety. Ta jego kobieta była wyjątkowo brzydka. Taka szpetna, że kiedy mi ją przedstawił, aż się zdziwiłem. Oczywiście nie można człowieka oceniać po wyglądzie, ale zdawało mi się, że charakter też miała nie całkiem wzorcowy. On jednak z jakiegoś powodu śmiertelnie się w niej zakochał. W każdym razie zupełnie do siebie nie pasowali. Wszyscy wokół tak myśleli, choć nikt tego głośno nie mówił. I przed samym ślubem ona nagle zrezygnowała. To znaczy t o o n a od niego uciekła. Na szczęście czy na nieszczęście, ale w każdym razie to był szok.

– A powód?

– Nie pytałem. Strasznie go żałowałem, więc nie miałem serca zapytać. Ale myślę, że on pewnie też nie wiedział. Ta kobieta po prostu uciekła. Nie chciała za niego wyjść. Pewnie miała swoje powody.

– A dlaczego mi w ogóle o tym mówisz? – zapytałem.

– Mówię ci o tym dlatego, że być może możliwe jest jeszcze, żebyście się z Yuzu pogodzili. Oczywiście pod warunkiem, że ty tego chcesz.

– Ale ona ma urodzić jego dziecko.

– To rzeczywiście jest pewien problem.

Potem znowu umilkliśmy.

Tomohiko Amada obudził się przed trzecią. Poruszył się niespokojnie. Wziął głęboki oddech, a kołdra uniosła się na jego piersi i opadła. Masahiko wstał, podszedł do łóżka i pochylił się nad ojcem. Długie białe brwi drżały leciutko. Masahiko podniósł ze stolika specjalny szklany kubek z dzióbkiem do pojenia chorych i zwilżył ojcu wyschnięte wargi. A potem wytarł kawałkiem gazy wodę, której się trochę wylało. Ojciec chciał jeszcze pić, więc podał mu więcej wody. Musiał to często robić, bo miał w tym dużą wprawę. Przy każdym łyku grdyka starca wyraźnie się poruszała. Na widok tych ruchów wreszcie do mnie dotarło, że naprawdę żyje.

– Tato – powiedział Masahiko, wskazując na mnie. – Ten chłopak zamieszkał po tacie w domu w Odawarze. To też malarz, maluje obrazy w taty pracowni. To mój przyjaciel z lat studenckich, jest mało rozbawiony i śliczna żona od niego uciekła, ale to wcale niezły malarz.

Nie było wiadomo, ile ojciec zrozumiał z jego słów, ale w każdym razie zwrócił ku mnie twarz, jakby podążał wzrokiem za palcem syna. Zdawało się, że na mnie patrzy, choć jego twarz nie zmieniła wyrazu. Coś widział, ale to coś chyba nie miało dla niego znaczenia. Jednocześnie czułem, że w tych pokrytych mętną błoną oczach lśni zadziwiająco jasne światło. Może było tam ukryte w jakimś ważnym celu? Takie odniosłem wrażenie.

– Myślę, że pewnie mnie nie rozumie – powiedział Masahiko – bez względu na to, co mówię. Ale wskazania lekarza są takie, żeby mówić do niego normalnie, jakby wszystko rozumiał. Bo nikt nie wie, ile rozumie naprawdę. Dlatego tak zwyczajnie do niego mówię. Mnie też tak w sumie jest łatwiej. Ty też coś do niego

powiedz. Mów, jak zwykle mówisz.

– Dzień dobry. Miło mi pana poznać – powiedziałem. Potem się przedstawiłem.
– Mieszkam teraz w pana dawnym domu w górach w Odawarze. Jestem bardzo wdzięczny, że mogę tam mieszkać.

Tomohiko Amada zdawał się na mnie patrzeć, ale wyraz jego twarzy nadal się nie zmieniał. Masahiko pokazał mi gestem, że mam mówić dalej, wszystko jedno co.

– Pracuję w oleju. Długo specjalizowałem się w portretach, ale teraz z tym zerwałem i maluję to, na co mam ochotę. Czasami jednak dostaję zamówienia i maluję portrety. Myślę, że interesuje mnie malowanie twarzy. Znamy się z Masahikiem od studiów na akademii.

Oczy Tomohika Amady nadal były ku mnie zwrócone. Przesłaniała je jakby cienka błonka. Wyglądała jak firanka powoli oddzielająca życie od śmierci. Ta firanka będzie miała coraz więcej warstw, w końcu przestanie być widać, co jest po jej drugiej stronie, aż na koniec opadnie pewnie ciężka kurtyna.

– Ma pan bardzo ładny dom – powiedziałem. – Dobrze mi tam idzie praca. Mam nadzieję, że się pan nie pogniewa, ale słucham sobie do woli pana płyt. Masahiko mi pozwolił. Świetne płyty. Często słucham oper. I niedawno po raz pierwszy wszedłem na strych.

Kiedy to powiedziałem, oczy starca po raz pierwszy zabłyśły. Był to bardzo wątki błysk, gdyby ktoś uważnie nie patrzył, toby go nie zauważył. Lecz ja cały czas wpatrywałem się w jego oczy, więc go nie przegapiłem. Prawdopodobnie słowo „strych” pobudziło w nim jakieś wspomnienia.

– Wygląda na to, że na strychu mieszka sowa uszata – mówiłem dalej. – Czasami w nocy słyszałem jakieś szelesty, jakby coś tam wchodziło i wychodziło. Pomyślałem, że to myszy, i postanowiłem sprawdzić w dzień, więc tam wszedłem. I zobaczyłem siedzącą na belce małą szarą sowę. To był piękny ptak. Jest dziura w siatce zakrywającej otwór wentylacyjny, więc tamtędy musi wlatywać i wylatywać. Strych jest dla niej dobrą kryjówką w ciągu dnia.

Oczy starca dalej się we mnie wpatrywały. Zupełnie jakby czekały na więcej informacji.

– Sowa nie robi w domu żadnych szkód – dodał Masahiko. – Uważa się nawet, że przynosi szczęście, kiedy gdzieś zamieszka.

Tomohiko Amada wpatrywał się w mnie, leżąc nieruchomo na plecach. Jego oddech znowu stał się płytki. Oczy nadal pokrywała błonka, ale kryjące się za nimi

światełko wydawało mi się jeszcze jaśniejsze niż przedtem.

Chciałem więcej powiedzieć o strychu, ale ponieważ w pokoju był Masahiko, nie mogłem wspomnieć o tym, że znalazłem tam p e w n ą r z e c z. Naturalnie od razu chciałby wiedzieć, co to za rzecz. Patrzyliśmy sobie w oczy z Tomohikiem Amadą, podczas gdy temat wisiał w powietrzu.

Starannie doбираłem słowa:

– Ten strych to idealne miejsce nie tylko dla sowy, ale także dla obrazów. To znaczy świetnie nadaje się do ich przechowywania. Jest szczególnie odpowiedni dla obrazów w stylu japońskim, bo ich barwniki mogą stracić swój naturalny odcień. W odróżnieniu od piwnicy nie ma tam wilgoci, jest dobra wentylacja, a dzięki temu, że nie ma okien, nie trzeba się martwić, że będą wystawione na działanie słońca. Oczywiście może się dostać wiatr i deszcz, więc gdyby tam przechowywać obraz przez długi czas, trzeba by go było dobrze opakować.

– Ja właściwie nigdy nie zaglądałem na ten strych – powiedział Masahiko. – Bo nie lubię zakurzonych miejsc.

Nie odrywałem wzroku od twarzy Tomohika Amady. Czułem, że próbuje znaleźć ścieżkę myśli. Sowa – strych – przechowywanie obrazu... Próbował połączyć ze sobą kilka słów, które pamiętał. W tym stanie nie była to dla niego prosta sprawa. W c a l e nie była prosta. Prawdopodobnie przypominała próbę wydostania się ze skomplikowanego labiryntu z zawiązanymi oczami. Ale czuł, że połączenie tych słów ze sobą to dla niego ważna sprawa. S i l n i e to odczuwał. W ciszy przyglądałem się tej jego samotnej ciężkiej pracy.

Pomyślałem, żeby coś powiedzieć o leśnej kapliczce i znajdującym się za nią dziwnym dole. O tym, w jakich okolicznościach został odsłonięty. Jaki miał kształt. Ale po namyśle postanowiłem nic o tym nie mówić. Lepiej nie poruszać zbyt wielu tematów naraz. Świadomość, która mu pozostała, była bardzo obciążona nawet tą próbą poradzenia sobie z jednym tematem. A niewielką zdolność myślenia utrzymywała jedynie wąła nitka.

– Chce tata jeszcze wody? – zapytał Masahiko, podnosząc kubek, lecz ojciec nie zareagował na to pytanie. Zdawało się, że słowa syna w ogóle do niego nie dotarły. Masahiko podszedł bliżej i zapytał jeszcze raz, ale widząc, że starzec nie reaguje, poddał się. Ojciec nie dostrzegwał już syna.

– Wygląda na to, że bardzo się tobą zainteresował – powiedział Masahiko z podziwem. – Od pewnego czasu z natężeniem ci się przygląda. Od dawna się nikim, czy raczej niczym, tak nie interesował.

W milczeniu patrzyłem w oczy Tomohika Amady.

– Przedziwna sprawa. Kiedy ja do niego mówiłem, prawie nie reagował, ale od dłuższej chwili nie odrywa od ciebie wzroku.

Dosłyszałem w jego głosie ton zazdrości, nie mogłem go nie usłyszeć. Chciał, żeby ojciec na niego spojrział. Pewnie pragnął tego cały czas od samego dzieciństwa.

– Może pachnę farbami – powiedziałem. – I ten zapach obudził w nim jakieś wspomnienia.

– Może i masz rację. Ja rzeczywiście od dawna nie biorę do ręki prawdziwych farb.

Jego głos utracił już ponury ton. Brzmiał jak zwykły wesoły głos Masahika. Wtedy zaczęła wibrować jego leżąca na stole komórka.

Masahiko podniósł głowę.

– Kurczę, zupełnie zapomniałem ją wyłączyć. W salach nie wolno korzystać z komórek. Wyjdę na zewnątrz porozmawiać. Mogę na chwilę wyjść?

– Oczywiście.

Masahiko podniósł komórkę, sprawdził, kto dzwoni, i ruszył do drzwi. Potem powiedział do mnie:

– To może trochę potrwać. Mów coś do ojca pod moją nieobecność.

Mamrocząc do komórki, wyszedł z pokoju i cicho zamknął drzwi.

W ten sposób zostałem sam na sam z Tomohikiem Amadą. Nadal się we mnie wpatrywał. Prawdopodobnie próbował mnie zrozumieć. Zrobiło mi się trochę duszno, wstałem więc, obszedłem łóżko i zbliżyłem się do okna wychodzącego na południowy wschód. Przysunąłem twarz do wielkiej szyby i spojrzałem na rozciągający się za nią Pacyfik. Horyzont jakby unosił się, napierając od dołu na niebo. Powiodłem wzrokiem z jednego krańca na drugi. Nie było takiej linijki, która pozwoliłaby człowiekowi narysować tak długą i piękną linię. Przestrzeń pod nią tętniła życiem i śmiercią nieprzeliczonych stworzeń.

Nagle poczułem czyjąś obecność i obejrzałem się za siebie. Zorientowałem się, że nie jestem już sam z Tomohikiem Amadą.

– Tak, moi panowie. Nie jesteście już tu z nim sami, we dwóch – powiedział Komandor.



Rozdział 50

To wymaga ofiary i poddania się próbom

– Tak, moi panowie. Nie jesteście już tu z nim sami, we dwóch – powiedział Komandor.

Siedział na fotelu, który przedtem zajmował Masahiko. Tego samego wzrostu co zawsze, w tym samym ubraniu, z tą samą fryzurą i tym samym mieczem. Nie odpowiedziałem, tylko mu się przyglądałem.

– Wasz przyjaciel, moi panowie, jeszcze przez pewien czas nie wróci – powiedział, unosząc palec wskazujący prawej dłoni. – Ta rozmowa telefoniczna chyba długo potrwa. Dlatego możecie spokojnie sobie pogadać z panem Tomohikiem Amadą. Na pewno chcecie go zapytać o różne sprawy? Choć niepodobna przewidzieć, czy odpowie.

– To pan odciągnął stąd Masahika?

– Skądże, skądże – powiedział Komandor. – Przeceniacie mnie, panowie. Nie posiadam takiej mocy. Ludzie pracujący w firmach, w odróżnieniu od nas dwóch, są bardzo zajęci. Nie mają nawet weekendów – biedacy.

– Pan był z nami cały czas? To znaczy przyjechał pan z nami samochodem?

Komandor potrząsnął głową.

– Nie, nie przyjechałem tym samym samochodem. To daleka droga z Odawary. A mnie się od razu robi niedobrze w samochodzie.

– No ale w każdym razie przybył pan aż tu. Chociaż nie został pan zaproszony?

– Rzeczywiście, ściśle mówiąc, nie zostałem zaproszony. Ale jestem tu, bo ktoś życzył sobie mojej obecności. Różnica między tym, że ktoś jest zaproszony albo pożąda się jego obecności, jest dość subtelna, ale mniejsza z tym. W każdym razie mojej obecności życzył sobie pan Tomohiko Amada. Więc jestem tu, chcąc się też wam przydać, moi panowie.

– Mnie przydać?

– Owszem. Mam wobec was niewielki dług wdzięczności. Wypuściliście mnie z tego miejsca pod ziemią. Dzięki temu mogłem znów skromnie pojawić się na tym świecie jako idea. Tak jak ostatnio mówiliście, panowie. Pomyślałem, że muszę się wam kiedyś za to odwdziaczyć. Idee też doceniają znaczenie konfliktu między poczuciem obowiązku moralnego a siłą uczuć[5].

Poczuciem obowiązku moralnego?

– No, mniejsza o to, czegoś w tym rodzaju – powiedział, jakby czytał w moich myślach. – Tak czy inaczej, z całego serca pragniecie, panowie, odnaleźć Marie Akikawę i sprowadzić ją z powrotem na tę stronę. Nie mylę się wszakże?

Skinąłem potakująco głową. Nie mylił się.

– Czy pan wie, gdzie ona jest?

– Wiem. Dopiero co się z nią widziałem.

– Widział się pan z nią?

– I zamieniłem z nią parę słów.

– Więc proszę mi powiedzieć, gdzie jest.

– To niepodobna. Wiem, ale nie mogę powiedzieć.

– Nie może pan powiedzieć.

– Chodzi o to, że nie mam prawa powiedzieć.

– Ale przecież powiedział pan, że chce się mi przydać.

– Rzeczywiście, tak powiedziałem.

– A mimo to nie może mi pan powiedzieć, gdzie jest Marie, tak?

Komandor potrząsnął głową.

– Powiedzenie wam, gdzie jest, nie jest moją rolą. Choć przykro mi z tego powodu.

– Więc czyja to rola?

Komandor wyciągnął ku mnie palec wskazujący prawej ręki.

– Wasza, moi panowie. Wy musicie sobie to powiedzieć. Niepodobna się inaczej dowiedzieć, gdzie jest Marie.

– Ja mam sobie sam powiedzieć? – powtórzyłem. – Ale ja nie mam pojęcia, gdzie ona jest.

Komandor westchnął.

– Wiecie, panowie. Tylko nie wiecie, że wiecie.

– To rozumowanie przypomina błędne koło.

– To nie jest błędne koło. Niebawem wy też to zrozumiecie, moi panowie. W innym miejscu, nie tutaj.

Tym razem była moja kolej, by westchnąć.

– Proszę mi tylko jedną rzecz powiedzieć. Czy Marie została przez kogoś porwana? Czy sama gdzieś zabłądziła?

– Tego się dowiecie, kiedy ją znajdziecie i sprowadzicie do tego świata.

– Czy grozi jej niebezpieczeństwo?

Komandor pokręcił głową.

– Ocena, czy coś jest niebezpieczne, czy nie, należy do ludzi, nie do idei. Ale jeżeli chcecie ją tu z powrotem sprowadzić, pewnie lepiej pośpiesznie ruszyć w drogę.

Pośpiesznie ruszyć w drogę? Jaką drogę? Przez pewien czas patrzyłem na Komandora. Wszystko brzmiało dla mnie jak zagadki. Żeby tylko miały jakieś prawidłowe rozwiązania.

– I pan teraz niby w czym ma mi pomóc?

– Mogę was teraz wysłać do miejsca, w którym będziecie się mogli spotkać z samymi sobą. Ale to niełatwe. Wymaga niemałej ofiary i poddania się ciężkim próbom. Mówiąc konkretnie, ofiarą padnie idea, próbom zostanieie poddani wy, moi panowie. Czy zgadzacie się?

Nie miałem pojęcia, o czym mówi.

– A co miałbym konkretnie zrobić?

– Prosta sprawa. Wystarczy mnie zabić – oznajmił Komandor.



Rozdział 51

Teraz przyszła ta chwila

– Prosta sprawa. Wystarczy mnie zabić – powiedział Komandor.

– Mam pana zabić? – zapytałem.

– Zamordować mnie, jak na tym obrazie *Śmierć Komandora*.

– Mam pana przebić mieczem? O to panu chodzi?

– Tak. Akurat mam przy sobie miecz. Jakem wcześniej mówił, to prawdziwy miecz. Gdy nim ciąć, leje się krew. Nie jest duży, ale jam też wcale nieduży, więc zupełnie wystarczy.

Stałem w nogach łóżka i spojrzałem prosto na Komandora. Chciałem coś powiedzieć, ale nie mogłem znaleźć żadnych odpowiednich słów. Stałem tylko znieruchomiąły w milczeniu. Tomohiko Amada też leżał nieporuszony w łóżku. Nie wiedziałem jednak, czy widzi Komandora. Komandor mógł wybrać, kto go widzi, a kto nie.

W końcu zapytałem:

– Czyli jeśli pana przebiję tym mieczem i zamorduję, dowiem się, gdzie jest Marie Akikawa?

– Nie, ściśle mówiąc, tak nie będzie. Naprzód wy mnie tu zabijecie, moi panowie. Zlikwidujecie mnie. Reakcja łańcuchowa, która będzie tego efektem, powinna was w końcu doprowadzić do miejsca, w którym jest ta dziewczynka.

Staralem się zrozumieć, co to oznacza.

– Nie wiem, co to ma być za łańcuch wydarzeń, ale czy naprawdę tak wszystko się wydarzy zgodnie z przewidywaniami? Przecież mogę pana zabić, a różne sprawy nie potoczą się tak, jak pan to zaplanował. W takim razie pana śmierć pójdzie na marne.

Komandor uniósł brew i spojrzał na mnie. To bardzo przypominało sposób,

w jaki Lee Marvin unosił brew w filmie *Zbieg z Alcatraz*. Bardzo cool. Ale chyba niemożliwe, żeby Komandor widział *Zbiega z Alcatraz*.

– Rzeczywiście, tak jak mówicie, panowie, nie da się wykluczyć, że nie wszystko w rzeczywistości tak dobrze pójdzie. To, co mówię, to jedynie przypuszczenia i dedukcje. Może jest w nich za dużo „może”. Ale szczerze mówiąc, nie ma innego sposobu. Nie można być wybrednym.

– Czy to, że pana zabiję, będzie oznaczało, że pan umrze z mojego punktu widzenia? Czyli na zawsze pan zniknie i przestanie się przede mną pojawiać?

– Zgadza się. Idea mnie, z waszego punktu widzenia, moi panowie, wyda ostatnie tchnienie. Dla idei będzie to jedna z niezliczonych śmierci. Ale i tak jest to niezależna śmierć.

– Czy świat się nie zmieni przez to, że zabiję jedną ideę?

– Pewnie się zmieni – powiedział Komandor. I znów uniósł brew na wzór Lee Marvin. – Przecież niepodobna, żeby się nie zmienił. Jakie znaczenie miałyby świat, który by się nie zmienił po zlikwidowaniu idei, nawet gdyby taki istniał? Jakie znaczenie miałyby taka idea?

– Uważa pan więc, że powinienem pana zabić, nawet jeśli w rezultacie na świecie zajdzie jakaś zmiana, tak?

– Wypuściliście mnie z tego dołu, moi panowie. A teraz musicie mnie zabić. Inaczej krąg się nie zamknie. Krąg, który został otwarty, musi zostać zamknięty. Nie ma innego wyjścia.

Spojrzałem na Tomohika Amadę. Patrzył prosto na siedzącego na krześle Komandora.

– Czy pan Amada pana widzi?

– Tak, stopniowo zaczął mnie dostrzegać – powiedział Komandor. – I po trochu zaczął też słyszeć nasze głosy. Niedługo powinien również uchwycić, co znaczą słowa. Ze wszystkich sił mobilizuje siły i inteligencję, które mu jeszcze pozostały.

– Co chciał przekazać w obrazie *Śmierć Komandora*?

– Chyba lepiej zapytać nie mnie, a bezpośrednio jego samego – powiedział Komandor. – No bo macie przed sobą twórcę.

Wróciłem na krzesło, na którym przedtem siedziałem. I zacząłem mówić, zbliżywszy twarz do leżącego w łóżku starca.

– Proszę pana, znalazłem na strychu obraz, który pan tam ukrył. Bo zapewne

pan go ukrywał. Sądząc po tym, jak starannie był zapakowany, pewnie nie chciał go pan nikomu pokazać. Ale ja go odpakowałem. Może to panu sprawi przykrość, ale niestety nie mogłem powstrzymać ciekawości. Zobaczyłem, że *Śmierć Komandora* to wspaniały obraz, i nie mogłem już oderwać od niego wzroku. To naprawdę doskonały obraz. Powinien być jednym z pana reprezentatywnych dzieł. W tej chwili tylko ja wiem o jego istnieniu. Nie pokazałem go nawet Masahikowi. Poza tym widziała go tylko trzynastoletnia dziewczyna, Marie Akikawa. Ale wczoraj gdzieś zniknęła.

Komandor podniósł rękę i przerwał mi.

– Lepiej zrobić teraz przerwę. Niepodobna za dużo naraz wymagać od ograniczonych funkcji jego mózgu.

Umilkłem i przez chwilę przyglądałem się, co się dzieje z Tomohikiem Amadą. Nie potrafiłem ocenić, jak dużo z tego, co powiedziałem, dotarło do jego świadomości. Wyraz jego twarzy nadal pozostawał niezmienny. Ale kiedy zajrzałem mu głęboko w oczy, dojrzałem tam to samo źródło światła. Błysk, jak lśnienie małego ostrego noża, który wpadł na dno głębokiego źródła.

Zacząłem powoli mówić dalej, robiąc wyraźne przerwy między słowami:

– Pytanie jest takie: dlaczego pan namalował ten obraz? Bardzo różni się tematem, kompozycją i stylem od tych, które pan dotąd malował. Zdaje mi się, że w tym obrazie zawarte jest jakieś ważne prywatne przesłanie. Co ten obraz oznacza? Kto kogo zabija? Kim jest Komandor? Jakim człowiekiem jest morderca, Don Giovanni? I co to za dziwny zarośnięty człowiek o długiej twarzy wyglądający spod ziemi w lewym dolnym rogu?

Komandor znów podniósł rękę, żeby mi przerwać. Od razu umilkłem.

– Tyle pytań wystarczy – powiedział. – Zanim dotrą do jego świadomości, minie jeszcze trochę czasu.

– A czy on mi odpowie na pytania? Czy da jeszcze radę to zrobić?

Komandor potrząsnął głową.

– Nie, pewnie nie będzie odpowiedzi. On już nie ma na to sił.

– To dlaczego kazał mi pan go pytać?

– Nie zadawaliście pytań, moi panowie. Wy mu tylko powiedzieliście. Powiedzieliście mu o fakcie znalezienia na strychu obrazu *Śmierć Komandora* i wyciągnięciu go na światło dzienne. To jest pierwszy etap. Od niego trzeba zacząć.

- A jaki jest drugi etap?
- Oczywiście zabicie mnie przez was, panowie.
- A będzie trzeci etap?
- Powinien być, oczywiście.
- I co to będzie?
- Nadal tego nie wiecie, moi panowie?
- Nie wiem.

– Ożywimy sedno alegorii tego obrazu i przyciągniemy tu Długogębego. Sprowadzimy go tutaj, do tego pokoju. Dzięki temu uda się wam, moi panowie, odzyskać Marie Akikawę.

Na chwilę zabrakło mi słów. Sam już nie wiedziałem, do jakiego świata zabłądziłem.

– Oczywiście to nie jest prosta sprawa – powiedział Komandor podniosłym tonem. – Ale trzeba to zrobić. W tym celu ja muszę zostać zabity. No, śmiało.

Czekałem, aż moje informacje dotrą do świadomości Tomohika Amady. Zajęło to trochę czasu. Miałem kilka wątpliwości, które musiałem w tym czasie wyjaśnić.

– Dlaczego Tomohiko Amada zachował to w głębokiej tajemnicy przez te wszystkie lata po wojnie? Mimo że nie było już osób, które powstrzymałyby go przed mówieniem na ten temat?

– Jego dziewczyna została bezlitośnie zamordowana przez nazistów – odrzekł Komandor. – Była powoli, nieśpiesznie torturowana, a potem została zabita. Zlikwidowano też wszystkich jego kolegów. Ich wysiłki spełzyły na niczym. Tylko on uszedł z życiem ze względów politycznych. To go głęboko zraniło. On też został aresztowany, był więziony przez dwa miesiące, poddany ciężkim torturom. Były brutalne, lecz stosowano je uważnie, by nie umarł i by na ciele nie zostały ślady. Tak sadystyczne tortury, że mało nie zwariował. W ich rezultacie coś rzeczywiście w nim umarło. Następnie przekonano go, by zachował te wydarzenia w tajemnicy i repatriowano do Japonii.

– Niewiele wcześniej jego młodszy brat odebrał sobie życie prawdopodobnie wskutek strasznych przeżyć wojennych. Wkrótce po tym, jak po zajęciu Nankinu wrócił do kraju i został zwolniony ze służby. Prawda?

– Tak. W ten sposób w wojennej zawierusze Tomohiko Amada tracił jedną po drugiej bliskie osoby. Sam też miał złamane serce. Gniew i smutek, które w sobie

nosił, tkwiły w nim pewnie bardzo głęboko. Poczucie bezsilności, rozpacz, że nijak nie może powstrzymać biegu wydarzeń na świecie. Do tego dochodził psychiczny ciężar, że sam przeżył. Dlatego pewnie nie powiedział ani słowa na temat wydarzeń w Wiedniu, nawet kiedy zniknęli już ludzie pragnący go przed tym powstrzymać. Myślał, że niepodobna o tym mówić.

Spojrzałem na Tomohika Amadę. Na jego twarzy nadal nie malował się żaden wyraz. Nie wiedziałem, czy słyszy naszą rozmowę.

– I w pewnym momencie, nie wiem, co to był za moment, pan Amada namalował *Śmierć Komandora* – powiedziałem. – To, czego nie mógł powiedzieć, wyraził alegorycznie w obrazie. To było jedyne, co mu pozostało. To wybitny obraz o wielkiej sile wyrazu.

– I na tym obrazie zrealizował w innej, zakamuflowanej formie to, czego nie potrafił dokonać w rzeczywistości. Wydarzenia, które nie miały miejsca, a le powinno było do nich dojść – wyjaśnił Komandor.

– Ale w końcu nie wystawił tego obrazu na widok publiczny, tylko starannie go zapakował i ukrył na strychu – powiedziałem. – Bo te wydarzenia były jeszcze dla niego zbyt żywe, nawet w zmienionej, alegorycznej formie. Tak to wyglądało?

– Tak, ten obraz był po prostu wyrwany na żywca z jego duszy. I wy, moi panowie, pewnego dnia go odnaleźliście.

– Czyli to, że wyciągnąłem obraz na światło dzienne, stało się początkiem tego wszystkiego? To było właśnie to otwarcie kręgu?

Komandor bez słowa rozłożył ręce.

Niebawem twarz Tomohika Amady lekko się zaróżowiła. Obaj z Komandorem uważnie przyglądaliśmy się tym zmianom. Jakby w odpowiedzi na ten rumieniec, kryjące się w głębi oczu tajemnicze światełko zaczęło się powoli wyłaniać. Jak nurek, który długo pracował na dnie morza i powoli się wynurza, wyrównując ciśnienie. Cienka błona przysłaniająca oczy stawała się coraz cieńsza, aż wkrótce szeroko się otwarły. Nie miałem już przed sobą osłabionego i zasuszonego starca stojącego nad grobem. Te oczy były przepełnione wolą, by jak najdłużej utrzymać się przy życiu.

– Zebrał w sobie całą energię, która mu pozostała – powiedział Komandor. – Stara się za wszelką cenę odzyskać choć odrobinę świadomości. Ale jeśli powróci świadomość, powróci też jednocześnie fizyczny ból. Jego ciało wydziela specjalną substancję, która uśmierza ból. Kiedy ona działa, nie czuje się gwałtownego bólu

i można spokojnie wyzionąć ducha. Lecz jeśli odzyska się świadomość, poczuje się ból. A mimo to on ze wszystkich sił próbuje ją odzyskać. Musi teraz coś zrobić, choćby towarzyszył temu ból.

Jakby na potwierdzenie słów Komandora po twarzy Tomohika Amady stopniowo rozlało się cierpienie. Znowu czuł, jak starość gwałci, zżera jego ciało, które niebawem przestanie funkcjonować. Nijak nie dało się tego uniknąć. Niedługo upływał termin ważności systemów jego organizmu. Ciężko było się temu przyglądać. Może nie powinienem był się niepotrzebnie wtrącać, tylko pozwolić mu spokojnie wyzionąć ducha bez bólu i z zamgloną świadomością.

– Ale pan Tomohiko Amada sam dokonał tego wyboru – powiedział Komandor, jakby czytając w moich myślach. – Żał go, ale nie ma rady.

– Masahiko jeszcze przez pewien czas nie wróci? – zapytałem.

Komandor lekko potrząsnął głową.

– Nie, jeszcze nieprędko wróci. To ważny telefon w sprawie pracy. Zapewne będzie długo rozmawiał.

Oczy starca były teraz szeroko otwarte. Zapadnięte przedtem głęboko w pokryte pomarszczoną skórą oczodoły, teraz nagle z nich wyjrzały, jak człowiek wyglądający przez okno. Starzec oddychał chrapliwie i głęboko. Słyszałem nierówny świst wciąganego i wydychanego powietrza. Nie odrywał wzroku od Komandora, patrzył prosto na niego. Nie było wątpliwości. Widział go. Na jego twarzy był wyraz kompletnego zaskoczenia. Nie dowierzał własnym oczom. Pewnie nie mógł zrozumieć, jak to możliwe, że wyimaginowana postać, którą namalował, rzeczywiście się przed nim zmaterializowała.

– Nie, tak nie jest – powiedział Komandor, czytając w moich myślach. – Tomohiko Amada widzi mnie pod inną postacią niż wy, panowie.

– Widzi pana pod inną postacią niż ja?

– Jam jest jedynie ideą. W zależności od sytuacji i od patrzącego moja postać może się dowolnie zmieniać.

– A jak widzi pana pan Amada?

– Tego to ja nie wiem. Bo ja jestem jedynie zwierciadłem, w którym odbijają się umysły.

– Ale kiedy pojawił się pan przede mną, celowo przybrał pan przecież taką postać? Tę postać Komandora. Nie mylę się, prawda?

– Ściśle mówiąc, nie wybrałem tej postaci. Przyczyna i skutek są tu dość

zagnatwane. Dzięki temu, że przybrał tę postać, zaczęła się cała seria wydarzeń, ale jednocześnie przybranie tej postaci było nieuniknionym jej rezultatem. Niełatwo mi mówić zgodnie z zasadami czasowości obowiązującej w waszym świecie, moi panowie, ale krótko mówiąc, to było z góry przesądzone.

– Jeśli idea jest zwierciadłem, w którym odbija się umysł, to znaczy, że pan Amada widzi to, co chce widzieć.

– Widzi to, co musi widzieć – poprawił mnie Komandor. – Może patrząc na to, czuje straszliwy ból. Ale musi patrzeć. To koniec jego życia.

Znów spojrzałem na Tomohika Amadę. Zauważyłem, że na jego twarzy do wyrazu zaskoczenia dołączyła gwałtowna nienawiść. I trudny do zniesienia ból. Było to nie tylko fizyczne cierpienie, które wróciło wraz ze świadomością, była to prawdopodobnie także głęboka psychiczna udręka.

Komandor mówił dalej:

– Zebrał w sobie resztki sił, żeby przywrócić swoją świadomość i móc mnie zobaczyć. Nie przejmuje się strasznym bólem. Chce znów wrócić do czasów, kiedy miał dwadzieścia parę lat.

Twarz Tomohika Amady stała się teraz zupełnie czerwona. Gorąca krew znów krążyła mu w żyłach. Wyszłe, wąskie wargi lekko drżały, oddech zmienił się w gwałtowne dyszenie. Wychudłe długie palce kurczowo ścisnęły prześcieradło.

– No, czas mnie zabić. No, śmiało. Teraz, kiedy jego świadomość znów połączyła się w całość – powiedział Komandor. – Lepiej się pośpieszcie, moi panowie. Ten stan pewnie niezbyt długo potrwa.

Jednym ruchem wyciągnął z pochwy miecz. Miał jakieś dwadzieścia centymetrów długości i wyglądał na bardzo ostry. Był krótki, lecz niewątpliwie stanowił broń, którą można odebrać komuś życie.

– No, przebijcie mnie tym – powiedział Komandor. – Odegrajcie tutaj taką samą scenę jak ta ze *Śmierci Komandora*. No pośpieszcie się. Nie ma czasu na zwłokę.

Nie mogłem się zdecydować, patrzyłem to na Komandora, to na Tomohika Amadę. Jakoś rozumiałem tylko, że Tomohiko Amada czegoś wyjątkowo silnie pragnie, a Komandor jest wyjątkowo zdeterminowany. I tylko ja stałem pomiędzy nimi.

Usłyszałem szum skrzydeł sowy i dźwięk dzwonków w środku nocy.

Wszystko się gdzieś ze sobą łączyło.

– Tak, wszystko się gdzieś ze sobą łączy – powiedział Komandor, czytając

w moich myślach. – Nie uciekniecie od tych połączeń, panowie. No, zabijcie mnie, śmiało. Nie ma potrzeby czuć wyrzutów sumienia. Tomohiko Amada tego pragnie. Dzięki temu, że to zrobicie, zostanie uratowany. Spowodujemy tutaj, że zdarzy się to, co miało się zdarzyć dawno temu. Teraz przyszła ta chwila. Tylko wy możecie mu pomóc pod koniec życia.

Wstałem, podszedłem do krzesła Komandora. Wziąłem od niego miecz. Nie potrafiłem już ocenić, co jest słuszne, a co nie. W świecie bez czasu i przestrzeni nie było nawet różnicy między przed i po, między dołem i górą. Miałem tylko poczucie, że przestałem być sobą. Jakoś oddzieliłem się od siebie samego.

Kiedy wziąłem do ręki miecz, zdałem sobie sprawę, że jego rękojeść jest zbyt mała, bym mógł ją porządnie uchwycić. Był to miniaturowy miecz przeznaczony dla małego człowieczka. Mógł sobie być ostry, ale nie mogłbym zabić Komandora, trzymając miecz za tę małą rękojeść. Dzięki temu zrobiło mi się trochę lżej na duszy.

– Ten miecz jest dla mnie trochę za mały. Nie potrafię się nim posłużyć – powiedziałem.

– Ach tak? – odparł Komandor i lekko westchnął. – Nie ma rady. Niepodobna tak dokładnie odegrać sceny z obrazu. Posłużmy się czymś innym.

– Czymś innym?

Komandor wskazał niewielką komodę w rogu pokoju.

– Otwórzcie górną szufladę.

Podszedłem do komody i otworzyłem górną szufladę.

– Tam jest nóż do oprawiania ryb – oznajmił Komandor.

Na stosie starannie złożonych małych ręczników rzeczywiście leżał nóż. Ten sam, który przywiózł Masahiko, żeby oprawić doradę. Jego solidne dwudziestocentymetrowe ostrze było dobrze naostrzone. Masahiko zawsze przywiązywał wielką wagę do narzędzi, którymi się posługiwał. Nic dziwnego, że dbał także o nóż.

– No, wbijcie mi go głęboko w pierś – powiedział Komandor. – Miecz czy nóż – na jedno wychodzi. Odegrajcie tu taką samą scenę jak na obrazie *Śmierć Komandora*. Trzeba się śpieszyć. Nie ma za wiele czasu.

Nóż ciążył mi w dłoni, jakby był z kamienia. W promieniach słońca wpadających przez okno ostrze błysnęło chłodno bielą. Ten nóż, przywieziony przez Masahika, zniknął z szuflady w domu i czekał w innej szufladzie w tym pokoju na moje przybycie. Czyli Masahiko (w sumie) naostrzył go dla ojca.

Wyglądało na to, że nie uda mi się uniknąć przeznaczenia.

Ciągle nie mogłem się zdecydować, ale stanąłem za krzesłem Komandora i mocno ścisnąłem nóż w prawej dłoni. Tomohiko Amada leżał w łóżku z szeroko otwartymi oczami i patrzył w moją stronę. Jak człowiek, który jest świadkiem ważnego historycznego wydarzenia. Usta miał otwarte, widać w nich było pożółkłe zęby, za nimi pobielaly język. Język poruszał się powoli, jakby próbował uformować jakieś słowa. Ale świat pewnie tych słów nie dosłyszy.

– Nie jesteście brutalnym człowiekiem, moi panowie – powiedział Komandor, jakby coś mi perswadował. – Jam tego bardzo świadom. Wasza natura nie pozwala wam zabijać ludzi nożami. Ale są przypadki, że trzeba zrobić coś, co nam się nie podoba, by uratować coś cennego albo w jakimś ważnym celu. Teraz właśnie jest taka chwila. No, zabijcie mnie. Jestem nieduży, nie będę stawiał oporu. Jestem jedynie ideą. Wbijcie mi to ostrze w serce. To prosta sprawa.

Drobnymi palcami wskazywał, gdzie ma serce. Na myśl o sercu przypomniałem sobie oczywiście serce siostry. Dobrze pamiętałem, kiedy poddano ją operacji w Klinice Akademii Medycznej. Jaka ta operacja była skomplikowana i precyzyjna. Bardzo trudno jest uratować chore serce. Potrzebni są liczni lekarze specjaliści i dużo krwi. Ale zniszczenie serca to prosta sprawa.

– Nie ma sensu myśleć o takich rzeczach – powiedział Komandor. – Musicie mnie zabić, żeby odzyskać Marie Akikawę. Musicie, nawet jeśli nie chcecie. Musicie zamknąć swoje serce i wyłączyć świadomość. Ale niepodobna zamykać oczu. Musicie na wszystko patrzeć.

Uniosłem nóż nad głową Komandora, ale za nic nie mogłem się zdobyć na zadanie ciosu. Nawet jeśli dla idei miała to być jedna z wielu śmierci, i tak musiałem wymazać życie, które miałem przed sobą. To przecież takie samo morderstwo, jakie popełnił Tsuguhiko Amada w Nankinie na rozkaz młodego oficera.

– Nie takie samo – powiedział Komandor. – Tym razem ja tego pragnę. Pragnę zostać zabity. To śmierć, żeby się odrodzić. No, zdecydujcie się i zamknijcie krąg.

Przymknąłem oczy i przypomniałem sobie, jak dusiłem tę kobietę w love hotelu w prefekturze Miyagi. Oczywiście tylko udawałem. Lekko ścisnąłem jej szyję na jej własną prośbę, tak by nie zabić. Lecz nie byłem w stanie tego robić tak długo, jak tego chciała. Gdybym ścisnął dłużej, może bym ją zabił. Wtedy w łóżku w love hotelu poczułem w sobie głęboki gniew, jakiego wcześniej nie doświadczyłem.

Wrzał w moim sercu jak czarne, wypełnione krwią błoto i niewątpliwie zbliżył się do rzeczywistej śmierci.

Ten facet powiedział: dobrze wiem, gdzie byłeś i co tam robiłeś.

– No, zadajcie mi cios, panowie – powiedział Komandor. – Potraficie to. Nie zabijacie mnie. Zabijacie złego ojca. Zabijecie złego ojca i zrosicie ziemię jego krwią.

Złego ojca?

Co to znowu za zły ojciec?

– Kto jest dla was złym ojcem? – powiedział Komandor, czytając w moich myślach. – Chyba niedawno go widzieliście? Prawda?

– Już więcej mnie nie maluj – powiedział ten mężczyzna. I wskazał palcem prosto na mnie z ciemnego lustra. Ten palec wbił się w moją pierś, ostry jak czubek noża.

Czując ból, instynktownie zamknąłem przed nim serce. Otworzyłem szeroko oczy, odpędziłem wszelkie myśli (jak Don Giovanni ze *Śmierci Komandora*), ukryłem głęboko wszelkie uczucia, usunąłem z twarzy jakikolwiek wyraz i jednym ruchem opuściłem nóż. Ostrze wbiło się prosto w drobne serce, które wskazywał Komandor. Poczułem opór żywego ciała. Komandor nie stawiał ani odrobiny oporu. Drobne ręce desperacko próbowały chwycić pustkę, ale poza tym się nie poruszał. Jednak ciało, w którym zamieszkał, starało się ze wszystkich sił uniknąć zbliżającej się śmierci. Komandor był ideą, ale jego ciało nią nie było. Było jedynie ciałem pożyczonym przez ideę, które nie zamierzało spokojnie pogodzić się ze śmiercią. Kierowało się swoją logiką. Musiałem za wszelką cenę pokonać ten opór i wydusić z niego ostatnie tchnienie. Komandor kazał mi się zabić. Ale w rzeczywistości zabiłem ciało k o g o ś innego.

Chciałem wszystko rzucić i uciec z tego pokoju, ale w uszach brzmiały mi jeszcze słowa Komandora: „Musicie mnie zabić, żeby odzyskać Marie Akikawę. Musicie, nawet jeśli nie chcecie”.

Dlatego jeszcze głębiej zatopiłem nóż w jego sercu. Nie mogłem tego zrobić połowicznie. Ostrze przebiło szczupłe ciało na wylot, aż do pleców. Białe szaty zabarwiły się czerwienią. Moja trzymająca rękojeść dłoń też się nią pokryła. Ale krew nie tryskała tak jak na obrazie *Śmierć Komandora*. Próbowałem sobie powiedzieć, że t o w s z y s t k o i l u z j a. Zabiłem jedynie iluzję. Był to jedynie symboliczny akt.

Ale wiedziałem, że to nie tylko iluzja. To mógł być symboliczny akt, ale wcale nie zabijałem iluzji. Niewątpliwie zabijałem żywe ciało. Było to wyimaginowane zaledwie sześćdziesięciocentymetrowe ciało zrodzone z pędzla Tomohika Amady, lecz jego siła witalna była nieoczekiwana. Ostrze mojego noża przecięło skórę, złamało kilka żeber, przebiło drobne serce i dosięgło oparcia krzesła. To nie mogła być iluzja.

Tomohiko Amada jeszcze bardziej wytrzeszczył oczy i wlepił je w rozgrywającą się przed nimi scenę. Patrzył, jak zabijam Komandora. Dla niego nie był Komandorem. Kogo on mógł widzieć? Czy był to nazistowski oficer, na którego planował zamach w Wiedniu? Czy młody podporucznik, który w Nankinie wręczył jego bratu japoński miecz i kazał ściąć głowy trzem chińskim jeńcom? Czy coś bardziej pierwotnego, jakiegoś zła, z którego oni wszyscy się zrodzili? Oczywiście tego nie wiedziałem. Nie potrafiłem wyczytać z jego twarzy żadnych uczuć. Przez ten cały czas miał otwarte usta. Wargi się nie poruszały. Tylko płaczący się język dalej czynił daremne wysiłki, starając się uformować słowa.

Wkrótce ciało Komandora opadło z sił. Błyskawicznie zwiotczało i zastygło na krześle jak marionetka, której przecięto sznurki. Mimo to nadal zatapiałem nóż w jego sercu. Wszystko w pokoju zamarło nieporuszone, nie zakłócając kompozycji. Długo tak trwaliśmy.

Pierwszy poruszył się Tomohiko Amada. Niedługo po tym, jak Komandor stracił przytomność i opadł bezsilnie na krzesło, starcowi zabrakło chyba sił, by dalej się skupiać. Jakby mówił, że zobaczył, co miał zobaczyć, więc wypuścił powietrze i zamknął oczy. Powoli i ciężko, jakby zamykał okiennice. Tylko usta były jeszcze otwarte, ale nie było już widać ciężkiego języka. Nierówne żółte zęby wyglądały jak sztachety płotu otaczającego pusty dom. Na twarzy nie malowało się już cierpienie. Gwałtowny ból minął. Pojawił się na niej spokojny, łagodny wyraz. Udało mu się chyba znów wrócić do sielankowego świata nieprzytomności, w którym nie było świadomości ani bólu. Ta myśl mnie ucieszyła.

W końcu przestałem zaciskać dłoń, wyciągnąłem nóż z ciała Komandora. Z rany buchała krew. Tak samo jak na obrazie. Po wyciągnięciu noża, jakby nic go już nie podtrzymywało, Komandor bezsilnie opadł na krzesło. Oczy miał szeroko otwarte, wargi gwałtownie wykrzywione bólem. Dziesięć drobnych palców skierowanych w nicość. Nie zostało w nim już ani krztyny życia, krew tworzyła brunatną kałużę u jego stóp. Było zadziwiająco dużo krwi jak na taką małą osobkę.

W ten sposób Komandor – idea, która przybrała postać Komandora – dokonał żywota. Tomohiko Amada znów zapadł w śpiączkę. W tej chwili w tym pokoju

jedyną osobą obdarzoną świadomością byłem ja, znieruchomiły obok Komandora i ściskający w dłoni zakrwawiony nóż Masahika. Powinienem słyszeć jedynie własny chrapliwy i pośpieszny oddech. A jednak tak nie było. Do moich uszu dotarł jeszcze jakiś jakby niespokojny ruch. To było coś pośredniego między dźwiękiem a wrażeniem czyjejś obecności. Wytężyć słuch – powiedział Komandor. Wytężyłem słuch, tak jak mi kazał.

Coś było w tym pokoju. Coś się poruszało. Z zakrwawionym nożem w ręce i nie zmieniając postawy, skierowałem tylko wzrok w stronę tego dźwięku. I dostrzegłem coś w rogu pokoju na skraju pola widzenia.

Był tam Długogęby.

Zabiwszy Komandora, ściągnąłem go do tego świata.



Rozdział 52

Facet w pomarańczowej szpiczastej czapce

Wszystko wyglądało dokładnie tak jak w lewym dolnym rogu obrazu Tomohika Amady *Śmierć Komandora*. Długogęby wystawił głowę z dziury w rogu pokoju, jedną ręką podtrzymał otwartą kwadratową pokrywę i ukradkiem rozglądał się dookoła. Miał długie potargane włosy, twarz porośniętą gęstym czarnym zarostem. Była długa i wąska, jak bakłażan, brodę miał krzywą, a oczy dziwnie okrągłe. Nos był płaski i bulwiasty. Z jakiejś przyczyny tylko wargi miały świeży kolor owocu. Był niezbyt duży. Wyglądał, jakby został w całości proporcjonalnie skurczony. Tak samo jak Komandor przypominał zmniejszoną trójwymiarową kopię człowieka zwykłego rozmiaru.

W odróżnieniu od Długogębeego na obrazie, na twarzy tego malował się wyraz kompletnego zaskoczenia, gdy zdumiony przyglądał się zwłokom Komandora. Lekko otworzył usta, jakby nie wierzył własnym oczom. Nie wiedziałem, od jak dawna tam tak stał. Sprawdzałem, co się dzieje z Tomohikiem Amadą, i skupiałem się na tym, żeby Komandor wydał ostatnie tchnienie, więc nie zauważyłem Długogębeego w rogu pokoju.

Ale ten dziwny facet był pewnie naocznym świadkiem całej sceny od początku do końca. To właśnie namalowano na obrazie *Śmierć Komandora*.

Długogęby się nie poruszał, trwał znieruchomiały w rogu „obrazu”, jakby został stałym elementem kompozycji. Na próbę nieznacznie się poruszyłem, lecz Długogęby nijak nie zareagował na mój ruch. Jedną ręką trzymając uniesioną pokrywę, wlepił szeroko otwarte oczy w Komandora, tak jak na obrazie Tomohika Amady. Nawet nie mrugał.

Powoli rozluźniłem napięte mięśnie, odsunąłem się, jakbym usuwał się z przypisanej mi pozycji w tej konfiguracji postaci i nieznacznie zbliżyłem się do Długogębeego. Cicho jak kot szedłem ukradkiem z zakrwawionym nożem. Nie

mogłem mu pozwolić wrócić pod ziemię. Komandor oddał życie, chcąc odegrać scenę z obrazu i zwabić Długogębę na powierzchnię, abym mógł uratować Marie. Jego ofiara nie mogła pójść na marne.

Ale nie miałem pojęcia, jak wyciągnąć z Długogębę informacje na temat Marie. Nie wiedziałem nic – ani co Długogęby ma wspólnego z jej zniknięciem, ani czym on właściwie jest. Informacje na jego temat pochodzące od Komandora kwalifikowały się raczej jako zagadki. W każdym razie musiałem go jakoś tu zatrzymać. Nad resztą mogłem się zastanowić później.

Boki kwadratowej pokrywy, którą podniósł, miały jakieś sześćdziesiąt centymetrów. Na jej wierzchu było takie samo zielone linoleum jak reszta podłogi. Gdyby ją zamknąć, pewnie stałaby się zupełnie niewidoczna, bo zlałaby się z podłogą. A raczej pewnie zupełnie by zniknęła.

Zbliżyłem się, lecz Długogęby ani drgnął. Stał jak skamieniały. Zupełnie jak kot, kiedy na drodze oświetlą go reflektory samochodu. A może jego misja polegała na jak najdłuższym utrzymaniu kompozycji obrazu? W każdym razie dobrze się składało, że trwał przez pewien czas w bezruchu. Bo gdyby tak nie było, dostrzegłby, że się zbliżam, wyczułby niebezpieczeństwo i szybko skryłby się znów pod ziemią. A pewnie pokrywa była tak pomyślana, że gdyby raz się zamknęła, nie dałoby się jej z zewnątrz otworzyć.

Zaszedłem Długogębę od tyłu, odłożyłem nóż i szybko wyciągnąwszy rękę, chwyciłem go za kołnierz. Miał na sobie dość dopasowany strój w ciemnych kolorach. Proste ubranie w stylu ubrania roboczego z zupełnie innego materiału niż eleganckie szaty Komandora. Było nędzne, tu i tam połatane, szorstkie w dotyku.

Kiedy złapałem go za kołnierz, od razu przyszedł do siebie, próbował się wyrwać i uciec pod ziemię. Lecz ja mocno trzymałem i nie puszczałem. Pod żadnym pozorem nie mogłem mu dać uciec. Zebrałem w sobie siły i próbowałem go wyciągnąć z dziury na ziemię. Stawiał desperacki opór. Obiema dłońmi chwycił brzegi dziury i tak usztywniony nie dawał się wyciągnąć. Był niespodziewanie silny. Próbował mnie nawet ugryźć w rękę. Nie miałem wyboru, uderzyłem go w tę długą gębę, tak że walnął nią w krawędź dziury. Wziąłem zamach i zrobiłem to jeszcze raz. Po drugim ciosie stracił świadomość i jego ciało nagle osłabło. Wtedy wreszcie udało mi się wyciągnąć go na wierzch.

Był nieco wyższy od Komandora. Miał siedemdziesiąt albo osiemdziesiąt centymetrów, coś koło tego. Nosił praktyczny strój typowy dla ludzi pracujących w polu albo ogrodników. Sztywny kaftan, do niego luźne spodnie. W pasie przewiązał się powrozem. Był bosy. Pewnie nigdy nie nosił butów, bo podeszwy

stóp miał zgrubiałe, twarde i strasznie brudne. Długie włosy dawno nie były myte ani czesane. Czarny zarost pokrywał pół twarzy. Część niepokryta zarostem była blada i wyglądała niezdrowo. Ogólnie był niezbyt czysty. O dziwo jednak, nie śmierdział.

Po tych strojach domyślałem się, że Komandor należał do arystokracji, a ten człowiek był z prostego ludu. Pewnie tak ubierał się prosty lud w okresie Asuka. Albo strój Długogębego był tylko odzwierciedleniem tego, jak Tomohiko Amada wyobrażał sobie „ubranie prostego ludu z okresu Asuka”. Ale rozważanie tego nie miało sensu. Musiałem z tego dziwnego typu wyciągnąć informacje, jak znaleźć Marie.

Położyłem go na brzuchu i paskiem wiszącego nieopodal szlafroka związałem mu ręce na plecach. Potem przeciągnąłem jego bezwładne ciało na środek pokoju. Jak na swój wzrost był niezbyt ciężki. Jak średniej wielkości pies. Potem odczepiłem sznur do zasłon i przywiązałem mu nogę do nogi łóżka. W ten sposób, kiedy się ocknie, nie będzie mógł wrócić do dziury. Nieprzytomny Długogęby, leżący tak na podłodze i oświetlony blaskiem popołudniowego słońca, wyglądał nędznie i żałośnie. Nie wydawał się już groźny, jak przedtem, kiedy wychylając się z tej ciemnej dziury, patrzył na mnie błyszczącymi oczami. Widziany dokładnie z bliska nie robił wrażenia kogoś o złej woli czy niecznych zamiarach. Wyglądał na niezbyt rozgarniętego. Miał w sobie jakąś taką tępą uczciwość. Wyglądał też na tchórza. Był jednym z tych ludzi, którzy posłusznie wykonują polecenia zamiast sami coś planować czy o czymś decydować.

Tomohiko Amada wciąż miał zamknięte oczy. Ani drgnął. Po wyglądzie nie dało się poznać, czy żyje, czy umarł. Zbliżyłem ucho do jego ust. Przysunąłem się na kilka centymetrów. Kiedy wyteżyłem słuch, dosłyszałem bardzo wąty oddech, jak daleki szum morza. Jeszcze nie umarł. Zapadł w głęboką śpiączkę. To mnie trochę uspokoiło. Nie chciałem, żeby umarł pod nieobecność Masahika. Leżał na boku z pogodnym, zadowolonym wyrazem twarzy – zupełnie innym niż wcześniej. Być może zabicie Komandora na jego oczach (albo kogoś, kto musiał według niego zostać zabity) wreszcie spełniło jakieś jego oczekiwania.

Komandor, tak samo jak przedtem, leżał skulony na obitym materiałem krześle. Oczy miał szeroko otwarte, w lekko rozchylnych ustach widać było zwinięty język. Serce nadal krwawiło, ale mniej intensywnie. Podniosłem jego prawą dłoń – była zwiotczała i bezsilna. Na skórze pozostało jeszcze trochę ciepła, ale zaczynała już sprawiać wrażenie obcości. Obcości, która powoli się rodzi, gdy życie przeradza się w nieżycie. Pomyślałem, że chciałbym go ładnie ułożyć w trumnie odpowiedniego rozmiaru. Małej trumnie dla małych dzieci. I złożyć go po cichu

w dole za kapliczką. Tak, żeby już nikt go nie męczył. Ale w tej chwili mogłem mu tylko delikatnie zamknąć powieki.

Usiadłem w fotelu i czekałem, aż wyciągnięty na podłodze Długogęby się ocknie. Za oknem ogromny Pacyfik lśnił oślepiająco w słońcu. Widać było na nim jeszcze kilka rybackich kutrów, a także lecący na południe srebrny samolot o błyszczącym kadłubie. Miał cztery śmigła i antenę na ogonie. Samolot patrolowy szukający łodzi podwodnych, który leciał z bazy w Atsugi. Nawet w sobotnie popołudnie ludzie po cichu wykonywali swoje różne obowiązki. A ja w słonecznym pokoju luksusowego domu opieki dopiero co zabiłem Komandora nożem do oprawiania ryb, schwytałem Długogębę, który wyrzwał spod ziemi, i szukałem pięknej trzynastolatki, po której ślad zaginął. Są różni ludzie.

Długogęby jakoś nie przytomniał. Kilka razy spojrzałem na zegarek. Gdyby Masahiko teraz tu wrócił, co by pomyślał, widząc tę scenę? Komandor przebity nożem leży w kałuży krwi, a Długogęby związany na ziemi. Obaj mają mniej niż metr wzrostu i są odziani w szaty z bardzo dawnych czasów. A na twarzy pogrążonego w śpiączce Tomohika Amady błądzi lekkich uśmiech (albo coś w tym rodzaju). W rogu pokoju zionie ciemnością kwadratowy otwór. Jak miałbym mu wytłumaczyć okoliczności, które doprowadziły do tej sytuacji?

Ale Masahiko oczywiście nie wracał. Tak jak powiedział Komandor, załatwiał ważną sprawę związaną z pracą. Musiał w tym celu odbyć z kimś długą rozmowę przez komórkę. Zostało to wcześniej ustalone. Dlatego nikt mi nie miał przeszkodzić. Siedząc na krześle, pilnowałem Długogębę. Wyrznął głową o krawędź pokrywy i doznał chyba niewielkiego wstrząsu mózgu. Niedługo powinien odzyskać przytomność. Wkrótce na czole pojawi mu się potężny guz i pewnie na tym się skończy.

Niebawem Długogęby oprzytomniał. Wiercił się na podłodze i wybełkotał kilka niezrozumiałych słów. Potem powoli otworzył oczy. Jak dziecko patrzące na coś, czego się boi – nie chce patrzeć, ale musi.

Od razu wstałem z krzesła i ukląknęłam obok niego.

– Nie ma czasu – powiedziałem, patrząc na niego. – Chcę, żebyś mi powiedział, gdzie jest Marie Akikawa. Jak tylko mi powiesz, rozwiążę cię i pozwolę tam wrócić.

Wskazałem dziurę w rogu pokoju. Czworokątna pokrywa nadal była otwarta. Nie wiedziałem, czy rozumie, co mówię. No ale nie pozostało mi nic innego, jak tylko próbować, zakładając, że moje słowa do niego docierają.

Długogęby nie odpowiedział, tylko gwałtownie pokręcił głową. Nie wiedziałem,

czy chodzi mu o to, że nic nie wie czy że mnie nie rozumie.

– Jeśli mi nie powiesz, zabiję cię – oznajmiłem. – Widziałeś, jak zabiłem Komandora, nie? Dla mnie nie ma znaczenia, czy zabiję jednego faceta, czy dwóch.

Przyłożyłem mu do brudnej szyi zakrwawiony nóż. Pomyślałem o rybakach i pilocie na morzu. W s z y s c y w y k o n y w a l i ś m y s w o j e o b o w i ą z k i. A to było coś, co ja musiałem zrobić. Oczywiście nie miałem zamiaru go zabijać, ale nóż był naprawdę ostry. Długogęby drżał ze strachu.

– Proszę... – powiedział chrapliwie – proszę ździebko poczekać.

Mówił trochę dziwnie, ale zdawało się, że rozumiał. Odsunąłem nieco nóż i zapytałem:

– Wiesz, gdzie jest Marie Akikawa?

– Nie, ja nic o niej nie wiem. To szczerą prawdą.

Patrzyłem mu prosto w oczy. Miał duże oczy, w których łatwo było czytać. Zdawało się, że rzeczywiście mówi prawdę.

– No to co ty tu właściwie robisz?

– Moim zadaniem jest zobaczenie na własne oczy, co się dzieje i zapisanie tego. Dlatego stamtąd się przyglądałem. To szczerą prawdą.

– A po co masz to oglądać na własne oczy?

– Mnie tylko kazano to robić, nic więcej nie wiem.

– A czym ty właściwie jesteś? Też czymś w rodzaju idei?

– Nie, ja nie jestem ideą. Tylko zwykłą metaforą.

– Metaforą?

– Tak. Tylko skromną przenośnią. Po prostu łączę jedną rzecz z inną. Dlatego proszę o wybaczenie.

Zaczynałem mieć mętlik w głowie.

– Jak jesteś metaforą, to wymyśl mi tu na poczekaniu jakąś przenośnię. Coś chyba dasz radę wymyślić – powiedziałem.

– Ja jestem tylko nędzną metaforą klasy niższej. Nie potrafię wymyślić wyrafinowanej metafory.

– Nie musi być wyrafinowana. Powiedz jakąkolwiek.

Długogęby zamyślił się na dłuższą chwilę. Potem powiedział:

– On się bardzo rzucał w oczy. Jak facet w pomarańczowej szpiczastej czapce

w porannym tłumie jadących do pracy.

Rzeczywiście niezbyt wyrafinowane porównanie.

– To nie metafora, tylko porównanie – zwróciłem mu uwagę.

– Przepraszam. Spróbuję jeszcze raz – powiedział Długogęby, a na czoło wystąpił mu pot. – Żył, zupełnie jakby nosił pomarańczową szpiczastą czapkę w porannym tłumie jadących do pracy.

– Wtedy trudno zrozumieć znaczenie tego zdania. I ciągle to jeszcze nie jest porządna metafora. Trudno mi uwierzyć, że jesteś metaforą. Muszę cię zabić.

Wargi drżały mu ze strachu. Zarost miał wspaniały, ale brakowało mu jaj.

– Przepraszam. Ja się dopiero uczę. Nie przychodzą mi do głowy trafne metafory. Proszę o wybaczenie. Ale to nie była fałszywa, tylko autentyczna metafora.

– Masz jakiegoś przełożonego, który ci wydaje polecenia?

– Nie mam przełożonego. To znaczy może mam, ale jeszcze go nie widziałem. Ja tylko działam tak, jak mi nakazuje relacja między zjawiskiem a jego wyrażeniem. Jestem jak nieporadna meduza niesiona przez fale. Dlatego proszę mnie nie zabijać, proszę mi darować.

– Mogę ci darować – powiedziałem, ciągle z nożem na jego gardle – ale w zamian zabierz mnie tam, skąd przyszedłeś.

– Tego jednego nie mogę zrobić – odparł Długogęby nieoczekiwanie zdecydowanym tonem. – Przyszedłem tu korytarzem metafor. Dla każdego jest inny. Nie ma dwóch takich samych korytarzy. Dlatego nie mogę panu pokazać drogi.

– Czyli muszę sam wejść do tego korytarza? I muszę znaleźć swoją własną drogę. O to ci chodzi?

Długogęby energicznie pokręcił głową.

– Wejście w korytarz metafor będzie dla pana zbyt niebezpieczne. Jeśli wejdzie tam żywy człowiek i pomyli drogę, może dotrzeć do strasznych miejsc. Poza tym gdzieś kryją się podwójne metafory.

– Podwójne metafory?

Długogębym wstrząsnął dreszcz.

– Podwójne metafory kryją się w głębi ciemności, to prawdziwe nic p o n i e , niebezpieczne stworzenia.

– Nie szkodzi – powiedziałem. – Już i tak zostałem wciągnięty w niewyobrażalne miejsca. Teraz nie robi mi różnicy, czy ta niewyobrażalność nieco wzrośnie, czy się zmniejszy. Zabiłem Komandora własnymi rękami. Jego śmierć nie może się okazać daremna.

– Cóż ja mogę poradzić? Proszę pozwolić dać sobie jedną radę.

– Jaka?

– Myślę, że lepiej wziąć ze sobą jakieś światło. Bo jest tam wiele dość ciemnych miejsc. Poza tym na pewno gdzieś po drodze będzie rzeka. Mimo że jest metaforyczna, woda jest prawdziwą wodą. Jest głęboka, zimna, nurt ma wartki. Bez łódki nie da się przez nią przepłynąć. Łódka jest przy miejscu przeprawy.

– Przepłynę się przez rzekę, a potem co?

Długogęby gapił się na mnie.

– Za rzeką dalej ciągnie się w nieskończoność świat rządzony relacjami. Trzeba to zobaczyć na własne oczy.

Podszedłem do łóżka Tomohika Amady. Tak jak przypuszczałem, na stoliku obok leżała latarka. Pokoje w takich ośrodkach wyposażone są w latarki na wypadek klęsk żywiołowych. Włączyłem ją na próbę. Zapaliła się jak trzeba. Baterie nie były wyczerpane. Wziąłem latarkę i włożyłem swoją skórzaną kurtkę, którą wcześniej powiesiłem na oparciu krzesła. Potem skierowałem się w stronę dziury w rogu pokoju.

– Bardzo proszę – powiedział Długogęby, jakby zwracał się z usilną prośbą. – Czy nie mógłby mnie pan rozwiązać? Co ja pocznę, jeśli tak mnie pan tu zostawi?

– Jeśli jesteś prawdziwą metaforą, powinieneś umieć łatwo uwolnić się z więzów. To znaczy jeśli jesteś myślą czy pojęciem, czymś w tym rodzaju, powinieneś się móc przemieszczać w przestrzeni, ile chcesz.

– Nie, nic podobnego. Nie mam takich wspaniałych umiejętności. Tylko bardziej wyrafinowane metafory można nazwać myślami czy pojęciami.

– Takie w szpiczastych pomarańczowych czapkach?

Długogęby się zasmucił.

– Proszę ze mnie nie szydzić. Mnie przecież też można zranić.

Wahałem się przez chwilę, ale potem postanowiłem rozwiązać mu ręce i nogi. Dość mocno związałem, więc rozwiązanie trochę potrwało. Sądząc z rozmowy, nie był złym człowiekiem. Nie wiedział, gdzie jest Marie, ale innych informacji chętnie mi udzielił. Nawet jeśli go rozwiążę, pewnie nie będzie mi przeszkadzał ani nie

będzie próbował mnie atakować. Poza tym nie mogłem go tu zostawić związanego. Gdyby ktoś go znalazł, sytuacja by się jeszcze bardziej skomplikowała. Długogęby siedział na podłodze i drobnymi rękami rozcierał ślady po pasku na nadgarstkach. Potem podniósł dłoń do czoła. Chyba rósł mu guz.

– Dziękuję bardzo. Teraz będę mógł wrócić do swojego świata.

– Możesz iść pierwszy – powiedziałem, wskazując dziurę w rogu pokoju. – Możesz wracać do swojego świata. Ja pójdę za tobą.

– W takim razie pozwolę sobie odejść. Tylko proszę dobrze zamknąć za sobą tę pokrywę. Bo inaczej ktoś może przez pomyłkę tam wpaść. Albo ktoś wejdzie z ciekawości. Ja jestem odpowiedzialny za dopilnowanie tego.

– Dobrze. Na pewno ją za sobą zamknę.

Podbiegł truchcikiem do dziury i włożył do niej nogi. Wystawała mu już tylko górna połowa ciała. Duże oczy groźnie zalśniły. Jak Długogębemu na obrazie *Śmierć Komandora*.

– Niech pan na siebie uważa – powiedział. – Mam nadzieję, że znajdzie pan tę panią Jakąstam. Czy miała na imię Komichi?

– Nie Komichi – powiedziałem. Przeszedł mnie zimny dreszcz. W gardle kompletnie mi zaschło. Przez chwilę nie mogłem wydobyć słowa. – Nie Komichi, a Marie Akikawa. Wiesz coś o Komichi?

– Nie, nic nie wiem – powiedział pośpiesznie Długogęby. – Tylko nagle to imię pojawiło się w mojej nieporadnej metaforycznej głowie. To zwykła pomyłka. Proszę wybaczyć.

Potem szybko zniknął w dziurze. Jak dym rozwiany wiatrem.

Przez chwilę stałem znieruchomiały z plastikową latarką w dłoni. Komichi? Skąd nagle pojawiło się imię mojej siostry? Czyżby miała jakiś związek z tą serią wydarzeń? Ale nie było czasu głęboko się nad tym zastanawiać. Wsunąłem nogi w dziurę i zapaliłem latarkę. W środku było zupełnie ciemno, droga wiodła chyba nieco w dół. Ten pokój był na drugim piętrze, więc pod nim powinno znajdować się pierwsze. Świeciłem latarką, lecz nie udało mi się dostrzec, dokąd prowadzi korytarz. Opuściłem się na dno i szczelnie zamknąłem za sobą pokrywę. Otoczyła mnie zupełna czerń.

Znalazłem się w tak głębokiej ciemności, że przestałem w pełni odczuwać działanie zmysłów. Zupełnie jakby zerwało się połączenie między ciałem a świadomością. To było bardzo dziwne uczucie. Miałem wrażenie, że przestałem być sobą. Mimo to musiałem iść dalej.

„Zabijcie mnie i znajdźcie Marie Akikawę”. Tak powiedział Komandor. On złożył ofiarę, ja zostanę poddany próbie. Musiałem iść dalej. Z latarką jako jedynym sojusznikiem wszedłem w ciemność korytarza metafor.



Rozdział 53

Mógł to być pogrzebacz

Otaczała mnie idealna gęsta ciemność, która zdawała się obdarzona własną wolą. Nie dostrzegałem w niej ani jednego promienia światła, żadnego jego źródła. Zupełnie jakbym szedł po dnie głębokiego morza, dokąd nie dociera żaden promyk. Tylko żółty snop światła latarki ledwo mnie łączył ze światem. Korytarz był cały czas łagodnie nachylony, jakby tunel wydrążony w skale, o twardej, solidnej i raczej płaskiej nawierzchni. Musiałem iść pochylony, żeby nie uderzyć głową w niski strop. Czułem na skórze chłód powietrza, ale żadnego zapachu. Wszystko było dziwnie bezwonne. Może nawet powietrze było tutaj inne niż na górze.

Oczywiście nie potrafiłem ocenić, na jak długo starczy baterii w latarce. Na razie świeciła stałym silnym światłem, ale gdyby nieoczekiwanie baterie się wyczerpały, znalazłbym się sam w kompletnej ciemności. A w niej, jeśli wierzyć Długogębemu, kryły się niebezpieczne podwójne metafory.

Z napięcia spocila mi się dłoń trzymająca latarkę. Serce waliło twardo i głucho. Ten dźwięk przywodził na myśl niepokojący odgłos dalekich bębnow w głębi dżungli. Długogęby radził: „Lepiej wziąć ze sobą jakieś światło. Bo jest tam wiele dość ciemnych miejsc”. To znaczy, że nie cały podziemny korytarz był pograżony w zupełnej ciemności. Pragnąłem, żeby wokół zrobiło się choć trochę jaśniej. I żeby strop stał się trochę wyższy. Przebywanie w ciasnych, ciemnych miejscach zawsze działało mi na nerwy. Kiedy za długo tam byłem, zaczynałem mieć trudności z oddychaniem.

Starłem się nie myśleć o ciemności i braku przestrzeni, więc musiałem myśleć o czymś innym. Wyobraziłem sobie grzankę z serem. Nie wiem, dlaczego akurat grzankę z serem. Ale w każdym razie nagle przyszła mi do głowy. Kwadratowa grzanka leżąca na białym gładkim talerzu. Ładnie upieczona, ser na wierzchu apetycznie się stopił. Za chwilę miałem ją wziąć do ręki. Obok stała parująca czarna kawa. Czarna jak środek nocy bez księżyca i gwiazd. Pełen tęsknoty

przypomniałem sobie takie śniadanie stojące na stole. Okno otwarte na zewnątrz, duża wierzba za oknem, żywe głosy ptaszków, które niepewnie przycupnęły na jej miękkich gałęziach jak akrobaci. I wszystko to oddaliło się ode mnie na niebotyczną odległość.

Potem pomyślałem o operze *Kawaler z różą*. Chciałem słuchać tej muzyki, pogryzając grzanek z serem i pijąc kawę. Płyta brytyjskiej firmy Decca Records. Nakładam ciężką winylową płytę na talerz gramofonu, powoli opuszczam igłę. Filharmonia Wiedeńska pod dyktando Geорга Soltiego. Elegancko płynące i precyzyjne dźwięki. Richard Strauss, będąc u szczytu sławy, przechwalał się: „Potrafię muzyką wyrazić nawet miotłę”. A może to nie była miotła? Może i nie. Mógł to być parasol, a także mógł to być pogrzebacznik. To nie miało znaczenia. Ale jak właściwie można muzycznie odmalować miotłę? Czy on naprawdę potrafił dokładnie opisać muzyką gorącą grzanek z serem, zrogowaciałe podeszwy, różnicę między przenośnią a porównaniem?

Przed wojną Richard Strauss dyrygował Filharmonią Wiedeńską (nie wiem, czy przed, czy po Anschlussie). Tego dnia w programie była symfonia Beethovena. Spokojna, elegancka, zdecydowana Siódma Symfonia. Urodziła się jakby wciśnięta pomiędzy wesołą, wyzwoloną starszą siostrę (Szóstą Symfonię) a piękną, nieśmiałą młodszą (Ósmą Symfonię). Młody Tomohiko Amada był na widowni. Obok siedziała piękna dziewczyna. Prawdopodobnie był zakochany.

Wyobraziłem sobie, jak wyglądał Wiedeń. Walce wiedeńskie, słodki tort Sachera, czarno-czerwone flagi ze swastykami powiewające na dachach budynków.

W ciemności myśli biegały swobodnie w pozbawionych znaczenia kierunkach. A może należałoby powiedzieć: „w kierunkach pozbawionych ukierunkowania”. Nie potrafiłem zapanować nad ich biegiem, wymknęły mi się już z rąk.

W kompletnej ciemności niełatwo jest uchwycić własne myśli. Stają się zagadkowymi drzewami, a ich gałęzie rosną dowolnie w ciemności (to metafora). Ale tak czy inaczej, żeby wziąć się w garść, musiałem o czymś myśleć. Wszystko jedno o czym. Bo inaczej w wyniku takiego napięcia mogłem dostać ataku hiperwentylacji.

Snując takie niesprecyzowane rozmyślenia na różne tematy, szedłem prosto w dół lekko nachylonym korytarzem. Nie zakręcał ani się nie rozwidlał. Był zupełnie prosty. Szedłem długo, lecz nie zmieniała się ani wysokość stropu, ani stopień ciemności, ani jakość powietrza, ani nachylenie korytarza. Wcześniej już właściwie straciłem poczucie czasu, ale szedłem już tak długo, że musiałem się znaleźć głęboko pod ziemią. Jednak ta głębia przecież też była jedynie iluzją. Bo

nie dało się zejść z drugiego piętra budynku prosto pod ziemię. Ciemność też musiała być iluzją. Wszystko tutaj to jedynie pojęcia czy porównania. Próbowałem tak myśleć, lecz mimo to spowijająca mnie ciasno ciemność była prawdziwą ciemnością, a napierająca na mnie głębia była prawdziwą głębią.

Kiedy szyja i krzyż zaczęły mnie poboлеwać, bo szedłem ciągle pochylony, dostrzegłem w końcu przed sobą wątle światło. Pojawiło się kilka łagodnych zakrętów, za każdym wokoło robiło się jaśniej. I powoli mogłem dostrzec, co mnie otacza. Zupełnie jakby niebo jaśniało o świcie. Chcąc oszczędzać baterie, wyłączyłem latarkę.

Zrobiło się nieco widniej, ale nadal nie czułem żadnych zapachów ani nie słyszałem żadnych dźwięków. Wkrótce skończył się ciemny wąski korytarz i znalazłem się w przestrzeni, która nagle się przede mną otworzyła. Podniosłem głowę, lecz nie zobaczyłem nieba. Wyglądało to tak, jakby bardzo daleko znajdował się mlecznobiały sufit, ale to było przedziwne światło, zdawało się, że świat oświetla mnóstwo robaczek świętojańskich. W końcu odetchnąłem z ulgą, bo wreszcie nie było zupełnie ciemno i nie musiałem się pochylać.

Przy wyjściu z korytarza zmieniła się powierzchnia, zwykły grunt stał się chropowatą skałą. Nie dostrzegłem żadnej drogi, wszędzie jak okiem sięgnąć ciągnęło się skaliste pustkowie. Nie schodziłem już w dół, droga zaczęła się łagodnie wznosić. Szedłem przed siebie, starając się patrzeć pod nogi, nie wiedziałem, dokąd się kieruję. Spojrzałem na zegarek, ale od razu zrozumiałem, że jego wskazówki nie mają już żadnego znaczenia. Tak samo jak inne rzeczy, które miałem przy sobie, też nie miały tu żadnego praktycznego znaczenia. Klucze z breloczkiem, portfel i prawo jazdy, kilka monet, chustka do nosa – niczego więcej przy sobie nie miałem. Żadna z tych rzeczy nie mogła mi teraz pomóc.

Im dalej szedłem, tym bardziej strome stawało się podejście, wkrótce, pomagając sobie obiema rękami, wspinałem się prawie na czworakach. Jeżeli wejść na szczyt, być może uda mi się zobaczyć stamtąd okolicę. Dlatego, choć dyszałem, szedłem nieprzerwanie w górę. Nadal do moich uszu nie docierały żadne dźwięki, słyszałem tylko odgłos własnych kroków. Ale nawet on wydawał się sztuczny, nie brzmiał jak prawdziwy odgłos. Jak okiem sięgnąć nie było żadnego drzewa, żadnej trawy, żadnego ptaszka. Nie wiał nawet wiatr. Poruszałem się jedynie ja. Wszystko stanęło w miejscu i pogrzyżyło się w milczeniu, jakby czas się zatrzymał.

W końcu dotarłem na szczyt wzgórza i tak jak się spodziewałem, mogłem stąd rozejrzeć się dookoła. Miałem nadzieję coś w oddali zobaczyć, ale wszystko

pokrywał rodzaj białej mgiełki i niewiele było widać. Dowiedziałem się tylko, że jak okiem sięgnąć jest to jałowy teren bez śladu życia. We wszystkich kierunkach ciągnęło się nierówne skaliste pustkowie. I nadal nie było widać nieba. Mlecznobiałe sklepienie (albo coś wyglądającego na sklepienie) pokrywało ciasno całą ziemię. Czułem się jak pilot uszkodzonego statku kosmicznego, który musiał wylądować na nieznanym bezludnej planecie. Powinienem być wdzięczny i za tę odrobinę światła, i za to, że powietrze nadaje się do oddychania.

Wyteżyłem słuch i miałem wrażenie, że dochodzi do mnie jakiś wątyły dźwięk. Najpierw myślałem, że to złudzenie albo że dzwoni mi w ucho, ale niedługo zrozumiałem, że to prawdziwy ciągły dźwięk wywołany jakimś zjawiskiem naturalnym. Przypominał szum płynącej wody. Może to rzeka, o której mówił Długogęby. Zacząłem więc schodzić w półmroku po nierównym zboczu w kierunku tego szumu.

Kiedy tak wsłuchiwałem się w dźwięk płynącej wody, uświadomiłem sobie, że mam straszne pragnienie. Szedłem przecież już od dłuższego czasu i nic nie piłem. Pewnie z powodu napięcia myśl o wodzie wcześniej w ogóle mi w głowie nie powstała, ale kiedy słuchałem odgłosu płynącej rzeki, nagle strasznie zachciało mi się pić. Czy jednak ta woda – jeżeli to odgłos prawdziwej rzeki – będzie się nadawała do picia? Może okaże się mętna i błotnista, może będzie zawierała jakieś niebezpieczne substancje albo zarazki. Albo może to będzie tylko metaforyczna woda i nie da się jej zaczerpnąć ręką.

Im dalej się posuwałem, tym wyraźniejszy i głośniejszy stawał się szum. Brzmiał jak szum wody wartko płynącej po skalistym podłożu. Ale jeszcze jej nie widziałem. Gdy tak szedłem w tamtym kierunku, teren stopniowo zaczął się po obu stronach wznosić i teraz tworzył skalisty wąwóz. Ściany miały ponad dziesięć metrów wysokości. Między nimi powstał jakby wąski korytarz. Wił się jak wąż, wyglądał na naturalnie wyrzeźbiony. Chyba rzeka była gdzieś przede mną.

Szedłem uparcie drogą wyżłobioną między skałami. Nigdzie nie rosło ani jedno drzewo, ani jedna kępa trawy. Nigdzie nie było nic żywego. Wokół widziałem jedynie milczące skały. Był to monochromatyczny, pozbawiony uroku świat. Jak pejzaż, który znudził malarza, więc zrezygnował z wypełnienia go kolorami. Moje kroki były nieomal bezgłośnie. Jakby otaczające mnie skały pochłaniały wszelkie dźwięki.

Droga była raczej płaska, lecz niedługo zaczęła się łagodnie wznosić. Powoli wchodziłem na skały, grań stawała się coraz bardziej poszarpana. Kiedy wyjrzałem na drugą stronę, zobaczyłem wreszcie rzekę. Szum słyszałem teraz znacznie

wyraźniej.

Nie była duża. Miała jakieś pięć albo sześć metrów szerokości, to wszystko, ale nurt bardzo wartki. Nie wiedziałem, jaką ma głębokość. Sądząc po tym, że na powierzchni tworzyły się nieregularne małe fale, koryto musiało być nierówne. Płynęła prosto, zapewne po skalistym dnie. Przeszedłem przez grań i ruszyłem stromym zboczem w dół ku wodzie.

Widząc rzekę płynącą wartko z prawej strony w lewą, nieco się uspokoilem. Przynajmniej przemieszczała się tu naprawdę wielka ilość wody. Płynęła skądś dokądś, dostosowując się do kształtu koryta. W świecie, w którym nic się nie poruszało, w którym nawet wiatr nie wiał, woda płynęła. I jej szum jak trzeba niósł się po okolicy. Tak, to nie był świat całkowicie pozbawiony ruchu. Na tę myśl trochę mi ulżyło.

Doszedłem do brzegu, pochyliłem się i zaczerpnąłem wody w dłoń. Była przyjemnie chłodna. Zupełnie jakby rzeka niosła wodę z topniejącego śniegu. Była krystaliczna, zdawała się czysta. Oczywiście to, że tak wyglądała, nie było żadną gwarancją bezpieczeństwa. Mogła się w niej znajdować jakaś śmiertelna substancja. Mogła zawierać jakieś bakterie szkodliwe dla człowieka.

Powąchałem wodę w dłoni. Nie miała zapachu (o ile nie straciłem węchu). Wziąłem trochę do ust. Nie miała też smaku (o ile nie straciłem smaku). Bez namysłu przełknąłem wodę. Nie obchodziło mnie, jaki będzie skutek. Pragnienie było zbyt silne. Kiedy ją piłem, nie czułem żadnego smaku ani zapachu. Ale mniejsza o to, czy była prawdziwą wodą, czy jedynie iluzją, na szczęście gasiła pragnienie.

Nabierałem wody raz po raz i szczęśliwy piłem, ile się dało. Miałem większe pragnienie, niż mi się wydawało. Ale gaszenie pragnienia wodą pozbawioną smaku i zapachu to bardzo dziwne uczucie. Kiedy jesteśmy spragnieni i dużymi haustami pijemy zimną wodę, czujemy, że jest „pyszna”. Całe ciało chciwie wchłania jej smak. Wszystkie komórki się cieszą, wszystkie mięśnie nabierają wigoru. Lecz woda z tej rzeki była kompletnie pozbawiona takich właściwości. Po prostu gasiła pragnienie.

W każdym razie wypilem, ile mogłem, potem wyprostowałem się i znów rozejrzałem się po okolicy. Zgodnie z tym, co powiedział Długogęby, gdzieś tu powinna być przeprawa. Jeśli ją znajdę, łódka przewiezie mnie na drugą stronę. A kiedy dostanę się na tamten brzeg, (prawdopodobnie) uda mi się zdobyć informacje o miejscu pobytu Marie. Spojrzałem w górę i w dół rzeki, lecz nie dostrzegłem niczego wyglądającego na miejsce przeprawy. Musiałem je jakoś odnaleźć.

Samodzielne próby przepływania się byłyby zbyt niebezpieczne. Długogęby powiedział: „Jest głęboka, zimna, nurt wartki. Bez łódki nie da się przez nią przepłynąć”. Ale w którą stronę iść, żeby znaleźć łódkę? W górę czy w dół? Musiałem wybrać jedno lub drugie.

Wtedy nagle przypomniałem sobie, że na wizytówce Menshikiego było imię „Wataru”. „Wataru”, czyli „przekraczający rzekę” – powiedział, kiedy go poznałem. „Nie wiem, dlaczego nadano mi takie imię”. I powiedział też coś takiego: „A, jeszcze jestem leworęczny. Kiedy ktoś mi każe wybrać lewą rękę albo prawą rękę, zawsze wybieram lewą”. To było nieoczekiwane, wyrwane z kontekstu oświadczenie. Nie bardzo wtedy rozumiałem, dlaczego powiedział coś takiego. I pewnie właśnie dlatego dokładnie to zapamiętałem.

Może to oświadczenie nie miało większego znaczenia. Przypadkiem o tym wspomniał. Ale to miejsce (zgodnie z tym, co mówił Długogęby) opierało się na relacjach między zjawiskami a słowami, które je wyrażają. Powinienem poważnie traktować wszystkie dane mi sugestie, wszystkie przypadkowe skojarzenia. Postanowiłem iść w lewo wzdłuż rzeki. Zgodnie z nieświadomą wskazówką pozbawionego kolorów pana Menshikiego pójdę w dół wzdłuż rzeki, której woda nie ma smaku ani zapachu. Może coś mi w ten sposób sugerował. Albo nic nie sugerował.

Idąc z biegiem rzeki, zastanawiałem się, czy coś w niej żyje. Pewnie nic. Oczywiście nie byłem pewien, ale nie czułem tu obecności niczego żywego. Jakie stworzenie mogłoby żyć w wodzie pozbawionej smaku i zapachu? Poza tym zdawało się, że ta rzeka za bardzo skupia się na byciu rzeką, czyli „czymś, co ciągle płynie”. Rzeczywiście miała formę rzeki, ale jedynie na rzekę wyglądała. Woda nie niosła na swojej powierzchni ani jednej gałązki, ani jednego źdźbła trawy, przesuwała się tylko wielką masą w skalnym korycie.

Wszystko dookoła, jak przedtem, spowijała mgiełka. Miękka mgła. Szedłem przez tę przypominającą watę mgłę, jakbym rozcinał białe firanki. Niedługo zacząłem czuć w żołądku wypitą przed chwilą wodę. Nie było to nieprzyjemne obce wrażenie, ale nie było też przyjemne i radosne. Zdawało się neutralne, trudne do uchwycenia w swojej istocie. Doznawałem też przedziwnego uczucia, że przez obecność tej wody w moim ciele zmieniły się jego składniki. Czy przypadkiem z powodu jej wypicia dopasowało się jakoś do tego miejsca?

Ale z jakiegoś powodu ta sytuacja nie wydawała mi się kryzysowa. Ogólnie myślałem optymistycznie, że nie zdarzy się nic wielkiego. Chociaż nie było żadnych konkretnych podstaw do optymizmu. Jednak do tej pory wszystko się

jakoś gładko układało. Udało mi się wydostać z tego ciemnego, ciasnego korytarza. Bez mapy i kompasu przeszedłem przez skaliste pustkowie i udało mi się znaleźć tę rzekę. Wodą ugasilem pragnienie. Nie spotkałem kryjących się w ciemności niebezpiecznych podwójnych metafor. Może po prostu miałem szczęście. A może od początku było zdecydowane, że wszystko się tak potoczy. Tak czy inaczej, jak tak dalej pójdzie, wszystko inne też się pewnie dobrze ułoży. Tak myślałem. A przynajmniej starałem się tak myśleć.

Wkrótce coś zamajaczyło przede mną we mgle. To nie był naturalny element krajobrazu. Coś sztucznego, składającego się z prostych linii. Kiedy się zbliżyłem, zrozumiałem, że to coś w rodzaju przystani. Od brzegu odchodził niewielki drewniany pomost. Jednak miałem rację, że poszedłem w lewo. A może w tym świecie relacji wszystko przybierało kształt w zależności od tego, jak postępowałem. Wyglądało na to, że to nieświadoma wskazówka Menshikiego bezpiecznie mnie tu przywiodła.

Przez mgłę zauważyłem, że przy pomoście stoi mężczyzna. Był wysoki. Przy drobnym Komandorze i niedużym Długogębym wydawał mi się olbrzymem. Stał oparty o jakieś ciemne (jakby) urządzenie na końcu pomostu. Stał nieporuszony, zdawał się głęboko zatopiony w myślach. Wartko płynąca woda obmywała pomost. Był pierwszym człowiekiem, którego tu spotykałem. Albo czymś, co miało kształt człowieka. Zbliżyłem się do niego ostrożnie i powoli.

– Dzień dobry – powiedziałem bez namysłu, zanim go jeszcze wyraźnie zobaczyłem.

Nie było odpowiedzi. Mężczyzna dalej stał, nieco tylko zmienił pozycję. Ciemna sylwetka lekko zadrżała we mgle. Może mnie nie dosłyszał? Może szum wody zagłuszył moje słowa? Albo może głos nie niósł się w tym powietrzu?

– Dzień dobry – powiedziałem jeszcze raz, podchodząc bliżej. Tym razem głośniejsze.

Ale on milczał. Słyszać było jedynie nieprzerwany szum wody. Może mnie nie zrozumiał.

– Słyszę. I rozumiem – powiedział, jakby czytał w moich myślach. Niski, dźwięczny głos, jak przystało na wysokiego mężczyznę. Lecz jego ton nie miał w sobie żadnej barwy ani uczuć. Tak samo jak woda w rzece nie miała zapachu ani smaku.



Rozdział 54

Na zawsze to bardzo długo

Stojący przed mną wysoki mężczyzna nie miał twarzy. Oczywiście to nie znaczy, że nie miał głowy. Miał na szyi normalną głowę. Ale nie było w niej twarzy. Tam gdzie powinna się znajdować, była jedynie pustka. Wypełniał ją mlecznobiały dym. Jego głos wydobywał się z tego dymu. Tak samo jak szum wiatru wydobywa się z głębi jaskini.

Miał na sobie długi ciemny płaszcz przeciwdeszczowy, który sięgał mu prawie do kostek. Spod niego widać było kalosze. Płaszcz był zapięty na wszystkie guziki, pod samą szyję. Ten strój sugerował, że przygotowywał się na nadchodzącą burzę.

Stałem w milczeniu znieruchomiąły. Nie mogłem wydobyć słowa. Widziany z pewnej odległości wyglądał jak mężczyzna z białego subaru forestera, ale także jak Tomohiko Amada, kiedy przyszedł nocą do pracowni. Przypominał też młodego mężczyznę z obrazu Amady, który przebijał długim mieczem Komandora. Wszyscy trzej byli wysocy. Ale z bliska zobaczyłem, że nie jest żadnym z nich. Był jedynie Mężczyzną Bez Twarzy. Czarny kapelusz z szerokim rondem miał nisko nasunięty na głowę. To rondo w połowie kryło mlecznobiałą pustkę.

– Słyszę. I rozumiem – powtórzył. Oczywiście nie poruszył wargami, bo nie miał warg.

– Czy tu można się przeprawić przez rzekę? – zapytałem.

– Tak – odparł Mężczyzna Bez Twarzy. – Tu można się przeprawić. Tylko tutaj można.

– Muszę się dostać na drugi brzeg.

– Każdy musi.

– Czy przychodzi tu dużo ludzi?

Mężczyzna Bez Twarzy nie odpowiedział. Moje pytanie zostało wessane

w pustkę. Trwało niekończące się milczenie.

– A co jest na tamtym brzegu? – zapytałem. Ponieważ nad rzeką unosiła się biała mgła, nie było go widać.

Mężczyzna Bez Twarzy uważnie mi się przyglądał zza tej pustki. Potem powiedział:

– To, co jest na drugim brzegu, zależy od tego, czego kto szuka.

– Ja szukam dziewczynki, która się nazywa Marie Akikawa.

– Ją chcesz znaleźć na tamtym brzegu?

– Ją chcę znaleźć na tamtym brzegu. Po to tu przyszedłem.

– A jak ci się udało znaleźć wejście?

– Zabiłem nożem ideę, która przybrała kształt Komandora. To było w pokoju domu opieki na wyżynie Izu. Zabiłem go za jego zgodą. Dzięki temu zwabiliśmy Długogębego i to on otworzył wejście do podziemnego korytarza.

Mężczyzna Bez Twarzy milczał przez pewien czas, tylko pustka w miejscu twarzy skierowana była ku mnie. Nie potrafiłem ocenić, czy dotarło do niego, co powiedziałem.

– Czy krwawił?

– Bardzo – odpowiedziałem.

– A czy to była prawdziwa krew?

– Wyglądała na prawdziwą.

– Spójrz na swoje ręce.

Spojrzałem na swoje ręce. Nie było już na nich śladów krwi. Może kiedy czerpałem wodę z rzeki, zmyła się, chociaż dłonie były nią bardzo ubrudzone.

– Mniejsza o to. Przewiozę cię łódką na drugi brzeg – powiedział Mężczyzna Bez Twarzy. – Ale pod jednym warunkiem.

Czekałem, co powie.

– Musisz mi zapłacić, ile się należy. Taka jest zasada.

– To znaczy, że jeśli nie zapłacę, nie dostanę się na drugi brzeg?

– Nie. Będziesz musiał na zawsze zostać po tej stronie. Woda w tej rzece jest zimna, ma wartki nurt i jest głęboka. A na zawsze to bardzo długo. To nie tylko figura stylistyczna.

– Ale nie mam przy sobie nic, czym mógłbym zapłacić.

– Wyjmij wszystko z kieszeni – powiedział spokojnie.

Wyciągnąłem wszystko z kieszeni kurtki i spodni. W portfelu miałem niecałe dwadzieścia tysięcy jenów, kartę kredytową, kartę debetową, prawo jazdy i kupony zniżkowe ze stacji benzynowej. Kółko z trzema kluczami. Jasnokremową chustkę do nosa i jednorazowy długopis. I pięć albo sześć monet. To wszystko. No i oczywiście latarkę.

Mężczyzna Bez Twarzy pokręcił głową.

– Przykro mi, ale żadna z tych rzeczy nie nadaje się na zapłatę za przeprawę. Tutaj pieniądze nie mają żadnego znaczenia. Nie masz nic innego?

Nie miałem nic innego. Tylko tani zegarek na lewej ręce, ale czas nie miał tu żadnej wartości.

– Gdybym miał papier, mógłbym narysować pana portret. Prócz tych rzeczy mam tylko umiejętność rysowania.

Mężczyzna Bez Twarzy się roześmiał. Myślę, że to był śmiech. Z głębi pustki dobiegło jakby wątle wesołe echo.

– Przecież ja nie mam twarzy. Jak można narysować portret kogoś niemającego twarzy? Jak można narysować nicość?

– Jestem zawodowym malarzem – powiedziałem. – Mogę nawet namalować portret kogoś, kto nie ma twarzy.

Wcale nie byłem pewien, czy dałbym radę narysować Mężczyznę Bez Twarzy, ale uważałem, że warto spróbować.

– Jestem bardzo ciekaw, jaki to byłby rysunek – powiedział Mężczyzna Bez Twarzy. – Ale niestety tu nie ma papieru.

Spojrzałem na ziemię. Myślałem, że może uda mi się narysować coś patykami na ziemi, ale pod nogami miałem litą skałę. Potrząsnąłem głową.

– Czy naprawdę nie masz przy sobie nic innego?

Jeszcze raz uważnie sprawdziłem każdą kieszeń. W kurtce nie było nic innego, ale w głębi kieszeni spodni znalazłem coś bardzo małego. Była to plastikowa figurka pingwina. Ta, którą Menshiki znalazł na dnie dołu, a potem mi dał. Pingwin wisiał na cienkim pasku. Marie nosiła go jako amulet przy komórce. Z jakiegoś powodu znalazł się w dole.

– Pokaż mi, co masz w ręce – powiedział Mężczyzna Bez Twarzy.

Otworzyłem dłoń i pokazałem mu pingwina.

Mężczyzna Bez Twarzy przyglądał mu się uważnie oczyma z pustki.

– Może być – powiedziała. – To będzie twoja zapłata.

Nie potrafiłem ocenić, czy wolno mi dać mu pingwina. To w końcu amulet Marie. Nie należał do mnie. Czy mogłem go tak po prostu komuś dać? Czy nie spotka ją przez to coś złego?

Ale nie miałem wyboru. Jeżeli nie dam go Mężczyźnie Bez Twarzy, nie będę mógł się dostać na drugą stronę rzeki. A jeśli się tam nie dostanę, nie będę mógł się dowiedzieć, gdzie jest Marie. I *śmierć Komandora* okaże się daremna.

– Dobrze. Dam to panu jako zapłatę za przeprawę – zdecydowałem. – Proszę mnie przewieźć na drugą stronę.

Mężczyzna Bez Twarzy skinął głową.

– Być może kiedyś namalujesz mój portret. Jeśli ci się to uda, wtedy oddam ci pingwina.

Ruszył pierwszy i wszedł do małej łódki przywiązanej przy końcu drewnianego pomostu. Przypominała kształtem prostokątną płaską bombonierkę. Zrobiona z grubego solidnie wyglądającego drewna, była wąska i długa, miała nie więcej niż dwa metry długości. Pewnie nigdy nie przewoziła większej liczby ludzi naraz. Na dnie pośrodku umocowano gruby słup, na jego czubku znajdowało się dziesięciocentymetrowe żelazne kółko. Przewleczono przez nie grubą linę. Lina biegła z tego brzegu na tamten i była mocno naprężona, prawie nigdzie nie z w i s a ł a . Wyglądało na to, że łódka przesuwa się z tego brzegu na tamten po tej linie, żeby nie uniósł jej wartki prąd rzeki. Musiała chyba być od dawna w użyciu. Nie miała śruby, na rufie nie było wiosła. Po prostu drewniane pudło unoszące się na wodzie.

Wszedłem do łódki. W poprzek umieszczono deskę, więc na niej usiadłem. Mężczyzna Bez Twarzy stanął oparty o słup na środku i w milczeniu chyba na coś czekał. Ja też się nie odzywałem. Tak minęło kilka minut, a potem łódka, jakby się zdecydowała, ruszyła powoli naprzód. Nie potrafiłem ocenić, co daje jej napęd, ale w każdym razie nieśpiesznie i bezgłośnie posuwaliśmy się ku drugiemu brzegowi. Nie było słycać niczego w rodzaju warkotu silnika ani żadnych innych mechanicznych odgłosów. Słyszałem jedynie szum wody nieustannie uderzającej o burtę. Łódka posuwała się mniej więcej w tempie marszu. Woda napierała na nią, przechylała ją i kołysała, ale solidna lina nie pozwalała ponieść łódki w dół rzeki. Rzeczywiście, tak jak mówił ten mężczyzna, nie dałoby się przepawić bez łódki. Stał spokojnie, jak gdyby nigdy nic, oparty o słup, choć silnie kołysało.

– Czy na tamtym brzegu dowiem się, gdzie jest Marie Akikawa? – zapytałem mniej więcej na środku rzeki.

– Moją rolą jest przewiezienie cię na drugą stronę – powiedział Mężczyzna Bez Twarzy. – Moja praca to umożliwienie ci prześlizgnięcia się przez szczelinę dzielącą niebyt od bytu. To, co będzie dalej, nie wchodzi w zakres moich obowiązków.

Wkrótce rozległo się lekkie stuknięcie, gdy łódka uderzyła o przystań po drugiej stronie i zatrzymała się. Mężczyzna Bez Twarzy nadal jednak stał nieporuszony. Oparty o słup, zdawał się w czymś upewniać. Potem wypuścił z pustki oddech i wysiadł z łódki na przystań. Ja zrobiłem to samo. I pomost, i to jakieś urządzenie przypominające wciągarkę wyglądały dokładnie tak samo jak na tamtym brzegu. Wydawało mi się wręcz, że popłynęliśmy tam i z powrotem, wracając do tego samego miejsca. Ale kiedy oddaliłem się od pomostu i dotknąłem stopami gruntu, od razu zrozumiałem, że tak nie jest. Byłem na drugim brzegu. Stałem nie na nierównej skale, a na zwykłej ziemi.

– Dalej musisz iść sam – oznajmił Mężczyzna Bez Twarzy.

– Mimo że nie wiem, w którą stronę i którędy iść?

– Takie rzeczy nie są ci potrzebne – powiedział niskim głosem wydobywającym się z mleczej próżni. – Przecież już piłeś wodę z rzeki. Ty będziesz działał, a wtedy powstaną dopasowane do tego odpowiednie relacje. To takie miejsce.

Kiedy skończył mówić, poprawił kapelusz o szerokim rondzie, odwrócił się do mnie plecami i wrócił do łódki. Wsiadł, a ona powoli ruszyła ku drugiemu brzegowi. Zupełnie jak dobrze wytresowane stworzenie. Złała się w jedno z Mężczyzną Bez Twarzy i zniknęli we mgle.

Postanowiłem iść dalej w dół rzeki. Uznałem, że lepiej się od niej nie oddalać. Jeśli poczuję pragnienie, będę mógł się napić. Kiedy odszedłem kawałek i obejrzałem się za siebie, przystań zniknęła już we mgle. Jakby nigdy jej tam nie było.

Idąc wzdłuż rzeki, zorientowałem się, że stopniowo robi się coraz szersza, a woda wyraźnie płynie coraz wolniej. Zniknęły spienione fale, prawie nie było już słychać szumu. Zamiast budować przepławę w miejscu o takim gwałtownym nurcie, mogli przecież zrobić ją tutaj, pomyślałem. Przepława przez rzekę byłaby tu o wiele łatwiejsza, choć trzeba by dłużej do niej iść. Ale pewnie ten świat rządził się swoimi prawami i miał swój sposób myślenia. A może właśnie w miejscu o takim łagodnym nurcie kryło się mnóstwo niebezpieczeństw?

Wsadziłem na próbę rękę do kieszeni spodni. Nie było tam już pingwina. Niepokoił mnie fakt, że straciłem amulet (i to pewnie straciłem na zawsze). Może dokonałem złego wyboru? Ale czy miałem wybór? Musiałem go dać temu mężczyźnie. Mogłem tylko mieć nadzieję, że Marie, nawet bez tego amuletu, jest bezpieczna.

Szedłem wzdłuż rzeki, patrząc uważnie pod nogi. Niosłem latarkę pożyczoną z pokoju Tomohika Amady, ale nie włączałem jej. Było niezbyt jasno, lecz nie potrzebowałem latarki. Widziałem ziemię pod nogami i to, co było jakieś pięć czy sześć metrów przede mną. Po lewej stronie powoli płynęła rzeka. Drugi brzeg majaczył niewyraźnie i ukazywał się tylko od czasu do czasu.

Szedłem tak, gdy stopniowo wyłoniło się przede mną coś przypominającego drogę. Nie porządną drogę, ale coś, co wyraźnie pełniło jej funkcję. Niejasno czułem, że wcześniej chodzili tędy inni ludzie. Chyba trochę oddalała się od rzeki. W pewnej chwili zawahałem się i stanąłem. Czy powinienem ciągle iść w dół rzeki? Czy też oddalić się od niej i iść tą n i b y - d r o g ą dalej?

Po krótkim namyśle postanowiłem oddalić się jednak od rzeki i iść dalej drogą, bo zdawało mi się, że mnie dokądś doprowadzi. Przewoźnik bez twarzy powiedział: „Ty będziesz działał, a wtedy powstaną dopasowane do tego odpowiednie relacje”. Może ta droga też jest efektem relacji. Postanowiłem iść za tą naturalną (jakby) sugestią.

Gdy oddalałem się od rzeki, droga zaczęła stopniowo prowadzić w górę. Nie wiadomo kiedy umilkł szum wody. Szedłem miarowym krokiem zboczem wznoszącym się nieomal prosto, lecz łagodnie pod górę. Mgła już zniknęła, ale światło było wciąż blade, przymgłone i monotonne. Nadal nie widziałem, dokąd wiedzie droga. Idąc w tym słabym świetle, starałem się patrzeć pod nogi i miarowo oddychać.

Jak długo szedłem? Bardzo dawno już straciłem poczucie czasu. Straciłem też poczucie kierunku. Częściowo dlatego, że idąc, ciągle rozmyślałem. Było wiele rzeczy, nad którymi musiałem się zastanowić. Ale w rzeczywistości moje myśli były bardzo urywane. Kiedy zaczynałem rozważać jakiś temat, zaraz przychodził mi do głowy inny. Ten nowy w całości połykał stary, jak duża ryba połyka małą. W ten sposób moje myśli zbaczały z właściwego toru. Na koniec sam już nie wiedziałem, o czym myślę i o czym próbuję myśleć.

Ponieważ moja świadomość była tak rozproszona, kompletnie przestałem uważać i wkrótce nieomal zderzyłem się czołowo z c z y m ś niezidentyfikowanym. Potknąłem się i prawie upadłem, a kiedy się wyprostowałem i podniosłem głowę,

poczułem na skórze, że powietrze wokół błyskawicznie się zmienia. Nagle oprzytomniałem i zauważyłem, że tuż przed sobą mam jakby wielką masę, która na mnie napiera. Zaparło mi dech i zaniemówiłem. Przez chwilę nie wiedziałem, co się dzieje. Co to jest? Minęło trochę czasu, zanim zrozumiałem, że to las. W miejscu bez jednego źdźbła trawy, bez jednego listka nagle pojawił się przede mną las. Nie mogłem się temu nadziwić.

Niewątpliwie był to las. Gałęzie drzew tworzyły ze sobą skomplikowane sploty, drzewa rosły ciasno jedno przy drugim, las był bardzo gęsty. A raczej to nie był las, a „morze drzew”. Stałem przed nim i przez chwilę wyteżałem słuch, ale niczego nie usłyszałem. Ani szumu gałęzi poruszanych wiatrem, ani śpiewu ptaków. Do moich uszu nie docierał żaden dźwięk. Panowała całkowita cisza.

Czułem instynktowny strach przed wejściem do tego lasu. Drzewa rosły zbyt gęsto, w głębi musiało być bardzo ciemno. Nie wiedziałem, jak jest duży i dokąd prowadzi ta droga. Może zacznie się rozwidlać i stworzy labirynt? Jeśli się w nim zagubię, będzie mi bardzo trudno się wydostać. Ale nie miałem wyboru. Musiałem wejść do lasu. Droga, którą przyszedłem, znikwała w nim (zupełnie jak tory kolejowe znikają w tunelu), a poza tym, skoro już tu dotarłem, nie mogłem teraz zawrócić ku rzece. Do tego nie miałem pewności, czy jeśli zawrócę, rzeka ciągle tam będzie. Przyszedłem tutaj, bo zdecydowałem, że pójdę tą drogą. Teraz musiałem iść dalej – niech się dzieje, co chce.

Zdecydowałem się i wszedłem do lasu. Nie potrafiłem ocenić, czy jest świt, czy południe, czy może wieczór. Wiedziałem tylko, że półmrok zmierzchu jest ciągle taki sam mimo upływu czasu. A może w tym świecie nie istniał czas? I ten półmrok nigdy się nie rozjaśniał ani nie ciemniał, po prostu trwał wiecznie?

W lesie rzeczywiście było ciemno. Nad głową miałem wiele warstw splątanych gałęzi. Lecz nie zapaliłem latarki. Oczy stopniowo przywykły do ciemności, widziałem ścieżkę, więc nie chciałem niepotrzebnie zużywać baterii. Starając się w miarę możliwości o niczym nie myśleć, szedłem bardzo uważnie przed siebie. Miałem wrażenie, że jeśli zacznę się nad czymś zbyt głęboko zastanawiać, to myśli mogą mnie zaprowadzić w jakieś jeszcze ciemniejsze miejsce. Ścieżka niezmiennie wiodła łagodnie w górę. Idąc, słyszałem jedynie odgłos własnych kroków, ale był to cichy, ukradkowy odgłos, jakby ktoś go nieco przytłumił. Miałem nadzieję, że nie zachce mi się znowu pić. Już bardzo oddaliłem się od rzeki. Nie mógłbym tam wrócić, nawet gdybym miał pragnienie.

Jak długo tak szedłem? Las był bardzo głęboki, szedłem i szedłem, a widok się nie zmieniał. Nie zmieniało się też światło. Panowała cisza, słychać było tylko

odgłos moich kroków. Powietrze nadal nie miało smaku ani zapachu. Drzewa zachodziły na siebie i tworzyły po obu stronach ścieżki jakby ściany, nic nie było widać. Czy nie mieszkały tu żadne stworzenia? Pewnie nie. Nigdzie nie było słyhać ani ptaków, ani owadów.

Ale mimo to przez cały czas miałem nieodparte wrażenie, że coś mnie obserwuje. Czułem, że w tej ciemności spoza drzew przygląda mi się i obserwuje mnie kilka par oczu. Czułem na skórze pieczenie od ich ostrego wzroku, jakby ktoś przez soczewkę zogniskował na niej promienie. Oczy patrzyły, co ja tutaj robię. To był ich teren, a ja byłem intruzem. Ale w rzeczywistości ich nie widziałem. To mogło być jedynie złudzenie. Mój strach i moja podejrzliwość mogły stworzyć w ciemności wyimaginowane oczy.

Jednak Marie twierdziła, że wyraźnie czuje na sobie wzrok Menshikiego patrzącego na nią przez lornetkę z drugiej strony doliny. Czuła, że ktoś ją codziennie obserwuje. I miała rację. Ten wzrok nie był wcale wytworem jej wyobraźni.

Mimo to postanowiłem uznać to wrażenie za wytwór swojej wyobraźni, coś w rzeczywistości nieistniejącego. Nie ma tu żadnych oczu. To jedynie złudzenie wywołane strachem. Musiałem tak myśleć. Musiałem jakoś przejść przez ten ogromny las (nie wiedziałem, jak duży). W miarę możliwości w normalnym stanie psychicznym.

Na szczęście ścieżka się ani razu nie rozwidliła, więc nie musiałem się wahać, w którą stronę iść, i nie zagubiłem się w żadnym labiryncie. Żadne cierniste krzewy nie zagrażały mi drogi. Wystarczyło iść prosto przed siebie.

Jak długo tamtędy szedłem? Pewnie bardzo długo (nawet jeżeli czas nie miał tu żadnego znaczenia). Mimo to prawie nie czułem zmęczenia. Byłem na to zbyt wzburzony, a moje nerwy zbyt napięte. Kiedy jednak poczułem, że nogi mam jak z ołowiu, wydało mi się, że widzę przed sobą jakieś światło. Niewielki żółty punkt, zupełnie jak odbłask robaczka świętojańskiego. Ale to nie był robaczek świętojański. Punkt był tylko jeden, nieruchomy, nie błyskał. Wyglądał jak umocowana gdzieś lampa. Gdy się do niego zbliżałem, światło po trochu rosło i stawało się jaśniejsze. Nie było wątpliwości. Zbliżałem się do czegoś.

Nie miałem jak sprawdzić, czy to coś dobrego, czy złego. Czy to coś, co mi pomoże, czy coś, co mi robi krzywdę? Ale tak czy inaczej, nie miałem wyboru. Musiałem na własne oczy zobaczyć, czym jest to światło, bez względu na to, czy było dobre, czy złe. Jeśli mi się to nie podoba, nie powinienem był w ogóle do tego miejsca przychodzić. Więc szedłem krok za krokiem ku światłu.

Wkrótce las nagle się skończył. Zniknęły ściany drzew i raptem się zorientowałem, że jestem na polanie. W końcu udało mi się wyjść z lasu. Teren był płaski, polana miała ładny kształt półksiężyca. Tu wreszcie udało mi się zobaczyć niebo. Wszystko znów oświetlało słabe światło zmierzchu. Za polaną była pionowa skała, a w niej wejście do jaskini. To żółte światło, które od dłuższej chwili widziałem, dochodziło właśnie z tego otworu.

Za mną ciemne i gęste morze drzew, przed mną wznosząca się ku górze skalna ściana (nie wyglądało na to, żeby dało się na nią wspiąć), a w niej wejście do jaskini. Jeszcze raz spojrzałem na niebo i rozejrzałem się dookoła. Nie było innej drogi. Jedyнным rozwiązaniem było wejście do jaskini. Zanim wszedłem, wziąłem kilka głębokich oddechów i starałem się skupić. Wraz z moim posuwaniem się rodziły się relacje. Tak powiedział Mężczyzna Bez Twarzy. Muszę mu zaufać i zdać się na los. Przedostałem się przez szczelinę dzielącą niebyt od bytu.

Ostrożnie wszedłem do jaskini. Potem nagle coś mi przyszło do głowy. Już wcześniej byłem w tej jaskini. Pamiętałem jej kształt. Pamiętałem też to powietrze. Nagle wróciło wspomnienie. To ta jaskinia u stóp Fudzi. Jaskinia, do której zabrał mnie i moją siostrę, Komichi, nasz młody wujek w czasie letnich wakacji. Komi wlaźła sama do poziomej szczeliny i długo nie wychodziła. Kiedy czekałem, ogarnął mnie niepokój, że może gdzieś zniknęła i już więcej się nie pokaże. Że może została na zawsze wciągnięta w ciemny labirynt we wnętrzu ziemi.

„Na zawsze to bardzo długo”, powiedział Mężczyzna Bez Twarzy.

Powoli ruszyłem w kierunku, z którego dochodziło żółte światło, starając się stłumić odgłos kroków i zwolnić bicie wzburzonego serca. Kiedy skręciłem za wystający fragment skały, zobaczyłem, skąd dochodziło. To była stara latarnia. Staroświecka latarnia z czarnego żelaza, jakiej dawniej używali w kopalniach górnicy. Paliła się w niej gruba świeca. Wisiała na grubym gwoździu wbitym w ścianę.

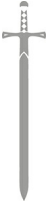
„Latarnia” – to słowo coś mi przypominało. Łączyło się z nazwą podziemnego antynazistowskiego ruchu oporu studentów, do którego miał należeć Tomohiko Amada. Różne rzeczy po kolei się łączyły.

Zobaczyłem, że pod latarnią stoi kobieta. Na początku jej nie zauważyłem, bo była bardzo drobna. Miała nie więcej niż sześćdziesiąt centymetrów wzrostu. Czarne włosy ładnie upięte, starodawne wykwintne białe szaty. Ona też była jedną z postaci z obrazu Śmierć Komandora. Młoda piękna kobieta, która, zakrywając dłonią usta, przyglądała się przerażona, jak ginie Komandor. Była odpowiednikiem

postaci Donny Anny z opery Mozarta *Don Giovanni*. Córką Komandora zabitego przez Don Giovanniego.

W świetle latarni jej ciemny cień został wyraźnie powiększony i odbijał się, drżąc za jej plecami, na ścianie jaskini.

– Czekałam na pana – powiedziała do mnie drobna Donna Anna.



Rozdział 55

To się wyraźnie sprzeciwiało wszelkim zasadom

– Czekałam na pana – powiedziała Donna Anna. Była drobna, lecz jej głos brzmiał wyraźnie i czysto.

Teraz nic już mnie nie dziwiło. To, że na mnie czekała, wydawało mi się naturalną konsekwencją biegu rzeczy. Miała piękne rysy. Cechowała ją wrodzona elegancja, w głosie brzmiał ton godności. Choć miała zaledwie sześćdziesiąt centymetrów wzrostu, było w niej coś szczególnego, coś, co czyniło ją atrakcyjną.

– Poprowadzę pana dalej – powiedziała. – Czy może pan wziąć tę latarnię?

Spełniłem jej prośbę i zdjąłem z gwoźdźca latarnię. Nie wiem, kto ją tam powiesił, ale była na tyle wysoko, że kobieta nie mogłaby jej dosięgnąć. Na górze przymocowane było żelazne kółko, na którym można było ją zawiesić albo użyć go jako rączki do niesienia.

– Czekala pani na mnie? – zapytałem.

– Tak, długo tutaj czekałam.

Czy ona też była rodzajem metafory? Jakoś miałem skrupuły przed zadaniem jej takiego bezpośredniego pytania.

– Czy pani mieszka w tej krainie?

– W tej krainie? – powtórzyła z powątpiewaniem. – Nie, ja tylko t u t a j na pana czekałam. Nie bardzo wiem, co pan ma na myśli, mówiąc o tej krainie.

Zrezygnowałem z dalszych pytań. Jest Donna Anna i czekała tu na mnie.

Ubrana była w takie same białe szaty jak Komandor. Pewnie jedwabne. Góra składała się z wielu warstw materiału, do tego luźne spodnie. Z powodu szat nie było widać, jaką ma figurę, ale wydawała się szczupła i silna. Nosiła małe czarne trzewiki ze skóry.

– No to chodźmy – powiedziała. – Nie mamy za dużo czasu. Z każdą chwilą

droga się zwęża. Proszę iść za mną i świecić latarnią.

Podniosłem latarnię nad jej głowę i ruszyłem za Donna Anną, oświetlając nam drogę. Szła szybkim krokiem w głąb jaskini, jakby nieraz tędy chodziła. Płomień świecy kołysał się w rytm moich kroków i drobne cienie tańczyły na skalnych ścianach jak żywa mozaika.

– Przypomina mi jaskinię u podnóży Fudzi, którą kiedyś zwiedzałem – powiedziałem. – Czy to naprawdę ta sama?

– Wszystko, co tu jest, to rzeczy, które coś p r z y p o m i n a j ą – odparła Donna Anna, nie odwracając się, jakby mówiła do ciemności przed sobą.

– To znaczy, że nie są prawdziwe?

– Nikt nie wie, co jest prawdziwe – powiedziała dobitnie. – Wszystko, co widzimy, jest rezultatem relacji. Światło tutaj jest metaforą cienia, a cienie są metaforą światła. Myślę, że pan o tym wie.

Nie całkiem rozumiałem, o co jej chodzi, ale znowu powstrzymałem się od dalszych pytań. Wszystko przeradzało się w symboliczne rozważania natury filozoficznej.

Im dalej w głąb, jaskinia stawała się coraz węższa. Sklepienie też się obniżyło, więc musiałem iść pochylony. Tak samo jak w tej jaskini u podnóża Fudzi. Niebawem Donna Anna się zatrzymała. Odwróciła się i spojrzała prosto na mnie swoimi niewielkimi czarnymi oczami.

– Tylko dotąd mogłam pana poprowadzić. Dalej musi pan iść sam. Jeszcze kawałek pójdę za panem. Ale tylko do pewnego miejsca. Tam pana zostawię.

Mam iść dalej? Kiedy to powiedziała, pokręciłem z niedowierzaniem głową. Bo wyglądało na to, że jaskinia się tu kończy. Drogę zagradzała ciemna skalna ściana. Oświetliłem ją latarnią – tak jak myślałem, był to koniec jaskini.

– Wygląda na to, że dalej się nie da iść – powiedziałem.

– Niech pan uważnie popatrzy. W rogu po lewej powinien być otwór poziomej szczeliny – odrzekła Donna Anna.

Jeszcze raz oświetliłem latarnią lewą stronę skalnej ściany. Kiedy się pochyliłem i uważnie przyjrzałem, zauważyłem wnękę ukrytą w cieniu za dużym występem skalnym. Wcisnąłem się za ten występ i zbadałem ją. Rzeczywiście, wyglądała jak wejście do poziomego korytarza. Była bardzo podobna do szczeliny, do której wpełzła Komi w jaskini pod Fudzi, ale nieco szersza, o ile dobrze pamiętałem tamtą.

Obejrzałem się na Donnę Annę.

– Musi pan tam wejść – powiedziała ta sześćdziesięciocentymetrowa piękność.

Szukałem właściwych słów, patrząc na jej urodziwą twarz. W żółtym świetle latarni jej wydłużony cień tańczył na skalnej ścianie.

– Wiem, że od dawna czuje pan silny lęk przed ciemnymi i ciasnymi miejscami. Kiedy się pan w takim znajduje, nie może pan normalnie oddychać. Prawda? Ale mimo to musi pan tam wejść. Jeżeli pan tego nie zrobi, nie uzyska pan tego, czego pan pragnie.

– Dokąd wiedzie ta szczelina?

– Tego nie wiem. O tym zdecyduje pan sam, pana intencje.

– Ale w moich intencjach zawiera się lęk – powiedziałem. – Martwi mnie, że ten lęk wszystko pokręci i popchnie mnie w jakimś błędnym kierunku.

– Nie chcę się powtarzać, ale to pan sam wyznacza sobie drogę. A przede wszystkim już pan idzie drogą, którą pan powinien iść. Zdobył się pan na wielkie poświęcenie, żeby dotrzeć do tego świata, wsiadł pan do łodzi i przepłynął się przez rzekę. Nie ma już powrotu.

Znow spojrzałem na otwór korytarza. Na myśl, że miałbym wejść do tej ciasnej ciemnej szczeliny, ogarniał mnie paraliż. Ale musiałem to zrobić. Tak jak mówiła, nie było już powrotu. Postawiłem latarnię na ziemi i wyciągnąłem z kieszeni latarkę. Nie mogłem wpełznąć do tej wąskiej szczeliny z latarnią w rękę.

– Musi pan w siebie wierzyć – powiedziała Donna Anna cichym, lecz dobitnym głosem. – Pił pan przecież wodę z rzeki?

– Tak, bo męczyło mnie pragnienie i nie mogłem się powstrzymać.

– To dobrze – powiedziała Donna Anna. – Ta rzeka płynie między niebytem a bytem. Wybitne metafory potrafią uwidocznić w różnych rzeczach ukryte możliwości, jakby uwidaczniały, którędy płynie rzeka. Tak samo jak wybitny poeta potrafi zręcznie i wyraźnie uwidocznić w jednej scenie drugą, nową, zupełnie inną. Rozumie się samo przez się, że najlepsze metafory tworzą najlepsze wiersze. Musi się pan postarać nie stracić z oczu tej drugiej, n o w e j , i n n e j s c e n y.

Pomyślałem, że może *Śmierć Komandora Tomohika Amady* była taką „drugą, inną sceną”. Ten obraz prawdopodobnie, tak samo jak słowa wybitnego poety, stał się najlepszą metaforą i stworzył w tym świecie nową, inną rzeczywistość.

Włączyłem latarkę i sprawdziłem, czy działa. Świeciła mocnym światłem. Baterie powinny jeszcze przez pewien czas wytrzymać. Postanowiłem zdjąć

i zostawić tu kurtkę. Nie mogłem się wślizgnąć do tego otworu, mając na sobie coś tak grubego i sztywnego. Zostałem w cienkim swetrze i dżinsach. W jaskini nie było szczególnie zimno ani gorąco.

Potem się zdecydowałem, pochyliłem, stanąłem prawie na czworakach i wsunąłem do otworu górną połowę ciała. Wewnętrzną powierzchnię szczeliny stanowiły skały, tak gładkie, jakby przez długie lata obmywała i polerowała je woda. Nie miały żadnych występów. Dlatego, mimo ciasnoty, posuwanie się przed siebie było łatwiejsze, niż się spodziewałem. Kiedy ich dotknąłem, skały okazały się zimne i nieco wilgotne. Świecąc przed sobą latarką, posuwałem się powoli jak dżdżownica. Przypuszczałem, że kiedyś musiała tędy płynąć woda.

Szczelina miała jakieś sześćdziesiąt albo siedemdziesiąt centymetrów wysokości i niecały metr szerokości. Mogłem tylko się czołgać. Chwilami się zwężała albo poszerzała. Naturalny ciemny korytarz ciągnął się w nieskończoność – a przynajmniej mnie się tak wydawało. Czasami skręcał w bok, unosił się lub obniżał, ale na szczęście nie były to duże różnice poziomów. Jeśli ten korytarz naprawdę spełniał funkcję podziemnej drogi wodnej, było jednak niewykluczone, że nagle wypełni się wielką ilością wody. Nieoczekiwanie przyszło mi to do głowy. Na myśl, że mógłbym utonąć w tym ciasnym ciemnym miejscu, strach mnie sparaliżował i nie mogłem się poruszyć. Próbowałem zawrócić, ale na tej wąskiej przestrzeni nie było to możliwe. Nie zorientowałem się, że szczelina po trochu jeszcze bardziej się zwężyła. Nie mogłem też wycofać się rakiem. Strach ogarnął mnie całego. Tkwiłem tam jak przykuty do tego miejsca. Nie mogłem iść naprzód ani się cofnąć. Wszystkie komórki mojego ciała domagały się świeżego powietrza i gwałtownie dyszały. Byłem straszliwie samotny, bezsilny i pozbawiony jakiegokolwiek światła.

– Niech się pan nie zatrzymuje. Niech pan idzie dalej – powiedziała zdecydowanie Donna Anna.

Nie potrafiłem ocenić, czy to złudzenie słuchowe, czy też naprawdę jest za mną i mówi do mnie.

– Nie mogę się ruszyć – wydusiłem z siebie, zakładając, że jest za mną. – Nie mogę też oddychać.

– Niech się pan weźmie w garść – poleciała mi Donna Anna. – Trzeba trzymać umysł na wodzy, nie puszczać go wolno. Jak pan mu pozwoli, żeby był chwiejny, pożrą go podwójne metafory.

– Czym są podwójne metafory? – zapytałem.

– Powinien pan to już wiedzieć.

– Powiniennem wiedzieć?

– Bo ma je pan w sobie – powiedziała Donna Anna. – Żyją w panu, chwytają myśli, które są dla pana właściwe, pożerają je i coraz bardziej się tuczają. To są właśnie podwójne metafory. Od dawna mieszkają w głębokiej ciemności, którą pan nosi w sobie.

Mężczyzna z białego subaru foreстера, olśniło mnie instynktownie. Nie chciałem, lecz musiałem tak myśleć. Prawdopodobnie ten mężczyzna mną pokierował i spowodował, że dusiłem tamtą kobietę. W ten sposób pokazał mi ciemną przepaść, którą w sobie noszę. Potem pojawiał się w miejscach, w których bywałem, i przypominał mi o istnieniu tej ciemności. Pewnie tak było.

Powiedział: „Dobrze wiem, gdzie byłeś i co tam robiłeś”. Oczywiście wiedział o wszystkim. A to dlatego, że istniał we mnie samym.

W głowie miałem ciemny chaos. Zamknąłem oczy i próbowałem wziąć się w garść. Zacisnąłem zęby. Ale jak miałem wziąć się w garść? Gdzie właściwie była moja świadomość? Szukałem jej na całym ciele, ale nie znalazłem. Gdzie ona mogła się podziąć?

– Świadomość jest we wspomnieniach. Żyje, żywiąc się obrazami – powiedział kobiecy głos. Ale nie był to głos Donny Anny, a głos Komi. Mojej zmarłej w wieku dwunastu lat siostry.

– Poszukaj w pamięci – powiedział ten utęskniony głos. – Poszukaj czegoś konkretnego. Czegoś, co da się dotknąć.

– Komi? – zapytałem.

Nie było odpowiedzi.

– Komi, gdzie jesteś? – zawołałem.

Znow nie było odpowiedzi.

W ciemności szukałem czegoś w pamięci. Zupełnie jakbym grzebał po omacku w starym worku. Ale w pamięci miałem pustkę. Nie mogłem sobie nawet przypomnieć, czym były wspomnienia.

– Zgaś światło, wsłuchaj się w wiatr – powiedziała Komi.

Wyłączyłem latarkę i tak jak mi kazała, wsłuchałem się w wiatr. Lecz nic nie słyszałem. Z trudem udawało mi się usłyszeć jedynie bicie własnego serca. Waliło jak targana gwałtownym wiatrem okiennica.

– Wsłuchaj się w wiatr – powtórzyła Komi.

Wstrzymałem oddech, skupiłem się i jeszcze raz wytężyłem słuch. Tym razem

dosłyszałem wąty świst powietrza, który zagłuszało głośne bicie serca. Ton tego świstu stawał się to wyższy, to niższy. Gdzieś daleko wiał chyba wiatr. Poczułem na twarzy łagodny ruch powietrza. Napływało chyba z przodu. I miało zapach. Niewątpliwy zapach, woń wilgotnej ziemi. Był to pierwszy prawdziwy zapach, który poczułem od wejścia do tej krainy metafor. Ta szczelina dokądś prowadziła. Do jakiegoś miejsca mającego zapach. Czyli do realnego świata.

– No, niech pan idzie dalej – tym razem odezwała się Donna Anna. – Bo zostało panu niewiele czasu.

Nie włączając latarki, pełzłem dalej w ciemności. Posuwając się, próbowałem nabrać w płuca prawdziwego powietrza, które po trochu tam napływało.

– Komi? – zawołałem jeszcze raz.

Jednak nie było odpowiedzi.

Ze wszystkich sił grzebałem w worku pamięci. Mieliśmy wtedy z Komi kota. To był czarny, mądry kocur. Miał na imię Koyasu (nie pamiętałem, dlaczego go tak nazwaliśmy). Komi, wracając ze szkoły, znalazła porzuconego kociaka i wzięliśmy go do domu. Pewnego dnia kot zniknął. Szukaliśmy go po całej okolicy przez wiele dni. Pokazaliśmy jego zdjęcie dosłownie wszystkim. Ale się nie znalazł.

Pełzłem przez wąską szczelinę, wspominając tego czarnego kota. Udawałem, że pełznę tą szczeliną wraz z siostrą, szukając go. W ciemności przed sobą starałem się dostrzec utracone zwierzątko, dosłyszeć jego miauczenie. Czarny kot był czymś bardzo konkretnym, czymś, czego dało się dotknąć. Udało mi się wyraźnie sobie przypomnieć dotyk jego futerka, ciepło ciała, twarde poduszeczki na łapkach, mruczenie.

– Tak, bardzo dobrze – powiedziała Komi. – Dalej tak sobie przypominaj.

„Dobrze wiem, gdzie byłeś i co tam robiłeś”, powiedział do mnie nagle mężczyzna z białego subaru foreстера. Miał na sobie czarną skórzaną kurtkę, na głowie czapkę golfową ze znakiem firmy Yonex. Głos miał schrypnięty od morskiego wiatru. Ten głos niespodziewanie mnie przestraszył, aż się wzdrygnąłem.

Bardzo się starałem dalej myśleć o czarnym kocie. I próbowałem wypełniać płuca powietrzem pachnącym ziemią. Zdawało mi się, że pamiętam ten zapach. Niedawno gdzieś go czułem. Ale za nic nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie to było. Gdzie ja go mogłem czuć? Kiedy próbowałem to sobie uzmysłwić, wspomnienia znów zaczęły blednąć.

„Przyduś mnie tym”, powiedziała kobieta. Spomiędzy jej warg ukazał się

czubek różowego języka. Pod poduszką miała przygotowany pasek od szlafroka. Jej czarne włosy łonowe były wilgotne jak zmoczona deszczem trawa.

– Pomyśl o czymś, za czym tęsknisz – powiedziała Komi z naciskiem. – No szybko, pośpiesz się.

Spróbowałem znów pomyśleć o czarnym kocie. Ale nie mogłem już sobie przypomnieć Koyasu. Nie chciał ożyć w moich wspomnieniach. Może kiedy myślałem trochę o innych rzeczach, obraz kota został pochłonięty przez moc ciemności. Musiałem szybko przypomnieć sobie coś innego. Miałem nieprzyjemne uczucie, że w ciemności szczelina powoli staje się coraz węższa. Może żyje i się porusza. Donna Anna powiedziała, że „nie ma za wiele czasu”. Poczułem pod pachami pot.

– No, przypomnij sobie coś – powiedziała za mną Komi. – Coś, czego można dotknąć. Coś, co da się od razu namalować.

Jak tonący chwytający się kurczowo boi, przypominałem sobie peugeota 205. Pojechałem tym starym francuskim samochodem z Tōhoku na Hokkaido i z powrotem. Zdawało mi się, że było to bardzo dawno temu, ale dźwięk tego czterocylindrowego mało skomplikowanego silnika był bardzo żywy w mojej pamięci. Nie mogłem też zapomnieć, jak przy wrzucaniu trzeciego biegu dźwignia jakby o coś zaczepiała i zgrzytała. Przez półtora miesiąca był moim współnikiem i jedynym przyjacielem. Pewnie teraz już poszedł na złom.

Szczelina niewątpliwie się zwężała. Gdy pełzłem przed siebie, prawie zaczepiałem głową o sklepienie. Spróbowałem włączyć latarkę.

– Niech pan nie włącza latarki – powiedziała Donna Anna.

– Ale bez latarki nic przed sobą nie widzę.

– Nie wolno patrzeć – powiedziała. – Nie wolno patrzeć oczami.

– Szczelina robi się coraz węższa. Jeśli będę się dalej posuwał, zaklinuję się i nie będę mógł się ruszyć.

Nie było odpowiedzi.

– Dalej nie dam rady – powiedziałem. – Co mam zrobić?

Znów nie było odpowiedzi.

Nie słyszałem już ani Donny Anny, ani Komi. Chyba zniknęły. Została tylko głęboka cisza.

Szczelina była coraz węższa i przeciskałem się z coraz większym trudem. Ogarnęła mnie panika. Członki ogarnął paraliż, miałem trudności z oddechem.

„Zostałeś zamknięty w małej trumnie”, wyszeptał mi do ucha jakiś głos. „Zostaniesz tu na zawsze pogrzebany, nie będziesz mógł iść dalej ani się cofnąć. Porzucony przez wszystkich w tym wąskim, ciemnym miejscu, do którego nikt się nie może dostać”.

Wtedy poczułem, że coś się z tyłu zbliża. Coś płaskiego pełzło w ciemności i było coraz bliżej. To nie była Donna Anna ani Komi. To nie był człowiek. Słyszałem za sobą szuranie i czułem nierówny oddech. To coś się zbliżyło i znieruchomiało. Kilka minut upłynęło w milczeniu. Chyba wstrzymywało oddech i sprawdzało, co się dzieje. Potem coś zimnego i oślizgłego dotknęło mojej nagiej kostki. Była to chyba długa macka. Po plecach pełzł mi nieokreślony strach.

Czy to podwójna metafora? Coś, co mieszka w ciemności wewnątrz mnie?

„Dobrze wiem, gdzie byłeś i co tam robiłeś”.

Niczego więcej nie mogłem sobie przypomnieć. Czarny kot, peugeot 205, Komandor, wszystko gdzieś zniknęło. Moja pamięć znowu stała się kompletnie pusta.

O niczym nie myśląc, wielkim wysiłkiem woli czołgałem się dalej, chcąc uciec przed tą macką. Otwór jeszcze się zmniejszył i prawie nie mogłem się w nim poruszać. Próbowałem się precyzyjnie przeczisnąć przez szczelinę, która była zdecydowanie węższa od mojego ciała. Było to niemożliwe. Nie musiałem się nawet nad tym zastanawiać – to się wyraźnie sprzeciwiało wszelkim zasadom. Było fizycznie niemożliwe.

Ale mimo to na siłę wykręcałem się w różne strony i parłem dalej. Jak wcześniej powiedziała Donna Anna, była to droga, którą sam wybrałem, nie mogłem już wybrać innej. Komandor musiał w tym celu umrzeć. Zabiłem go w ł a s n y m i r ę k a m i . Utopiłem jego niewielkie ciało w morzu krwi. Ta śmierć nie mogła być daremna. A za moimi plecami było coś, co miało zimne macki i próbowało mnie dosięgnąć.

Wykrzesując z siebie resztki siły woli, pełzłem dalej. Sweter zaczepiał o wystające skały i zaczął się pruć. Próbowałem rozluźnić stawy i niezdarnie przedzierać się dalej, jak magik oswobadzający się z krępujących go więzów. Posuwałem się powolnym tempem gąsienicy. Moje ciało czuło się w tej szczelinie jak w olbrzymim imadle. Wszystkie kości i mięśnie rozpaczliwie krzyczały z bólu. A ta nie wiadomo jaka zimna macka wpełzła już całkiem na moją kostkę. Niebawem pewnie całkowicie pokryje moje ciało niemogące się poruszyć w tej atramentowej ciemności. Pewnie przestanę wtedy być sobą.

Odrzuciłem rozum i zebrawszy w sobie wszystkie siły, wpychałem się w coraz

mniejszy otwór. Moje ciało wyło z bólu. Ale musiałem za wszelką cenę przeć dalej. Nawet jeśli miałem wyrwać sobie ze stawów wszystkie członki. Bez względu na to, jak mnie będzie bolało. Przecież wszystko, co tu jest, to produkt relacji. Nie ma tu nic absolutnego. Ból też jest przecież jakąś metaforą. Ta macka też. Wszystko jest relatywne. Światło jest cieniem, a cień jest światłem. Muszę w to wierzyć. Prawda?

Wąska szczelina nieoczekiwanie się skończyła. Zupełnie jakby kępa trawy zatykająca rurę nagle z niej wyskoczyła pod ciśnieniem wody. Zostałem wyrzucony w przestrzeń, w której niczego nie było. I nie miałem czasu na zastanowienie się, co to oznacza. Spadałem kompletnie bezbronny. Myślę, że z wysokości jakichś dwóch metrów. Ale na szczęście spadłem nie na twardą skałę, a na stosunkowo miękką ziemię. I dzięki temu, że się usztywniłem, skuliłem i otoczyłem głowę ramionami, udało mi się uniknąć uderzenia nią o ziemię. Zrobiłem to nieomal instynktownie, jak wtedy, kiedy uczyłem się bezpiecznie padać w dzudo. Uderzyłem się mocno w biodro i ramię, ale prawie nie czułem bólu.

Okolicę spowijała ciemność. Nie miałem już latarki. Musiała mi się wyslizgnąć z dłoni, kiedy spadałem. Tkwiłem w ciemności bez ruchu na czworakach. Nic nie było widać. O niczym nie mogłem myśleć. Z trudem pojmowałem tylko z coraz większą jasnością, że wszystko mnie boli. Kości i mięśnie, skóra obtarta podczas przeciskania się przez szczelinę, wszystko chórem protestowało.

No tak, jakoś udało mi się przedrzeć przez tę wąską szczelinę. W końcu wyraźnie to do mnie dotarło. Na kostce czułem jeszcze obrzydliwy dotyk macki. Nie wiem, co to było, ale dziękowałem losowi, że udało mi się od tego uciec.

I gdzie ja się znalazłem?

Nie było tu wiatru, ale istniały zapachy. Woń, którą chwilami czułem w powietrzu, pełną przez szczelinę, teraz mnie zewsząd otaczała. Nie mogłem sobie jednak przypomnieć, co to za zapach. W każdym razie było to strasznie ciche miejsce. Do moich uszu nie docierał żaden dźwięk.

Tak czy inaczej, musiałem poszukać latarki. Po omacku dotykałem ziemi wokół siebie. Zataczałem na czworakach coraz większe koła. Była lekko wilgotna. Martwiłem się, że w tej zupełnej ciemności mogę dotknąć czegoś obrzydliwego, ale nie było tam nawet kamyczka. Tylko płaska ziemia – zupełnie płaska, jakby ktoś ją wyrównał walcem.

Latarka leżała jakiś metr od miejsca, w którym upadłem. W końcu ją

wymacałem. Znalezienie tej plastikowej latarki było prawdopodobnie jednym z najbardziej radosnych wydarzeń mojego życia.

Zanim ją włączyłem, zamknąłem oczy i wziąłem kilka głębokich oddechów. Jakbym powoli rozwiązywał skomplikowany i mocno zaciśnięty węzeł. W końcu uspokoił mi się oddech. Puls też wrócił do normy i mięśnie znów zaczęły działać jak trzeba. Jeszcze raz głęboko zaczerpnąłem powietrza i powoli je wypuściłem, a następnie włączyłem latarkę. Żółte światło natychmiast rozjaśniło ciemność. Ale przez pewien czas nie widziałem, co mnie otacza. Moje oczy zbyt nawykły do ciemności i teraz takie bezpośrednie światło wywołało ból w tyle głowy.

Zakryłem dłonią oczy, powoli je otworzyłem i rozejrzałem się, zerkając spomiędzy palców. Wydawało się, że jestem w okrągłym pomieszczeniu. Niezbyt obszernym, otoczonym ścianami. Kamiennymi ścianami zbudowanymi przez człowieka. Poświeciłem sobie nad głową. Był tam sufit. A nie, nie sufit. Jakby pokrywa. Znikąd nie dochodziło światło.

Nagle mnie olśniło. To ten dół za kapliczką. Przeszedłem szczeliną z jaskini, w której była Donna Anna, i wpadłem na dno tego kamiennego dołu znajdującego się w realnym świecie. Nie wiedziałem dlaczego. W każdym razie tak się stało. Można powiedzieć, że wróciłem do punktu wyjścia. Ale dlaczego nie dostawał się tu ani jeden promień światła? Dół zakrywało kilka grubych desek, ale przecież były między nimi niewielkie przerwy, którymi powinno przenikać światło. A więc dlaczego ciemność wydawała się tak kompletna?

Nie rozumiałem, jak to możliwe.

Ale przynajmniej nie miałem wątpliwości, że jestem na dnie dołu za kapliczką i że to jego zapach wcześniej czułem. Dlaczego do tej pory nie mogłem sobie tego uświadomić? Powoli i uważnie oświetlałem ściany latarką. Nie dostrzegłem metalowej drabiny, która powinna tu stać oparta o ścianę. Ktoś musiał ją znowu wyjąć i gdzieś zabrać. A to znaczyło, że jestem tu zamknięty i nie mogę wyjść na zewnątrz.

I, o dziwo – prawdopodobnie o dziwo – choć długo szukałem, nigdzie w kamiennej ścianie nie mogłem znaleźć nic przypominającego wylot skalnej szczeliny. Przelazłem przez nią i wpadłem tutaj. Jak dziecko, które wypadło podczas narodzin z łona matki. A jednak nigdzie nie było wejścia do szczeliny. Wyglądało na to, że wypluła mnie, a potem znowu szczelnie się zamknęła.

Wkrótce światło latarki padło na coś, co było na dnie dołu. Wiedziałem, co to jest. Stare dzwonki, którymi potrząsał tu Komandor. To ich dźwięk usłyszałem w środku nocy i tak dowiedziałem się o istnieniu dołu w lesie. Wszystko zaczęło

się od dźwięku tych dzwonek. Położyłem je na półce w pracowni, ale nie wiadomo kiedy stamtąd zniknęły. Podniosłem je i dokładnie obejrzałem w świetle latarki. Miały zniszczoną drewnianą rączkę. Nie było wątpliwości. To były te dzwonki.

Nie rozumiałem, jak do tego doszło, ale długo i dokładnie się im przyglądałem. Kto mógł je tu przynieść? Komandor mówił, że przynależą do miejsca. Przynależą do miejsca – co to mogło znaczyć? Umysł miałem zbyt zmęczony, by zastanawiać się nad różnymi teoriami. Poza tym nie widziałem ani jednego logicznego argumentu, na którym mógłbym się oprzeć.

Usiadłem na ziemi, oparłem się o kamienną ścianę i wyłączyłem latarkę. Musiałem się na razie zastanowić, co robić dalej, jak się stąd wydostać. Do myślenia nie potrzebowałem światła. Należało oszczędzać baterie.

A więc co powinienem zrobić?



Rozdział 56

Jest kilka luk, które wymagają wypełnienia

Było kilka niezrozumiałych kwestii, ale wtedy najbardziej nie dawało mi spokoju pytanie, dlaczego do dołu nie dostaje się żaden promień światła. Na pewno ktoś szczelnie czymś go zakrył. Tylko kto i po co to zrobił?

Modliłem się o to, żeby się nie okazało, że ktoś (obojętne kto) obciążył pokrywę ciężkimi kamieniami i ułożył ich cały stos, szczelnie zamykając dół, tak jak był zamknięty na początku. Jeśli tak, miałem zero szans na wydostanie się stąd.

Nagle pomyślałem o czasie, zapaliłem latarkę i spojrzałem na zegarek. Wskazywał czwartą trzydzieści dwie. Wskazówka sekundowa normalnie odmierzała czas. Wyglądało na to, że płynie. Przynajmniej na tym świecie czas istniał i płynął w ustalonym kierunku.

Zadałem sobie jednak pytanie, czym w ogóle jest czas? Dla wygody odmierzaliśmy go wskazówkami zegara. Czy to aby było naprawdę właściwe? Czy czas naprawdę płynął tak regularnie ciągle w jednym kierunku? Czy my się w tej kwestii całkowicie nie myliliśmy?

Wyłączyłem latarkę i w kompletnej ciemności, która mnie znów otoczyła, głęboko westchnąłem. Przeszanę myśleć o czasie. Przeszanę myśleć o przestrzeni. Rozmyślanie o tym do niczego nie doprowadzi. Tylko zszargam sobie niepotrzebnie nerwy. Musiałem pomyśleć o czymś bardziej konkretnym, co da się zobaczyć i dotknąć.

Dlatego pomyślałem o Yuzu. Była czymś, co dało się zobaczyć i dotknąć (gdyby dana mi była taka szansa). Była teraz w ciąży. W styczniu w przyszłym roku urodzi się dziecko – dziecko, którego ojcem będzie inny mężczyzna, nie ja. Wszystko ciągle rozgrywało się daleko ode mnie i bez związku ze mną. Nowe życie, niepowiązane ze mną, przygotowywało się do przyjścia na świat. I ona niczego ode mnie nie oczekiwała. Ale dlaczego nie chciała wyjść za mąż za

tamtego faceta? Nie rozumiałem przyczyny. Jeżeli zostanie samotną matką, pewnie będzie musiała odejść z pracowni architektonicznej. Była to mała prywatna pracownia, która nie mogłaby sobie pozwolić na utrzymywanie przez dłuższy czas pracownicy na urlopie macierzyńskim.

Długo rozmyślałem, lecz nie znalazłem żadnej rozsądnej odpowiedzi. Tylko siedziałem zagubiony w ciemności. Ciemność wzmagала moje poczucie bezsilności.

Zdecydowałem, że jeżeli uda mi się wydostać z tego dołu, spotkam się z Yuzu. Oczywiście zraniło mnie i w pewnym stopniu rozgniewało, że miała kochanka i nagle ode mnie odeszła (choć dużo czasu zajęło mi przyznanie, że czuję gniew). Ale nie mogłem żyć w nieskończoność z tymi emocjami. Spotkam się z Yuzu i porozmawiamy sobie od serca. Musiałem ją zapytać, co myśli, czego teraz pragnie. Zanim będzie za późno... Tak postanowiłem. Kiedy już raz postanowiłem, zrobiło mi się lżej na sercu. Jeżeli chce się ze mną przyjaźnić, możemy się przyjaźnić. To chyba nie będzie zupełnie niemożliwe. Jeżeli tylko uda mi się wydostać na powierzchnię, być może znajdę w tym jakąś logikę.

Potem usnąłem. Ponieważ przed wejściem do szczeliny zdjąłem skórzaną kurtkę (ciekawie, jaki los teraz ją spotka), powoli robiło mi się zimno. Miałem na sobie tylko podkoszulek, a na nim cienki sweter, ale sweter był w strzępach po tym, jak przedzierałem się w nim przez wąską szczelinę. Wróciłem ze świata metafor do świata realnego. Innymi słowy, powróciłem do świata mającego normalny czas i temperaturę. A mimo to senność wygrała z zimnem. Siedząc na klepisku, oparty o twardą kamienną ścianę nie wiadomo kiedy zapadłem w niczym nieskażony sen. Nic mi się nie śniło. Byłem samotny jak hiszpańskie złoto zatopione głęboko na dnie morza u wybrzeży Irlandii, którego niczyja ręka już nie dosięgnie.

Kiedy się obudziłem, nadal byłem otoczony ciemnością. Tak głęboką, że nie widziałem własnej ręki, kiedy ją unosiłem przed oczami. Z tego powodu trudno mi było wytyczyć granicę między snem a jawą. Nie bardzo potrafiłem ocenić, gdzie kończy się świat snów, a zaczyna świat jawy, po której stronie jestem, a po której mnie nie ma. Przywlokłem skądś worek wspomnień i kolejno, po kilka, je sobie przypominałem. Przypominałem sobie swojego czarnego kota, peugeota 205, białą willę Menshikiego, płytę *Kawaler z różą*, figurkę pingwina. Udało mi się to wszystko wyraźnie przywołać w pamięci. W porządku, podwójne metafory nie pożarły mi świadomości. Po prostu przez to, że byłem otoczony głęboką ciemnością, miałem trudności w odróżnieniu snu od jawy.

Wzięłem do ręki latarkę, zapaliłem, zakryłem światło ręką i w świetle przenikającym między palcami spojrzałem na zegarek. Pierwsza osiemnaście. Kiedy przedtem na niego spojrzałem, wskazywał czwartą trzydzieści dwie. Czyżby to znaczyło, że przespałem w tej niewygodnej pozycji aż dziewięć godzin? Trudno uwierzyć. Gdyby tak było, czułbym się bardziej obolały. Bardziej rozsądne wydało mi się założenie, że nie wiadomo kiedy czas cofnął się o trzy godziny. Ale nie byłem pewien. Ponieważ siedziałem spowity gęstą czernią, być może zachwiało mi się poczucie czasu.

Tak czy inaczej, zimno stało się bardziej dotkliwe. Musiałem się wysikać. Tak strasznie mi się chciało, że nie mogłem wytrzymać. Co miałem robić. Poszedłem w kąt i wysikałem się na ziemię. Długo sikałem, lecz mocz od razu wsiąkł. Lekko zapachniało amoniakiem, ale ta woń też od razu zniknęła. Kiedy zaspokoilem tę potrzebę, od razu zastąpił ją głód. Wyglądało na to, że powoli, lecz stale przystosowuję się do rzeczywistego świata. Może słabło działanie wody z metaforycznej rzeki.

Musiałem się jak najszybciej stąd wydostać. Na nowo boleśnie to sobie uświadomiłem. Jeżeli mi się nie uda, niebawem umrę tu z głodu. Człowiek nie może się utrzymać przy życiu bez wody i pożywienia. To jedna z podstawowych zasad tego r e a l n e g o ś w i a t a. Tu nie miałem ani wody, ani jedzenia. Miałem jedynie powietrze (pokrywa była szczelna, ale czułem, że skądś dostaje się do środka powietrze). Powietrze, miłość i ideały były bardzo ważne, ale nie wystarczały do życia.

Podniosłem się i obszedłem dół, sprawdzając, czy jakoś nie uda mi się wspiąć po gładkich kamieniach, ale wdrapanie się po ścianie niemającej żadnych występów było niemożliwe dla człowieka, który nie jest obdarzony szczególnymi zdolnościami. Poza tym, nawet gdybym się jakoś wdrapał, dół zasłaniała pokrywa. Do tego, by ją odsunąć, potrzebny byłby solidny uchwyt i oparcie dla stóp.

Poddałem się i znów usiadłem na ziemi. Pozostało mi tylko jedno. Dzwonić dzwoneczkami. Tak jak to robił Komandor. Ale była między nami jedna wielka różnica. Komandor był ideą, a ja żywym człowiekiem. Idea nie odczuwała głodu i mogła nic nie jeść, ja zaś głód odczuwałem. Idea nie umierała z głodu, mnie mogło to spotkać stosunkowo łatwo. Komandor mógł nawet przez sto lat dzwonić dzwoneczkami i by mu się to nie znudziło (nie istniało dla niego pojęcie czasu), ja bez wody i jedzenia dałbym radę dzwonić najwyżej przez trzy albo cztery dni. Potem nie miałbym już siły potrząsać nawet czymś tak lekkim.

Mimo to dzwoniłem wciąż w ciemności. Bo cóż innego mi pozostało?

Oczywiście mogłem ze wszystkich sił wołać o pomoc. Ale wokół dołu roztaczał się las, w którym nie było żywego ducha. Poza wyjątkowymi przypadkami nikt tamtędy nie chodził, bo teren był prywatną własnością rodziny Amadów. W dodatku dół został teraz czymś szczelnie zakryty. Choćbym nie wiem jak głośno krzyczał, nikt by mnie pewnie nie usłyszał. Tylko bym zachrypnął i bardziej zachciałoby mi się pić. To już lepiej było potrząsać dzwonekami.

Poza tym te dzwonki wydawały jakiś niezwykły dźwięk. Pewnie miały specjalne właściwości. Z punktu widzenia fizyki nie były głośne, ale ja je wyraźnie usłyszałem w środku nocy, leżąc w łóżku w domu dość daleko stąd. Poza tym, kiedy rozlegał się ich dźwięk, zupełnie milkły hałaśliwe jesienne świerszcze. Jakby im ktoś surowo zabraniał grania.

Dlatego oparty o kamienną ścianę potrząsałem dzwonekami. Lekko poruszałem ręką to w lewo, to w prawo i starałem się o niczym nie myśleć. Dzwoniłem przez pewien czas, trochę odpoczywałem i znów dzwoniłem. Tak samo jak kiedyś Komandor. Wcale nietrudno było opróżnić umysł. Kiedy wsłuchiwałem się w dźwięk dzwonek, poczułem, że nie ma potrzeby specjalnie się nad niczym zastanawiać. Brzmiał zupełnie inaczej w ciemności niż w świetle. Pewnie naprawdę był zupełnie inny. Kiedy potrząsałem dzwonekami, nie czułem strachu ani niepokoju, mimo że byłem sam zamknięty w głębokiej ciemności bez wyjścia. Nieomal zapominałem o zimnie i głodzie. Prawie nie czułem już potrzeby szukania logicznych wyjaśnień. Oczywiście bardzo mnie to cieszyło.

Kiedy zmęczyło mnie potrząsanie dzwonekami, oparty o ścianę zapadałem w płytki sen. Budziłem się, zapalałem latarkę i sprawdzałem czas na zegarku. Zorientowałem się, że za każdym razem był zupełnie zwariowany. Oczywiście może to nie czas był zwariowany, tylko ja oszalałem. Pewnie tak. Ale to też stało mi się obojętne. W ciemności poruszałem ręką i jak w transie potrząsałem dzwonekami. Gdy mnie to męczyło, przysypiałem, budziłem się i znowu podzwaniałem. Powtarzało się to w nieskończoność. Przez to powtarzanie świadomość mi się coraz bardziej rozrzedzała.

Na dno dołu nie dochodziły żadne dźwięki. Nie było słyhać śpiewu ptaków ani szumu wiatru. Dlaczego? Dlaczego nie było nic słyhać? Tu powinien być realny świat. Wróciłem do realnego świata, w którym człowiek czuje głód i potrzebę sikania. A realny świat powinien być wypełniony dźwiękami.

Nie miałem pojęcia, jak wiele czasu minęło. Zrezygnowałem już ze sprawdzania, która godzina. Zdawało się, że czas i ja nie możemy znaleźć żadnego punktu

styczności. Do tego data, dzień tygodnia stały się jeszcze bardziej niepojęte niż godzina. Bo tu nie było ani dnia, ani nocy. Stopniowo w ciemności przestałem nawet zdawać sobie sprawę z istnienia własnego ciała. Straciłem punkt styczności nie tylko z czasem, ale z samym sobą. I nie potrafiłem zrozumieć, co to oznacza. A raczej traciłem ochotę, żeby próbować cokolwiek zrozumieć. Co miałem więc robić? Potrząsałem dalej dzwonkami. Aż ścierpły mi nadgarstki.

Kiedy upłynęła cała wieczność (a może czas zbliżał się tylko i cofał jak nieustanne przybrzeżne fale), kiedy głód stał się nie do zniesienia, w końcu dosłyszałem w górze jakiś dźwięk. Brzmiało to tak, jakby ktoś podniósł krawędź świata i chciał ją całkiem odkleić od podstawy. Ale w moich uszach odgłos nie przypominał rzeczywistego dźwięku. Przecież nikt nie mógł odkleić krawędzi świata. Bo gdyby ktoś ją odkleił, co by się potem stało? Czy nastałby nowy świat? Czy też nadeszłaby niekończąca się nicość? Ale właściwie było mi wszystko jedno. Pewnie nie byłoby wielkiej różnicy.

Siedziałem w ciemności spokojnie z zamkniętymi oczami i czekałem, aż krawędź świata zostanie do końca odklejona. Świat się jednak nie odklejał, tylko dźwięk nad moją głową stawał się coraz głośniejszy. Zdawało się, że to realny dźwięk. Fizyczny dźwięk wydawany przez rzeczywisty obiekt, na który działa jakaś siła. Zdecydowanie otworzyłem oczy i spojrzałem w górę. Oświetliłem sklepienie latarką. Nie wiedziałem, co się tam dzieje, ale ktoś tam w górze nad moją głową wydawał głośne dźwięki. Niezrozumiałe szurania, jak szum w uchu.

Nie potrafiłem ocenić, czy te dźwięki mnie skrzywdzą, czy też przyniosą mi k o r z y ś ć . Tak czy inaczej, mogłem tylko siedzieć dalej na dnie dołu, potrząsać dzwonkami i czekać na rozwój wypadków. Niebawem przez szparę pomiędzy deskami pokrywającymi dół dostała się do środka jakby cienka płaszczyzna światła. W jednej chwili przecięła pionowo ciemność, jak szeroki i ostry nóż gilotyny przecinający ogromną galaretkę, i dotarła do ziemi. To ostrze opadło dokładnie na moje kostki. Odłożyłem dzwonki na ziemię i zakryłem dłońmi oczy, żeby je ochronić przed światłem.

Potem odsunięto chyba jedną z desek i na dno wpadło więcej światła. Nawet z zamkniętymi oczami i dłońmi ciasno zakrywającymi twarz czułem, jak ciemność przede mną bieleje i jaśnieje. Potem z góry powoli wpłynęło nowe powietrze. Chłodne, świeże powietrze. Miało zapach początku zimy. Stęskniłem się za nim. Z podświadomości wypłynęło wspomnienie porannego dotyku szalika na szyi, który w dzieciństwie nakładałem po raz pierwszy o tej porze roku. Dotyk miękkiej wełny.

Ktoś mnie z góry zawołał. To chyba było moje nazwisko. W końcu sobie przypomniałem, że mam nazwisko. Na dobrą sprawę od dawna żyłem w świecie, w którym nazwiska nie miały znaczenia.

Uświadomienie sobie, że głos tego k o g o ś to głos Wataru Menshikiego, też zajęło mi dłuższą chwilę. Krzyknąłem coś w odpowiedzi, lecz nie były to żadne słowa. Po prostu krzyknąłem coś głośno, żeby pokazać, że żyję. Nie miałem pewności, czy mój głos wywoła odpowiednie drgania powietrza, ale sam też go usłyszałem. Zabrzmiał jak dziwny dziki ryk wyimaginowanego zwierzęcia.

– Czy wszystko w porządku? – zawołał Menshiki.

– Pan Menshiki? – zapytałem.

– Owszem. To ja, Menshiki – odpowiedział. – Czy nie jest pan ranny?

– Myślę, że nie – powiedziałem. Głos wreszcie mi się uspokoił. – Chyba nie – dodałem.

– Od jak dawna pan tam jest?

– Nie wiem. Kiedy się zorientowałem, już tu byłem.

– Czy jeśli spuszczę drabinę, da pan radę wejść?

– Myślę, że tak – powiedziałem. – Pewnie tak.

– Niech pan chwilę zaczeka. Spuszczę drabinę.

Podczas kiedy on poszedł gdzieś po drabinę, ja powoli przyzwyczajałem oczy do światła. Nie mogłem jeszcze ich otworzyć, ale nie musiałem już zakrywać dłońmi. Na szczęście słońce niezbyt mocno świeciło. Był na pewno środek dnia, tylko pewnie pochmurnego. A może zbliżał się zmierzch? Wkrótce usłyszałem dźwięk spuszczonej metalowej drabiny.

– Proszę mi dać jeszcze chwilę – powiedziałem. – Oczy nie przywykły mi jeszcze do światła, nie chcę ich podrażnić.

– Oczywiście. Proszę się nie śpieszyć – odparł Menshiki.

– Ale dlaczego tu było tak ciemno? Nie dochodził ani jeden promień światła.

– Dwa dni temu położyłem na pokrywie plandekę. Były ślady tego, że ktoś ruszał tę pokrywę, przyniosłem więc z domu grubą plandekę, wbiłem w ziemię śledzie i przymocowałem ją do nich linką, żeby nie można było łatwo dostać się do pokrywy. Bo było niebezpieczeństwo, że może tam wpaść jakieś dziecko. Oczywiście dokładnie wtedy sprawdziłem, że w środku nikogo nie ma. Dół był zupełnie pusty.

Nareszcie zrozumiałem, co się stało. Menshiki położył na pokrywie plandekę.

Dlatego na dnie zrobiło się zupełnie ciemno. To miało sens.

– Nie było śladów tego, że ktoś tę plandekę odsuwał. Wyglądała tak samo, jak kiedy ją przymocowałem. Więc jak pan się właściwie tam dostał? Zupełnie tego nie rozumiem – zastanawiał się Menshiki.

– Ja też nie rozumiem – odparłem. – Nagle się zorientowałem, że tu jestem.

Inaczej nie mogłem tego wytłumaczyć. Ani nie zamierzałem.

– Może ja tam do pana zejdę? – zapytał Menshiki.

– Nie, niech pan zostanie na górze. Sam wyjdę.

Niebawem mogłem już trochę otworzyć oczy. Pod powiekami jeszcze wirowały mi różne tajemnicze kształty, ale świadomość działała chyba bez problemu. Upewniłem się, gdzie stoi drabina, i spróbowałem postawić stopę na szczeblu, ale noga mnie nie słuchała. Czułem, jakby przestała być moją nogą. Dlatego szedłem po drabinie szczebel po szczeblu, nieśpiesznie, uważnie stawiając stopy. Im bliżej było powierzchni, tym świeższe stawało się powietrze. Teraz słyszałem już także ćwierkanie ptaków.

Kiedy dosięgnąłem dłońmi ziemi, Menshiki mocno chwycił mnie za nadgarstki i wyciągnął. Chwycił je zadziwiająco mocno. Miał siłę, na której można było spokojnie polegać. Byłem za to z całego serca wdzięczny. Wyczerpany upadłem na plecy na ziemię. Nad głową miałem niebo. Tak jak przypuszczałem, pokrywały je szare chmury. Nie wiedziałem jeszcze, która jest godzina. Poczułem na czole ciężkie krople deszczu. Bardzo mnie cieszyły te nieregularne krople. Nigdy przedtem nie zauważyłem, jak przyjemnie jest czuć deszcz na twarzy. Jak bardzo jest pełen życia. Nawet taki zimny deszcz z początków zimy.

– Jestem bardzo głodny. Chce mi się pić. I strasznie mi zimno. Jakbym zamarznął – powiedziałem. Więcej nie mogłem powiedzieć. Szczękałem zębami.

Menshiki otoczył mnie ramieniem i powoli ruszyliśmy drogą przez las. Nie bardzo udawało mi się stawiać równe kroki, więc Menshiki prawie mnie wlokł. Był znacznie silniejszy, niż myślałem. Na pewno codziennie ćwiczył mięśnie w tej swojej siłowni.

– Ma pan klucz do domu? – zapytał.

– Po prawej od wejścia jest doniczka. Klucz jest pod nią. Powinien być.

Mogłem tylko powiedzieć, że p o w i n i e n tam być. Nie było na tym świecie nic, o czym mogłem się wypowiedzieć z pewnością. Ciągle drżałem z zimna. Tak szczękałem zębami, że sam nie rozumiałem, co mówię.

– Podobno Marie wróciła bezpiecznie do domu dziś po dwunastej – powiedział Menshiki. – Całe szczęście. Mnie też spadł kamień z serca. Shōko Akikawa dała mi znać godzinę temu. Dzwoniłem do pana wiele razy, ale nikt nie odbierał. Więc zacząłem się trochę martwić i przyjechałem tu. Wtedy usłyszałem dochodzące z lasu ciche dzwonienie. Więc na wszelki wypadek zdjąłem plandekę.

Wyszliśmy z lasu. Srebrny jaguar Menshikiego jak zawsze stał spokojnie przed domem. Niezmiennie bez jednej plamki.

– Dlaczego ten samochód jest zawsze taki piękny? – zapytałem Menshikiego. Może to pytanie nie pasowało do sytuacji, ale od dawna chciałem go o to zapytać.

– Sam nie wiem dlaczego – odparł bez większego zainteresowania. – Kiedy nie mam nic do roboty, staram się sam go myć. Dokładnie go czyszczę. Poza tym raz w tygodniu przyjeżdża fachowiec i go woskuje. Oczywiście trzymam samochód w garażu, więc nie jest wystawiony na wiatr i deszcz. To wszystko.

To wszystko, pomyślałem. Moja toyota kombi od pół roku stojąca na dworze na pewno popadnie w przygnębienie. Może nawet zemdleje.

Menshiki wyciągnął klucz spod doniczki i otworzył drzwi.

– A jakiś dziś dzień? – zapytałem.

– Dziś? Dziś jest wtorek.

– Wtorek? Jest pan pewien?

Na wszelki wypadek Menshiki poszukał w pamięci.

– Wczoraj był poniedziałek, dzień recyklingu szkła i puszek, więc dziś jest na pewno wtorek.

U Tomohika Amady byłem w sobotę. To znaczy, że od tego czasu minęły trzy dni. Wcale by mnie nie zdziwiło, gdyby to nawet były trzy tygodnie, trzy miesiące albo trzy lata. Ale w każdym razie minęły trzy dni. Wbiłem to sobie do głowy. Potem potarłem dłonią brodę. Nie było na niej jednak trzydniowego zarostu. Wydała się zadziwiająco gładka. Dlaczego?

Menshiki najpierw zaprowadził mnie do łazienki. Pomógł mi wziąć gorący prysznic i włożyć czyste ubranie. To, które miałem na sobie, było ubłocone i podziurawione. Wrzuciłem wszystko do kosza na śmieci. Skórę miałem w różnych miejscach poobcieraną i zaczerwienioną, ale nigdzie nie zauważyłem ran. A przynajmniej takich krwawiących.

Następnie zaprowadził mnie do jadalni, posadził na krześle i najpierw powoli napił wodą. Nieśpiesznie opróżniłem dużą butelkę wody mineralnej. Podczas gdy

piłem, Menshiki znalazł w lodówce kilka jabłek i obrał je. Bardzo szybko i sprawnie posługiwał się nożem. Pełen podziwu beczynnemu mu się przyglądałem. Obrane i ułożone na talerzu jabłka wyglądały wykwintnie i pięknie.

Zjadłem trzy albo cztery. Były pyszne – nie mogłem się nadziwić, że jabłka mogą być takie pyszne. Z całego serca dziękowałem stwórcy, że w ogóle przyszedł mu do głowy taki owoc. Kiedy skończyłem jabłka, Menshiki znalazł gdzieś pudełko krakersów. Zjadłem je. Trochę zwilgotniały, ale i tak były to najlepsze krakersy na świecie. W tym czasie Menshiki zagotował wodę, zaparzył herbatę i dodał do niej miodu. Wypiłem kilka filiżanek. Herbata z miodem rozgrzała mnie od środka.

– Zje pan omlet? – zapytał Menshiki.

– Jeśli można – powiedziałem. Musiałem czymś wypełnić żołądek.

Menshiki wyjął z lodówki cztery jajka, rozbił je w misce, szybko rozmieszał pałeczkami, dodał mleka, soli i pieprzu. Potem znowu dobrze rozmieszał. Robił to z dużą wprawą. Zapalił gaz, rozgrzał małą patelnię, włożył na nią trochę masła. Znalazł w szufladzie łopatkę i zręcznie usmażył omlet.

Tak jak przewidywałem, zrobił to perfekcyjnie. Mógłby bez żadnego przygotowania wystąpić w kulinarnym programie telewizyjnym. Widząc, jak robi omlet, każda gospodyni domowa na pewno westchnęłaby z zazdrością. Omlety robił – może także omlety robił – z wielką gracją, bardzo efektownie i wyrefinowanie, niczego nie przeoczył. Ja tylko się z podziwem przyglądałem. Niebawem omlet wylądował na talerzu i pojawił się przede mną wraz z ketchupem.

Był tak piękny, że instynktownie chciałem go narysować. Lecz bez wahania zatopiłem w nim nóż i błyskawicznie podniosłem kęs do ust. Nie tylko pięknie wyglądał, ale miał bardzo delikatny smak.

– Ten omlet to czysta perfekcja – powiedziałem.

Menshiki się roześmiał.

– Wcale nie. Udawały mi się lepiej.

Jak mogły być lepsze? Może rosły im wspaniałe skrzydła i potrafiły w dwie godziny dolecieć z Tokio do Osaki?

Kiedy skończyłem, Menshiki sprzątnął talerz. Głód wreszcie przestawał mi dokuczać. Menshiki usiadł naprzeciw mnie przy stole.

– Czy możemy chwilę porozmawiać? – zapytał.

– Oczywiście.

– Nie jest pan zmęczony?

– Może i jestem. Ale musimy porozmawiać o różnych sprawach.

Menshiki skinął głową.

– Jest kilka luk, które wymagają wypełnienia w związku z tym, co się działo w ciągu tych paru dni.

Jeśli są to luki, które da się wypełnić, pomyślałem.

– Prawdę mówiąc, w niedzielę też u pana byłem – powiedział Menshiki. – Dzwoniłem i dzwoniłem, ale pan nie odbierał, więc się zacząłem trochę martwić i postanowiłem sprawdzić, co się dzieje. To było koło pierwszej.

Skinąłem głową. Byłem wtedy w j a k i m ś i n n y m m i e j s c u.

– Kiedy zadzwoniłem do drzwi, otworzył mi syn pana Tomohika Amady. Zdaje się, że ma na imię Masahiko, prawda?

– Tak, Masahiko Amada, mój stary przyjaciel. Ten dom należy do niego i ma klucz, więc może wejść, nawet kiedy mnie nie ma.

– On, jak by to powiedzieć... bardzo się o pana martwił. Mówił, że w sobotę pojechali panowie do domu opieki odwiedzić jego ojca, Tomohika Amadę, i pan nagle zniknął z tego pokoju.

Przytaknąłem bez słowa.

– Pan Masahiko wyszedł, żeby odebrać telefon z pracy, a pan w tym czasie nieoczekiwanie zniknął. Ten dom opieki znajduje się w górach na wyżynie Izu i do najbliższej stacji jest kawał piechotą. Ale nic nie wskazywało na to, że wezwał pan taksówkę. Poza tym ani recepcjonistka, ani strażnik przy bramie nie widzieli, żeby pan wychodził. Dzwonił potem do pana, lecz pan nie odbierał. Dlatego zmartwiony specjalnie aż tu przyjechał. Naprawdę się martwił, że coś się stało. Że mogło pana spotkać coś złego.

Westchnąłem.

– Wszystko mu wytłumaczę. Tak się martwi o ojca, a jeszcze musiał się martwić o mnie. A w jakim stanie jest Tomohiko Amada?

– Od niedawna jest cały czas w śpiączce. Nie odzyskuje przytomności. Syn zatrzymał się tego dnia gdzieś niedaleko domu opieki. Przyjechał tu, żeby zobaczyć, co się dzieje, w drodze powrotnej do Tokio.

– Lepiej do niego zadzwonię – powiedziałem, kręcąc głową.

– Tak – zgodził się Menshiki, kładąc dłonie na stole. – Ale jeśli ma pan się z nim kontaktować, lepiej mieć jakieś logiczne wyjaśnienie tego, gdzie pan był i co

robił przez te trzy dni. I na temat tego, jak pan zniknął z tego domu opieki. Myślę, że nie przekona go pan, jeśli pan tylko powie: „Nagle się zorientowałem, że tu wróciłem”.

– Pewnie nie – przyznałem. – A pan? Czy pana przekonało, co powiedziałem?

Menshiki skrzywił się niepewnie i na pewien czas zamyślił. Potem powiedział:

– Ja od dawna konsekwentnie myślę logicznie. Zostałem w tym przeszkolony. Ale z jakiegoś powodu trudno mi logicznie podejść do tego dołu za kapliczką. Nie mogę się oprzeć przekonaniu, że tam wszystko jest możliwe. To wrażenie stało się jeszcze silniejsze, od kiedy spędziłem godzinę na jego dnie. To nie jest zwykły dół. Lecz ktoś, kto tego nie doświadczył, nie zrozumie, że można tak myśleć.

Milczałem. Nie mogłem znaleźć odpowiednich słów.

– Pewnie będzie pan musiał się upierać, że niczego pan nie pamięta – powiedział Menshiki. – Nie wiem, czy panu uwierzy, ale chyba nie ma innego wyjścia.

Skinąłem głową. Pewnie nie było innego wyjścia.

– W życiu jest kilka rzeczy, których nie da się sensownie wytłumaczyć, i kilka rzeczy, których nie należy tłumaczyć. Szczególnie w przypadkach, gdy w wyniku tłumaczenia coś cennego zostanie utracone.

– Czy pan też miał takie doświadczenie?

– Oczywiście, że tak – powiedział Menshiki i lekko się uśmiechnął. – Kilka razy.

Dopiłem do końca herbatę.

– Marie nic się nie stało, nie była ranna?

– Ubłocona i trochę pokaleczona, ale nie miała poważnych obrażeń. Jakby się przewróciła i poobcierała skórę. Tak samo jak pan.

Tak samo jak ja?

– A co robiła i gdzie była przez tych kilka dni?

Menshiki wyglądał na zakłopotanego.

– Na ten temat nic nie wiem. Wiem tylko tyle, że niedawno wróciła do domu. Ubłocona i lekko pokaleczona. Tylko tyle się dowiedziałem. Pani Shōko też była jeszcze zdenerwowana i nie była w stanie mi wszystkiego dokładnie przez telefon wyjaśnić. Myślę, że jak wszystko się trochę uspokoi, powinien pan ją bezpośrednio zapytać. Albo, jeśli to będzie możliwe, zapytać samą Marie.

Skinąłem głową.

– Tak, ma pan rację. Tak zrobię.

– Chyba lepiej, żeby się pan teraz przespał?

Dopiero na te słowa uświadomiłem sobie, że jestem strasznie śpiący. Mimo że tak głęboko spałem na dnie dołu (chyba spałem), ogarnęła mnie teraz nieopanowana senność.

– Tak, ma pan rację. Może lepiej się trochę zdrzemnę – powiedziałem, patrząc bezmyślnie na grzbiety leżących na stole pięknych dłoni Menshikiego.

– Niech pan dobrze odpocznie. To będzie najlepsze. Czy ja mogę jeszcze w czymś panu pomóc?

Potrząsnąłem głową.

– Nic mi w tej chwili nie przychodzi do głowy. Dziękuję.

– To ja już polecę. W razie czego proszę się nie krępować i dzwonić. Myślę, że będę w domu – powiedział Menshiki, powoli wstając z krzesła. – Dobrze, że Marie się znalazła. I dobrze, że udało mi się pana uratować. Prawdę mówiąc, ja też ostatnio źle sypiam. Dlatego także się prześpię po powrocie do domu.

Wyszedł. Jak zwykle rozległ się zdecydowany odgłos zamykanych drzwi samochodu, potem głęboki pomruk silnika. Upewniwszy się, że się oddala, rozebrałem się i położyłem do łóżka. Przyłożyłem głowę do poduszki i przez krótką chwilę myślałem o starych dzwonkach (a właśnie – zostawiłem je wraz z latarką w tym dole), a potem zapadłem w głęboki sen.



Rozdział 57

Sprawy, którymi musiałem się kiedyś zająć

Obudziłem się o drugiej piętnaście. Znów byłem w głębokiej ciemności. Przez chwilę miałem złudzenie, że ciągle jestem na dnie dołu, ale szybko się zorientowałem, że to nieprawda. Charakter kompletnej ciemności dna dołu różnił się od ciemności nocy na powierzchni ziemi. Na ziemi nawet w głębokim mroku dało się wyczuć obecność światła. To co innego niż ciemność, do której nie dochodzi żaden promień. Teraz była druga piętnaście w nocy i słońce akurat znajdowało się po przeciwnej stronie kuli ziemskiej. To wszystko.

Zapaliłem lampkę przy łóżku, wstałem, poszedłem do kuchni i wypłem kilka szklanek zimnej wody. Wokół panowała cisza. Było wręcz zbyt cicho. Wyteżyłem słuch, lecz nie dosłyszałem żadnych dźwięków. Wiatru też nie było. Przyszła zima, więc świerszcze przestały grać. Nie słyszałem śpiewu nocnych ptaków. Ani dzwonek. Przypomniałem sobie, że pierwszy raz usłyszałem ich dźwięk akurat o tej porze. Właśnie o tej porze najczęściej dochodziło do niezwykłych wydarzeń.

Wiedziałem, że już nie usnę. Sen zupełnie mnie odszedł. Nałożyłem na piżamę sweter i poszedłem do pracowni. Uświadomiłem sobie, że wchodzę tam po raz pierwszy od chwili powrotu do domu. Martwiłem się o kilka obrazów, które tam trzymałem. Szczególnie o *Śmierć Komandora*. Menshiki mówił, że pod moją nieobecność był tu Masahiko. Mógł wejść do pracowni i zobaczyć obraz. Oczywiście od razu by poznał, że to dzieło ojca. Ale ja ten obraz zakryłem. Martwiłem się o niego, więc zdjąłem go ze ściany i na wszelki wypadek owinąłem cienkim białym płótnem. Jeżeli Masahiko płótna nie odwinął, to na pewno go nie widział.

Po wejściu do pracowni sięgnąłem do włącznika na ścianie i zapaliłem światło. W pracowni też panowała cisza. Oczywiście nikogo tam nie było. Ani Komandora, ani Tomohika Amady. Tylko ja.

Śmierć Komandora stała na podłodze owinięta płótnem. Nie wyglądało na to, że ktoś ją ruszał. Oczywiście nie miałem pewności. Ale w atmosferze wokół było coś takiego, co mi mówiło, że obrazu nikt nie dotykał. Odwinąłem płótno, spod niego ukazała się *Śmierć Komandora*. Nic się w obrazie nie zmieniło od czasu, kiedy go ostatni raz widziałem. Był na nim Komandor. Był Don Giovanni przebijający go mieczem. Był służący Leporello, który stał obok i patrzył z zapartym tchem. Była piękna Donna Anna z niedowierzaniem zakrywająca usta dłonią. No i w lewym dolnym rogu niesamowity Długogęby, po otwarciu kwadratowej pokrywy wystawiający spod ziemi głowę.

Szczerze mówiąc, w głębi serca się obawiałem, czy przypadkiem w wyniku moich działań na obrazie nie zaszło kilka zmian. Na przykład mogła zostać zamknięta pokrywa, a w rezultacie sam Długogęby by zniknął. Albo Komandor byłby zabity nie długim mieczem, a nożem kuchennym. Lecz choć dokładnie się przyjrzałem wszystkim szczegółom, nie dostrzegłem żadnych zmian. Długogęby niezmiennie otwierał pokrywę i ukazywał spod niej swoją twarz o dziwnym kształcie. Rozglądał się dookoła wytrzeszczonymi oczami. Komandor został przebity długim mieczem i broczył świeżą krwią. Obraz był nadal tym samym dziełem o perfekcyjnej kompozycji. Podziwiałem go przez pewien czas, a potem znów owinąłem płótnem.

Następnie obejrzałem dwa własne obrazy. Stały obok siebie na sztalugach. Jednym był poziomy *Leśny dół*, drugim pionowy *Portret Marie Akikawy*. Uważnie je ze sobą porównałem. Oba wyglądały tak samo jak wtedy, kiedy je ostatni raz widziałem. W ogóle się nie zmieniły. Jeden był już skończony, drugi czekał jeszcze na wykończenie.

Potem odwróciłem stojącego przy ścianie *Mężczyznę z białego subaru forestera*, usiadłem na ziemi i zacząłem mu się przyglądać. Spośród wielu warstw farb w kilku kolorach spoglądał na mnie mężczyzna z białego subaru forestera. Nie namalowałem go realistycznie, ale wyraźnie widziałem, że się tam ukrywa. Był za farbami, które grubo nałożyłem nożem, i patrzył prosto na mnie przenikliwymi jak u nocnego ptaka oczami. Jego twarz nie miała żadnego wyrazu. I nie zgadzał się na ukończenie tego obrazu – na to, żeby jego postać stała się wyraźna. Nie życzył sobie, by wyciągano go z mroku na światło dzienne i pokazywano.

Ale i tak pewnie kiedyś porządnie go namaluję. Wyciągnę go z mroku, choćby stawiał opór. Teraz pewnie jeszcze nie dam rady, ale kiedyś tego dokonam.

Na koniec znów skierowałem wzrok na *Portret Marie Akikawy*. Doszedłem do stadium, w którym nie musiała mi więcej pozować. Wystarczyło już tylko kilka

technicznych wykończeń. A wtedy wejdzie do grupy prac ukończonych. Może się okazać obrazem, z którego – spośród wszystkich dotąd przeze mnie namalowanych – będę najbardziej zadowolony. W każdym razie powinna się z niego wyraźnie wyłonić żywa postać pięknej trzynastolatki zwanej Marie Akikawą. Na tyle wierzyłem w swoje umiejętności. Ale pewnie go nie skończę. Będę go musiał zostawić w takim stanie po to, żeby coś w niej ochronić. Zdawałem sobie z tego sprawę.

Było kilka rzeczy, którymi musiałem się jak najszybciej zająć. Pierwsza to telefon do Shōko Akikawy, żeby bezpośrednio od niej usłyszeć, jakie były okoliczności powrotu Marie. Druga to telefon do Yuzu, żeby jej powiedzieć, że chcę się z nią spotkać i spokojnie porozmawiać. W tym czarnym dole postanowiłem, że muszę to zrobić. Przyszedł czas na spotkanie. Poza tym musiałem oczywiście pogadać z Masahikiem, żeby mu wyjaśnić, dlaczego nagle zniknąłem z pokoju w domu opieki i na trzy dni zaginął po mnie wszelki ślad (choć nie miałem pojęcia, jak mu to wyjaśnić, a właściwie, jak dać się to wyjaśnić).

No ale rozumie się samo przez się, że nie mogłem do nich dzwonić przed świtem. Musiałem poczekać na normalniejszą porę. Taka pora pewnie niebawem nadejdzie – o ile czas płynął zwykłym trybem. Podgrzałem w rondlu mleko, napiłem się i jedząc herbatniki, wyglądałem przez okno. Rozciągała się za nim ciemność. Bezwieżdna ciemność. Był jeszcze czas do świtu. O tej porze roku noce były najdłuższe.

Nie miałem pojęcia, co teraz robić. Najrozsądniej byłoby wrócić do łóżka i zasnąć, ale nie byłem już śpiący. Nie miałem ochoty czytać ani pracować. Nie przychodziło mi do głowy nic, czym mógłbym się zająć, postanowiłem więc się wykapać. Puściłem wodę do wanny i położywszy się na kanapie, patrzyłem bezmyślnie w sufit, czekając, aż kąpiel będzie gotowa.

Dlaczego musiałem przejść przez ten podziemny świat? Żeby się tam dostać, własnymi rękami zabiłem Komandora. On złożył życie w ofierze, a mnie czekało w świecie mroku kilka prób. Oczywiście na pewno była ku temu jakaś przyczyna. W tym podziemnym świecie kryły się niewątpliwe niebezpieczeństwa i niezaprzeczalny strach. Wszystko mogło się tam zdarzyć, nawet bardzo niezwykle rzeczy. I chyba dzięki temu, że jakoś przeszedłem przez ten świat i przetrwałem ten proces, udało mi się uwolnić skądś Marie. A przynajmniej bezpiecznie wróciła do domu. Tak jak przepowiedział Komandor. Ale nie udało mi się dostrzec bezpośredniego związku między tym, co mnie spotkało w podziemnym świecie,

a powrotem Marie.

Może woda z tej rzeki miała jakieś znaczenie? Może dzięki temu, że ją wypilem, coś się we mnie zmieniło? Nie potrafiłem tego logicznie wytłumaczyć, ale moje ciało doznawało wyraźnie takiego uczucia. Dzięki temu, że zaakceptowałem tę zmianę, udało mi się przedrzeć na drugą stronę przez szczelinę tak wąską, że na początku zdawało się to niemożliwe. Donna Anna i moja siostra Komi pokazywały mi drogę i dodawały odwagi, pomagając mi przemóc głęboki strach, który wywoływało we mnie przebywanie w zamknięciu. Nie, może Donna Anna i Komi były jedną i tą samą osobą? Ochroniły mnie przed mocą ciemności, może broniły też jednocześnie Marie?

Ale gdzie Marie mogła być uwięziona? Przede wszystkim, czy naprawdę była gdzieś uwięziona? Czy to, że dałem przewoźnikowi (Mężczyźnie Bez Twarzy) amulet o kształcie pingwina (choć właściwie nie miałem innego wyjścia), wywołało jakieś niepożądane skutki? A może wręcz przeciwnie, ta figurka w jakiś sposób ją ochroniła?

Wątpliwości jedynie przybywało.

Może sama Marie, która w końcu się zjawiała, w mniejszym lub większym stopniu coś mi wyjaśni? Mogłem tylko czekać. Ale może też być tak, że wszystko dobiegnie końca i nic nie zostanie wytłumaczone. Może Marie nie pamięta tego, co ją spotkało. Albo może pamięta, ale postanowiła, że nic nikomu na ten temat nie powie (tak samo jak ja).

Tak czy inaczej, musiałem jeszcze raz spotkać się z Marie w tym rzeczywistym świecie i spokojnie w cztery oczy z nią porozmawiać. Musieliśmy się wymienić informacjami na temat tego, co nas spotkało w ciągu ostatnich kilku dni. O ile to będzie możliwe.

Ale czy to naprawdę był rzeczywisty świat?

Rozejrzałem się jeszcze raz dookoła. Widziałem dobrze mi znane przedmioty. Wiatr wpadający przez okno pachniał tak samo jak zwykle, słyszałem dobrze sobie znane dźwięki.

Ale może to wszystko tylko na pierwszy rzut oka wygląda na realny świat, a naprawdę nim nie jest? Może ja sobie tylko to wmówiłem? Może wszedłem do dziury na wyżynie Izu, przebyłem podziemną krainę, po trzech dniach wyszedłem złym wyjściem w góry w okolicach Odawary? Nie było żadnego dowodu, że świat, do którego wróciłem, jest tym samym co ten, z którego wyszedłem.

Wstałem z kanapy, rozebrałem się i wziąłem kąpiel. Ponownie starannie

umyłem mydłem całe ciało. Umyłem zęby, wyczyściłem uszy i obciąłem paznokcie. Ogoliłem się też (choć zarost nie bardzo mi urósł). Powtórnie zmieniłem bieliznę. Włożyłem świeżo uprasowaną białą koszulę i bawełniane chinosy w kolorze khaki. Starłem się jak najlepiej zaprezentować realnemu światu. Ale do rana było jeszcze daleko. Za oknem panowała zupełna ciemność. Wydawało mi się wręcz, że świt nigdy nie nadejdzie.

Jednak niebawem niebo się rozjaśniło. Zaparzyłem świeżą kawę, zrobiłem grzanki i zjadłem je z masłem. Lodówka była prawie pusta. Tylko dwa jajka, skwaśniałe mleko i trochę warzyw. Pomyślałem, że muszę dziś iść po zakupy.

Kiedy zmywałem kubek po kawie i talerz, nagle uświadomiłem sobie, że dawno nie widziałem się ze swoją dziewczyną mężatką. Jak długo się już nie widzieliśmy? Bez sprawdzenia w dzienniku nie byłem pewien dokładnej daty. W każdym razie już dość dawno. Tak dużo się ostatnio wokół mnie działo i doszło do kilku niezwykłych, nieprzewidzianych wydarzeń, więc nie zauważyłem, że od pewnego czasu się nie odzywa.

Ciekawe dlaczego? Do tej pory dzwoniła co najmniej dwa razy w tygodniu. „Jak się masz? Co słyhać?” – pytała. Ale ja nie mogłem do niej zadzwonić. Nie podała mi numeru swojej komórki, a ja nie używałem poczty elektronicznej. Dlatego, żeby się z nią spotkać, musiałem czekać, aż zadzwoni.

Zadzwoniła po dziewiątej, akurat kiedy moje myśli błądziły wokół niej.

- Muszę ci coś powiedzieć – powiedziała bez wstępów.
- Dobra, mów – odparłem.

Stałem oparty o blat w kuchni. Gęste chmury pokrywające dotąd niebo zaczęły się trochę przerzedzać i wyjrzało zza nich nieśmiało wczesnozimowe słońce. Pogoda się chyba poprawiała. Ale zdawało mi się jakoś, że to, o czym ona chce rozmawiać, nie okaże się przyjemne.

– Myślę, że lepiej będzie, żebym się z tobą więcej nie spotykała – powiedziała. – Szkoda, prawdę mówiąc.

Z brzmienia jej głosu nie potrafiłem ocenić, czy naprawdę jej szkoda. Był pozbawiony wyrazu.

- Jest kilka przyczyn.
- Kilka przyczyn – powtórzyłem.
- Po pierwsze, mąż zaczął mnie trochę podejrzewać. Chyba coś we mnie

wyczuwa.

– Wyczuwa – powtórzyłem.

– W takiej sytuacji w kobiecie można coś takiego wyczuć. Na przykład zaczyna zwracać większą uwagę na makijaż czy stroje albo konsekwentnie przestrzega diety. Uważałam, żeby nie dało się po mnie nic poznać, ale i tak się nie udało.

– Aha.

– A poza tym nie da się czegoś takiego ciągnąć w nieskończoność.

– Czegoś takiego – powtórzyłem.

– Czyli czegoś, co nie ma przyszłości. Nie ma rozwiązania.

Rzeczywiście miała rację. Nasz związek „nie miał przyszłości”, „nie miał rozwiązania”. Dalsze ciągnięcie go było zbyt ryzykowne. Ja nie miałem specjalnie nic do stracenia, ale ona miała normalną rodzinę i dwie nastoletnie córki chodzące do prywatnej szkoły dla dziewcząt.

– Po drugie – ciągnęła – córka ma duży problem. Ta starsza.

Starsza córka. O ile pamiętałem, to była ta dziewczynka, która miała dobre stopnie, słuchała rodziców i nie stwarzała problemów.

– Ma problem?

– Budzi się, ale nie wstaje z łóżka.

– Nie wstaje z łóżka?

– Czy możesz przestać powtarzać wszystko jak papuga?

– Przepraszam. Ale o czym ty mówisz? Jak to nie wstaje z łóżka?

– Właśnie tak, jak mówię. Od dwóch tygodni nie wstaje z łóżka. Nie chodzi do szkoły. Cały dzień leży w piżamie w łóżku. Nie odpowiada, kiedy ktoś do niej mówi. Nawet jak jej się zanieśie jedzenie do łóżka, prawie go nie rusza.

– Radziłaś się psychologa czy kogoś takiego?

– Oczywiście. Radziłam się psychologa szkolnego. Ale na nic się to nie zdało.

Zastanowiłem się nad tym. Ale co mogłem powiedzieć? Nawet nigdy nie widziałem tej dziewczynki.

– I dlatego myślę, że nie mogę się z tobą więcej spotykać.

– Bo musisz być w domu i zajmować się córką?

– Również dlatego. Choć to nie wszystko.

Więcej nie powiedziała, ale ja domyślałem się, co jej leży na sercu. Bała się

i jako matka czuła się odpowiedzialna za swoje postępowanie.

– Bardzo szkoda – powiedziałem.

– Myślę, że mnie bardziej szkoda niż tobie.

Pomyślałem, że może mieć rację.

– Na koniec chcę ci tylko jedno powiedzieć – oznajmiła. Potem wzięła szybki, głęboki oddech.

– Co mi chcesz powiedzieć?

– Myślę, że zostaniesz dobrym malarzem. To znaczy, jeszcze lepszym niż teraz.

– Dziękuję. To mnie bardzo podnosi na duchu.

– Żegnaj.

– Trzymaj się – powiedziałem.

Odłożyłem słuchawkę, poszedłem do salonu, położyłem się na kanapie i myślałem o swojej zamężnej dziewczynie, gapiąc się w sufit. Właściwie tak często się spotykaliśmy, a nigdy mi nie przyszło do głowy, żeby namalować jej portret. Jakoś nie miałem na to ochoty. Zamiast tego zrobiłem kilka szkiców. W małym szkicowniku ołówkiem 2B, takich szybkich, rysowanych jedną linią. W większości była na tych rysunkach naga, w nieprzyzwoitych pozach. Na jednym miała szeroko rozchylone uda i pokazywała waginę. Narysowałem ją także podczas stosunku. To były proste szkice, ale bardzo realistyczne. I strasznie nieprzyzwoite. Bardzo jej się podobały.

– Jesteś naprawdę dobry w takich świńskich rysunkach. Tak niby od niechcenia je rysujesz, a są strasznie podniecające.

– To tylko zabawa – powiedziałem.

Rysowałem je, a potem wszystkie wyrzucałem. Ktoś mógłby je zobaczyć, więc nie mogłem ich zachować. Ale może powinienem był jeden po kryjomu zatrzymać. Żeby sobie samemu udowodnić, że ona naprawdę istniała.

Powoli podniosłem się z kanapy. Dzień się dopiero zaczynał. Musiałem porozmawiać z kilkoma osobami.



Rozdział 58

Jakbym słuchał opowieści o pięknych kanałach na Marsie

Zadzwoiłem do Shōko Akikawy. Minęło pół do dziesiątej. Pora, kiedy większość ludzi rozpoczęła już codzienne działania. Lecz nikt nie odebrał. Po kilku dzwonekach włączyła się automatyczna sekretarka. „Nie możemy teraz odebrać. Proszę zostawić wiadomość po sygnale...” Nie zostawiłem wiadomości. Może była zajęta załatwianiem różnych spraw związanych z nagłym zniknięciem i ponownym pojawieniem się siostrzenicy. Dzwoniłem kilka razy i odczekiwałem trochę, lecz ciągle nikt nie odbierał.

Potem zamierzałem zadzwonić do Yuzu, ale nie chciałem dzwonić w trakcie pracy, więc na razie zrezygnowałem. Poczekam do przerwy na lunch. Jak dobrze pójdzie, uda mi się chwilę z nią pogadać. To nie była sprawa wymagająca długiej rozmowy. Chciałbym niedługo się z tobą spotkać, zgodziłabyś się? – to właściwie wszystko. Odpowie tak albo nie i na tym koniec. Jeśli tak, ustalimy dzień, godzinę i miejsce. Jeśli nie, na tym rozmowa się zakończy.

Potem zadzwoniłem do Masahika, choć się do tego nie paliłem. Od razu się zgłosił. Usłyszawszy mój głos, westchnął bardzo głęboko.

– I co? Jesteś w domu?

Powiedziałem, że tak.

– Mogę niedługo do ciebie oddzwonić?

Powiedziałem, że może. Telefon odezwał się po piętnastu minutach. Może poszedł z komórką na dach albo w inne odosobnione miejsce.

– Gdzie ty właściwie byłeś? – zapytał niezwykle u niego surowym tonem. – Zniknąłeś nagle bez słowa z domu opieki i nie wiedziałem, co się z tobą stało. Pojechałem specjalnie do Odawary zobaczyć, co jest grane.

– Bardzo cię przepraszam – powiedziałem.

- Kiedy wróciłeś?
- Wczoraj wieczorem.
- I gdzie się wałęsałeś od sobotniego popołudnia do wczorajszego wieczoru?
- Prawdę mówiąc, zupełnie nie pamiętam, gdzie przez ten czas byłem i co robiłem – skłamałem.
- Twierdzisz, że nic nie pamiętasz, ale kiedy przyszedłeś do siebie, byłeś znowu w domu?
- Tak.
- Nie bardzo rozumiem. Ty poważnie mówisz?
- Nie umiem tego inaczej wytłumaczyć.
- Ale dla mnie to brzmi trochę, jakbyś kłamał.
- Takie rzeczy się przecież często zdarzają w filmach albo powieściach.
- Daj spokój. Kiedy oglądam telewizję, film albo serial i okazuje się, że ktoś stracił pamięć, od razu wyłączam. Bo to zbyt łatwy trik z punktu widzenia fabuły.
- Nawet Hitchcock posłużył się motywem amnezji.
- Chodzi ci o film *Urzeczona*? Jest drugorzędny wśród filmów Hitchcocka – powiedział Masahiko. – Więc jak było naprawdę?
- W tej chwili sam nie bardzo wiem, co się stało. Nie umiem połączyć w całość różnych kawałków. Może niedługo wróci mi pamięć. Myślę, że wtedy będę mógł ci wszystko porządnie wytłumaczyć. Teraz nie potrafię. Przepraszam, ale będziesz musiał jeszcze trochę poczekać.

Masahiko zastanawiał się nad czymś przez chwilę, ale wkrótce zrezygnował.

- Dobra. W tej chwili przyjmijmy, że straciłeś pamięć. Ale nie miało to nic wspólnego z narkotykami, alkoholem, chorobą psychiczną, podłą kobietą ani porwaniem przez kosmitów?
- Nie miało. Nie miało też nic wspólnego z łamaniem prawa ani obrażaniem moralności publicznej.
- Mam w nosie moralność publiczną. Ale powiedz mi jedną rzecz.
- Jaką?
- Jak w sobotę po południu wydostałeś się z domu opieki w Izu? Tam bardzo pilnują tego, kto wchodzi i wychodzi. Mają wśród pacjentów wiele sławnych osób, więc bardzo zależy im na tym, żeby nie wyciekały żadne prywatne informacje. Przy wejściu jest recepcja, firma ochroniarska pilnuje bramy przez dwadzieścia

cztery godziny na dobę, zainstalowali też kamery do monitoringu. A ty w biały dzień nagle stamtąd zniknąłeś. Nikt cię nie widział i nie zarejestrowała cię żadna kamera. Jak ci się to udało?

– Jest stamtąd sekretne wyjście.

– Sekretne wyjście?

– Korytarz, którym można wyjść, nie będąc przez nikogo zauważonym.

– Ale jak ty się o nim dowiedziałeś? Przecież pierwszy raz tam byłeś!

– Twój ojciec mi powiedział. A raczej powinienem powiedzieć, że mi dał wskazówkę. Chociaż nie dał mi jej bezpośrednio.

– Mój ojciec? – zdziwił się Masahiko. – Nie rozumiem, o co ci chodzi. Jego mózg przypomina teraz ugotowany kalafior.

– To też jedna z rzeczy, których nie bardzo potrafię wytłumaczyć.

– Co ja mam z tobą zrobić? – powiedział Masahiko z westchnieniem. – Gdybyś był normalny, powiedziałbym: „Przestań się wygłupiać” i bym się wściekł. Ale chodzi o ciebie, więc się poddaję. W końcu jesteś nienadającym się do niczego pomylnym facetem, który zamierza spędzić życie na malowaniu olejnych obrazów.

– Dziękuję. A właśnie, jak się ma twój ojciec?

– Kiedy w sobotę po zakończeniu rozmowy telefonicznej wróciłem do jego pokoju, a po tobie nie było śladu, ojciec zapadł w głęboki sen i nie wyglądało na to, że się obudzi, oddech miał bardzo słaby. Więc wpadłem w panikę. Nie mogłem zrozumieć, co się stało. Nie sądzę, że coś mu zrobiłeś, ale przecież mogłem tak pomyśleć w tej sytuacji.

– Strasznie mi przykro – powiedziałem. Naprawdę się tak czułem. Ale jednocześnie poczułem wielką ulgę, że nie zastał tam zakrwawionych zwłok Komandora.

– Powinno ci być strasznie przykro. Musiałem tam zostać na noc, zatrzymałem się w pobliskim pensjonacie. Siedziałem z ojcem, ale w końcu oddech mu się ustabilizował i stan się trochę poprawił, więc następnego dnia po południu wróciłem do Tokio. Zebrało mi się dużo zaległej pracy. Myślę, że w weekend znowu pojedę przy nim posiedzieć.

– Nie masz łatwo.

– Nie ma rady. Tak jak ci mówiłem wcześniej, umieranie to wielkie przedsięwzięcie. Najtrudniej jest na pewno jemu, więc nie można mieć pretensji.

– Chciałbym ci jakoś pomóc – powiedziałem.

– Nie ma już jak pomóc – odparł Masahiko. – Tylko wolałbym, żebyś nie stwarzał niepotrzebnie dodatkowych problemów... No, mniejsza o to, w każdym razie martwiłem się o ciebie, więc wracając do Tokio, wstąpiłem do domu ojca. Akurat wtedy wpadł też ten pan Menshiki. Przystojny siwowłosy dżentelmen w srebrnym jaguarze.

– Wiem, potem się z nim widziałem. Mówił mi, że wpadłeś i że rozmawialiście.

– Zamieniliśmy tylko parę słów przy drzwiach, ale wyglądał na dość interesującego człowieka.

– To b a r d z o interesujący człowiek – poprawiłem go, ale czułem, że to za mało.

– Czym się zajmuje?

– Niczym. Ma tak dużo pieniędzy, że nie musi pracować. Podobno obraca w internecie akcjami i walutami, ale traktuje to raczej jako hobby. Robi to dla zabicia czasu, a przy okazji nieźle zarabia.

– Co za świetne życie – powiedział Masahiko z podziwem. – Zupełnie jakbym słuchał opowieści o pięknych kanałach na Marsie. Marsjanie pływają po nich długimi wąskimi łodziami o zaostrzonych dziobach, wymachując złotymi wiosłami. Palą przy tym miodowe papierosy, wkładając je do uszu. Od samego słuchania robi się człowiekowi cieplej na sercu... A właśnie, znalazłeś nóż, który u ciebie ostatnim razem zostawiłem?

– Przykro mi, ale nie znalazłem – odparłem. – Nie wiem, gdzie się podział. Kupię ci nowy.

– Nie, nie przejmuj się tym. Pewnie tak jak ty gdzieś się zapodział i stracił pamięć. Niedługo wróci.

– Pewnie tak – powiedziałem. Czyli nóż nie został w pokoju Tomohika Amady. Zniknął gdzieś wraz z Komandorem i morzem krwi. Może, tak jak mówił Masahiko, niedługo tu wróci.

Na tym rozmowa się zakończyła. Obiecaliśmy sobie, że niebawem się zobaczymy, i się rozłączyliśmy.

Potem wsiadłem do strasznie zakurzonej toyoty corolli kombi i pojechałem do centrum handlowego kupić coś do jedzenia. Poszedłem do supermarketu i zrobiłem zakupy, dołączając do tłumu miejscowych gospodyń domowych. Przed południem

wyglądały na niezbyt zadowolone. Pewnie w ich życiu nie działo się nic podniecającego. Chyba nie wsiadały do łodzi w krainie metafor.

Wrzuciłem do wózka mięso, rybę, warzywa, mleko i tofu – wszystko, co mi wpadło w oko. Stałem w kolejce do kasy i zapłaciłem. Zaoszczędziłem pięć jenów, bo pokazałem kasjerce, że mam własną torbę na zakupy. Następnie poszedłem do taniego sklepu z alkoholem i kupiłem dwadzieścia cztery puszki piwa Sapporo. Po powrocie do domu uporządkowałem zakupy: schowałem jedzenie do lodówki, a to, co było do zamrożenia, owinąłem plastikiem i zamroziłem. Schowałem do lodówki sześć piw, żeby się schłodziły. Potem zagotowałem wodę w dużym garnku i ugotowałem szparagi oraz brokuły na sałatkę. Ugotowałem też kilka jajek. W każdym razie w ten sposób udało mi się wytracić trochę czasu. Jeszcze nieco mi zostało, więc pomyślałem o tym, żeby za przykładem Menshikiego umyć samochód, ale na myśl o tym, że i tak od razu się zakurzy, straciłem ochotę. Większy sens miało stanie w kuchni i gotowanie warzyw.

Kiedy zegar wskazał, że minęła dwunasta, zadzwoniłem do pracowni architektonicznej, w której pracowała Yuzu. Prawdę mówiąc, chciałem poczekać, aż się trochę uspokoję, i dopiero wtedy z nią porozmawiać, ale chciałem też jak najszybciej przekazać jej, co zdecydowałem na dzień tego ciemnego dołu. Gdybym tego nie zrobił, coś mogłoby spowodować, że zmienię zdanie. Ale na myśl, że zaraz będę z nią rozmawiał, słuchawka wydała mi się dziwnie ciężka. Odebrała kobieta o młodym, wesołym głosie, więc podałem swoje nazwisko i powiedziałem, że chciałbym prosić Yuzu.

– Czy jest pan jej mężem? – zapytała wesoło.

Odparłem, że tak. Ściśle mówiąc, już nim nie byłem, ale nie mogłem jej przecież dokładnie wyjaśnić całej sytuacji.

– Proszę chwilę poczekać – powiedziała.

Musiałem czekać dość długo, ale nie miałem nic pilnego do roboty, więc oparty o blat w kuchni czekałem spokojnie ze słuchawką przy uchu, aż Yuzu się zgłosi. Blisko okna przeleciał, wymachując skrzydłami, duży kruk. Jego czarne lśniące pióra zabłysły w słońcu.

– Halo – powiedziała Yuzu.

Przywitaliśmy się krótko. Nie miałem pojęcia, jak się powinna witać świeżo rozwiedziona para, jaki dystans należało zachować. Dlatego ograniczyłem się do

zupełnie zwyczajnego prostego powitania. Jak się masz? Dobrze. A ty? Nasze zdawkowe słowa wsiąkły natychmiast w suchą ziemię jak przelotny deszcz w pełni lata.

– Pomyślałem, że chciałbym się raz z tobą spotkać i spokojnie w cztery oczy porozmawiać na różne tematy – powiedziałem zdecydowanie.

– Na jakie różne tematy? – zapytała Yuzu.

Nie spodziewałem się takiego pytania (dlaczego się nie spodziewałem?), więc na chwilę mnie zatkało. Co to właściwie za różne tematy?

– Jeszcze nie przemyślałem szczegółów – powiedziałem, nieco się jękając.

– Ale chcesz porozmawiać na r ó ż n e t e m a t y?

– Tak. Bo właściwie doszło do takiej sytuacji, a my o niczym porządnie nie rozmawialiśmy.

Zastanawiała się przez chwilę. Potem powiedziała:

– Prawdę mówiąc, jestem w ciąży. Możemy się spotkać, ale mam już duży brzuch, więc się nie dziw.

– Wiem. Masahiko mi mówił. Podobno go prosiłaś, żeby mnie o tym zawiadomił.

– To prawda.

– Nie bardzo wiem, co myśleć na temat brzucha, ale jeśli to nie sprawi ci przykrości, cieszyłbym się, gdybyśmy mogli się spotkać.

– Możesz chwilę poczekać? – zapytała.

Czekałem. Wyjęła chyba kalendarzyk i sprawdzała, kiedy ma czas. W tym czasie ja próbowałem sobie przypomnieć, jakie piosenki śpiewał zespół The Go-Go's. Nie wydawało mi się, że był to tak świetny zespół, jak twierdził Masahiko, ale może to on miał rację, a mój światopogląd był skrzywiony.

– Mam czas w poniedziałek późnym popołudniem – powiedziała Yuzu.

Zrobiłem w głowie obliczenia. Dziś była środa. Poniedziałek był pięć dni po środzie. Dzień, w który Menshiki wystawiał butelki i puszki do recyklingu. Dzień, kiedy nie musiałem uczyć na kursach. Nie musiałem sprawdzać w kalendarzyku, bo nie miałem żadnych planów. Ciekawe, w jakim stroju Menshiki idzie wyrzucać śmieci.

– Może być w poniedziałek późnym popołudniem – powiedziałem. – Wszystko mi jedno gdzie i o której. Ty wybierz miejsce i godzinę, a ja się stawię.

Wymieniła nazwę kawiarni niedaleko parku Shinjuku Gyoen. Znałem dobrze tę kawiarnię. Była niedaleko jej pracy i kiedy jeszcze byliśmy małżeństwem, kilka razy się tam spotkaliśmy, bo mieliśmy po jej pracy iść gdzieś niedaleko na kolację. Kawalek stamtąd był niewielki bar, w którym za stosunkowo nieduże pieniądze serwowano świeże ostrygi. Lubiła niewielkie ostrygi z dużą ilością chrzanu i do tego zimne chablis. Ciekawe, czy ten bar ciągle tam jest?

– Możemy się umówić o szóstej?

Powiedziałem, że możemy.

– Myślę, że się nie spóźnię.

– Możesz się spóźnić. Poczekam.

Powiedziała, że w takim razie do zobaczenia, i odłożyła słuchawkę.

Przez pewien czas przyglądałem się słuchawce w swojej dłoni. Spotkam się z Yuzu. Ze swoją była żoną, która ma niebawem urodzić dziecko innego mężczyzny. Ustaliliśmy czas i miejsce spotkania. Nie było żadnego problemu. Ale jakoś nie miałem pewności, czy słusznie postępuję. Słuchawka nadal wydawała mi się bardzo ciężka. Zupełnie jakby pochodziła z epoki kamienia łupanego.

Ale czy w ogóle istnieje całkowicie słuszne albo całkowicie niesłuszne postępowanie? Na świecie, w którym żyliśmy, było trzydziestoprocentowe albo siedemdziesięcioprocentowe prawdopodobieństwo deszczu. Pewnie tak samo było z prawdą. Coś było trzydziestoprocentową prawdą albo siedemdziesięcioprocentową prawdą. W tym sensie kruki miały dobrze. Z ich punktu widzenia deszcz albo padał, albo nie. Myśl o procentach nigdy nawet nie powstała im w głowie.

Po rozmowie z Yuzu przez pewien czas nie mogłem się niczym zająć. Usiadłem na krześle w jadalni i spędziłem godzinę, gapiąc się głównie na wskazówki zegara. W następny poniedziałek spotkam się z Yuzu. I porozmawiamy o „różnych sprawach”. Spotkamy się po raz pierwszy od marca. Wtedy było zimne niedzielne popołudnie, padał cichy deszcz. A teraz jest w siódmym miesiącu ciąży. To duża zmiana. A ja byłem ciągle ten sam. Kilka dni temu w krainie metafor napiłem się wody z rzeki dzielącej byt od niebytu i przepравиłem się przez nią, ale nie do końca wiedziałem, czy coś się we mnie dzięki temu zmieniło, czy nie.

Potem podniosłem słuchawkę i jeszcze raz zadzwoniłem do Shōko Akikawy. Jednak nikt nie odebrał i znów zgłosiła się automatyczna sekretarka. Zrezygnowałem i usiadłem na kanapie w salonie. Po kilku telefonach nie miałem

nic do roboty. Miałem ochotę iść do pracowni i po długiej przerwie coś namalować, ale nic nie przychodziło mi do głowy.

Nastawiłem album *The River* Bruce'a Springsteena. Położyłem się na kanapie, zamknąłem oczy i przez pewien czas wsłuchiwałem się w muzykę. Kiedy strona A dobiegła końca, odwróciłem płytę i wysłuchałem strony B. Pomyślałem kolejny raz, że tej płyty właśnie tak powinno się słuchać. Gdy dobiegnie końca *Independence Day*, trzeba oburącz ją podnieść, obrócić i ostrożnie opuścić igłę na stronę B, a wtedy rozlegnie się *Hungry Heart*. Jeżeli nie można było go tak słuchać, co wart był ten album? Moim prywatnym zdaniem nie nadawał się do słuchania jednym ciągiem z płyty kompaktowej. To samo dotyczyło albumów *Rubber Soul* czy *Pet Sounds*. Wybitna muzyka wymaga określonych rytuałów słuchania. Pewnej postawy przy słuchaniu.

W każdym razie brzmienie E Street Band na albumie Springsteena było prawie bez zarzutu. Zespół wspierał piosenkarza, a on inspirował zespół. Na pewien czas zapomniałem o różnych kłopotach codzienności i wsłuchiwałem się w muzykę.

Kiedy skończyłem słuchać pierwszej płyty i podniosłem igłę, pomyślałem, że może powinienem też zadzwonić do Menshikiego. Nie rozmawiałem z nim od wczoraj, od czasu kiedy wyciągnął mnie z tego dołu. Ale jakoś nie miałem ochoty. Niekiedy czułem coś takiego w stosunku do tego człowieka. Był interesujący, ale niekiedy widywanie się z nim i rozmowa zdawały mi się strasznie męczące. Moje nastawienie do niego bardzo często się zmieniało. Nie wiedziałem dlaczego. W każdym razie teraz nie miałem ochoty słyszeć jego głosu.

W końcu postanowiłem do niego nie dzwonić. Zadzwonię później. Dzień się dopiero zaczął. Nastawiłem drugą płytę albumu *The River*. Położyłem się na kanapie i właśnie zacząłem słuchać *Cadillac Ranch* (wszyscy się kiedyś spotkamy na Cadillac Ranch), gdy zadzwonił telefon. Podniosłem igłę i poszedłem do jadalni odebrać. Przypuszczałem, że to pewnie Menshiki, ale dzwoniła Shōko Akikawa.

– Czy pan przypadkiem nie próbował kilka razy dodzwonić się do nas dziś rano?
– zapytała na wstępie.

Powiedziałem, że owszem, dzwoniłem kilka razy.

– Słyszałem wczoraj od pana Menshikiego, że Marie wróciła, więc chciałem się dowiedzieć, jak się ma.

– Tak, Marie rzeczywiście wróciła bez szwanku do domu. Wczoraj po dwunastej. Chciałam pana o tym zawiadomić i dzwoniłam parę razy, ale chyba pana nie było. Więc skontaktowałam się z panem Menshikim. Nie było pana w domu?

– Tak, musiałem koniecznie załatwić pewną sprawę i pojechałem dość daleko. Wróciłem wczoraj późnym popołudniem. Chciałem zadzwonić, ale tam, gdzie byłem, nie było telefonu, a nie mam komórki – powiedziałem. Właściwie nie mijałem się z prawdą.

– Marie wróciła wczoraj sama po dwunastej strasznie ubłocona. Ale na szczęście nie odniosła żadnych poważnych obrażeń.

– A gdzie była przez ten czas?

– Tego jeszcze nie wiem – odpowiedziała, ścisząc głos. Jakby się obawiała, że ktoś może ją podsłuchiwać. – Nie chce powiedzieć, co się stało. Ponieważ zawiadomiłam policję o jej zaginięciu, przyszli do nas i zadawali jej różne pytania, ale nie odpowiadała. Ciągle milczy. Więc policja też się poddała i powiedzieli, że przyjdą znów po informacje, jak się trochę uspokoi. Na razie ważne, że wróciła i wiedzą, że jest bezpieczna. Ja ją wypytywałam i ojciec, ale nic nie mówi. Jak pan wie, to bardzo uparte dziecko.

– Ale wróciła ubłocona?

– Tak, była cała ubłocona. Mundurek szkolny podarty, nogi i ręce poobcierane. Co prawda nie aż tak, żeby jechać do szpitala na opatrunek.

Pomyślałem, że to zupełnie tak jak ja. Ubłocony i w podartym ubraniu. Może przypadkiem Marie też, tak jak ja, wróciła tu, przedarłszy się przez wąską szczelinę.

– I w ogóle się nie odzywa? – zapytałem.

– Tak, od powrotu do domu nie powiedziała jeszcze ani słowa. Nie tylko słowa, w ogóle nie wydała żadnego dźwięku. Jakby ktoś jej uciął język.

– Może zaniemówiła czy zamilkła z powodu jakiegoś strasznego szoku?

– Nie, myślę, że to nie było nic takiego. Mnie się wydaje, że postanowiła sobie, że nie będzie się odzywać i zachowa milczenie. Już kilka razy się to zdarzało. Kiedy na przykład była o coś strasznie zła. Jak raz sobie coś postanowi, za wszelką cenę się tego trzyma. Takie to już dziecko.

– Nic nie wskazuje na to, że doszło do przestępstwa? – zapytałem. – Że na przykład ktoś ją porwał albo więził?

– Tego też nie wiem. Przecież ona sama nic nie mówi, więc nawet policja postanowiła trochę poczekać z wypytywaniem jej – powiedziała Shōko Akikawa. – I przepraszam, że zawracam głowę, ale mam do pana prośbę.

– Jaką prośbę?

– Czy zgodziłby się pan spotkać z Marie i spróbować z nią porozmawiać? W cztery oczy. Mnie się zdaje, że w pewnym sensie ona jedynie panu ufa. Więc może panu coś wyjawia na temat tego, co się stało.

Zastanawiałem się, ściskając słuchawkę w prawej dłoni. Zupełnie nie miałem pojęcia, jak wiele i jak jej powiedzieć, gdybyśmy się spotkali tylko we dwoje. Ja miałem swoje nierozwiązane zagadki, a ona (pewnie miała) swoje. Czy jeżeli je ze sobą połączymy, nałożymy jedno na drugie, znajdzie się jakaś odpowiedź? No ale oczywiście musiałem się z nią spotkać. Było kilka spraw, które musieliśmy omówić.

– Dobrze. Spotkam się z nią i pogadamy – powiedziałem. – Więc gdzie mam przyjechać?

– Nie, my jak zwykle przyjedziemy do pana. Myślę, że tak będzie lepiej. Oczywiście jeśli pan się zgodzi.

– Jak najbardziej. Nie mam żadnych planów. Proszę przyjechać, kiedy pani pasuje.

– Czy może być teraz? Dziś nie posłałam jej do szkoły. Oczywiście pod warunkiem, że Marie się zgodzi do pana jechać.

– Proszę ją zapewnić, że nie będzie musiała nic mówić. Że ja mam jej kilka rzeczy do powiedzenia.

– Dobrze, dokładnie jej to przekażę. Przepraszam, że pana tym kłopotczę – powiedziała piękna ciotka Marie. Potem cicho odłożyła słuchawkę.

Po dwudziestu minutach znowu odezwał się telefon. Dzwoniła Shōko Akikawa.

– Pozwolimy sobie wpaść dziś koło trzeciej – powiedziała. – Marie się zgodziła. To znaczy tylko kiwnęła lekko głową.

Powiedziałem, że będę czekał o trzeciej.

– Dziękuję bardzo – odparła. – Czuję się dość zagubiona, nie wiedząc, co się stało i co mam dalej robić.

Chciałem powiedzieć, że mam to samo uczucie, ale tego nie zrobiłem. Nie takiej odpowiedzi oczekiwała.

– Zrobię, co będę mógł. Ale nie jestem pewien, czy się uda – powiedziałem i zakończyliśmy rozmowę.

Po odłożeniu słuchawki rozejrzałem się dookoła. Pomyślałem, że może dostrzegę gdzieś Komandora, lecz nigdzie go nie było. Tęskniłem za nim. Za tym,

jak wyglądał, za jego ekscentrycznym sposobem mówienia. Ale pewnie więcej go nie zobaczę. Zabiłem go własnymi rękami, przebijając jego niewielkie serce ostrym nożem, który przywiózł tu Masahiko. Po to, żeby uratować skądś Marie. Musiałem wiedzieć, co to było za miejsce.



Rozdział 59

Aż rozłączyła nas śmierć

Przed przyjściem Marie przyjrzałem się jeszcze raz jej prawie skończonemu portretowi. Potrafiłem sobie dokładnie wyobrazić, jak obraz wyglądałby po ukończeniu, ale wiedziałem, że do tego nie dojdzie. Szkoda, lecz nic się na to nie dało poradzić. Nie potrafiłem jeszcze dokładnie wyjaśnić, dlaczego nie wolno mi było ukończyć portretu, czułem jedynie, że mi nie wolno. Pewnie stopniowo zrozumieć przyczynę. W każdym razie robiłem coś, co groziło jej niebezpieczeństwem. Musiałem być niezwykle ostrożny. Potem wyszedłem na taras, usiadłem na leżaku i gapiłem się na białą willę Menshikiego po drugiej stronie. Przystojnego Menshikiego o białych, pozbawionych koloru włosach. „Zamieniliśmy tylko parę słów przy drzwiach, ale wyglądał na dość interesującego człowieka” – powiedział Masahiko. – „To bardzo interesujący człowiek” – poprawiłem wtedy. To bardzo, bardzo, bardzo interesujący człowiek – poprawiłem teraz ponownie.

Trochę przed trzecią wjechała pod górę dobrze mi znana niebieska toyota prius i zatrzymała się przed domem w tym samym miejscu co zawsze. Zgasł silnik, otworzyły się drzwi po stronie kierowcy i wysiadła Shōko Akikawa. Zrobiła to elegancko, złączyła kolana, uniosła nogi i obróciła całe ciało. Po chwili otworzyły się drzwi pasażera i wysiadła Marie. Zrobiła to niechętnie i niezdarnie. Rozwiały się gdzieś chmury pokrywające od rana błękit i teraz rozpościerało się nad nami czyste niebo wczesnej zimy. Pełen chłodu wiatr od gór od czasu do czasu poruszał włosami obu pań. Marie z rozdrażnieniem odgarnęła opadającą na czoło grzywkę.

O dziwo, miała na sobie spódnicę. Wełnianą, granatową, do kolan. Pod nią szaroniebieskie rajstopy. Na białej bluzce kaszmirowy sweter z wycięciem w serek. Był w kolorze ciemnych winogron. Na nogach ciemnobrązowe mokasyny. Tak

ubrana wyglądała na zupełnie zwyczajną, normalną piękną dziewczynkę z kochającej dobrej rodziny. Nie było widać w niej nic ekscentrycznego. Tylko nadal prawie nie miała piersi.

Shōko Akikawa była dziś w dopasowanych jasnoszarych spodniach. Do tego dobrze wyglansowane czarne pantofle na niskim obcasie, długi biały zapinany sweter, w talii pasek. Kształt piersi rysował się wyraźnie nawet pod swetrem. W ręce czarna lakierowana torebka. Kobiety zawsze miały przy sobie coś takiego. Nie wiedziałem, co mogą w tym nosić. Marie nie miała torebki. Wyglądała, jakby nie wiedziała, co zrobić z rękami, bo brakowało kieszeni, do których zwykle je wpychała.

Ciotka i bratanica różniły się wiekiem i dojrzałością, ale obie były piękne. Obserwowałem je spomiędzy firanek. Kiedy szły obok siebie, świat zdawał się nieco weselszy. Nadchodziły razem tak, jak zawsze nadchodzą Boże Narodzenie i Nowy Rok.

Odezwał się dzwonek i otworzyłem drzwi. Shōko Akikawa uprzejmie się ze mną przywitała. Zaprosiłem je do środka. Marie miała zaciśnięte usta i nie odezwała się ani słowem. Zupełnie jakby ktoś zaszył jej wargi. Dziewczynka miała silną wolę. Jak coś sobie postanowiła, nie rezygnowała.

Jak zawsze zaprowadziłem je do salonu. Shōko Akikawa zaczęła mnie przeproszać za to, że sprawiają mi taki kłopot, więc jej przerwałem. Szkoda mi było czasu na takie towarzyskie wymiany uprzejmości.

– Czy mógłbym porozmawiać z Marie w cztery oczy? – przeszedłem od razu do sedna. – Myślę, że tak będzie lepiej. Proszę po nią przyjechać za dwie godziny. Czy to pani odpowiada?

– Tak, oczywiście – powiedziała ciotka z lekkim wahaniem. – Jeżeli odpowiada to Marie, to oczywiście i mnie także.

Marie leciutko skinęła głową na znak, że jej odpowiada.

Shōko Akikawa spojrzała na mały srebrny zegarek.

– Przyjadę o piątej. Do tego czasu będę czekała w domu, więc jakby co, to proszę dzwonić.

Powiedziałem, że jakby co, to zadzwonię.

Shōko Akikawa stała bez słowa, przez pewien czas ściskając lakierowaną torebkę, jakby coś jej leżało na sercu. Potem odetchnęła, zmieniając chyba zdanie, uśmiechnęła się i ruszyła do wyjścia. Włączył się silnik toyoty prius (nie słyszałem go, ale musiał się włączyć), samochód pojechał w dół i zniknął. Zostałem sam

z Marie.

Dziewczynka usiadła na kanapie i z zaciśniętymi ustami wpatrywała się w swoje kolana. One też były zaciśnięte. Biała bluzka z zakładkami została pięknie wyprasowana.

Przez pewien czas panowało głębokie milczenie. Potem powiedziałem:

– Wiesz, nie musisz nic mówić. Jeśli chcesz milczeć, możesz milczeć, ile dusza zapagnie. Dlatego nie musisz być taka spięta. Ja będę mówił, a ty tylko posłuchasz. Dobra?

Marie podniosła głowę, spojrzała na mnie, lecz się nie odezwała. Nie przytaknęła ani nie potrząsnęła głową, tylko nieruchomo na mnie patrzyła. Na jej twarzy nie rysowały się żadne uczucia. Patrząc na nią, miałem wrażenie, że patrzę na biały zimowy księżyc. Pewnie na jakiś czas zmieniła swój umysł w pusty księżyc. Twardą skałę unoszącą się na niebie.

– Najpierw chciałbym cię prosić o pomoc w jednej sprawie – powiedziałem. – Mogłabyś pójść ze mną do pracowni?

Kiedy wstałem i ruszyłem do pracowni, dziewczynka też po chwili wstała i poszła za mną. W pomieszczeniu panował chłód, więc najpierw zapaliłem piecyk olejowy. Gdy odsłoniłem firanki, ukazały się zbocza gór oświetlone słońcem popołudnia. Na sztalugach stał jej portret. Był prawie ukończony. Marie zerknęła na niego, a potem szybko odwróciła wzrok, jakby zobaczyła coś, na co nie powinna patrzeć.

Przykucnąłem przy ścianie, odwinąłem płótno pokrywające *Śmierć Komandora* i powiesiłem obraz na ścianie. Wskazałem Marie taboret, bo chciałem, by właśnie stamtąd spojrzała prosto na obraz.

– Widziałas ten obraz wcześniej, prawda?

Marie lekko skinęła głową.

– Jest zatytułowany *Śmierć Komandora*. A przynajmniej tak było napisane na kartce przyklepionej do opakowania. Namalował go pan Tomohiko Amada. Nie wiem, kiedy to zrobił, ale jest prawie perfekcyjnie wykonany. Ma znakomitą kompozycję i jest doskonały technicznie. Szczególnie świetne jest realistyczne oddanie postaci, są bardzo przekonujące. – Przerwałem, czekając. Czekałem, aż moje słowa dotrą do świadomości Marie. Potem mówiłem dalej: – Ale ten obraz był cały czas ukryty na strychu w tym domu. Pewnie od wielu lat pokrywał się kurzem, był grubo owinięty w papier, żeby go nikt nie zobaczył. Ja znalazłem go przypadkiem, zabrałem ze strychu i tu przyniosłem. Prócz autora widzieliśmy go

tylko ty i ja. Twoja ciocia też go musiała widzieć za pierwszym razem, ale jakoś jej w ogóle nie zainteresował. Nie znam przyczyny, dla której Tomohiko Amada ukrył go na strychu. Dlaczego specjalnie ukrywał go przed ludzkim wzrokiem, mimo że to taki wybitny obraz, arcydzieło wśród jego dzieł.

Marie siedziała bez słowa na taborecie i wpatrywała się poważnie w *Śmierć Komandora*.

Mówiłem dalej.

– Po odkryciu przeze mnie tego obrazu zupełnie jakby stało się to jakimś sygnałem, zaczęły się dziać różne rzeczy. Miały miejsce różne przedziwne wydarzenia. Najpierw z własnej inicjatywy zaznajomił się ze mną pan Menshiki. Pan Menshiki mieszkający po drugiej stronie doliny. Byłaś u niego w domu, prawda?

Marie lekko skinęła głową.

– Potem odsłoniłem tajemniczy dół w lesie za kapliczką. Poszedłem za głosem dzwonek rozlegającym się w środku nocy i dotarłem do tego dołu. Dźwięk dobiegał spod kilku warstw kamieni. Nie dało się ich ręcznie odsunąć. Były za duże i za ciężkie. Więc pan Menshiki zatrudnił specjalną firmę i przesunęliśmy kamienie koparką. Nie bardzo wiedziałem, dlaczego pan Menshiki w ogóle zawracał sobie tym głowę, i dalej nie wiem. No ale w każdym razie, nie szczędząc wysiłku i kosztów, przesunął kopiec kamieni. Spod niego ukazał się dół. Okrągły dół o średnicy prawie dwóch metrów. Starannie wyłożone kamieniami okrągłe pomieszczenie. Zagadką jest, kto i po co je zbudował. Oczywiście teraz i ty wiesz o tym dole. Prawda?

Marie skinęła głową.

– Po otwarciu dołu wyłonił się z niego Komandor. Taki sam jak na tym obrazie.

Podszedłem do obrazu i wskazałem postać Komandora. Marie uważnie mu się przyglądała, ale wyraz jej twarzy się nie zmienił.

– Miał taką samą twarz i ubranie. Mierzył jedynie sześćdziesiąt centymetrów. Był bardzo kompaktowy. I miał trochę ekscentryczny sposób mówienia. Ale wyglądało na to, że nikt prócz mnie nie mógł go zobaczyć. Mówił o sobie, że jest ideą. I powiedział, że był zamknięty w tym dole. To znaczy, że ja z panem Menshikiem go stamtąd uwolniliśmy. Wiesz, co to idea?

Potrząsnęła głową.

– Idea to inaczej pojęcie. Ale nie wszystkie pojęcia są ideami. Na przykład sama miłość jako taka może nie jest ideą. Ale to, co tworzy miłość, niewątpliwie nią jest.

Bez idei nie istniałaby miłość. Tylko jak będę dalej o tym mówić, to nigdy nie skończę. Poza tym, szczerze mówiąc, sam nie jestem pewien dokładnej definicji. Ale w każdym razie idea to pojęcie, a pojęcie nie ma formy. Jest tylko abstrakcją. Przez to jej nie widać i dlatego ta idea pożyczyła sobie formę Komandora, żeby mi się ukazać. Rozumiesz jak dotąd?

– Mniej więcej rozumiem – odezwała się po raz pierwszy Marie. – Bo ja go poznałam.

– Poznałaś go? – Spojrzałem na nią zdziwiony. Na chwilę zabrakło mi słów. A potem nagle przypomniałem sobie, co mi powiedział Komandor w tym domu opieki w Izu. Dopiero co się z nią widziałem. I zamieniłem z nią parę słów.

– Poznałaś Komandora, tak?

Marie skinęła głową.

– Kiedy? Gdzie?

– W domu pana Menshikiego – powiedziała.

– I co ci powiedział?

Marie znów zacisnęła usta. Jakby dawała do zrozumienia, że w tej chwili nie chce dalej mówić. Zrezygnowałem z dalszego dopytywania się.

– Pojawiły się też inne postacie z tego obrazu – powiedziałem. – Widzisz tego zarośniętego faceta o dziwnej twarzy w lewym dolnym rogu? Tego – powiedziałem, wskazując palcem Długogębego. – Na razie nazwałem go Długogębym. Wygląda groteskowo. Też jest kompaktowy, ma około siedemdziesięciu centymetrów. On także wyszedł z obrazu, ukazał mi się, otworzył pokrywę i zaprowadził mnie do podziemnego świata. A raczej ja go brutalnie do tego zmusiłem.

Marie długo przyglądała się Długogębemu, ale się nie odezwała.

Mówiłem dalej.

– Przeszedłem przez tę mroczną podziemną krainę, przez wzgórza, przekroczyłem rzekę o bystrym nurcie i tam spotkałem tę piękną młodą kobietę. Tę tutaj. Nazwę ją Donna Anna, zgodnie z jej rolą w operze Mozarta *Don Giovanni*. Ona też była bardzo niewielka. Zaprowadziła mnie do szczeliny w jaskini. Wraz z moją zmarłą siostrą dodawały mi odwagi, gdy próbowałem się przez nią precisnąć, i pomagały mi. Bez ich pomocy pewnie bym się przez nią nie przedostał i zostałbym uwięziony w podziemnej krainie. Być może (choć to oczywiście tylko moje przypuszczenia) Donna Anna była ukochaną Tomohika

Amady w okresie, kiedy studiował za młodu w Wiedniu. Prawie siedemdziesiąt lat temu skazano ją na karę śmierci za przestępstwa polityczne.

Marie wpatrywała się w Donnę Annę na obrazie. Jej oczy nadal były pozbawione wyrazu jak biały zimowy księżyc.

A może Donna Anna była matką Marie, która zmarła od uządleń szerszeni? Może próbowała bronić Marie? Może Donna Anna reprezentowała jednocześnie różne osoby? Ale oczywiście głośno tego nie powiedziałem.

– I jest tu jeszcze jeden mężczyzna – powiedziałem. Odwróciłem drugi obraz stojący na podłodze i znów oparłem go o ścianę. Był to *Mężczyzna z białego subaru forestera*. Na pierwszy rzut oka obraz wyglądał na pokryty farbami w trzech kolorach. Ale z za grubej warstwy farb wyłaniał się ten mężczyzna. Dla mnie był widoczny, choć inni go nie dostrzegali.

– Widziałaś już wcześniej ten obraz, prawda?

Marie bez słowa szybko skinęła głową.

– Powiedziałaś, że jest już skończony i żeby go tak zostawić.

Marie znów skinęła głową.

– Tu jest namalowany albo musi zostać namalowany człowiek, którego nazwałem „mężczyzną z białego subaru forestera”. Spotkałem go w małym nadmorskim miasteczku w prefekturze Miyagi. Dwa razy go spotkałem. To były bardzo tajemnicze, pełne znaczenia spotkania. Nie wiem, co to za człowiek. Nie wiem, jak się nazywa. Ale pomyślałem, że muszę kiedyś namalować jego portret. Bardzo silnie to czułem. I zacząłem malować, przypominając sobie, jak wyglądał, ale za nic nie mogłem skończyć. Dlatego został tak zamalowany.

Marie nadal miała zaciśnięte usta.

Potem pokręciła głową.

– Ten człowiek jest jednak groźny – powiedziała.

– Ten człowiek? – powtórzyłem i poszedłem za jej wzrokiem. Wpatrywała się w namalowanego przez mnie *Mężczyznę z białego subaru forestera*.

– Chodzi ci o ten obraz? O *Mężczyznę z białego subaru forestera*?

Marie szybko skinęła głową. Chyba, mimo obawy, nie mogła oderwać wzroku od obrazu.

– Widzisz go?

Skinęła głową.

– Widzę, że jest za warstwą farby. Stoi tam i patrzy na mnie. W czarnej czapce. Podniosłem obraz z podłogi i znów odwróciłem tyłem do ściany.

– Widzisz na tym obrazie mężczyznę z białego subaru forestera. Coś, czego normalnie ludzie nie widzą – powiedziałem. – Ale lepiej już więcej na niego nie patrz. Myślę, że jeszcze nie ma potrzeby, żebyś na to patrzyła.

Marie skinęła głową jakby na znak zgody.

– Nie wiem, czy mężczyzna z białego subaru forestera istnieje naprawdę na tym świecie. Może coś albo ktoś tylko na pewien czas pożyczył sobie jego formę? Tak samo jak idea pożyczyła sobie formę Komandora. A może ja widzę w nim odbicie samego siebie? Ale w prawdziwej ciemności nie było to jedynie odbicie. Było c z y m ś niewątpliwie namacalnym, żyjącym i poruszającym się. Ludzie w tej krainie nazywali to „podwójną metaforą”. Chciałbym kiedyś skończyć ten obraz, ale jeszcze jest na to za wcześnie, zbyt niebezpiecznie. Są na tym świecie rzeczy, których nie wolno bezkarnie wyciągać na światło dzienne. Ale może ja...

Marie patrzyła na mnie bez słowa. Nie wiedziałem, co mówić dalej.

– W każdym razie z pomocą różnych osób jakoś przebyłem tę podziemną krainę, przedarłem się przez wąską, ciemną szczelinę i jakoś dotarłem z powrotem do tego rzeczywistego świata. Mniej więcej jednocześnie i równolegle ty też zostałeś skądś uwolniona i wróciłaś. Nie wydaje mi się, żeby to był zbieg okoliczności. Zniknęłaś gdzieś w piątek i nie było cię cztery dni. Ja zniknąłem w sobotę i nie było mnie przez trzy. Oboje wróciliśmy we wtorek. Te dwa zniknięcia muszą się gdzieś ze sobą łączyć. Komandor odgrywał tu rolę łącznika. Ale nie ma go już na tym świecie. Wypełnił swoje zadanie i odszedł. Więc tylko nam dwojgu pozostaje zamknąć krąg. Wierzysz w to?

Marie skinęła głową.

– To właśnie chciałem ci powiedzieć. Dlatego chciałem, żebyśmy mogli sami we dwoje porozmawiać.

Marie przyglądała mi się nieruchomo.

– Prawdę mówiąc, uznałem, że nikt inny mnie nie zrozumie. Ludzie pomyśleliby tylko, że mi odbiło. Bo to jest nieprawdopodobna historia nie z tego świata. Ale uważałem, że ty na pewno ją zaakceptujesz. Poza tym, opowiadając ją komuś, trzeba mu pokazać obraz *Śmierć Komandora*. Inaczej historia nie ma sensu. Ja jednak nie chciałem go pokazywać nikomu prócz ciebie.

Marie patrzyła na mnie w milczeniu. Zdawało mi się, że w jej oczach powoli zapala się światełko życia.

– Pan Tomohiko Amada włożył w ten obraz serce i duszę. Wypełnił go swoimi głębokimi przemyśleniami. Stworzył go z własnej krwi i ciała. To obraz z rodzaju tych, które można namalować tylko raz w życiu. Namalował go dla siebie, ale także dla tych, którzy odeszli z tego świata. Ten obraz to jakby requiem. Dzieło mające zmyć przelaną obficie krew.

– Requiem?

– Obraz mający dać odpoczynek duszy, ukoić rany. Dlatego dla pana Amady nie miałyby znaczenia żadne głupie opinie krytyków, żadne pochwały ani pieniądze. Raczej nie chciał dopuścić do takich rzeczy. Wystarczyło mu, że obraz został namalowany i gdzieś zaistniał. Nawet jeśli był zawinięty w papier, schowany na strychu i nikt go nie widział. Chciałbym uszanować jego wolę.

Przez pewien czas trwało głębokie milczenie.

– Ty przecież od dawna przychodzisz się tu bawić. Tym tajemniczym korytarzem. Prawda?

Marie skinęła głową.

– Poznałaś kiedyś pana Amadę?

– Widziałam go. Ale nie poznałam i nie rozmawiałam z nim. Tylko przyglądałam mu się z daleka z ukrycia, jak malował. Bo bez pozwolenia wchodziłam na jego posesję.

Skinąłem głową. Łatwo mi było sobie to wyobrazić. Marie ukryta w zaroślach podgląda, co się dzieje w pracowni. Tomohiko Amada siedzi na taborecie i w skupieniu sunie pędzlem po papierze. Nawet mu przez myśl nie przejdzie, że ktoś może go obserwować.

– Powiedział pan przedtem, że potrzebuje mojej pomocy – powiedziała Marie.

– Rzeczywiście. Masz rację. Chciałbym, żebyś mi w czymś pomogła. Chcę starannie zapakować te obrazy i schować je na strychu, żeby nikt ich nie zobaczył. *Śmierć Komandora* i *Mężczyznę z białego subaru forestera*. Myślę, że nie będą nam już potrzebne. Chciałbym, żebyś mi w tym pomogła.

Marie w milczeniu skinęła głową. Prawdę mówiąc, nie chciałem tego robić sam. Potrzebny mi był nie tylko ktoś do pomocy, ale także świadek i obserwator. Ktoś umiejący zachować tajemnicę, z kim mogłem się nią podzielić.

Przyniosłem z kuchni sznurek i nóż do kartonu. Potem porządnie zapakowaliśmy *Śmierć Komandora*. Starannie owinęliśmy obraz tym samym brązowym papierem, w którym go znalazłem, potem płótnem, a na koniec obwiązaliśmy sznurkiem. Mocno, żeby nie dało się go łatwo odpakować. Ponieważ

farby jeszcze całkiem nie wyschły, w przypadku *Mężczyzny z białego subaru forestera* poprzestaliśmy na zwykłym opakowaniu. Potem zanieśliśmy obrazy do pokoju gościnnego. Wszedłem do szafy, stanąłem na małej drabince i otworzyłem pokrywę wiodącą na strych (właściwie była podobna do pokrywy, którą otworzył Długogęby). Na strychu panował chłód, lecz był to przyjemny chłód. Marie podawała mi z dołu obrazy, a ja je odbierałem. Najpierw podała mi *Śmierć Komandora*, a następnie *Mężczyznę z białego subaru forestera*. Oparłem oba obrazy o ścianę na strychu.

Wtedy nagle się zorientowałem, że nie jestem tam sam. Czułem czyjąś obecność. Wstrzymałem oddech. Ktoś tam był. Okazało się, że to tylko sowa. Pewnie ta sama co poprzednim razem. Nocny ptak jak przedtem siedział na belce i cicho odpoczywał. Nie bał się, nawet kiedy podszedłem bliżej. Tak samo jak ostatnim razem.

– Słuchaj, wejdz tu – powiedziałem cicho do Marie. – Pokażę ci coś fajnego. Wejdz cicho, nie robiąc hałasu.

Zaciekawiona weszła po drabince. Pomogłem jej wleźć na strych. Podłogę pokrywała warstwa białego kurzu, więc mogła jej się pobrudzić ta wełniana spódnica, ale ona się nie przejmowała takimi rzeczami. Usiadłem na podłodze i wskazałem sowę uszatą przycupniętą na belce. Marie uklękła obok mnie i przyglądała jej się oczarowana. Ptak miał bardzo piękny kształt. Wyglądał jak skrzydlaty kot.

– Ta sowa tu mieszka – powiedziałem cicho. – W nocy leci do lasu na łowy, a rano wraca tu odpocząć. Tamtędy wylatuje i wlatuje – pokazałem dziurę w siatce pokrywającej otwór wentylacyjny. Marie skinęła głową. Słyszałem jej cichy, płytki oddech.

Bez słowa obserwowaliśmy sowę. Nie zwracała na nas uwagi, pogrążona w cichym, pełnym namysłu odpoczynku. W milczącej zgodzie dzieliliśmy z nią ten dom. Stworzenia aktywne za dnia i nocą – dzieliliśmy się też świadomością, za dnia była nasza, nocą sowy.

Drobna dłoń Marie ścisnęła moją. Potem dziewczynka położyła mi głowę na ramieniu. Lekko odwzajemniłem uścisk jej dłoni. Często spędzałem tak dużo czasu z siostrą, Komi. Byliśmy ze sobą bardzo zżyci. Zawsze się nawzajem rozumieliśmy. Aż rozłączyła nas śmierć.

Czułem, jak z Marie uchodzi napięcie. Coś, co w niej stwardniało, powoli zaczynało się rozluźniać. Pogłaskałem jej głowę spoczywającą na moim ramieniu. Miała proste, miękkie włosy. Kiedy dotknąłem jej policzka, poczułem na nim łzy.

Były ciepłe, jak krew wypływająca prosto z serca. Przez pewien czas obejmowałem ją ramieniem. Musiała się wypłakać, ale nie bardzo wiedziała jak. Pewnie od dawna nie płakała. Strześliśmy jej wraz z sową.

Światło popołudnia wpadało ukośnie przez otwór wentylacyjny. Otaczało nas jedynie milczenie i biały kurz. Jakby przysłane z dalekiej przeszłości. Nie było słychać wiatru. Sowa uszata miała w sobie mądrość lasu. Ta mądrość też była przekazywana z dalekiej przeszłości.

Marie długo płakała. Robiła to zupełnie bezgłośnie, lecz po delikatnym drżeniu jej ciała czułem, że płacze. Delikatnie gładziłem ją po włosach. Jakbym wracał pod prąd rzeką czasu.



Rozdział 60

Gdyby ktoś miał bardzo długie ręce

– Byłam w domu pana Menshikiego. Przez te cztery dni – powiedziała Marie. Wyląkała się i mogła wreszcie znów mówić.

Wróciliśmy do pracowni. Marie usiadła na moim taborecie. Kolana wystające spod spódnicy były mocno zaciśnięte. Ja stałem oparty o parapet. Miała bardzo zgrabne nogi. Nawet grube rajstopy pozwalały to zauważyć. Kiedy będzie trochę starsza, te nogi na pewno przyciągną wzrok wielu mężczyzn. Ale na razie była tylko niepewną dziewczynką, która pełna wahania stoi na progu życia.

– Byłaś w domu pana Menshikiego? – zapytałem. – Nie bardzo rozumiem. Możesz trochę dokładniej to wytłumaczyć?

– Poszłam do niego, bo musiałam się o nim czegoś więcej dowiedzieć. Przede wszystkim chciałam zrozumieć, dlaczego co wieczór obserwuje przez lornetkę nasz dom. Myślę, że specjalnie po to kupił ten swój wielki. Żeby obserwować nasz po drugiej stronie doliny. Ale nie mogłam zrozumieć, dlaczego to robi. Bo to jest przecież nienormalne. Myślałam, że musi mieć jakiś ważny powód.

– Dlatego poszłaś go odwiedzić?

Marie potrząsnęła głową.

– Nie poszłam go odwiedzić. Zakradłam się do niego. W sekrecie. Ale potem nie mogłam się wydostać.

– Zakradłaś się?

– Tak, jak złodziej. Chociaż nie miałam takiego zamiaru.

W piątek po rannych lekcjach wymknęła się ze szkoły tylną bramą. Gdyby od rana w ogóle nie pojawiła się w szkole bez usprawiedliwienia, od razu zadzwoniono by do domu, ale jeśli ktoś wyszedł w czasie przerwy południowej i opuścił resztę lekcji, nie zawiadamiano rodziny. Nie wiedziała dlaczego, ale taki

był system. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie zrobiła, więc nawet jeśli nauczyciel by jej kazał się tłumaczyć, jakoś by się wykręciła. Wsiadła do autobusu i dojechała w pobliże domu. Ale nie wróciła do siebie, tylko wdrapała się na zbocze po drugiej stronie doliny i poszła do Menshikiego.

Na początku nie zamierzała się zakradać do willi. Nawet jej to nie przyszło do głowy. Ale to nie znaczy, że zamierzała zadzwonić do bramy i poprosić o wpuszczenie. Nie miała żadnego planu. Po prostu ten biały dom przyciągał ją jak silny magnes przyciąga opiłki żelaza. Podglądanie zza ogrodzenia nie mogło jej pomóc w rozwiązaniu zagadki Menshikiego. Tyle wiedziała. I nie mogła powstrzymać ciekawości. Nogi same ją tam poniosły.

Żeby dotrzeć do willi, musiała się wspiąć wysoko po zboczu. Kiedy się oglądała za siebie, widziała morze lśniąco oślepiająco między górami. Willę otaczało wysokie ogrodzenie zamknięte solidną, elektrycznie sterowaną bramą. Po obu stronach były kamery monitorujące. Na słupach bramy umieszczono nalepki z logo firmy ochroniarskiej. Nie mogła się za bardzo zbliżyć. Ukryła się w zaroślach niedaleko bramy i przez pewien czas obserwowała teren. Lecz nie dostrzegła żadnego ruchu ani w willi, ani w okolicy. Nikt nie wchodził ani nie wychodził, ze środka nie dobiegały żadne dźwięki.

Zmarnowała tak trzydzieści minut i właśnie zamierzała zrezygnować, gdy drogą w górę wjechał powoli van. Niewielki samochód firmy kurierskiej. Zatrzymał się przed bramą, ze środka wysiadł młody człowiek z notesem, w służbowym uniformie. Zadzwonił i zamienił z kimś parę słów przez domofon. Po chwili drewniane skrzydła bramy powoli otworzyły się do wewnątrz. Młody człowiek pośpiesznie wrócił do vana, wsiadł i wjechał przez bramę.

Nie miała czasu na zastanowienie. Gdy tylko samochód wjechał, wybiegła z zarośli i najszybciej, jak mogła, ruszyła do zamykającej się bramy. Ledwie zdążyła dostać się do środka przez jej zamknięciem. Kamera mogła ją zarejestrować. Ale nikt jej nie zauważył. Bardziej bała się psów. Terenu mogły pilnować wolno puszczane psy. Wbiegając tam, nie pomyślała o tym. Przyszło jej to do głowy dopiero, gdy była już w środku, a brama się zamknęła. Tak wielkiego domu spokojnie mógł pilnować doberman albo wilczur. Miałaby kłopot, gdyby w ogrodzie był jakiś wielki pies. Nie przepadała za psami. Ale na szczęście żaden się nie pojawił. Nie słyszała też szczekania. Kiedy tu wcześniej przyjechała, nie było, zdaje się, mowy o psach.

Skryła się w krzakach i obserwowała sytuację. Strasznie zaschło jej w gardle. Wślizgnęłam się tu jak złodziej, pomyślała. Zakradłam się bez pozwolenia, to na

pewno nielegalne. Nagranie z kamery stanie się niezbitym dowodem.

Nie była pewna, czy postąpiła słusznie. Widząc, jak van firmy kurierskiej wjeżdża na teren posesji, pobiegła za nim nieomal odruchowo. Nie miała czasu się zastanawiać, jakie to może mieć skutki. Pomyślała, że taka szansa drugi raz się nie trafi i że teraz albo nigdy, więc natychmiast zaczęła działać. Ciało rzuciło się do akcji, zanim umysł wszystko przemyślał. Ale z jakiegoś powodu tego nie żałowała.

Gdy czekała ukryta w zaroślach, van znów się pojawił, brama się otworzyła i van wyjechał. Gdyby miała się wycofać, musiała zrobić to teraz. Wybiec, zanim brama się zamknie. Wtedy udałoby jej się wrócić do poprzedniego bezpiecznego świata. Nie zostać przestępczynią. Ale nie zrobiła tego. Tylko kryjąc się nadal w zaroślach, obserwowała, jak zamyka się brama. Cały czas przygryzała wargi.

Potem poczekała dziesięć minut. Odmierzyła dokładnie dziesięć minut, patrząc na mały zegarek G-Shock firmy Casio, a potem wyszła z zarośli. Szła szybko po skarpie łagodną ścieżką prowadzącą do domu, pochylona, żeby kamera nie mogła jej dokładnie sfilmować. Było pół do trzeciej.

Co zrobi, jeśli Menshiki ją znajdzie? Zastanawiała się nad tym, ale wierzyła, że jakoś by się zręcznie wykręciła. Zdawało się jej, że Menshiki czuje głębokie zainteresowanie jej osobą (albo coś w rodzaju zainteresowania). Przyszła tu sobie sama. Akurat brama była otwarta, więc weszła. Tylko dla zabawy. Jeśli powie to z miną dziecka, Menshiki na pewno jej uwierzy. Bo on chce w coś wierzyć. Gdyby tak powiedziała, nie nabrałby podejrzeń. Nie potrafiła ocenić, jaki charakter miało to „głębokie zainteresowanie” – czy było to dla niej coś złego, czy dobrego.

Podjazd zakręcał w dół i dochodził do domu. Przy drzwiach był dzwonek. Ale oczywiście nie mogła go nacisnąć. Chcąc ominąć okrągły podjazd, szła, kryjąc się między drzewami i krzewami wzdłuż ściany willi zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Przy wejściu był garaż na dwa samochody. Zamknięty. Nieco dalej, trochę odsunięty od willi stał elegancki mały domek. Wyglądał na oddzielne mieszkanie dla gości. Za nim znajdował się kort tenisowy. Pierwszy raz widziała dom z kortem tenisowym. Z kim pan Menshiki mógł tutaj grać? Lecz kort wydawał się od dawna nieużywany. Nie było na nim siatki, nawierzchnię pokrywały suche liście, białe linie wyblakły.

Okna willi wychodzące na góry były małe i wszystkie szczelnie zasłonięte roletami. Dlatego nie mogła przez nie zajrzeć do środka. Z domu nie dochodziły żadne dźwięki. Nie było też słychać szczekania psa. Tylko czasami rozlegało się ćwierkanie siedzących wysoko na gałęziach ptaków. Kawałek dalej za domem był

drugi garaż. W nim też było miejsce na dwa samochody. Chyba został zbudowany później. Pan Menshiki mógł tu trzymać dużo samochodów.

Za domem znajdował się ogród w stylu japońskim, wykorzystujący nachylenie zbocza. Były w nim schody i duże ozdobne kamienie, między nimi biegła ścieżka, jakby je zszywając. Krzewy azalii były pięknie przycięte, nad ścieżką rozpościerały swoje gałęzie jasnozielone niskie sosny. Na końcu znajdowało się coś w rodzaju altanki. Stał w niej wygodny rozkładany leżak, na którym można było odpocząć albo sobie poczytać. Był tam też mały stolik. Gdzieś tam stały kamienne latarnie i lampy ogrodowe.

Marie obeszła dom dookoła. Od strony doliny znajdował się duży taras. Kiedy poprzednio tu była, wyszła na ten taras. To stąd Menshiki obserwował jej dom. Uświadomiła to sobie, gdy tylko wtedy tam stanęła. Wyraźnie to wyczuła.

Wyteżyła wzrok i spojrzała na swój dom. Był naprzeciwko, po drugiej stronie doliny. Zdawało się, że gdyby wyciągnąć rękę (i gdyby ktoś miał bardzo długie ręce), dałoby się go prawie dotknąć. Widziany stąd wydawał się jakiś bezbronny. Kiedy został zbudowany, po tej stronie nie było nic. Dość niedawno (to znaczy jakieś dziesięć lat temu) złagodzone przepisy budowlane i zaczęto stawiać wille po tej stronie doliny. Dlatego przy budowie jej domu nie pomyślano wcale o tym, by zapewnić mieszkańcom prywatność od strony doliny. Był zupełnie nieosłonięty. Przez silną lornetkę czy lunetę widać pewnie było nawet wszystko, co się dzieje w środku. Gdyby ktoś chciał, mógłby zajrzeć przez okno jej pokoju. Oczywiście była z natury ostrożna, więc przebijając się, zawsze starała się zasłaniać okno. Ale przecież mogło się zdarzyć, że zapomniała. Co Menshiki dotąd widział?

Zeszła po schodach wbudowanych w zbocze i dotarła do niższego piętra parteru, na którym był gabinet, ale tu też wszystkie okna były starannie zasłonięte roletami, więc nie mogła zajrzeć do środka. Zeszła na kolejny poziom. W większości były tam pomieszczenia gospodarcze. Pralnia, miejsce do prasowania, pokój służącej, a po drugiej stronie dość duża siłownia. Stało tam pięć czy sześć maszyn do ćwiczenia mięśni. W odróżnieniu od kortu tenisowego siłownia była chyba używana dość często. Wszystkie urządzenia były wypolerowane i wyglądały na naoliwione. Wisiał tam też duży worek do boksowania. To piętro wyglądało na mniej strzeżone niż inne. Wiele okien nie było zasłoniętych i mogła zajrzeć do środka. Ale mimo to wszystkie drzwi i okna starannie zamknięto od środka, więc nie mogła przez nie wejść. Na drzwiach widniały nalepki firmy ochroniarskiej. Pewnie po to, żeby zniechęcić potencjalnych włamywaczy. Jeśli ktoś się włamie, rozlegnie się alarm i firma ochroniarska zostanie powiadomiona. To był bardzo duży dom. Nie mogła uwierzyć, że na tak wielkiej powierzchni mieszka tylko jedna

osoba. Menshiki musiał być bardzo samotny. Dom solidnie zbudowano z betonu i starannie zabezpieczono na wszystkie sposoby. Nie zauważyła nigdzie dużego psa pilnującego willi (może właściciel nie lubił psów), ale użyto tu wszelkich innych metod mających zapobiec włamaniu.

A więc co miała teraz zrobić? Nic jej nie przychodziło do głowy. Nie mogła się dostać do domu, ale nie mogła też wyjść za ogrodzenie. Menshiki na pewno był teraz w środku, bo ktoś nacisnął guzik otwierający bramę i ktoś przyjął przesyłkę dostarczoną przez firmę kurierską. A nikt prócz niego tu nie mieszkał. Raz w tygodniu wchodziło tu kilka sprzątaczek, ale to wszystko – zasadniczo nie bywał nikt inny. Tak mówił Menshiki podczas jej poprzedniej wizyty.

Jeżeli nie było sposobu, żeby dostać się do środka, musiała znaleźć kryjówkę na zewnątrz. Menshiki zauważy ją w końcu, jeżeli będzie się tu tak kręciła. Rozglądała się, aż w rogu ogrodu dostrzegła mały domek gospodarczy. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Wewnątrz znajdowały się narzędzia ogrodnicze, wąż ogrodowy i stos worków z nawozem. Weszła do środka i usiadła na workach. Było to oczywiście mało przytulne miejsce, ale jeśli będzie tu siedziała, kamera jej nie dostrzeże. Raczej nikt nie przyjdzie sprawdzać, czy kogoś tu nie ma. Niedługo pewnie coś się zdarzy. Musiała poczekać.

Nie mogła się stamtąd ruszyć, ale mimo to czuła w sobie przyjemne podniecenie. Kiedy rano po wzięciu prysznicą stanęła naga przed lustrem, zauważyła, że jej piersi nieco się powiększyły. To też mogło być jedną z przyczyn tego podniecenia. Oczywiście mogło to być jedynie złudzenie powstałe przez to, że bardzo sobie tego życzyła. Ale patrzyła obiektywnie pod różnymi kątami i czuła pod palcami miękkie wypukłości, których tam wcześniej nie było. Sutki ciągle były jeszcze małe (nie dały się porównać z sutkami cioci przypominającymi pestki oliwek), ale była w nich zapowiedź kiełkowania.

Siedziała w domku gospodarczym, rozmyślając o niewielkich wzgórkach swoich piersi. Wyobrażała sobie, że stają się coraz większe. Jak się człowiek musi czuć, mając obfite piersi? Wyobraziła sobie, że nosi prawdziwy solidny stanik, jak ciocia. Ale to będzie pewnie jeszcze nieprędko. Bo przecież miesiączkę miała dopiero od tej wiosny.

Zachciało jej się trochę pić, postanowiła jednak jeszcze trochę wytrzymać. Spojrzała na swój masywny zegarek. G-Shock wskazywał pięć po trzeciej. Dziś był piątek, miała kurs malarstwa, ale już wcześniej zdecydowała, że nie pójdzie. Nie wzięła ze sobą torby z przyborami do malowania. Jeśli nie wróci do domu na kolację, ciocia zacznie się martwić. Będzie musiała pomyśleć o jakimś

wiarygodnym wyjaśnieniu.

Może na trochę usnęła. Nie mogła uwierzyć, że udało jej się zdrzemnąć nawet na chwilę w takim miejscu i w takich okolicznościach. Mimo to nie wiadomo kiedy zasnęła. Spała krótko. Dziesięć albo piętnaście minut, nie dłużej. Może nawet krócej. Ale za to głęboko. Kiedy się obudziła, jej świadomość była podzielona. Przez chwilę nie wiedziała, gdzie jest i co tu robi. Miała chyba jakiś nieokreślony sen. Dotyczył obfitych piersi i mlecznej czekolady. W ustach zebrało jej się pełno śliny. Potem nagle sobie przypomniała, że zakradła się do Menshikiego i ukrywa się w domku gospodarczym.

Obudził ją jakiś dźwięk. Był to przeciągły odgłos jakiegoś urządzenia. Konkretnie mówiąc, dźwięk otwierających się drzwi do garażu. Ze szczękiem unosiły się drzwi tego znajdującego się obok wejścia do domu. Może Menshiki wybiera się gdzieś samochodem. Od razu wyszła z domku i tłumiąc odgłos kroków, poszła w kierunku domu. Drzwi garażu całkiem się uniosły i umilkły. Potem rozległ się odgłos zapalnego silnika i powoli ukazał się przód srebrnego jaguara. Okno po stronie kierowcy było otwarte i widziała w nim bielusieńkie włosy lśniące w popołudniowym słońcu. Obserwowała to ukryta w zaroślach.

Gdyby Menshiki odwrócił głowę w stronę krzewów po prawej, może by ją dostrzegł, bo kępa była za mała, żeby się całkiem za nią ukryć. Ale cały czas patrzył prosto przed siebie. Wyglądał na bardzo poważnie nad czymś zamyślonego. Jaguar zniknął za zakrętem podjazdu. Zdalnie sterowane drzwi garażu zaczęły się powoli zamykać. Marie wybiegła z zarośli i błyskawicznie wślizgnęła się w szczelinę pod nimi. Jak Indiana Jones w *Poszukiwaczach zaginionej Arki*. To też było instynktowne działanie. Oszacowała, że jeśli uda jej się dostać do garażu, pewnie będzie mogła stamtąd wejść do domu. Czujnik przy drzwiach coś wyczuł i na chwilę jakby się zawahał, ale po chwili drzwi znów ruszyły w dół, aż całkiem się zamknęły.

W garażu był jeszcze jeden samochód. Elegancki sportowy z beżowym opuszczanym dachem i granatową karoserią. To nim niedawno ciocia była tak oczarowana. Jej nie interesowały samochody, więc wtedy w ogóle na niego nie spojrzała. Miał strasznie długi przód i figurkę jaguara na masce. Nawet nieznająca się na samochodach Marie potrafiła ocenić, że to bardzo luksusowe auto. Było pewnie bardzo drogie.

W głębi garażu znajdowały się drzwi prowadzące do domu. Niepewnie przekręciła gałkę i odkryła, że nie są zamknięte na klucz. Odetchnęła z ulgą.

Normalnie ludzie nie zamykają na klucz drzwi prowadzących z garażu do domu, ale Menshiki był bardzo ostrożnym człowiekiem. Dlatego nie miała wielkich nadziei. Musiał być czymś bardzo zaabsorbowany. Naprawdę miała szczęście.

Weszła tymi drzwiami do domu. Nie była pewna, czy zdjąć buty, ale w końcu zdjęła i wzięła je do ręki. Nie mogła ich tu zostawić. W domu panowała cisza. Jakby wszystko wstrzymywało oddech. Była pewna, że po wyjściu Menshikiego nikogo tu nie ma. Jestem tu sama, pomyślała. Przez pewien czas mogę robić, co chcę.

Kiedy była tu poprzednio z ciocią, Menshiki oprowadził je po domu. Dobrze to pamiętała. Mniej więcej wiedziała, gdzie co jest. Najpierw poszła do dużego salonu zajmującego większość parteru. Można stąd było wyjść na rozległy taras. Prowadziły na niego duże przeszklone przesuwane drzwi. Przez chwilę wahała się, czy może je otworzyć. Menshiki mógł przed wyjściem włączyć alarm. Jeśli tak, to gdy tylko je otworzy, rozlegnie się sygnał ostrzegawczy i zaczną migać światła zainstalowane przez firmę ochroniarską. Firma zadzwoni, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Wtedy trzeba będzie im podać hasło. Marie rozmyślała, trzymając w ręku czarne szkolne mokasyny.

W końcu doszła do wniosku, że Menshiki nie włączył alarmu. Nie zamknął nawet na klucz drzwi prowadzących do garażu. Nie wybrał się na wycieczkę. Pewnie pojechał niedaleko na zakupy albo coś w tym rodzaju. Marie zdecydowała się i otworzyła drzwi na taras. Odczekała chwilę, ale nie odezwał się żaden sygnał i nie było telefonu z firmy ochroniarskiej (gdyby ktoś z firmy natychmiast tu przyjechał, żarty by się skończyły). Odetchnęła z ulgą i wyszła na taras. Położyła buty na ziemi i wyjęła lornetkę z plastikowego futerału... Była dla niej za duża, więc próbowała oprzeć ją o balustradę, ale niezbyt dobrze jej to wyszło. Rozejrzała się i dostrzegła oparty o ścianę statyw. Musiał być przeznaczony do lornetki. Przypominał statyw kamery i miał ten sam szarooliwkowy kolor co lornetka. Można ją było do niego przykręcić. Przymocowała lornetkę do statywu, usiadła na niskim metalowym taborecie i spojrzała. Łatwo udało jej się ustalić, co można przez nią zobaczyć. Menshiki musiał zawsze stąd obserwować drugą stronę doliny, a stamtąd nie było widać lornetki.

Zadziwiająco wyraźnie widziała swój dom. Wszystko widziane przez szkła lornetki było nieco jaśniejsze i wyraźniejsze niż w rzeczywistości. Przyrząd pewnie miał jakąś funkcję optyczną, która to umożliwiała. Okna kilku pokoi wychodzących na dolinę nie były zamknięte, więc widziała wszystko dokładnie jak na dłoni. Dostrzegła nawet stojący na stole wazon i leżące obok czasopisma. Ciocia powinna być teraz w domu, ale nigdzie jej nie dostrzegła.

Bardzo dziwnie się czuła, dokładnie obserwując z dużej odległości wnętrze własnego domu. Zupełnie jakby już nie żyła (nie bardzo wiedziała jak, ale nagle znalazła się pośród zmarłych) i spoglądała z tamtego świata na dom, w którym niegdyś mieszkała. Przez długi czas było to jej miejsce na ziemi. Dobrze znane i bliskie miejsce, do którego nie mogła już wrócić. Doznała dziwnego uczucia wyobcowania.

Potem spojrzała na swój pokój. Okno wychodziło na tę stronę, lecz było zasłonięte. Dokładnie i szczelnie. Dobrze jej znane pomarańczowe wzorzyste zasłony. Spłwiałały na słońcu i pomarańczowy kolor wyblakł. Nie było widać, co jest za nimi. Ale wieczorem przy zapalonych światłach można pewnie było dostrzec przynajmniej zarys sylwetki. Żeby się dowiedzieć, jak dokładnie wszystko widać, musiałaby tu przyjść i spojrzeć wieczorem. Powoli trochę obróciła lornetkę na statywie. Gdzieś musiała być ciocia, ale ciągle nigdzie jej nie widziała. Może robiła kolację w kuchni w głębi domu. Albo odpoczywała w swoim pokoju. Tak czy inaczej, stąd nie było widać drugiej części domu.

Pomyślała, że chciałaby zaraz tam wrócić. Nagle zrodziło się w niej takie gwałtowne pragnienie. Chiałaby tam wrócić, usiąść na dobrze znanym krześle w jadalni i napić się gorącej herbaty w swojej filiżance. I patrzeć bezmyślnie, jak ciocia szykuje w kuchni kolację. Pomyślała, jak wspaniale by było, gdyby mogła to zrobić. Nigdy nie przypuszczała, że może kiedyś zatęsknić za tym domem. Zawsze uważała, że jest pusty i brzydki. Nie cierpiała w nim mieszkać. Chciała szybko dorosnąć, wyprowadzić się i zamieszkać sama w jakimś miejscu, które będzie jej się podobało. Ale teraz, zaglądając do domu przez precyzyjną lornetkę z drugiej strony doliny, chciała koniecznie tam wrócić. Bo tam jest przecież m o j e m i e j s c e, myślała. Miejsce, w którym jestem bezpieczna.

Wtedy dosłyszała jakby ciche brzęczenie, więc odsunęła się od lornetki. Zobaczyła w powietrzu coś czarnego. Była to osa. Duża i długa, może szerszeń. Agresywny owad, jeden z tych, które uśmierciły jej matkę. Miał bardzo ostre żądło. Marie szybko wbiegła do domu, zasunęła za sobą szklane drzwi i zamknęła je na klucz. Szerszeń latał jeszcze przez pewien czas za drzwiami, jakby jej pilnował, kilka razy uderzył nawet w szybę. Aż w końcu chyba zrezygnował i gdzieś odleciał. Marie odetchnęła z ulgą. Oddech miała ciągle przyspieszony i serce jej waliło. Szerszenie były jedną z rzeczy, których się najbardziej obawiała. Ojciec wiele razy jej powtarzał, jak bardzo są groźne. Kilka razy oglądała je na ilustracjach w atlasie owadów. Nie wiadomo kiedy zaczęła się obawiać, że, jak mama, może umrzeć od użądleń szerszeni. Mogła odziedziczyć po niej uczulenie na ich jad. Na pewno kiedyś umrze, ale to powinno być w dalekiej przyszłości.

Chciała przedtem choć raz poczuć, jak to jest mieć bujne piersi i dobrze rozwinięte sutki. Żałosne byłoby, gdyby umarła wcześniej uządlona przez szerszenia.

Pomyślała, że lepiej przez pewien czas nie wychodzić na dwór. Ten wściekły szerszeń na pewno jeszcze gdzieś tu latał. Wyglądał, jakby obrał ją sobie za cel. Dlatego postanowiła nie wychodzić i dokładniej rozejrzeć się po domu.

Najpierw obeszła i zbadała szczegółowo duży salon. Nic się szczególnie nie zmieniło od jej ostatniej wizyty. Stał tu duży fortepian Steinwaya. Leżały na nim różne nuty. Inwencje Bacha, sonaty Mozarta, krótkie utwory Chopina – tego typu rzeczy. Niezbyt trudne technicznie. Ale zagranie ich nie było łatwe. Tyle nawet Marie wiedziała. Ona też dawniej uczyła się gry na pianinie, zrobiła nawet niewielkie postępy. Malarstwo pociągało ją bowiem bardziej niż muzyka.

Na stoliku z marmurowym blatem leżało kilka książek. Ktoś zaczął je czytać. Jedna filozoficzna, jedna historyczna i dwie powieści (jedna po angielsku). Między stronami tkwiły zakładki. Nie rozpoznała żadnego tytułu ani nie słyszała o autorach. Przerzuciła kilka kartek, ale treść książek nie wzbudziła jej zainteresowania. Właściciel tego domu czytał trudne książki i kochał muzykę klasyczną. A w przerwach ukradkiem zaglądał przez precyzyjną lornetkę do jej domu po drugiej stronie doliny. Czy był zwykłym zbrojeńcem? Czy też kryła się za tym jakaś przyczyna czy cel? Czy interesowała go ciocia? Czy ona sama? Czy też obie (ale czy to w ogóle możliwe)?

Następnie postanowiła sprawdzić pokoje na dole. Zeszła po schodach i najpierw skierowała się do gabinetu. Wisiał w nim portret Menshikiego. Marie stanęła pośrodku pokoju i przez chwilę patrzyła na obraz. Widziała go już wcześniej (przyjechały tu z ciocią, żeby go zobaczyć), ale kiedy teraz znów na niego patrzyła, stopniowo doznała uczucia, że Menshiki naprawdę jest w tym pokoju. Zrezygnowała więc z dalszego patrzenia na portret. Starając się odwracać od niego wzrok, sprawdziła wszystko na biurku. Stał tam wysokiej klasy komputer Apple'a, ale nie włączyła go. Była pewna, że jego zawartość jest dobrze chroniona. Nie potrafiłaby się przebić przez blokadę. Na biurku było niewiele przedmiotów. Leżał terminarz, ale prawie nic w nim nie zapisano. Tylko w kilku miejscach zanotowano jakieś niezrozumiałe symbole i liczby. Pewnie prawdziwy rozkład zajęć miał w komputerze i na kilku innych urządzeniach. Na pewno wszystko porządnie chronione. Pan Menshiki był bardzo ostrożnym człowiekiem. Nie zostawiłby śladów.

Poza tym na biurku były przedmioty piśmienne, jak to na każdym innym biurku. Ołówki, wszystkie prawie tej samej długości i pięknie zatemperowane, spinacze

posegregowane według rozmiaru. Biały bloczek do notatek czekał spokojnie, żeby coś na nim zapisano. Cyfrowy zegar uczciwie odmierzał czas. W każdym razie wszystko było przeraźliwie usystematyzowane. Jeżeli nie jest dobrze wykonanym robotem, musi z nim być coś nie tak, pomyślała Marie.

Wszystkie szuflady biurka były zamknięte na klucz. Nic dziwnego. Ktoś taki musiał zamykać szuflady biurka. Nie było tu nic więcej do oglądania. Nie zainteresowały jej rzędy książek na regale, CD na półce i kosztownie wyglądający najnowszy zestaw stereofoniczny. Odzwierciedlały jedynie jego upodobania. Nie pozwalały się dowiedzieć niczego o nim jako o człowieku. (Prawdopodobnie) nie miały związku z jego tajemnicami.

Wyszła z gabinetu i idąc pogrążonym w półmroku korytarzem, zajrzała do kilku pokojów. Żaden nie był zamknięty na klucz. Kiedy tu była poprzednim razem z cicią, Menshiki nie pokazał im tych pokojów. Widziały tylko salon na parterze oraz gabinet, jadalnię i kuchnię poniżej (Marie była też w łazience dla gości). Kolejno otwierała drzwi tych nieznanych pomieszczeń. W jednym była sypialnia Menshikiego. Tak zwana główna sypialnia, bardzo duża. Miała garderobę i łazienkę. Łóżko bardzo pięknie posłane, pokryte patchworkową kapą. Ponieważ nie miał na stałe pomocy domowej, musiał sam je tak posłać. To by jej specjalnie nie dziwiło. Na poduszce leżała starannie złożona gładka brunatna piżama. Na ścianach wisiało kilka niewielkich grafik. Chyba był to zestaw prac tego samego artysty. Przy łóżku też leżała zaczęta książka. Ten człowiek wszędzie po trochu czytał. Okno wychodziło na dolinę, ale było niezbyt duże i zasłonięte roletą.

Otworzyła przestronną garderobę, w której były rzędy ubrań. Niewiele garniturów, w większości marynarki. Również niewiele krawatów. Nie miał powodu nosić formalnych strojów. Wszystkie koszule były świeżo odebrane z pralni, opakowane w plastikową folię. Na półce stało rzędem wiele par skórzanych butów i adidasów. Zgromadzono tu starannie gustowne ubrania i dbano o nie. Mogłyby trafić prosto do magazynu modowego. Ubrań nie było zbyt wiele, ale i niemało. We wszystkim zachowano umiar.

Szuflady komody wypełniały skarpetki, chusteczki do nosa, majtki i podkoszulki. Wszystkie złożone bez jednej zmarszczki i pięknie posegregowane. Była też szuflada z dzinsami, koszulkami polo i bluzami od dresu. Własną dużą szufladę miały również piękne swetry w różnych kolorach. Wszystkie gładkie. Ale w żadnej szufladzie nie było nic, co pozwoliłoby odkryć tajemnicę Menshikiego. Wszystko było idealnie czyste i funkcjonalnie poklasyfikowane. Na podłodze nawet jednego pyłku, wszystkie obrazy na ścianach wisiały idealnie równo.

Marie udało się dobrze zrozumieć tylko jedną rzecz na temat Menshikiego. A mianowicie to, że nie mogłaby z tym człowiekiem żyć. Byłoby to niemożliwe dla normalnej osoby. Ciocia też lubiła porządek, ale nie była aż taką perfekcjonistką.

Następnie weszła do pokoju gościnnego. Stało tam posłane podwójne łóżko. Przy oknie biurko z krzesłem i niewielki telewizor. Nie dostrzegła jednak żadnych śladów tego, żeby ktoś się tu kiedyś zatrzymał. Pokój zdawał się raczej nigdy nieużywany. Wyglądało na to, że pan Menshiki nie zaprasza gości. Gościnny pokój przygotował tylko na wszelki wypadek (nie potrafiła sobie wyobrazić jaki).

Sąsiednie pomieszczenie wyglądało na składzik. Brak mebli, na wyłożonej zieloną wykładziną podłodze stało z dziesięć kartonów. Sądząc po ciężarze, były wypełnione dokumentami. Na przyklejonych etykietach napisano jakieś symbole. Wszystkie ciasno oklejono gumowaną taśmą. Marie sądziła, że to pewnie jakieś dokumenty związane z jego pracą. Mogła się w tych pudłach kryć jakaś ważna tajemnica. Ale pewnie nie miała związku z Marie, a z jego interesami.

Żaden pokój nie był zamknięty na klucz. Wszystkie okna wychodziły na dolinę, ale miały opuszczone rolety. Na razie nie mieszkał w nich nikt, komu zależałoby na słonecznym świetle i pięknych widokach. Pomieszczenia wypełniał półmrok, pachniały jak opuszczone.

Najbardziej zainteresował ją czwarty pokój. Nie sam pokój był interesujący. Tutaj też prawie nie było mebli. Jedynie krzesło i mało charakterystyczny drewniany stolik. Ściany też gołe, ani jednego obrazka. Strasznie samotny pokój. Żadnych ozdób. Wyglądał na zwykle nieużywane, puste pomieszczenie. Ale kiedy na próbę otworzyła garderobę, znalazła tam zestaw damskich ubrań, który wystarczyłby dorosłej kobiecie na kilka dni. Marie pomyślała, że pewnie regularnie bywała tu jakaś kobieta i te ubrania były przeznaczone do jej użytku. Odruchowo się skrzywiła. Czy ciocia wiedziała, że Menshiki ma taką kobietę?

Ale szybko się zorientowała, że się myli. Ubrania wiszące na wieszakach stały się już niemodne. Wszystkie sukienki, spódnice i bluzki były markowe i wyglądały na kosztowne, ale dziś nikt już takich nie nosił. Marie nie znała się na modzie, lecz nawet ona to wiedziała. Pewnie były modne przed jej urodzeniem. I wszystkie przeszły zapachem naftaliny. Chyba wisały tu od dawna. Pewnie dzięki temu, że zostały starannie przechowane, nie pogryzły ich mole. Poza tym przypuszczalnie dbano o to, żeby w zależności od pory roku nie było tu za wilgotno ani za sucho, więc ubrania nie zmieniły koloru. Sukienki miały rozmiar 34. Czyli na wzrost około 155 cm. Patrząc na rozmiar spódnicy, wydawało się, że ta kobieta miała dość dobrą figurę. Buty rozmiar 23.

W kilku szufladach była bielizna, skarpetki i koszule nocne. Wszystko włożone w plastikowe torebki, żeby się nie kurzyło. Wyjęła kilka par bielizny. Rozmiar stanika 65C. Na podstawie jego kształtu Marie wyobraziła sobie piersi tej kobiety. Pewnie trochę mniejsze niż u cioci (choć oczywiście nie wiedziała, jakie miały sutki). Cała bielizna była elegancka i luksusowa. Może nawet dałoby się ją nazwać seksowną. Wyrafinowana bielizna, którą kupowała w specjalistycznym sklepie dorosła kobieta niemająca problemów finansowych z myślą o spotkaniu z mężczyzną, na którym jej zależało. Delikatny jedwab i koronki wymagały ręcznego prania w letniej wodzie. Nie coś, co wkładało się do koszenia trawnika. Wszystko przesiąknęło zapachem naftaliny. Starannie złożyła bieliznę, schowała jak przedtem do torby, a torbę do szuflady w garderobie.

Te ubrania nosiła pewnie kiedyś – piętnaście albo dwadzieścia lat temu – jakaś bliska Menshikiemu kobieta. Do takiego wniosku doszła Marie. I z jakiegoś powodu ta kobieta, nosząca gustowne ubrania w rozmiarze 34, buty w rozmiarze 23 i stanik w rozmiarze 65C, je u niego zostawiła. I już więcej nie wróciła. Ale dlaczego zostawiła takie luksusowe ubrania? Jeżeli nawet z jakiejś przyczyny się rozstali, dlaczego ich ze sobą nie wzięła? Marie oczywiście nie znała powodu. W każdym razie Menshiki pieczołowicie je przechowywał. Jak krasnoludki znad Renu z pokolenia na pokolenie pilnowały legendarnego złota. Czasami pewnie tu przychodził, przyglądał się uważnie tym strojom i dotykał ich. A kiedy zmieniały się pory roku, przekładał nową naftaliną (nie chciał tego zlecić nikomu innemu).

Gdzie mogła teraz być ta kobieta? Może wyszła za kogoś innego? A może zachorowała albo uległa wypadkowi i umarła? A on ciągle szukał jej śladów (oczywiście Marie nie wiedziała, że ta kobieta to jej matka, a ja nie widziałem powodu, żeby jej o tym mówić. Tylko Menshiki miał prawo jej o tym powiedzieć).

Marie się zamyśliła. Czy powinna go dzięki temu bardziej polubić? Za to, że przez tyle lat ciągle myślał o jakiejś kobiecie? Czyż nie powinna uznać, że jest w tym coś odrażającego? W takim pieczołowitym idealnym przechowywaniu jej ubrań.

Kiedy doszła do tego miejsca w swoich rozmyślaniach, nagle usłyszała dźwięk otwierających się drzwi do garażu. Menshiki wrócił. Tak się skupiła na ubraniach, że nie dosłyszała, jak otworzyła się brama i wjechał samochód. Musiała stąd szybko uciec. Musiała się skryć w jakimś bezpiecznym miejscu. Ale wtedy nagle uświadomiła sobie pewien fakt. Strasznie ważny fakt. I ogarnęła ją panika.

Zostawiła na tarasie buty. Do tego wyjęła lornetkę z futerału i zostawiła ją na statywie. Przerazona na widok szerszenia rzuciła wszystko i uciekła do domu. Wszystko tam tak zostało. Jeżeli Menshiki wyjdzie na taras i to zobaczy (a prędzej czy później zobaczy), od razu się zorientuje, że ktoś się dostał do domu pod jego nieobecność. Spojrzy na jej czarne buty i po rozmiarze pozna, że należą do dziewczynki. To bystry facet. Nie zajmie mu dużo czasu wpadnięcie na to, że to buty Marie. Pewnie przeszuka cały dom. I na pewno łatwo ją tu znajdzie.

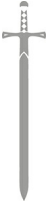
Nie miała czasu, żeby pobiec na taras, zabrać buty i schować lornetkę. Gdyby to zrobiła, na pewno natknęłaby się na Menshikiego. Nie miała pojęcia, co robić. Zabrakło jej tchu, serce biło jak oszalałe, nogi i ręce zdrętwiały.

Zgasł silnik samochodu, usłyszała, że zamykają się drzwi garażowe. Niebawem Menshiki wejdzie do domu. Co począć? Co począć... W głowie miała pustkę. Usiadła na podłodze, zamknęła oczy i zakryła twarz dłońmi.

– Wystarczy, że posiedzicie tu spokojnie – powiedział ktoś.

Pomyślała, że to złudzenie. Ale to nie było złudzenie. Bez namysłu otworzyła oczy i zobaczyła przed sobą starszego pana mającego sześćdziesiąt centymetrów wzrostu. Przysiadł na niskiej komodzie. Przyprószone siwizną włosy związał na czubku głowy, ubrany był w starodawne białe szaty, u pasa miał mały miecz. Nic dziwnego, że na początku uznała to za przywidzenie. Ogarnęła ją panika i przez to zwidywały jej się rzeczy, które nie mogły istnieć.

– Nie, nie jestem zwidem. Niepodobna tak myśleć – powiedział cichym, lecz dźwięcznym głosem. – Jam Komandor. Uratuję was.



Rozdział 61

Muszę być dzielną i mądrą dziewczynką

– Nie jestem zwidem – powtórzył Komandor. – Co do tego, czy naprawdę istnieję, mogą być różne opinie, ale w każdym razie nie jestem przywidzeniem. Przybyłem wam na pomoc. Wszak potrzebujecie pomocy?

Marie doszła do wniosku, że ta liczba mnoga musi się odnosić do niej.

Skinęła głową. Dość dziwnie się wypowiadał, ale rzeczywiście miał rację. Potrzebowała pomocy.

– Nie możecie iść teraz po buty. To niepodobna – powiedział Komandor. – Dajcie też spokój lornetce. Ale nie martwcie się. Ja zrobię, co będę mógł, żeby pan Menshiki nie wyszedł na taras. Przynajmniej przez pewien czas. Po zmierzchu niepodobna jednak mu będzie przeszkodzić. Kiedy się ściemni, pewnie wyjdzie na taras i będzie chciał przez lornetkę popatrzeć, co się dzieje w waszym domu. Zwykł co dzień to robić. Trzeba przedtem znaleźć rozwiązanie. Rozumiecie, co mówię, prawda?

Marie tylko skinęła głową. Jakoś udało jej się zrozumieć.

– Wy się na pewien czas ukryjcie w tej szafie – powiedział Komandor. – Ukryjcie się, jakby was tu nie było. Nie ma innego wyjścia. Dam wam znać, kiedy przyjdzie odpowiedni czas. Do tego czasu niepodobna wam się stąd ruszać. Nie odzywajcie się, choćby nie wiem co się działo. Rozumiecie, prawda?

Marie ponownie skinęła głową. Czy mi się to śni? Czy też ten człowiek jest zjawą?

– Nie jestem snem ani zjawą – powiedział Komandor, czytając w jej myślach. – Jestem ideą i nie mam formy. Ale bez formy nie mógłbym się wam ukazać, więc dla wygody przybrałem na razie formę Komandora.

Idea, komandor... – powtórzyła Marie w myślach. Umie czytać w myślach. I

wtedy nagle sobie przypomniała. Widziała go na tym obrazie w stylu japońskim w domu Tomohika Amady. Musiał z niego wyjść. I pewnie dlatego jest taki niewielki.

Komandor mówił dalej:

– Macie rację. Pożyczyłem sobie formę jednej z postaci z tego obrazu. Sam nie bardzo wiem, co oznacza słowo „komandor”. Ale w tej chwili tak mnie nazywają. No więc poczekajcie tu spokojnie. Kiedy nadejdzie czas, przyjdę po was. Nie trwóście się. Wszak te ubrania was ochronią.

Ubrania ją ochronią? Nie bardzo rozumiała, co on mówi. Ale ta wątpliwość pozostała bez odpowiedzi. W następnej chwili Komandor zniknął. Rozwiął się w powietrzu jak dym.

Marie siedziała w szafie, wstrzymując oddech. Tak jak jej kazał Komandor, starała się nie ruszać i nie wydawać żadnych dźwięków. Menshiki wszedł do domu. Chyba wracał z zakupów, bo usłyszała szelest papieru, jakby niósł kilka toreb. Kiedy usłyszała jego ciche kroki – w kapciach powoli przechodził obok pokoju, w którym się ukrywała – zaparło jej dech.

Drzwi do garderoby zakrywała roleta, od dołu dostawało się trochę światła. Niezbyt jasnego. Zbliżało się późne popołudnie i w pokoju robiło się pewnie coraz ciemniej. Przez szpary w roletce widziała wykładzinę na podłodze. Garderoba była dość mała, przesiąknięta zapachem naftaliny. Otaczały ją ściany, nie było jak stąd uciec. To, że nie było drogi ucieczki, przerażało ją najbardziej.

Komandor powiedział, że przyjdzie po nią, gdy nadejdzie odpowiedni czas. Pozostało jej tylko uwierzyć mu i czekać. Powiedział też, że ubrania ją ochronią. Pewnie chodziło mu o te tutaj. Stare ubrania, które nosiła pewnie przed moim urodzeniem jakaś nieznana kobieta. Dlaczego miałyby mnie chronić? Wyciągnęła rękę i dotknęła brzegu wiszącej przed nią sukienki w kwiaty. Różowy materiał był miękki, przyjemny w dotyku. Przez pewien czas nie wypuszczała go z ręki. Z jakiegoś powodu, kiedy go dotykała, robiło jej się źle na sercu.

Może gdybym chciała, mogłabym włożyć tę sukienkę, pomyślała Marie. Ta kobieta chyba była mniej więcej tego samego wzrostu co ja. Rozmiar 34 by na mnie pasował. Oczywiście nie mam piersi, więc musiałabym z tym jakoś sobie poradzić. Ale gdybym miała ochotę albo gdybym z jakiegoś powodu musiała to zrobić, mogłabym się przebrać w te ubrania. Na tę myśl mocniej zabiło jej serce.

Czas mijał. W pokoju z każdą chwilą robiło się mroczniej. Zbliżał się zmierzch.

Spojrzała na zegarek. Było ciemno i nie bardzo widziała tarczę. Przycisnęła guzik i oświetliła ją. Dochodziło pół do piątej. Już się zmierzchało. Dni były teraz coraz krótsze. Gdy zrobi się ciemno, Menshiki wyjdzie na taras. I od razu odkryje, że ktoś dostał się do domu. Musiała dotrzeć na taras przed nim i zrobić porządek z butami i lornetką.

Z bijącym sercem czekała, aż przyjdzie po nią Komandor. Ale on się nie zjawiał. Może wszystko poszło nie tak, jak trzeba. Może nie znalazł odpowiedniej okazji. Poza tym nie miała pojęcia, co naprawdę może zdziałać ten człowiek (czy też ta idea) zwany Komandorem, na ile może na nim polegać. Ale w tej chwili nie miała innego wyjścia. Musiała mu zaufać. Usiadła na podłodze w garderobie, objęła kolana rękami i przez szpary w rolcie patrzyła na wykładzinę w pokoju. Czasami wyciągała rękę i dotykała dołu sukienki, jakby była dla niej cenną liną ratunkową.

Kiedy w pokoju zrobiło się już dość ciemno, znów usłyszała kroki na korytarzu. Były to powolne, ciche kroki. Ktoś podszedł do drzwi pokoju, w którym się ukrywała, i nagle się zatrzymał. Zupełnie jakby coś wywęszył. Po chwili usłyszała odgłos otwieranych drzwi. Drzwi do tego pokoju. Na pewno do tego. Przeszedł ją zimny dreszcz i serce nieomal w niej zamarło. Ktoś (prawdopodobnie Menshiki, bo prócz niego chyba nie było w tym domu nikogo innego), ktoś wszedł do pokoju i powoli zamknął za sobą drzwi. Rozległ się szcęk zamka. Ten człowiek był w pokoju. Na pewno był. Tak jak ona, wstrzymywał oddech, wyteżał słuch i starał się wyczuć, czy ktoś tu jest. Czuła to. Nie zapalił światła. Wyteżał wzrok w mrocznym pokoju. Dlaczego nie zapalał światła? Przecież zwykle każdy by od tego zaczął. Nie rozumiała przyczyny.

Przez szpary w rolcie gapiła się na podłogę. Gdyby ktoś się tu zbliżył, zobaczyłaby jego stopy. Jeszcze nic nie widziała, ale wyraźnie czuła, że w pokoju ktoś jest. Mężczyzna. I ten mężczyzna – pewnie Menshiki (bo kto inny mógłby być teraz w tej willi?) chyba wpatrywał się nieruchomo w ciemności w drzwi garderoby. Coś w niej wyczuwał. Czuł, że w szafie dzieje się coś innego niż zwykle. Jego następnym krokiem będzie otwarcie drzwi. Nie było innej możliwości. Drzwi nie były zamykane na klucz, więc otwarcie ich będzie proste. Wystarczy wyciągnąć rękę, przekręcić gałkę i pociągnąć ku sobie.

Męskie kroki się przybliżyły. Marie ogarnął gwałtowny strach. Czuła, jak zimny pot spływa jej po plecach. Pomyślała, że nie powinna była tu przychodzić. Powinna grzecznie siedzieć we własnym domu. W tym własnym domu po drugiej stronie doliny, za którym teraz tęskniła. Tu było coś strasznego. Coś, do czego nie powinna się niebacznie zbliżać. Tu działała jakaś „świadomość”. I pewnie

szerszenie były częścią tej świadomości. I to coś wyciągało teraz po nią rękę. Przez szpary w rolocie zauważyła stopy. Stopy w brązowych skórzanych kapciach. Ale było zbyt ciemno, więc nic więcej nie widziała.

Marie instynktownie wyciągnęła rękę i bez namysłu chwyciła dół wiszącej obok sukienki. Tej sukienki w kwiaty w rozmiarze 34. I cicho się pomodliła. Pomóż mi. Jakoś mnie ochroń.

Mężczyzna długo stał przed dwuskrzydłowymi drzwiami garderoby. Nie wydawał żadnych dźwięków. Nie słyszała nawet, że oddycha. Stał tam jak skamieniały, ani drgnął, i obserwował, co się dzieje. Panowała ciemność, coraz bardziej wypełniona ciężką ciszą. Na podłodze drżało jej skulone ciało. Cicho szczykała zębami. Chciała zamknąć oczy i zakryć uszy. Chciała się jakoś pozbyć wszystkich myśli. Ale nie zrobiła tego. Czuła, że nie wolno jej tego zrobić. Choć była przerażona, nie mogła pozwolić, by strach nad nią zapanował. Nie mogła przestać odczuwać. Nie mogła przestać myśleć. Dlatego otworzyła oczy, wyteżyła słuch i wpatrując się w stopy na podłodze, desperacko ścisnęła miękki materiał różowej sukienki.

Głęboko wierzyła, że te ubrania ją ochronią. Były po jej stronie. Te ubrania w rozmiarze 34, buty w rozmiarze 23 i staniki w rozmiarze 65C owiną ją i uczynią niewidzialną. Nie było jej tutaj. Nie ma mnie tutaj.

Nie wiedziała, jak dużo czasu minęło. Czas nie był tam jednorodny i nie miał kolejności. Ale mimo to jakiś określony czas upłynął. W pewnym momencie mężczyzna wyciągnął rękę, zamierzając otworzyć garderobę. Marie wyraźnie to czuła. Przygotowała się na najgorsze. Drzwi się otworzą i mężczyzna ją zobaczy. A ona zobaczy jego. Nie wiedziała, co będzie dalej. Nie miała pojęcia. Przez głowę przemknęła jej myśl, że ten mężczyzna może nie być Menshikim. A więc kim jest?

Ale w końcu mężczyzna nie otworzył szafy. Po chwili wahania cofnął rękę i odsunął się. Nie wiedziała, dlaczego w ostatniej chwili zmienił zdanie. Pewnie coś go powstrzymało. Otworzył drzwi pokoju, wyszedł na korytarz i zamknął je za sobą. Pokój znów był pusty. Na pewno pusty. To nie żaden trik. Została znów sama. Była tego pewna. W końcu zamknęła oczy i powoli wypuściła długo wstrzymywany oddech.

Serce jeszcze szybko jej biło. Biło na alarm – w powieściach użyto by takiego określenia. Nie wiedziała, co to znaczy „bić na alarm”. Naprawdę coś jej groziło, ale w ostatniej chwili została uratowana. To miejsce było jednak zbyt niebezpieczne. Ten ktoś wyczuł jej obecność w tym pokoju. Na pewno wyczuł. Nie

mogła się tu w nieskończoność ukrywać. Tym razem jakoś jej się udało uniknąć niebezpieczeństwa, ale nie wiadomo, jak będzie następnym razem.

Nadal jednak czekała. W pokoju było coraz ciemniej. Lecz ona czekała nieporuszona. Siedziała w milczeniu, pełna niepokoju i strachu. Komandor na pewno o niej nie zapomni. Wierzyła mu. A raczej nie miała innego wyjścia. Musiała się zdać na tego niewielkiego człowieczka, który tak dziwnie mówił.

Nagle się zorientowała, że Komandor znów jest przy niej.

– Trzeba stąd wyjść – powiedział szeptem. – Teraz jest właśnie odpowiednia chwila. No, wstańcie, panowie.

Marie się zawahała. Siedziała na podłodze i nie bardzo mogła się podnieść. Na myśl, że ma wyjść z garderoby, znowu ogarnął ją lęk. Może na zewnątrz czekało ją coś jeszcze groźniejszego?

– Nasz kolega Menshiki bierze w tej chwili prysznic – powiedział Komandor. – Jak widzicie, bardzo lubi czystość. Długo będzie pod prysznicem. No ale oczywiście niepodobna tam tkwić wiecznie. Więc teraz i tylko teraz macie szansę. No, nie zwlekajcie.

Marie zebrała się w sobie i jakoś wstała. Potem popchnęła i otworzyła drzwi garderoby. W pokoju panowała ciemność, nikogo nie było. Przed wyjściem obejrzała się i jeszcze raz spojrzała na wiszące ubrania. Odetchnęła powietrzem w szafie i poczuła zapach naftaliny. Być może więcej już nie zobaczy tych ubrań. Nie wiedziała dlaczego, ale wydawały jej się bardzo wytęsknione i bliskie.

– No, pośpieszcie się – poganiał ją Komandor. – Nie ma zbyt wiele czasu. Wyjdźcie na korytarz i idźcie w lewo.

Marie zarzuciła torbę na ramię, otworzyła drzwi, wyszła z pokoju i ruszyła w lewo korytarzem. Wbiegła po schodach do salonu, przeszła szybko przez pokój i otworzyła drzwi prowadzące na taras. Szerszeń mógł tam jeszcze być. Ale zrobiło się zupełnie ciemno, więc może szerszenie przestały być aktywne. Nie, temu szerszeniowi mogła nie przeszkadzać ciemność. Nie miała jednak czasu się nad tym zastanawiać. Wyszła na taras, odkręciła lornetkę od statywu i wsadziła do futerału. Złożyła statyw i oparła o ścianę, tam gdzie wcześniej stał. Zajęło jej to więcej czasu, niż myślała, bo ze zdenerwowania palce poruszały się jej niezdarnie. Potem podniosła czarne mokasyny. Komandor siedział na taborecie i obserwował ją. Szerszenia nigdzie nie było. Odetchnęła z ulgą.

– Już wystarczy – powiedział Komandor. – Wejdźcie do środka i zamknijcie

drzwi na taras. Potem zejǳcie po schodach dwa piętŗa w dół.

Dwa piętŗa w dół? Znajǳcie się jeszcze bardziej w głębi willi. Czy nie powinna raczej stąd uciekać?

– Teraz niepodobna uciec – powiedział Komandor, czytając w jej myślach i potrząsając głową. – Brama jest dobrze zamknięta. Musicie jeszcze trochę pozostać w ukryciu. Musicie teraz postępować tak, jak wam powiadam.

Marie musiała mu zaufać. Wyszła z salonu i skradając się, zeszła dwa piętŗa w dół. Znalazła się na drugim piętŗze pod parterem. Był tam pokój słuźacej, obok niego pralnia i skłǳzik. Na końcu korytarza siłownia z urządzeniami do ćwiczeń. Komandor wskazał jej pokój słuźacej.

– Bęǳcie się tu pewien czas ukrywać – powiedział. – Kolega Menshiki tu nie zajrzy. Schodzi tu raz dziennie zrobić pranie i ćwiczyć, ale nie zagłǳa za każdym razem do pokoju słuźacej. Więć jeśli bęǳcie tu cicho siedzieli, nie znajǳie was. Pokój ma łazienkę i lodówkę. Na wypadek trzęsienia ziemi w skłǳziku jest duży zapas wody mineralnej i jedzenia. Dlatego nie umrzecie z głodu. Stosunkowo spokojnie miną wam tu dni.

– Miną DNI? – zapytała Marie przestraszona, ciągle z butami w ręku (choć w jej głosie nie było strachu). – Mają mi tu „mijać dni”? To znaczy, że spędzę tu parę dni?

– Źal was, ale niepodobna od razu stąd wyjść – powiedział Komandor, potrząsając niedużą głową. – To miejsce jest ściśle strzeżone. Porządnie pilnowane na różne sposoby. Niepodobna wam teraz pomóc. Możliwości idei niestety też mają swoje granice.

– A jak długo tu będę? – zapytała Marie cichym głosem. – Muszę szybko wrócić do domu. Inaczej ciocia bęǳie się martwić. Może nawet zawiadomi policję, że zaginęłam, a wtedy zrobi się afera.

Komandor potrząsnął głową.

– Niestety, niepodobna coś poradzić. Trzeba tu spokojnie poczekać.

– Czy pan Menshiki jest niebezpieczny?

– To trudno wyjaśnić – powiedział Komandor. I przybrał wyraz twarzy, który miał podkreślić tę trudność. – Nie mówię, że kolega Menshiki jest złym człowiekiem. Można powiedzieć, że to porządny człowiek i jest bardziej utalentowany od innych. Ma w sobie nawet coś szlachetnego. Ale jednocześnie ma też w sobie taką szczególną przestrzeń, która może w końcu przywabić coś niezwykłego, niebezpiecznego. I to jest problem.

Marie oczywiście nie rozumiała, o co mu chodzi. Coś niezwykłego?

– Czy to pan Menshiki stał wcześniej nieruchomo przed tamtą szafą? – zapytała Marie.

– To był on, nasz kolega Menshiki, ale zarazem nie on.

– A czy on sam się w tym zorientował?

– Zapewne – powiedział Komandor. – Zapewne tak. Ale to też coś, na co nie może nic poradzić.

Coś niebezpiecznego i niezwykłego? Może szerszeń, którego widziała, był jedną z form tego czegoś?

– Macie słuszność. Musicie bardzo uważać na szerszenie. Mogą być śmiercionośne – powiedział Komandor, czytając w jej myślach.

– Śmiercionośne?

– Chodzi o to, że mogą uśmiercić – wyjaśnił Komandor. – Musicie teraz spokojnie tu siedzieć. Niepodobna wyjść. Jak wyjdziecie, będą kłopoty.

Śmiercionośne, powtórzyła w myślach Marie. To słowo zabrzmiało bardzo złowieszczo.

Otworzyła drzwi i weszła do pokoju. Pomieszczenie było nieco większe niż garderoba w pokoju Menshikiego. Miało prostą kuchnię ze zlewem, lodówką i elektrycznym palnikiem oraz małą kuchenką mikrofalową. Do tego mała łazienka i łóżko. Nie było posłane, ale w szafce przygotowano koc, kołdrę i poduszkę. Było tam też krzesło i niewielki stolik, przy którym można było jeść posiłki. Tylko jedno krzesło. Niewielkie okno wychodziło na dolinę. Widać ją było spomiędzy firanek.

– Jeżeli nie chcecie, żeby was tu ktoś odnalazł, siedźcie tu spokojnie i starajcie się nie robić żadnego hałasu – tłumaczył Komandor. – Rozumiecie?

Marie skinęła głową.

– Jesteście dzielną dziewczynką – powiedział Komandor. – Impulsywną, ale dzielną. I to jest w zasadzie dobra rzecz. Ale tak długo, jak tu jesteście, musicie być wielce uważni. Nie możecie być lekkomyślni. To nietuzinkowe miejsce. Tu grasują zgryzoty.

– Grasują?

– Chodzi o to, że się tu mogą zabłąkać.

Marie skinęła głową. Chciała się więcej dowiedzieć o tym, w jakim sensie to „nietuzinkowe miejsce”, jakie „zgryzoty” tu grasują, ale nie bardzo wiedziała, jak zapytać. Zbyt wielu rzeczy nie wiedziała i nie była pewna, od czego zacząć.

– Nazajutrz może nie będę mógł tu przyjść – powiedział Komandor, jakby zdradzał jakąś tajemnicę. – Teraz muszę iść gdzie indziej. Mam tam coś do zrobienia. To nader ważna sprawa. Dlatego proszę o wybaczenie, ale mnie niepodobna wam więcej pomagać. Dalej musicie sobie jakoś radzić o własnych siłach.

– Ale jak się mam o własnych siłach stąd wydostać?

Komandor patrzył na nią spod zmrużonych powiek.

– Wyteńczyć słuch, wyteńczyć wzrok, wyostrzyć umysł. Nie ma innego sposobu. Poznacie, kiedy przyjdzie odpowiedni czas. „Och, teraz jest odpowiednia chwila” – pomyślicie. Jesteście dzielną i mądrą dziewczynką. Jeżeli tylko będziecie ostrożni, poznacie kiedy.

Marie skinęła głową. Muszę być dzielną i mądrą dziewczynką.

– Trzymajcie się – rzekł Komandor, dodając jej odwagi. A potem dorzucił, jakby nagle sobie przypomniał: – Nie frasujcie się. Piersi niedługo wam urosną.

– Do rozmiaru 65C?

Komandor zakłopotany pokręcił głową.

– Jam jest jedynie idea. Niepodobna znać rozmiarów damskiej bielizny. Ale zapewne będą o wiele, znacznie większe niż teraz. Nie musicie się o to frasować. Z czasem wszystko się rozwiąże. Dla rzeczy mających formę czas ma ogromne znaczenie. Nie będzie wiecznie istniał, ale tak długo, jak istnieje, ma wielką moc. Dlatego możecie się już na to radować.

– Dziękuję – powiedziała Marie. To była niewątpliwie jedna dobra wiadomość. A potrzebowała takich jak najwięcej, żeby dodać sobie odwagi.

Potem Komandor nagle zniknął. Jak dym rozplywający się w powietrzu. Kiedy go już nie było, cisza stała się jeszcze głębsza. Zrobiło jej się smutno na myśl, że może go więcej nie zobaczyć. Nie mogła już na nikogo liczyć. Położyła się na nieposłanym łóżku i wpatrzyła się w sufit. Był niski i pokryty białymi gipsowymi płytami. Na środku była jarzeniówka. Ale oczywiście Marie jej nie zapaliła. Nie mogła zapalać światła.

Jak długo będzie musiała tu siedzieć? Zbliżała się pora kolacji. Jeśli nie wróci do pół do ósmej, ciocia na pewno zadzwoni na kurs malarstwa i dowie się, że dziś opuściła zajęcia. Na tę myśl Marie ścisnęło się serce. Ciocia na pewno bardzo się zmartwi. Będzie się zastanawiała, co jej się mogło stać. Musiała jakoś zawiadomić ciocię, że nic złego jej nie spotkało. Nagle sobie przypomniała, że w kieszeni zakietu ma komórkę. Była wyłączona.

Wyciągnęła telefon z kieszeni i włączyła. Na ekranie pojawił się komunikat „Doładuj baterię”. Była zupełnie wyczerpana. Po chwili ekran zgasł. Już od dawna zapominała naładować telefon (na co dzień był jej prawie niepotrzebny, nie budził jej sympatii ani zainteresowania). Nic dziwnego, że bateria się wyczerpała. Nie mogła mieć pretensji.

Westchnęła głęboko. Powinna była przynajmniej czasami go doładowywać. Bo nigdy nie było wiadomo, co się może zdarzyć. Ale teraz nie było sensu tego roztrząsać. Wepchnęła rozładowany telefon do kieszeni zakietu. Coś ją jednak zaniepokoiło i jeszcze raz go wyjęła. Nie było przy nim figurki pingwina, którą do niego przyczepiła. Dostała go za zebrane punkty w sklepie z paczkami i traktowała jak amulet. Pewnie przerwał się pasek. Ale gdzie go mogła zgubić? Nic jej nie przychodziło do głowy. Przecież prawie nie wyjmowała telefonu z kieszeni.

Zaniepokoiło ją, że zgubiła ten mały amulet. Ale po chwili namysłu zmieniła zdanie. Zgubiła gdzieś pingwina przez nieuwagę. Lecz ubrania w tej szafie zadziałały jak nowy amulet i ochroniły ją. I ten dziwnie mówiący mały Komandor przyprowadził ją tutaj. Coś ją cały czas chroniło. Nie będzie się więc przejmowała zniknięciem amuletu.

Prócz tego miała przy sobie portfel, chusteczkę do nosa, portmonetkę na drobne, klucze od domu, połowę miętowej gumy do żucia – to wszystko. W torbie przybory do pisania, kilka zeszytów i podręczników. Nic, co mogłoby się przydać.

Cicho wyszła z pokoju służącej i sprawdziła, co jest w składziku. Tak jak mówił Komandor, był tam duży zapas pożywienia na wypadek trzęsienia ziemi. W tej górzystej części Odawary struktura geologiczna była stosunkowo solidna, więc trzęsienia ziemi wywoływały niewielkie zniszczenia. Podczas Wielkiego Trzęsienia Ziemi w Kantō w tysiąc dziewięćset dwudziestym trzecim roku miasto Odawara zostało bardzo zniszczone, ale w tej okolicy straty były stosunkowo nieduże (w szkole podstawowej raz w ramach zadania domowego na lato zebrała informacje o zniszczeniach w tym rejonie wskutek Wielkiego Trzęsienia Ziemi w Kantō). Ale po trzęsieniu ziemi trudno jest zdobyć wodę i pożywienie. Szczególnie w takim miejscu w górach. Dlatego Menshiki skrupulatnie przygotował zapas jednego i drugiego. To niezwykle zapobiegliwy człowiek.

Wyjęła z magazynu dwie butelki wody mineralnej, paczkę krakersów oraz tabliczkę czekolady i zabrała z powrotem do pokoju. Pewnie Menshiki nie zauważył, że zniknęła taka mała ilość zapasów. Nawet ktoś tak skrupulatny jak on nie liczył chyba butelek wody mineralnej. Przyniosła sobie wody, bo chciała w miarę możliwości nie korzystać z kranu. Wodociąg mógł być hałaśliwy.

Komandor powiedział, że ma „się starać nie robić żadnego hałasu”.

Po wejściu do pokoju od środka zamknęła drzwi na klucz. Oczywiście Menshiki miał pewnie klucz, więc zamykanie nie miało sensu, ale mogła dzięki temu zyskać trochę na czasie. A do tego pewniej się poczuła.

Nie miała apetytu, ale zjadła kilka krakersów i napiła się wody. Zupełnie zwyczajnych krakersów i zupełnie zwyczajnej wody. Na wszelki wypadek sprawdziła etykiety – daty przydatności do spożycia jeszcze nie minęły. W porządku, nie umrze tu z głodu.

Na dworze było już zupełnie ciemno. Marie lekko odsunęła zasłonę i spojrzała na drugą stronę doliny. Widać tam było jej dom. Nie miała lornetki, więc nie mogła zobaczyć, co dzieje się w środku, ale widziała, że w kilku pokojach pali się światło. Gdyby wyteżyła wzrok, może zobaczyłaby nawet sylwetki mieszkańców. Była tam ciocia, która na pewno się zamartwiała, bo Marie nie wróciła o zwykłej porze. Czy nie mogłaby skądś do niej zadzwonić? Gdzieś musiał być normalny telefon. Wystarczyłoby powiedzieć: „Jestem bezpieczna, nie musisz się martwić” i się rozłączyć. Gdyby szybko to zrobiła, pewnie pan Menshiki by się nie zorientował. Ale ani w tym pokoju, ani nigdzie w pobliżu nie zauważyła telefonu.

Czy nie udałoby się stąd uciec w nocy, pod osłoną ciemności? Znaleźć gdzieś drabinę i przeleźć przez ogrodzenie. Pamiętała, że w składziku w ogrodzie była składana drabinka. Ale przypomniała sobie, co powiedział Komandor. „To miejsce jest ściśle strzeżone. Porządnie pilnowane na różne sposoby”. I kiedy mówił „ściśle strzeżone”, nie chodziło mu tylko o alarm firmy ochroniarskiej.

Marie sądziła, że lepiej zaufać Komandorowi. To nie było zwyczajne miejsce. Grasowały tu różne zgryzoty. Musiała być ostrożna. Musiała być bardzo cierpliwa. Lepiej nie robić nic lekkomyślnie ani na siłę. Lepiej, tak jak mówił Komandor, siedzieć tu spokojnie przez pewien czas i zobaczyć, jak się sprawy potoczą. I czekać na okazję.

„Poznacie, kiedy przyjdzie odpowiedni czas. Och, teraz jest odpowiednia chwila, pomyślcie. Jesteście dzielną i mądrą dziewczynką. Jeżeli tylko będziecie ostrożni, poznacie kiedy”.

Tak, muszę być dzielną i mądrą dziewczynką. Przetrwąć to i doczekać, aż piersi mi urosną.

Myślała tak, leżąc na gołym materacu. Dookoła było coraz ciemniej. I nadchodziła jeszcze większa ciemność.



Rozdział 62

Zaczynały przypominać głęboki labirynt

Czas płynął, kierując się swoimi własnymi zasadami bez związku z jej życzeniami. Leżała na gołym materacu i przyglądała się, jak powoli płynie obok, przesuwa się i mija. Nie miała nic innego do roboty. Myślała, że fajnie byłoby poczytać jakąś książkę. Ale nie miała żadnej pod ręką, a nawet gdyby miała, nie mogłaby zapalić światła. Mogła tylko siedzieć beczynnym w ciemności. Znalazła w magazynie latarkę i baterie, ale jej też postanowiła w miarę możliwości nie włączać.

Niebawem nadeszła głęboka noc i Marie usnęła. Czuła niepokój, zasypiając w nieznanym miejscu, i gdyby mogła, czuwałaby przez cały czas, ale w pewnej chwili ogarnęła ją senność, której nie potrafiła opanować. Oczy same jej się zamykały. Na gołym materacu było jej zimno, więc wyjęła z szafki koc i kołdrę, zawinęła się w nie ciasno, tak że wyglądała jak rolada biszkoptowa, i zamknęła oczy. Nie było tu żadnego piecyka, a nie mogła włączyć elektrycznego ogrzewania na ścianie (dodam tu swój komentarz na temat upływu czasu. Kiedy Marie tam spała, Menshiki pewnie wyszedł z domu i pojechał do mnie. Został u mnie na noc i wrócił następnego rana. To znaczy, że tej nocy nie było go w domu. Dom był pewnie pusty. Ale Marie tego nie wiedziała).

Raz w nocy się obudziła i poszła do toalety, ale wtedy też nie spuściła wody. W dzień to jeszcze pół biedy, ale gdyby łała wodę w środku nocy, kiedy było zupełnie cicho, bardzo możliwe, że ktoś by to usłyszał. Menshiki był wyjątkowo ostrożnym i skrupulatnym człowiekiem. Na pewno zauważyłby, gdyby coś się nawet trochę zmieniło. Nie mogła podejmować takiego ryzyka.

Spojrzała na zegarek – dochodziła druga. Druga w sobotę nad ranem. Piątek już dobiegł końca. Spojrzała przez szparę w zasłonach na swój dom po drugiej stronie doliny. W oknach salonu ciągle jasno paliło się światło. Było już po północy, a ona nie wróciła, więc nikt nie mógł spać – to znaczy ciocia i ojciec nie mogli, bo w nocy w domu byli tylko oni dwoje. Marie pomyślała, że źle postąpiła. Czuła się

nawet winna w stosunku do ojca (a bardzo rzadko jej się to zdarzało). Nie powinna być tak nierozważna. Nie miała takiego zamiaru, ale postąpiła impulsywnie i takie były skutki.

Jednak choćby żałowała, choćby robiła sobie wyrzuty, nie uda jej się przelecieć doliny i wrócić do domu. Nie była krukiem. Nie potrafiła latać. Nie potrafiła też pojawiać się i znikać jak Komandor. Była jedynie niezdamnym stworzeniem uwięzionym w dorastającym ciele, jej działanie było ściśle ograniczone czasem i przestrzenią. Nawet piersi jeszcze prawie w ogóle jej nie rosły. Przypominały płaskie racuszki.

Marie oczywiście bała się sama w ciemności. I dotkliwie czuła swoją bezsilność. Pragnęła, by Komandor był przy niej. Chciała go o wiele rzeczy zapytać. Nie wiedziała, czy odpowiedziałby na jej pytania, ale przynajmniej mogłaby z kimś porozmawiać. Jego sposób mówienia był dość dziwny z punktu widzenia współczesnego języka, łatwo było jednak zrozumieć, o co mu zasadniczo chodzi. Jednak Komandor mógł się więcej nie pokazać. Powiedział jej, że musi gdzieś iść i ma tam coś do zrobienia. Poczuli się z tego powodu samotna.

Zza okna dobiegło pohukiwanie nocnego ptaka. Pewnie sowy albo puchacza. Nocne ptaki kryły się w ciemnym lesie i rezolutnie wszystko przemyśliwały. Ja też muszę być rezolutna. Muszę być dzielną i mądrą dziewczynką. Lecz znów ogarnęła ją senność i oczy same jej się zamykały. Owinęła się kocem i kołdrą, położyła się i przymknęła powieki. Zapadła w głęboki sen bez snów. Kiedy się obudziła, zaczynało świtać. Spojrzała na zegarek – minęło pół do siódmej.

Na świecie nastawał sobotni świt.

Marie spędziła całą sobotę, siedząc cicho w pokoju służącej. Na śniadanie schrupała krakersy, zjadła kilka czekoladek i popiła wodą mineralną. Wyszła z pokoju, zakradła się do siłowni, wybrała kilka numerów ze stosu starych japońskich wersji „National Geographic” i szybko zaniósła je do swojego pokoju (Menshiki musiał je czytać, pedałowując na rowerze treningowym albo biegając na bieżni, bo były gdzieś tam poplamione potem). Przeczytała je po kilka razy. Były w nich artykuły o środowisku naturalnym wilka syberyjskiego, o misteriach związanych z fazami Księżyca, o życiu Inuitów i o tym, jak z roku na rok kurczy się teren amazońskiej puszczy tropikalnej. Zwykle nie czytała takich artykułów, ale nie miała nic innego, więc te czytała tak uważnie, że prawie się ich nauczyła na pamięć. Z takim natężeniem wpatrywała się w zdjęcia, że nieomal wypaliła w nich wzrokiem dziury.

Kiedy zmęczyła ją lektura, kładła się i drzemała. Patrzyła też przez szpary między zasłonami na swój dom po drugiej stronie doliny. Żałowała, że nie ma lornetki. Gdyby ją miała, mogłaby dokładnie obserwować, co się dzieje w środku, zobaczyć, jak poruszają się po domu jego mieszkańcy. Pomyślała też, że chciałaby wrócić do swojego pokoju z pomarańczowymi zasłonami. Wziąć gorącą kąpiel, umyć się dokładnie, włożyć świeżą piżamę i wleźć do ciepłego łóżka razem z kotem.

Po dziewiątej rano usłyszała, że ktoś powoli schodzi po schodach. Były to kroki mężczyzny w kapciach. Pewnie Menshikiego. Miał charakterystyczny sposób chodzenia. Chciała wyjrzeć przez dziurkę od klucza, ale w drzwiach nie było dziurki. Zesztywniała. Skuliła się na podłodze w rogu pokoju. Jeżeli ktoś otworzy te drzwi, nie będzie miała dokąd uciec. Komandor mówił, że Menshiki nigdy nie zagląda do tego pokoju. Musiała mu zaufać. Ale oczywiście nigdy nie było wiadomo, co się może zdarzyć. Bo na tym świecie nic nie było stuprocentowo pewne. Udawała, że jej nie ma, i myśląc o ubraniach w szafie, modliła się, że b y n i c s i ę n i e z d a r z y ł o .

Menshiki chyba zniósł na dół pranie. Pewnie codziennie o tej porze robił pranie. Włożył ubrania do pralki, dodał proszek, przekręcił pokrętkę, wybrał program i włączył. Robił to z wprawą. Marie wsłuchiwała się w kolejne dźwięki. Zdziwiająco wyraźnie je słyszała. Potem bęben pralki zaczął się powoli obracać. Po wykonaniu tych czynności Menshiki poszedł do siłowni i zaczął ćwiczyć na przyrządach. Zdawało się, że ćwiczenie podczas prania było stałym punktem jego porannego rozkładu dnia. Ćwicząc, słuchał muzyki klasycznej. Z głośników pod sufitem zaczęła dobiegać muzyka barokowa. Bach, Haendel albo Vivaldi. Marie niezbyt dobrze знаła się na muzyce klasycznej. Nie potrafiła odróżnić Bacha od Haendla i Vivaldiego.

Spędziła godzinę, wsłuchując się w mechaniczny szum pralki, rytmiczny dźwięk urządzeń do ćwiczeń i muzykę Bacha, Haendla czy Vivaldiego. To była niespokojna godzina. Menshiki pewnie się nie zorientuje, że ze stosu „National Geographic” zniknęło parę numerów, a ze składziku kilka butelek wody, i że ubyło trochę krakersów i czekolady. Bo było to naprawdę niewiele w porównaniu do ilości zapasów. Ale nigdy nie było wiadomo, co się może z d a r z y ć . Nie mogła przestać mieć się na baczności. Musiała ciągle być ostrożna.

Wkrótce pralka zabuczała i zakończyła pranie. Menshiki powoli poszedł do pralni, wyjął rzeczy z pralki, przełożył do suszarki i włączył ją. Tym razem z dudnieniem zaczął się obracać bęben suszarki. Sprawdziwszy, że działa, Menshiki powoli wszedł po schodach. Chyba zakończył poranne ćwiczenia. Teraz

pewnie weźmie nieśpieszny prysznic.

Marie zamknęła oczy i wydała głębokie westchnienie ulgi. Prawdopodobnie znowu przyjdzie tu za jakąś godzinę, żeby wyjąć pranie z suszarki. Ale największe niebezpieczeństwo już minęło. Tak się Marie wydawało. Nie zauważył, że się ukrywa w tym pokoju. Nie wyczuł jej obecności. To ją uspokoiło.

A więc kto właściwie stał wtedy przed drzwiami garderoby? Komandor powiedział, że był to kolega Menshiki, ale jednocześnie nie on. Co to właściwie miało znaczyć? Marie nie bardzo rozumiała, o co mu chodziło. To było dla niej zbyt trudne. W każdym razie ten k t o ś dobrze wiedział, że Marie (albo jakaś inna osoba) jest w szafie. A przynajmniej wyraźnie wyczuwał jakąś obecność. Ale z j a k i e g o ś p o w o d u ten ktoś nie mógł otworzyć szafy. Co to mógł być za powód? Czy te stare piękne ubrania naprawdę ją ochroniły?

Chciała usłyszeć od Komandora dokładniejsze wyjaśnienia. Jednak ten gdzieś sobie poszedł. Nie było już nikogo, kto mógłby jej cokolwiek wytłumaczyć.

Tego dnia, przez całą sobotę, Menshiki nie ruszył się chyba na krok z domu. O ile się zorientowała, ani razu nie rozległ się dźwięk otwieranych drzwi garażowych, ani dźwięk zapalającego silnika. Menshiki zszedł na dół po pranie z suszarki i powoli wrócił z nim po schodach. To wszystko. Nikt go nie odwiedził w tym domu na szczycie góry, gdzie kończyła się droga. Nie dostarczono żadnych przesyłek kurierskich ani ekspresów wysłanych listem poleconym. Dzwonek przy drzwiach milczał. Dwa razy zadzwonił telefon. Był to cichy dźwięk dobiegający z oddali, ale udało jej się go usłyszeć. Pierwszy telefon odebrano po drugim dzwonku, a drugi po trzecim (stąd wiedziała, że Menshiki jest gdzieś w domu). Śmieciarka miejska powoli wjechała po skarpie, grając elektroniczną wersję *Annie Laurie*, a potem nieśpiesznie odjechała (sobota była dniem wywożenia śmieci). Poza tym Marie nie słyszała prawie żadnych dźwięków. Dom był zasadniczo pogrążony w ciszy.

Minęło południe, popołudnie, nadszedł wieczór (tu znów dodam swój komentarz na temat upływu czasu. Podczas gdy Marie siedziała cicho jak myszka w tym małym pokoju, ja zabiłem Komandora w domu opieki w Izu, schwytałem Długogębego, który wylazł spod ziemi, i zszedłem na dół do podziemnego świata). Lecz nie potrafiła znaleźć odpowiedniej chwili, żeby wyślizgnąć się z tego domu. Zdaniem Komandora, żeby stąd uciec, musiała cierpliwie poczekać na „odpowiednią chwilę”. „Poznacie, kiedy przyjdzie odpowiedni czas. Będziecie wiedzieli, że »Och, teraz jest odpowiednia chwila«”.

Ale „odpowiednia chwila” nie nadchodziła. A Marie stopniowo coraz bardziej wyczerpywało to czekanie. Spokojne i beczynne czekanie nie pasowało raczej do

jej charakteru. Jak długo będzie musiała siedzieć cicho, wstrzymując oddech w takim miejscu?

Po południu Menshiki zaczął ćwiczyć na pianinie. Musiał otworzyć okna w salonie, bo dźwięk dochodził aż do jej kryjówki. To była chyba sonata Mozarta w jakiejś tonacji durowej. Marie pamiętała, że nuty leżały na pianinie. Zagrał raz ten powolny utwór, a potem zaczął ćwiczyć niektóre fragmenty. Poprawiał palcowanie, aż był zadowolony. Było tam kilka miejsc z trudnym palcowaniem, gdzie niełatwo było zachować jednorodny dźwięk. Te miejsca chyba nie dawały mu spokoju. Większość sonat Mozarta były to niezbyt trudne utwory, ale kiedy starało się je dobrze zagrać, stopniowo zaczynały przypominać głęboki labirynt. A Menshiki wcale nie obawiał się wejścia do takiego labiryntu. Wyteęzała słuch, by usłyszeć, jak po nim chodzi tam i z powrotem. Ćwiczenia na pianinie trwały około godziny. Potem dosłyszała dźwięk głośno zamykanej pokrywy fortepianu. Wyczuła w nim irytację. Ale nie była to silna irytacja. Należała raczej do wyrafinowanych. Menshiki, nawet będąc sam w tym wielkim domu (a raczej myśląc, że jest sam), nigdy się nie zapominał.

Poza tym powtórzyło się to samo co poprzedniego dnia. Gdy nadciągał zmierzch i robiło się coraz ciemniej, kruki, kracząc, wracały do gniazd w górach. W kilku domach widocznych po drugiej stronie doliny stopniowo pozapalały się światła. Światło w domu Akikawów nie zgasło nawet po północy. Wyczuwała w nim, że domownicy się o nią martwią. A przynajmniej takie miała wrażenie. Ciężko jej było na duszy, bo nie mogła nic na to poradzić, choć wiedziała, że sprawia im ból.

W przeciwieństwie do jej domu w domu Tomohika Amady (czyli m o i m) w ogóle nie zapalały się światła. Zupełnie jakby nikt już w nim nie mieszkał. Po zmierzchu nie zabłysło ani jedno światło. Wyglądało na to, że nikogo tam nie ma. Marie nie mogła się temu nadziwić. Gdzie mógł się podziać nauczyciel malarstwa? Czy wie, że ona zniknęła z domu?

O pewnej godzinie w nocy znów ogarnęła ją gwałtowna senność. Ciągłe mając na sobie szkolny mundurek, owinęła się kołdrą i kocem i usnęła, drżąc. Zasypiając, pomyślała, że gdyby miała tu kota, byłoby jej trochę cieplej. Jej kotka z jakiegoś powodu prawie nie miauczała. Tylko mruczała. Dlatego mogłyby się tu we dwie ukrywać. No ale oczywiście kotki nie było. Marie była zupełnie sama. Zamknięta w ciemnym, małym pokoju, z którego nie mogła się wydostać.

Nadszedł niedzielny świt. Kiedy się obudziła, w pokoju panował jeszcze półmrok. Na zegarze dochodziła szósta. Dni stawały się coraz krótsze. Na dworze padał

deszcz. Cichy, bezgłośny zimowy deszcz. Z tych, co to orientujemy się, że pada, dopiero widząc skapujące z gałęzi krople. Powietrze w pokoju było zimne i wilgotne. Marie żałowała, że nie ma swetra. Pod wełnianą szkolną marynarką miała tylko cienką dzianą kamizelkę i bawełnianą bluzkę. Pod bluzką podkoszulek z krótkimi rękawami. Ubranie na ciepły dzień. Gdyby tylko miała wełniany sweter...

Przypomniała sobie, że w szafie w tamtym pokoju był sweter. Kaszmirowy, kremowy, wyglądał na ciepły. Pomyślała, że dobrze byłoby iść na górę i go stamtąd wziąć. Zrobiłoby się jej znacznie cieplej, gdyby włożyła go pod marynarkę. Ale wyjście stąd i wchodzenie po schodach było zbyt niebezpieczne. Szczególnie do tamtego pokoju. Dlatego musiała wytrzymać w tym, co miała na sobie. Oczywiście nie było to srogie zimno nie do zniesienia. Nie znalazła się w zimnych rejonach jak te zamieszkiwane przez Inuitów. Była na przedmieściach Odawary i dopiero zaczął się grudzień.

Ale w deszczowy poranek zimno przenikało ją na wskroś. Zdawało się, że przemarznie do szpiku kości. Zamknęła oczy i pomyślała o Hawajach. Kiedy była mała, pojechały na Hawaje z ciocią i jej szkolną koleżanką. Wypożyczyły dla niej na plaży Waikiki małą deskę i bawiła się na falach. Kiedy się zmęczyła, położyła się na białym piasku i opalała. Było bardzo ciepło, wszystko wydawało się spokojne i przyjemne. Wysoko nad głową liście palm kołysały się poruszone tropikalnym wiatrem, który unosił białe chmurki ku morzu. Patrzyła na nie, popijając zimną lemoniadę. Tak zimną, że aż poczuła ból w skroniach. Przypomniała sobie wszystkie konkretne szczegóły tej wycieczki. Czy jeszcze kiedyś uda jej się pojechać w takie miejsce? Wszystko by za to dała.

Po dziewiątej znów usłyszała odgłos kroków w kapciach. Menshiki zszedł na dół. Pralka została włączona, rozległa się muzyka klasyczna (tym razem to była chyba symfonia Brahmsa) i przez prawie godzinę dobiegał odgłos maszyn do ćwiczeń. Powtórzyło się to samo co poprzedniego dnia. Tylko muzyka się zmieniła, wszystko inne zdawało się identyczne. Nie było wątpliwości, że właściciel tego domu jest niewolnikiem własnych przyzwyczajęń. Pranie zostało przełożone z pralki do suszarki i znów po godzinie wyjęte. Potem pan Menshiki nie schodził już na dół i pokój służącej w ogóle go chyba nie interesował (tu znów dodam komentarz. Tego dnia Menshiki pojechał do mnie i odbył krótką rozmowę z Masahikiem, który przyjechał zobaczyć, co się u mnie dzieje. Nie wiem dlaczego, ale tym razem Marie też się nie zorientowała, że wyszedł z domu).

Marie bardzo się cieszyła, że Menshiki nie zmienia przyzwyczajęń i prowadzi taki uregulowany tryb życia. Mogła dzięki temu przygotować się psychicznie

i zaplanować swoje działania. Najbardziej szarpały człowiekowi nerwy nieoczekiwane wydarzenia następujące jedno po drugim. Zapamiętała rozkład dnia Menshikiego i przystosowała się do niego. Prawie nigdzie nie wychodził (a przynajmniej o ile wiedziała, nigdzie nie wychodził). Pracował w gabinecie, sam robił pranie, sam gotował, popołudniami ćwiczył na steinwayu w salonie. Czasami ktoś do niego dzwonił, ale niezbyt często. Najwyżej parę razy dziennie. Chyba nie przepadał za rozmowami telefonicznymi. Prawdopodobnie w związku z pracą kontaktował się z ludźmi za pośrednictwem komputera w gabinecie, choć nie wiedziała, jak często to robi.

Zasadniczo sam sprzątał dom, ale raz w tygodniu przychodziła specjalna ekipa sprzątająca. Pamiętała, że sam o tym mówił, kiedy tu była ostatnim razem. Mówił, że raczej lubi sprzątać. Tak samo jak gotowanie, sprzątanie stanowiło odmianę. Ale w rzeczywistości nie dałby rady sam sprzątnąć tego wielkiego domu. Dlatego musiał się zwrócić do specjalnej firmy. Mówił, że kiedy przychodzi ekipa sprzątaczek, on znika na pół dnia z domu. W jaki dzień przychodziły? Gdyby akurat nadszedł ten dzień, może udałoby jej się stąd wydostać. Pewnie przyjeżdżało kilka osób ze sprzętem do sprzątania, brama była kilka razy zamykana i otwierana. I Menshiki wychodził z domu na pewien czas. Wydostanie się stąd nie powinno być wcale trudne. To mogła być jej jedyna szansa ucieczki.

Ale nic nie zapowiadało przybycia ekipy sprzątającej. Poniedziałek minął bez żadnych wydarzeń, podobnie jak niedziela. Mozart z każdym dniem stawał się bardziej poprawny i zwarty jako utwór muzyczny. Menshiki był uważnym i cierpliwym człowiekiem. Jeśli raz wyznaczył sobie cel, zmierzał ku niemu, nie zbaczając z drogi. To było godne podziwu. Lecz nawet jeśli Menshiki nauczy się w końcu poprawnie grać ten utwór Mozarta, czy będzie to aby muzyka przemawiająca do serca? Marie wątpiła w to, wsłuchując się w dobiegające z góry dźwięki.

Przetrwała dzięki krakersom, czekoladzie i wodzie mineralnej. Zjadła też baton energetyczny z orzechami oraz trochę tuńczyka z puszki. Nigdzie nie było szczoteczki do zębów, więc czyściła zęby palcem i wodą mineralną. Przeczytała wszystkie japońskie wydania „National Geographic” z siłowni. Zdobyła dużo wiedzy na temat tygrysów ludojadów z Bengalu, rzadkich małp z Madagaskaru, zmian geologicznych w Wielkim Kanionie, wydobywania gazu naturalnego na Syberii, przeciętnej długości życia pingwinów na Antarktydzie, życia nomadów na wyżynach Afganistanu, dowiedziała się o surowych rytuałach inicjacji, musieli się im poddawać młodzi ludzie w sercu Nowej Gwinei. Zdobyła też podstawowe wiadomości o AIDS i wirusie ebola. Taka różnorodna wiedza na temat natury

mogła jej się kiedyś do czegoś przydać. Albo mogła się okazać absolutnie nieprzydatna. Tak czy inaczej, nie miała żadnych innych książek. Pożerała więc łapczywie stare numery japońskich wydań „National Geographic”.

Co pewien czas wkładała rękę pod podkoszulek i sprawdzała, czy rosną jej piersi. Ale wcale nie robiły się większe. Zdawały się nawet mniejsze. Pomyślała też o miesiączce. Policzyła, że do następnej miała jeszcze dziesięć dni. Nigdzie nie było podpasek (wśród zapasów na wypadek trzęsienia ziemi znalazła papier toaletowy, ale nie zauważyła tam podpasek ani tamponów. Pewnie właściciel tego domu nie brał pod uwagę kobiet), więc gdyby dostała miesiączki teraz, gdy się tu ukrywa, byłby kłopot. Ale powinno jej się udać do tego czasu jakoś stąd wydostać. P o w i n n o . Nie mogła przecież spędzić dziesięciu dni w takim miejscu.

We wtorek przed dziesiątą przyjechał w końcu samochód firmy sprzątajacej. Usłyszała od strony ogrodu wesołe głosy kobiet wyładowujących sprzęt. Tego dnia rano Menshiki nie zrobił prania ani nie ćwiczył w siłowni. W ogóle nie zszedł na dół. Marie miała więc nadzieję, że jej przypuszczenia są słuszne (musiał być jakiś wyraźny powód, żeby Menshiki odstąpił od swoich nawyków). Kiedy na teren posesji wjechał duży van firmy sprzątajacej, Menshiki akurat pojechał gdzieś chyba swoim jaguarem.

Marie szybko sprzątnęła pokój służacej, zebrała butelki po wodzie oraz opakowania po krakersach i wrzuciła wszystko do torby na śmieci. Wystawiła ją w miejsce, gdzie łatwo rzuciła się w oczy. Pewnie sprzątaczką ją wyrzuci. Starannie złożyła kołdrę oraz koc i schowała do szafki. Usunęła wszystkie ślady tego, że ktoś tu spędził kilka dni. Bardzo starannie. Potem zarzuciła torbę na ramię i stąpając jak najciszej, weszła po schodach. Potem przeszła korytarzem, uważając, by nie zauważyły jej sprzątaczkę. Na myśl o t a m t y m p o k o j u zabiło jej serce. Jednocześnie tęsknie pomyślała o ubraniach w szafie. Chciała jeszcze raz spokojnie im się przyjrzeć. I dotknąć ich. Ale nie miała na to czasu. Musiała się śpieszyć.

Kryjąc się przed ludzkim wzrokiem, wyszła z domu i podbiegła krętym podjazdem. Tak jak myślała, brama była otwarta. Ludzie wynajęci do pracy nie chcieli sobie zadawać trudu kilkakrotnym zamykaniem i otwieraniem. Wyszła stamtąd jak gdyby nigdy nic.

Przechodząc przez bramę, nagle się zastanowiła, czy może tak po prostu sobie stąd wyjść. Czy nie powinno to być trudniejsze i wymagające więcej wysiłku? Jak niezwykle bolesna inicjacja, której poddawano młodych ludzi w pewnym plemieniu w Nowej Gwinei. Czy coś takiego nie było potrzebne jako z n a k ? Ale

ta myśl tylko przemknęła jej przez głowę. Dużo silniejsze było uczucie wyzwolenia, że wreszcie się stamtąd wyrwała.

Niebo było całkiem zachmurzone, zdawało się, że z nisko wiszących gęstych chmur może w każdej chwili spaść deszcz. Ale ona podniosła głowę ku niebu, wzięła kilka głębokich oddechów i poczuła się bardzo szczęśliwa. Zupełnie jak wtedy, kiedy patrzyła na liście palm kołyszące się na wietrze w Waikiki. Była wolna. Mogła iść, gdzie ją nogi poniosą. Nie musiała już siedzieć skulona i drzeć w ciemności. Cieszyła się z tego i była wdzięczna, że w ogóle żyje. Spędziła w zamknięciu tylko cztery dni, ale i tak dawno niewidziany świat wydawał się jej pełen życia i świeży. Wszystkie rośliny zdawały się pełne wigoru, kipiały siłami witalnymi. Zapach wiatru sprawiał, że szybciej biło jej serce.

Ale nie mogła dłużej tu marudzić. Menshiki mógł w każdej chwili wrócić, bo na przykład czegoś zapomniał. Musiała się szybko oddalić z tego miejsca. Wygładziła jak się dało pomięty szkolny mundurek (w którym spała przez parę dni owinięta kołdrą), żeby nikt się nie dziwił na jej widok, przygładziła rękami włosy i jak gdyby nigdy nic z obojętną miną ruszyła szybko drogą w dół.

Dotarła do ulicy biegnącej po dnie doliny, przeszła przez nią i wspięła się w górę po zboczu po drugiej stronie. Ale nie kierowała się prosto do siebie do domu, tylko do mnie. Miała pewien plan. Jednak nikogo u mnie nie zastała. Dzwoniła i dzwoniła, lecz nikt nie otworzył.

Zrezygnowała, weszła do lasu za domem i zbliżyła się do dołu za kapliczką. Był dokładnie zakryty niebieską plandeką. Wcześniej jej tu nie było. Starannie przymocowano ją liną przywiązaną do kilku wbitych w ziemię śledzi. Położono na niej także kilka ciężkich kamieni. Wyglądało na to, że nie da się łatwo zajrzeć do środka. Nie wiadomo kiedy ktoś – nie wiadomo kto – zakrył dół. Pewnie uznał, że pozostawienie takiej otwartej dziury jest niebezpieczne. Przez chwilę stała obok dołu i wyteęzała słuch, ale nie dochodziły stamtąd żadne dźwięki (mój komentarz: skoro nie było słycać dźwięku dzwonek, znaczyło to, że jeszcze nie dotarłem do dziury. A może akurat przysnąłem?).

Zaczął padać zimny drobny deszcz. Marie pomyślała, że musi wracać do domu. Rodzina na pewno się martwiła. Ale jeśli wróci do domu, będzie musiała tłumaczyć, gdzie była przez te cztery dni. Nie mogła szczerze wyznać, że zakradła się do domu pana Menshikiego i tam się ukrywała. Gdyby to powiedziała, zrobiłaby się straszna afera. Rodzina pewnie zawiadomiła policję o jej zniknięciu. A gdyby policja się dowiedziała, że nielegalnie wtargnęła do domu pana Menshikiego, na pewno czekałaby ją jakaś kara.

Wtedy przyszła jej do głowy wymówka, że wpadła niechcący do tego dołu i przez cztery dni nie mogła się z niego wydostać. Ale nauczyciel (czyli ja) przypadkiem ją tam znalazł i pomógł jej wyjść. Wymyśliła taki scenariusz i liczyła na to, że pomożę jej i potwierdzę tę wersję wypadków. Ale nie było mnie w domu, a dół już ktoś zasłonił plandeką i nie dało się do niego łatwo wejść ani łatwo z niego wyjść. Przez to jej scenariusz okazał się niemożliwy do zrealizowania (gdyby sprawy rozegrały się zgodnie z nim, musiałbym tłumaczyć policji, po co odsłoniłem ten dół i nawet użyłem w tym celu koparki, a to samo w sobie mogłoby doprowadzić do innych komplikacji).

Poza tym przychodziła jej do głowy tylko utrata pamięci. Nie miała innego pomysłu. Nie pamięta nic z tego, co jej się przydarzyło przez te cztery dni. W głowie ma kompletną pustkę. Kiedy doszła do siebie, była sama w górach za domem. Musiała się upierać przy tej wersji. Widziała kiedyś w telewizji serial, w którym ktoś w taki sposób stracił pamięć. Nie wiedziała, czy ludzie zaakceptują taką wersję. Rodzina i policja pewnie będą wypytywać o różne szczegóły. Mogą ją nawet zabrać do psychiatry. Ale musiała obstawać przy tym, że nic nie pamięta, potargać włosy, ubrudzić się błotem, obetrzeć tu i tam skórę i udawać, że spędziła parę dni w górach. Musi udawać i jakoś to będzie.

I wprowadziła to w życie. Nie uważała, że to udawanie było szczególnie przekonujące, ale nie miała wyboru.

To właśnie wyznała mi Marie. Shōko Akikawa wróciła akurat, gdy jej bratanica skończyła opowieść. Usłyszeliśmy, jak jej toyota prius podjeżdża pod dom.

– Lepiej nic nie mów na temat tego, co cię naprawdę spotkało. Nikomu innemu nie mów. To będzie nasza tajemnica – powiedziałem jej.

– Oczywiście, że nikomu nic nie powiem – odparła Marie. – Nawet gdybym powiedziała, nikt by mi nie uwierzył.

– Ja ci wierzę.

– I dzięki temu krąg się zamknie?

– Nie wiem – powiedziałem. – Pewnie jeszcze nie całkiem się zamknął. Ale myślę, że z resztą jakoś sobie poradzę. Niebezpieczna część pewnie już dobiegła końca.

– Śmiercionośna część.

Skinąłem głową.

– Tak, śmiercionośna część.

Marie przyglądała mi się uważnie przez dziesięć sekund. A potem cicho powiedziała:

– Komandor naprawdę istnieje.

– Tak, Komandor naprawdę istnieje – powtórzyłem. I ja go własnymi rękami zabiłem. N a p r a w d ę . Ale oczywiście głośno tego nie powiedziałem.

Marie szybko skinęła głową. Na pewno dochowa tajemnicy. To była ważna tajemnica, tylko nasza.

Gdyby to było możliwe, chciałbym jej wyznać, że ubrania z tej szafy, które ją przed c z y m ś ochroniły, należały za panieńskich czasów do jej matki. Ale nie mogłem jej tego powiedzieć. Nie miałem prawa. Komandor też pewnie go nie miał. Pewnie jedynie Menshiki miał takie prawo. Lecz prawdopodobnie nigdy z niego nie skorzysta.

Żyjemy, nosząc w sobie sekrety, których nie możemy sobie nawzajem wyjawiać.



Rozdział 63

Ale nie jest tak, jak myślisz

Mieliśmy z Marie wspólną tajemnicę. Była to ważna tajemnica, którą na całym świecie prawdopodobnie znaleźliśmy tylko my dwoje. Opowiedziałem jej o tym, co mnie spotkało w podziemnej krainie, niczego nie ukrywając, a ona, także niczego nie kryjąc, opowiedziała o tym, co ją spotkało w willi Menshikiego. Byliśmy też jedynymi ludźmi na świecie, którzy wiedzieli, że w domu Tomohika Amady są ukryte na strychu dwa starannie opakowane obrazy: *Śmierć Komandora* i *Mężczyzna z białego subaru forestera*. Oczywiście wiedziała też o nich sowa uszata, ale ona nic nie mówiła. Przyjęła tę tajemnicę w milczeniu.

Marie czasem do mnie wpadała (po kryjomu, tajemniczym korytarzem, nie mówiąc nic cioci). Systematycznie i szczegółowo badaliśmy, czy nie uda się odnaleźć w tych dwóch historiach jednoczesnych przeżyć i jakichś wspólnych elementów.

Martwiłem się, czy Shōko Akikawa nie poweźmie podejrzeń związanych z tym, że czterodniowe zniknięcie Marie nałożyło się na moją trzydniową „dość daleką” wycieczkę, ale wyglądało na to, że taka myśl nie powstała jej nawet w głowie. Policja też oczywiście nie zwróciła na to uwagi. Nie wiedzieli o tajemniczym korytarzu, a mój dom nie stał na zboczu tej samej góry, toteż nie uważali mnie za osobę z sąsiedztwa, w związku z tym żaden policjant nie przyszedł do mnie w poszukiwaniu informacji. Shōko Akikawa chyba nie powiedziała im, że Marie pozowała mi do portretu. Prawdopodobnie uważała, że to nie ma ze sprawą zniknięcia dziewczynki żadnego związku. Gdyby policja skojarzyła, że czas nieobecności Marie nakładał się na czas mojej nieobecności, mógłbym się znaleźć w dość niezręcznej sytuacji.

Nie dokończyłem portretu Marie. Ponieważ był prawie gotowy, wystarczyło tylko

go trochę dopracować, ale obawiałem się, że coś się może zdarzyć w chwili jego ukończenia. Gdybym go skończył, Menshiki pewnie wykorzystałby wszystkie możliwe sposoby, żeby go dostać. Mógł sobie mówić, co chciał, ale ja i tak swoje wiedziałem. Nie chciałem mu dać portretu Marie. Nie mogłem go posłać do jego „sanktuarium”. Mogło w nim być coś niebezpiecznego. Więc w rezultacie obraz nie został ukończony. Ale Marie bardzo się podobał (uznała, że świetnie wyraża jej obecne myśli) i powiedziała, że chciałaby go mieć u siebie. Z radością podarowałem jej ten portret (zgodnie z obietnicą dołączyłem trzy szkice). Podobało jej się właśnie to, że go nie dokończyłem.

– Jeśli jest nieukończony, to tak, jakbym ja zawsze mogła zostać nieukończona, a to świetne, prawda? – powiedziała.

– Nie ma ludzi o ukończonym życiu. Wszyscy są zawsze nieukończeni.

– Pan Menshiki też? – zapytała Marie. – Wygląda na bardzo ukończonego.

– Pan Menshiki prawdopodobnie też jest nieukończony – powiedziałem.

Menshiki wcale nie był ukończony. Tak mi się wydawało. Dlatego właśnie co wieczór obserwował uparcie dom Marie po drugiej stronie doliny przez silną lornetkę. Musiał to robić. Dzięki tej tajemnicy udawało mu się zachować równowagę na tym świecie. Była dla niego jak długi żelazny pręt, który trzyma człowiek chodzący w cyrku po linie.

Marie oczywiście wiedziała, że Menshiki obserwuje jej dom przez lornetkę. Nikomu (prócz mnie) o tym nie powiedziała. Nie wyjawiała tego cioci. Nadal nie знаła przyczyny, dla której Menshiki to robi. Sama nie wiedziała dlaczego, ale jakoś nie miała ochoty dowieść tej przyczyny. Na wszelki wypadek nigdy nie odsłaniała zasłony w swoim pokoju. Spłowiące pomarańczowe zasłony zawsze były szczelnie zasunięte. A kiedy się wieczorem przebierała, zawsze uważała, żeby robić to przy zgaszonym świetle. Lecz nie bardzo przeszkadzało jej to, że być może Menshiki codziennie podgląda, co się dzieje w pozostałych częściach domu. Raczej była świadoma, że jest obserwowana, i nawet sprawiało jej to przyjemność. A może miało dla niej znaczenie to, że t y l k o o n a o t y m w i e.

Zdaniem Marie Shōko Akikawa nadal widywała się z Menshikim. Jeździła do niego raz lub dwa razy w tygodniu. I przy tych okazjach chyba uprawiała z nim seks (Marie wyraziła to oględnie). Ciotka nie mówiła, dokąd idzie, ale Marie oczywiście wiedziała. Kiedy wracała, jej młoda twarz była bardziej zarumieniona niż zwykle. Tak czy inaczej, Marie nie miała jak odwieść ciotki od spotkania się z Menshikim, nawet jeśli nosił on w sercu jakieś szczególne ukryte miejsce. Musiała im pozwolić iść drogą, którą wybrali. Marie pragnęła tylko, by nie

wplątywali jej w swój związek. I żeby mogła zachować swoją niezależność gdzieś z dala od wszystkich zawirowań.

Ale mnie się wydawało, że to pewnie będzie trudne. Prędzej czy później, w mniejszym lub większym stopniu, zanim sama się zorientuje, co się dzieje, na pewno zostanie wciągnięta w jakieś zawirowania. Z dalekich obrzeży wkrótce wyląduje niewątpliwie w samym ich środku. Menshiki na pewno spotyka się z Shōko Akikawą, nigdy nie zapominając o Marie. Bez względu na to, czy od początku to zaplanował, czy nie, musiał tak postępować. Już takim był człowiekiem. I choć nie miałem takiego zamiaru, to przecież w sumie ja umożliwiłem im spotkanie. Pierwszy raz spotkali się u mnie w domu. Menshiki tego pragnął. A jest człowiekiem przyzwyczajonym do zdobywania tego, czego pragnie.

Marie nie wiedziała, co Menshiki zamierza zrobić z sukienkami w rozmiarze 34 i butami z tamtej szafy. Przypuszczała, że prawdopodobnie ubrania należące do dawnej ukochanej pozostaną tam – albo w jakimś innym miejscu – ukryte i pieczołowicie przechowywane. Bez względu na to, jak rozwinie się jego związek z Shōko Akikawą, Menshiki nie będzie w stanie ich wyrzucić ani spalić. A to dlatego, że stały się już częścią jego psyche. Należały do rzeczy, które pozostaną na zawsze uświęcone w jego „sanktuarium”.

Przestałem uczyć na kursach malarstwa koło dworca Odawara. Wyjaśniłem właścicielowi, że bardzo mi przykro, ale muszę się niebawem skupić na własnej twórczości. Jakoś zaakceptował to wyjaśnienie.

– Cieszył się pan bardzo dobrą opinią jako nauczyciel – powiedział.

I chyba nie mówił tego tylko z uprzejmości. Grzecznie mu podziękowałem. Uczyłem na kursach do końca roku, a on w tym czasie znalazł kogoś nowego. Była to sześćdziesięcioparoletnia emerytowana nauczycielka wychowania plastycznego w liceum. Miała łagodne oczy słonia i wyglądała na dobrą kobietę.

Menshiki czasem do mnie dzwonił. Nie miał żadnej sprawy, po prostu sobie gawędziliśmy. Za każdym razem pytał, czy nic się nie zmieniło w dole za kapliczką, a jak za każdym razem odpowiadałem, że nic. Naprawdę nic się tam nie zmieniło. Był dalej szczelnie zakryty niebieską plandeką. Czasami zaglądałem tam podczas spacerów, ale nic nie wskazywało na to, że ktoś ją odsuwał. Kamienie obciążające dalej leżały jak przedtem. I nic niezwykłego ani podejrzanego już się w związku z tym dołem nie zdarzyło. W nocy nie dobiegał z niego dźwięk dzwonek, nie pokazał się Komandor (ani nic innego). Dół po prostu cicho sobie

w lesie trwał. Trawa zniszczona gąsienicami koparki też powoli wracała do zdrowia i jej gąszcz zaczął osłaniać dół.

Menshiki myślał, że kiedy przepadłem wtedy bez wieści, przez cały czas byłem w dole. Nie rozumiał, jak się tam dostałem. Było jednak niezbitym faktem, że siedziałem na jego dnie. Nie dało się temu zaprzeczyć. Dlatego Menshiki nie łączył mojego zniknięcia ze zniknięciem Marie. Z jego punktu widzenia te dwa wydarzenia przypadkowo nałożyły się w czasie.

Próbowałem ostrożnie wybadać, czy jakoś wyczuł, że ktoś się w jego domu ukrywał przez cztery dni. Ale nic na to nie wskazywało. Chyba w ogóle się nie zorientował, że coś takiego miało miejsce. A skoro tak, to znaczyło, że nie on stał przed drzwiami szafy „zamkniętej komnaty”. Więc kto to mógł być?

Dzwonił do mnie, ale przestał do mnie wpadać. Ponieważ miał już Shōko Akikawę, może nie czuł potrzeby podtrzymywania osobistych stosunków ze mną? A może przestałem go interesować? A może jedno i drugie? Ale mnie to było obojętne (choć czasami było mi żal, że nie mam już okazji słyszeć odgłosu silnika V8 jaguara).

Jednak biorąc pod uwagę to, że czasami do mnie dzwonił, zdawało się, że chce podtrzymać ze mną kontakt. A może nie dawało mu spokoju, że wyjawiał mi swoją tajemnicę? Że Marie m o g ł a b y ć jego córką. Lecz nie sądzę, by się martwił, że się komuś (Shōko Akikawie albo Marie) wygadam. Wiedział, że umiem dochować sekretu. Na tyle znał się na ludziach. Lecz zwierzenie się z czegoś tak bardzo osobistego, obojętne komu, nie było wcale w stylu Menshikiiego. Ale może nawet kogoś o tak silnej woli jak on mogło zmęczyć samotne dźwiganie takiej tajemnicy? Albo wtedy desperacko potrzebował mojej pomocy, a do tego wydawałem mu się stosunkowo nieszkodliwy.

Bez względu na to, czy mnie celowo wykorzystał, czy nie, powinienem mu być wdzięczny. To w końcu on wyciągnął mnie z tego dołu. Gdyby wtedy nie przyszedł, gdyby nie spuścił drabiny i nie wyciągnął mnie na górę, nie dałbym rady stamtąd uciec i może zdechłbym i zgnął w tym ciemnym dole. W pewnym sensie nawzajem sobie pomogliśmy i może nasze rachunki zostały wyrównane.

Kiedy powiedziałem Menshikiemu, że podarowałem Marie niedokończony portret, skinął tylko w milczeniu głową. To on poprosił mnie o jego namalowanie, ale może już przestał mu być tak potrzebny? Albo doszedł do wniosku, że niedokończony obraz nie ma znaczenia. Albo pomyślał jeszcze coś innego?

W kilka dni po tej rozmowie oprawiłem w prostą ramę *Leśny dół*, wsadziłem na tył corolli, zawiozłem do Menshikiiego i podarowałem mu obraz (wtedy widziałem

Menshikiego po raz ostatni).

– To w podziękowaniu za uratowanie życia. Proszę, niech pan go przyjmie – powiedziałem.

Obraz chyba bardzo mu się spodobał (sam też uważałem, że jest całkiem niezły). Koniecznie chciał mi za niego zapłacić, ale zdecydowanie odmówiłem. Przedtem zapłacił mi zbyt hojnie i nie miałem zamiaru niczego więcej od niego przyjmować. Nie chciałem tworzyć między nami żadnych innych wzajemnych zobowiązań. Byliśmy teraz jedynie sąsiadami mieszkającymi po przeciwnych stronach doliny i chciałem, żeby tak pozostało.

W sobotę, w tym samym tygodniu, kiedy zostałem wyciągnięty z dołu, zmarł Tomohiko Amada. Serce przestało bić po trzech dniach śpiączki, w którą zapadł w czwartek. Stało się spokojnie i cicho, jak lokomotywa, która dojeżdża do końcowej stacji i powoli się zatrzymuje. Masahiko był przy nim przez cały czas. Po śmierci ojca zadzwonił do mnie.

– Umarł bardzo spokojnie – powiedział. – Ja też chciałbym tak spokojnie umrzeć, kiedy przyjdzie mój czas. Na ustach miał nawet lekki uśmiech.

– Uśmiech? – powtórzyłem.

– Może, ściśle mówiąc, nie był to uśmiech. Ale w każdym razie wyglądało to na lekki uśmiech. Dla mnie wyglądało.

Starannie dobrałem słowa.

– Oczywiście żał, że umarł, ale może dobrze, że tak spokojnie wydał ostatnie tchnienie.

– Do połowy tygodnia był trochę przytomny, ale nic chyba nie chciał na koniec powiedzieć. Żył ponad dziewięćdziesiąt lat, cały czas robił to, co kochał, więc pewnie niczego nie żałował – powiedział Masahiko.

Nie, miał czego żałować. Nosił w sercu wielki ciężar. Ale tylko on wiedział, co to konkretnie było. A teraz już nikt się nigdy nie dowie.

– Przez pewien czas mogę być zajęty – powiedział Masahiko. – Był w końcu znanym człowiekiem, więc po jego śmierci będzie dużo do załatwienia. Ja po nim dziedziczę, więc muszę się tym wszystkim zająć. Ale jak się trochę z tym uporam, pogadamy spokojnie.

Podziękowałem mu, że zawiadomił mnie o śmierci ojca, i odłożyłem słuchawkę.

Zdawało się, że śmierć Tomohika Amady wypełniła dom jeszcze większą ciszą. Pewnie nie było w tym nic dziwnego. Przecież w końcu żył tutaj długie lata. Spędziłem w ciszy kilka dni. Była gęsta, lecz nie nieprzyjemna. Czysty spokój, który się z niczym nie łączył. W ten sposób zakończyła się seria wydarzeń. Takie miałem uczucie. Był to spokój z rodzaju tych, które nadchodzą, gdy rozwiąże się jakaś ważna kwestia.

Pewnego wieczoru w dwa tygodnie po śmierci Tomohika Amady Marie przysłała do mnie ukradkiem jak ostrożny kot, porozmawialiśmy trochę, a potem poszła. Niezbyt długo u mnie była. Rodzina lepiej jej pilnowała, nie mogła już tak swobodnie wychodzić z domu jak przedtem.

– Chyba rosną mi piersi – powiedziała. – Więc ostatnio poszliśmy z cicią kupić stanik. Są staniki dla początkujących. Wiedział pan o tym?

Odpowiedziałem, że nie. Spojrzałem na jej piersi, ale nie rysowały się wyraźnie pod zielonym swetrem z szetlandzkiej wełny.

– Są tylko cienko watowane. Przecież gdyby od początku sterczały, to wszyscy by od razu uznali, że człowiek sobie wypycha. Więc zaczyna się od cienkich, a potem stają się coraz grubsze. To taki jakby trik.

Policjantka szczegółowo wypytywała ją, gdzie była przez cztery dni. Zasadniczo była dla niej miła, ale kilka razy mocno ją przestraszyła. Marie przez cały czas upierała się, że pamięta tylko, jak chodziła sobie po górach, gdzieś zabłądziła, w głowie miała pustkę. W torbie zawsze nosiła wodę mineralną i baton czekoladowy, więc mogła się tym odżywiać. Nie powiedziała nic ponadto. Zamknęła się jak sejf ognioodporny. Od zawsze miała w tym wprawę. Ustalono, że nie było to porwanie dla okupu, więc zabrano ją do szpitala wskazanego przez policję i tam zbadano obrażenia. Chcieli się upewnić, czy nie padła ofiarą przemocy seksualnej. Kiedy stało się jasne, że nie ma wskazujących na to śladów, policja straciła zainteresowanie sprawą. Kilkunastoletnia dziewczynka po prostu nie wróciła przez kilka dni do domu i wędrowała po okolicy – to wszystko. Nie było w tym nic niezwykłego.

Ubrania, które miała wtedy na sobie, zostały wyrzucone. Wszystko: granatowa marynarka, spódnica w kratę, biała bluzka, dziana kamizelka i mokasyny. Kupiono jej nowy mundurek, żeby zaczęła wszystko od nowa w nowym nastroju. I jak gdyby nic się nie stało, wróciła do zwykłego codziennego życia. Ale przestała chodzić na kurs malarstwa (tak czy inaczej, nie była już w wieku pozwalającym na chodzenie na kurs dla dzieci). Namalowany przeze mnie (nieukończony) portret powiesiła w swoim pokoju.

Nie potrafiłem sobie wyobrazić, na jaką kobietę wyrośnie. Dziewczynki w tym wieku mogły się w jednej chwili kompletnie zmienić pod względem wyglądu czy sposobu bycia. Kiedy spotykało się je po paru latach, trudno je było nawet poznać. Dlatego cieszyłem się, że udało mi się stworzyć portret trzynastoletniej Marie (nawet jeżeli został niedokończony). Bo w realnym świecie nic wiecznie nie trwało w tym samym kształcie.

Zadzwońiłem do agencji, dla której wcześniej pracowałem, i powiedziałem, że chciałbym znowu zacząć malować portrety. Agent bardzo się ucieszył. Zawsze potrzebowali dobrych portrecistów.

– Ale mówił pan, że nie będzie już malował portretów zarobkowo?

– Nieco zmieniłem sposób myślenia – odparłem. Nie wytłumaczyłem, na czym polega ta zmiana, a on się nie dopytywał.

Chciałem przez pewien czas o niczym nie myśleć i automatycznie machać pędzlem. Chciałem masowo produkować portrety jeden po drugim dla zarobku. Ta praca powinna mi dać stabilizację finansową. Nie wiedziałem, jak długo będę mógł prowadzić takie życie. Nie potrafiłem przewidzieć przyszłości. Ale przynajmniej w tej chwili właśnie to chciałem robić. W zapamiętaniu posługiwać się dobrze znaną techniką, nie przywołując żadnych zbędnych elementów. Nie mieć do czynienia z ideami czy metaforami. Nie wplątywać się w osobiste kłopoty tajemniczego zamożnego człowieka mieszkającego po drugiej stronie doliny. Nie wyciągać na światło dzienne ukrytych arcydzieł i w rezultacie nie zostawać wciągniętym w wąskie ciemne szczeliny na dnie ziemi. Tego właśnie najbardziej teraz pragnąłem.

Spotkałem się z Yuzu i pogadaliśmy. Rozmawialiśmy w kawiarni niedaleko jej firmy, popijając kawę i perrier. Miała mniejszy brzuch, niż sobie wyobrażałem.

– Nie masz zamiaru wyjść za tego faceta? – zapytałem na początku.

Potrząsnęła głową.

– W tej chwili nie mam zamiaru.

– Dlaczego nie?

– Czuję po prostu, że lepiej tego nie robić.

– Ale masz zamiar urodzić dziecko?

Lekko i szybko skinęła głową.

- Oczywiście. Już nie ma odwrotu.
- Mieszkasz z nim teraz?
- Nie mieszkam z nim. Po twoim odejściu cały czas mieszkam sama.
- Dlaczego?
- Przede wszystkim dlatego, że jeszcze nie jestem z tobą rozwiedziona.
- Ale przecież podpisałem i odesłałem ci dokumenty rozwodowe. Więc myślałem, że rozwód już się uprawomocnił.

Yuzu milczała chwilę zamyślona, a potem powiedziała:

- Prawdę mówiąc, jeszcze ich nie złożyłam. Jakoś nie mogę się na to zdobyć, więc nic z nimi nie zrobiłam. Z prawnego punktu widzenia jesteśmy ciągle małżeństwem, jakby nic się nie stało. Czy weźmiemy rozwód, czy nie, to dziecko będzie pod względem prawnym twoje. Oczywiście nie musisz za nie ponosić żadnej odpowiedzialności.

Nie rozumiałem, o co jej chodzi.

- Ale to dziecko, które ma się urodzić, to przecież jego dziecko. Biologicznie rzecz biorąc.

Yuzu wpatrywała się we mnie bez słowa. Potem powiedziała:

- To nie taka prosta sprawa.
- W jakim sensie?
- Jak by ci to powiedzieć? Nie jestem przekonana, że on jest ojcem tego dziecka.

Tym razem ja się w nią wpatrywałem.

- Chodzi ci o to, że nie wiesz, z kim zaszłaś w ciążę?

Skinęła głową na znak, że tego właśnie nie wie.

- Ale nie jest tak, jak myślisz. Nie sypiam z kim popadnie. Mam zasadę, że sypiam tylko z jednym mężczyzną. Dlatego z tobą już wtedy tego nie robiłam, prawda?

Skinąłem głową.

- Choć było mi z tego powodu przykro.

Jeszcze raz skinąłem głową.

- Będąc z nim, też starannie zapobiegałam ciąży. Bo nie miałam zamiaru mieć dziecka. Jak wiesz, jestem pod tym względem z natury skrupulatna. Ale nagle się

zorientowałam, że jestem w ciąży.

– Ale przecież to się zdarza, choćby człowiek był bardzo uważny.

Potrząsnęła głową.

– Gdyby coś takiego się stało, kobieta by o tym wiedziała. Zadziałałaby intuicja. Myślę, że mężczyzna nie może zrozumieć czegoś takiego.

Oczywiście nie rozumiałem.

– No i w każdym razie zamierzasz to dziecko urodzić.

Yuzu skinęła głową.

– Ale przecież nigdy nie chciałaś mieć dziecka. Przynajmniej ze mną.

– Tak, długo nie chciałam. Ani z tobą, ani z nikim.

– Ale teraz jesteś skłonna wydać na świat dziecko, nie mając pewności, kto jest jego ojcem. Gdybyś chciała, mogłaś wcześniej usunąć ciążę.

– Oczywiście rozważałam tę możliwość i wahałam się.

– Lecz nie zrobiłaś tego.

– Ostatnio zaczęłam myśleć inaczej – powiedziała Yuzu. – Oczywiście żyję niby swoim życiem. Ale prawie o wszystkim, co mnie spotyka, decyduje się gdzieś indziej, bez związku ze mną, i samo się to rozgrywa. Innymi słowy, wydaje się, że mam wolną wolę, ale nie udało mi się nigdy dokonać samodzielnie żadnego ważnego wyboru. I pomyślałam, że to zajście w ciążę też jest tego przykładem.

Bez słowa czekałem, co powie dalej.

– To brzmi dość fatalistycznie, ale naprawdę tak czułam. Bardzo bezpośrednio i boleśnie. Więc pomyślałam, że skoro tak, to na przekór wszystkiemu urodzę i wychowam sama to dziecko. I zobaczę, co mnie dalej spotka. To mi się wydawało strasznie ważne.

– Chciałbym cię o coś zapytać – powiedziałem, zdecydowawszy się.

– O co?

– To proste pytanie, więc czy możesz na nie równie prosto odpowiedzieć tak albo nie. Nic więcej nie powiem na ten temat.

– Dobrze. Pytaj.

– Czy mogę do ciebie wrócić?

Lekko zmarszczyła brwi. Potem przez pewien czas uważnie mi się przyglądała.

– Chodzi ci o to, że chcesz, żebyśmy znowu żyli jak małżeństwo?

– Gdyby to było możliwe.

– Możesz – powiedziała cicho i bez wahania. – Jesteś jeszcze moim mężem. Od twojego odejścia nic nie zmieniłam w twoim pokoju. Jeśli chcesz wrócić, możesz w każdej chwili.

– Spotykasz się jeszcze z tamtym mężczyzną? – zapytałem.

Yuzu w milczeniu pokręciła głową.

– Nie, to się już skończyło.

– Dlaczego?

– Przede wszystkim dlatego, że nie chciałam mu dać praw rodzicielskich do tego dziecka.

Milczałem.

– To chyba był dla niego szok. No, to właściwie zrozumiałe – powiedziała. Potem potarła policzki dłońmi.

– Chodzi ci o to, że mnie możesz je dać?

Położyła dłonie na stoliku i znów uważnie mi się przyjrzała.

– Czy ty się trochę zmieniłeś? Masz jakiś inny wyraz twarzy.

– Nie mam zdania co do wyrazu twarzy, ale myślę, że nauczyłem się kilku rzeczy.

– Może ja też się nauczyłam kilku rzeczy.

Podniosłem filiżankę i dopiłem resztę kawy. Potem powiedziałem:

– Masahiko stracił ojca, jest teraz strasznie zaabsorbowany, myślę, że minie trochę czasu, zanim wszystko się uspokoi. Ale kiedy się uspokoi, pewnie na początku roku, będę mógł się spakować, wyprowadzić stamtąd i wrócić do naszego mieszkania w Hiroo. Masz coś przeciwko temu?

Bardzo długo na mnie patrzyła. Jakby wpatrywała się w dawno niewidziany krajobraz, za którym się stęskniła. Potem wyciągnęła rękę i położyła lekko na mojej dłoni.

– Chciałabym spróbować naprawić nasz związek – powiedziała. – Prawdę mówiąc, od dawna o tym myślę.

– Ja też o tym myślałem.

– Nie wiem, czy wszystko się ułoży.

– Ja też nie wiem. Ale warto spróbować.

– Niedługo urodzę dziecko nieznanego ojca i będę je wychowywać. Czy to ci nie przeszkadza?

– Nie przeszkadza – powiedziałem. – Boję się, że jak to powiem, pomyślisz, że zwariowałem, ale może to właśnie ja jestem ojcem twojego dziecka. Tak mi się wydaje. Moje myśli mogły cię zapłodnić z oddalenia. Jako pewne pojęcie, które dotarło do ciebie specjalnym korytarzem.

– Jako pewne pojęcie?

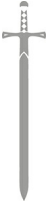
– To pewna hipoteza.

Yuzu zastanawiała się nad tym przez chwilę. Potem powiedziała:

– Gdyby tak było, myślę, że byłaby to świetna hipoteza.

– Może na tym świecie nie ma nic pewnego. Ale przynajmniej można w coś wierzyć.

Uśmiechnęła się. Na tym zakończyła się nasza rozmowa tamtego dnia. Wróciła do domu metrem, a ja ruszyłem z powrotem w góry niemożliwie zakurzoną toyotą.



Rozdział 64

Znakiem łaski

Kilka lat po tym, jak wróciłem do żony i zaczęliśmy znów wspólne życie, jedenastego marca we wschodniej Japonii było wielkie trzęsienie ziemi. Siedziałem przed telewizorem i patrzyłem, jak niszczone są jedno po drugim nadmorskie miasta od prefektury Iwate po Miyagi. Był to region, po którym podróżowałem kiedyś bez celu starym peugeotem 205. W jednym z tych miast musiałem spotkać mężczyznę z białego subaru foreстера. A teraz oglądałem w telewizji zrujnowane miasta miażdżone przez tsunami, jak przez jakiegoś ogromnego potwora, i rozpadające się na kawałki. Nie dostrzegałem nic, co mogło kojarzyć mi się z tamtym miasteczkiem. Poza tym nie pamiętałem nawet jego nazwy, więc nie mogłem sprawdzić, jakie zniszczenia wywołała klęska żywiołowa i jakie tam zaszły zmiany.

Nie mogłem się niczym zająć, w niemym zaskoczeniu przez kilka dni gapiłem się w ekran. Nie byłem w stanie odejść od telewizora. Chciałem znaleźć tam choć jedną scenę łączącą się z moimi wspomnieniami. Bałem się, że inaczej ważne rzeczy, które w sobie zgromadziłem, zostaną poniesione gdzieś daleko i znikną. Chciałem od razu wsiąść w samochód i tam jechać. Zobaczyć na własne oczy, co zostało. Ale to było oczywiście niemożliwe. Główne drogi zostały poszarpane na kawałki, miasteczka i wsie były odcięte od świata. Systemy dostawy elektryczności, gazu i wody były kompletnie zrujnowane, a w prefekturze Fukushima na południu (w okolicach, gdzie zostawiłem swojego zdechłego peugeota) w kilku reaktorach atomowych doszło do stopienia rdzenia. Nie było mowy, żebym mógł się tam choćby zbliżyć.

Kiedy jeździłem po tamtych okolicach, wcale nie czułem się szczęśliwy. Byłem bardzo samotny, wypełniony bolesnymi, niezrozumiałymi uczuciami. Myślę, że pod różnymi względami czułem się zagubiony. A mimo to jechałem dalej, przebywałem między nieznanymi ludźmi, byłem świadkiem tego, jak żyją, we

wszystkich aspektach życia. Być może miało to o wiele większe znaczenie, niż wtedy myślałem. Były rzeczy, które po drodze odrzuciłem, i kilka innych, które znalazłem (w wielu wypadkach robiłem to nieświadomie). Po tej podróży stałem się nieco innym człowiekiem.

Pomyślałem o obrazie *Mężczyzna z białego subaru forestera* ukrytym na strychu domu w Odawarze. Czy ten mężczyzna – zakładając, że naprawdę istniał – był jeszcze w miasteczku? Czy ta szczupła kobieta, z którą spędziłem przedziwną noc, jeszcze tam była? Czy udało im się przetrwać trzęsienie ziemi i tsunami? Co się stało z love hotelem i restauracją?

O piątej poszedłem do przedszkola po dziecko. Codziennie je odbierałem (żona wróciła do pracowni architektonicznej). Do przedszkola było dziesięć minut piechotą. Potem powoli wracałem, trzymając córkę za rękę. Jeżeli nie padało, po drodze zatrzymaliśmy się w niewielkim parku, przysiadaliśmy na ławce i przyglądaliśmy się psom na spacerze. Córka bardzo chciała mieć małego pieska, ale w naszym bloku nie wolno było mieć żadnych zwierząt. Dlatego musiała się zadowolić patrzeniem na psy w parku. Zdarzało się, że ktoś pozwalał jej jakiegoś grzecznego pogłaskać.

Miała na imię Muro. Yuzu je wybrała. Przyśniło jej się na kilka dni przed urodzinami dziecka. Była sama w dużym pokoju w stylu japońskim. Wychodził na piękny rozległy tradycyjny ogród. Był tam antyczny sekretarzyk, a na nim kartka białego papieru. A na niej widniał wyraźnie napisany czarnym tuszem duży znak „muro”. Nie wiadomo, kto go napisał, ale był pięknie wykaligrafowany. Taki to był sen. Po przebudzeniu dokładnie go pamiętała. Nalegała, że takie powinno być imię dziecka, które miało się narodzić. Ja oczywiście nie miałem zastrzeżeń. To było w końcu jej dziecko. Może Tomohiko Amada napisał ten znak? Nagle tak pomyślałem. Ale tylko pomyślałem. To przecież się zdarzyło jedynie we śnie.

Cieszyłem się, że urodziła się dziewczynka. Ponieważ spędziłem dzieciństwo z młodszą siostrą, Komi, ogarniał mnie spokój, gdy miałem przy sobie małą dziewczynkę. Było to dla mnie bardzo naturalne. Cieszyło mnie również, że zanim dziecko przyszło na świat, miało już wybrane imię. Bo imię to jednak bardzo ważna sprawa.

Po powrocie do domu oglądaliśmy z Muro telewizję. Starłem się nie pokazywać jej scen napierającego tsunami, bo byłby to za duży szok dla takiego małego dziecka. Kiedy pokazywano tsunami, od razu zakryłem jej oczy.

– Dlaczego? – zapytała.

- Lepiej, żebyś na to nie patrzyła. Jeszcze za wcześnie.
- Ale to przecież było naprawdę.
- Tak. Było naprawdę daleko stąd. Ale nie musisz oglądać wszystkiego, co się naprawdę stało.

Muro rozmyślała przez chwilę nad tym, co powiedziałem. Oczywiście nie mogła tego zrozumieć. Nie rozumiała też znaczenia wydarzeń w rodzaju trzęsienia ziemi czy tsunami, nie rozumiała znaczenia śmierci. Ale w każdym razie dokładnie zakrywałem jej oczy ręką, żeby nie widziała obrazów tsunami. Rozumienie czegoś i oglądanie to dwie różne sprawy.

Raz w rogu ekranu mignął mi przez chwilę mężczyzna z białego subaru foreстера. A przynajmniej tak mi się zdawało. Kamera pokazywała kuter rybacki, który tsunami wyniosło na brzeg i porzuciło na zboczu wzgórza. Obok stał ten m ę ż c z y z n a . Kuter wyglądał jak słoń niezdolny już do występów, a mężczyzna jak jego treser. Ale od razu zaczęto pokazywać inną scenę. Dlatego nie miałem pewności, że to był mężczyzna z białego subaru foreстера. Jednak jego wysoka sylwetka w czarnej skórzanej kurtce i czarna czapka z logo Yonexu sprawiały, że wyglądał jak on.

Mężczyzny więcej nie pokazano. Widziałem go jedynie przez chwilę. Od razu zaczęto pokazywać sceny uchwycone inną kamerą.

Prócz oglądania wiadomości na temat trzęsienia ziemi malowałem zarobkowo portrety, żeby zarobić na nasze utrzymanie. O niczym nie myśląc, stawałem przed płótnem i prawie automatycznie machałem pędzlem. Takiego życia pragnąłem. I tego oczekiwali ode mnie inni. Ta praca zapewniała mi dochód. Pieniądzy też potrzebowałem. Miałem teraz rodzinę na utrzymaniu.

Dwa miesiące po trzęsieniu ziemi w regionie Tōhoku spalił się dom w Odawarze, w którym dawniej mieszkałem. Dom na szczycie góry, w którym Tomohiko Amada spędził pół życia. Masahiko zawiadomił mnie o tym przez telefon. Po moim wyprowadzeniu się długo nikt tam nie mieszkał i dom stał pusty. Masahiko martwił się, że nikt go nie pilnuje. Ten niepokój okazał się uzasadniony, bo w domu wybuchł pożar. Pod koniec długiego majowego weekendu o świcie pojawił się ogień, ktoś zawiadomił straż pożarną, która zaraz ruszyła na pomoc, ale kiedy strażacy dotarli na miejsce, stary drewniany dom już prawie doszczętnie spłonął (duży wóz strażacki miał wielkie problemy z wjechaniem krętą stromą drogą). Na szczęście od poprzedniej nocy padał deszcz, ogień nie przeniósł się więc na

pobliski las. Straż pożarna zbadała miejsce pożaru, ale w końcu jego przyczyna pozostała nieznana. Może zwarcie w instalacji elektrycznej, a może podpalenie.

Kiedy usłyszałem tę wiadomość, najpierw pomyślałem o *Śmierci Komandora*. Pewnie obraz spłonął wraz z domem. A także mój *Mężczyzna z białego subaru forestera*. I wielka kolekcja płyt. Czy aby udało się uciec tej sowie ze strychu?

Śmierć Komandora była niewątpliwie jednym z arcydzieł Tomohika Amady i to, że obraz spłonął, było wielką stratą dla sztuki japońskiej. Bardzo niewiele osób go widziało (wśród nich ja i Marie Akikawa. Shōko Akikawa też go widziała, co prawda tylko przez chwilę. No i oczywiście jego autor, Tomohiko Amada. Być może nikt inny). Taki cenny obraz nigdy niewystawiony na widok publiczny szczył w płomieniach i na zawsze zniknął z tego świata. Czuję się za to odpowiedzialny. Czy nie powinienem był pokazać go publicznie, mówiąc, że to nieznane wcześniej dzieło Tomohika Amady, i zrobić wokół niego szum? Ale zamiast tego znów starannie go zapakowałem i wsadziłem z powrotem na strych. I ten wspaniały obraz prawdopodobnie obrócił się w popiół (narysowałem sobie dokładnie w szkicowniku wszystkie postaci, więc ten szkic był wszystkim, co zostało ze *Śmierci Komandora*). Jako nieznanemu nikomu malarz czuję na tę myśl ból w sercu.

To był taki wspaniały obraz! – myślałem. Może to, co zrobiłem, było zdradą w stosunku do sztuki?

Ale jednocześnie myślałem, że może ten obraz musiał zostać stracony. Tomohiko Amada włożył w niego całą swoją duszę. Był to oczywiście wybitny obraz, ale miał też w sobie siłę przyciągania. Można ją chyba określić jako niebezpieczną. Odkrywając go, otworzyłem jakiś krąg. Być może niewłaściwe byłoby wystawienie go na światło dzienne i publiczne eksponowanie. A przynajmniej tak chyba czuł autor, Tomohiko Amada. I chyba dlatego nikomu go nie pokazał, tylko ukrył na strychu. Jeśli tak, to znaczy, że uszanowałem jego wolę. Tak czy inaczej, obraz zniknął już pochłonięty przez płomień, a nikt nie może cofnąć czasu.

Nie czułem specjalnie żalu, że przepadł także *Mężczyzna z białego subaru forestera*. Pewnie jeszcze kiedyś spróbuję znów zmierzyć się z tym tematem. Ale do tego muszę najpierw stać się silniejszym człowiekiem i lepszym malarzem. Kiedy znów nabiorę ochoty na „malowanie obrazów dla siebie”, pewnie uchwycę mężczyznę z białego subaru forestera w zupełnie innej formie i pod zupełnie innym kątem. I może stanie się on moją *Śmiercią Komandora*. A jeżeli naprawdę do tego dojdzie, będzie to znaczyło, że odziedziczyłem po Tomohiku Amadzie coś bardzo cennego.

Marie zadzwoniła do mnie zaraz po pożarze i rozmawialiśmy z pół godziny o spalonym domu. Była bardzo przywiązana do tego małego starego domku. Albo do scen, które się tam rozgrywały, do dni, kiedy te sceny stały się częścią jej życia. Był w nich obecny także Tomohiko Amada, póki jeszcze żył. Zawsze widywała go, jak samotnie w skupieniu tworzył w pracowni. Widziała go przez okno. To, że takie sceny zostały na zawsze stracone, napawało ją smutkiem. Ja dzieliłem jej smutek. Ten dom miał dla mnie wielkie znaczenie – choć mieszkałem tam niecałe osiem miesięcy.

Pod koniec tej rozmowy Marie powiedziała mi, że bardzo urosły jej piersi. Była chyba wtedy mniej więcej w drugiej klasie liceum. Nie widziałem jej, od kiedy się stamtąd wyniosłem. Tylko czasami rozmawialiśmy przez telefon. Nie bardzo miałem ochotę znów odwiedzać ten dom, nie miałem też żadnego innego powodu, żeby tam jechać. Zawsze to ona do mnie dzwoniła.

– Objętościowo są jeszcze niewystarczające, ale zrobiły się większe – powiedziała, jakby wyjawiała mi jakiś sekret.

Zorientowanie się, że mówi o swoich piersiach, zajęło mi trochę czasu.

– Tak jak przepowiedział Komandor – dodała.

Powiedziałem, że się cieszę. Chciałem zapytać, czy ma chłopaka, ale zmieniłem zdanie.

Ciocia, Shōko Akikawa, nadal widywała się z Menshikim. W pewnym momencie zwierzyła się Marie, że się z nim spotyka, że są sobie b a r d z o b l i s c y , i dodała, że może niebawem wezmą ślub.

– Jeśli do tego dojdzie, zamieszkaasz z nami? – zapytała ją ciocia.

Marie udała, że nie słyszy. Często tak robiła.

– No i masz zamiar zamieszkać z panem Menshikim? – zapytałem ją, bo trochę mnie to zaniepokoiło.

– Myślę, że nie – odparła. A potem dodała: – Ale nie jestem pewna.

Nie jest pewna?

– Myślałem, że miałaś niezbyt dobre wspomnienia z jego domu? – powiedziałem z lekkim wahaniem.

– Ale to się stało, jak byłem jeszcze dzieckiem, i wydaje mi się, że to było bardzo dawno. Poza tym nie wyobrażam sobie mieszkania sama z ojcem.

B a r d z o d a w n o ?

Mnie się zdawało, że to było zaledwie wczoraj. Powiedziałem tak, ale Marie nie

zareagowała. A może pragnęła całkiem zapomnieć o serii dziwnych wydarzeń, które miały miejsce w tej willi. Albo może naprawdę już o nich zapomniała. Albo z wiekiem zaczął ją bardziej interesować Menshiki. Może dzięki więzom krwi zaczęła w nim wyczuwać coś szczególnego?

– Bardzo mnie interesuje, co się stało z ubraniami w szafie – powiedziała.

– Fascynuje cię ten pokój, co?

– Bo te ubrania mnie ochroniły – powiedziała. – Ale jeszcze nie wiem, co zrobię. Jak pójdę na studia, może sama gdzieś oddzielnie zamieszkam.

Powiedziałem, że to może być dobry pomysł.

– A co się stało z dołem za kapliczką? – zapytałem.

– Nic się tam nie zmieniło – odparła Marie. – Po pożarze ciągle jest zakryty niebieską plandeką. Niedługo zasypią go liście i nikt nie będzie wiedział, że tam w ogóle był jakiś dół.

Na jego dnie powinny ciągle leżeć te stare dzwonki. Razem z plastikową latarką, którą pożyczyłem sobie z pokoju Tomohika Amady w domu opieki.

– Nie widzisz już Komandora? – zapytałem.

– Ani razu od tamtego czasu. Teraz trudno mi nawet uwierzyć, że naprawdę istniał.

– Naprawdę istniał. Lepiej w to uwierz.

Ale przypuszczałem, że Marie pewnie po trochu zapomni o takich rzeczach. Była nastolatką, jej życie wkrótce błyskawicznie się wypełni i skomplikuje. Może nie mieć czasu, żeby zajmować się takimi niezrozumiałymi rzeczami jak idee czy metafory.

Czasami się zastanawiałem, co się stało z tą figurką pingwina. Zapłaciłem nią Mężczyźnie Bez Twarzy za przewiezienie przez rzekę. Musiałem to zrobić, żeby się przedostać przez tę wartko płynącą rzekę. Modliłem się o to, żeby pingwin teraz też skądś ją chronił – prawdopodobnie krążąc między bytem a niebytem.

Nadal nie wiedziałem, kto jest ojcem Muro. Można się było tego dowiedzieć, robiąc badanie DNA, ale ja nie chciałem znać wyniku. Wkrótce coś się stanie i może jakoś się tego dowiem. Może nadejdzie dzień, gdy wyjaśni się, kto faktycznie jest jej ojcem. Ale jakie znaczenie miał taki „fakt”? Legalnie i formalnie była moim dzieckiem, a ja bardzo mocno kochałem swoją małą córeczkę. Uwielbiałem spędzać z nią czas. Było mi obojętne, kto jest jej biologicznym ojcem.

Uważałem to za trywialny szczegół. Niczego nie zmieniał.

Kiedy jeździłem po regionie Tōhoku z miasteczka do miasteczka, we śnie miałem stosunek ze śpiącą Yuzu. Wślizgnąłem się do jej snu, w rezultacie zaszła w ciążę i po ponad dziewięciu miesiącach urodziła dziecko – lubiłem tak myśleć (tylko prywatnie i po cichu). Ojcem tego dziecka byłem ja jako idea albo ja jako metafora. Tak jak Komandor do mnie przyszedł, tak jak Donna Anna mnie wiodła przez ciemności, ja w innym świecie zapłodniłem Yuzu.

Ale nie będę się zachowywał jak Menshiki. On opierał swoje życie na dwóch możliwościach: że Marie jest jego córką albo że nią nie jest. Kładł obie możliwości na wagę i próbował znaleźć znaczenie swojego istnienia w niekończącej się delikatnej amplitudzie drgań jej szalek. Ja jednak nie muszę stawiać sobie takich skomplikowanych wyzwań (które trudno nazwać naturalnymi). Bo ja mam w sobie siłę wiary. Potrafię po prostu uwierzyć, że choćby mnie wsadzono do bardzo ciasnego i ciemnego miejsca, choćby mnie rzucono na dzikie pustkowia, gdzieś znajdzie się ktoś, kto mnie stamtąd wyprowadzi. Tego właśnie nauczyło mnie kilka niezwykłych przeżyć, które stały się moim udziałem w domu na szczycie góry niedaleko Odawary.

Śmierć Komandora przepadła na zawsze w pożarze o świcie, ale ten wspaniały obraz nadal istnieje we mnie. Potrafię jak żywych ujrzeć w myślach Komandora, Donnę Annę i Długogębego. Są tak konkretni i wyraźni, że nieomal mógłbym ich dotknąć. Kiedy o nich myślę, ogarnia mnie spokój, jakbym patrzył na deszcz nieustannie padający na wielką powierzchnię zalewu. W moim sercu ten deszcz nie przestaje padać.

Pewnie będę dalej żył razem z nimi wszystkimi. Moja mała córeczka jest podarkiem od nich. Znakiem łaski. Jestem o tym przekonany.

– Komandor naprawdę istniał – powiedziałem do uspiionej głęboko Muro. – Lepiej w to uwierz.

- [1] Aluzja do pierwszego zdania *Zapisków dla zabicia czasu*, esejów autorstwa Kenkō Yoshidy (1284–1350), tłum. Henryk Lipszyc (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).
- [2] Popularne słodczyce w formie cienkich słodkich paluszków oblanych do połowy czekoladą, produkowane przez firmę Glico.
- [3] Zdanie to pochodzi z pamiętnika Lwa Trockiego.
- [4] W tradycyjnych japońskich domach wannę napełnia się zimną wodą, którą potem się podgrzewa.
- [5] Aluzja do konfliktu między *giri* a *ninjō*, często opisywanego w tradycyjnej japońskiej literaturze.

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: +4822 6286360

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz